

JEFFERY DEAVER

Dwunasta karta

Przełożył Łukasz Praski

Pamięci Christophera Reeve'a, nauczyciela odwagi, symbolu nadziei.

Masz krewnych i masz przodków. Sam wybierasz tych, których chcesz uważać za swoich przodków, a z wyznawanych przez nich wartości tworzysz siebie.

Ralph Ellison

Część I

Trzy piąte człowieka

wtorek, 9 października

Rozdział 1

Z twarzą mokrą od potu i łez, mężczyzna biegnie co sił w nogach, biegnie, by ocalić wolność i życie.

- Tam! Tam jest!

Były niewolnik nie wie, skąd dokładnie dobiega głos. Zza jego pleców? Z prawej, z lewej? Z dachu jednej ze zrujnowanych kamienic przy brudnych brukowanych ulicach?

W gorącym lipcowym powietrzu gęstym jak płynna parafina szczupły mężczyzna przeskakuje końskie łajno. Zamiatacze ulic omijają tę część miasta. Charles Singleton przystaje obok wyładowanej beczkami palety, usiłując złapać oddech.

Pada strzał. Pocisk trafia daleko od niego. Huk natychmiast przywołuje mu na myśl obraz wojny: okropne, szalone godziny, gdy stał na stanowisku w granatowym mundurze, mierząc z ciężkiego muszkietu do ludzi w ciemnoszarych strojach, którzy celowali do niego ze swojej broni.

Rusza jeszcze szybciej. Znów do niego strzelają, ale kule ponownie chybają celu.

- Niech go ktoś zatrzyma! Pięć dolarów w złocie dla tego, kto go zatrzyma.

Ale spośród garstki ludzi, którzy tak wcześnie znaleźli się na ulicy - irlandzkich handlarzy starzyzną i robotników zmierzających do pracy z kilofami i kozłami do noszenia cegieł na ramionach - nikt nie kwapi się, by zatrzymać muskularnego Murzyna o dzikim spojrzeniu, przerażającego w swej determinacji. Obietnica nagrody padła z ust miejskiego konstabla, co oznacza, że za pojmanie uciekiniera nie będzie żadnej zapłaty.

Przy malowidłach na Dwudziestej Trzeciej Charles skręca na zachód. Traci równowagę na śliskim bruku i pada. Zza rogu wyłania się policjant na koniu, unosi pałkę i rzuca się na leżącego mężczyznę. A potem...

A potem? - pomyślała dziewczyna. A potem?

Co się z nim stało?

Szesnastoletnia Geneva Settle przekręciła gałkę czytnika mikrofilmów, ale natrafiła na opór. Dotarła do ostatniej strony w karcie. Wyciągnęła metalowy prostokąt z głównym artykułem numeru „Coloreds Weekly Illustrated” z dwudziestego trzeciego lipca 1868 roku. Przeglądając pozostałe ramki ułożone w zakurzonym pudełku, zaniepokoiła się, że nie ma w nim reszty artykułu i nigdy się już nie dowie, co się stało z jej przodkiem Charlesem Singletonem. Słyszała, że archiwa dotyczące historii czarnoskórych, jeżeli nie zaginęły, często były zdekompletowane.

Gdzie reszta artykułu?

Ach... Wreszcie znalazła i ostrożnie włożyła mikrofilm do szarego sfatygowanego czytnika. Pokręciła niecierpliwie gałką, by odnaleźć ciąg dalszy opowieści o ucieczce Charlesa.

Bujna wyobraźnia Genevy - i lata pochłaniania niezliczonych książek - pozwoliły dziewczynie ubarwić suchą relację z pościgu za byłym niewolnikiem przez rozgrzane, cuchnące ulice dziewiętnastowiecznego Nowego Jorku. Miała wrażenie, jak gdyby widziała wszystko na własne oczy, a nie czytała artykuł prawie sto czterdzieści lat później, siedząc w pustej sali biblioteki na piątym piętrze Muzeum Kultury i Historii Afroameykańskiej na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy na środkowym Manhattanie.

Kręcąc gałką, zaczęła przesuwac stronicę na ziarnistym ekranie i znalazła pozostałą część artykułu zatytułowanego:

SKANDAL

ZBRODNIĄ WYZWOLEŃCĄ CHARLES SINGLETON, WETERAN WOJNY MIĘDZY STANAMI, W GŁOŚNYM INCYDENCIE SPRZENIEWIERZA SIE SPRAWIE NASZEGO LUDU

Towarzyszące artykułowi zdjęcie przedstawiało dwudziesto-ośmioletniego Charlesa Singletona w mundurze z czasów wojny secesyjnej. Był wysoki, miał duże dłonie, a mundur, ciasno opinający pierś i ramiona, ukazywał silne mięśnie. Szerokie usta, wysokie kości policzkowe, okrągła głowa, bardzo ciemna skóra.

Wpatrując się w jego poważną twarz, spokojne i przenikliwe oczy, dziewczyna dostrzegła podobieństwo między nimi - miała kształt głowy i rysy przodka, i tę samą bardzo ciemną barwę skóry. Budowy ciała na pewno jednak nie odziedziczyła po Singletonie. Geneva Settle była chuda jak chłopiec z podstawówki, co uwielbiały jej wytykać dziewczyny z osiedla Delano.

Wróciła do czytania, ale przeszkodził jej jakiś hałas.

W sali coś trzasnęło. Zamek u drzwi? Po chwili Geneva usłyszała kroki. Ktoś przystanął. I znów zrobił krok. W końcu zapadła cisza. Dziewczyna obejrzała się za siebie, lecz nikogo nie zobaczyła.

Przeszył ją dreszcz, ale powiedziała sobie, że nie ma co panikować. To tylko złe wspomnienia wytrąciły ją z równowagi: o laniu, jakie sprawiły jej dziewczyny z Delano na boisku za szkołą imienia Langstona Hughesa i o tamtym dniu, gdy Tonya Brown i jej ekipa z St Nicholas zaciągnęły ją do alejki i stłukły tak mocno, że straciła ząb trzonowy. Chłopcy obmacują, czepiają się i dogryzają. Ale prawdziwe rany zadają dziewczyny.

Łapać ją, dowalić, dowalić suce...

Znów kroki. I przerwa.

Cisza.

Charakter miejsca nie pomagał się jej uspokoić. Półmrok, zapach stęchlizny, cisza. Piętnaście po ósmej rano we wtorek nikogo tu nie było. Muzeum było jeszcze zamknięte - turyści spali albo jedli śniadanie - ale bibliotekę otwierano o ósmej. Geneva tak bardzo chciała przeczytać artykuł, że czekała pod drzwiami. Siedziała teraz w boksie na końcu przestronnej sali ekspozycyjnej, gdzie stały manekiny bez twarzy ubrane w dziewiętnastowieczne stroje, a ściany zdobiły obrazy przedstawiające mężczyzn w cudacznych kapeluszach, kobiety w czepkach i konie o dziwnie chudych nogach.

Ktoś zrobił jeszcze jeden krok. I znów przystanął.

Powinna wyjść? Zaczekać z doktorem Barrym, bibliotekarzem, aż ten dziwny gość sobie pójdzie?

W tym momencie tajemniczy człowiek się zaśmiał.

Wcale nie diabolicznie, ale wesoło.

A potem rzekł:

- Dobra, zadzwonię później.

Trzask zamykanego telefonu. To dlatego przystawał. Słuchał osoby, z którą rozmawiał.

Mówię, że nie ma się czego bać, dziewczyno. Ludzie nie są groźni, kiedy się śmieją. Nie są groźni, gdy przyjaznym tonem rozmawiają przez telefon. Człowiek szedł powoli, bo tak chodzą ludzie, kiedy mówią. Chociaż co to za prostak rozmawiałby przez telefon w bibliotece? Geneva

odwróciła się do ekranu czytnika, zastanawiając się: Uciekłeś, Charles? Mam nadzieję.

Odzyskał jednak równowagę, lecz zamiast przyznać się do niegodziwego czynu, jak postąpiłby człowiek odważny, tchórzliwie rzucił się do dalszej ucieczki.

No i masz obiektywną relację, pomyślała ze złością.

Przez pewien czas uchodził pogoni. Ale jego pojmanie było tylko kwestią czasu. Pewien murzyński handlarz siedzący na werandzie ujrzał wyzwolenca i zaczął go błagać w imię sprawiedliwości, by się zatrzymał. Twierdząc, że słyszał o zbrodni Singletona, oskarżył go o to, że okrywa hańbą wszystkich kolorowych w kraju. Obywatel ten, niejaki Walker Loakes, cisnął w Singletona cegłą, aby go przewrócić. Jednakże...

Charles uchyła się przed ciężkim kamieniem i odwraca się do napastnika, krzyząc:

- Jestem niewinny! Nie zrobiłem tego, o czym mówi policja! Wyobraźnia Genevy zainspirowana tekstem zaczęła na nowo pisać relację z pościgu.

Ale Loakes nie zwraca uwagi na protesty wyzwolenca, wybiega na ulicę i woła do policjantów, że uciekinier kieruje się w stronę nabrzeża.

Z rozdartym sercem, widząc w myślach Violet i ich syna, Joshuę, były niewolnik biegnie dalej, rozpaczliwie pragnąc ocalić wolność. Gna, gna przed siebie...

Za nim rozlega się tętent konnej policji. Przed nim ukazują się inni jeźdźcy prowadzeni przez policjanta w hełmie, groźnie wymachującego pistoletem.

- Stój! Zatrzymaj się, Charlesie Singletonie! Jestem kapitan detektyw William Simms. Od dwóch dni cię szukam.

Wyzwoleniec posłusznie staje. Silne ramiona bezwładnie opadają mu wzdłuż ciała, pierś unosi się ciężko, gdy z trudem wciąga wilgotne, cuchnące powietrze napływające z rzeki Hudson. Niedaleko jest biuro portowe, a w tle widać szczyty masztów łodzi płynących rzeką, setki masztów, które drażnią go obietnicą wolności. Dysząc ciężko, Charles opiera się o dużą tablicę Swiftsure Express Company. Patrzy na zbliżającego się policjanta, słysząc głośny stukot końskich kopyt na bruku.

- Charlesie Singletonie, jesteś aresztowany pod zarzutem kradzieży. Pójdiesz z nami dobrowolnie albo użyjemy siły. Tak czy inaczej, czekają się kajdany. Poddasz się, a nie stanie ci się krzywda. Będziesz się opierał, poleje się krew. Wybieraj.

- Oskarżono mnie o zbrodnię, której nie popełniłem!

- Powtarzam, poddaj się albo zginiesz. Nie masz innego wyjścia.

- Nie, kapitanie. Mam! - krzyczy Charles i rzuca się do ucieczki w stronę nabrzeża.

- Stój, bo będziemy strzelać! - woła detektyw Simms.

Lecz wyzwoleniec skacze przez balustradę pomostu jak koń przesadzający czujkę wroga podczas szarży. Wydaje się, jak gdyby na chwilę zawisł nieruchomo w powietrzu, a potem z wysokości dziesięciu metrów leci, koziółkując, wprost w mętne wody Hudsonu, szepcząc coś do siebie - może modlitwę do Jezusa, może wyznanie miłości do żony i dziecka - ale jego prześladowcy nie mogą już nic usłyszeć.

Czterdziestojednoletni Thompson Boyd znajdował się piętnaście kroków od czytnika mikrofiszek. Wolno zbliżał się do dziewczyny.

Naciągnął wełnianą czapkę na twarz, poprawił otwory na oczy i otworzył bębenek rewolweru, upewniając się, czy się nie zaciął.

Sprawdzał już wcześniej, ale przy takim zadaniu nigdy za dużo skrupulatności. Schował broń do kieszeni, a z rozcięcia w ciemnym płaszczu wysunął drewnianą pałkę.

Stał w sali ekspozycji strojów obok półek z książkami oddzielających go od stolików z czytnikami mikrokart. Palcami w lateksowych rękawiczkach dotknął oczu, które tego ranka wyjątkowo mocno go szczypały. Zamrugął z bólu.

Znów rozejrzał się wokół, upewniając się, czy sala jest pusta.

Nie było tu żadnych strażników, podobnie jak na dole. Żadnych kamer, żadnego wpisywania się na listę. Doskonale. Miał jednak pewne kłopoty logistyczne. W wielkiej sali panowała grobowa cisza i Thompson nie mógł niepostrzeżenie podejść do dziewczyny. Domyślając się, że jest tu ktoś jeszcze, mogłaby się zdenerwować i spłoszyć.

Dlatego gdy znalazł się w tym skrzydle biblioteki i zamknął za sobą drzwi, cicho zachichotał. Thompson Boyd przestał się śmiać wiele lat temu. Znał się jednak na swoim rzemiośle i rozumiał siłę żartu, wiedział także, jak ją wykorzystać w swojej pracy. Uznał, że śmiech wraz z jakąś uprzejmością na pożegnanie i odgłosem zamykanego telefonu powinny uspokoić dziewczynę.

Fortel chyba się udał. Thompson szybko wyrwał zza rzędu regałów i zobaczył dziewczynę pochyloną nad ekranem czytnika. Czytając, nerwowo zaciskała i rozluźniała dłonie.

Ruszył naprzód.

Zaraz jednak przystanął. Dziewczyna wstawiała od stolika. Usłyszał, jak krzesło przesuwa się po linoleum. Gdzieś szła. Do wyjścia? Nie. Usłyszał szum wodotrysku i odgłos przełykania wody. Potem dziewczyna wyciągnęła z półki parę książek i położyła je na stoliku. Chwilę później wróciła do regałów po więcej książek. Wylądowały z hukiem na blacie. Wreszcie usłyszał skrzypnięcie krzesła, gdy dziewczyna siadała do czytania. Zaległa cisza.

Thompson znów wyrwał. Siedziała przy stole, czytając jedną z kilkunastu piętrzących się przed nią książek.

Trzymając w lewej ręce torebkę z prezerwatywami, nożem i taśmą izolacyjną, a w prawej pałkę, znów ruszył w kierunku dziewczyny.

Był za jej plecami i wstrzymując oddech, podchodził coraz bliżej, osiem metrów, pięć.

Trzy metry. Nawet gdyby zerwała się do ucieczki, mógł ją zaatakować i unieszkodliwić - złamać nogę w kolanie albo ogłuszyć ciosem w głowę.

Dwa i pół metra, półtora...

Zatrzymał się i bezgłośnie położył zestaw gwałciciela na półce. Ujął pałkę w obie dłonie. Podeszedł jeszcze bliżej, unosząc broń z lakierowanego drewna dębowego.

Dziewczyna czytała w skupieniu, bez reszty pochłonięta lekturą, nieświadoma, że tuż za nią stoi napastnik. Thompson z całej siły machnął pałką, celując w czapkę.

Trach...

Uderzając ją w głowę z głuchym trzaskiem, drewno boleśnie zawibrowało mu w rękach.

Ale coś tu nie grało. Odgłos i odczucie towarzyszące ciosowi były nie takie, jakich się spodziewał. Co jest?

Thompson Boyd odskoczył, kiedy ciało zważyło się na podłogę.

I rozpadło na kawałki.

Korpus manekina poleciał w jedną stronę. Głowa w drugą. Thompson przez chwilę wpatrywał się w kukłę. Potem spojrział w bok i zobaczył dolną część manekina ubranego w suknię balową - element wystawy strojów kobiecych z okresu Rekonstrukcji.

Nie...

Jakimś cudem domyśliła się, że coś jej grozi. Aby go zmylić, wzięła z półki kilka książek, ukradkiem rozbierając manekina, którego górną część przebrała we własną bluzę i czapkę, a następnie postawiła na krześle.

Ale gdzie była?

Odpowiedź przyniósł mu tupot nóg. Thompson Boyd usłyszał, jak dziewczyna biegnie w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Wsunął pałkę pod płaszcz, wyciągnął broń i ruszył w pogoń.

Rozdział 2

Geneva Settle biegła.

Uciekała. Tak samo jak jej przodek, Charles Singleton. Z trudem łapała oddech. Tak jak

Charles.

Ale była pewna, że nie zachowuje się z taką godnością jak jej przodek uchodzący przed policją sto czterdzieści lat temu. Geneva szlochała, krzyczała na pomoc i w panice wpadła na ścianę, ocierając sobie dłoń.

Tam, tam jest, chuda chłopaczycyca... Łapać ją!

Przerażała ją myśl o windzie, o zamknięciu w potrzasku. Wybrała więc schody przeciwpożarowe. Z rozpędu zderzyła się z drzwiami i przez moment zawirowały jej przed oczami żółte kręgi, mimo to biegła dalej. Zeskoczyła ze stopni na czwartym piętrze, szarpnęła za klamkę. Ale to było wyjście awaryjne i drzwi nie otwierały się od strony schodów. Musiała dobiec aż do drzwi na parterze.

Pędziła dalej w dół, dysząc ciężko. Dlaczego? O co mu chodzi? - myślała.

Cholerna chuda białaska, nie ma czasu dla takich jak my... Broń... to przez nią nabrała podejrzeń. Geneva Settle nie należała do żadnych gangsta, lecz każdy uczeń szkoły średniej imienia Langstona Hughesa w środku Harlemu musiał co najmniej kilka razy w życiu widzieć broń. Kiedy usłyszała charakterystyczne szczęknięcie - zupełnie inne niż odgłos zamykania klapki telefonu - pomyślała, że facet odstawia szopkę i mogą być kłopoty. Dlatego jak gdyby nigdy nic wstała i napiła się wody, gotowa rzucić się do ucieczki. Ale wyjrzała przez regały i dostrzegła kominiarkę. Zorientowała się, że ma szansę wyminąć go w drodze do drzwi tylko wtedy, gdy facet będzie cały czas wpatrzony w stolik z czytaniem. Z hałasem położyła na blacie parę książek, potem rozebrała manekin, nałożyła mu swoją czapkę i bluzę i posadziła na krześle przed czytaniem mikrofiszek. Zaczekała, aż człowiek podejdzie bliżej i dopiero wtedy przemknęła się obok niego.

Dowalić, dowalić dziwce...

Geneva pokonała następne półpiętro, ale nogi miała jak z waty.

Nad sobą usłyszała tupot nóg. Jezu Chryste, gonił ją! Wyśliznął się za nią na schody i dzielił go od niej już tylko jeden podest. Potykając się i tuląc do siebie zadrapaną dłoń, pędziła po schodach, słysząc zbliżające się kroki.

Tuż przed parterem zeskoczyła z czterech stopni na beton. Przy lądowaniu zawiodły ją nogi i zderzyła się z chropowatym murem. Krzywiąc się z bólu, dziewczyna szybko się podniosła, słyszała za sobą kroki i widziała cień napastnika na ścianach.

Geneva spojrzała na drzwi przeciwpożarowe. Okrzyk zgrozy zamarł jej w gardle, kiedy zobaczyła łańcuch okręcony wokół kraty.

Nie, nie, nie... Jasne, że łańcuch był niezgodny z przepisami. Mimo to pracownicy muzeum postanowili go wykorzystać do ochrony przed złodziejami. A może to ten człowiek okręcił kratę łańcuchem, przypuszczając, że właśnie wtedy będzie próbowała uciekać. No i utknęła w betonowej pułapce. Ale czy drzwi faktycznie były zamknięte?

Mogła to sprawdzić tylko w jeden sposób. Rusz się, dziewczyno! Geneva odepchnęła się od ściany i naparła na kratę. Drzwi otworzyły się na oścież. Och, dzięki...

Nagle uszy wypełnił jej straszny hałas, przejmujący bólem do szpiku kości. Dziewczyna wrzasnęła. Strzelił jej w głowę? Zorientowała się jednak, że po prostu włączył się alarm, wyjąc przeraźliwie jak mali kuzyni Keesh. Gdy Geneva znalazła się w alejce, zatrzasnęła za sobą drzwi i zaczęła się rozglądać, szukając najlepszej drogi ucieczki, w lewo, w prawo...

Łapać ją, dowalić, dowalić suce...

Ruszyła w prawo i chwiejnym krokiem wyszła na Pięćdziesiątą Piątą, wślizgując się w tłum ludzi zmierzających do pracy, przyciągając kilka zaciekawionych i kilka nieufnych spojrzeń. Większość przechodniów nie zwróciła uwagi na przestraszoną dziewczynę. Nagle Geneva usłyszała za sobą głośniejsze wycie alarmu - napastnik otworzył drzwi. Chciał uciec czy dalej ją gonić?

Geneva pobiegła w kierunku Keesh, która stała przy krawężniku, trzymając papierowy kubek z kawą z greckich delikatesów i usiłowała zapalić papierosa na wietrze. Jej szkolna koleżanka - o ciemnobrązowej skórze, ze starannym fioletowym makijażem i kaskadą sztucznych blond pasemek - była w tym samym wieku co Geneva, ale przerastała ją o głowę i miała nieporównanie bardziej kształtną figurę, zaokrągloną gdzie trzeba, spory biust, szerokie biodra i inne naddatki tu i ówdzie. Dziewczyna czekała na nią na ulicy, nie wykazując żadnego zainteresowania muzeum - podobnie jak wszystkimi budynkami, w których obowiązywał zakaz palenia.

- Gen! - Koleżanka cisnęła papierowy kubek na ulicę i wybiegła jej naprzeciw. - Co jest? Pogięło cie?

- Ten facet... - wykrztusiła Geneva, czując ogarniające ją mdłości. - Facet w bibliotece mnie napadł!

- Kurde, nie! - Lakeesha rozejrzała się po ulicy. - Gdzie jest?

- Nie wiem. Gonił mnie.

- Spoko. Będzie dobrze. Spadajmy stąd. Chodź, lecimy! - Potężna dziewczyna, która odpuszczała sobie co drugą lekcję wuefu i paliła od dwóch lat, zaczęła biec najszybciej jak umiała, dysząc i wymachując ramionami.

Zanim jednak dotarły do najbliższej przecznicy, Geneva zwolniła. Po chwili stanęła.

- Zaczekaj.

- Co robisz, Gen?

Panika zniknęła. Ustąpiła miejsca innemu uczuciu.

- No chodź - nalegała zdyszana Keesh. - Rusz tyłek.

Ale Geneva Settle podjęła inną decyzję. Nie czuła już strachu, lecz gniew. Pomyślała: Nie ujdzie to draniowi na sucho. Odwróciła się i spojrzała na ulicę. Wreszcie dostrzegła to, czego szukała - niedaleko wylotu alejki, z której przed chwilą uciekła. Ruszyła w tym kierunku.

Przecznicę za muzeum afroamerykańskim Thompson Boyd przestał biec i wmieszał się w poranny tłum zmierzający do pracy. Był człowiekiem średnim. Pod każdym względem. Miał włosy w odcieniu średniego brązu, średnią masę ciała, średni wzrost, był średnio przystojny i średnio silny. (W więzieniu nazywano go „Panem Przeciętakiem”). Ludzie zwykle patrzyli na niego, jakby był przezroczysty.

Ale człowiek biegnący przez środkowy Manhattan budzi zainteresowanie, jeśli nie goni autobusu czy taksówki albo nie spieszy się na pociąg. Dlatego Thompson zwolnił kroku i zaczął iść. Po chwili wtopił się w tłum i nikt nie zwracał na niego uwagi.

Gdy na skrzyżowaniu Trzydziestej Trzeciej i Szóstej Alei paliło się czerwone światło, Thompson zastanawiał się, co robić. Wreszcie podjął decyzję. Zdjął płaszcz i przewiesił go przez ramię, uważając jednak, by mieć broń w zasięgu ręki. Odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę muzeum.

Thompson Boyd był dobrym rzemieślnikiem, który wszystko robił ściśle według zasad, dlatego mogłoby się wydawać, że powrót na miejsce ataku nie jest zbyt mądrym pomysłem, liczył się bowiem z tym, że zaraz zjawi się tam policja.

Ale z doświadczenia wiedział, że kiedy wszędzie węszą gliny, ludzka czujność zostaje uśpiona. Często można podejść o wiele bliżej niż w innej sytuacji. Średni człowiek swobodnym krokiem zmierzał przez tłum w kierunku muzeum, wyglądając jak zwykły przechodzień, Pan Przeciętaki idący do pracy.

Ni mniej, ni więcej tylko cud.

Gdzieś w mózgu lub w ciele pojawia się bodziec, psychiczny albo fizyczny - chcę podnieść szklankę, muszę puścić rondel, który parzy mi palce. Bodziec tworzy impuls nerwowy płynący przez neurony w głąb całego ciała. Impuls nie jest, jak uważa większość ludzi, prądem elektrycznym; to fala, która zostaje wytworzona, gdy powierzchnia neuronu na chwilę zmienia ładunek z dodatniego na ujemny. Siła impulsu nigdy się nie zmienia - albo istnieje, albo nie - a jego szybkość jest zawrotna, czterysta kilometrów na godzinę.

Impuls dociera do miejsca przeznaczenia - mięśni, gruczołów i organów, które na niego reagują, dzięki czemu nasze serce bije, płuca pompują powietrze, nasze ciała tańczą, ręce sadzą kwiaty, piszą miłosne listy i pilotują samoloty.

Cud.

Chyba że coś się stanie. Chyba że, powiedzmy, szef jednostki zabezpieczania miejsc zbrodni podczas oględzin budowy metra, gdzie popełniono morderstwo, zostanie uderzony w kark belką, która

gruchocze czwarty kręg szyjny - cztery kości od podstawy czaszki. To właśnie przed kilku laty przytrafiło się Lincolnowi Rhyme'owi.

Kiedy zdarzy się coś takiego, niczego nie można przewidzieć.

Nawet jeśli w wyniku urazu rdzeń kręgowy nie zostanie przerwany, uszkodzony obszar wypełnia się krwią i zwiększa się ucisk, który miażdży neurony lub głodzi je na śmierć. Zniszczenie się także same komórki nerwowe, gdy umierając, z niewiadomych przyczyn wydzielają trujący aminokwas, który zabija jeszcze więcej neuronów. W końcu, jeżeli pacjent przeżyje, przestrzeń wokół nerwów wypełnia tkanka bliznowata, podobnie jak świeża ziemia wypełnia grób - metafora jest trafna, ponieważ w przeciwieństwie do innych neuronów komórki w mózgu i rdzeniu kręgowym nie ulegają regeneracji. Kiedy umierają, na zawsze pozostają nieczułe.

Po takim „katastrofalnym zdarzeniu”, jak delikatnie nazywają to lekarze, niektórzy pacjenci - ci, co mieli szczęście - przekonują się, że neurony kierujące najważniejszymi narządami nadal funkcjonują, dzięki czemu ludzie po takich wypadkach mogą żyć dalej.

Może to jednak nie szczęście, ale pech.

Niektórzy by woleli, aby ich serce przestało bić i uchroniło ich przed infekcjami, odleżynami, przykurczami i spazmami. Aby ich uchroniło przed atakami dysrefleksji autonomicznej, które mogą doprowadzić do udaru. Aby ich uchroniło przed urojonym wędrującym bólem, który wydaje się rzeczywisty, ale jego ostrza nie można stępić ani aspiryną, ani morfiną.

Nie wspominając o całkowicie odmienionym życiu: o fizjoterapeutach, asystentach, respiratorze, cewnikach, pieluchach dla dorosłych, zależności... i rzecz jasna depresji.

Niektórzy w takiej sytuacji kapitulują i czekają na śmierć. W odwodzie zawsze pozostaje samobójstwo, choć nie jest to łatwe zadanie. (Jak można się zabić, kiedy człowiek porusza tylko głową?).

Inni jednak stają do walki.

- Masz dość? - spytał Rhyme'a szczupły mężczyzna ubrany w białą koszulę i kwiecisty krawat w kolorze czerwonego wina.

- Nie - odrzekł jego szef zdyszany od wysiłku głosem. - Chcę jechać dalej. - Rhyme był przypięty do skomplikowanego roweru treningowego ustawionego w jednym z pustych pokoi na drugim piętrze domu przy Central Park West.

- Moim zdaniem już wystarczy - oświadczył jego asystent Thom. - Minęła ponad godzina. Masz bardzo wysokie tętno.

- To jak wjazd na Matterhorn - sapnął Rhyme. - Jestem Lance Armstrong.

- Matterhorn nie jest etapem Tour de France. To góra. Można się na nią wspinać, ale nie wjeżdżać rowerem.

- Dzięki za sportowe audiotele, Thom. Nie chodziło mi o dosłowne znaczenie. Ile już przejechałem?

- Trzydzieści trzy kilometry.

- Zrobię jeszcze dwadzieścia pięć.

- Nie sądzę. Osiem.

- Dwanaście - targował się Rhyme. Młody asystent przyzwalająco uniósł brew.

- Niech będzie.

Rhyme i tak nie chciał więcej niż dwanaście. Przepelniała go radość. Liczyło się tylko zwycięstwo.

Pedałował dalej. Choć rowerem poruszały jego mięśnie, ćwiczenie to znacznie się różniło od treningu w klubie Gold's Gym. Bodziec wysyłający impuls przez sieć neuronów nie pochodził z mózgu Rhyme'a, lecz z komputera, który przekazywał go za pośrednictwem elektrod do mięśni jego nóg. Był to rower ergometryczny wykorzystujący elektrostymulację funkcjonalną. Urządzenie, dzięki komputerowi, przewodom i elektrodom, naśladowało działanie układu nerwowego, wysyłając małe ładunki elektryczne do mięśni, które zachowywały się dokładnie tak samo, jak gdyby sterował nimi mózg.

Elektrostymulację funkcjonalną rzadko wykorzystuje się w codziennych czynnościach takich jak chodzenie czy posługiwanie się różnymi sprzętami. Najwięcej pożytku przynosi w terapii, służąc poprawie zdrowia pacjentów z poważną niepełnosprawnością.

Do rozpoczęcia ćwiczeń zainspirowała Rhyme'a postać nieżyjącego aktora Christophera Reeve'a - człowieka, którego podziwiał i który doznał jeszcze poważniejszego urazu po upadku z konia. Ku zdumieniu wielu przedstawicieli medycyny tradycyjnej, Rhyme, dzięki silnej woli i wysiłkowi fizycznemu, odzyskał część zdolności motorycznych i czucia w częściach ciała, które dotąd pozostawały martwe. Po latach rozważań, czy poddać się ryzykownej operacji rdzenia kręgowego, Rhyme narzucił sobie reżim ćwiczeń podobny do reżimu Reeve'a.

Przedwczesna śmierć aktora zmobilizowała go, by włożyć jeszcze więcej energii w ćwiczenia, a Thom znalazł jednego z najlepszych na Wschodnim Wybrzeżu specjalistów od urazów rdzenia kręgowego, Roberta Shermana. Lekarz ułożył dla Rhyme'a program wykorzystujący ergometr, hydroterapię oraz bieżnię do treningu lokomotorycznego - duże urządzenie wyposażone w mechaniczne nogi, sterowane komputerowo.

Terapia przyniosła efekty. Jego serce i płuca stały się silniejsze. Miał gęstość kości jak zdrowy mężczyzna w jego wieku. Wzrosła masa mięśni. Był niemal w tak dobrej formie jak wówczas, gdy kierował wydziałem wsparcia dochodzeniowego w Departamencie Policji Nowego Jorku, nadzorującym pracę oddziału zabezpieczania miejsc zbrodni. Potrafił wtedy co dzień pokonywać wiele kilometrów, czasem sam zabezpieczał miejsca zdarzeń - co rzadko robili funkcjonariusze w

stopniu kapitana - i myszkował po ulicach miasta, zbierając próbki kamieni, ziemi, betonu albo sadzy, które katalogował w swojej bazie danych.

Dzięki ćwiczeniom zaleconym przez Shermana, Rhyme miał niewiele odleżyn, mimo że jego ciało przez wiele godzin spoczywało na wózku lub łóżku. Jelita i pęcherz funkcjonowały coraz lepiej, znacznie rzadziej dochodziło do infekcji dróg moczowych. Odkąd rozpoczął treningowy reżim, miał tylko jeden atak dysrefleksji autonomicznej.

Pozostawało oczywiście pytanie, czy miesiące wyczerpujących ćwiczeń rzeczywiście poprawiły jego stan, czy tylko wzmocniły mięśnie i kości. Natychmiastową odpowiedź mogły mu dać proste badania funkcji motorycznych i czuciowych. Wymagałoby to jednak wizyty w szpitalu, na którą Rhyme nigdy nie mógł znaleźć czasu.

- Nie możesz poświęcić nawet godzinki? - pytał go Thom.

- Godzinki? Godzinki? Kiedyż to za ludzkiej pamięci droga do szpitala trwała godzinę? Gdzie miałyby być ten szpital, Thom? W Nibylandii? W krainie Oz?

Ale doktorowi Shermanowi w końcu udało się nakłonić Rhyme'a do zgody na badania. Za pół godziny mieli pojechać do Szpitala Nowego Jorku, by usłyszeć ostateczny werdykt na temat jego postępów.

W tym momencie Lincoln Rhyme nie myślał jednak o tym, ale o swoim prywatnym wyścigu kolarskim - który naprawdę był morderczą wspinaczką na Matterhorn. A on właśnie wyprzedzał Lance'a Armstronga.

Gdy skończył pedałowac, Thom zdjął go z roweru, wykapał i przebrał w białą koszulę i ciemne spodnie. Następnie posadził go na wózku i Rhyme maleńką windą zjechał na dół, gdzie w dawnym salonie zmienionym w laboratorium siedziała rudowłosa Amelia Sachs, oznaczając dowody w jednej ze spraw prowadzonych przez Departament Policji Nowego Jorku, w której Rhyme był konsultantem.

Sterując jasnoczerwonym wózkiem Storm Arrow za pomocą panelu dotykowego, na którym poruszał swoim jedynym sprawnym palcem - serdecznym lewej dłoni - Rhyme zręcznie przemknął przez laboratorium i znalazł się obok Sachs. Pochyliła się i pocałowała go w usta. Oddał pocałunek, mocno przyciskając wargi do jej warg. Kiedy tak na chwilę zastygli, Rhyme rozkoszował się ciepłem jej bliskości, słodkim, kwiatowym zapachem mydła, łaskotaniem jej włosów na swoim policzku.

- Dokąd dzisiaj dojechałeś? - spytała.

- Mógłbym już być w północnym Westchester, gdyby mnie nie zatrzymano. - Spojrzał spode łba na Thoma. Asystent puścił oko do Sachs. Docinki szefa spływały po nim jak woda po gęsi.

Wysoka i smukła Amelia miała na sobie granatowy kostium i jedną z czarnych albo granatowych bluzek, jakie nosiła, odkąd dostała awans na detektywa. (Podręcznik taktyki dla funkcjonariuszy policji ostrzegał: „Koszula lub bluzka w kontrastowych barwach stanowi łatwy cel i zwiększa ryzyko postrzału w pierś”). Strój był praktyczny i niemodny, w niczym nie przypominał ciuchów, w jakie

ubierała się w swojej poprzedniej pracy, zanim została gliną; Sachs przez kilka lat była modelką. Pod zakietem widać było lekkie wybrzuszenie na biodrze, gdzie spoczywał jej automatyczny glock, a spodnie miały męski krój; Sachs potrzebowała tylnej kieszeni, by chować w niej nielegalny, choć często użyteczny nóż sprężynowy. Jak zwykle miała na nogach wygodne buty na miękkich podszwach. Z powodu artretyzmu chodzenie sprawiało jej ból.

- Kiedy jedziemy? - zapytała Rhyme'a.

- Do szpitala? Och, nie musisz z nami jechać. Lepiej zostań i wciągnij dowody do ewidencji.

- Prawie skończyłam. Zresztą nie chodzi o to, czy muszę, czy nie. Chcę z wami jechać.

- Cyrk - mruknął. - Wiedziałem, że będzie cyrk. - Próbował posłać pełne przygany spojrzenie Thomowi, ale jego asystent był gdzie indziej.

Rozległ się dzwonek. Thom zniknął w korytarzu i po chwili wrócił, prowadząc Lona Sellitta.

- Cześć wszystkim. - Przysadzisty porucznik w wymiętym jak zwykle garniturze powitał ich wesołym skinieniem głowy. Rhyme zastanawiał się, skąd u niego taki dobry nastrój. Może udało mu się kogoś aresztować albo departament zwiększył budżet na nowych funkcjonariuszy, a może Sellitto trochę schudł. Detektyw cierpiał na efekt jo-jo i stale się na to uskarżał. Myśląc o własnej sytuacji, Lincoln Rhyme nie miał cierpliwości do osób narzekających na swoje drobne niedoskonałości fizyczne.

Ale dziś wyglądało na to, że entuzjazm detektywa ma związek z pracą. Sellitto pomachał plikiem dokumentów, które trzymał w ręku.

- Podtrzymali wyrok.

- Ach - rzekł Rhyme. - Chodzi o sprawę z butami? - Aha.

Rhyme był oczywiście zadowolony, chociaż wcale się nie zdziwił. Dlaczego miałby się dziwić? Przecież sam dostarczył większość dowodów przeciw mordercy; nic nie mogło podważyć wyroku skazującego.

Sprawa była ciekawa: dwaj bałkańscy dyplomaci zostali zamordowani na Wyspie Roosevelta - osiedlu mieszkaniowym zbudowanym na zagadkowym skrawku lądu pośrodku East River - i skradziono im prawe buty. Jak często zdarzało się w przypadku trudnych spraw, departament zwrócił się o pomoc w śledztwie do Rhyme'a jako konsultanta do spraw kryminalnych.

Miejsce zbrodni zabezpieczyła Amelia Sachs, a zebrane dowody dokładnie przeanalizowano. Ślady nie prowadziły jednak w żadnym konkretnym kierunku i policja doszła do wniosku, że motywem przestępstwa musiały być europejskie sprawy polityczne. Sprawa pozostała otwarta, lecz na jakiś czas przyszła, dopóki do departamentu nie trafiła notatka FBI na temat aktówki porzuconej na lotnisku JFK. W teczce znajdowały się artykuły o GPS, dwadzieścia kilka układów elektronicznych i męski prawy but. W wydrążonym obcasie był mikroprocesor. Rhyme zastanawiał się, czy to jeden z butów z Wyspy Roosevelta i, jak się można było spodziewać, miał rację. Inne

tropy także łączyły aktówkę z miejscem zbrodni na wyspie.

Afera szpiegowska... echa Roberta Ludluma. Natychmiast zaczęły krążyć przeróżne teorie, FBI i Departament Stanu pełną parą przystąpiły do pracy. Pojawił się nawet człowiek z Langley i była to pierwsza sprawa Rhyme'a, którą zainteresowała się CIA.

Kryminalistyk do dziś się śmiał na myśl o rozczarowaniu uwielbiających globalne spiski federalnych, kiedy tydzień po znalezieniu buta detektyw Amelia Sachs na czele brygady specjalnej zdjęła biznesmena z Paramus w stanie New Jersey, gburowatego jegomościa, który politykę zagraniczną znał najwyżej z programów „USA Today”.

Przeprowadziwszy analizę stopnia wilgotności i składu chemicznego kompozytu, z którego zrobiony był obcas, Rhyme udowodnił, że otwór zrobiono wiele tygodni po morderstwie na wyspie. Odkrył także, że mikroprocesor został kupiony w PC Warehouse, a informacje na temat GPS nie tylko nie były tajne, ale ściągnięto je ze stron internetowych nieaktualizowanych od około dwóch lat.

Rhyme doszedł do wniosku, że miejsce zbrodni zostało upozorowane. Kamienny pył w teczce doprowadził go do firmy w Jersey produkującej kuchenne i łazienkowe blaty. Wystarczył rzut oka na bilingi telefonu właściciela i listę transakcji przeprowadzonych kartą kredytową, by odkryć, że jego żona sypiała z jednym z zamordowanych dyplomatów. Jej mąż dowiedział się o romansie i razem z udającym Tony'ego Soprano mężczyzną, który pracował przy cięciu płyt na blaty, zabił jej kochanka i jego nieszczęsnego współnika na Wyspie Roosevelta, a potem spreparował dowody, aby zasugerować polityczny motyw zbrodni.

- Owszem, mamy do czynienia ze skandalem, ale nie dyplomatycznym - ekspresyjnie kończył zeznanie w sądzie Rhyme. - Owszem, mamy do czynienia z tajną akcją, ale nie szpiegowską.

- Sprzeciw - powiedział znużony adwokat.

- Podtrzymuję. - Sędzia nie potrafił jednak powstrzymać się od śmiechu.

Przysięgli uznali biznesmena za winnego po czterdziestu dwóch minutach narady. Adwokaci naturalnie złożyli apelację - jak zawsze - lecz, jak właśnie usłyszeli od Sellitta, sąd apelacyjny podtrzymał wyrok skazujący.

- Co ty na to, żebyśmy uczcili to zwycięstwo przejażdżką do szpitala? - zaproponował Thom. - Jesteś gotowy?

- Nie poganiaj - odburknął Rhyme.

W tym momencie zadzwieczał pager Sellitta. Detektyw zerknął na ekran, zmarszczył brwi, a następnie zdjął z paska telefon i zadzwonił.

- Sellitto. Co jest?... - Krępy policjant wolno kiwał głową, w roztargnieniu masując pokaźny brzuch. Ostatnio próbował diety Atkinsa. Pochłanianie steków i jajek najwyraźniej nie przyniosło spodziewanych efektów. - Nic się jej nie stało?... A sprawca?... Tak... Niedobrze. Zaczekaj. -

Spojrzał na pozostałych. - Jest zgłoszenie dziesięć dwadzieścia cztery. Afroamerykańskie muzeum na Pięćdziesiątej Piątej. Ofiarą jest młoda dziewczyna. Nastolatka. Próba gwałtu.

Amelia Sachs wzdrygnęła się na tę wiadomość, która natychmiast wzbudziła w niej współczucie. Rhyme zareagował inaczej; odruchowo zaczął sobie zadawać pytania. Ile jest miejsc do zabezpieczenia? Czy sprawca gonił ją i upuścił jakieś dowody? Może się szamotali i doszło do przeniesienia mikrośladów? Czy sprawca przybył na miejsce i odjechał publicznym środkiem transportu? A może miał samochód?

Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, którą jednak nie zamierzał się dzielić z innymi.

- Jakies obrażenia? - zapytała Sachs.

- Zadrapanie ręki, to wszystko. Dziewczyna uciekła i natknęła się na człowieka z patrolu. Chłopak sprawdził muzeum, ale bydlak zdążył uciec... To co, możecie zebrać ślady?

Sachs spojrzała na Rhyme'a.

- Wiem, co chcesz powiedzieć: jesteśmy zajęci. Cały nowojorski departament prządl cienko. Wielu funkcjonariuszy odsunięto od zwykłych obowiązków i przydzielono do akcji antyterrorystycznych, które ostatnio szczególnie się nasiliły; FBI dostało kilka anonimowych zgłoszeń o możliwości zamachów bombowych w okolicznych placówkach izraelskich. (Zmiany przydziału zadań przypomniały Rhyme'owi historie o życiu w przedwojennych Niemczech, które opowiadał Sachs jej dziadek. Teść dziadka Sachs był detektywem policji kryminalnej w Berlinie i służby rządowe stale zabierały mu personel, ilekroć dochodziło do jakiegoś kryzysu). Ze względu na zmianę przeznaczenia środków policji Rhyme od wielu miesięcy był zajęty jak nigdy. Razem z Sachs mieli teraz na głowie dwa śledztwa w sprawie oszustw, napad z bronią w rękę i starą sprawę morderstwa sprzed trzech lat.

- Aha, nawet bardzo zajęci - podsumował Rhyme.

- Szczęścia nie chodzą parami - rzekł Sellitto. Zmarszczył brwi. - Chyba coś pokręciłem.

- Chciałeś powiedzieć, nieszczęścia chodzą parami. Sentencja o ironii losu. - Rhyme przekrzywił głowę. - Chętnie bym ci pomógł. Naprawdę. Ale mamy na tapecie tyle spraw. Patrz, która godzina. Zaraz mam umówioną wizytę w szpitalu.

- Daj spokój, Linc - nie ustępował Sellitto. - To zupełnie inna sprawa od tych, które masz. Ofiarą jest dziecko. Tylko największy degenerat bierze na cel nastolatki. Jeżeli zdejmujemy go z ulicy, Bóg jeden wie, ile dziewczynek uda się uratować. Znasz miasto - choćby nie wiem co się działo, góra zawsze da ci wszystko, o co poprosisz, kiedy jakieś bydlę zacznie namierzać dzieci.

- Ale wtedy będę miał pięć spraw - zauważył z kwaśną miną Rhyme. Zamilkł na chwilę. Potem z ociąganiem spytał: - Ile ona ma lat?

- Na litość boską, szesnaście. Linc, bądź człowiekiem. Westchnienie.

- No dobrze - zgodził się w końcu. - Zrobię to.

- Zrobisz? - zdziwił się Sellitto.

- Wszyscy myślą, że jestem niemiły - zakpił Rhyme, przewracając oczami. - Wszyscy myślą, że okropny ze mnie męczyciel - masz następną zagadkę językową, Lon. A ja po prostu chciałem zauważyć, że trzeba wziąć pod uwagę priorytety. Ale chyba masz rację. To ważniejsza sprawa.

Nagle odezwał się jego asystent.

- Czy twoja nagła uczynność ma coś wspólnego z faktem, że trzeba będzie przełożyć wizytę w szpitalu?

- Oczywiście, że nie. Nawet przez chwilę o tym nie pomyślałem. Ale skoro o tym wspomniałeś, lepiej ją odwołajmy. Dobry pomysł, Thom.

- To nie mój pomysł - sam to zaaranżowałeś. Rzeczywiście, pomyślał. Mimo to obruszył się.

- Ja? A czy to ja napadam na ludzi na środkowym Manhattanie?

- Wiesz, co mam na myśli - odparł Thom. - Pojedziemy na badania i wrócimy, zanim Amelia zdąży obejrzeć to muzeum.

- W szpitalu może być tłok. Zresztą co ja mówię „może”. Zawsze jest.

- Zadzwoń do doktora Shermana i przełożę wizytę - zaproponowała Sachs.

- Lepiej odwołaj. Nie ma sensu przekładać. Nie wiadomo, ile to potrwa. Sprawca może być zorganizowanym przestępcą.

- Przełożę - powiedziała.

- Umów mnie z nim za jakieś dwa, trzy tygodnie.

- Zobaczę, kiedy będzie miał wolny termin - oświadczyła stanowczo.

Lecz Lincoln Rhyme potrafił być równie uparty jak jego partnerka.

- Potem będziemy się tym martwić. Teraz mamy gwałciciela na wolności. Kto wie, co teraz planuje. Prawdopodobnie znalazł sobie kogoś innego. Thom, zadzwoń do Mela Coopera i sprowadź go tutaj. Do roboty. Każda minuta zwłoki to prezent dla sprawcy. Co powiesz na takie wyrażenie, Lon? Zawsze byłeś dobry w genezie takich oklepanych zwrotów.

Rozdział 3

Instynkt.

Gliniarze z pieszych patroli wykształcają w sobie szósty zmysł, dzięki któremu potrafią rozpoznać człowieka ukrywającego broń. Weterani twierdzą, że wystarczy zobaczyć, jak porusza się podejrzany - i chodzi nie tyle o masę pistoletu, ile o ciężącą mu świadomość, że ma go przy sobie. Świadomość władzy, jaką daje.

I wiążące się z tym ryzyko, że zostanie przyłapany. Posiadanie broni bez pozwolenia w Nowym Jorku wiąże się z niespodzianką: automatycznym aresztowaniem. Nosisz ukrytą broń, czeka cię odsiadka. Proste.

Nie, Amelia Sachs nie była pewna, jak się tego domyśliła, ale wiedziała, że mężczyzna oparty o mur po drugiej stronie ulicy naprzeciw Muzeum Kultury i Historii Afroamerykańskiej jest uzbrojony. Pałac papierosa, z rękami skrzyżowanymi na piersi, przyglądał się policyjnej taśmie, błyskającym światłom, policjantom.

Sachs przywitał umundurowany funkcjonariusz departamentu nowojorskiego - tak młody, że musiał być nowy.

- Witam - powiedział. - Byłem pierwszy na miejscu. Właśnie... Sachs uśmiechnęła się i szepnęła:

- Nie patrz na mnie. Spójrz na tamtą stertę śmieci. Nowy w zdumieniu zamrugał oczami.

- Słucham?

- Na śmieci - powtórzyła przenikliwym szeptem. - Nie na mnie.

- Przepraszam, detektywie - odrzekł młody człowiek. Miał starannie przystrzyżone włosy, a na mundurze plaketkę z nazwiskiem „R. Pułaski”. Naszywka nie miała najmniejszego zadrapania ani wgniecenia.

Sachs wskazała na odpadki.

- Wzrusz ramionami. Wzruszył.

- Chodź ze mną. I cały czas patrz na śmieci.

- Czy tam jest...?

- Uśmiechnij się. - Ale...

- Ilu potrzeba gliniarzy, żeby wymienić żarówkę? - zapytała Sachs.

- Nie wiem - powiedział. - Hu?

- Ja też nie wiem. To nie żart. Ale zaśmiej się, jak gdybyś usłyszał świetną puentę.

Roześmiał się. Trochę nerwowo. Ale śmiech był prawdziwy.

- Patrz tam cały czas.
- Na odpadki? Sachs rozpięła zakiet.
- Teraz poważniejemy. Niepokoi nas ta kupa śmieci.
- Dlaczego...?
- Idziemy.
- W porządku. Nie śmieję się. Patrzę na śmieci.
- Dobrze.

Zwalisty mężczyzna z bronią wciąż wystawał przed budynkiem. Miał czterdzieści kilka lat i gładko ogoloną głowę. Sachs zobaczyła wybrzuszenie na jego biodrze wskazujące, że prawdopodobnie ma długi rewolwer, ponieważ wyraźnie rysowała się wypukłość bębenka.

- Sytuacja wygląda tak - cicho powiedziała do nowego. - Facet na godzinie drugiej, ma broń.

Na całe szczęście nowy - o sterczących jasnobezowych włosach barwy karmelu - wciąż wpatrywał się w śmieci.

- Sprawca? Myśli pani, że to sprawca ataku?
- Nie wiem. Nic mnie to nie obchodzi. Obchodzi mnie tylko, że ma gnata.
- Co robimy?

- Idziemy dalej. Mijamy go, przyglądamy się śmieciom. Uznajemy, że nas nie interesują. Wracamy w stronę miejsca zdarzenia. Zwalniasz i pytasz mnie, czy chcę kawy. Mówię, że tak. Wtedy idziesz za róg z jego prawej. Facet będzie patrzył na mnie.

- Dlaczego ma patrzeć na panią? Powiew młodzieńczej naiwności.

- Po prostu będzie. Zawracasz. Podchodzisz do niego. Robisz trochę hałasu, chrząkasz czy coś w tym rodzaju. Odwraca się do ciebie. Wtedy stajesz za nim.

- Jasne, rozumiem... Powiniennem wyciągnąć broń?
- Nie. Po prostu daj mu do zrozumienia, że jesteś i stań za nim.
- A jeżeli on wyciągnie swoją?
- Wtedy zrobisz to samo.
- A jak zacznie strzelać?

- Nie sądzę.
- Ale gdyby tak się stało?
- Wtedy strzelisz. Jak masz na imię?- Ronald. Ron.
- Jak długo jesteś w służbie?
- Trzy tygodnie.
- Poradzisz sobie. Idziemy.

Z zaniepokojeniem zbliżyli się do sterty śmieci. Po chwili uznali jednak, że nie stanowi zagrożenia i zawrócili. Pulaski nagle przystanął.

- Może kawy, detektywie?

Szarżował w swojej roli - nigdy nie zostałby zaproszony do programu „Inside the Actor’s Studio” - ale w sumie zabrzmiało to dość wiarygodnie.

- Chętnie, dzięki.

Zawrócił, ale znów się zatrzymał.

- Z cukrem czy bez? - krzyknął.
- Hm, z cukrem - odrzekła.
- Ile porcji cukru? Chryste Panie...
- Jedną.
- Dobra. A może ciastko?

Już, spokojnie, mówiły jej oczy.

- Dzięki, wystarczy kawa.

Odwróciła się w kierunku miejsca zdarzenia, czując, że uzbrojony mężczyzna przygląda się jej długim rudym włosom związanym w koński ogon. Jego wzrok prześliznął się po jej biuście i pośladkach.

Dlaczego ma patrzeć na panią?

Po prostu będzie.

Sachs szła w stronę muzeum. Zerknęła na odbicie w oknie po drugiej stronie ulicy. Kiedy wzrok człowieka z papierosem powędrował w kierunku Pułaskiego, szybko zawróciła i podeszła,

rozchylając żakiet gestem rewolwerowca odsuwającego połą płaszcz, by móc w każdej chwili szybko wyciągnąć glocka.

- Niech pan trzyma ręce tak, żebym je widziała - powiedziała stanowczym tonem.

- Proszę robić, co pani mówi. - Pulaski stanął po drugiej stronie, kładąc dłoń blisko broni.

Mężczyzna zerknął na Sachs.

- Niezła robota.

- Proszę nie ruszać rękami. Ma pan broń?

- Tak - odparł mężczyzna. - I to większą niż miałem na Trzydziestym Piątym.

Numer oznaczał posterunek policji. Facet był byłym gliną. Prawdopodobnie.

- Pracuje pan w ochronie?

- Zgadza się.

- Niech pan pokaże licencję. Lewą ręką, jeśli można prosić. Prawa niech zostanie tam, gdzie jest.

Mężczyzna wyciągnął portfel i podał jej. Pozwolenie na broń i licencja pracownika ochrony były w porządku. Mimo to Sachs połączyła się z centralą i sprawdziła jego dane. Był czysty.

- Dzięki. - Uspokojona Sachs oddała mu dokumenty.

- Nie ma sprawy, detektywie. Zdaje się, że macie jakieś zdarzenie. - Wskazał radiowozy blokujące ulicę przed muzeum.

- Zobaczymy - odrzekła wymijająco. Ochroniarz schował portfel.

- Dwanaście lat byłem w patrolowej. Zwolnili mnie ze względu na stan zdrowia i nie mogłem sobie znaleźć miejsca. - Ruchem głowy wskazał budynek za sobą. - Spotkacie tu jeszcze kilku facetów z bronią. To jeden z największych domów jubilerskich w mieście. Część Amerykańskiej Giełdy Bizuterii z brylantowej dzielnicy. Codziennie mamy tu kamienie z Amsterdamu i Jerozolimy wartości dwóch milionów dolarów.

Sachs spojrzała na budynek. Nie wyglądał zbyt imponująco, jak zwykły biurowiec.

Mężczyzna roześmiał się.

- Zdawało mi się, że robota tutaj to będzie bułka z masłem, ale pracuję tak samo ciężko jak kiedyś na ulicach. Powodzenia w dochodzeniu. Chciałbym pomóc, ale przyszedłem tu już po wszystkim.

- Odwrócił się do nowego i powiedział: - Słuchaj, chłopcze. - Wskazał na Sachs. - Na służbie nie mów o niej przy innych „pani”. To „detektyw”.

Nowy spojrział na niego niepewnie, ale zobaczyła, że rozumiał

- sama chciała mu o tym wspomnieć, kiedy zostaliby sami.

- Przepraszam - powiedział do niej Pułaski.

- Nie wiedziałeś. Teraz już wiesz.

Mogłoby to być motto szkolenia policji na całym świecie. Gdy ruszyli w kierunku muzeum, ochroniarz zawołał:

- Hej, nowy! Pułaski odwrócił się.

- Zapomniałeś o kawie. - Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Przy wejściu do muzeum Lon Sellitto rozglądał się po ulicy, rozmawiając z sierżantem. Korpulentny detektyw spojrział na identyfikator chłopaka i spytał:

- Pułaski, byłeś pierwszy na miejscu?

- Tak jest.

- Opowiedz, co się stało.

Chłopak odchrząknął i pokazał alejkę.

- Byłem po drugiej stronie ulicy na patrolu, mniej więcej w tym miejscu. Około ósmej trzydzieści podeszła do mnie ofiara, Afroamerykanka, szesnaście lat, i zgłosiła...

- Możesz własnymi słowami - wtrąciła Sachs.

- Tak, oczywiście. A więc stałem tam i podeszła do mnie dziewczyna z trzeciej klasy szkoły średniej. Siedziała na piątym piętrze i pisała pracę semestralną czy coś takiego. - Wskazał muzeum. - I tam zaatakował ją jakiś człowiek w kominiarce. Chciał ją zgwałcić.

- Skąd wiadomo? - spytał Sellitto.

- Znalazłem na górze zestaw gwałciciela.

- Zaglądałeś do środka? - zaniepokoiła się Sachs.

- Użyłem długopisu. Niczego nie dotykałem.

- To dobrze. Mów dalej.

- Dziewczyna uciekła, zbiegła po schodach ewakuacyjnych i wydostała się na alejkę. Facet zaczął ją gonić, ale później skręcił w inną stronę.

- Ktoś widział, co się z nim stało? - zapytał Sellitto.

- Nie.

Detektyw spojrzał na ulicę.

- Wyznaczyłeś granicę dla prasy?

- Tak jest.

- Piętnaście metrów za blisko. Trzeba ich stąd wyrzucić. Dziennikarze są jak pijawki. Pamiętaj o tym.

- Tak jest, detektywie.

- Nie wiedziałeś. Teraz już wiesz.

Odbiegł i zaczął przesuwać taśmę.

- Gdzie dziewczyna? - spytała Sachs.

- Jeden z naszych ludzi odwiózł ją i jej koleżankę na posterunek centralno-północny. Mają zadzwonić do jej rodziców - odparł sierżant, zwalisty Latynos o gęstych szpakowatych włosach. Ostre jesienne słońce odbijało się od jego licznych złotych ozdób. - Kiedy się z nimi skontaktują, ktoś odwiezie je do kapitana Rhyme'a na przesłuchanie. - Zaśmiał się. - Spryciara z tej małej. Wie pani, co zrobiła?

- Co?

- Wyczuła, że coś się szykuje, i przebrała manekin w swoją bluzę i czapkę. Sprawca dał się nabrać. Dziewczyna miała czas, żeby uciec.

Sachs także parsknęła śmiechem.

- I ma szesnaście lat? Rzeczywiście spryciara.

- Bierz się do oględzin - powiedział do niej Sellitto. - Ja zajmę się wywiadem. - Podeszedł do trójki funkcjonariuszy stojących na chodniku - jednego w mundurze i dwóch cywilów z kryminalnej - i wysłał ich do tłumu gapiów oraz do pobliskich sklepów i biurowców, by poszukali świadków. Osobny zespół skierował do kilku ulicznych handlarzy, których część sprzedawała poranną kawę i pączki, a inni szykowali się już do lunchu, serwując hot dogi, precle, gyros i pity z falafelem.

Sachs odwróciła się na dźwięk klaksonu. Z centrali jednostki zabezpieczenia miejsc zbrodni w Queens przyjechała furgonetka techniczna.

- Cześć, detektywie - rzucił kierowca, wysiadając z wozu.

Sachs skinieniem głowy przywitała jego i jego partnera. Znała obu młodych ludzi z poprzednich spraw. Zdjęła żakiet i odpięła broń, a potem przebrała się w kombinezon z tyveku, który minimalizował ryzyko zanieczyszczenia miejsca zdarzenia. Następnie z powrotem przypięła kaburę z glockiem, pamiętając o przestrożach, jakie Rhyme stale powtarzał swoim ludziom: szukajcie dobrze, ale zawsze pilnujcie tyłów.

- Pomożecie mi z walizami? - spytała, dźwigając jeden z metalowych neseserów z podstawowym sprzętem do zbierania i przechowywania dowodów.

- Jasne. - Technik chwycił dwa pozostałe nesesery.

Kiedy Sachs nałożyła słuchawkę z mikrofonem i podłączyła do aparatu Handi-Talkie, Ron Pułaski, który skończył odganiać dziennikarzy, wrócił i wprowadził ją oraz funkcjonariuszy wydziału kryminalistycznego do budynku. Wysiedli z windy na piątym piętrze i skręcili w prawo, stając przed podwójnymi drzwiami, nad którymi wisiała tabliczka „Sala im. Bookera T. Washingtona”.

- To tutaj.

Sachs i technicy otworzyli walizki, z których zaczęli wyładowywać sprzęt.

- Jestem prawie pewien, że wszedł tymi drzwiami - powiedział Pułaski. - Drugie wyjście prowadzi na schody przeciwpożarowe, ale nie można dostać się tamtędy do środka, a nie ma śladów użycia łomu. Tak więc wszedł tędy, zamknął drzwi na klucz i zaatakował dziewczynę. Uciekła przez wyjście ewakuacyjne.

- Kto ci otworzył drzwi? - spytała Sachs.

- Don Barry, kierownik biblioteki.

- Wszedł z tobą do sali?

- Nie.

- Gdzie teraz jest?

- W swoim gabinecie na trzecim piętrze. Pomyślałem, że sprawcą może być ktoś stąd. Dlatego poprosiłem go o listę wszystkich białych mężczyzn zatrudnionych w bibliotece oraz informację, gdzie byli podczas zdarzenia.

- Dobrze. - Sachs zamierzała zrobić to samo.

- Powiedział, że przyniesie nam listę, kiedy tylko będzie gotowa.

- Powiedz mi, co znajdę w sali.

- Dziewczyna siedziała przy czytniku mikrofilmów. Na prawo od wejścia, za rogiem. Łatwo pani znajdzie. - Pułaski wskazał na koniec przestronnej sali pełnej regałów z książkami, za którymi Sachs zobaczyła manekiny w strojach z epoki, obrazy, szkatułki ze stylową biżuterią, torebki, budy i dodatki - typową zakurzoną ekspozycję w muzeum; zwykle człowiek ogląda ją, myśląc jednocześnie, do której restauracji iść, kiedy już będzie miał dość duchowej stawy.

- Jaki mają tu system zabezpieczeń? - Sachs szukała kamer na suficie.- Żadnego. Nie ma kamer. Nie ma strażników, nie ma wpisywania się na listę. Każdy może tu wejść.

- Nie zawsze jest łatwo, co?

- Nie, proszę pa... Nie, detektywie.

Chciała mu powiedzieć, że może się do niej zwracać „pani”, choć nie powinien mówić tak o niej innym, ale nie bardzo wiedziała, jak wytłumaczyć tę różnicę.

- Krótkie pytanie. Zamknąłeś drzwi wyjścia ewakuacyjnego na dole?

- Nie. Zostawiłem tak, jak je zastałem. Otwarte.

- Czyli miejsce może być ciepłe.

- Ciepłe?

- Sprawca może wrócić. - Ale...

- Nie popełniłeś błędu, Pułaski. Chciałam po prostu wiedzieć.

- Tak, pewnie może wrócić.

- Dobrze, zostań przy drzwiach. Chcę, żebyś uważnie nasłuchiwał.

- Czego?

- Na przykład strzałów, jakie facet do mnie odda. Ale chyba byłoby lepiej, gdybyś najpierw usłyszał kroki albo szcęk ładowania broni.

- Czyli mam pilnować tyłów? Mrugnęła do niego i ruszyła w głąb sali.

A więc jest z kryminalistycznego, pomyślał Thompson Boyd, obserwując kobietę, która chodziła tam i z powrotem po bibliotece, oglądając podłogę, szukając odcisków palców, śladów czy czegoś jeszcze. Nie martwił się, że coś znajdzie. Jak zawsze był ostrożny.

Thompson stał w oknie na szóstym piętrze budynku przy Pięćdziesiątej Piątej naprzeciwko muzeum. Po ucieczce dziewczyny zrobił koło, skręcając w dwie przecznice, wszedł do budynku i wspinał się po schodach na korytarz, skąd patrzył teraz na ulicę.

Kilka minut temu miał drugą okazję, by zabić dziewczynę; przez chwilę stała na ulicy przed muzeum, rozmawiając z policjantami. Ale było wokół niej za dużo glin, by mógł strzelić i bezpiecznie się wycofać. Zdążył jej jednak zrobić zdjęcie za pomocą telefonu komórkowego, zanim wsadzono ją razem z koleżanką do radiowozu, który pomknął na zachód. Poza tym Thompson miał tu jeszcze coś do zrobienia, dlatego zajął dogodny punkt obserwacyjny.

Z czasów spędzonych w więzieniu Thompson sporo wiedział o stróżach prawa. Potrafił bez trudu rozpoznać leniwych, zastraszonych, głupich i łatwowiernych. Potrafił także rozpoznać utalentowanych i inteligentnych gliniarzy, którzy stanowili zagrożenie.

Takich jak kobieta, na którą teraz patrzył.

Zakrapiając wiecznie szczypiące oczy, Thompson odkrył, że ciekawi go policjantka w białym kombinezonie. Podczas przeszukania sali miała w oczach niezwykle skupienie, jakąś nabożność, którą czasem Thompson widział u swojej matki w kościele.

Na chwilę stracił ją z oczu, lecz pogwizdując cicho, wciąż spoglądał przez okno. Wreszcie kobieta znów zjawiała się w polu widzenia. Zauważył dokładność, z jaką wszystko robiła, jak ostrożnie chodziła, jak delikatnie podnosiła i badała różne przedmioty, by nie uszkodzić dowodów. Innego mężczyznę ujęłaby jej uroda i smukła figura; nawet przez kombinezon można było dostrzec zarys jej ciała. Ale on jak zwykle był daleki od podobnych myśli. Mimo to zdawało mu się, że jej widok wywołuje w nim nieokreślone uczucie przyjemności.

Wróciło jakieś dawne wspomnienie... Zmarszczył brwi, przyglądając się, jak kobieta chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem... Tak, już wiedział. Ruch przypominał mu grzechotniki rogate, które pokazywał mu ojciec, gdy chodzili na polowania albo na spacer po teksańskich piaskach niedaleko ich przyczepy za Amarillo.

Popatrz na nie, synu. Wspaniały widok, nie? Ale nie podchodź za Misko. Mogą cię zabić jednym pocałunkiem.

Oparł się o ścianę, obserwując kobietę w bieli, która poruszała się tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Rozdział 4

Jak to wygląda, Sachs?

- Dobrze - powiedziała do Rhyme'a przez radio.

Właśnie kończyła obchód po siatce; była to metoda oględzin miejsca zbrodni polegająca na chodzeniu w podobny sposób jak przy koszeniu trawnika - z jednego końca na drugi, a potem z powrotem wzdłuż równoległej linii. Następnie powtarzało się to samo, ale chodząc w kierunku prostopadłym do toru pierwszego przeszukania. Równocześnie należało oglądać miejsce od podłogi do sufitu. W ten sposób miało się pewność, że został sprawdzony cal po calu każdy zakamarek. Korzystano z kilku metod oględzin miejsc zbrodni, lecz Rhyme zawsze się upierał przy siatce.

- „Dobrze” to znaczy? - spytał zirytowany. Rhyme nie lubił uogólnień, które nazywał „miękką oceną”.

- Zapomniał zestawu gwałciciela - odparła. Połączenie radiowe stanowiło dla Rhyme’a przede wszystkim namiastkę fizycznej obecności na miejscu zbrodni.

- Naprawdę? Może da się go zidentyfikować na tej podstawie tak łatwo, jakby zostawił portfel. Co tam jest?

- Dziwna sprawa, Rhyme. Z typowych narzędzi jest taśma izolacyjna, składany nóż, prezerwatywy. Ale jest jeszcze karta tarota. Z rysunkiem gościa wiszącego na szafocie.

- Ciekawe, czy to prawdziwy świr, czy tylko kogoś naśladuje - zastanawiał się na głos Rhyme. Wielu morderców pozostawiało na miejscach zbrodni karty tarota i inne okultystyczne pamiątki; ostatnio najbardziej znanym przykładem była sprawa snajperów w Waszyngtonie sprzed kilku lat.

- Dobra wiadomość jest taka, że wszystko trzymał w estetycznej plastikowej torebce - ciągnęła Sachs.

- Wspaniale.

Sprawcy pamiętali o wkładaniu rękawiczek na miejscu zbrodni, często jednak zapominali o odciskach na przedmiotach, które mieli ze sobą podczas popełniania przestępstwa. Wyrzucone opakowanie po prezerwatywie doprowadziło do skazania niejednego gwałciciela, mimo że skrupulatnie zadbał, by nie zostawić na miejscu zbrodni odcisków palców ani własnych płynów ustrojowych. Tym razem, nawet jeśli niedoszły zabójca pamiętał o wytarciu taśmy, noża i prezerwatywy, możliwie, że zapomniał usunąć odciski z folii.

Sachs włożyła ją do papierowej torebki - papier był na ogół lepszy do przechowywania dowodów - i odłożyła na bok.

- Zostawił to na regale niedaleko stolika, przy którym siedziała dziewczyna. Poszukam ukrytych odcisków. - Posypała półki proszkiem fluorescencyjnym, nałożyła pomarańczowe gogle i oświetliła regały źródłem światła zmiennego. Lampy tego rodzaju pozwalają ujawnić ślady krwi, nasienia i odciski palców, które w zwykłym świetle pozostają niewidoczne. Przesuwając lampę tam i z powrotem, powiedziała do mikrofonu: - Nie ma odcisków. Ale widzę, że nosi lateksowe rękawiczki.

- Ach, to dobrze. Z dwóch powodów. - W głosie Rhyme’a zabrzmiał belferski ton.

Z dwóch? - zdziwiła się. Jeden od razu przyszedł jej na myśl. Gdyby udało się zdobyć rękawiczkę, mogliby zdjąć odcisk z jej wewnętrznej strony (o tym sprawcy często zapominali). Ale drugi powód?

Zapytała go.

- To oczywiste. Prawdopodobnie jest notowany, tak więc kiedy znajdziemy odcisk, AFIS powie nam, kto to jest.

Stanowe systemy informacji daktyloskopijnej i zintegrowany system AFIS należący do FBI były komputerowymi bazami danych, dzięki którym identyfikacja trwała zaledwie kilka minut. W dawnych czasach ręczne badania mogły się ciągnąć przez wiele dni, a nawet tygodni.

- Jasne - powiedziała Sachs, stropiona oblaniem testu.

- Co jeszcze składa się na ocenę „dobrze”?

- Wczoraj wieczorem nawoskowali podłogę.

- A atak nastąpił dzisiaj rano. Czyli masz dobre tło dla odcisków stóp.

- Aha. Są wyraźne. - Przyklęknęła, aby zdjąć elektrostatyczny obraz podeszwy. Była prawie pewna, że ślady pozostawił sprawca; wyraźnie widziała, że prowadziły do stolika Genevy, gdzie poprawił pozycję ciała, by mocniej chwycić pałkę i zadać cios, a potem biegły przez środek sali, którą dziewczyna uciekła. Sachs porównała ślady z tymi, które zostawił jedyny poza sprawcą i dziewczyną człowiek, przebywający tu dziś rano: wyglansowane na błysk służbowe buty Rona Pułaskiego miały zupełnie inny wzór protektora.

Opowiedziała Rhyme'owi o fortelu Genevy z manekinem i jej ucieczce. Zaśmiał się, słysząc o jej pomysłowości.

- Rhyme - dodała - naprawdę mocno ją uderzył, to znaczy manekin. Jakimś tępym narzędziem. Tak mocno, że peł plastik pod czapkę. Potem chyba się wściekł, że dał się nabrać. I rozwalił czytnik mikrofiszek.

- Tępym narzędziem - powtórzył Rhyme. - Możesz zrobić odcisk? Gdy Rhyme dowodził jednostką zabezpieczania miejsc zbrodni w departamencie, przed wypadkiem zbudował ogromną bazę danych, które miały pomóc w identyfikacji dowodów i śladów mechanoskopijnych znalezionych na miejscach zdarzeń. Zbiór materiałów porównawczych dotyczących tępych narzędzi obejmował setki zdjęć śladów po uderzeniach na skórze i innych powierzchniach, zadanych przeróżnymi przedmiotami - od kluczy do kół przez ludzkie kości po bryły lodu. Ale obejrzawszy dokładnie manekin i rozbity czytnik, Sachs powiedziała:

- Nie, Rhyme. Nic nie widzę. Geneva nałożyła manekinowi czapkę i...

- Geneva?

- Tak ma na imię dziewczyna.

- Aha. Mów dalej.

Przez chwilę poczuła złość - jak nieraz się zdarzało - że nie wykazał żadnego zainteresowania dziewczyną ani jej stanem. Często ją martwiło, że Rhyme jest tak obojętny wobec zbrodni i ofiar. Na tym polega rola kryminalistyka, tłumaczył jej. Pilotów nie może oszołomić piękno zachodu słońca ani przerazić gwałtowna burza, bo roztrzaskaliby samolot o zbocze góry. To samo dotyczy gliniarzy. Amelia Sachs rozumiała ten argument, lecz dla niej ofiary były ludzkimi istotami, a zbrodnie nie były

zadaniami naukowymi, ale rzeczywistymi, strasznymi zdarzeniami. Zwłaszcza gdy chodziło o szesnastoletnią dziewczynę.

- Czapka rozproszyła siłę uderzenia - ciągnęła. - A czytnik mikrofiszek jest zupełnie rozbity.

- Zbierz parę kawałków tego, w co uderzył - powiedział Rhyme. - Mogło dojść do przeniesienia.

- Jasne.

W tle u Rhyme'a usłyszała jakieś głosy. Powiedział dziwnie niespokojnie:

- Sachs, jak skończysz, zaraz wracaj.

- To już prawie wszystko - odrzekła. - Chcę jeszcze zrobić siatkę na schodach ewakuacyjnych... Rhyme, co się tam dzieje?

Cisza. Kiedy znów się odezwał, miał jeszcze bardziej zaniepokojony głos.

- Muszę kończyć, Sachs. Chyba mam gości.

- Kto...?

Ale już się rozłączył.

Kobieta w bieli, profesjonalistka, zniknęła z okna biblioteki. Ale Thompson Boyd przestał już się nią interesować. Ze swojej kryjówki dwadzieścia metrów nad poziomem ulicy obserwował teraz starszego glinę, który podchodził do świadków. Był tęgi, w średnim wieku, ubrany w niemiłosiernie wymięty garnitur. Thompson znał ten typ policjantów. Nie grzeszył błyskotliwością, ale potrafił być groźny jak buldog, którego przypominał. Nic nie mogło go powstrzymać przed wyjaśnieniem najdrobniejszych szczegółów sprawy.

Kiedy gruby glina skinął głową wysokiemu, czarnoskóremu mężczyźnie w brązowym garniturze, który wychodził z muzeum, Thompson opuścił swój punkt obserwacyjny i zbiegł na dół. Przystając na parterze, wyciągnął z kieszeni broń i sprawdził, chcąc się upewnić, czy nic nie utkwilo w lufie lub w bębunku. Zastanawiał się, czy to właśnie ten dźwięk - otwierania i zamykania bębinka w bibliotece - ostrzegł dziewczynę, że może jej grozić niebezpieczeństwo.

Teraz, mimo że w pobliżu nie było nikogo, sprawdził rewolwer absolutnie bezgłośnie.

Trzeba uczyć się na własnych błędach.

Ściśle według zasad.

Broń była w porządku. Chowając ją pod płaszczem, Thompson zszedł po ciemnych schodach i przez tylny korytarz wyszedł na Pięćdziesiątą Szóstą, po czym skręcił w alejkę prowadzącą w

kierunku muzeum.

Nikt nie pilnował wylotu alejki w Pięćdziesiątą Piątą. Niezauważony Thompson wsunął się za odrapany zielony kubeł na śmieci, cuchnący gnijącym jedzeniem. Spojrzał w głąb ulicy. Została już otwarta, ale kilkadziesiąt osób z pobliskich biur i sklepów nadal stało na chodnikach w nadziei, że zobaczą coś ekscytującego, o czym będą mogli opowiedzieć kolegom z pracy i rodzinom. Większość policjantów już opuściła teren. Kobieta w bieli - całujący grzechotnik - wciąż była na górze. Przed muzeum stały dwa radiowozy i furgonetka kryminalistów, a także trzech umundurowanych gliniarzy, dwóch w cywilu i ten gruby, wymięty detektyw.

Thompson mocno ujął broń. Strzał był mało skutecznym sposobem, by kogoś zabić. Ale czasami, tak jak teraz, pozostawał jedynym wyjściem. Jeśli trzeba strzelać, należy celować w serce. Nigdy w głowę. Czaszka jest dość twarda, by w wielu okolicznościach zmienić tor pocisku, poza tym jest stosunkowo mała i trudno w nią trafić.

Zawsze w pierś.

Przenikliwe niebieskie oczy Thompsona patrzyły na zwałistego glinę w wygniecionym garniturze, jak gdyby spoglądały na kartkę papieru.

Z niezmaconym spokojem Thompson oparł broń o lewe przedramię i starannie wycelował. Oddał cztery szybkie strzały.

Pierwszy pocisk utkwiał w udzie kobiety stojącej na chodniku.

Pozostałe trafiły ofiarę dokładnie tam, gdzie wycelował. Na piersi mężczyzny wykwitły trzy małe kropki; zanim ciało osunęło się na ziemię, kropki zmieniły się w trzy krwawe rozetki. Stały przed nim dwie dziewczyny i choć zupełnie różniły się budową ciała, Lincoln Rhyme przede wszystkim zwrócił uwagę na odmienny wyraz ich oczu.

Oczy pulchniejszej z nich - o długich, pomarańczowych paznokciach, ubranej w jaskrawe rzeczy, obwieszanej błyszczącą biżuterią - tańczyły po całym pomieszczeniu jak niespokojne owady. Nie zatrzymując wzroku na Rhymie ani na niczym innym dłużej niż sekundę, z zawrotną prędkością omiotła spojrzeniem całe laboratorium: narzędzia, zlewki, chemikalia, komputery, monitory i kłębiące się wszędzie przewody. Popatrzyła też naturalnie na nogi Rhyme'a i jego wózek. Hałaśliwie żuła gumę.

Druga z dziewcząt, niska, chuda i chłopięca, zachowywała absolutny spokój. Wpatrywała się w Lincolna Rhyme'a nieruchomym wzrokiem. Tylko przelotnie zerknęła na wózek. Laboratorium jej nie interesowało.

- To Geneva Settle - przedstawiła ją policjantka, Jennifer Robinson, ruchem głowy wskazując szczupłą dziewczynę o spokojnych oczach. Robinson była koleżanką Amelii Sachs, która poleciła jej przywieźć tu dziewczyny z posterunku środkowo-północnego.

- A to jej koleżanka - ciągnęła Robinson. - Lakeesha Scott. Lakeesha, wypluj gumę.

Dziewczyna posłała jej udęczone spojrzenie, ale wrzuciła gumę do torby, nie pakując jej w żaden papierek.

- Razem z Geneva poszły dziś rano do muzeum - dodała policjantka.

- Tylko że ja nic nie widziałam - wtrąciła szybko Lakeesha, uprzedzając wszelkie pytania. Ciekawe, czy dziewczyna była zdenerwowana atakiem na koleżankę, czy poczuła się nieswojo dlatego, że Rhyme był kaleką? Pewnie jedno i drugie.

Geneva miała na sobie szarą koszulkę, workowate czarne spodnie i buty do biegania - strój, który, jak przypuszczał Rhyme, był ostatnio modny wśród uczniów szkół średnich. Sellitto mówił, że dziewczyna ma szesnaście lat, ale wyglądała na mniej. Podczas gdy głowę Lakeeshy zdobiła gęstwina złotych i czarnych warkoczyków związanych tak ciasno, że widać było skórę pod nimi, Geneva miała krótko obcięte włosy.

- Mówiłam dziewczynkom, kim pan jest, kapitanie - wyjaśniła Robinson, używając stopnia, który już dawno stracił aktualność. - I że zamierza im pan zadać kilka pytań na temat tego, co się wydarzyło. Geneva chce wracać do szkoły, ale tłumaczyłam jej, że musi z tym poczekać.

- Mam testy - odezwała się Geneva. Lakeesha syknęła.

- Rodziców Genevy nie ma w kraju - ciągnęła Robinson. - Ale wracają najbliższym samolotem. Podczas ich nieobecności opiekuje się nią wuj.

- Gdzie są? - spytał Rhyme. - Twój rodzice?

- Ojciec prowadzi sympozjum w Oksfordzie.

- Jest profesorem? Skinęła głową.

- Literatury. Na Hunter.

Rhyme zganił się w myśli za swoje zdziwienie tym, że dziewczyna z Harlemu może być córką podróżujących po świecie intelektualistów. Był zły na siebie za uleganie stereotypom, lecz najbardziej zirytował go własny błąd w dedukcji. Była ubrana w stylu *gangsta*, ale mógł się domyślić, że pochodzi ze środowiska akademickiego; kiedy ją zaatakowano, siedziała w bibliotece, a nie włóczyła się po ulicy czy oglądała przed lekcjami telewizję.

Lakeesha wygrzebała z torby paczkę papierosów.

- Tu nie... - zaczął Rhyme. Do pokoju wszedł Thom.

- ...wolno palić - dokończył. Wyjął dziewczynie z ręki papierosy i schował z powrotem. Thom uśmiechnął się do dwóch nastolatek, zupełnie niezrażony ich nieoczekiwaną wizytą podczas swojej służby.

- Podać coś do picia?

- Macie kawę? - zapytała Lakeesha.

- Owszem, mam. - Thom zerknął na Jennifer Robinson i Rhyme'a, którzy przecząco pokręcili głowami.

- Lubię mocnom - oznajmiła dziewczyna.

- Naprawdę? - zdziwił się uprzejmie Thom. - Ja też. A dla ciebie? - spytał, zwracając się do Genevy.

Szczupła dziewczyna potrząsnęła głową.

Rhyme spojrział tęsknie na butelkę szkockiej stojącą na półce. Jego asystent zauważył to i parsknął śmiechem. Po chwili zniknął. Ku zmartwieniu Rhyme'a, Robinson oznajmiła:

- Muszę wracać na posterunek, kapitanie.

- To konieczne? - spytał skonsternowany Rhyme. - Nie może pani zostać jeszcze chwilę?

- Nie mogę, kapitanie. Gdyby jednak pan czegoś jeszcze potrzebował, proszę dzwonić.

Może opiekunki do dzieci?

Rhyme nie wierzył w fatum, ale gdyby wierzył, zwróciłby uwagę na perfidną zemstę losu: zgodził się wziąć tę sprawę, by uniknąć badań w szpitalu, a teraz dostał nauczkę w postaci ogromnie niezręcznych trzydziestu minut w towarzystwie dwóch nastolatek. Rozmowy z młodzieżą nie były jego mocną stroną.

- Do zobaczenia, kapitanie. - Robinson wyszła z laboratorium.

- Do zobaczenia - mruknął.

Po kilku minutach wrócił Thom, niosąc tacę. Nalał kawy Lakeeshy, a Genevie podał kubek, w którym, jak Rhyme odgadł z zapachu, była gorąca czekolada.

- Pomyślałem, że jednak się czegoś napijesz - powiedział asystent. - Jeżeli nie chcesz, możesz zostawić. - Nie, wypiję. Dziękuję. - Geneva patrzyła na parujący płyn. Pociągnęła łyk, potem drugi i opuściła kubek, wbijając wzrok w podłogę. Znow wypija kilka łyčzków.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Rhyme. Geneva kiwnęła głową.

- Ja też - odezwała się Lakeesha.

- Napadł na was obie? - ciągnął Rhyme.

- Nie, na mie nie. - Lakeesha przyglądała mu się przez chwilę. - Pan ma jak ten aktor, co złamał kark? - Siorbnęła kawy, dosypała cukru. Znow siorbnęła.

- Zgadza się.
- I nie może pan niczym ruszać?
- Prawie niczym.
- Cholera.
- Keesh - szepnęła Geneva. - Wyluzuj, dziewczyno.
- Ale cholera, co nie?

Znów zapadła cisza. Od ich przybycia minęło zaledwie osiem minut, które zdawały się trwać całe godziny. Co powinien zrobić? Wysłać Thoma po jakąś grę planszową?

Oczywiście należało zadać kilka pytań. Rhyme wcale się jednak do tego nie kwapił. Sztuka przesłuchiwania nie była jego specjalnością. Kiedy służył w policji, tylko kilkanaście razy przesłuchiwał podejrzanych i nigdy nie doświadczył upojnej chwili, gdy maglowany delikwent złamał się i przyznał do winy. Natomiast Sachs miała w tej dziedzinie naturalny talent. Ostrzegała nowych, że jednym niewłaściwym słowem można zawalić całą sprawę. Nazywała to „zanieczyszczeniem umysłu”, co stanowiło odpowiednik grzechu numer jeden na liście Rhyme’a: zanieczyszczenia miejsca zbrodni.

- Jak się pan rusza na tym wózku? - zapytała Lakeesha.
- Cii - próbowała uciszyć ją Geneva.
- Tylko pytam.
- To nie pytaj.
- Nie ma nic złego w pytaniu, co nie?

Po płochości Lakeeshy nie został nawet ślad. Rhyme doszedł do wniosku, że w istocie niezła z niej mądrała. Z początku udaje niepewną i naiwną, sprawiając wrażenie całkowicie zdominowanej, a w rzeczywistości cały czas panuje nad sytuacją. Dopiero kiedy się zorientuje co i jak, decyduje, czy można zacząć się popisywać.

Mimo to Rhyme ucieszył się w duchu, że mają o czym rozmawiać. Wyjaśnił, jak działa USO - układ sterowania otoczeniem - oraz w jaki sposób panel dotykowy kieruje wózkiem i steruje jego prędkością.

- Jednym palcem? - Keesha zerknęła na jeden ze swych pomarańczowych paznokci. - Tylko tym pan rusza?
- Zgadza się. Poza tym głową i ramionami.

- Panie Rhyme - odezwała się Geneva, spoglądając na czerwonego swatcha, który wydawał się bardzo duży na jej szczupłym nadgarstku.

- Mówiłam o sprawdzianach. Są za dwie godziny. Jak długo to potrwa?

- Pytasz o szkołę? - zdziwił się Rhyme. - Och, jestem pewien, że dziś możesz zostać w domu. Po tym, co się stało, nauczyciele będą wyrozumiali.

- Nie chcę zostawać w domu. Muszę iść na testy.

- Ej, masz wolne. Pan mówi, że cię zwolni, na bank spoko, a ty nie chcesz? Daj se luz.

Geneva spojrzała koleżance w oczy.

- Ty też idziesz na testy. Nie zwiewasz.

- Nie zwiewam, dostaje zwolnienie - zauważyła z bezbłędną logiką dziewczyna.

Zadzwonił telefon, co Rhyme powitał z głęboką wdzięcznością.

- Polecenie, odbierz telefon - powiedział do mikrofonu.

- Ale wypas! - rzuciła Lakeesha, unosząc brwi. - Patrz, Gen. Chcę mieć coś takiego.

Mrużąc oczy, Geneva szepnęła coś do koleżanki, która przewróciła oczami i siorbnęła łyk kawy.

- Rhyme - odezwał się głos Sachs.

- Są tu, Sachs - odrzekł słabo Rhyme. - Geneva z koleżanką. Mam nadzieję, że niedługo...

- Rhyme - powtórzyła. Miała zmieniony głos. Coś było nie tak.

- O co chodzi?

- Okazało się, że miejsce było ciepłe.

- Był tam?

- Był. W ogóle nie uciekł. Albo wrócił.

- Nic ci nie jest?

- Mnie nic. Nie chodziło mu o mnie.

- Co się stało?

- Podkradł się alejką. Strzelił cztery razy. Zranił jakąś kobietę na ulicy... i zabił świadka. To był Don Barry, kierownik biblioteki. Dostał trzy kule w serce. Zmarł natychmiast.

- Jesteś pewna, że to zrobił ten sam człowiek?

- Tak. Ślady butów, które znalazłam w jego kryjówce, są takie same jak te w bibliotece. Lon właśnie zaczynał przesłuchiwać bibliotekarza. Kiedy to się stało, stał tuż przed nim.

- Widział sprawcę?

- Nie. Nikt go nie widział. Facet skrył się za kubłem na śmieci. Dwóch mundurowych pobiegło ratować kobietę. Mocno krwawiła. A on uciekł w tłum. Po prostu wyparował.

- Ktoś się zajął szczegółami?

Pytał o zawiadomienie najbliższej rodziny. Szczegóły.

- Lon miał zadzwonić, ale miał jakieś kłopoty z telefonem. Na miejscu był sierżant. On to załatwił.

- Dobrze, Sachs, wracaj z tym, co znalazłaś... Polecenie, rozłącz.

- Uniósł wzrok i napotkał spojrzenia obu dziewczyn.- Wygląda na to - wyjaśnił - że mężczyzna, który cię napadł, nie uciekł. Albo wrócił. Zabił kierownika biblioteki i...

- Pana Barry'ego? - wykrztusiła Geneva Settle. Przestała się poruszać, po prostu zastygła jak posąg.

- Zgadza się.

- Kurde - szepnęła Lakeesha. Zamknęła oczy i zadygotała.

Po chwili Geneva zacisnęła usta, opuszczając wzrok. Odstawiła kakao na stół.

- Nie, nie...

- Przykro mi - rzekł Rhyme. - Przyjaźniliście się? Pokręciła głową.

- Niezupełnie. Po prostu pomagał mi w napisaniu pracy. - Geneva wyprostowała się na krześle. - Ale nieważne, czy byliśmy przyjaciółmi. Nie żyje - i to jest okropne. Dlaczego? - wyszeptała ze złością. - Dlaczego to zrobił?

- Przypuszczam, że pan Barry był świadkiem. Mógłby zidentyfikować mężczyznę, który cię napadł.

- Czyli zginął przeze mnie.

Rhyme mruknął do niej coś w rodzaju: nie, przecież to nie twoja wina. Nie planowała, że ktoś ją zaatakuje. Barry miał po prostu pecha. Znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Ale słowa otuchy nie przyniosły żadnego skutku. Na twarzy Genevy malowało się napięcie, a w jej oczach chłód. Rhyme nie miał pojęcia, co zrobić. Nie dość, że musiał znosić obecność dwóch nastolatków, to teraz jeszcze musiał je pocieszać, sprawić, żeby nie myślały o tej tragedii. Podjechał bliżej i wystawiając swoją cierpliwość na ciężką próbę, zaczął rozmawiać z nimi o niczym.

Rozdział 5

Dwadzieścia nieskończenie długich minut później w domu Rhyme'a zjawili się Sachs i Sellitto w towarzystwie młodego, jasnowłosego funkcjonariusza Pułaskiego.

Sellitto wyjaśnił, że zgarnął chłopaka, by przywiózł dowody i pomógł w śledztwie. Zapalony malujący się na twarzy policjanta wyraźnie świadczył, że to nowicjusz. Widocznie został uprzedzony o niepełnosprawności kryminalistyka; ostentacyjnie nie zwracał uwagi na fakt, że gospodarz domu jest sparaliżowany. Rhyme nie cierpiał takich sztucznych zachowań. O wiele bardziej wolał nietakt Lakeeshy.

Ale cholera, co nie...

Dwoje detektywów przywitało się z dziewczętami. Pułaski spojrzał na nie ze współczuciem i życzliwym tonem spytał, jak się czują. Rhyme dostrzegł na jego palcu nieco zadrapaną obrączkę, z czego wywnioskował, że chłopak musiał się ożenić tuż po szkole średniej; tak opiekuńcze spojrzenie można spotkać tylko u osoby mającej własne dzieci.

- Jakby mi pogięło, sie czuje - odpowiedziała Lakeesha. - Wkurzona jestem.. Jakiś koleś chciał mi rozwalić kumpele, to jak sie mam czuć?

Geneva odrzekła, że nic jej nie jest.

- Podobno mieszkasz z kimś z rodziny? - spytała Sachs.

- Z wujkiem. Mieszka u nas, dopóki rodzice nie wrócą z Londynu.

Rhyme przypadkiem zerknął na Lona Sellitta. Coś z nim było nie tak. W ciągu dwóch godzin zaszła w nim jakaś gwałtowna zmiana. Zniknęła jego jowialność. W oczach miał lęk i niespokojnie się kręcił. Rhyme zauważył, że co chwilę dotyka jakiegoś punktu na policzku, który poczerwieniał od ciągłego pocierania.

- Dostałeś kawałkiem ołowiu? - zapytał Rhyme, przypominając sobie, że kiedy padły strzały, detektyw stał tuż obok bibliotekarza. Być może w Sellitta trafił fragment pocisku albo kawałek kamienia, jeśli kula przeszła ciało Barry'ego i zaryła w mur budynku.- Co? - Sellitto zdał sobie sprawę, że pociera skórę i szybko opuścił rękę. Cicho, by nie słyszały go dziewczyny, powiedział: - Stałem bardzo blisko ofiary. Prysnęło na mnie trochę krwi. To wszystko. Nic mi się nie stało.

Ale po chwili znów zaczął w roztargnieniu trzeć policzek.

Ten gest przypominał Rhyme'owi zachowanie Sachs, która miała zwyczaj drapania się w głowę

i obgryzania paznokci. Nawyk pojawiał się i znikał, jak gdyby pozostając w ścisłym związku z jej determinacją, ambicją, nieokreślonymi siłami drżącymi prawie w każdym glinie. Policjanci robili sobie krzywdę na tysiące sposobów. Od drobiazgów takich jak u Sachs, przez rozbijanie własnych małżeństw i dręczenie dzieci surowym traktowaniem, po ostateczną karę, jaką było wsunięcie do ust zimnej lufy służbowej broni. Rhyme nigdy jednak nie dostrzegł niczego takiego u Lona Sellitta.

- Na pewno nie zaszła pomyłka? - spytała Amelię Geneva.

- Pomyłka?

- Mówię o doktorze Barrym.

- Przykro mi, ale nie. Nie żyje.

Dziewczyna siedziała bez ruchu. Rhyme wyczuwał jej smutek. A także gniew. W jej czarnych oczach czaiła się wściekłość. Nagle Geneva spojrzała na zegarek i powiedziała do Rhyme'a:

- To co będzie z moimi sprawdzianami?

- Najpierw odpowiesz nam na kilka pytań, a potem zobaczymy. Sachs?

Po wyłożeniu dowodów na stół i wypełnieniu formularzy ewidencyjnych, Sachs przysunęła sobie krzesło obok Rhyme'a i przystąpiła do przesłuchania dziewczyn. Poprosiła Geneve, by szczegółowo opowiedziała, co się zdarzyło. Dziewczyna wyjaśniła, że kiedy czytała artykuł ze starego czasopisma, ktoś wszedł do biblioteki. Usłyszała niepewne kroki. Potem krótki śmiech. Głos mężczyzny kończącego rozmowę i trzask zamykanego telefonu komórkowego.

Geneva przymrużyła oczy.

- Hej, a może by sprawdzić wszystkich operatorów komórkowych w mieście. Zobaczyć, kto wtedy dzwonił.

Rhyme zaśmiał się.

- Dobra myśl, ale w każdej chwili na Manhattanie toczy się pięćdziesiąt tysięcy rozmów. Poza tym wątpię, czy naprawdę rozmawiał przez telefon.

- Zgrywał się? Skąd pan wie? - spytała Lakeesha, ukradkiem wsuwając do ust dwa kawałki gumy.

- Wcale nie wiem, tylko podejrzewam. Tak samo mogło być ze śmiechem. Zapewne zrobił to, żeby Geneva straciła czujność. Zwykle nie zwracamy uwagi na ludzi rozmawiających przez komórki. I rzadko podejrzewamy, że mogą stanowić zagrożenie.

Geneva kiwała głową.

- Tak, na początku trochę spanikowałam, kiedy wszedł do biblioteki. Ale gdy usłyszałam, jak

mówi przez telefon, pomyślałam sobie, że to niegrzecznie dzwonić w bibliotece, ale przestałam się bać.

- Co się później stało? - spytała Sachs.

Geneva odpowiedziała, jak usłyszała drugi trzask - zdawało się jej, że to odgłos zamykania broni - i zobaczyła mężczyznę w kominiarce. Wtedy zdjęła część manekina i przebrała we własne rzeczy.

- Gites - oznajmiła z dumą Lakeesha. - Cwana ta moja kumpela. Racja, pomyślał Rhyme.

- Schowałam się za regałami i zaczekałam, aż dojdzie do czytnika mikrofilmów, a potem uciekłam do drzwi przeciwpożarowych.

- Zauważyłaś coś jeszcze w wyglądzie tego mężczyzny? - zapytała Sachs.

- Nie.

- Jakiego koloru była ta kominiarka?

- Ciemna. Nie wiem dokładnie.

- Reszta stroju?

- Naprawdę nic więcej nie widziałam. W każdym razie nie pamiętam. Za bardzo się bałam.

- Nie wątpię - powiedziała Sachs. - Kiedy ukryłaś się za regałami, patrzyłaś w jego stronę? Żeby wiedzieć, kiedy można uciec?

Geneva na chwilę zmarszczyła brwi.

- Tak, faktycznie, patrzyłam. Zapomniałam. Patrzyłam przez dolne półki, żeby zobaczyć, czy doszedł do krzesła i czy mogę uciec.

- A więc pewnie widziałaś coś więcej.

- No, chyba tak. Zdaje się, że miał brązowe buty. Tak, brązowe. Takie jaśniejsze, nie ciemnobrązowe.

- Dobrze. A spodnie?

- Ciemne. Raczej ciemne. Ale widziałam tylko mankiety.

- Zwróciłaś uwagę na zapach?

- Nie... zaraz. Chyba coś poczułam. Jakiś słodki zapach, jakby kwiatów.

- A potem?

- Podeszedł do krzesła i usłyszałam ten łomot, a potem jeszcze jakieś hałasy. Coś się rozbiło.

- Czytnik mikrofilmów - wyjaśniła Sachs. - Roztrzaskał go.

- Wtedy uciekałam już do drzwi. Zbiegłam po schodach i kiedy wydostałam się na ulicę, spotkałam Keesh i chciałyśmy uciekać. Ale pomyślałam, że on może zrobić krzywdę komuś innemu. Dlatego odwróciłam się i... - spojrzała na Pułaskiego - zobaczyłyśmy pana.

- A ty widziałaś napastnika? - zwróciła się do Lakeeshy Sachs.

- Nie. Stałam se wyluzowana i nagle biegnie Gen z miną, jakby ją pogięło, rozumie pani, co nie? Nic z tym nie widziała.

- Barry zginął, bo był świadkiem - rzekł do Sellitta Rhyme. - Co widział?

- Mówił, że nic. Podał mi nazwiska pracujących w muzeum białych mężczyzn, na wypadek gdyby to był któryś z nich. Dwóch, ale obaj mieli alibi. Jeden odwoził do szkoły córkę, drugi był w głównym biurze w towarzystwie ludzi.

- Czyli sprawca skorzystał z okazji. - Sachs się zadumała. - Zobaczył, jak dziewczyna wchodzi do muzeum, i ruszył za nią.

- Do muzeum? - odezwał się z powątpiewaniem Rhyme. - Dziwny wybór.

- Nie zwróciliście uwagi, czy ktoś za wami dzisiaj szedł? - zapytał obu dziewczyn Sellitto.

- Jechałyśmy linią C, Ósmą Aleją - odrzekła Lakeesha. - Był szczyt... pełno ludzi. Nie widziałam żadnego dziwnego gościa. A ty?

Geneva pokręciła głową.

- A ostatnio? Nikt wam nie dokuczał? Nie zaczepiał was? Żadnej z nich nie przychodził na myśl nikt, kto mógłby stanowić

zagrożenie. Geneva powiedziała zakłopotana:

- Właściwie mało kto za mną chodzi. Widzi pan, wolą raczej laski. Takie wytoczone.

- Wyfoczone?

- Znaczący odstawione - przetłumaczyła Lakeesha, która najwyraźniej była uosobieniem wytoczonej laski. Dziewczyna spojrzała chmurnie na Geneve. - No i po co tak gadasz? Nie zmulaj, dziewczyno.

Sachs popatrzyła na Rhyme'a, który marszczył brwi.

- Co o tym myślisz?

- Coś tu się nie zgadza. Obejrzyjmy dowody, dopóki Geneva tu jest. Może będzie nam mogła w czymś pomóc.

Dziewczyna pokręciła głową.

- A testy? - Pokazała zegarek.

- To nie potrwa długo - zapewnił ją Rhyme. Geneva spojrzała na koleżankę.

- Możesz jeszcze zdążyć na lekcję.

- Zostaje z tobom. Nie mogę siedzieć w klasie i się martwić, co nie?

Geneva zaśmiała się drwiąco.

- Nie ma mowy. Lakeesha nie będzie panu potrzebna, prawda?

- zwróciła się do Rhyme'a.

Zerknął na Sachs, która pokręciła głową. Sellitto zapisał adres i numer telefonu dziewczyny.

- Gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania, zadzwonimy.

- Zrób se wolne - powiedziała dziewczyna. - Olej i zostań w domu.

- Spotkamy się w szkole - odrzekła twardo Geneva. - Będziesz?

- Uniosła brew. - Na bank?

Dwa razy strzeliła gumą do żucia. Westchnęła.

- Na bank.

Przy drzwiach Lakeesha przystanęła i odwróciła się do Rhyme'a.

- Kiedy pan wstanie z tego wózka?

Nikt nie przerwał ani słowem niezręcznej ciszy, jaka zapadła po jej pytaniu. Niezręcznej zapewne dla wszystkich, ale nie dla Rhyme'a.

- Pewnie nieprędko - odpowiedział.

- To do dupy.

- Owszem - przytaknął Rhyme. - Czasem i tak bywa. Lakeesha ruszyła do korytarza w kierunku wyjścia. Usłyszeli:

- Kurde, uważaj, gościu. Trzasnęły drzwi.

Do laboratorium wszedł Mel Cooper, oglądając się za nastolatką ważącą co najmniej dwadzieścia kilogramów więcej od niego, która przed chwiląomal nie zwała go z nóg.

- Dobra - powiedział, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - O nic nie pytam. - Zdjął zieloną wiatrówkę i przywitał wszystkich skinieniem głowy.

Szczupły, łysiejący mężczyzna, przed kilku laty pracujący jako kryminalistyk w departamencie policji w północnej części stanu Nowy Jork, uprzejmie, lecz stanowczo oświadczył kiedyś Rhyme'owi, który dowodził wówczas wydziałem kryminalistyki departamentu nowojorskiego, że jedna z jego analiz jest błędna. Ludzie, którzy wytykali mu błędy, budzili w Rhymie znacznie większy szacunek niż pochlebcy - oczywiście pod warunkiem że mieli rację, a Cooper ją miał. Rhyme natychmiast rozpoczął akcję mającą na celu przeniesienie technika do Nowego Jorku, która zakończyła się sukcesem.

Cooper był urodzonym naukowcem, a co ważniejsze, był urodzonym specjalistą nauk sądowych, a to duża różnica. Często uważa się kryminalistykę za dziedzinę związaną tylko z oględzinami miejsca zbrodni, podczas gdy w istocie dotyczy ona wszystkich aspektów kwestii dyskutowanych w sądzie. Dobry kryminalistyk musi przełożyć suche fakty na argumenty, z których będzie mógł skorzystać prokurator. Nie wystarczy na przykład ustalić obecność na domniemanym miejscu zbrodni materiału roślinnego kulczyby wronie oko - wykorzystywanej między innymi do tak niewinnych celów jak produkcja leku na zapalenie ucha. Prawdziwy specjalista taki jak Mel Cooper musi od razu wiedzieć, że z tej samej rośliny pochodzi strychnina, silnie trujący alkaloid.

Cooper wyglądał na maniaka gier komputerowych - mieszkał z matką, chodził w koszulach z madrasu i bawełnianych spodniach, a posturą przypominał Woody'ego Allena. Ale były to tylko pozory. Długoletnia dziewczyna Coopera była wysoką, olśniewającą blondynką. Oboje królowali na parkietach wielu sal balowych, często zdobywając pierwsze nagrody w konkursach tańca. Ostatnio zaczęli uprawiać skit i zajęli się produkcją wina (do której Cooper skrupulatnie stosował zasady fizyki i chemii).

Rhyme streścił mu sprawę, po czym zajęli się dowodami.

- Obejrzyjmy zestaw.

Wciągając lateksowe rękawiczki, Cooper zerknął na Sachs, która pokazała torebkę z narzędziami gwałciciela. Otworzył ją nad płachtą gazety - by nie stracić śladów zewnętrznych - i wyciągnął zestaw. Wszystkie przedmioty mieściły się w cienkim plastikowym woreczku. Na folii nie było żadnego logo sklepu, tylko rysunek uśmiechniętej żółtej twarzy. Technik otworzył torebkę, lecz zastygł w pół ruchu.

- Coś tu czuję. - Głęboko wciągnął powietrze. - Jakiś kwiatowy zapach. Co to jest? - Cooper podszedł z torebką do Rhyme'a i podsunął mu pod nos. Woń wydawała się znajoma, ale Rhyme nie umiał jej nazwać.

- Geneva?

- Słucham.

- Czy to zapach, który poczułaś w bibliotece? Dziewczyna powąchała.

- Tak, to ten.

- Jaśmin - oznajmiła Sachs. - Chyba jaśmin.

- Na tablicę - polecił Rhyme.

- Jaką tablicę? - zdziwił się Cooper, rozglądając się po pokoju. Przy każdej sprawie Rhyme kazał spisywać na białych tablicach

listę dowodów znalezionych na miejscach zbrodni oraz profile sprawców.

- Trzeba zacząć nową - zarządził. - I musimy go jakoś nazwać. Niech ktoś podsunie jakieś imię.

Nikt nie miał żadnego pomysłu.

- Nie ma czasu na twórcze wzloty - powiedział Rhyme. - Dziś mamy dziewiąty października, prawda? Dziesięć, dziewięć. Niech będzie NS 109. Thom! Przyda się nam twój elegancki charakter pisma.

- Nie ma się co podlizywać - odrzekł asystent, wchodząc do laboratorium z drugim dzbankiem kawy.

- NS sto dziewięć. Tablica dowodów i profilu. Biały mężczyzna. Wzrost?

- Nie wiem - powiedziała Geneva. - Każdy wydaje mi się wysoki. Chyba metr osiemdziesiąt.

- Spostrzegawcza jesteś. Zapisz, Thom. Waga?

- Ani za gruby, ani za chudy. - Zamilkła na chwilę, zasępiając się. - Mniej więcej taki jak doktor Barry.

- Jakież osiemdziesiąt kilogramów - ocenił Sellitto. - Wiek?

- Nie wiem. Nie widziałam jego twarzy.

- Głos?

- Nie zwróciłam uwagi. Chyba zwyczajny.

- Jasnobrązowe buty, ciemne spodnie, ciemna kominiarka - ciągnął Rhyme. - Zestaw w torbie pachnącej jaśminem. Sprawca też nim pachnie. Może to mydło albo płyn po goleniu.

- Zestaw? - spytał Thom. - Co masz na myśli.

- Zestaw gwałciciela - odrzekła Geneva. Zerknęła na Rhyme'a. - Nie musi się pan ze mną obchodzić jak z jajkiem. Jeżeli o to chodzi.

- Zgoda. - Rhyme skinął jej głową. - Idźmy dalej. - Zauważył, że Sachs spochmurniała, przyglądając się, jak Cooper unosi torebkę.

- Co się stało?

- Ta uśmiechnięta twarz. Na torebce. Co to za chory sukinsyn? Zdumiał go jej gniew.

- Sachs, przecież zdajesz sobie sprawę, że to dla nas dobra wiadomość.

- Dobra?

- To nam ogranicza liczbę sklepów do sprawdzenia. Łatwiej byłoby mieć logo konkretnego sklepu, ale i tak lepiej, niż gdyby to była niezadrukowana folia.

- Pewnie masz rację - odrzekła, krzywiąc się. - Ale mimo wszystko.

Mel Cooper przejrzał zawartość torebki. Najpierw wyciągnął kartę tarota. Przedstawiała człowieka wiszącego głową w dół, przywiązanego za nogę do szubienicy. Z jego głowy promieniowało światło. Na twarzy malowała się dziwna obojętność. Wyglądał, jakby nie odczuwał żadnego bólu. U góry widniała zapisana rzymskimi cyframi liczba dwanaście.

- Coś ci to mówi? - spytał Geneve Rhyme. Dziewczyna pokręciła głową.

- Jakiś rytuał albo element kultu? - zastanawiał się Cooper.

- Mam myśl - odezwała się Sachs. Wyciągnęła telefon komórkowy i do kogoś zadzwoniła. Rhyme wywnioskował, że osoba, z którą rozmawiała, niedługo się tu zjawi. - Wezwałam specjalistę - w sprawie karty.

- Dobrze.

Cooper zbadał kartę, lecz nie znalazł na niej żadnych odcisków palców. Nie wykrył też żadnych przydatnych śladów.

- Co jeszcze jest w torebce? - zapytał Rhyme.

- Nowa rolka taśmy izolacyjnej - odparł technik - składany nóż, prezerwatywy Trojan. Nie do wykrycia. Poza tym... Bingo! - Cooper pokazał małą karteczkę. - Jest paragon.

Rhyme podjechał bliżej i obejrzał kwit. Na paragonie nie było nazwy sklepu; kartka została wydrukowana na zwykłej maszynie sumującej. Tusz już wyblakł.

- Niewiele nam to powie - wtrącił Pulaski, ale zaraz się chyba zreflektował, że nie powinien się odzywać.

Co on tu robi? - pomyślał Rhyme. Ach, tak. Pomaga Sellitcie.

- Przykro mi, ale mam inne zdanie - odburknął Rhyme. - Ta karteczka mówi nam bardzo dużo. Sprawca kupił wszystkie przedmioty w jednym sklepie - można porównać paragon z metkami - plus coś jeszcze za pięć dziewięćdziesiąt dziewięć, czego nie ma w torebce. Może talię kart tarota. Czyli mamy sklep, który sprzedaje taśmę inlaftino - brązowy albo drogeria z różnymi drobiazgami. Wiemy, że nie należy do żadnej sieci, bo nie ma logo na torebce ani na paragonie. No i nie jest bogaty, skoro są tam zwykłe kasy, a nie komputerowe. Nie mówiąc o niskich cenach. A podatek obrotowy mówi nam, że sklep jest... - Zmrużył oczy, porównując częściową sumę na paragonie z kwotą podatku. - Cholera, kto jest dobry z matematyki? He to procent?

- Mam kalkulator - powiedział Cooper. Geneva zerknęła na paragon.

- Osiem i sześćset dwadzieścia pięć tysięcynych.

- Jak to policzyłaś? - zdumiała się Sachs.

- Tak po prostu - odrzekła dziewczyna.

- Osiem i sześćset dwadzieścia pięć - powtórzył Rhyme. - To łączny podatek obrotowy stanu i miasta. A więc sklep musi być w jednej z pięciu dzielnic. - Zerknął na Pułaskiego. - Posterunkowy, nadal sądzisz, że paragon w niczym nam nie pomoże?

- Już zrozumiałem, panie kapitanie.

- Nie jestem już w służbie. „Panie kapitanie” jest niepotrzebne. No dobrze. Sprawdzić wszystko i zobaczymy, czy będą jakieś odciski.

- Ja mam to zrobić? - spytał niepewnie nowy.

- Nie. Oni.

Ujawniając ślady linii papilarnych, Cooper i Sachs wykorzystali różne techniki: do gładkich powierzchni użyli proszku fluorescencyjnego, sprayu Ardrex i pary cyjanoakrylanu, natomiast do porowatych oparu jodu i ninhydryny. Niektóre odciski ujawniły się od razu, inne były widoczne w zmiennym świetle.

Spoglądając na pozostałych członków zespołu przez duże pomarańczowe gogle, technik zameldował:

- Są odciski na paragonie i na kupionym towarze. Wszystkie takie same. Problem w tym, że są małe, za małe na mężczyznę, który ma metr osiemdziesiąt wzrostu. Moim zdaniem należą do drobnej kobiety albo nastoletniej dziewczyny, pewnie sprzedawczyni. Widzę też smugi. Przypuszczam, że sprawca wytarł własne odciski.

Usunięcie wszystkich substancji potowych i łojowych pozostawione przez ludzkie palce jest trudne, ale odciski można bez trudu wymazać, wycierając dotykaną powierzchnię.

- Sprawdź je w AFIS-ie.

Cooper zdjął odfitki odcisków i zeskanował. Dziesięć minut później zintegrowany system informacji daktyloskopijnej FBI poinformował ich, że odfitki nie należą do żadnej z osób umieszczonych w głównych bazach danych - miejskich, stanowych i federalnych. Cooper wysłał odfitki do niektórych lokalnych banków danych niepołączonych z systemem FBI.

- Teraz buty - polecił Rhyme.

Sachs wyciągnęła folię z elektrostatycznym obrazem śladu buta. Protektor podeszwy był starty, a więc buty nie były nowe.

- Rozmiar jedenaście - oznajmił Cooper.

Między rozmiarem stopy a budową kości i wzrostem istniała pewna współzależność, choć dla sądu był to dowód równie wątki jak poszlaka. Mimo to rozmiar świadczył, że Geneva prawdopodobnie miała rację, oceniając wzrost mężczyzny na metr osiemdziesiąt.

- Marka obuwia?

Cooper sprawdził odfitkę w policyjnej bazie danych z odfitkami podeszew i znalazł pasujący wzór protektora.

- Bass, buty turystyczne. Mają co najmniej trzy lata. W zeszłym roku przestali produkować ten model.

- Starcie podeszwy wskazuje - powiedział Rhyme - że nasz NS lekko wykręca prawą stopę na zewnątrz, ale nie utyka i nie ma żadnych zauważalnych haluksów, wrastających paznokci ani innych *malades des pieds*.

- Nie wiedziałem, że znasz francuski, Lincoln - rzekł Cooper.

Tylko w stopniu ułatwiającym śledztwo. To wyrażenie Rhyme zapamiętał z pracy nad sprawą skradzionych prawych butów, kiedy kilka razy rozmawiał z francuskim gliniarzem.

- Jak wyglądają mikroślady?

Cooper ślęczał nad torebkami zawierającymi drobiny materiału, jakie przykleiły się do rolki - lepkiego wałka do zbierania mikrośladów, podobnego do przyrządu, którym usuwa się nitki i sierść zwierząt domowych. Wałki wykorzystywano zamiast odkurzaczy Dust-Buster do zbierania włókien, włosów i suchych osadów.

Ponownie nałożywszy gogle powiększające, technik delikatnie chwycił pęsetą kawałeczki materiału, umieścił między płytkami i wsunął pod mikroskop, a potem ustawił powiększenie i ostrość. Obraz pojawił się równocześnie na kilku płaskich monitorach ustawionych w różnych miejscach laboratorium. Rhyme odwrócił wózek, by lepiej przyjrzeć się obrazowi na ekranie. Zobaczył pyłki wyglądające na drobiny kurzu, kilka włókien, grube białe bryłki i jakieś bursztynowe

łuski przypominające fragmenty szkieletu zewnętrznych owadów. Kiedy Cooper przesunął obraz, zobaczyli małe gąbczaste kulki koloru złamanej bieli.

- Skąd to jest?

Sachs spojrzała na torebkę.

- Z dwóch źródeł: z podłogi obok stołu, przy którym siedziała Geneva, i z pojemnika na śmieci, gdzie stał, strzelając do Barry'ego.

Mikroślady zebrane w miejscu publicznym często były bezużyteczne ze względu na duże prawdopodobieństwo pozostawienia ich przez obce osoby. Ale znalezienie podobnego materiału w dwóch różnych miejscach, w których przebywał sprawca, wyraźnie wskazywało, że to jego ślady.

- Dzięki ci, Boże, za to, że w swej mądrości stworzyłeś buty z głębokim protektorem - mruknął Rhyme. Sachs i Thom wymienili spojrzenia.

- Zastanawiacie się, dlaczego mam taki dobry humor? - spytał Rhyme, wciąż wpatrując się w ekran. - Stąd te porozumiewawcze spojrzenia? Widzicie, czasem naprawdę bywam wesoły.

- Od wielkiego dzwonu - mruknął jego asystent.

- Uwaga, Lon, alarm frazeologiczny. Słyszałeś to wyrażenie? Wracajmy do mikrośladów. Wiemy, że pochodzą od niego. Ale co to jest? I czy może nas doprowadzić do jego kryjówki?

Podczas analizy dowodów kryminaliści stają wobec kilkupiętrowego zadania. Wstępny etap - zwykle najłatwiejszy - polega na zidentyfikowaniu substancji (na przykład na ustaleniu, czy brązowa plama to krew, czy jest ludzka czy zwierzęca, albo czy znaleziony kawałek ołowiu stanowi fragment pocisku).

Drugie zadanie to zaklasyfikowanie próbki, czyli przyporządkowanie jej do konkretnej podkategorii (na przykład określenie, czy to krew grupy zero lub amunicja kalibru.38). Informacje o przynależności dowodów do odrębnej klasy mogą być cenne dla policji i prokuratury, jeśli uda się znaleźć związek podejrzanego z dowodem podobnej kategorii - ma broń kalibru.38 lub na jego koszuli jest plama krwi grupy zero - choć sam fakt nie stanowi rozstrzygającego argumentu.

Ostatnie zadanie i najważniejszy cel kryminalistów polega na zindywidualizowaniu dowodu - ustaleniu bezspornego związku konkretnego materiału dowodowego z jednym miejscem albo jednym człowiekiem (DNA wyodrębnione z krwi znalezionej na koszuli zgadza się z kodem genetycznym ofiary, pocisk ma charakterystyczny znak wskazujący, że został wystrzelony z broni podejrzanego).

Zespół znajdował się na najniższym piętrze tej kryminalistycznej piramidy. Wiedzieli na przykład, że znalezione nitki to jakieś włókna. Ale w Stanach Zjednoczonych rocznie produkowano ponad tysiąc różnych włókien i używano do nich ponad siedmiu tysięcy różnych barwników. Mimo to potrafili zawęzić pole poszukiwań. Analiza Coopera wykazała, że włókna pozostawione przez sprawcę są pochodzenia roślinnego - nie zwierzęcego ani mineralnego - i że są grube.

- Założę się, że to bawełniany sznur - rzekł Rhyme. Przeglądając bazę danych włókien pochodzenia roślinnego.

Cooper kiwał potakująco głową.

- Zgadza się, bawełna. Ale zwyczajna. Nie znajdę producenta.

Jedno włókno nie było zabarwione, ale na drugim widać było jakąś kolorową plamę. Była brązowa i Cooper przypuszczał, że to krew. Test fenoloftaleinowy wykazał, że miał rację.

- Jego? - zastanawiał się Sellitto.

- Kto wie? - odparł Cooper, badając dalej próbkę. - W każdym razie na pewno ludzka. Na podstawie stopnia zgniecenia i pękniętych końców podejrzewam, że to fragment pętli. Nieraz widzieliśmy podobne. Przypuszczalnie to miało być narzędzie zbrodni.

Cios tępym przedmiotem miał więc po prostu obezwładnić ofiarę, a nie pozbawić życia (zatłuczenie człowieka na śmierć to ciężka i nieprzyjemna robota). Sprawca miał też pistolet, lecz była to zbyt głośna broń, jeżeli chciał zabić cicho i uciec. Uduszenie miało sens.

Geneva westchnęła.

- Panie Rhyme? Co z moim testem?

- Testem?

- W szkole.

- Ach, tak. Jeszcze chwileczkę... Chcę wiedzieć, z jakiego owada pochodzą te resztki - ciągnął Rhyme.

- Posterunkowy - zwróciła się do Pułaskiego Sachs.

- Tak, proszę pa... detektywie?

- Możesz nam w tym pomóc?

- Jasne.

Cooper wydrukował kolorowy obraz kawałka szkieletu i podał nowemu. Sachs posadziła go przed jednym z komputerów i połączyła się z policyjną bazą danych owadów - Departament Policji Nowego Jorku był jedną z niewielu policyjnych jednostek na świecie dysponującą nie tylko obszerną biblioteką na temat owadów, ale także własnym entomologiem. Po chwili ekran wypełniły miniaturki zdjęć części owadów.

- Kurczę, ale tego jest. Właściwie nigdy czegoś takiego nie robiłem. - Mrużąc oczy, zaczął oglądać dane.

Sachs powstrzymała się od uśmiechu.

- Nie tak wyglądają „Kryminalne zagadki Las Vegas”, co? - zauważyła. - Powoli wszystko przewijaj i szukaj czegoś w miarę podobnego. Zwracam uwagę na słowo „powoli”.

- Najczęstszym powodem błędów w analizach kryminalistycznych jest pośpiech techników - powiedział Rhyme.

- Nie wiedziałem.

- Teraz już wiesz - odrzekła Sachs.

Rozdział 6

Sprawdź w chromatografie te białe kulki - polecił Rhyme. - Co to może być, do cholery?

Mel Cooper zdjął kilka próbek z taśmy i wprowadził do chromatografu gazowego sprzężonego ze spektrometrem masowym, podstawowego narzędzia we wszystkich laboratoriach kryminalistycznych. Urządzenie rozdziela nieznaną materię na składniki, które identyfikuje. Na wyniki musieli poczekać mniej więcej kwadrans, więc w tym czasie Cooper złożył w całość pocisk wyjęty przez lekarza z oddziału urazowego z nogi kobiety postrzelonej przez sprawcę. Sachs poinformowała ich wcześniej, że strzał musiał paść z rewolweru, nie z pistoletu automatycznego, ponieważ za kufem na śmieci przed muzeum nie było wyrzuconych z broni łusek.

- Och, paskudne - rzekł cicho Cooper, badając fragmenty kuli pęsetą. - Broń jest mała, dwudziestkadwójka. Ale to pociski magnum.

- To dobrze - odparł Rhyme. Był zadowolony, bo wersja magnum pocisków bocznego zapłonu kalibru.22 występowała rzadko i łatwiej ją było wytropić. Fakt, że strzelano nimi z rewolweru, był dla policji korzystny. Oznaczało to, że powinni bez trudu zidentyfikować producenta.

Sachs, wyczynowy strzelec, nie musiała nawet sprawdzać.

- Przychodzi mi do głowy tylko North American Arms. Może to model Black Widów, ale przypuszczam, że raczej Mini-Master. Ma dziesięciocentymetrową lufę. Jest dokładniejszy, a te strzały miały minimalny rozrzut.

Rhyme spytał technika ślęczącego nad stołem:

- Co masz na myśli, mówiąc „paskudne”?

- Sami zobaczcie.

Rhyme, Sachs i Sellitto zbliżyli się do stołu. Cooper przesuwając pęsetą zakrwawione kawałeczki metalu.

- Wygląda na to, że sam je zrobił.

- Wybuchowe?

- Nie, ale prawie tak samo niebezpieczne. Może nawet gorsze. Zewnętrzna warstwa jest z cienkiego ołowiu. A w środku pocisku było to.

Na stole leżało kilka drobnych igieł długości około centymetra. W momencie uderzenia w cel kula roztrzaskiwała się, a igły wbijały się w ciało w kształcie litery V. Mimo że pociski były niewielkie, wyrządzały znacznie poważniejsze szkody od zwykłej amunicji. Nie miały powstrzymać napastnika; ich zadanie polegało wyłącznie na niszczeniu tkanki wewnętrznej. Spreparowane pociski nie wywoływały paraliżującego efektu jak te dużego kalibru, ale powodowały bardzo bolesne rany.

Wpatrując się w igły, Lon Sellitto pokręcił głową i podrapał niewidoczną plamkę na policzku, myśląc zapewne, jak niewiele brakowało, by i jego trafił jeden z tych pocisków.

- Jezu - mruknął. Głos mu się załamał, więc chrząknął, pokrywając zmieszanie śmiechem, i odszedł od stołu.

Co ciekawe, porucznik zareagował znacznie gwałtowniej niż dziewczyna. Geneva zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na makabryczne pociski, jakimi posługiwał się napastnik. Znów zerknęła na zegarek, niecierpliwie kręcąc się na krześle.

Cooper zeskanował największe fragmenty kuli i przesłał informacje do IBIS, zintegrowanego systemu identyfikacji balistycznej, z którego korzystało ponad tysiąc departamentów policji z całego kraju, a także do federalnego systemu DRUGFIRE. Dzięki tym ogromnym bazom danych można zidentyfikować amunicję lub broń, porównując pocisk, fragment lub łuskę ze zgromadzonymi w nich zasobami. Na przykład można szybko ustalić związek między bronią znaną dziś przy podejrzanym z pociskiem wyjętym z ciała ofiary pięć lat wcześniej.

Tym razem jednak odpowiedź była negatywna. Igle wyglądały, jak gdyby odłamano je ze zwykłych igieł do szycia, jakie można kupić wszędzie. Nie do wykrycia.

- Nie zawsze jest łatwo, nie? - mruknął Cooper. Na prośbę Rhyme'a sprawdził zarejestrowanych właścicieli modeli Mini-Master i mniejszych Black Widów kalibru.22 magnum. Uzyskał listę prawie tysiąca osób, z których żadna nie była notowana. Sklepy nie mają obowiązku przechowywania rejestrów nabywców amunicji, co oznacza, że nigdy tego nie robią. Poszukiwania broni utknęły w martwym punkcie.

- Pułaski? - krzyknął Rhyme. - Co to za owad?

- Chodzi o szkielet zewnętrzny - tak pan to nazwał?

- Tak, tak. Jest coś?

- Na razie nic. Co to właściwie jest szkielet zewnętrzny? Rhyme nie odpowiedział. Zerknąwszy na ekran, zobaczył, że

młody funkcjonariusz jest dopiero przy pluskwiakach. Miał jeszcze przed sobą sporo do

przeszukania.- Pracuj dalej.

Zabrzącał komputer sprzężony z chromatografem: urządzenie skończyło analizę białych kulek. Na ekranie ukazał się sinusoidalny wykres, a poniżej tekst. Cooper pochylił się i powiedział:

- Mamy tu kurkuminę, demetoksykurkuminę, bisdemetoksykurkuminę, olejek eteryczny, aminokwasy, lizynę i tryptofan, treoninę i izoleucynę, chlor, śladowe ilości innych białek i dużą proporcję skrobi, oleje, triglicerydy, sól, polisacharydy... Nigdy nie widziałem takiej kombinacji.

Chromatograf ze spektrometrem doskonale rozdzielał i identyfikował różne substancje, ale niekoniecznie umiał odpowiedzieć, co razem tworzą. Na podstawie listy składników Rhyme często potrafił wydedukować, czy ma do czynienia z pospolitą substancją w rodzaju benzyny czy materiału wybuchowego. Tym razem jednak lista nic mu nie mówiła. Przechylił głowę i zaczął klasyfikować wszystkie substancje na te, które z punktu widzenia nauki mogły występować razem, i te, które z reguły nie występowały.

- Nie ma wątpliwości, że kurkumina, jej związki i polisacharydy pasują do siebie.

- Nie ma wątpliwości - kwaśno odrzekła Amelia Sachs, która zwykle urywała się z lekcji przedmiotów ścisłych w szkole średniej, żeby chodzić na wyścigi samochodowe.

- Nazwijmy to sobie substancją numer jeden. Dalej aminokwasy, białka, skrobia i triglicerydy - też często występują razem. Nazwijmy je substancją numer dwa. Chlor...

- Trucizna, prawda? - odezwał się Pułaski.

- ...i sól - mruknął Rhyme - to najprawdopodobniej sól. - Zerknął na nowego. - Groźna tylko dla osób z nadciśnieniem. Albo dla ślimaków ogrodowych.

Chłopak wrócił do przeszukiwania bazy danych owadów.

- Czyli substancja numer dwa - aminokwasy, skrobia i oleje - to przypuszczalnie coś do jedzenia, coś słonego. Mel, wejdź do sieci i zobacz, w czym, do cholery, można znaleźć kurkuminę.

Cooper spełnił polecenie.

- Masz rację. To barwnik roślinny używany do produktów spożywczych. Zwykle występuje z resztą składników substancji numer jeden. I olejkami eterycznymi.

- W jakich produktach spożywczych?

- W setkach.

- Mógłbyś z łaski swojej podać jakieś przykłady?

Cooper zaczął czytać długą listę. Nagle Rhyme mu przerwał.

- Czekał, masz na tej liście popcorn?

- Zobaczą... tak, jest.

Rhyme odwrócił się i zawołał do Pułaskiego:

- Możesz przestać.

- Przestać?

- To nie jest żaden owadzi szkielet, tylko łuska ziarna kukurydzy. Niech to szlag, powinienem się od razu domyślić. - W przekleństwie nie było jednak słychać złości. - Thom, do tablicy. Nasz gagatek lubi niezdrowe jedzenie.

- Mam tak napisać?

- Oczywiście, że nie. Być może nie cierpi popcornu. Niewykluczone, że pracuje w wytwórni popcornu albo w kinie. Po prostu dopisz „popcorn”. - Rhyme spojrział na tablicę. - Obejrzyjmy teraz drugi materiał. Ten brudnobiały.

Cooper przeprowadził jeszcze jeden test chromatograficzny. Substancja składała się z sacharozy i kwasu moczowego.

- Kwas jest stężony - rzekł technik. - A cukier czysty - żadnych innych dodatków spożywczych. I ma niezwykłą strukturę krystaliczną. Nigdy takiej nie widziałem.

Wiadomość zaniepokoiła Rhyme'a.

- Wyślij to do pirotechników z FBI.

- Pirotechników? - zdziwił się Sellitto.

- Nie czytało się mojej książki, hm? - spytał Rhyme.

- Nie - odparował tęgi detektyw. - Byłem zajęty łapaniem bandytów.

- Poddaję się. Ale nie zaszkodziłoby od czasu do czasu rzucić okiem na tytuły. Na przykład na „Materiały wybuchowe domowej produkcji”. W składzie często można znaleźć cukier. Zmieszasz go z azotanem sodu i masz bombę dymną. Z nadmanganianem - masz słaby materiał wybuchowy, który może jednak narobić dużo szkody, jeżeli wpakujesz go do rury. Nie mam pojęcia, co z tym kwasem moczowym, ale Biuro ma najlepszą bazę danych na świecie. Tam się dowiemy.

Laboratorium FBI przeprowadza bezpłatnie analizy dowodów dla stanowych i lokalnych stróżów prawa, pod warunkiem że zgłaszający prośbę spełnią dwa wymogi: przyjmą wyniki FBI za ostateczne i pokażą je adwokatowi oskarżonego. Z powodu wielkoduszności i talentu Biura agenci są zasypywani prośbami o pomoc; rocznie przeprowadzają ponad siedemset tysięcy analiz.

Nawet nowojorczyacy musieli grzecznie czekać w kolejce na analizę drobin cukru. Ale Lincoln Rhyme miał wtyczkę - Freda Dellraya, agenta specjalnego w manhattańskim biurze FBI, który często współpracował z nim i Sachs i był ważną figurą u federalnych. Nie bez znaczenia był też fakt, że Rhyme pomógł FBI stworzyć PERT - zespół analizy dowodów fizycznych. Sellitto zadzwonił do Dellraya, którego oddelegowano do grupy specjalnej sprawdzającej zgłoszenia o potencjalnych atakach terrorystycznych w Nowym Jorku. Agent skontaktował się z kwaterą główną FBI w Waszyngtonie i w ciągu kilku minut jeden z techników został przydzielony do pomocy w sprawie NS 109. Cooper wysłał do niego bezpieczną pocztą elektroniczną wyniki analiz i skompresowany obraz cyfrowy substancji.

Nie minęło dziesięć minut, kiedy zadzwonił telefon.- Polecenie, odbierz - rzucił Rhyme do systemu rozpoznawania głosu.

- Proszę z detektywem Rhyme'em.

- Tu Rhyme.

- Mówi technik Phillips z Dziewiątej. - Z Dziewiątej Ulicy w Waszyngtonie, gdzie mieściła się centrala FBI.

- Co pan dla nas ma? - spytał bez żadnych wstępów Rhyme.

- I dziękujemy za szybką odpowiedź - dodała pospiesznie Sachs. Czasem musiała interweniować, by łagodzić bezceremonialność Rhyme'a.

- Nie ma sprawy, proszę pani. A więc próbka wydała mi się trochę dziwna, dlatego wysłałem ją do analiz materiałów. I trafiłem. Mamy identyfikację na dziewięćdziesiąt siedem procent.

Rhyme zastanawiał się, jak niebezpieczny może być badany materiał wybuchowy.

- Niech pan mówi - powiedział. - Co to jest?

- Wata cukrowa.

Tego żargonowego terminu nie znał. Ale istniało mnóstwo środków wybuchowych nowej generacji, o prędkości detonacji rzędu dziewięciu tysięcy metrów na sekundę, dziesięciokrotnie większej od prędkości pocisku. Czy taki właśnie znaleźli?

- Jakie ma właściwości? - zapytał. Chwila ciszy.

- Jest smaczna.

- Co takiego?

- Słodka. I smaczna.

- Chce pan powiedzieć, że to prawdziwa wata cukrowa, taka, jaką można kupić w wesołym

miasteczku?

- Owszem, a jak pan myślał?

- Nieważne. - Kryminalistyk westchnął i spytał: - A kwas moczowy został na jego bucie, kiedy wdepnął w jakieś psie siki na chodniku, tak?

- Nie potrafię powiedzieć, gdzie w nie wdepnął - odparł ekspert z właściwą dla pracowników Biura precyzją. - Ale faktem jest, że w próbce stwierdzono obecność psiego moczu.

Rhyme podziękował mu i się rozłączył. Zwrócił się do zespołu:

- Miał na butach jednocześnie popcorn i watę cukrową. - Zamyślił się. - Skąd mógł to przynieść?

- Z meczu baseballu?

- Drużyny nowojorskie ostatnio nie grały u siebie. Odnoszę wrażenie, że sprawca odwiedził okolicę, gdzie w ciągu ostatnich dni było wesołe miasteczko albo jakiś festyn. Chodziłaś niedawno do wesołego miasteczka? - spytał Genevy. - Mógł cię tam zobaczyć?

- Ja? Nie chodzę do wesołego miasteczka.

- Posterunkowy - zwrócił się do Pułaskiego Rhyme. - Skoro masz już z głowy zadanie z owadami, zadzwoń do kogo trzeba i sprawdź wszystkie pozwolenia, jakie wydano na wesołe miasteczka, festyny, uroczystości, spotkania religijne i tak dalej.

- Już się robi - odrzekł nowy.

- Co jeszcze mamy? - zapytał Rhyme.

- Płatki z karetki czytnika mikrofizek, zdjęte z miejsca, w które uderzył tępy narzędnikiem.

- Płatki?

- Chyba kawałki lakieru z tego przedmiotu.

- Dobra, sprawdź w Marylandzie.

FBI dysponowało ogromną bazą danych z próbkami farb, obecnych na rynku i produkowanych dawniej, znajdującą się w jednym z budynków Biura w Marylandzie. Korzystano z niej głównie w celu identyfikacji lakierów samochodów. Były w niej jednak także próbki setek innych barwników. Po kolejnej interwencji Dellraya Cooper przesłał tam wyniki analizy chromatograficznej i inne dane o płatkach znalezionych w bibliotece. W ciągu paru minut zadzwonił telefon i technik FBI poinformował ich, że próbka pochodzi z lakieru sprzedawanego wyłącznie producentom sprzętu używanego w sztukach walki, takiego jak nunczaku lub tonfy. Miał też dla nich złą wiadomość: nie udało się ustalić producenta substancji, którą w dodatku sprzedawano w dużych ilościach, co

oznaczało, że jest właściwie nie do wykrycia.

- No dobrze, mamy gwałciciela uzbrojonego w nunczaku, podrasowane pociski i zakrwawiony sznur... facet to żywy koszmar.

Rozległ się dzwonek u drzwi i po chwili Thom wprowadził do pokoju dwudziestokilkuletnią kobietę, obejmując ją ramieniem

- Patrzcie, kto przyszedł.

Szczupła kobieta miała nastroszone fioletowe włosy i urodziwą twarz. Elastyczne spodnie i sweter ukazywały wysportowane ciało - Rhyme wiedział, że to ciało artystki.

- Kara - powiedział. - Miło cię znowu widzieć. Domyślam się, że to ty jesteś tą specjalistką, do której dzwoniła Sachs.

- Cześć. - Kobieta uściskała Sachs, przywitała się z pozostałymi i położyła dłonie na rękach Rhyme'a. Sachs przedstawiła ją Genevie, która przyjrzała się jej z powściągliwą miną.

Kara (to był jej pseudonim sceniczny; prawdziwego imienia nie chciała wyjawic) była iluzjonistką i artystką estradową, która pomogła Rhyme'owi i Sachs jako konsultantka w niedawnej sprawie morderstwa. Zabójca podchodził ofiary, mordował je i uciekał, wykorzystując umiejętności prestidigitatorskie.

Mieszkała w Greenwich Village, lecz kiedy Sachs do niej zadzwoniła, właśnie odwiedzała matkę w domu opieki na górnym Manhattanie. Przez chwilę dzieliły się z Sachs nowinami - Kara przygotowywała jednoosobowy program dla Performance Warehouse w Soho i spotykała się z akrobatą - gdy Rhyme przerwał im, mówiąc:

- Potrzebujemy twojej fachowej wiedzy.- Jasne - odrzekła młoda kobieta. - Jeżeli tylko mogę pomóc. Sachs wyjaśniła, o co chodzi w sprawie. Kara spoważniała, a słysząc o próbie gwałtu, szepnęła do Genevy:

- Przykro mi.

Nastolatka wzruszyła tylko ramionami.

- Miał przy sobie to - odezwał się Cooper, pokazując kartę tarota z wizerunkiem wisielca.

- Pomyśleliśmy, że będziesz nam mogła coś o tym powiedzieć. Kara mówiła kiedyś Rhyme'owi i Sachs, że świat magii dzieli się

na dwa obozy: artystów estradowych, którzy nie roszczą sobie pretensji do posiadania nadprzyrodzonych sił, oraz osób twierdzących, że dysponują tajemną mocą. Kara nie miała cierpliwości do tych drugich - uważała się wyłącznie za artystkę - ale kiedyś zarabiała na życie, pracując w sklepach z akcesoriami magików i dzięki zdobytemu tam doświadczeniu wiedziała co nieco o wróżbiarstwie.

- Tarot to bardzo stara sztuka wróżenia, pochodząca ze starożytnego Egiptu - zaczęła. - Talia kart tarota składa się z arkanów małych - odpowiednika talii pięćdziesięciu dwóch zwykłych kart - i z arkanów wielkich, od zera do dwudziestu jeden. Wszystkie mają przedstawiać drogę życiową. Wisielec jest dwunastą kartą arkanów wielkich. - Pokręciła głową. - Ale coś tu nie gra.

- Co takiego? - zapytał Sellitto, dyskretnie pocierając policzek.

- To wcale nie jest zła karta. Spójrzcie na obrazek.

- Jak na człowieka wiszącego głową w dół - powiedziała Sachs - wygląda dosyć spokojnie.

- Postać na karcie jest wzorowana na skandynawskim bogu Odynie, który przez dziewięć dni wisiał głową w dół, poszukując wewnętrznej mądrości. Kiedy ktoś wylosuje tę kartę, oznacza to, że rozpocznie poszukiwanie duchowego oświecenia. - Ruchem głowy wskazała komputer. - Mogę?

Cooper zrobił przyzwalający gest. Kara wstukała hasło do Google'a i kilka sekund później znalazła jakąś stronę.

- Jak to mogę wydrukować?

Sachs pomogła jej i po chwili z drukarki laserowej wysunęła się kartka z tekstem. Cooper przykleił ją do tablicy.

- To jest interpretacja karty - powiedziała Kara.

Karta Wisielca nie wiąże się z karą. Jej pojawienie się oznacza duchowe poszukiwanie prowadzące do podjęcia decyzji, przemiany, zmiany kierunku. Karta często zapowiada poddanie się doświadczeniu, rezygnację z walki, pogodzenie się z rzeczywistością. Gdy wylosuje się tę kartę, należy słuchać wewnętrznego głosu, nawet jeśli jego podszept wydaje się sprzeczny z logiką.

- Wisielec nie ma nic wspólnego z przemocą ani śmiercią - dodała Kara. - Chodzi tu raczej o stan duchowego zawieszenia i oczekiwania. - Pokręciła głową. - Zabójca nie zostawiłby czegoś takiego na miejscu zbrodni, gdyby miał jakieś pojęcie o tarocie. Jeśliby chciał przekazać jakąś przestrożę, zostawiłby Wieżę albo jedną z kart koloru mieczy z arkanów małych. To one oznaczają złe wiadomości.

- Czyli wybrał Wisielca, bo groźnie wygląda - podsumował Rhyme. - I dlatego, że zamierzał udusić albo „powiesić” Geneve.

- Tak przypuszczam.

- Bardzo nam pomogłaś - rzekł Rhyme. Sachs też jej podziękowała.

- Powinam wracać. Na próby. - Kara podała rękę Genevie. - Mam nadzieję, że wszystko się dobrze skończy.

- Dzięki.

Kara podeszła do drzwi. Przystanąła i spojrzała na Geneve.

- Lubisz iluzję i pokazy magii?

- Rzadko wychodzę z domu - odrzekła dziewczyna. - Mam dużo pracy w szkole.

- Za trzy tygodnie mam występ. Jeżeli chciałabyś przyjść, szczegóły znajdziesz na bilecie.

- Na czym?

- Na bilecie.

- Nie mam biletu.

- Ależ masz - odparła Kara. - W torbie. A ten kwiatek - niech to będzie twój szczęśliwy talizman.

Wyszła i usłyszeli trzask zamykanych drzwi.

- O czym ona mówiła? - spytała Geneva, patrząc na swoją zamkniętą torbę.

Sachs zaśmiała się.

- Otwórz.

Dziewczyna rozsunęła zamek i w zdumieniu wytrzeszczyła oczy. Wewnątrz spoczywał bilet na przedstawienie Kary. Obok leżał sprasowany fiołek.

- Jak ona to zrobiła? - szepnęła Geneva.

- Nigdy nie udało się nam jej przyłapać - rzekł Rhyme. - Wiemy tylko, że jest niesamowita.

- Fakt, niesamowita. - Dziewczyna wzięła zasuszony kwiatek.

Wzrok kryminalistyka zatrzymał się na karcie tarota, którą Cooper przyklejał na tablicy obok wydruku z interpretacją jej znaczenia.

- A więc karta tylko wygląda jak przedmiot, który zabójca zostawiłby w miejscu jakiejś okultystycznej zbrodni. Nie miał jednak pojęcia, co oznacza. Wybrał ją tylko dla efektu. Czyli oznacza to... - Urwał, patrząc na zapiski na tablicy. - Jezu.

Pozostali spojrzeli na niego.

- Co? - zapytał Cooper.

- Wszystko zrozumieliśmy na opak. Przystając trzecią twarz, Sellitto zapytał: - Co masz na myśli?

- Popatrzcie na odciski z przedmiotów, które były w torbce. Swoje wytarł, zgadza się?

- Owszem - przytaknął Cooper.

- Ale znaleźliśmy odciski - zauważył kryminalistyk. - Prawdopodobnie zostawiła je sprzedawczyni, bo takie same są na paragonie.

- No. - Sellitto wzruszył ramionami. - Co z tego?

- To, że stał swoje odciski, zanim podszedł do kasy. Kiedy jeszcze był w sklepie. - W pokoju zapadło milczenie. Zirytowany, że nikt za nim nie nadaża, Rhyme ciągnął: - Bo chciał, żeby na wszystkich były odciski sprzedawczyni.

Sachs zrozumiała.

- Wcale nie zapomniał zestawu gwałciciela. Chciał, żebyśmy go znaleźli.

Pulaski kiwał głową.

- Inaczej wytarłby wszystko po powrocie do domu.

- Otóż to - rzekł Rhyme z nutką triumfu w głosie. - Sądzę, że to podrzucony dowód. Który miał nas przekonać, że to gwałt z jakimś okultystycznym podtekstem. Zaraz, zaraz... Cofnijmy się o krok. - Gdy użył tego wyrażenia, z rozbawieniem pochwycił spojrzenie Pułaskiego, który niepewnie zerknął na jego nogi. - Napastnik znajduje Geneve w muzeum. Nietypowe miejsce na gwałt. Potem wymierza jej cios - właściwie manekinowi - tak potężny, jakby chciał ją zabić, a przynajmniej ogłuszyć na wiele godzin. Jeżeli tak faktycznie było, do czego potrzebował składanego noża i taśmy izolacyjnej? I zostawia kartę tarota, która jego zdaniem groźnie wygląda, a naprawdę oznacza duchowe poszukiwania. Nie, to w ogóle nie była próba gwałtu.

- W takim razie o co mu chodzi? - spytał Sellitto.

- Tego właśnie trzeba się dowiedzieć. - Rhyme zamyślił się na chwilę, po czym zapytał: - I mówiłeś, że doktor Barry niczego nie widział?

- Tak mi powiedział - odparł Sellitto.

- Mimo to podejrzany wraca i go zabija. - Rhyme zmarszczył brwi. - Na dodatek pan Sto Dziewięć rozwalił czytnik mikrofilmów. Jest profesjonalistą, ale ataki szalu są bardzo nieprofesjonalne. Ofiara ucieka - przecież nie marnowałby czasu na rozbijanie się po bibliotece tylko dlatego, że ma zły dzień. - Rhyme zwrócił się do dziewczyny: - Mówiłaś, że czytałaś jakąś starą gazetę?

- Czasopismo - uściśliła.

- W czytniku mikrofilmów?

- Zgadza się.

- Te? - Rhyme wskazał głową dużą plastikową torebkę z pudełkiem ramek, które Sachs przyniosła z muzeum. Przegródki numer jeden i trzy były puste.

Geneva spojrzała na pudełko. Skinęła głową.

- Tak. Na tych brakujących był artykuł, który czytałam.

- Wzięłaś fiszkę, która była w czytniku?

- Nie było żadnej - odrzekła Sachs. - Musiał ją zabrać.

- I rozwalił maszynę, żebyśmy nie zauważyli, że nie ma ramki. Och, robi się ciekawie. O co mu chodzi? Jaki, u diabła, może mieć motyw?

Sellitto parsknął śmiechem.

- Myślałem, że nie obchodzą cię motywy, tylko dowody.

- Lon, należy rozróżnić między wykorzystaniem motywu do udowodnienia winy w sądzie - co jest w najlepszym razie domniemaniem - a wykorzystaniem motywu do odnalezienia dowodu rzeczowego, który ostatecznie doprowadza do skazania podejrzanego: facet zabija swojego współnika z broni, którą znajdujemy w jego garażu, załadowaną pociskami, które sam kupił, a na paragonie są jego odciski palców. Kogo wtedy będzie obchodzić, czy zabił współnika, bo kazał mu to zrobić gadający pies, czy dlatego, że facet sypiał z jego żoną? Kluczem do sprawy jest dowód rzeczowy.

A jeżeli nie ma amunicji, broni, paragonu ani śladów opon? Wtedy pytanie: dlaczego ofiara zginęła, ma głębokie uzasadnienie. Odpowiedź może nam wskazać dowód, który doprowadzi do skazania. Wybacz ten przydługi wykład - dodał, choć wcale nie zabrzmiało to jak przeprosiny.

- Dobry nastrój przysł, co? - spytał Thom.

- Czegoś tu nie rozumiem i bardzo mi się to nie podoba - odburknął Rhyme.

Geneva zasępiła się. Rhyme dostrzegł jej minę i spytał:

- O co chodzi?

- Właśnie się zastanawiam... doktor Barry mówił, że ktoś jeszcze był zainteresowany tym samym numerem czasopisma co ja. Chciał go przeczytać, ale doktor Barry kazał mu czekać, aż skończę.

- Kto to był?

- Nie powiedział.

Rhyme zamyślił się nad tym.

- Dobrze, przyjmijmy więc hipotezę: bibliotekarz mówi temu komuś, że jesteś zainteresowana czasopiśmie. Sprawca chce je ukraść i chce cię zabić, bo przeczytałaś je albo masz przeczytać. - Kryminalistyk nie był oczywiście przekonany, czy to słuszna teoria. Ale jedną z przyczyn jego sukcesów była gotowość do rozważania najbardziej nieprawdopodobnych możliwości. - I zabrał artykuł, który czytałaś, tak?

Dziewczyna skinęła głową.

- Jak gdyby dokładnie wiedział, czego szukać... Co to był za artykuł?

- Nic ważnego. O moim przodku. Mój nauczyciel ma bzika na punkcie różnych historii w stylu „Korzeni” i mieliśmy napisać o kimś z naszej przeszłości.- Kim był ten przodek?

- To mój prapra-ktoś tam, wyzwolony niewolnik. W zeszłym tygodniu poszłam do muzeum i dowiedziałam się, że w „Colored’s Weekly Illustrated” był o nim artykuł. Nie mieli tego numeru, ale pan Barry powiedział, że znajdzie mikrofiszkę w magazynie. Właśnie ją dostali.

- O czym dokładnie był artykuł? - drażył Rhyme.

Zawahała się przez moment, po czym odrzekła zniecierpliwionym tonem:

- Charles Singleton, mój przodek, był niewolnikiem w Wirginii. Jego pan nagle zmienił zdanie i uwolnił wszystkich niewolników. Charles i jego żona bardzo długo służyli jego rodzinie, uczyli dzieci czytać i pisać, dlatego pan podarował im farmę w stanie Nowy Jork. Charles walczył na wojnie secesyjnej. Potem wrócił do domu i w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym oskarżono go o kradzież pieniędzy z funduszu oświatowego dla czarnych. I tylko o tym był artykuł. Właśnie doszłam do miejsca, gdy wskoczył do rzeki, żeby uciec przed policją, kiedy do biblioteki wszedł ten człowiek.

Rhyme zwrócił uwagę, że choć dziewczyna mówi całkiem poprawnie, bardzo pilnuje słów, jak gdyby to były rozbrykane szczeniaki, które próbują wydostać się na wolność. Mając wykształconych rodziców i koleżanki takie jak Lakeesha, nic dziwnego, że dziewczyna cierpiała na rodzaj schizofrenii językowej.

- Czyli nie wiesz, co się z nim stało? - zapytała Sachs. Geneva potrząsnęła głową.

- Chyba musimy przyjąć założenie, że sprawcę interesował przedmiot twoich badań. Kto znał temat twojej pracy? Przypuszczam, że nauczyciel.

- Nie, nie mówiłam mu konkretnie, o czym piszę. Chyba powiedziałam tylko Lakeeshy. Mogła komuś wspomnieć, ale wątpię. Widzi pan, Lakeesha nie bardzo przejmuje się zadaniami. Nawet własnymi. W zeszłym tygodniu poszłam do biura prawnego w Harlemie zobaczyć, czy mają jakieś stare akta zbrodni z dziewiętnastego wieku, ale nie mówiłam za dużo adwokatowi. Oczywiście, doktor Barry mógłby wiedzieć, o czym piszę.

- I mógł wspomnieć o tym tej osobie, która chciała przeczytać czasopismo - zauważył Rhyme. - Przyjmijmy na razie, że w artykule jest coś, co sprawca chce zataić - co może mieć związek z twoim

przodkiem... a może to coś zupełnie innego. - Zerknął na Sachs. - Ktoś został na miejscu?

- Patrol.

- Niech przesłuchają pracowników. I sprawdzą, czy Barry wspominał, że ktoś interesował się tym starym czasopismem. Niech przeszukają też jego biurko. - Coś jeszcze przyszło mu na myśl. - I chcę jego bilingi telefoniczne z ostatniego miesiąca.

Sellitto pokręcił głową.

- No wiesz, Line... nie sądzisz, że to mało przekonujące? W grę wchodzi dziewiętnasty wiek. To nie jest zimna sprawa, ale zamarznięta na kość.

- Zawodowiec podrzuca fałszywy dowód na miejscu zbrodni, o mały włos nie zabija jednej osoby, inną zabija - pod nosem pół tuzina gliniarzy - tylko po to, żeby ukraść artykuł? Co tu jest mało przekonujące, Lon? To się domaga sprawdzenia.

Krępy glina wzruszył ramionami i zadzwonił na posterunek, żeby przekazać rozkaz dyżurującemu na miejscu zbrodni, a następnie zatelefonował po nakaz, aby udostępniono bilingi z muzeum i prywatnych numerów Barry'ego.

Rhyme popatrzył na szczupłą dziewczynę, uznając, że nie ma wyboru; musiał jej przekazać złą wiadomość.

- Wiesz, co to może oznaczać?

Nastąpiła chwila ciszy, choć po zaniepokojonym spojrzeniu Sachs poznał, że przynajmniej ona doskonale wie, co to znaczy. I to Sachs powiedziała do Genevy:

- Lincoln mówi, że ten człowiek prawdopodobnie znowu spróbuje cię zaatakować.

- To kiepsko - oceniła Geneva Settle, kręcąc głową.

- Wcale nie - odrzekł po chwili poważnie Rhyme.

Siedząc przy ogólnodostępnym terminalu internetowym w punkcie usług kserograficznych na dolnym Manhattanie, Thompson Boyd czytał wiadomości na stronie lokalnej telewizji, uaktualnianej co kilka minut.

Nagłówek artykułu brzmiał:

MORDERSTWO PRACOWNIKA MUZEUM; ZGINĄŁ ŚWIADEK NAPAŚCI NA UCZENNICE.

Niemal bezgłośnie pogwizdując, Boyd oglądał zdjęcie przedstawiające kierownika biblioteki, którego właśnie zastrzelił, rozmawiającego z umundurowanym policjantem na ulicy przed muzeum. Pod fotografią biegł podpis: „Doktor Donald Barry rozmawia z policjantem tuż przed śmiertelnymi

strzałami”.

Geneva Settle, jako nieletnia, nie została wymieniona z imienia i nazwiska; wspomniano tylko, że chodzi do szkoły średniej i mieszka w Harlemie. Thompson był wdzięczny za tę informację. Dotąd nie wiedział, w której części miasta mieszka dziewczyna. Podłączył swoją komórkę do portu USB komputera i skopiował zrobione przez siebie zdjęcie dziewczyny. Następnie przesłał je na anonimowe konto e-mailowe.

Wylogował się, zapłacił - gotówką, rzecz jasna - i spacerkiem ruszył południowym Broadwayem, przez środek dzielnicy finansowej. U ulicznego sprzedawcy kupił kawę, wypił połowę, a potem wsunął do kubka ramki z ukradzionymi fiszkami, zamknął wieczko i wrzucił kubek do kubła na śmieci.

Przystanął przed budką telefoniczną i rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie zwraca na niego uwagi. Wybrał numer. Poczta głosowa nie powitała go żadnym komunikatem, tylko zwykłym sygnałem.

- To ja. Jest kłopot z Settle. Musisz się dowiedzieć, do której szkoły chodzi albo gdzie mieszka. Wiem tylko, że to szkoła średnia w Harlemie. Wysłałem ci jej zdjęcie... Aha, jeszcze jedno. Jeżeli uda ci się załatwić sprawę beze mnie, czeka na ciebie następne pięćdziesiąt tysięcy. Zadzwoń, kiedy odsłuchasz wiadomość. Pogadamy.

Thompson odczytał na głos numer telefonu, z którego dzwonił, po czym odłożył słuchawkę. Odsunął się od aparatu, skrzyżował ręce na piersi i czekał, cicho pogwizdując. Po zaledwie trzech taktach „You Are the Sunshine of My Life” Steviego Wondera telefon zadzwonił.

Rozdział 7

Kryminalistyk spojrział na Sellitta.

- Gdzie jest Roland?

- Bell? Odstawiał jakiegoś świadka na północ stanu, ale powinien już wrócić. Mam do niego zadzwonić?

- Tak - odrzekł Rhyme.

Sellitto zadzwonił pod numer komórki detektywa i z rozmowy Rhyme wywnioskował, że Bell zaraz wyjedzie z centrali policji i stawi się u nich.

Rhyme dostrzegł minę Genevy.

- Detektyw Bell będzie tylko na ciebie uważał. Jak ochroniarz. Dopóki tego nie wyjaśnimy... Wiesz, co takiego miał ukraść Charles?

- W artykule pisali, że złoto albo pieniądze.

- Kradzież złota. Ciekawe. Chciwość to jeden z lepszych motywów.

- Twój wuj może coś wiedzieć na ten temat? - zapytała Sachs.

- Wuj? Och, nie, to brat mojej matki. Charles był przodkiem rodziny mojego ojca. A tata wiedział tylko parę rzeczy. Dostałam kilka listów Charlesa od ciotecznej babci. Ale nie dowiedziałam się od niej nic więcej.

- Gdzie są te listy? - zapytał Rhyme.

- Jeden mam przy sobie. - Dziewczyna pogrzebała w torbie i wyciągnęła list.

- Resztę mam w domu. Ciocia myślała, że może mieć jeszcze jakieś pudła z rzeczami Charlesa, ale nie była pewna, gdzie są. - Geneva zamilkła, marszcząc ciemne czoło, a po chwili powiedziała do Sachs: - Jeszcze coś. Może się przydać.

- Mów - odrzekła Sachs.

- Pamiętam, że w jednym liście Charles pisał o swojej tajemnicy.

- Tajemnicy?- Tak, bardzo się martwił, że nie może wyjawić prawdy. Ale gdyby to zrobił, to by była katastrofa, tragedia. Coś strasznego.

- Może miał na myśli kradzież - zasugerował Rhyme. Geneva zeszywniała.

- Myślę, że on tego nie zrobił. Chyba go wrobili.

- Dlaczego? - spytał Rhyme. Wzruszenie ramion.

- Niech pan przeczyta list. - Dziewczyna wyciągnęła kartkę do Rhyme'a, ale zaraz się zmytygowała i podała ją Cooperowi, nie przepaszając za gafę.

Technik umieścił list w skanerze i po chwili na monitorach z dwudziestego pierwszego wieku ukazało się eleganckie pismo z wieku dziewiętnastego.

Pani Violet Singleton

U Pana Wiliama Dodda z Małżonką

Essex Farm Road

Harrisburg, Pensylwania

14 lipca 1863 r.

Moja najdroższa Violet

Na pewno dotarły do ciebie ostatnie wieści o okropnościach, jakie rozegrały się niedawno w

Nowym Jorku. Zawiadamiam Cię, że powrócił już spokój, choć jego cena była wysoka.

Wciąż panuje atmosfera napięcia, jako że setki tysięcy obywateli, którym szczęście nie dopisało, nadal nie mogą się otrząsnąć po panice, jaka przed kilku laty rozpełtała się na rynku - pan Greeley pisał w „Tribune”, że spekulacje giełdowe na niewyobrażalną skalę i nierozważna polityka pożyczkowa doprowadziły do „krachu złudzeń” rynków finansowych na całym świecie.

Przy takich nastrojach wystarczyła zaledwie iskra, by wybuchły zamieszki: zarządzenie poboru do armii federalnej, który wielu uznało za niezbędny krok, by stawić czoło zdumiewającej sile i oporowi buntowników. Mimo to sprzeciw wobec poboru okazał się znacznie gwałtowniejszy i bardziej zaciekły, niż ktokolwiek się spodziewał. Obiektem nienawiści staliśmy się my - kolorowi, abolicjoniści i republikanie - na równi z komendantem żandarmerii i jego ludźmi.

Uczestnicy rozruchów, w większości Irlandczycy, przelali się falą przez miasto, atakując wszystkich napotkanych kolorowych, rabując domy i budynki publiczne. Traf chciał, że znalazłem się w towarzystwie dwóch nauczycieli i dyrektora sierocińca dla kolorowych dzieci, gdy tłum zaatakował budynek i podłożył pod niego ogień! A w środku były ponad dwie setki dzieci! Z Bożą pomocą udało się nam wyratować malców i zaprowadzić na pobliski posterunek policji, ale motłoch na pewno pozabijałby nas wszystkich, gdyby tylko miał po temu sposobność.

Walki trwały przez cały dzień. Wieczorem zaczęły się lincze. Jakiegoś Murzyna powieszono i podpalono, a pijany tłum radośnie tańczył wokół jego ciała. Patrzyłem na to zmartwiały z przerażenia!

Uciekłem na naszą farmę na północy i odtąd całą uwagę poświęcę misji uczenia dzieci w naszej szkole, pielęgnacji ogrodu i służeniu, na ile sił mi wystarczy, sprawie wolności naszego ludu.

Moja najdroższa żono, po tych straszliwych wydarzeniach życie wydaje mi się teraz nadzwyczaj kruche i niepewne, dlatego - jeżeli jesteś gotowa do podróży - pragnę, abyś razem z naszym synem przyjechała tu do mnie. W załączeniu przesyłam bilety dla was i dziesięć dolarów na wydatki. Będę czekał w New Jersey na pociąg, a potem popłyniemy na farmę łodzią. Możesz pomagać mi w szkole, a Joshua będzie mógł kontynuować naukę, przyda się także nam i Jamesowi w tłoczni i sklepie. Gdyby ktokolwiek wypytywał Cię o cel podróży, odpowiadaj to samo co ja: opiekujemy się tylko farmą, doglądając jej podczas nieobecności pana Trillinga. Widząc nienawiść płonącą w oczach dzikiego tłumu, jasno zrozumiałem, że nigdzie nie jest dziś bezpiecznie i nawet naszemu idyllicznemu schronieniu może grozić podpalenie i grabież, gdyby rozeszła się wieść, że właścicielami farmy są Murzyni.

Przybyłem tu ze stron, gdzie trzymano mnie w niewoli i kazano wierzyć, że jestem tylko w trzech piątych człowiekiem. Żywiłem nadzieję, że przyjazd na Północ to zmieni. Niestety, sprawy wyglądają inaczej. Tragiczne wypadki ostatnich dni przekonują mnie, że Ciebie, mnie i wszystkich naszych pobratymców nie traktuje się jeszcze jak pełnoprawnych ludzi. Dlatego z niesłabnącym wysiłkiem musimy nadal walczyć, aby inni zaczęli uważać nas za równych sobie.

Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia Twojej siostrze i Williamowi oraz oczywiście ich

dzieciom. Powiedz Joshui, że jestem bardzo dumny z jego sukcesu na lekcjach geografii.

Tęsknię do tego dnia - modłę się, że już bliskiego - gdy znów ujrzę Ciebie i naszego syna.

Twój kochający Charles

Geneva zdjęła list ze skanera. Spojrzała na obecnych i powiedziała:

- Rozruchy przeciw poborowi do wojska w czasie wojny secesyjnej w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku. Największe zamieszki w historii Stanów Zjednoczonych.

- Nic nie pisze o swojej tajemnicy - zauważył Rhyme.

- O tajemnicy jest w jednym z listów, które mam w domu. Pokazałam panu ten, żeby pan wiedział, że Charles nie był złodziejem.

Rhyme zmarszczył brwi.

- Przecież kradzież zdarzyła się pięć lat po napisaniu tego listu. Dlaczego sądzisz, że to ma być dowód jego niewinności?- Chodzi mi o to - oświadczyła Geneva - że nie pisze jak złodziej, prawda? Nie jak ktoś, kto ma zamiar okraść fundusz edukacyjny dla byłych niewolników.

- To nie jest dowód - odrzekł z prostotą Rhyme.

- Moim zdaniem jest. - Dziewczyna znów spojrzała na list, wygładzając go dłonią.

- O co chodzi z tym człowiekiem w trzech piątych? - spytał Sellitto.

Rhyme przypominał sobie coś z historii Ameryki. Ale jeśli informacja nie była istotna dla kryminalistyki, zwykle wyrzucał ją z pamięci. Pokręcił głową.

- Przed wojną secesyjną - wyjaśniła Geneva - przy ustalaniu reprezentacji w Kongresie, każdego niewolnika liczono jako trzy piąte człowieka. To wcale nie był spisek Konfederacji, jak można by przypuszczać; regułę wymyśliła Północ. Na początku w ogóle nie chcieli brać pod uwagę niewolników, bo wtedy Południe miałoby więcej reprezentantów w Kongresie i kolegium elektorskim. Południe chciało ich liczyć jako pełnoprawnych ludzi. Reguła trzech piątych była kompromisem.

- Liczono ich tylko jako podstawę reprezentacji - zauważył Thom. - Ale głosować i tak nie mogli.

- Oczywiście, że nie - odparła Geneva.

- Podobnie jak kobiety, nawiasem mówiąc - dodała Sachs.

W tym momencie Rhyme'a zupełnie nie interesowała historia społeczna Ameryki.

- Chciałbym zobaczyć pozostałe listy. I trzeba znaleźć egzemplarz „Coloreds’ Weekly”. Który to był numer?

- Z dwudziestego trzeciego lipca tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku - powiedziała Geneva. - Ale bardzo trudno było go znaleźć.

- Zrobię, co się da - rzekł Cooper i po chwili Rhyme usłyszał, jak Mel uderza w klawiaturę komputera.

Geneva spojrzała na sfatygowanego swatcha.

- Naprawdę muszę...

- Siemacie wszyscy - zawołał męski głos od strony korytarza. Do laboratorium wkroczył detektyw Roland Bell ubrany w sportową tweedową marynarkę, niebieską koszulę i dzinsy. Kiedyś pracował w policji w swojej rodzinnej Karolinie Północnej, ale kilka lat temu z powodów osobistych przeprowadził się do Nowego Jorku. Miał ciemną czuprynę, łagodne oczy i tak niefrasobliwy sposób bycia, że jego współpracownicy często tracili do niego cierpliwość, choć Rhyme podejrzewał, że przyczyną jego wolnego działania wcale nie jest południowe pochodzenie, lecz leżąca w jego naturze drobiazgowość, ściśle związana z charakterem zadań, jakie wypełniał w Departamencie Policji Nowego Jorku. Specjalnością Bella była ochrona świadków i innych potencjalnych ofiar przestępstw. Jego grupa nie stanowiła oficjalnej jednostki w ramach departamentu, mimo to nazywano ją brygadą specjalną. Nie była to jednak brygada antyterrorystyczna - Bell mówił o niej „brygada proobronna ratowania tyłków świadków”.

- Roland, to jest Geneva Settle.

- Siemasz - rzekł, przeciągając samogłoski, i uściśnął jej dłoń.

- Nie potrzebuję ochrony - oświadczyła stanowczo.

- Nie martw się - nie będę przeszkadzał - zapewnił ją Bell. - Masz na to moje słowo honoru. Będę niewidoczny jak kleszcz w wysokiej trawie. - Zerknął na Sellitta. - Co mamy tym razem?

Krępy detektyw przedstawił mu szczegóły sprawy i wyjaśnił, ile zdołali się dowiedzieć. Bell nie marszczył brwi ani nie kręcił głową, lecz Rhyme dostrzegł jego nieruchomy wzrok świadczący o zaniepokojeniu. Kiedy jednak Sellitto skończył, Bell ponownie przybrał minę pocziwego południowca i zasypał Geneve pytaniami o nią i jej rodzinę, aby się dowiedzieć, jak ma przygotować plan ochrony. Dziewczyna odpowiadała z ociąganiem, jak gdyby szkoda jej było fatygi.

- Naprawdę muszę już iść - rzekła Geneva zniecierpliwiona, kiedy Bell nareszcie skończył. - Czy ktoś mógłby mnie odwieźć do domu? Dam wam listy Charlesa, ale potem muszę iść do szkoły.

- Detektyw Bell cię odwiezie - odrzekł Rhyme, po czym dodał ze śmiechem: - Natomiast w sprawie szkoły, chyba uzgodniliśmy już, że masz dzisiaj wolne. Sprawdziany zaliczysz w drugim terminie.

- Nie - odparła stanowczo. - Na to się nie zgadzam. Powiedział pan: „Najpierw odpowiesz nam na kilka pytań, a potem zobaczymy”.

Niewiele osób przypominało Rhyme'owi jego własne słowa.

- Wszystko jedno, co mówiłem - odburknął. - Ustaliliśmy, że sprawca może cię znowu zaatakować, dlatego musisz zostać w domu. Jest zbyt niebezpiecznie.

- Panie Rhyme, muszę iść na te sprawdziany. Poprawki w mojej szkole... czasem w ogóle się ich nie planuje, giną książki z testami i nie można zaliczyć. - Geneva ze złością szarpała szlufkę dzinsów. Była taka chuda. Ciekawe, czy jej rodzice byli maniakami zdrowego żywienia i karmili ją muesli i serkiem tofu. Wyglądało na to, że wielu profesorów miało takie skłonności.

- Zaraz zadzwonię do szkoły - zaproponowała Sachs. - Powiemy im, że wydarzył się wypadek i...

- Chyba jednak pójdę - powiedziała cicho Geneva, nie spuszczać wzroku z Rhyme'a. - I to już.

- Zostań w domu dzień albo dwa, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Albo - dodał ze śmiechem Rhyme - dopóki go nie udupimy.

Chciał, aby zabrzmiało to lekko, chciał ją sobie zjednać, uciekając się do młodzieżowego języka. Ale natychmiast pożałował swoich słów. Zachowywał się nienaturalnie - tylko dlatego, że była młoda. Podobnie jak odwiedzający go ludzie, którzy mówili zbyt głośno i zbyt często żartowali, bo był tetraplegikiem. Okropnie go wkurzali.

Tak jak on wkurzył teraz Geneve.

- Będę wdzięczna za podwiezienie - powiedziała dziewczyna. - Albo pojedę metrem. Ale jeżeli chcecie dostać te listy, muszę zaraz wyjść.

Zirytowany całą dyskusją, Rhyme uciął:

- Wobec tego będę zmuszony ci zabronić.

- Mogę skorzystać z telefonu?

- Po co?

- Chcę zadzwonić do pewnego człowieka.

- Jakiego człowieka?

- Adwokata, o którym mówiłam. Wesleya Goadesa. Pracował w największej firmie ubezpieczeniowej w kraju, a teraz prowadzi poradnię prawną w Harlemie.

- I chcesz do niego dzwonić? - zapytał Sellitto. - Po co?

- Chcę go zapytać, czy możecie mi zabronić iść do szkoły. Rhyme prychnął.

- Przecież to dla twojego dobra.

- Chyba ja o tym decyduję, prawda?

- Nie - twoi rodzice albo wuj.

- Ale to nie oni mają wiosną skończyć jedenastą klasę. Sachs zachichotała. Rhyme posłał jej złowrogie spojrzenie.

- Chodzi tylko o jeden, góra dwa dni - powiedział Bell. Nie zwracając na niego uwagi, Geneva ciągnęła:

- Dzięki panu Goadesowi John David Colson wyszedł z Sing-Sing, gdzie siedział dziesięć lat za morderstwo, którego nie popełnił. Pan Goades pozwał Nowy Jork. To znaczy stan Nowy Jork, i to dwa albo trzy razy. I za każdym razem wygrał. Niedawno miał sprawę w Sądzie Najwyższym. O prawa bezdomnych.

- Tę też wygrał, co? - spytał kpiąco Rhyme.

- Zwykle wygrywa. Chyba nigdy nie przegrał.

- Wariactwo - mruknął Sellitto, roztargnionym ruchem muskając plamkę krwi na marynarce. - Jesteś dzieckiem i...

Nie powinien był tego mówić.

Geneva spiorunowała go wzrokiem i syknęła:

- Nie pozwoli mi pan zadzwonić? Nawet więźniom wolno dzwonić. Zwalisty detektyw westchnął i przyzwalającym gestem wskazał

telefon.

Dziewczyna zajrzała do swojego notesu, podniosła słuchawkę i wstukała numer.

- Wesley Goades - powiedział Rhyme.

Czekając na połączenie, Geneva spojrzała na niego z ukosa.

- Studiował na Harvardzie. Aha, kiedyś pozwał nawet wojsko.

Chyba chodziło o prawa gejów. Proszę z panem Goadesem - powiedziała do telefonu. - Może mu pan przekazać, że dzwoniła Geneva Settle? Jestem świadkiem przestępstwa i zatrzymała mnie policja. - Podała adres domu Rhyme'a, dorzucając: - Trzymają mnie tu wbrew mojej woli i...

Rhyme zerknął na Sellitta, który przewrócił oczami i rzekł:

- No dobrze.

- Chwileczkę - powiedziała do słuchawki Geneva i odwróciła się do górującego nad nią detektywa. - Mogę iść do szkoły?

- Tylko na sprawdzian.

- Mam dwa.

- Dobrze. Na obydwu sprawdziany - mruknął Sellitto, a zwracając się do Bella, polecił: - Nie ruszaj się od niej na krok.

- Spokojna głowa, będę jak wierny retriever.

- Proszę powiedzieć panu Goadesowi, że już wszystko w porządku. Wyjaśniliśmy sprawę. - Geneva odłożyła słuchawkę.

- Ale najpierw chcę mieć te listy - zaznaczył Rhyme.

- Zgoda. - Dziewczyna zarzuciła torbę na ramię.

- Ty - warknął do Pułaskiego Sellitto. - Jedziesz z nimi.

- Tak jest.

Po wyjściu Bella, Genevy i nowego Sachs popatrzyła na drzwi i parsknęła śmiechem.

- Pistolet z tej małej.

- Wesley Goades. - Rhyme uśmiechnął się. - Chyba to sobie zmyśliła. Pewnie zadzwoniła do pogodynki.

Ruchem głowy wskazał tablicę.

- Bierzmy się do roboty. Mel, najpierw festyny. Poza tym wszystkie fakty i profil trzeba wysłać do VICAP i NCIC. Trzeba sprawdzić wszystkie szkoły i biblioteki w mieście, czy facet, który rozmawiał z Barrym, nie dzwonił i nie pytał o Singletona albo o „Coloreds’ Weekly”. Aha, i dowiedz się, kto robi torebki z uśmiechniętą twarzą.

- Trudne zadanie - odrzekł Cooper.

- Wiesz co? Czasem samo życie to trudne zadanie. Potem prześlij próbkę krwi ze sznura do CODIS.

- Zdawało mi się, że chyba wykluczyłeś motyw seksualny. - CODIS był bazą danych

zawierającą profile DNA znanych sprawców przestępstw seksualnych.

- Kluczowym słowem jest „chyba”, Mel. Nie „ze stuprocentową, pieprzoną pewnością”.

- No i już po dobrym humorku - rzekł Thom.

- Jeszcze jedno... - Podjechał bliżej, by obejrzeć zdjęcia ciała bibliotekarza i szkic miejsca zbrodni, jaki sporządziła Sachs. - Jak daleko od ofiary była ta kobieta? - zapytał Sellitta.

- Ta ranna? Stała jakieś trzy metry z boku.

- Kto pierwszy został trafiony?- Ona.

- I był mały rozrzut kul? Tych, które trafiły bibliotekarza?

- Minimalny. Dosłownie centymetry. Facet zna się na strzelaniu.

- Ta kobieta nie dostała przez przypadek - mruknął Rhyme. - Strzelił do niej celowo.

- Co?

Kryminalistyk zwrócił się do najlepszego strzelca w pokoju.

- Sachs, kiedy oddajesz kilka szybkich strzałów, który jest zwykle najbardziej precyzyjny?

- Pierwszy. Nie trzeba kontrować siły odrzutu.

- Zranił ją naumyślnie - oznajmił Rhyme. - Celował w największą tętnicę, żeby odciągnąć gliniarzy i bezpiecznie uciec.

- Jezu - mruknął Cooper.

- Przekaż to Bellowi. Bo Haumannowi i jego ludziom z brygady specjalnej też. Powiedz im, że mamy sprawcę, który bez najmniejszych oporów bierze na cel niewinnych ludzi.

Część II

Król Graffiti

Rozdział 8

Barczysty mężczyzna szedł przez Harlem, rozmyślając o rozmowie telefonicznej, jaką odbył przed godziną. Ucieszył się po niej, ale i zaniepokoił, wobec czego postanowił stać się ostrożniejszy. Przede wszystkim jednak myślał: może wreszcie idzie ku lepszemu.

Bo należała mu się jakaś poprawa; coś, co pomogłoby mu się otrząsnąć.

Ostatnio szczęście Jaksowi nie dopisywało. Jasne, że dobrze było wyjść z pudła. Ale dwa miesiące na wolności okazały się cholernie trudne: dokuczala mu samotność i nie zdarzyło mu się absolutnie nic, co mógłby nazwać porządnym fartem. Ale dziś było inaczej. Telefon w sprawie Genevy Settle mógł na zawsze odmienić jego życie.

Szedł północną Piątą Aleją, kierując się w stronę St. Ambrose Park, z papierosem wetkniętym w kącik ust. Cieszył go chłodny jesienny wiatr, cieszyło go słońce. Cieszył go też widok ludzi omijających go szerokim łukiem. Jedną z przyczyn mogła być jego posępna mina. Inną więzienny tatuaż. Może i utykający krok. (Choć, prawdę powiedziawszy, nie był to nonszalancki krok twardziela ani dostojny i wzbudzający respekt krok *gangsta*, tylko pamiątka po postrzale. Ale tu o tym nikt nie wiedział).

Jax miał na sobie to co zwykle: dzinsy, postrzępioną wojskową kurtkę i skórzane robocze buty, przetarte prawie na wylot. W kieszeni spoczywał gruby zwitek franklinów, głównie dwudziestek, oraz nóż z rogową rękojeścią, paczka papierosów i łańcuszek z kluczem do małego mieszkania na Sto Trzydziestej Szóstej. Wyposażenie dwóch pokoi składało się z łóżka, stołu, dwóch krzeseł, komputera z drugiej ręki i naczyń kuchennych kupionych w promocji w sklepie spożywczym. Nora była tylko odrobinę lepsza od jego poprzedniego domu, jaki zapewnił mu Departament Więziennictwa Stanu Nowy Jork.

Zatrzymał się i rozejrzał.

Zobaczył go - chudego gościa o ciemnobrązowej skórze, który równie dobrze mógł mieć trzydzieści pięć lat jak sześćdziesiąt. Facet opierał się o chybotliwy łańcuch ogradzający park w sercu Harlemu. Słońce odbijało się od szyjki butelki piwa, ukrytej w żółtej trawie za jego plecami.

- Strzała - rzucił Jax, zapalając następnego papierosa i podchodząc do niego.

Chudy obrócił na niego zdziwiony wzrok. Spojrzał na paczkę podsunietą przez Jaksę. Nie był pewien, o co chodzi, ale wziął papierosa i schował do kieszeni.

- Ralph? - ciągnął Jax.

- A ty?

- Kumpel DeLisle'a Marshalla. Z bloku S.

- Lisle'a? - Chudy uspokoił się, ale tylko trochę. Odwrócił spojrzenie od człowieka, który mógłby go złamać na pół, i przyjrzał się światu ze swego łańcuchowego siedziska. - Lisie wyszed?

Jax wybuchnął śmiechem.

- Lisie wpakował cztery kulki w łeb jakiegoś skurwiela. Prędzej czarnuch trafi do Białego Domu, niż Lisie wyjdzie.

- Czasem możesz dostać warunek - powiedział Ralph, usiłując pokryć oburzeniem fakt, że został przyłapany na próbie przetestowania Jaksa. - Co mówi Lisie?

- Przesłała wiadomość. Kazał mi się z tobą spiknąć. Da ci cynk.

- Cynk, jasne. Powiedz, jak wygląda jego tatuaż? - Chudy i mizerny Ralph z równie mizerną bródką powoli odzyskiwał rezon. Znowu próbował go sprawdzać.

- Który? - spytał Jax. - Róża czy nóż? Podobno obok fiuta ma jeszcze jeden, ale nigdy nie miałem okazji mu się bliżej przyjrzeć.

Ralph bez uśmiechu skinął głową.

- Jak się nazywasz?

- Jackson. Alonzo Jackson. Ale mówią mi Jax. - Ksywka miała swoją reputację. Zastanawiał się, czy Ralph coś o nim słyszał. Chyba jednak nie - zero reakcji. To wkurzyło Jaksa. - Chcesz mnie sprawdzić u DeLisle'a, sprawdzaj, tylko nie używaj mojego nazwiska, jak będziesz rozmawiał z nim przez telefon, jasne? Powiedz mu tylko, że przyszedł z tobą pogadać Król Graffiti.

- Król Graffiti - powtórzył Ralph, wyraźnie zachodząc w głowę, co to może oznaczać. Czyżby Jax pryskał krwią różnych skurwieli jak farbą w sprayu? - Okay. Może i sprawdzę. Zależy. Toś wyszedł.

- Wyszedłem.

- Za co kiblowałeś?

- Napad z bronią i posiadanie. - Ścisząc głos, dodał: - Chcieli mnie zrobić w dwadzieścia pięć, dwadzieścia pięć. Ale spuścili do napadu. - Skrót odnosił się do paragrafu 125.25 kodeksu karnego, czyli oskarżenia o morderstwo.

- I jesteś wolny. Git.

Jaksowi wydało się to zabawne - smutas Ralph denerwuje się, kiedy Jax zaczepia go i częstuje papierosem. A po chwili zaczyna się uspokajać, dowiadując się, że ma na koncie odsiadkę za napad z bronią, nielegalne posiadanie broni i próbę morderstwa, i cieszy się reputacją grafficiarza malującego mury krwią. Pieprzony Harlem. Jak go nie kochać?

Jeszcze za kratkami, tuż przed wyjściem, męczył DeLisle'a Marshalla o pomoc i kumpel poradził mu znaleźć Ralpha. Lisie wyjaśnił, dlaczego dobrze było znać tego chuderlaka: „Facet wszędzie się kręci. Jakby ulice były jego. Wszystko wie. A jak nie, to się dowie”.

Krwawy Król Graffiti głęboko zaciągnął się papierosem i przystąpił do rzeczy.

- Musisz mnie ustawić - rzekł cicho Jax.

- Taa? Co ci trzeba?

Oznaczało to „czego potrzebujesz” i „co ja z tego będę miał”. W porządku.

Rozejrzał się. Byli sami, jeśli nie liczyć gołębi i przechodzących niedaleko dwóch niewysokich i niebrzydkich Dominikanek. Mimo chłodu były ubrane tylko w skąpe bluzeczki i szorty ciasno opinające apetyczne ciała.

- Hej, papi! - zawołała jedna z nich do Jaksa, uśmiechając się i nie zwalniając kroku. Dziewczyny przecięły ulicę i skręciły na północ w swój rewir. Piąta Aleja od lat stanowiła *el barrio* - linię graniczną rozdzielającą czarny i latynoski Harlem. Kiedy człowiek znalazł się na wschód od Piątej, był po tamtej stronie. Może i było tam git, może było tam spoko, ale to nie był ten sam Harlem.

Jax patrzył w ślad za nimi.

- Cholera. - Spędził w więzieniu sporo czasu.

- Sie rozumie - odrzekł Ralph. Poprawił się na łańcuchu i skrzyżował ramiona jak egipski książę.

Jax odczekał chwilę, po czym nachylił się do ucha faraona i szepnął:

- Muszę mieć giwerę.

- Świeży jesteś, gościu - odparł Ralph. - Znajdom u ciebie gnata i po tobie. No i za giwerę dostaniesz rok na Rikers. Po co ci takie ryzyko?

- Możesz to zrobić czy nie? - zapytał cierpliwie Jax. Cherlak znów poprawił się na łańcuchu i spojrzał na Jaksa.

- Chyba spoko. Ale nie wiem, dzie ci coś znaleźć. Znaczy giwerę.

- No to nie wiem, komu to dać. - Wydobył zwitek dolarów, z którego wyciągnął kilka dwudziestek i podał Ralphowi. Oczywiście zrobił to bardzo uważnie. Czarny dający innemu czarnemu pieniądze na ulicach Harlemu mógłby wzbudzić podejrzenia gliniarza, nawet gdyby składał ofiarę pastorowi z pobliskiego kościoła baptystów pod wezwaniem Zesłania Ducha Świętego.

Jedynym świadkiem był jednak Ralph, który wsunął banknoty do kieszeni i spojrzał na gruby rulon pozostałych.

- Masz niezłom kase.

- Sie rozumie. Kawalek już dostałeś. Masz okazję dostać więcej. Trafił ci się dobry dzień. - Schował z powrotem zwitek banknotów.

Ralph chrząknął.

- Jaka to ma być giwera?
- Mała. Coś, co da się łatwo schować, jasne?
- Będziesz musiał wybulić piątkę.
- Dwa. Więcej nie dam.
- Zimnom? - spytał Ralph.

Jak gdyby Jax życzył sobie broń z wybitym numerem rejestracyjnym.

- A jak myślisz?

- To wsadź se w dupę swojom dwójkę - odrzekł chudy faraon. Zrobił się odważniejszy: nie zabijasz człowieka, który może ci dać coś, czego potrzebujesz.

- Trzy - zaproponował Jax.

- Trzy i pół i koniec rozmowy.

Jax zastanawiał się przez chwilę. Potem zacisnął dłoń w pięść i stuknął Ralpha w rękę. Znow obejrzał się za siebie.

- Potrzebuję jeszcze czegoś. Masz kontakty w szkołach?

- W paru. O które ci chodzi? Tych w Queens, BK albo Bronksie wogle nie znam. Tylko te w parafii.

Jax drwiąco uśmiechnął się pod nosem. „Parafia”. Dorastał w Harlemie i nigdy nie mieszkał nigdzie indziej, jeśli nie liczyć koszar i więzień. Można było o nim mówić „dzielnica”, ale nigdy „parafia”. Parafie mieli w Los Angeles albo Newark. Albo w niektórych okolicach BK. Ale Harlem był zupełnie innym wszechświatem i Ralph bardzo go wkurzył, używając tego słowa, chociaż chudzielec prawdopodobnie nie chciał się wyrazić lekceważąco o jego domu; pewnie po prostu oglądał za dużo złych programów w telewizji.

- Chodzi mi o tutejsze - rzekł Jax.

- Mogę popytać. - W jego głosie zabrzmiał niepokój - nic dziwnego, skoro były skazaniec aresztowany z paragrafu 25-25 pytał go o broń i szkołę średnią. Jax wsunął mu w dłoń jeszcze cztery dychy, co w znacznym stopniu uspokoiło sumienie chudzielca.

- Okay, czego niby mam szukać?

Jax z kieszeni kurtki wyciągnął kartkę. Był to wydruk z internetowego wydania nowojorskiego „Daily News”. Podał Ralphowi artykuł z nadtytułem „Z ostatniej chwili”.

Jax stuknął w tekst grubym palcem.

- Muszę znaleźć dziewczynę, o której tu piszą.

Ralph przeczytał artykuł opatrzony nagłówkiem: PRACOWNIK MUZEUM ZASTRZELONY W CENTRUM MIASTA. Uniósł wzrok.

- Nic tu o niej nie ma, dzie mieszka, do której szkoły chodzi, nic. Kurwa, nie piszom nawet, jak sie nazywa.

- Nazywa się Geneva Settle. A za resztę... - Jax ruchem głowy wskazał kieszeń Ralpa - dostałeś właśnie frankliny.

- Po co chcesz jom znaleźć? - spytał Ralph, gapiąc się w artykuł. Jax milczał przez chwilę, po czym nachylił się do ciemnego ucha.

- Czasem ludzie za dużo pytają i mogą wyniuchać więcej gówna, niż powinni.

Ralph chciał o coś jeszcze zapytać, lecz musiał się domyślić, że choć Jax mógł mieć na myśli coś, co zrobiła dziewczyna, krwawy Król Graffiti równie dobrze mógł sugerować, że to Ralph jest zbyt wścibski.

- Daj mi z godzinkę. - Chudy faraon podał Jaksowi swój numer telefonu, oderwał się od łańcucha, wyciągnął z trawy butelkę piwa i ruszył ulicą.

Roland Bell jechał nieoznakowaną crown victoria przez środkowy Harlem, gdzie budynki mieszkalne sąsiadowały z handlowymi. Tuż obok sklepów i restauracji dużych sieci - Pathmark, Duane, Reade, Popeyes, McDonald - stały rodzinne interesiki, gdzie można było zrealizować czek, zapłacić rachunki, kupić peruki i sztuczne pasemka, afrykańskie rękodzieła, alkohol albo meble. Wiele starych budynków było zaniedbanych, niejeden miał okna zabite deskami albo zasłonięte metalowymi okiennicami, które gęsto pokrywało graffiti. Przy ruchliwych ulicach na śmieciarzy czekały zdezelowane sprzęty, wzdłuż budynków i obok studzienek ściekowych piętrzyły się śmieci, a puste działki zarastały chwastami albo urządzono na nich prowizoryczne ogródki. Billboardy, upstrzone graffiti, reklamowały występy w Apollo i kilku innych dużych salach w mieście, natomiast na murach i podkładkach ze sklejki były rozlepione setki ulotek zachęcających do występów mało znanych raperów, didżejów i kominków. Na ulicy stały grupki młodych mężczyzn i kilku z nich obserwowało jadący za Bellem radiowóz z mieszaniną rezerwy i lekceważenia, a niektórzy z nieskrywaną pogardą.

Im dalej jednak Bell, Geneva i Pulaski jechali na zachód, tym bardziej zmieniał się otoczenie. Opustoszałe budynki zostały tu wyburzone lub wyremontowane; plakaty przed placami budów ukazywały idylliczne domy, jakie wkrótce miały zastąpić stare zabudowania. Okolica domu Genevy, niedaleko pagórkowatego Morningside Park i Uniwersytetu Columbia, była ładnym zakątkiem o czystych, ocienionych drzewami chodnikach. Stare budynki były w całkiem dobrym stanie. Niektóre samochody miały stalowe blokady na kierownicach, lecz były wśród nich lexusy i beemery.

Geneva wskazała czterokondygnacyjny budynek z piaskowca, o rzeźbionych fasadach i ozdobach z kutego żelaza, od których odbijało się słońce późnego ranka.

- Tu mieszkam.

Bell minął dom i zaparkował dwa budynki dalej.

- Mhm, detektywie - odezwał się Ron Pulaski. - Geneva mówiła chyba o tamtym domu.

- Wiem - odrzekł. - Ale mam taką słabość, że nie rozgłaszam, gdzie mieszkają ludzie, którymi się opiekuję. Nowy skinął głową, jak gdyby zapamiętywał tę regułę. Taki młody, pomyślał Bell. Tyle przed nim jeszcze nauki.

- Będziemy w środku kilka minut. Miej oko na wszystko.

- Tak jest. Na co szczególnie?

Detektyw nie miał czasu wygłaszać wykładu na temat praktycznych szczegółów ochrony; sama obecność policjanta była na tę krótką chwilę wystarczającym straszakiem.

- Na bandziorów - powiedział.

Towarzyszający im radiowóz zatrzymał się w miejscu wskazanym przez Bella, przed victoria. Prowadzący go funkcjonariusz miał natychmiast zawieźć Rhyme'owi listy Charlesa Singletona. Chwilę później nadjechał jeszcze jeden samochód, nieoznakowany Chevrolet. Przybyli dwaj członkowie brygady specjalnej Bella, którzy mieli pozostać w domu i jego okolicy. Dowiedziawszy się, że sprawca może atakować niewinnych świadków tylko w celu odwrócenia uwagi, Bell wezwał posiłki. Do tego zadania wybrał Luisa Martineza, milczącego i porządnego detektywa, oraz Barbe Lynch, bystrą i młodą funkcjonariuszkę w cywilu, która od niedawna należała do zespołu, ale miała naturalny dar - wewnętrzny radar wykrywający zagrożenie.

Detektyw z Karoliny wysiadł z samochodu i prostując szczupłe ciało, rozejrzał się dookoła, zapinając równocześnie marynarkę, by ukryć dwa pistolety, które nosił na biodrach. Bell był dobrym gliną w małym miasteczku i dobrym oficerem śledczym w wielkiej metropolii, ale jego prawdziwym żywiołem była ochrona świadków. Miał talent, dzięki któremu potrafił wyczuć z daleka zwierzyńkę, kiedy w młodości chodził na polowania. Instynkt. Jego uwagę przyciągało wszystko - odbłysek światła w celowniku optycznym, szcęk zamka pistoletu lub czyjś wzrok utkwiony w odbiciu świadka w szybie witryny sklepowej. Zwracał uwagę na człowieka idącego bardzo zdecydowanym krokiem, którego nie uzasadniała żadna logiczna przyczyna. Albo na pozornie niedbale zaparkowane auto, ustawione w taki sposób, by zabójca mógł łatwo uciec, bez konieczności mozolnego kręcenia kierownicą. Widząc usytuowanie budynku, okna i ulicy, myślał: tu mógłby się schować ktoś o złych zamiarach.

W tej chwili nie zauważył jednak żadnego zagrożenia i pozwolił wysiąść Genevieve Settle z samochodu i wejść do domu, dając znak Martinezowi i Lynch, aby do nich podeszli. Przedstawił im Geneve, po czym policjanci opuścili budynek, by sprawdzić okolicę. Dziewczyna otworzyła kluczem

wewnętrzne drzwi i w towarzystwie umundurowanego funkcjonariusza weszli na drugie piętro.

- Wujku Bill - zawołała Geneva, stukając do drzwi. - To ja.

Drzwi otworzył krępy, pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna z policzkiem obsypanym znamionami. Uśmiechnął się i skinął głową Bellowi.

- Miło poznać. Jestem William.

Detektyw przedstawił się i uścisnęli sobie dłonie.

- Skarbie, nic ci nie jest? To straszne, co się stało.

- Wszystko w porządku. Tylko przez jakiś czas policja będzie tu musiała zostać. Myślą, że ten człowiek, który mnie napadł, może spróbować jeszcze raz.

Na okrągłej twarzy wuja pojawił się wyraz z troskania.

- Cholera. - Pokazał na telewizor. - Pełno o tobie w wiadomościach.

- Wymienili jej nazwisko? - zapytał Bell, marszcząc brwi zaniepokojony.

- Nie. Za młoda. Zdjęcia też nie było.

- No, to już lepiej... - Roland Bell nie miał absolutnie nic przeciwko wolności prasy, lecz czasami wolałby, żeby istniała śladowa cenzura, kiedy chodziło o ujawnianie tożsamości i adresów świadków. - Zaczekajcie w korytarzu. Muszę sprawdzić mieszkanie.

- Tak jest.

Bell wszedł i obejrzał wewnątrz. Drzwi wejściowe zabezpieczały dwa zamki i stalowa sztaba. Przez okna frontowe widać było domy po drugiej stronie ulicy. Bell opuścił rolety. Boczne okna wychodziły na alejkę i dom naprzeciwko. Był to jednak lity ceglany mur, bez żadnych okien, które stanowiłyby doskonale stanowisko snajpera. Mimo to detektyw zamknął i zasłonił okna.

Mieszkanie było duże - w korytarzu znajdowało się dwoje drzwi, jedno od frontu, przy wejściu do salonu, a drugie w głębi, obok pralni. Bell upewnił się, czy są zamknięte.

- W porządku! - zawołał. Geneva z wujem wrócili do salonu. - Wygląda całkiem nieźle. Tylko pamiętajcie, żeby drzwi i okna były zamknięte, a rolety opuszczone.

- Tak jest - odrzekł William. - Będę pilnował.

- Wezmę listy - powiedziała Geneva i zniknęła w sypialni.

Sprawdziwszy mieszkanie pod kątem bezpieczeństwa, Bell obejrzał samo wewnątrz. Wydało mu się zaskakująco zimne. Nieskazitelnie białe meble, skóra i płótno, wszystko pokryte foliowymi

pokrowcami. Tony książek, afrykańskie i karaibskie rzeźby i malowidła, serwantka pełna drogich na pierwszy rzut oka naczyń i kieliszków. Afrykańskie maski. Bardzo niewiele osobistych przedmiotów. I żadnych zdjęć rodzinnych.

Mieszkanie Bella było pełne fotografii najbliższych - zwłaszcza jego synów i wszystkich kuzynów z Karoliny Północnej. Miał także kilka zdjęć zmarłej żony, ale przez wzgląd na swoją nową sympatię - Lucy Kerr, szeryfa z Karoliny - schował wszystkie, na których byli razem. Zostawił tylko te z synami. (Lucy, której podobizny licznie zdobiły ściany jego domu, widziała zdjęcia nieżyjącej pani Bell z dziećmi i oświadczyła, iż bardzo go szanuje za to, że je zostawił. A Lucy zawsze mówiła to, co myśli).

Bell zapytał wuja Genevy, czy nie zauważył, by wokół domu kręcił się ktoś nieznaiony.- Nie, detektywie. Żywej duszy.

- Kiedy wracają jej rodzice?

- Nie mam pojęcia. To Gen z nimi gadała.

Dziewczyna przysłała po pięciu minutach. Podała Bellowi kopertę z dwiema pożółkłymi kartkami papieru.

- Proszę. - Zawahała się przez moment. - Ale proszę na nie uważać. Nie mam kopii.

- Och, nie znasz pana Rhyme'a. Traktuje wszystkie dowody jak świętego Graala.

- Wrócę po szkole - poinformowała wuja Geneva, a zwracając się do Bella, powiedziała: - Jestem gotowa.

- Słuchaj no, dziewczyno - rzekł William. - Masz być grzeczna, tak cię uczyłem. Jak rozmawiasz z policją, mów zawsze „proszę pana”.

- Nie pamiętasz, co mówił ojciec? - odparła spokojnie, spoglądając na wuja. - Ludzie muszą sobie zasłużyć na szacunek. Też tak uważam.

Wuj parsknął śmiechem.

- Oto moja siostrzenica. Wszystko po swojemu. No i za to ją kochamy. Chodź, uściskaj starego wuja.

Zażenowana, tak samo jak synowie Bella, kiedy ktoś tulił ich w obecności innych, dziewczyna sztywno pozwoliła się objąć. W korytarzu Bell przekazał kopertę policjantowi.

- Zawieź to zaraz do Lincolna.

- Tak jest.

Po jego wyjściu Bell połączył się przez radio z Martinezem i Lynch. Zameldowali, że ulica

czysta. Detektyw popędził dziewczynę na dół i kazał wsiąść do victorii. Pulaski dobiegł do nich i także wskoczył do samochodu.

Uruchamiając silnik, Bell zerknął na Geneve.

- Przy okazji, mogłabyś zajrzeć do plecaka i znaleźć mi książkę, która nie będzie ci dzisiaj potrzebna?

- Książkę?

- Jakiś podręcznik. Znalazła jakiś.

- Wiedza o społeczeństwie? Trochę nudne.

- Och, nie zamierzam czytać. Będę udawać nauczyciela na zastępstwie.

Skinęła głową.

- Chce pan odstawić nauczyciela. Super.

- Też tak sobie pomyślałem. A teraz będę wdzięczny, jeżeli zapniesz pas. Ty też, nowy.

Rozdział 9

Nie wiadomo, czy NS 109 miał na koncie przestępstwa na tle seksualnym, ale jego próbki DNA nie było w bazie CODIS. Rhyme pomyślał zirytowany, że negatywny wynik świetnie pasuje do pasma niepowodzeń w sprawie. Dostali resztę fragmentów pocisków wyjętych przez patologa z ciała doktora Barry'ego, ale były jeszcze bardziej zniszczone od kuli, która trafiła kobietę, i także nie nadawały się do porównania z danymi w bazach IBIS i DRUGFIRE.

Uzyskali informacje od kilku osób z muzeum afroamerykańskiego. Doktor Barry nie wspominał w rozmowie z pracownikami o żadnym innym kliencie zainteresowanym numerem „Coloreds' Weekly Illustrated” z 1868 roku. W rejestrach połączeń telefonicznych w muzeum też nic nie było: wszystkie rozmowy łączono z główną centralą, która kierowała je do numerów wewnętrznych, i nie było o nich żadnych szczegółowych informacji. Na liście połączeń z telefonu komórkowego bibliotekarza również nie znaleźli nic ciekawego.

Cooper zrelacjonował im, czego się dowiedział w sprawie obrazku z uśmiechniętą twarzą w rozmowie z właścicielem Trenton Plastics, jednego z największych w kraju producentów torebek foliowych.

- Ich zdaniem początkowo twarz pojawiła się na znaczkach filii Stanowego Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych w latach sześćdziesiątych - uśmiech miał podnosić morale pracowników i służyć jako gadżet reklamowy. W latach siedemdziesiątych dwaj bracia zrobili taki sam rysunek ze sloganem „Bądź pogodny”, jako alternatywny symbol pokoju. Wtedy taką twarz drukowano na pięćdziesięciu milionach przedmiotów rocznie, w kilkudziesięciu firmach.

- Jaki jest cel tego wykładu o popkulturze? - mruknął Rhyme.

- Taki, że nawet jeżeli symbol jest chroniony prawami autorskimi, o czym nikomu nic nie wiadomo, torebki z uśmiechniętą buzią robi kilkadziesiąt firm. Nie da rady tego wykryć.

Ślepy zaułek... Spośród kilkudziesięciu muzeów i bibliotek sprawdzonych przez Coopera, Sachs i Sellitta, dwie placówki zgłosiły, że w ciągu paru ostatnich tygodni dzwonił do nich jakiś człowiek, pytając o numer „Coloreds’ Weekly Illustrated” z lipca 1868 roku. To była dobra wiadomość, ponieważ wspierała słusność hipotezy Rhyme’a, według której artykuł w czasopiśmie mógł być przyczyną napaści na Geneve. Ale żadna z tych instytucji nie miała żadanego numeru i nikt nie pamiętał nazwiska telefonującego - nawet jeśli je podawał. Później okazało się, że nigdzie nie można zdobyć ani jednego egzemplarza tego czasopisma. Muzeum Dziennikarstwa Afroamerykańskiego poinformowało, że mieli mikrofiszę z całym rocznikiem, ale gdzieś zniknęły.

Rhyme siedział z nachmurzoną miną, gdy zabrzęczał komputer i Cooper oznajmił:

- Mamy odpowiedź z VICAP.

Wcisnął klawisz, wyświetlając e-mail na wszystkich monitorach w laboratorium. Sellitto i Sachs przycupnęli przy jednym z nich, a Rhyme spojrzął w swój płaski ekran. Była to zabezpieczona wiadomość od detektywa z laboratorium kryminalistycznego w Queens.

Do detektywa Coopera:

Zgodnie z prośbą sprawdziliśmy otrzymane od pana profile w bazach VICAP i HITS i uzyskaliśmy dwa trafienia.

Zdarzenie pierwsze: zabójstwo w Amarillo w Teksasie, sprawa nr 3451-01 (Texas Rangers). Pięć lat temu zamordowano sześćdziesięciosiedmioletniego Charlesa T. Tuckera, emerytowanego pracownika administracji stanowej. Ofiarę znaleziono na tyłach centrum handlowego niedaleko jego domu. Denat został uderzony w tył głowy tępym narzędziem, prawdopodobnie w celu obezwładnienia go, a następnie zinczowany. Na szyję założono mu pętlę ze sznura z włókien bawełnianych, który sprawca przerzucił przez konar drzewa i mocno pociągnął. Zadrapania na szyi świadczą, że ofiara przez kilka minut przed śmiercią była przytomna.

Elementy wspólne ze sprawą NS 109:

Ofiara została obezwładniona pojedynczym ciosem w tył głowy.

Podejrzany nosił buty turystyczne nr 11, najprawdopodobniej marki Bass. Nierównomierne starcie podeszwy prawego buta wskazuje na wykręcanie stopy na zewnątrz.

Narzędziem zbrodni był sznur z włókien bawełnianych ze śladami krwi; włókna podobne do znalezionych na obecnym miejscu zdarzenia.

Motyw został upozorowany. Morderstwo wyglądało na akt rytualny. Na ziemi u stóp denata stały świece, a na ziemi narysowano pentagram. Ale po zebraniu informacji na temat życia ofiary i

ustaleniu profilu przestępstwa prowadzący dochodzenie funkcjonariusze ustalili, że dowody zostały podrzucone w celu zmylenia śledztwa.

Nie znaleziono żadnych odcisków palców; podejrzany miał lateksowe rękawiczki.

Status: sprawa w toku.

- A druga sprawa? - spytał Rhyme. Cooper przewinął ekran.

Zdarzenie drugie: zabójstwo w Cleveland w Ohio, sprawa 2002-3454F (policja stanowa Ohio). Trzy lata temu zamordowano czterdziestopięcioletniego biznesmena, Gregory'ego Tallisa. Denata znaleziono w jego mieszkaniu, został zastrzelony.

Elementy wspólne ze sprawą NS 109:

Ofiarę obezwładniono uderzeniem tępym przedmiotem w tył głowy.

Ślady obuwia podejrzanego są identyczne ze wzorem podeszwy butów turystycznych Bass, z prawą stopą skierowaną na zewnątrz.

Przyczyną śmierci były trzy strzały w serce. Mały kaliber, prawdopodobnie .22 lub .25, podobnie jak w obecnej sprawie.

Nie znaleziono istotnych w sprawie odcisków palców; podejrzany miał lateksowe rękawiczki.

Ofiara miała zdjęte spodnie, a w odbytu wsuniętą butelkę, co miało sugerować gwałt homoseksualny. Ekspert policji stanowej Ohio doszedł do wniosku, że miejsce zbrodni zostało upozorowane. Ofiara miała zeznawać w mającym się odbyć procesie w sprawie przestępstw zorganizowanych. Z dokumentów bankowych wynika, że tydzień przed zabójstwem oskarżony w procesie podjął pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Pieniądzy nie udało się jednak odnaleźć. Policja przypuszcza, że było to wynagrodzenie dla płatnego mordercy za zabicie Tallisa.

Status: sprawa otwarta, ale zawieszona z powodu zagubienia dowodów.

Zagubione dowody, pomyślał Rhyme. Jezu... Jeszcze raz spojrzął na ekran.

- Podrzucone dowody i lipny motyw, do tego jeszcze jeden udawany rytualny mord. - Ruchem głowy wskazał kartę Wisielca. - Cios pałką, potem uduszenie albo strzał, lateksowe rękawiczki, buty Bass, prawa stopa... Jasne, że to może być on. I jeszcze wygląda na to, że jest do wynajęcia. Jeżeli tak, prawdopodobnie mamy dwóch sprawców: naszego NS 109 i tego, kto go wynajął. Dobra, chcę mieć wszystko o tych sprawach z Teksasu i Ohio.

Cooper zaczął dzwonić. Teksaska policja obiecała, że zajrzy do akt i jak najszybciej da im znać. Natomiast detektyw z Ohio poinformował, że dokumenty są wśród kilkudziesięciu akt zimnych spraw, które gdzieś się zawieruszyły podczas przeprowadzki do nowej siedziby przed dwoma laty. Zapewnili, że ich poszukają. - Ale - dodał policjant - nie spodziewajcie się zbyt wiele. Rhyme skrzywił się na tę wiadomość i kazał Cooperowi nakłonić ich, żeby postarali się wygrzebać

materiały.

Chwilę później zadzwoniła komórka Coopera i technik odebrał.

- Halo?... Tak, słucham. - Zapisał coś, podziękował i się rozłączył. - Drogówka. Nareszcie ustalili, gdzie ostatnio odbyły się duże imprezy plenerowe, kiedy trzeba było zamykać ulice. Dwie w Queens - festyn jakiegoś lokalnego stowarzyszenia i greckiego zakonu. Obchody Dnia Kolumba w Brooklynie i drugi festyn w Little Italy. Ten był naprawdę duży. Na Mulberry Street.

- Trzeba wysłać ludzi do wszystkich tych dzielnic - powiedział Rhyme. - Sprawdzić wszystkie sklepiki wielobranżowe i drogerie, w których mają torebki z uśmiechniętą twarzą, gdzie sprzedają prezerwatywy, taśmę izolacyjną i składane noże, a do tego korzystają z tanich kas albo maszyn sumujących. Podajcie zespołom rysopis sprawcy, niech się dowiedzą, czy jacyś sprzedawcy go sobie przypominają.

Rhyme przyglądał się Sellitcie, który patrzył na małą ciemną plamkę na rękawie swojej marynarki. Przypuszczał, że to jeszcze jeden ślad krwi po porannym zabójstwie. Detektyw nie poruszył się. Ponieważ był najstarszy stopniem, do niego należał obowiązek zawiadomienia oddziału specjalnego i dowództwa patroli, by wysłali ludzi na poszukiwania. Wyglądał jednak, jakby w ogóle nie słyszał, co się do niego mówi.

Rhyme zerknął na Sachs, która skinęła głową i zadzwoniła do centrali, aby zorganizowano zespoły do zadania. Kiedy odłożyła słuchawkę, zauważyła, że Rhyme ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w tablicę z dowodami.

- Coś nie tak?

Nie odpowiedział od razu, zastanawiając się, co właściwie jest nie tak. Wreszcie domyślił się, o co chodzi. Ryba bez wody...

- Chyba potrzebujemy pomocy.

Jedną z największych trudności, z jakimi muszą się zmierzyć kryminaliści, jest niezajomość terenu. Podstawę warsztatu analityka stanowi wiedza o obszarze, który zamieszkują podejrzani - o geologii, socjologii, historii, popkulturze, sytuacji zatrudnienia... o wszystkim.

Lincoln Rhyme myślał, jak niewiele wie o świecie, w którym mieszka Geneva Settle: o Harlemie. Och, naturalnie, czytał statystyki. Większość mieszkańców stanowili w równych częściach Afroamerykanie (mieszkający tu od dawna i nowi imigranci) i Latynosi (przede wszystkim Portorykańczycy, Dominikanie, Salwadorczycy i Meksykanie), plus biali i Azjaci. Była tam bieda, gangi, narkotyki i przemoc - głównie w okolicach nowych osiedli - ale w większości dzielnicy było na ogół bezpiecznie w porównaniu z niektórymi rejonami Brooklynu, Bronksu czy Newark. W Harlemie istniało więcej kościołów, meczetów, organizacji lokalnych i stowarzyszeń rodziców niż w jakiegokolwiek innej części miasta. W dzielnicy dbano o prawa obywatelskie czarnoskórych, a także czarną i latynoską kulturę i sztukę. Stała się również centrum nowej akcji: ruchu na rzecz równości podatkowej. Realizowano tu kilkadziesiąt przedsięwzięć gospodarczych i modernizacyjnych, dlatego

inwestorzy wszystkich ras i narodowości, korzystając z ożywienia na rynku nieruchomości, na wyścigi lokowali w Harlemie ogromne pieniądze.

Ale wszystko to były fakty z „New York Timesa”, fakty ze statystyk policyjnych. W żaden sposób nie pomagały Rhyme’owi zrozumieć, dlaczego zawodowy morderca chciał zabić nastolatkę z tej dzielnicy. Była to poważna przeszkoda w poszukiwaniu NS 109. Poleciał telefonowi zadzwonić, a komputer posłusznie połączył go z numerem biura FBI na Manhattanie.

- Tu Dellray.
- Fred, mówi Lincoln. Znowu potrzebuję twojej pomocy.
- Spisał się mój kumpel ze stolicy?
- Tak, doskonale. Ten z Marylandu też.
- Cieszę się. Czekać no, muszę stąd kogoś wygonić.

Rhyme kilka razy był w biurze Dellraya. Pokój wysokiego i tykowatego agenta był pełen książek beletrystycznych i literatury poświęconej ezoterycznej filozofii, a także przeróżnych kostiumów, które Dellray wkładał na tajne akcje, choć ostatnio rzadko pracował w terenie. Ciekawe, że na tych samych wieszakach można było znaleźć obowiązkowe w FBI garnitury Brooks Brothers, białe koszule i krawaty w prążki. Na co dzień Dellray ubierał się bowiem - delikatnie mówiąc - cudacznie. Chodził w dresie, bluzach i sportowych kurtkach, a jeżeli decydował się na garnitur, gustował w zielonych, niebieskich albo żółtych. Przynajmniej nie nosił kapeluszy, w których mógłby wyglądać jak alfons z filmów „blaxploitation” z lat siedemdziesiątych.

Kiedy w słuchawce ponownie odezwał się głos agenta, Rhyme zapytał:

- Jak tam sprawy z bombami?
- Rano znowu był anonimowy telefon, dotyczący izraelskiego konsulatu. Tak samo jak w zeszłym tygodniu. Tylko że moje wtyki - nawet najlepsi z chłopaków - nie potrafią mi znaleźć nic konkretnego. A co u was?
- Sprawa zahacza o Harlem. Często tam pracujesz?
- Od czasu do czasu zaglądam. Ale encyklopedią nie jestem. Urodzony i wychowany w BK.
- BK?
- W Brooklynie, dawnej kolonii Breuckelen, uzyskanej dzięki uprzejmości holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej w latach czterdziestych siedemnastego wieku. Pierwszym oficjalnym mieście stanu Nowy Jork, nawiasem mówiąc. Dzielnicy Walta Whitmana. Ale chyba nie dzwonicz, żeby gadać o pierdołach.- Mógłbyś się tam trochę rozejrzeć po ulicach?
- Postaram się znaleźć chwilę. Ale nie obiecuję, że to coś da.

- Wiesz, Fred, masz nade mną przewagę, jeżeli chodzi o wmieszanie się w tłum na górnym Manhattanie.

- Jasne, jasne, nie wożę tyłka w luksusowym wózku.

- I coś jeszcze - odrzekł Rhyme, którego cera była jasna jak włosy posterunkowego Pułaskiego.

Od Genevy przywieziono pozostałe listy Charlesa Singletona.

Nie przechowywano ich w najlepszych warunkach - po wielu latach wyblakły i stały się bardzo kruche. Mel Cooper ostrożnie wsunął je między cienkie akrylowe płytki, potraktowawszy je wcześniej odpowiednim środkiem chemicznym, aby papier nie popękał.

Podszedł do niego Sellitto.

- No i co?

Technik umieścił pierwszy list w skanerze i wcisnął klawisz. Obraz ukazał się jednocześnie na kilku monitorach w laboratorium.

Najukochańsza Violet

Mam tylko chwilę spokoju w ten ciepły niedzielny poranek, by skreślić do Ciebie tych kilka słów. Nasz 31. Pułk Nowego Jorku przeszedł długą drogę od dnia, gdy jako niedoświadczonych rekrutów zebrano nas na Hart's Island. W rzeczy samej, otrzymaliśmy niezwyklej wagi zadanie, by stawić czoło samemu generałowi Robertowi E. Lee, którego armia wycofuje się po klęsce, jaką poniosła 2 kwietnia pod Petersburgiem w Wirginii.

Generał wraz ze swymi trzydziestoma tysiącami żołnierzy zajął pozycje w sercu terenów Konfederacji i między innymi naszemu pułkowi przypadła misja utrzymania linii na zachodzie, gdy będzie próbował odwrotu, co z pewnością nastąpi, albowiem generał Grant i generał Sherman nacierają na niego znacznie liczniejszą siłą.

Podczas tej ciszy przed burzą zebrano nas na dużej farmie. Wokół stoją bosy niewolnicy w bawełnianych bluzach i nam się przyglądają. Niektórzy milczą i patrzą obojętnym wzrokiem. Inni gromko wiwatują.

Niedawno podjechał do nas dowódca, zsiadł z konia i omówił plan działań na dziś. Następnie przemówił do nas słowami pana Fredericka Douglassa, które powtarzam tak, jak je zapamiętałem: „Kiedy raz pozwoli się czarnemu człowiekowi przypiąć do munduru litery US, nosić guziki z orłem na piersi, muszkiet na ramieniu i kule w kieszeni, to nikt na ziemi nie będzie mógł zaprzeczyć, że zasłużył sobie na prawo do obywatelstwa Stanów Zjednoczonych”.

Potem zasalutował nam i rzekł, że służba z nami w tej bożej misji jednoczenia kraju była dla niego prawdziwym zaszczytem.

Nigdy nie słyszałem głośniejszego „hura” niż to, jakie po jego słowach wyrwało się z piersi chłopców 31. pułku.

Ukochana, słyszę już dobiegający z dala głos bębnow i huk cztero-i ośmioletowych pocisków z dział, co zapowiada początek bitwy. Gdyby miały to być ostatnie słowa, jakie dane mi jest przekazać Ci z tego brzegu Jordanu, wiedz, że kocham Ciebie i naszego syna ponad wszystko. Nie opuszczaj naszej farmy, powtarzaj, że nie jesteśmy właścicielami ziemi, tylko stróżami i odrzucaj każdą ofertę kupna. Pragnę, aby ziemię w nienaruszonym stanie odziedziczył nasz syn, a po nim jego potomstwo; rzemiosła i zawody są niepewne i zmienne, rynki finansowe bywają kapryśne, ale ziemia to najtrwalszy dar Boga - a dzięki farmie nasza rodzina zyska poważanie w oczach tych, którzy dziś nas nie szanują. Farma będzie zbawieniem dla naszych dzieci i następnych pokoleń. A teraz, najdroższa, znów muszę wziąć broń i spełnić wolę Boga, by bronić naszej wolności i ocalić nasz święty kraj.

Twój na wieki Charles 9 kwietnia 1865 r. Appomattox, Wirginia

Sachs uniosła wzrok.

- Uff. Napięcie sięga zenitu.

- Niekoniecznie - odrzekł Thom.

- Jak to?

- Przecież wiemy, że utrzymali pozycje.

- Skąd?

- Bo dziewiątego kwietnia Południe skapitulowało.

- Nie interesuje mnie teraz ABC historii Stanów Zjednoczonych - powiedział Rhyme. - Chcę się czegoś dowiedzieć o jego tajemnicy.

- Tu chyba coś jest - odparł Cooper, przeglądając drugi list. Włożył go do skanera.

Najdroższa Violet

Tęsknię za Tobą, kochana, i za naszym małym Joshuą. Pokrzepiła mnie wiadomość o tym, że Twoja siostra dzielnie zniósła chorobę po urodzeniu Twego siostrzeńca, i dziękuję Panu Jezusowi, że mogłaś być przy niej w tej trudnej godzinie. Uważam jednak, że najlepiej będzie, jeśli pozostaniesz jeszcze w Harrisburgu. Nastaly czasy przełomowe, które, jak sądzę, niosą więcej zagrożeń niż wojna o secesję.

Tyle się wydarzyło w ciągu miesiąca Twojej nieobecności. Jakże zmieniło się moje życie prostego farmera i nauczyciela w porównaniu z obecną sytuacją! Zajmują mnie teraz sprawy trudne i niebezpieczne, a także - nie zawaham się rzec - decydujące dla pomyślności naszego ludu.

Dziś wieczorem ja i moi towarzysze znów spotykamy się w Gallows Heights, które pod każdym względem przypomina teraz obleżoną twierdzę. Dni wydają się ciągnąć bez końca, podróże do cna mnie wyczerpują. Moje życie to znojne godziny przemykania pod osłoną ciemności i unikania spotkania z ludźmi, którzy mają wobec nas złe zamiary, to nie tylko byli buntownicy, wiele osób z Północy także wrogo odnosi się do naszej sprawy. Często dostają pogrożki, niektóre zawołowane, inne całkiem wyraźne.

Dziś wczesnym rankiem znów zbudził mnie koszmar. Nie pamiętam obrazów, jakie nękały mnie we śnie, ale po przebudzeniu nie mogłem już usnąć. Czuwałem do świtu, rozmyślając o tym, jak trudno mi dźwigać tę tajemnicę. Tak bardzo pragnę podzielić się nią ze światem, lecz wiem, że nie wolno mi tego uczynić. Nie wątpię, że konsekwencje mogłyby być tragiczne.

Wybacz mi ponury ton. Tęsknię za Tobą i naszym synem i jestem okrutnie znużony. Może jutro odrodzi się nadzieja. Modlę się, aby tak było.

Kochający i szczerze Ci oddany Charles 3 maja 1867 r.

- No - zastanawiał się na głos Rhyme - faktycznie coś pisze o tajemnicy. Ale co to jest? Musi mieć coś wspólnego z tymi spotkaniami w Gallows Heights. „Pomyślność naszego ludu”. Pewnie prawa obywatelskie albo polityka. Wspominał coś w pierwszym liście... Cholera, co to w ogóle jest Gallows Heights?

Jego wzrok powędrował do karty tarota z wizerunkiem Wisielca zawieszzonego za stopę na szubienicy.

- Sprawdzę - powiedział Cooper i włączył Internet. Chwilę później poinformował ich: - Tak w dziewiętnastym wieku nazywała się dzielnica Manhattanu, na Upper West Side, położona wokół Bloomingdale Road i Osiemnastej. Bloomingdale zmieniła się w Boulevard, a potem w Broadway. - Popatrzył na nich spod uniesionych brwi. - Niedaleko stąd.

- „Gallows” z apostrofem?

- Bez. Przynajmniej w tych wynikach.

- Masz coś jeszcze?

Cooper wrócił do strony towarzystwa historycznego.

- Parę rzeczy. Jest mapa z tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku. - Odwrócił monitor w stronę Rhyme'a, który zauważył, że dzielnica obejmowała całkiem spory obszar. Były w niej rozległe posiadłości dawnych nowojorskich magnatów i finansistów oraz setki mniejszych budynków mieszkalnych i domów.

- Hej, Lincoln, zobacz - rzekł Cooper, pokazując fragment mapy obok Central Parku. - Twoja chata. Wtedy było tu bagno.

- Ciekawe - mruknął z przekąsem Rhyme.

- Druga wzmianka jest w artykule „Timesa” z zeszłego miesiąca, o otwarciu nowego archiwum w Fundacji Sanforda - to ta stara rezydencja na Osiemdziesiątej Pierwszej.

Rhyme przypominał sobie duży wiktoriański budynek obok Hotelu Sanford - ponure i mroczne gmaszysko przypominające pobliski budynek Dakota, gdzie zastrzelono Johna Lennona.

- Na uroczystości przemówił szef fundacji, William Ashberry - ciągnął Cooper. - Wspominał, jak bardzo zmieniła się Upper West Side od czasów, gdy dzielnica nazywała się Gallows Heights. Ale to wszystko. Nie ma tu żadnych konkretów.

Za dużo niepołączonych kropek, pomyślał Rhyme. W tym momencie komputer Coopera wydał sygnał oznaczający nadejście wiadomości. Technik przeczytał ją i spojrzał na zespół.

- Posłuchajcie. Chodzi o „Coloreds’ Weekly Illustrated”. Od kustosza z College’u Bookera T. Washingtona w Filadelfii. Ich biblioteka miała jedyny w kraju zbiór wszystkich numerów tego czasopisma i...

- Miała? - warknął Rhyme. - Jak to, kurwa, miała?

- W zeszłym tygodniu wybuchł pożar w pomieszczeniu, gdzie je przechowywano, i wszystkie zostały zniszczone.

- Co mówi raport z podpalenia? - zapytała Sachs.

- Nie brano pod uwagę podpalenia. Podobno pękła żarówka i jakieś papiery zajęły się ogniem. Nikt nie został poszkodowany.

- Akurat, niepodpalenie. Ktoś musiał podłożyć ogień. Dobra, czy kustosz ma jakieś sugestie, gdzie moglibyśmy...

- Właśnie miałem dokończyć.

- No to dokończ!

- Szkoła ma zwyczaj skanowania całej zawartości archiwum i zapisywania do plików pdf.

- Czyżbyś zamierzał zakomunikować dobrą wiadomość, Mel, czy tylko się z nami droczysz?

Cooper postukał klawiszami i wskazał na ekran.

- Voilá - „Colored’s Weekly Illustrated” z dwudziestego trzeciego lipca tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku.

- Co ty powiesz. No to przeczytaj nam, Mel. Przede wszystkim: czy Singleton utonął w Hudsonie, czy nie?

Cooper wcisnął kilka klawiszy i po chwili wsunął na nos okulary, pochylił się i zaczął:

- A więc tak. Tytuł brzmi „Skandal: zbrodnia wyzwolenca. Charles Singleton, weteran wojny między stanami, w głośnym incydencie sprzeniewierza się sprawie naszego ludu” - Przechodząc do treści artykułu, czytał dalej: - „We wtorek czternastego lipca sąd kryminalny Nowego Jorku wydał nakaz aresztowania niejakiego Charlesa Singleтона, wyzwolenca i weterana wojny o secesję, pod zarzutem, jakoby ów podstępnie wykradł dużą kwotę w złocie i banknotach z Narodowego Funduszu Edukacji Wyzwoleńców na Manhattanie w Nowym Jorku.

Singleton wymknął się poszukującym go po całym mieście funkcjonariuszom i podejrzewano, że uciekł, prawdopodobnie do Pensylwanii, gdzie mieszkała siostra jego żony z rodziną. Jednakże rano szesnastego lipca, w czwartek, pewien konstabl zauważył podejrzanego, gdy zmierzał w stronę nabrzeża rzeki Hudson.

Konstabl ów wszczął alarm, po którym Singleton rzucił się do ucieczki. Policjant ruszył za nim w pościg.

Do obławy włączyło się wkrótce kilkudziesięciu stróżów prawa, a także irlandzkich handlarzy starzyzną i robotników, spełniających obywatelski obowiązek pojmania przestępcy (i zachęconych obietnicą pięciu dolarów w złocie dla tego, kto zatrzyma złoczyńcę). Droga ucieczki wiodła przez labirynt uliczek i zaułków pośród nędznych chałup nad rzeką.

Przy malowidłach na Dwudziestej Trzeciej Ulicy Singleton potknął się. Zbliżył się doń policjant konny i zdawało się, że wyzwoleniec wpadł w sidła. Odzyskał jednak równowagę, lecz zamiast przyznać się do niegodziwego czynu, jak postąpiłby człowiek odważny, tchórzliwie rzucił się do dalszej ucieczki.

Przez pewien czas uchodził pogoni. Ale jego pojmanie było tylko kwestią czasu. Pewien murzyński handlarz siedzący na werandzie ujrzał wyzwolenca i zaczął go błagać w imię sprawiedliwości, by się zatrzymał. Twierdząc, że słyszał o zbrodni Singleтона, oskarżył go o to, że okrywa hańbą wszystkich kolorowych w kraju. Obywatel ten, niejaki Walker Loakes, cisnął w Singleтона cegłą, aby go przewrócić. Jednakże Singleton uchylił się przed pociskiem i zaklinając się, iż jest niewinny, uciekał dalej.

Wyzwoleniec, dzięki pracy w sadzie, odznaczał się siłą i wytrzymałością, biegł więc szybko jak błyskawica. Pan Loakes poinformował jednak policję o obecności wyzwolenca i przy pomocy niedaleko Dwudziestej Ósmej Ulicy i biura portowego drogę uciekinierowi zastąpił drugi oddział pościgowy. Singleton przystanął i wyczerpany chwycił się tablicy Swiftsure Express Company. Człowiek, który od dwóch dni prowadził poszukiwania, detektyw kapitan William P. Simms, wezwał złodzieja do poddania się i wymierzył weń pistolet.

Czy też jednak rozpaczliwie szukając drogi ucieczki, czy w przekonaniu, że jego nieczne czyny wyszły na jaw i pragnąc zakończyć życie, Singleton, według wszelkich relacji, zawahał się przez chwilę, a potem skoczył w nurt rzeki, wołając słowa, których nikt nie zdołał zrozumieć”.

- Do tego miejsca doszła Geneva, zanim została zaatakowana - przerwał mu Rhyme. - Zapomnij o wojnie secesyjnej, Sachs. Tu dopiero napięcie sięga zenitu. Czytaj dalej, Mel.

- „Stracono go z oczu i świadkowie byli pewni, że zginął. Trzej konstable zarekwirowali w przystani łódź i okrążyli pomost, upewniając się co do losu Murzyna.

Nareszcie znaleźli go, na wpół przytomnego po upadku i kurczowo przyciskającego do piersi kawałek drewna unoszącego się na fali, gdy ze smutkiem, który wielu uznało za udawany, wołał żonę i syna”.

- Przynajmniej przeżył - powiedziała Sachs. - Geneva się ucieszy.

- „Po opatrzeniu przez lekarza został zatrzymany i doprowadzony na proces, który odbył się w ostatni wtorek. W sądzie dowiedziono, że ukradł niewyobrażalną kwotę trzydziestu tysięcy dolarów w banknotach i złotych monetach”.

- Tak właśnie myślałem - rzekł Rhyme. - Że motywem jest zaginiony łup. Jaka jest dzisiejsza wartość?

Cooper zminimalizował okno z artykułem o Charlesie Singletonie i zaczął szukać w sieci, zapisując w notatniku cyfry. Wreszcie uniósł głowę znad swoich obliczeń.

- Blisko osiemset tysięcy. Rhyme chrząknął.

- „Niewyobrażalne”. Dobra, czytaj dalej.

- „Stróż z budynku naprzeciw Funduszu Wyzwoleńców widział, jak Singleton dostaje się do biura przez tylne wejście i wychodzi po dwudziestu minutach, niosąc dwa duże worki. Gdy niedługo potem zjawił się wezwany przez policję dyrektor funduszu, stwierdzono, że sejf Exeter Strongbow został rozpruty za pomocą młotka i łomu, takich samych jak narzędzia należące do oskarżonego, które później znaleziono w pobliżu budynku.

Ponadto przedstawiono dowody na to, iż Singleton chwalił się, że kilkakrotnie spotkał się w dzielnicy Gallows Heights z tak znanymi luminarzami jak czcigodni Charles Sumner, Thaddeus Stevens i Frederick Douglass z synem Lewisem Douglassem, pod pozorem pomagania tym szlachetnym ludziom we wspieraniu praw naszego ludu w Kongresie”.

- Ach, to o tych spotkaniach Charles pisał w liście. Faktycznie, dotyczyły praw obywatelskich. A to pewnie ci towarzysze, o których wspomniał. Zdaje się, że poważni zawodnicy. Co dalej?

- „Zdaniem prokuratora motywem, jaki skłonił go do współpracy z tymi słynnymi osobistościami, nie była jednak chęć wsparcia sprawy Murzynów, lecz zdobycia wiedzy o funduszu oraz innych skarbcach, które mógłby ograbić”.

- Czyżby to miała być jego tajemnica? - zastanawiała się Sachs.

- „Podczas procesu Singleton nie skomentował przedstawionych mu zarzutów, złożył jedynie ogólne oświadczenie, że jest niewinny i deklarował, iż kocha żonę i syna.

Kapitan Simms zdołał odzyskać większą część przywłaszczonych pieniędzy. Przypuszcza się, że

pozostałe kilka tysięcy zostały ukryte, Murzyn odmówił jednakże wskazania miejsca, w którym je schował. Reszty skradzionej kwoty nie udało się odnaleźć, wyjąwszy sto dolarów w złocie, które Singleton miał przy sobie w chwili zatrzymania”.

- No i mamy hipotezę o ukrytym skarbie - mruknął Rhyme. - Niedobrze. Już zaczynało mi się podobać.

- „Oskarżonego bezzwłocznie skazano. Po ogłoszeniu wyroku sędzia nawoływał wyzwolenca, aby zwrócił pozostałą część złupionej sumy, ten jednak uparcie odmawiał, powtarzając, że jest niewinny, i twierdząc, iż moneta, jaką u niego znaleziono, została mu podrzucona już po aresztowaniu. W związku z tym sędzia w swej mądrości nakazał konfiskatę oraz sprzedaż mienia przestępcy tytułem pokrycia strat, a jego samego skazał na pięć lat więzienia”. Cooper oderwał wzrok od ekranu.

- To wszystko.

- Dlaczego ktoś miałby uciekać się do morderstwa, żeby zachować w tajemnicy taki artykuł? - zapytała Sachs.

- Oto jest pytanie... - Rhyme zapatrzył się w sufit. - Dobrze, co wiemy o Charlesie? Był nauczycielem i weteranem wojny secesyjnej. Pracował na należącej do niego farmie na północy stanu. Aresztowano go i skazano za kradzież. Miał tajemnicę, której ujawnienie groziłoby strasznymi konsekwencjami. Chodził na poufne spotkania w Gallows Heights. Zaangażował się w ruch na rzecz praw obywatelskich i znał ważnych polityków i działaczy praw obywatelskich z tamtych czasów.

Rhyme podjechał do monitora, przyglądając się artykułowi. Nie dostrzegął żadnego związku między ówczesnymi wydarzeniami a sprawą NS 109.

Zadzwoił telefon Sellitta. Detektyw słuchał przez chwilę, potem uniósł brew.

- Dobra, dzięki. - Rozłączył się i spojrzał na Rhyme'a. - Bingo.

- Co „bingo”?

- Zespół w Little Italy znalazł sklepik na Mulberry Street - wyjaśnił Sellitto - tuż obok miejsca, gdzie był festyn z okazji Dnia Kolumba. Sprzedawczyni przypomniała sobie białego mężczyznę w średnim wieku, który kilka dni temu kupił wszystkie rzeczy z zestawu. Zapamiętała go przez czapkę.

- Nosił czapkę?

- Nie, kupił czapkę. Wełnianą. Zapamiętała go dlatego, że kiedy ją przymierzał, naciągnął ją sobie na twarz. Kobieta widziała to w lustrze. Myślała, że chce ją obrabować. Ale zaraz zdjął czapkę, włożył do koszyka, zapłacił za wszystko i wyszedł.

Prawdopodobnie był to brakujący przedmiot z paragonu za 5,95 dolara. Przymierzał czapkę, aby się upewnić, czy będzie dobra jako kominiarka.

- Zapewne właśnie czapką wytarł swoje odciski palców. Czy ta kobieta zna jego nazwisko?

- Nie. Ale dość dobrze go opisała.

- Zrobimy portret pamięciowy i puścimy po ulicach - powiedziała Sachs. Chwyciła torebkę i ruszyła do drzwi, gdy nagle zdała sobie sprawę, że nie ma obok siebie tęgiego detektywa. Zatrzymała się i obejrzała. - Lon, idziesz?

Zdawało się, jakby Sellitto jej nie usłyszał. Powtórzyła pytanie, a detektyw zaskoczony zamrugał oczami. Oderwał dłoń od poczerwieniałego policzka. I rozciągnął usta w uśmiechu.

- Przepraszam. Jasne, że idę. Chodźmy złapać tego gnoja.

MIEJSCE: MUZEUM AFROAMERYKAŃSKIE

Zestaw gwałciciela:

- Karta tarota, dwunasta z talii, Wisielec, oznaczająca duchowe poszukiwania.
- Torebka z uśmiechniętą buzią - producent nie do wykrycia.
- Składany nóż.
- Prezerwatywy Trojan.
- Taśma izolacyjna.
- Zapach jaśminu.
- Nieznany przedmiot za 5.95 doi. Prawdopodobnie wełniana czapka.
- Z paragonu wynika, że sklep był w Nowym Jorku, wielobranżowy lub drogeria.
- Zakupy najprawdopodobniej zrobiono w sklepie na Mulberry Street w Little Italy. NS zidentyfikowany przez sprzedawczynię.
- Pociski własnej roboty, wydrążone i wypełnione igłami. Brak danych w IBIS i DRUGFIRE.

Motyw:

- Nieznany. Gwałt prawdopodobnie upozorowany.
- Prawdziwym motywem mogła być kradzież mikrofiszki z numerem czasopisma „Coloreds' Weekly Illustrated” z 23 lipca 1868 r. i próba z nieznanymi powodów zabójstwa G. Settle czytającej artykuł. Artykuł dotyczył jej przodka, Charlesa Singletona (patrz dołączona tablica).
- Bibliotekarz (ofiara) twierdził, że o artykuł pytał ktoś jeszcze.
- Prośba o biling telefonów bibliotekarza w celu sprawdzenia tej informacji.
- Wywiad wśród pracowników w sprawie osoby pytającej o artykuł.
- Brak tropów.

- Poszukiwanie kopii artykułu.
- Kilka źródeł podaje, że ktoś prosił o ten sam artykuł. Nic na temat tożsamości sprawcy. Większości numerów czasopisma nie ma lub uległy zniszczeniu. Znalaziono jeden egzemplarz (patrz dołączona tablica).
- Wniosek: G. Settle przypuszczalnie nadal grozi niebezpieczeństwo.

Profil zdarzenia przesłany do VICAP

1 NCIC.

- Morderstwo w Amarillo w Teksasie, pięć lat temu. Podobny sposób działania - upozorowane miejsce zbrodni (inscenizacja rytualnego mordu, prawdziwy motyw nieznany).
- Morderstwo w Ohio, trzy lata temu. Podobny sposób działania - upozorowane miejsce zbrodni (inscenizacja gwałtu, prawdziwy motyw to przypuszczalnie morderstwo na zlecenie). Brak akt.

PROFIL NS 109

- Biały mężczyzna.
- Wzrost 180 cm, waga 80 kg.

Odciski palców:

- NS miał lateksowe lub winylowe rękawiczki.
- Odciski na zestawie należały do osoby o małych dłoniach, brak danych w IAFIS. Przypuszczalnie odciski sprzedawczyń.

Ślady:

- Bawełniane włókna sznura, część ze śladami ludzkiej krwi. Pętla?
- Brak producenta.
- Przesłany do CODIS.
- Brak profilu DNA w CODIS.
- Popcorn i wata cukrowa ze śladami psiego moczu.
- Związek z festynem albo imprezą uliczną? Pytanie do drogówki o pozwolenia organizacji imprez. Na podst. informacji z drogówki policja sprawdza lokalizacje festynów.
- Potwierdzenie - festyn w Little Italy.

Broń:

- Drewniana pałka lub broń używana w sztukach walki.
- North American Arms .22, amunicja magnum bocznego zapłonu, black widów lub mini-master.
- Głos zwyczajny.
- Użył telefonu komórkowego, żeby podejść blisko ofiary.

- Nosi trzyletnie lub starsze buty turystyczne Bass, rozmiar 11, jasnobrązowe. Prawa stopa lekko wykręcona na zewnątrz.
- Zapach jaśminu.
- Ciemne spodnie.
- Aby zabić swoje ofiary i uciec, atakuje niewinne osoby.
- Najprawdopodobniej płatny morderca.

PROFIL ZLECENIODAWCY NS 109

- Brak informacji.

PROFIL CHARLESA SINGLETONA

- Były niewolnik, przodek G. Settle. Żonaty, miał syna. Dostał od swojego pana sad w stanie Nowy Jork. Pracował także jako nauczyciel. Odegrał jakąś rolę w ruchu na rzecz praw obywatelskich.
- W 1868 r. Charles rzekomo popełnił kradzież, o czym mówi artykuł na skradzionej mikrofiszce.
- Podobno znał tajemnicę, być może związaną ze sprawą. Bał się, że jej ujawnienie wywoła tragedię.
- Brał udział w spotkaniach w dzielnicy Nowego Jorku, Gallows Heights.
- Zaangażowany w jakąś niebezpieczną działalność?
- Przystępstwo według relacji w „Coloreds' Weekly Illustrated”:
- Charles aresztowany przez det. Williama Simmsa za kradzież dużej kwoty z Funduszu Wyzwoleńców w Nowym Jorku. Włamał się do sejfów, widziany przez świadka krótko po zdarzeniu. Niedaleko znaleziono jego narzędzia. Większą część pieniędzy odzyskano. Został skazany na pięć lat więzienia. Brak informacji o jego losach po wyroku skazującym. Przypuszczano, że uzyskał dostęp do funduszu dzięki powiązaniom z działaczami na rzecz praw obywatelskich.
- Korespondencja Charlesa:
 - List 1, do żony: na temat rozruchów związanych z poborem w 1863 r., fala wrogości przeciw czarnym w stanie Nowy Jork, lincze, podpalenie. Nieruchomości należące do czarnych znalazły się w niebezpieczeństwie.
 - List 2, do żony: Charles bierze udział w bitwie pod Appomattox pod koniec wojny secesyjnej.
 - List 3, do żony: zaangażowany w ruch na rzecz praw obywatelskich. Wskutek swojej działalności dostaje pogroźki. Martwi się ukrywaną tajemnicą.

Rozdział 10

W latach dwudziestych ubiegłego wieku w Nowym Jorku wybuchł Ruch Nowych Murzynów nazwany później Harlemskim Odrodzeniem.

Uczestniczyła w nim zadziwiająca grupa myślicieli, artystów, muzyków i przede wszystkim pisarzy, którzy w swej sztuce nie patrzyli na świat czarnych oczyma białej Ameryki, lecz z własnego punktu widzenia. W przełomowym ruchu działali intelektualiści tacy jak Marcus Garvey i W. E. B. DuBois, pisarze jak Zora Neale Hurston, Claude McKay i Countee Cullen, malarze jak William H.

Johnson i John T. Biggers, oraz oczywiście muzycy, którzy stworzyli ponadczasową ścieżkę dźwiękową tego okresu - Duke Ellington, Josephine Baker, W. C. Handy, Eubie Blake.

W tym panteonie znakomitości trudno było odcisnąć własne piętno jednemu artyście, ale jeśli czykolwiek głos był słyszalny wyraźniej od innych, był to głos poety i powieściopisarza Langstona Hughesa, który potrafił zawrzeć swe przesłanie w prostych słowach: „Co staje się z niespełnionym marzeniem? Czy usycha jak rodzynek w słońcu?... a może eksploduje?”.

W całym kraju można było znaleźć wiele pomników wzniesionych na cześć Hughesa, ale na pewno jednym z największych i najbardziej dynamicznych, z którego prawdopodobnie byłby najbardziej dumny, był stary czteropiętrowy budynek w Harlemie, położony niedaleko osiedla Lennox Terrace na Sto Trzydziestej Piątej.

Szkoła średnia imienia Langstona Hughesa, jak wszystkie szkoły miejskie, borykała się z licznymi problemami. Była wiecznie przepełniona i niedofinansowana, desperacko walczyła o to, aby zdobyć i zatrzymać u siebie dobrych nauczycieli, a także aby utrzymać uczniów w klasach. Miała kłopoty z niskim wskaźnikiem promocji, z przemocą na korytarzach, narkotykami, gangami, z wagarowaniem i ciężami nastolatków. Mimo to wielu jej absolwentów zostało prawnikami, biznesmenami, lekarzami, naukowcami, pisarzami, tancerzami i muzykami, politykami, profesorami. Miała świetne drużyny sportowe, liczne towarzystwa naukowe i kluby artystyczne.

Ale dla Genevy Settle szkoła imienia Langstona Hughesa była czymś więcej niż dane statystyczne. Była jej wybawieniem, oazą pocieszenia. Widząc jej brudne ceglane mury, poczuła, jak słabną lęk i niepokój, które nie opuszczały jej po tym strasznym zdarzeniu w muzeum.

Detektyw Bell zaparkował samochód, upewniwszy się przedtem, czy w okolicy nie ma żadnego zagrożenia, po czym wysiedli. Policjant wskazał róg ulicy i powiedział do młodego Pułaskiego:

- Zaczekaj tam.

- Tak jest.

- Pan też mógłby tu poczekać - zwróciła się do detektywa Geneva. Bell zachichotał.

- Trochę ci potowarzyszę, jeśli wolno. No dobrze, widzę, że nie jesteś zachwycona. Ale mimo to idę. - Zapiął marynarkę, ukrywając pistolety. - Nikt nie będzie zwracał na mnie uwagi. - Pokazał książkę do wiedzy o społeczeństwie.

Geneva skrzywiła się bez słowa i ruszyli w stronę szkoły. Przy wykrywaczu metali w wejściu dziewczyna pokazała legitymację, a Bell dyskretnie otworzył portfel i został wpuszczony obok urządzenia. O jedenastej trzydzieści siedem miała się rozpocząć piąta lekcja, więc w korytarzach kłębił się tłum dzieciaków, zmierzających na boisko, do stołówki albo na ulicę, jeśli wolały fast food. Młodzi ludzie przekomarzali się, dogadywali sobie, flirtowali, obściskiwali się. Królował chaos.

- Teraz jest przerwa na lunch! - zawołała Geneva, przekrzykując harmider. - Pójdę do stołówki

się pouczyć. Tędy.

Dogoniły ją trzy koleżanki, Ramona, Challette i Janet. Były, podobnie jak ona, inteligentnymi dziewczynami. Sympatyczne, nie sprawiały żadnych kłopotów i świeciły przykładem innym. Mimo to - a może właśnie dlatego - nie były szczególnie bliskimi przyjaciółkami; właściwie nie spędzały ze sobą czasu. Zaraz po lekcjach wracały do domu, uczyły się gry na skrzypcach metodą Suzuki, zgłaszały się do pracy w zajęciach wyrównawczych, brały udział w konkursach ortograficznych albo stypendialnych konkursach nauk ścisłych Westinghouse'a oraz, oczywiście, zajmowały się nauką. Praca oznaczała samotność. (Geneva trochę zazdrościła szkolnym paczkom w rodzaju *gangsta*, *blingsta*, szpanerkom z bogatych domów i feministkom spod znaku Angeli Davis). Teraz jednak wszystkie trzy obstały ją jak najlepsze kumpele, zasypując pytaniami. Dotykał cię? Widziałas jego fiuta? Był twardy? Widziałas tego gościa, co go rozwalił? Byłaś blisko niego?

Wszyscy już wiedzieli - od dzieciaków, które spóźniły się do szkoły, albo od wagarowiczów, którzy oglądali rano telewizję. Mimo że w wiadomościach nie podano nazwiska Genevy, wszyscy wiedzieli, że to ona była bohaterką incydentu - prawdopodobnie dzięki Keesh.

Podeszła do niej Marella - gwiazda bieżni i koleżanka z trzeciej klasy - i zagadnęła:

- No i co? Spoko?

- Tak, nic mi nie jest.

Wysoka dziewczyna zmierzyła wzrokiem detektywa Bella, pytając:

- Dlaczego gliniarz nosi twoją książkę, Gen?

- Sama go spytaj.

Policjant zaśmiał się niepewnie.

Chce pan odstawić nauczyciela. Super...

Keesh Scott, w towarzystwie siostry i kilku kumpel *blingsta*, na widok Genevy zdumiała się teatralnie.

- Ty gupia - krzyknęła. - Jak cie ktoś zwalnia, to masz wolne. Mogłaś dać se luz, pooglondać tiwi. - Uśmiechnęła się, pokazując na stołówkę. - Nara.

Inni uczniowie nie byli dla niej tacy mili. W połowie drogi do stołówki Geneva usłyszała chłopiący głos:

- Patrzcie, idzie ta sucz z Fox News z jakimś bladziakiem. Jeszcze żyje?

- Myślałem, że ktoś jom w końcu stuknoł.

- Kurwa, ta kokoska jest za chuda, żeby w niom coś mogło trafić. Chyba że szlag jasny.

Wybuchnął hałaśliwy śmiech.

Detektyw Bell odwrócił się na pięcie, ale młodzi ludzie wykrzykujący do niej te słowa już zdążyli zniknąć w morzu bluz, kurtek, workowatych spodni i gołych głów - w szkole Langstona Hughesa nie wolno było nosić czapek.

- W porządku - powiedziała Geneva, zaciskając szczęki i wbijając wzrok w podłogę. - Niektórzy nie lubią, jak traktuje się szkołę poważnie. Jak się zawiąza średnią.

Kilka razy wybrano ją uczennicą miesiąca, a w pierwszej i drugiej klasie dostała nagrodę za najmniejszą liczbę nieobecności. Jej nazwisko regularnie pojawiała się na liście najlepszych uczniów z przeciętną dziewięćdziesiąt osiem procent, a wiosną zeszłego roku, podczas oficjalnej ceremonii przyjęto ją w poczet członków National Honor Society.

- Nieważne.

Nie wzruszały jej nawet złośliwe obelgi w rodzaju „kokoska” i „blondyna” - używane wobec czarnej dziewczyny mającej ambicje białej. Tkwiło w tym bowiem ziarno prawdy.

W drzwiach stołówki do Bella podeszła postawna, atrakcyjna kobieta w fioletowej sukience, z zawieszonym na szyi identyfikatorem, z którego wynikało, że pracuje w kuratorium. Przedstawiła się jako pani Barton, psycholog. Słyszała o zdarzeniu i chciała wiedzieć, czy Genevie nic się nie stało i czy nie chciałaby porozmawiać z fachowcem.

Kurczę, psycholog, pomyślała dziewczyna, czując, jak opuszcza ją dobry nastrój. Po co mi te głupoty?

- Nie - powiedziała. - Nic mi nie jest.

- Na pewno? Moglibyśmy się umówić na popołudnie.

- Naprawdę, spoko. Wszystko gra.

- Powinnam zadzwonić do twoich rodziców.

- Wyjechali.

- Chyba nie jesteś sama? - Kobieta zmarszczyła brwi.

- Mieszkam z wujkiem.

- No i my się nią opiekujemy - dodał detektyw. Geneva zauważyła, że kobieta nie poprosiła go „nawet o pokazanie odznaki; na pierwszy rzut oka było widać, że jest glina.

- Kiedy wrócą twoi rodzice?

- Już są w drodze. Byli w Europie.

- Naprawdę nie musiałaś przychodzić do szkoły.

- Mam dwa sprawdziany. Nie chcę stracić okazji.

Kobieta zaśmiała się bez przekonania i powiedziała do Bella:

- Nigdy nie traktowałam szkoły aż tak poważnie. Pewnie powinnam. - Zerknęła na dziewczynę. - Jesteś pewna, że nie chcesz wracać do domu?

- Długo się uczyłam do tych sprawdzianów - mruknęła w odpowiedzi. - Naprawdę chcę je napisać.

- No dobrze. Ale potem powinnaś chyba wrócić do domu i zostać tam przez kilka dni. Dowiesz się od nas, co było zadane. - Pani Barton zostawiła ich i pobiegła rozdzielić popychających się chłopaków.

Kiedy odbiegła, detektyw spytał:

- Masz coś do niej?

- Psychologowie... rozumie pan, do wszystkiego się wtrącają. Miał minę, jakby nie rozumiał. Zresztą jak miałby rozumieć? To

nie był jego świat.

Ruszyli korytarzem w stronę stołówki. Kiedy weszli do pełnej gwaru sali, Geneva wskazała wnękę prowadzącą do toalety.

- Mogę tam iść?

- Jasne. Ale zaczekaj chwilę.

Dał znak jakiejś nauczycielce i szepnął jej coś na ucho, prawdopodobnie wyjaśniając sytuację. Kobieta skinęła głową i weszła do toalety. Po chwili wróciła.

- Pusto.

Bell zajął pozycję przy drzwiach. - Będę pilnował, żeby wchodziły tu tylko uczennice. Geneva przestąpiła próg, wdzięczna za chwilę spokoju i to, że nikt się na nią nie gapi, ani że nie musi się niepokoić, że ktoś chce

ją skrzywdzić. Wcześniej była zła. Wcześniej była harda. Teraz jednak rzeczywistość zaczęła do niej docierać, wzbudzając lęk i dezorientację.

Wyszła z kabiny i umyła ręce i twarz. Przed lustrem stała jakaś dziewczyna, poprawiając makijaż. Pewnie z ostatniej klasy, pomyślała Geneva. Wysoka i atrakcyjna, o artystycznie wyrównanych brwiach i idealnej grzywce. Dziewczyna zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów -

choć chyba nie z powodu wiadomości telewizyjnych. Po prostu ją oceniała. Normalna rzecz: co dzień, co minutę sprawdzano konkurencję - w co dziewczyna jest ubrana, ile ma przekłutych miejsc na ciele, czy nosi prawdziwe złoto, czy blaszki; czy nie za bardzo się świeci; czy ma superwarkoczyki, czy zaplecione byle jak; czy jest obwieszona jak choinka, czy nosi tylko jeden lub dwa kolczyki; czy to prawdziwe pasemka, czy sztuczne? Czy nie próbuje ukryć ciąży?

Geneva, która zamiast na ubrania i kosmetyki wydawała pieniądze na książki, zawsze łądowała na samym dole tabeli.

To, co Bóg stworzył, wcale nie pomagało. Geneva musiała głęboko nabrać powietrza, żeby wypełnić stanik, bez którego zresztą zwykle się obywatła. Dla dziewczyn z Delano była „tą z cyckami jak jajka sadzone” i w ciągu zeszłego roku niejedna osoba mówiła o niej lub zwracała się do niej w rodzaju męskim. (Najbardziej bolały nie docinki, ale kiedy ktoś naprawdę brał ją za chłopaka). No i jej włosy - gęste i twarde. Nie miała czasu zapuszczać loków ani pleść francuzów. Robienie warkoczków i pasemek trwało wieczność i choć Keesh mogłaby wyświadczyć jej taką przysługę za darmo, fryzury tego rodzaju bardzo odmładzały Geneve, która wyglądała w nich jak mała dziewczynka wystrojona przez mamusię.

Tam, tam jest, chuda chłopaczycyca... Łapać ją...!

Czwartoklasistka przy umywalce obok odwróciła się z powrotem do lustra. Była ładna i dobrze zbudowana. Miała długie, prostowane włosy i gładkie policzki o czerwonym odcieniu, a jej strój seksownie ukazywał ramiączka stanika i kawałek stringów. Jej buty miały barwę kandyzowanych jabłek. Stanowiła zupełne przeciwieństwo Genevy Settle.

W tym momencie otworzyły się drzwi i Geneva struchlała.

Do toalety wkroczyła Jonette Monroe, także z ostatniej klasy. Była niewiele wyższa od Genevy, lecz znacznie potężniejsza, o szerokich ramionach i wyraźnie zarysowanych mięśniach. Jej obie ręce zdobiły tatuaże. Lodowate oczy w pociągłej, ciemnobrązowej twarzy zmrużyły się złowrogo, gdy dostrzegła Geneve, która natychmiast odwróciła wzrok.

Jonette sprawiała kłopoty. Była *gangsta*. Według plotek handlowała dragami - mogła zdobyć wszystko, czego chciał klient, amfę, crack, herę. A kiedy nie dostała franklinów, biła cię i nękała - albo twoją najlepszą przyjaciółkę, albo nawet mamę - dopóki dług nie został uregulowany. W tym roku już dwa razy przychodzili po nią gliniarze, a jednego kopnęła nawet w jaja.

Geneva nie podnosiła oczu, myśląc: Detektyw Bell nie mógł wiedzieć, jak niebezpieczna jest Jonette, kiedy ją wpuścił. Nie wycierając twarzy i rąk, Geneva skierowała się do drzwi.

- Ej, ty - powiedziała do niej Jonette, mierzając ją zimnym spojrzeniem. - Tak, ty, Martho Stewart. Nigdzie nie idziesz.

- Ale...

- Zamknij się. - Zerknęła na drugą dziewczynę, tę o fioletowym różu na policzkach. - A ty stąd

wypierdalaj.

Czwartoklasistka miała nad Jonette przewagę dwudziestu kilogramów wagi i paru centymetrów wzrostu, ale przestała się mizdrzyć przed lustrem i wolno pozbierała kosmetyki. Próbując zachować resztki godności, powiedziała:

- Mogłabyś grzeczniej.

Jonette nie odezwała się ani słowem. Zrobiła krok naprzód; dziewczyna chwyciła torebkę i wybiegła z toalety. Na podłodze wylądowała konturówka do ust. Jonette podniosła ją i wcisnęła do kieszeni. Geneva znów ruszyła w kierunku drzwi, ale Jonette zatrzymała ją gestem, dając jej znak, by cofnęła się w głąb pomieszczenia. Kiedy Geneva stanęła jak wryta, Jonette złapała ją za ramię i otworzyła drzwi do kabin, chcąc się upewnić, czy są same.

- Czego chcesz? - wyszeptała Geneva głosem, w którym zabrzmiało i przerażenie, i wyzywający ton.

- Zamknij pysk - warknęła Jonette.

Cholera, pomyślała z wściekłością. Pan Rhyme miał rację! Ten straszny człowiek z biblioteki faktycznie nie zrezygnował. Dowiedział się, do której szkoły chodzi i wynajął Jonette, żeby dokończyła robotę. Dlaczego, do diabła, musiała dzisiaj przyjść do szkoły? Musisz wrzasnąć, powiedziała sobie Geneva.

I wrzasnęła.

W każdym razie próbowała.

Jonette przejrzała jej zamiar i błyskawicznie znalazła się za jej plecami, ręką zakrywając Genevie usta.

- Cicho!

Drugą ręką chwyciła dziewczynę w pasie i zaciągnęła do rogu toalety. Geneva szarpnęła jej ramię, usiłując się wyswobodzić, lecz Jonette miała nad nią znaczną przewagę fizyczną. Zobaczyła wytatuowany na jej przedramieniu krwawiący krzyż i wykrztusiła:

- Proszę...

Jonette zaczęła szperać w torbie czy kieszeni. Czego szuka? - pomyślała w panice Geneva. Błysnął metal. Nóż czy pistolet? Po co są te cholerne wykrywacze metalu, skoro tak łatwo przemycić broń do szkoły?

Geneva pisnęła, szamocząc się bezradnie. Ręka dziewczyny wystrzeliła do przodu.

Nie, nie...

I Geneva ujrzała srebrną odznakę policyjną.

- Będiesz w końcu cicho? - spytała zirytowana Jonette.

- Ja tylko...

- Cicho. Skinęła głową.

- Nie chcę, żeby ktoś na korytarzu coś usłyszał - powiedziała Jonette. - No jak, spoko?

Geneva znów kiwnęła głową i Jonette wreszcie ją puściła.

- Jesteś...

- Tak, gliną.

Geneva odsunęła się i oparła o ścianę, z trudem łapiąc oddech, a Jonette podeszła do drzwi i odrobinę je uchyliła. Szepnęła coś i po chwili do toalety wszedł detektyw Bell, zamykając za sobą drzwi.

- A więc już się poznałyście - rzekł.

- Tak jakby - odparła Geneva. - Naprawdę jest gliną?

- We wszystkich szkołach pracują zakonspirowani policjanci - wyjaśnił detektyw. - Zwykle kobiety, które udają trzecio - albo czwartoklasistki. Czy, jak wy to mówicie? Odstawiają uczennice.

- Dlaczego mi po prostu nie powiedziałaś? - burknęła Geneva. Jonette zerknęła na kabiny.

- Nie wiedziałam, czy jesteśmy same. Przepraszam, że byłam wredna. Ale nie mogłam się spalić. - Policjantka spojrzała na Geneve i pokręciła głową. - Szkoda, że to się musiało przytrafić akurat tobie. Zawsze byłaś grzeczna. Nie miałam z tobą żadnych kłopotów.

- Glina - wyszeptała z niedowierzaniem Geneva. Jonette wybuchnęła perlistym, dziewczęcym śmiechem.

- Zgadza się, we własnej osobie.

- Nigdy bym się nie domyśliła - powiedziała Geneva. - Super-przykrywka.

- Pamiętasz, jak kilka tygodni temu przymknęli tych czwartoklasistów, którzy przemycili broń do szkoły? - spytał Bell.

Geneva skinęła głową.

- I jeszcze jakąś bombę rurową czy coś w tym rodzaju.

- Mogła tu być druga Szkoła Columbine - rzekł detektyw, przeciągając po swoim samogłoski.

- Jonette się o wszystkim dowiedziała i powstrzymała jatkę.

- Nie mogłam ich sama zgarnąć, żeby się nie spalić - wyjaśniła takim tonem, jak gdyby żałowała, że nie mogła osobiście przymknąć tych chłopaków. - Dobra, dopóki jesteś w szkole, co moim zdaniem jest kretyńskim pomysłem, ale to inna sprawa, w każdym razie dopóki tu jesteś, będę cię miała na oku. Gdybyś zauważyła coś niepokojącego, daj mi znak.

- Znak gangu? Jonette się zaśmiała. - Nie obraż się, Gen, ale w każdym gangu byłabyś ostatnią lamą. Jak zaczniesz mi dawać tajemnicze sygnały, wszyscy zauważą, że coś nie tak. Może lepiej podrap się w ucho, co ty na to?

- Zgoda.

- Wtedy podejść i spuszczyć ci małe lanie. Zrobię trochę bydła i odciągnę cię na bok. Może być? Nie zrobię ci krzywdy. Najwyżej trochę poszturcham.

- Jasne, zgoda... Dzięki za to. Nikomu o tobie nie powiem.

- Wiedziałaś, zanim się jeszcze dowiedziałaś. - Jonette zerknęła na detektywa. - Jesteś gotowy?

- Jasna sprawa.

I nagle spokojna i sympatyczna policjantka nasrożyła się i wrzasnęła:

- Co tu robisz, do cholery? Zabierz ode mnie swoje pieprzone łapy! - skrzeczała, wracając do roli.

Detektyw ujął ją za ramię i wypchnął za drzwi. Jonette zderzyła się ze ścianą korytarza.

- Kurwa, zaskarżę cię za przemoc albo napastowanie! - Dziewczyna rozcierała ramię. - Nie wolno ci mnie dotykać. To przestępstwo, skurwielu! - Pobieгла w głąb korytarza. Po chwili detektyw Bell i Geneva weszli do stołówki.

- Dobra aktorka - szepnęła Geneva.

- Jedna z najlepszych - odrzekł policjant.

- Sama prawie pana spaliła.

Z uśmiechem oddał jej podręcznik do wiedzy o społeczeństwie.

- Chyba nie za bardzo się przydał.

Geneva usiadła przy stole w kącie, wyciągając z plecaka książkę do angielskiego.

- Nic nie jesz? - zapytał Bell.

- Nie.

- Wujek dał ci pieniądze na lunch?

- Nie jestem głodna.

- Zapomniał, co? Z całym szacunkiem, ale widać, że facet nigdy nie był ojcem. Zaraz coś ci skubnę.

- Nie, naprawdę...

- Prawdę mówiąc, sam jestem głodny jak farmer o zachodzie słońca. I od lat nie jadłem szkolnego tetrazzini z indyka. Wezmę sobie porcję. Drugą dla ciebie, nie ma sprawy. Masz ochotę na mleko?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Zgoda. Oddam panu pieniądze.

- Miasto nam zafunduje.

Stanął w kolejce. Geneva właśnie miała pochylić się nad książką, kiedy ujrzała jakiegoś chłopaka, który patrzył w jej stronę i machał. Obejrzała się, sprawdzając, do kogo macha. Za nią nikogo nie było. Z wrażenia wstrzymała oddech, zdając sobie sprawę, że przyjazny gest jest adresowany do niej.

Kevin Cheaney wstał od stolika, przy którym siedział ze swoimi kumplami, i ruszył w jej stronę. O Boże! Naprawdę tu idzie?... Kevin, sobowtór Willa Smitha. Idealny wykrój ust, jeszcze doskonalsze ciało. Chłopak, który podczas gry w koszykówkę umiał przeczyć prawom grawitacji, który poruszał się jak tancerz na turnieju mistrzów breakdance'u. Bez Kevina nie mogła się odbyć żadna impreza.

Detektyw Bell zeszywniał i natychmiast wyszedł z kolejki, lecz Geneva pokręciła głową na znak, że wszystko w porządku.

Bo było. Nawet bardziej niż w porządku. Było totalnie super.

Kevin miał zagwarantowane stypendium w Connecticut albo Duke. Może nawet sportowe - chłopak był kapitanem drużyny, która w zeszłym roku wygrała mistrzostwa koszykówki Ligi Szkół Publicznych. Mogły też jednak wystarczyć tylko stopnie. Być może Kevin nie uwielbiał książek i szkoły w takim stopniu jak Geneva, mimo to zaliczał się do pięciu procent najlepszych uczniów w klasie. Znali się trochę - w tym semestrze chodzili razem na matematykę i od czasu do czasu spotykali się na korytarzach albo boisku - zupełnie przypadkowo, jak powtarzała sobie Geneva. No dobrze, tak naprawdę zwykle było tak, że jakaś siła przyciągała ją w pobliże Kevina.

Większość dzieciaków w szkole ignorowała ją albo jej dogryzała, natomiast Kevin mówił jej czasem „cześć”, pytał o zadanie z matematyki czy historii albo przystawał, żeby pogadać przez kilka

minut.

Oczywiście, nigdzie jej nie zapraszał - to by się nigdy nie zdarzyło - ale traktował ją jak człowieka.

Raz nawet wiosną odprowadził ją ze szkoły do domu.

Był piękny, bezchmurny dzień, który wciąż miała przed oczyma jak nagrany na DVD.

Dwudziesty pierwszy kwietnia.

Na ogół Kevina otaczały zgrabne dziewczyny, marzące o karierze modelek, albo krzykliwie wystrojone *blingsta*. (Flirtował nawet z Lakeeshą, ku wściekłości Genevy, która zносиła piekącą zazdrość z beztroskim uśmiechem, choć kosztowało ją to wiele wysiłku).

O co mogło mu chodzić?

- Siemasz, wszystko spoko? - spytał z zaniepokojoną miną, siadając na odrapanym chromowanym krześle obok niej i wyciągając przed siebie długie nogi.

- Tak. - Ledwie mogła mówić. Miała pustkę w głowie.

- Słyszałem, co się stało - ciągnął. - Kurczę, co za cholerna akcja. Przychodzi gość i próbuje cię załatwić. Aż mnie ciary przeszły.

- Tak?

- Bez kitu.

- No, było trochę strasznie.

- Ale nic ci nie jest, to luzik.

Poczuła, jak jej twarz oblewa fala gorąca. Czy Kevin naprawdę to do niej mówił?

- Czemu nie zostałeś w domu? - spytał. - Co tu robisz? - Mam sprawdzian z angielskiego. I z matmy. Roześmiał się.

- Kurde, chce ci się przychodzić do szkoły po czymś takim?

- Tak, nie mogę sobie odpuścić tych testów.

- I kumasz matkę?

Sprawdzian miał być z rachunku różniczkowego. Nic wielkiego.

- Tak, obkułam. To całkiem łatwe.

- Fakt. Słuchaj, kupa ludzi cię tu olewa, ale nikt by nie przyszedł do budy po takiej akcji. Żaden ci do pięt nie dorasta. Masz charakter.

Oszłomiona komplementem Geneva spuściła tylko oczy i wzruszyła ramionami.

- No to teraz będziemy się chyba częściej spotykać. Ale nigdzie cie nie widać.

- Wiesz, szkoła i cały ten syf. - Uważaj, ostrzegła się w duchu. Nie musisz mówić jego językiem.

- Nie gadaj, kumam, o co chodzi - zażartował Kevin. - Nie masz czasu, bo jesteś dilerką prochów w BK.

- Nie... - O mały włos nie wysnęło się jej „nie ściemniaj”. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, spoglądając na porysowaną podłogę. - Nie sprzedaję w Brooklynie, tylko w Queens. Mają więcej franklinów. - Słabe, słabe, słabe. Ależ jesteś żałosna. Dłonie miała lepkie od potu.

Ale Kevin wybuchnął gromkim śmiechem. Po chwili pokręcił głową.

- Nie, już wiem, czemu nie jarzysz. To pewnie twoja mamuśka jest dilerką w BK.

Zabrzmiało to jak obelga, ale w rzeczywistości oznaczało zaproszenie. Kevin dawał jej sygnał do gry w docinki. Tak kiedyś nazywano tę zabawę. Dziś mówiono o niej „bluzganie”, a polegała na wymianie obelg. Bluzganie, głęboko zakorzenione w czarnej poezji i narracji, było walką na słowa, w której obrzucano się wzajemnie złośliwościami. Mistrzowie tej gry występowali na scenie, lecz bluzgi słychać było przeważnie w domach, na boiskach, w pizzeriach, barach, klubach i na schodach przed szkołą, a większość była w podobnie kiepskim gatunku jak ten, którym poczęstował Geneve Kevin: „Twoja mamuśka jest taka głupia, że siedzi na telewizorze i ogląda kanapę”, „Twoja siostra jest taka brzydka, że nawet jakby była balonem, nikt by jej nie dmuchał”.

W tym momencie nie chodziło jednak o dowcipkowanie. Bitwę na bluzgi toczyli zwykle mężczyźni z mężczyznami albo kobiety z kobietami. Kiedy chłopak chciał grać z dziewczyną, oznaczało to tylko jedno: flirt.

Dziwne to wszystko, pomyślała Geneva. Ktoś cię musi napaść, żeby inni zaczęli cię szanować. Jej ojciec mawiał, że nigdy nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

No dalej, dziewczyno, odgrzyź się. To szczeniacka i głupia zabawa, ale Geneva wiedziała, jak trzeba bluzgać; razem z Keesh i jej siostrą potrafiły w to grać godzinami. „Twoja mamuśka jest taka gruba, że się poci majonezem”. „Twój Chevrolet jest taki stary, że ukradli z kierownicy blokadę i zostawili samochód”... Ale dziewczyna uśmiechała się tylko nerwowo i milczała, słuchając szalonego łomotu własnego serca i zastanawiając się gorączkowo, co powiedzieć.

Siedział przed nią sam Kevin Cheaney. Gdyby nawet zebrała się na odwagę i próbowała odparować mu bluzgiem o jego matce, umysł miała zupełnie sparaliżowany.

Spojrzała na zegarek, potem na książkę do angielskiego. Jezu, odpowiedz mu coś, głupia, wściekała się na siebie. Mów!

Z jej ust nie padła jednak ani jedna sylaba. Wiedziała, że za chwilę Kevin spojrzy na nią wzrokiem, który dobrze znała i który mówił „nie chce mi się gadać z taką głupią melą”, wstanie i odejdzie. Ale nie, chyba uznał, że po prostu nie jest w nastroju do żartów i ciągle przeżywa poranne zdarzenie. Najwyraźniej nie miał jej tego za złe. Powiedział tylko:

- Powaga, Gen, jesteś lepsza od tych wszystkich didżejek i lalek w złotkach. Bo masz dobrze poukładane w głowie. Fajnie pogadać z kimś takim. Moi chłopcy... - ruchem głowy wskazał paczkę swoich kumpli - naukowcami chyba nie są, na nie?

Nagle błysnęła jej myśl. Dalej, dziewczyno.

- Nie - odrzekła. - Niektórzy są tacy tępi, że gdyby mieli myśleć **na** głos, to by im mowę odjęło.

- Gites! Fakt. - Gdy ze śmiechem trącił pięścią jej rękę, jej ciało przebiegł elektryzujący dreszcz. Usiłowała opanować uśmiech; śmianie się z własnego bluzgu było w bardzo złym guście.

Ciesząc się w duchu, pomyślała, że Kevin ma rację: rzadko zdarzało się rozmawiać z kimś, kto ma dobrze poukładane w głowie, kto umie słuchać, kogo obchodzi to, co masz do powiedzenia.

Kevin zerknął na detektywa Bella, który właśnie płacił za lunch, i powiedział:

- Wiem, że ten koleś, co odstawia nauczyciela, to pies.

- Rzeczywiście, wygląda, jakby miał wypisane na czole „głina” - odpowiedziała szeptem.

- Racja - przytaknął ze śmiechem Kevin. - Wiem, że musi za tobą chodzić i tak dalej, spoko. Ale ja też mogę cie pilnować. I moi ziomale. Jak zobaczymy jakąś krzywą akcję, damy mu znać.

Ujęła ją ta propozycja.

Ale zaraz zaczęła się niepokoić. Co będzie, jeżeli ten straszny człowiek z biblioteki skrzywdzi Kevina albo któregoś z jego kumpli? Wciąż nie mogła się otrząsnąć po śmierci doktora Barry’ego, który zginął przez nią, i jeszcze tamta zraniona kobieta na chodniku. Ogarnęło ją okropne przecucie: oczyma wyobraźni ujrzała Kevina leżącego w sali domu pogrzebowego Williamsa, jak wielu chłopców z Harlemu zastrzelonych na ulicy.

- Nie musisz tego robić - powiedziała, poważniejąc.

- Wiem - odparł. - Ale chcę. Nikt ci nic nie zrobi. Na bank. Dobra, wracam do chłopaków. Nara. Zobaczymy się przed matną.

- Jasne - wyjąkała z mocno bijącym sercem.

Znów trącił jej dłoń pięścią i odszedł do swojego stolika. Obserwując go, poczuła, jak po tej rozmowie drżą jej ręce. Błagam, pomyślała, niech mu się nic nie stanie...

- Geneva?

Uniosła wzrok, mrugając oczyma.

Detektyw Bell stawiał na stole tacę. Jedzenie pachniało tak apetycznie... Była głodniejsza, niż przypuszczała. Popatrzyła na parujący talerz.

- Znasz go? - spytał policjant.-

- Tak, jest w porządku. Chodzimy do jednej klasy. Znam go od dawna.

- Wyglądasz na troszkę skołowaną.

- No... nie wiem. Może faktycznie trochę jestem.

- Ale to nie ma nic wspólnego z tym, co się stało w muzeum, prawda? - zapytał z uśmiechem.

Odwróciła wzrok, znów czując na twarzy gorąco.

- A teraz... - powiedział detektyw, stawiając przed nią talerz - ...wsuwaj. Nie ma to jak tetrazzini z indyka na ukojenie duszy. Chyba ich poproszę o przepis.

Rozdział 11

Powinny być akurat.

Thompson Boyd spojrział na swoje zakupy w koszyku, po czym skierował się do kasy. Uwielbiał sklepy żelazne. Zastanawiał się dlaczego. Może ze względu na wspomnienia sobotnich wypraw do „Ace Hardware” pod Amarillo, gdzie jego ojciec robił zapasy rzeczy potrzebnych w warsztacie, który urządził sobie w szopie obok przyczepy.

A może dlatego, że w sklepach takich jak ten wszystkie narzędzia były czyste i porządnie ułożone, a farby, kleje i taśmy rozmieszczano na półkach w logiczny sposób, dzięki czemu łatwo je było znaleźć.

Wszystko zorganizowane według zasad.

Thompson lubił też zapach, nieokreśloną, ostrą woń nawozów sztucznych, rozpuszczalników albo olejów, której nie sposób było opisać, ale każdy, kto kiedykolwiek odwiedził sklep żelazny, potrafiłby ją natychmiast rozpoznać.

Morderca był niezłym majsterkowiczem. Umiejętności te zdobył dzięki ojcu, który, mimo że cały dzień nie rozstawał się z narzędziami, pracując przy rurociągach, wieżach wiertniczych i pompach kołyszających się jak łby dinozaurów, poświęcał dużo czasu, aby cierpliwie uczyć syna, jak posługiwać się narzędziami - i je szanować - jak robić pomiary, rysować plany. Thompson całymi godzinami uczył się, jak naprawiać zepsute urządzenia i jak z drewna, metalu i plastiku tworzyć zupełnie nowe rzeczy. Razem pracowali przy samochodzie albo przyczepie, reperowali płot, budowali meble, robili prezenty dla mamy albo ciotki - wałek do ciasta, papierośnicę czy blat do krojenia mięsa. „Wszystko jedno, czy robisz coś dużego, czy małego - tłumaczył ojciec - musisz

zawsze tak samo się starać. Żadne zadanie nie jest lepsze ani trudniejsze, synu. To tylko kwestia, gdzie postawisz przecinek dziesiętny”.

Ojciec był dobrym nauczycielem i był dumny z dzieł syna. Kiedy Hart Boyd zmarł, miał przy sobie zestaw do czyszczenia butów, który zrobił dla niego chłopiec, i drewniany breloczek w kształcie głowy Indianina z wypalonymi literami „Tato”.

Nabyte umiejętności okazały się bardzo przydatne, ponieważ zadawanie śmierci polegało przede wszystkim na technice. Mechanika i chemia. Zajęcie niczym nie różniło się od stolarki, malowania czy naprawy samochodu.

Gdzie postawisz przecinek dziesiętny.

Przy kasie zapłacił gotówką i podziękował sprzedawcy. Ujął torbę z zakupami dłonią w rękawiczce. Ruszył do drzwi, ale przystanął i spojrzał na małą, żółto-zieloną kosiarkę elektryczną. Lśniła nieskazitelną czystością i wyglądała jak mechaniczny szmaragd. Bardzo mu się spodobała, ale po prawdzie nie wiedział dlaczego. Pewnie kiedy myślał o ojcu, wróciło wspomnienie czasów, gdy kosił maleńki trawnik za przyczepą rodziców w niedzielny ranek, a potem wchodził do domu obejrzyć z tatą mecz, kiedy matka coś piekła.

Przypominał sobie słodki zapach przesyconych ołowiem spalin, trzask głośny jak strzał z pistoletu, gdy ostrze trafiało na kamień, który wzlatywał w powietrze, przypominał sobie odrętwienie dłoni zaciśniętych na wibrujących uchwytach.

Przypuszczał, że takie samo odrętwienie musiał czuć człowiek umierający po ukąszeniu grzechotnika.

Zorientował się, że sprzedawca coś do niego mówi.

- Słucham? - spytał Thompson.

- Świetna okazja - rzekł sprzedawca, wskazując kosiarkę.

- Nie, dziękuję.

Wychodząc ze sklepu, zastanawiał się, dlaczego tak się rozmarzył - co takiego było w kosiarce, że tak jej zapragnął. Przyszła mu do głowy niepokojąca myśl, że wcale nie chodziło o dawne wspomnienia. Może zdał sobie sprawę, że kosiarka była małą gilotyną - bardzo skutecznym narzędziem do zabijania.

Może o to chodziło.

Nie spodobała mu się ta myśl. Ale nie mógł jej zaprzeczyć.

Odrętwienie...

Cicho pogwizdując piosenkę ze swojej młodości, Thompson ruszył w dół ulicy, w jednej ręce

niosąc torbę z zakupami, a w drugiej aktówkę z bronią, drewnianą pałką i kilkoma innymi narzędziami.

Znalazł się w Little Italy, gdzie sprzątano po wczorajszym festynie. Dwaj policjanci rozmawiali z koreańskim handlarzem owoców i jego żoną. Ciekawe, o co chodziło. Thompson zatrzymał się przy automacie telefonicznym. Jeszcze raz sprawdził pocztę głosową, ale jeszcze nie dostał żadnej wiadomości o Genevie. Nie martwił się. Jego kontakt nieźle znał Harlem i niedługo Thompson powinien się dowiedzieć, do której szkoły chodzi dziewczyna i gdzie mieszka. Poza tym potrzebował wolnej chwili. Czekąło go jeszcze jedno zadanie, które planował dłużej niż śmierć Genevy Settle i które było równie ważne.

A właściwie ważniejsze. Zabawne, ale też dotyczyło dzieci.

- Tak? - powiedział do komórki Jax.

- Ralph.

- Co jest? - Jax zastanawiał się, czy w tej chwili chudy faraon znów się o coś opiera. - Dostałeś wiadomość od naszego przyjaciela? - Miał na myśli referencje od DeLisle'a Marshalla.

- Tak.

- I Król Graffiti jest spoko?

- Tak.

- To dobrze. Jak sprawy?

- Okej, znalazłem, co chciałeś. Mam...

- Nic nie mów. - Komórki były diabelskim wynalazkiem, kiedy szukano obciążających dowodów. Powiedział Ralphowi, że spotka się z nim na skrzyżowaniu Sto Szesnastej. - Za dziesięć minut.

Jax rozłączył się i wolnym krokiem ruszył w dół ulicy. Minęły go dwie panie w długich płaszczach i fikuśnych kapeluszach, ściskające w dłoniach sfatygowane Biblie. Nie zwrócił uwagi na ich niespokojne spojrzenia.

Pałac i utykając (pamiątka po postrzale), głęboko wdychał powietrze, które działało jak narkotyk. Nareszcie w domu. Harlem... przyglądał się sklepom, restauracjom i ulicznym handlarzom. Można tu było kupić wszystko: tkaniny z zachodniej Afryki - kente i malinkę - krzyże egipskie, kolorowe plecione koszyki, maski i flagi, oprawione obrazki przedstawiające ludzkie sylwetki na tle czarno-zielono-żółtych barw Afrykańskiego Kongresu Narodowego. No i plakaty: Malcolma X, Martina Luthera Kinga, Tiny, Tupaca, Beyonce, Chrisa Rocka, Shaqa... I kilkadziesiąt zdjęć Jam Master Jaya, świetnego rapera z Run-DMC i wirtuoza scratchu, przed kilku laty zastrzelonego przez jakiegoś gnojka we własnym studiu nagraniowym w Queens.

Zawszad atakowały Jaksę wspomnienia. Spojrzał na następny róg ulicy. Patrzenie no tylko. Tam, gdzie dziś mieściła się knajpa fast food, Jax popełnił pierwsze przestępstwo, kiedy miał piętnaście lat - przestępstwo, które zdecydowało o jego późniejszej sławie. Nie zwinął bowiem alkoholu, papierosów, broni ani gotówki, tylko skrzynkę z farbami Krylon w sprayu. Robił użytek ze swojej zdobyczy przez następną dobę, dorzucając do kradzieży wtargnięcie na teren prywatny i zniszczenie mienia, którego dopuścił się, malując na całym Manhattanie i w Bronksie wielkie pękate litery „Jax 157”.

Przez następne kilka lat Jax wypisywał sprayem tag - swoją ksywkę - na tysiącach powierzchni: na estakadach, mostach, wiaduktach, murach, billboardach, sklepach, autobusach miejskich i prywatnych, biurowcach - podpisał się w Centrum Rockefellera tuż obok złotej statuy, ale po tym wyczynie złapały go dwa byczki z ochrony i potraktowały gazem łzawiącym i pałkami. Ilekroć młody Alonzo Jackson miał pięć minut spokoju i płaską powierzchnię, natychmiast pojawiał się „Jax 157”.

Będąc dzieckiem rozwiedzionych rodziców, brnął z trudem przez szkołę średnią, wciąż pakując się w kłopoty. Normalna praca śmiertelnie go nudziła, a przyjemność sprawiało mu tylko zajęcie pisarza (grafficiarze byli „pisarzami”, nie „malarzami”, jak z uporem nazywali ich Keith Haring, galerie na Soho i fajansiarskie agencje reklamowe). Przez jakiś czas włóczył się z miejscowymi gangami, przestał jednak pewnego dnia. Gdy kręcił się ze swoją ekipą po Sto Czterdziestej, minęli ich koleś z Trey-Sevens i nagle trach, trach, trach - Jimmy Stone, który stał tuż obok niego, dostał dwa razy w skroń i zanim upadł na ziemię, już nie żył. Wszystko z powodu torebki cracku albo i bez żadnego powodu.

Pieprzyć to, powiedział sobie Jax, i postanowił działać na własną rękę. Mniej kasy, ale o wiele bezpieczniej (mimo że zdarzyło mu się wypisywać tagi na moście Verrazano i jadącym pociągu linii A - o tej superhistorii słyszeli nawet kumple z pudła).

Alonzo Jackson, nieoficjalnie, lecz na dobre przechrzczony na Jaksę, bez reszty poświęcił się swemu rzemiosłu. Zaczynał od zwykłych produkcji na murach w całym mieście. Szybko się jednak zorientował, że jeżeli na tym poprzestanie, nawet gdyby jego podpis znalazł się w każdej dzielnicy, będzie tylko kiepskim „toyem”, któremu królowie graffiti nie podaliby ręki.

I tak, odpuszczając sobie szkołę i pracując w dzień w fast foodach, żeby mieć kasę na spray, albo kradnąc, kiedy się dało, Jax zaczął robić wrzuty - szybkie podpisy, ale o wiele większe niż przy zwykłej produkcji. Został mistrzem wrzutów góra-dół: zamalował od góry do dołu bok wagonu metra. Najbardziej lubił linię A, chyba najdłuższą w mieście. Tysiące podróźnych jechały z lotniska Kennedy'ego do miasta pociągiem, na którym nie było napisu „Witamy w Nowym Jorku”, tylko tajemniczy komunikat „Jax 157”.

Zanim Jax skończył dwadzieścia jeden lat, miał już na koncie dwa wrzuty „od końca do końca” - pokrył swoim graffiti cały bok wagonu - i niewiele brakowało, by zrobił cały pociąg, o czym marzy każdy król graffiti. Tworzył też dzieła. Jax próbował kiedyś opisać, czym jest arcydzieło graffiti, ale udało mu się tylko wymyślić definicję, według której dzieło to „coś więcej”. Coś zapierającego dech w piersi. Praca, na którą mógłby spojrzeć i zamroczony ćpun z rynsztoka, i siedzący w pociągu New Jersey Transit makler z Wall Street, myśląc: cholera, ale zajebiste.

To były czasy, rozmarzył się Jax. Był królem graffiti, a wokół niego tętnił najbardziej dynamiczny ruch kulturalny czarnych od epoki Odrodzenia Harlemskiego: hip-hop.

Jasne, Odrodzenie musiało być super. Ale dla Jaksa była to era mózgowców. Wzięła się z głowy. Hip-hop płynął prosto z duszy i serca. Nie narodził się w college'ach i na poddaszach pisarzy, ale na pieprzonym bruku ulic, wybuchł wśród wściekłych, stłamszonych i zrozpaczonych dzieciaków z rozbitych domów, dla których każdy dzień życia był walką, które na chodnikach z brązowymi plamami zeschłej krwi potykały się o fiolki po prochach porozrzucane przez ćpunów. To był dziki wrzask ludzi, którzy musieli wrzasnąć, żeby ktoś ich usłyszał... Hip-hop mocno opierał się na czterech filarach: na muzyce didżejów, poezji raperów, tańcu breakdancerów i malarstwie, w którym i Jax miał swój udział - graffiti.

Zatrzymał się na Sto Szesnastej i spojrzął tam, gdzie kiedyś stał wielobranżowy sklep sieci Woolwortha, który nie przetrzymał chaosu, jaki się rozpętał podczas słynnej awarii energetycznej z 1977 roku. Ale zdarzył się prawdziwy cud i w jego miejscu wyrósł najlepszy klub hip-hopowy w całym kraju, „Harlem World”. Trzy piętra muzyki, jaką tylko sobie można wyobrazić: fantastycznej, uzależniającej, elektryzującej. Breakdancerzy wirowali jak frygi, kotłowali się jak spienione fale oceanu. Winyłowe płyty wirowały pod palcami didżejów, poruszając tłumy ciasno zbite na parkietach. Raperzy pieścili mikrofony, wypełniając sale surową poezją w stylu „wszyscy się ode mnie odpierdolcie”, pulsującą w rytmie serca. To w „Harlem World” zaczęły się bitwy - pojedynki raperów. Jax miał szczęście widzieć największe z największych sław: Cold Crush Brothers i Fantastic Five...

Oczywiście „Harlem World” już dawno nie istniał. Nie istniały też tysiące tagów i dzieł Jaksa, które zostały zmyte lub zamalowane, podobnie jak graffiti innych legend ery wczesnego hip-hopu, do których należeli Julio, Kool i Taki. Królowie graffiti.

Och, niektórzy lamentowali, że hip-hop się skończył, kiedy wchłonęła go telewizja BET, że dziś raperzy multimilionerzy jeżdżą chromowanymi hummerami, że kręci się filmy w rodzaju „Bad Boys II”, że wszystko przejął wielki biznes, białe dzieciaki z przedmieść, iPOD-y, MP3 i radia satelitarne... A oto dobry przykład: Jax zobaczył piętrowy autobus turystyczny, który zatrzymał się nieopodal. Na boku pojazdu widniał napis: „Wycieczki rap/hip-hop. Zobacz prawdziwy Harlem”. Pasażerami byli czarni, biali i Azjaci. Jax usłyszał strzępki wyuczonej gadki kierowcy, który obiecywał turystom, że wkrótce pójda na lunch do restauracji, gdzie serwuje się „prawdziwe soulowe dania”.

Ale Jax nie zgadzał się z fajansiarskim biadoleniem o końcu dawnych czasów. Serce górnego Manhattanu pozostało czyste. Nic nie mogło go naruszyć. Weźmy taki „Cotton Club”, pomyślał, opokę jazzu, swingu i „stride piano” w latach dwudziestych. Wszystkim się wydawało, że to prawdziwy Harlem, nie? A ilu wiedziało, że był tylko dla białej publiczności? Nawet słynnego mieszkańca Harlemu, WC. Handy'ego, jednego z największych amerykańskich kompozytorów wszech czasów, nie wpuszczono do środka, chociaż na scenie grano jego muzykę.

- No i co powiecie? „Cotton Club” poszedł się pieprzyć. A Harlem został. I będzie trwał wiecznie. Odrodzenie się skończyło, hip-hop się zmienił. Ale na ulicach wyczuwało się już w powietrzu początki całkiem nowego ruchu. Jax zastanawiał się, co to właściwie będzie. I czy zdąży

to zobaczyć - bo jeżeli porządnie nie załatwi sprawy z Geneva Settle, w ciągu dwudziestu czterech godzin będzie martwy albo trafi z powrotem do pudła.

Smacznego soulowego jedzenia, pomyślał pod adresem turystów, kiedy autobus ruszał w dalszą drogę.

Kilka przecznic dalej Jax wreszcie zobaczył Ralpa, który - jakżeby inaczej - opierał się o ścianę zabitego deskami budynku.

- Koleś - powiedział Jax.

- Strzała.

Jax szedł dalej, nie zatrzymując się.

- Dzie idziemy? - spytał Ralph, podbiegając, by dotrzymać kroku potężniejszemu od siebie kompanowi.

- Ładny dzień na przechadzkę.

- Zimno.

- Spacer cię rozgrzeje.

W drodze Jax nie zwracał najmniejszej uwagi na zrzęczenie Ralpa. Wstąpił do „Papaya King” i kupił cztery hot dogi i dwa napoje owocowe, nie pytając Ralpa, czy jest głodny. Ani czy jest wegetarianinem, ani czy się nie porzyga po soku z mango. Zapłacił, wyszedł na ulicę i podał chudzielcowi lunch.

- Nie jedz jeszcze. Chodź. - Jax rozejrzał się po ulicy. Nikt za nimi nie szedł, więc szybkim krokiem ruszył dalej. Ralph podążył za nim.

- Idziemy, bo mi nie ufasz?

- Nie ufam.

- Co tak nagle mi nie ufasz?

- Bo odkąd cię widziałem, miałeś czas, żeby mnie zakapować. Nie rozumiesz?

- Ładny dzień na spacer - odrzekł Ralph i ukradkiem nadgryzł hot dog.

Kilka chwil później dotarli do ulicy, która wyglądała na pustą, i obaj skręcili na południe. Jax przystanął. Ralph też się zatrzymał i oparł o ogrodzenie z kutego żelaza przed fasadą domu z brązowego piaskowca. Jax jadł, popijając sokiem z mango. Ralph łapczywie pochłaniał lunch.

Jedząc i pijąc, wyglądali jak dwaj robotnicy z budowy albo czyściciele okien, którzy właśnie

zrobili sobie przerwę na posiłek. Nie wzbudzali żadnych podejrzeń.

- Cholera, dobre hot dogi tam robiom - ocenił Ralph.

Jax skończył jeść, otarł dłonie o kurtkę i obmacał koszulkę i džinsy Ralpa. Żadnych pluskiew.

- Do rzeczy. Co wiesz?

- O tej Settle? Chodzi do Langstona Hughesa. Wiesz, dzie to jest? Szkoła średnia.

- Pewnie, że wiem. Jest tam teraz?

- Nie wiem. Pytałeś dzie, nie kiedy. Ale słyzałem coś od kumpli z parafii.

Z parafii...

- Gadajom, że ktoś za niom chodzi. Że niby pilnuje.

- Kto? - spytał Jax. - Gliny? - Po co w ogóle pytał. Oczywiście, że gliny

- Zdaje sie.

Jax dokończył sok.

- A druga sprawa? Ralph zmarszczył brwi.

- Chyba prosiłem cię o coś jeszcze.

- A. - Faraon rozejrzał się czujnie. Potem wyciągnął z kieszeni papierową torebkę i wsunął w dłoń Jaks, który po dotyku rozpoznał, że to mały automat. Świetnie. Tak jak chciał. Na dnie torebki grzechotały wrzucone luzem kule.

- No a teraz... - zaczął ostrożnie Ralph.

- No a teraz... - Jax wysupłał z kieszeni parę franklinów i podał Ralphowi, po czym nachylił się do niego. Poczł zapach whisky, cebuli i mango. - Teraz posłuchaj. Zrobiliśmy interes i koniec. Jeżeli się dowiem, że komuś o tym powiedziałeś albo tylko wspomniałeś, jak się nazywam, znajdę cię i odstrzelę ci dupę. Spytaj DeLisle'a, a on ci powie, że źle jest ze mną zadzierać. Rozumiesz, co mówię?

- Tak - wyszeptał Ralph do soku z mango.

- To wypierdalaj stąd. Nie, idź w tamtą stronę. I nie oglądaj się za siebie.

Jax oddalił się w przeciwnym kierunku, z powrotem w stronę Sto Szesnastej, i wkrótce zniknął w tłumie ludzi idących na zakupy. Miał spuszczoną głowę i mimo utykania maszerował dość żwawo, jednak nie na tyle, by zwracać na siebie uwagę.

Przed dawnym klubem „Harlem World” zatrzymał się z piskiem hamulców następny jarmarczny autobus pełen turystów, a z głośnika w środku sączył się anemiczny rap. Ale w tym momencie krwawy Król Graffiti nie rozmyślał o Harlemie, hip-hopie ani swojej przestępczej przeszłości. Miał broń. Wiedział, gdzie jest dziewczyna. Jedyne pytanie, jakie zaprzętało jego myśli, brzmiało: jak szybko można się dostać do szkoły imienia Langstona Hughesa.

Rozdział 12

Drobna Azjatka mierzyła Sachs nieufnym spojrzeniem.

Jej niepewność była zupełnie zrozumiała, ponieważ detektyw Amelii Sachs towarzyszyło sześciu dwa razy potężniejszych od niej funkcjonariuszy - a przed sklepem czekał jeszcze tuzin.

- Dzień dobry - powiedziała Sachs. - Chodzi o człowieka, którego szukamy. Musimy go koniecznie znaleźć. Być może popełnił bardzo poważne przestępstwa. - Miała wrażenie, że mówi trochę wolniej, niż nakazywałaby polityczna poprawność.

Okazało się jednak, że popełniła grubą gafę.

- Rozumiem - odezwała się kobieta nienaganną angielszczyzną z ni mniej, ni więcej tylko francuskim akcentem. - Powiedziałam policji wszystko, co wiedziałam. Przestraszyłam się. Wie pani, kiedy przymierzał czapkę. Naciągnął ją na twarz, jak maskę. Strasznie to wyglądało.

- Nie wątpię - odparła Sachs, wysławiając się nieco szybciej. - Pozwoli pani, że pobierzemy od pani odciski palców?

Chciała sprawdzić, czy odciski na paragonie i przedmiotach znalezionych w muzeum należały do niej. Sprzedawczyni zgodziła się, a przenośny analizator potwierdził, że to rzeczywiście jej linie papilarne.

- Na pewno nie wie pani, kto to był ani gdzie mieszka? - spytała Sachs.

- Nie mam pojęcia. Był tu raz czy dwa. Może więcej, ale to taki człowiek, na którego nie zwraca się specjalnej uwagi. Taki zwyczajny. Nie uśmiechał się, nie robił groźnych min, nic nie mówił. Zupełnie zwyczajny.

Niezły wygląd jak na mordercę, uznała Sachs.

- A inni pracownicy?

- Pytałam wszystkich. Nikt go nie pamięta.

Sachs otworzyła neseser, schowała analizator i wyciągnęła komputer Toshiba. Włączyła go i uruchomiła program EFIT do identyfikacji twarzy. Była to elektroniczna wersja dawnej techniki ręcznej służącej do sporządzania portretów pamięciowych. Kiedyś korzystano z drukowanych szablonów przedstawiających rysy twarzy i różne fryzury, z których policjanci tworzyli wizerunek

podejrzanego na podstawie zeznań świadków. Program EFIT robił to samo, konstruując podobiznę z niemal fotograficzną dokładnością.

W ciągu pięciu minut Sachs miała gotowy portret białego czterdziestokilkuletniego mężczyzny, gładko ogolonego, o wydatnych policzkach i starannie przystrzyżonych jasnobrązowych włosach. Wyglądał jak typowy biznesmen, przedsiębiorca czy sprzedawca, jakich miliony można było spotkać w centrum miasta.

Zwyczajny...

- Pamięta pani, w co był ubrany?

Program EFIT był wyposażony w dodatek, który umożliwiał dopasowanie portretowi pamięciowemu przeróżnych strojów, podobnie jak ubiera się papierowe lalki. Kobieta nie potrafiła sobie jednak nic przypomnieć, prócz ciemnego płaszcza przeciwdeszczowego.

- Aha, jeszcze jedno - dodała. - Mówił z akcentem z Południa.

Sachs skinęła głową, zapisując to w notesie. Następnie podłączyła do laptopa małą drukarkę laserową i po chwili miała w ręku dwa tuziny kopii wizerunku NS 109 z krótkim rysopisem i adnotacją, że może być ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy i mówić z akcentem. Dodała ostrzeżenie, że nie waha się atakować niewinnych osób. Wręczyła wydruki Bo Haumannowi, szpakowatemu, krótko ostrzyżonemu byłemu instruktorowi szkolenia, który dowodził specjalną jednostką policyjną ESU - nowojorską brygadą antyterrorystyczną. Z kolei Haumann rozdał je swoim ludziom i umundurowanym funkcjonariuszom patrolowym, którzy towarzyszyli jego oddziałowi. Podzielił grupę, tworząc zespoły złożone z policjantów z patroli i antyterrorystów dysponujących lepszym uzbrojeniem, i polecił wy badać dzielnicę.

Funkcjonariusze rozeszli się, by wykonać zadanie.

Jednostka specjalna departamentu nowojorskiego - działająca w wielkim mieście - nie poruszała się wojskowymi transporterami opancerzonymi, ale zwykłymi radiowozami i furgonetkami, natomiast sprzęt woziła w busach - nieoznakowanych, niebiesko-białych pojazdach. Jeden z takich samochodów stał zaparkowany przed sklepem jako stanowisko dowodzenia akcją.

Sachs i Sellitto nałożyli kamizelki kuloodporne ze wzmocnionymi płytkami w okolicy serca i ruszyli w głąb Little Italy. W ciągu minionych piętnastu lat dzielnica przeszła rewolucyjne zmiany. Kiedyś stanowiła wielką enklawę włoskich robotników imigrantów, a dziś niemal zniknęła pod naporem rozrastającego się na południu Chinatown i terenów należących do yuppie, które atakowały ją od północy i zachodu. Na Mulberry Street detektywi minęli symbol tych zmian: budynek, gdzie kiedyś mieścił się „Ravenite SocialClub”, siedziba mafijnej rodziny Gambino, której szefował nieżyjący John Gotti. Klub został przejęty przez rząd, zyskując - jak łatwo się domyślić - nazwę „Klub Federalny”, i dziś był jednym z wielu budynków czekających na nowego najemcę.

Detektywi wybrali część ulicy i przystąpili do pracy, pokazując odznaki i portret podejrzanego handlarzom ulicznym, sprzedawcom w sklepach, wagarującym nastolatkom, którzy popijali kawę ze

Starbucks, emerytom przesiadującym na ławeczkach i schodach przed domami. Od czasu do czasu słyszeli urywki meldunków od pozostałych funkcjonariuszy: „Nic... Na Grand zero... Przyjąłem... Na Hester zero... Spróbujemy na wschodzie...”.

Sellitto i Sachs szli swoją trasą, ale nie mieli więcej szczęścia niż reszta.

Nagle za nimi rozległ się huk.

Sachs wstrzymała oddech - nie z powodu hałasu, który natychmiast rozpoznała jako strzał samochodowego gaźnika - lecz na widok reakcji Sellitta. Detektyw uskokzył na bok, kryjąc się za budką telefoniczną, z dłonią na rękojeści rewolweru.

Zamrugnął oczami, przełykając ślinę, potem zaśmiał się niepewnie.

- Cholerne ciężarówki - mruknął.

- No - odrzekła Sachs.

Sellitto otarł twarz i ruszyli dalej.

Siedząc w swojej kryjówce i czując zapach czosnku dolatujący z pobliskiej restauracji w Little Italy, Thompson Boyd ślęczał nad książką, czytając instrukcje i oglądając dokładnie zakupy zrobione przed godziną w sklepie żelaznym.

Zaznaczał niektóre strony żółtymi samoprzylepnymi karteczkami, robiąc notatki na marginesie. Opisane w instrukcji czynności wydawały się skomplikowane, lecz Thompson wiedział, że sobie poradzi. Wszystko da się zrobić, jeżeli poświęci się temu dość czasu. Tego nauczył go ojciec. I trudne rzeczy, i łatwe.

To tylko kwestia, gdzie postawisz przecinek dziesiąty...

Wstał od biurka, które wraz z krzesłem, lampą i łóżkiem stanowiło skromne umeblowanie mieszkania. Poza tym miał tu mały telewizor, lodówkę i kosz na śmieci. Trzymał też trochę rzeczy potrzebnych do pracy. Thompson odciągnął z nadgarstka prawej dłoni brzeg lateksowej rękawiczki i dmuchnął do środka, chłodząc skórę. To samo zrobił z lewą ręką. (Zawsze trzeba zakładać, że każdą kryjówkę prędzej czy później trzeba będzie porzucić, należy więc wcześniej pomyśleć, by nie zostawiać obciążających dowodów i zabezpieczyć się, na przykład wkładając rękawiczki albo zastawiając pułapkę). Dziś oczy szczególnie dawały mu się we znaki. Wpuścił sobie krople i po chwili pieczenie nieco ustąpiło. Przymknął powieki.

Pogwizdywał piosenkę z filmu „Wzgórze nadziei”, która zapadła mu w pamięć.

Żołnierze strzelający do żołnierzy, eksplozje, bagnety. W myślach przesuwały mu się kadry z filmu. *Ssst...*

Obraz wojny zniknął, a piosenka urwała się, ustępując miejsca klasycznej melodii. „Bolero”.

Thompson na ogół nie potrafił powiedzieć, skąd pochodziły melodie. Jak gdyby miał w głowie zmieniać płyt, który ktoś mu zaprogramował. W przypadku „Bolera” znalazł jednak źródło. Miał je na płycie ojciec. Wysoki, krótko ostrzyżony mężczyzna bez przerwy słuchał tego utworu na zielonym plastikowym gramofonie Sears, który trzymał w warsztacie.

- Posłuchaj teraz, synu. Zmienia się tonacja. Zaraz... zaraz... Już! Słyszysz?

Chłopak sądził, że słyszy.

Thompson otworzył oczy i wrócił do lektury.

Pięć minut później: *Ssst...* „Bolero” umilkło, a spomiędzy jego stulonych warg rozbrzmiała nowa melodia: „Time After Time”. Piosenka, którą w latach osiemdziesiątych spopularyzowała Cyndi Lauper.

Thompson Boyd zawsze lubił muzykę i od najmłodszych lat chciał grać na jakimś instrumencie. Matka przez kilka lat zabierała go na lekcje gry na gitarze i flecie. Po jej wypadku zaczął go wozić ojciec, mimo że przez to spóźniał się do pracy. Ale Thompson robił niewielkie postępy: miał za grube i za krótkie palce do progów gryfu, klawiszy fletu i pianina, poza tym w ogóle nie miał głosu. Wszystko jedno, czy miał śpiewać pieśni kościelne, czy kawałki Williego, Waylona czy Asleep at the Wheel, z jego krtani dobywał się ten sam ochrypły ton. Tak więc chyba po dwóch latach dał spokój muzyce i zajął się tym, co zwykle robili chłopcy w takich miastach jak Amarillo w Teksasie: spędzał czas z rodziną, wbijał gwoździe, heblował i szlifował drewno w szopie ojca, grał w piłkę, polował, umawiał się z nieśmiałymi dziewczynami, chodził na spacerunki na pustynię.

I schował chęć grania między inne niespełnione nadzieje.

Zwykle nie chowa się ich jednak zbyt głęboko i prędzej czy później wypływają na powierzchnię.

Thompsonowi zdarzyło się to w więzieniu przed kilku laty. Podszedł do niego strażnik w najbardziej strzeżonym bloku i zapytał:

- Co to, kurwa, było?

- Co takiego? - odrzekł jak zawsze spokojny Pan Przeciętniak.

- Ta piosenka. Którą gwizdałeś.

- Gwizdałem?

- Pewnie że tak. Nie wiedziałeś?

- Byłem zajęty - odpowiedział. - Nie zastanawiałem się, co robię.

- Brzmiało cholernie dobrze. - Strażnik odszedł, a Thompson roześmiał się w duchu. No i proszę. Miał instrument, z którym się urodził i który wszędzie ze sobą nosił. Thompson poszedł do

biblioteki, żeby zbadać sprawę. Dowiedział się, że jest „gwizdaczem”, czyli kimś znacznie bardziej uzdolnionym od ludzi, którzy po prostu gwizdzą. Gwizdacze byli rzadkością - większość zwykłych gwizdzących ma bardzo małą skalę - i mogli całkiem nieźle żyć jako profesjonalni muzycy, występując na koncertach, w reklamach, w telewizji i filmie (wszyscy oczywiście znali temat z „Mostu na rzece Kwai”; na samą myśl o tym tytule każdy musiał zagwizdać kilka początkowych nutek, choćby w głowie). Dla gwizdaczy organizowano nawet specjalne konkursy, a najsłynniejszym były Wielkie Mistrzostwa Międzynarodowe, w których brały udział dziesiątki artystów - wielu z nich regularnie występowało z orkiestrami na całym świecie albo z własnymi numerami kabaretowymi.

Ssst...

W głowie włączyła mu się kolejna, melodia. Thompson Boyd cicho wygwizdywał nutki, nadając im subtelny tryl. Zauważył, że położył broń daleko poza zasięgiem ręki. To było rażące naruszenie zasad... Przysunął dwudziestkędwójkę bliżej, po czym wrócił do lektury instrukcji, zaznaczając kolejne strony i zaglądając do torby z zakupami, aby się upewnić, czy ma wszystko, czego potrzeba. Doszedł do wniosku, że opanował już technikę, ale jak zawsze, gdy poznawał coś nowego, przed wykonaniem zadania zamierzał wyuczyć się wszystkiego na pamięć.

- Nic, Rhyme - powiedziała Sachs do mikrofonu umieszczonego przy jej pełnych wargach.

Na dowód, że jego dobry nastrój prysnął jak bańska mydlana, warknął w odpowiedzi:

- Jak to nic?

- Nikt go nie widział.

- Gdzie jesteś?

- Przeczesałam całe Little Italy. Lon i ja jesteśmy na południowym krańcu. Na Canal Street.

- Cholera - mruknął Rhyme.

- Moglibyśmy... - Sachs urwała. - Co to?

- Co? - spytał Rhyme.

- Zaczekaj chwilę. Chodź - powiedziała, zwracając się do Sellitta.

Pokazała odznakę i przedostała się na drugą stronę ulicy, pokonując cztery pasy zapełnione samochodami. Rozejrzała się i zaczęła iść na południe Elizabeth Street, ciemnym kanionem biegnącym wśród kamienic, sklepów i magazynów. Po chwili znów się zatrzymała. - Czujesz?

- Co niby czuję? - spytał uszczypliwym tonem Rhyme.

- Pytam Lona.

- Tak - odrzekł krępy detektyw. - Co to jest? Jakby słodkie. Sachs wskazała na hurtownię zielarską i kosmetyczną na Elizabeth Street, dwa domy od Canal. Przez otwarte drzwi dolatywała

mocna kwiatowa woń. To był zapach jaśminu - ten sam, który wyczuli na przedmiotach znalezionych w muzeum i który Geneva czuła w bibliotece.

- Chyba mamy trop, Rhyme. Odezwę się później.

- Tak, tak - powiedział szczupły Chińczyk w hurtowni zielarskiej, patrząc na sporządzony przez program EFIT portret podejrzanego. - Czasem go widzę. Na górze. Nie za często. Co zrobił?

- Jest teraz na górze?

- Nie wiem. Nie wiem. Chyba dzisiaj widziałem. Co zrobił?

- Które mieszkanie? Mężczyzna wzruszył ramionami.

Firma zielarska zajmowała parter, ale na końcu mrocznego korytarza, za drzwiami, znajdowały się strome schody wiodące w ciemność. Sellitto wyciągnął radio i nadał na częstotliwości operacyjnej:

- Mamy go.

- Kto to? - warknął Haumann.

- Och, przepraszam. Sellitto. Jesteśmy dwa budynki na południe od Canal, na Elizabeth. Mamy identyfikację lokatora. Być może jest w tej chwili w budynku.

- Dowództwo ESU do wszystkich zespołów. Zrozumieliście? W eterze odezwały się głosy potwierdzenia.

Sachs przedstawiła się i nadała:

- Podejdźcie cicho i nie wchodźcie w Elizabeth. Ma widok na ulicę przez okno od frontu.

- Zrozumiałem, pięć osiem osiem pięć. Jaki adres? Dzwonię po nakaz wejścia bez pukania.

Sachs podała numer domu.

- Bez odbioru.

Niecały kwadrans później wszystkie zespoły były na miejscu, a funkcjonariusze z rozpoznania sprawdzali front i tyły budynku za pomocą lornetek oraz czujników podczerwieni i dźwięku. Dowódca rozpoznania powiedział:

- W budynku są cztery kondygnacje. Magazyn z ziołami jest na parterze. Mamy widok na pierwsze i trzecie piętro. Są zamieszkane przez rodziny Azjatów. Na pierwszym starsze małżeństwo, a na górze kobieta i czworo albo pięcioro dzieci.

- Co z drugim? - zapytał Haumann.

- Okna są zasłonięte, ale podczerwień pokazuje źródło ciepła. To może być telewizor albo grzejnik. Równie dobrze człowiek. I łapiemy jakieś dźwięki. Muzykę. I chyba skrzywienie podłogi.

Sachs spojrzała na spis lokatorów. Tabliczka nad przyciskiem domofonu mieszkania na drugim piętrze była pusta.

Zjawił się funkcjonariusz i podał Haumannowi jakąś kartkę. Był to nakaz przeszukania podpisany przez sędziego sądu stanowego, przed chwilą przysłany faksem do furgonetki ESU. Haumann przejrzał dokument, sprawdzając adres - wejście bez pukania w niewłaściwe drzwi mogło ich narazić na kłopoty i utrudnić postawienie podejrzanemu zarzutów. Ale papier był w porządku.

- Dwie czteroosobowe grupy, jedna od schodów, druga od wyjścia przeciwpożarowego - zarządził Haumann. - Od frontu taran.

Wybrał ośmiu funkcjonariuszy i podzielił na dwie grupy. Pierwsza - zespół A - miała wejść od frontu, zespół B obstawiał tylne wyjście.

- Na trzy wybijacie okno i częstujecie go granatem błyskowym z dwusekundowym opóźnieniem - powiedział do drugiej grupy.

- Zrobione.

- Na zero wywalacie frontowe drzwi - zwrócił się do dowódcy zespołu A. Następnie wyznaczył ludzi, którzy mieli pilnować drzwi do mieszkań niewinnych osób i w razie potrzeby udzielić wsparcia obu grupom. - Wykonać, biegiem; biegiem!

Policjanci - głównie mężczyźni, plus dwie kobiety - zgodnie z rozkazem Haumanna rozbiegli się na pozycje. Zespół B ruszył zabezpieczyć tyły budynku, a Sachs i Haumann dołączyli do zespołu A, wraz z funkcjonariuszem uzbrojonym w taran.

W normalnych okolicznościach nie zezwalano policjantowi z kryminalistyki uczestniczyć w takiej akcji. Ale Haumann widział, jak Sachs radzi sobie w ogniu, i doskonale sobie zdawał sprawę, że umie robić użytek z broni. Co ważniejsze, funkcjonariusze ESU nie mieli nic przeciwko jej obecności. Nigdy tego nie mówili, przynajmniej w rozmowach z Sachs, ale uważali ją za członka swojej grupy i chętnie przyjmowali w swoje szeregi. Poza tym nie od rzeczy był fakt, że należała do najlepszych strzelców w całym departamencie.

A Sachs po prostu lubiła brać udział w szturmach.

Sellitto wybrał straż na dole i miał oko na ulicę.

Czując artretyczny ból w kolanach, Sachs wspięła się na drugie piętro. Podeszła do drzwi, nasłuchując. Skinęła głową Haumannowi.

- Coś słyszę - szepnęła.

- Zespół B, zgłoś się - powiedział do radia Haumann.

- Jesteśmy na pozycjach - usłyszała w słuchawce Sachs. - W środku nic nie widać. Ale jesteśmy gotowi.

Dowódca obrzucił krótkim spojrzeniem swoich ludzi. Wysoki policjant z taranem - obciążoną rurą długości około metra - kiwnął głową. Jeden z funkcjonariuszy kucnął i zacisnął dłoń na gałce u drzwi, sprawdzając, czy są zamknięte.

Haumann szepnął do mikrofonu:

- Pięć... cztery... trzy...

Cisza. W tym momencie powinni usłyszeć brzęk tłuczonej szyby i wybuch granatu. Nic.

Tu też coś było nie tak. Policjant z dłonią na gałce drzwi zaczął gwałtownie dygotać i jęczeć.

Jeżu, pomyślała Sachs, wpatrując się w niego. Facet ma jakiś atak. Antyterrorysta z padaczką? Do diabła, jakim cudem przeszedł badania medyczne?

- Co jest? - spytał go szeptem Haumann.

Mężczyzna nie odpowiedział. Trząśł się coraz wyraźniej. Otworzył szeroko oczy, ukazując białka.

- Zespół B, zgłoś się - nadał dowódca. - Co się tam dzieje?

- Okno jest zabite - zameldował szef zespołu B. - Sklejką. Nie da rady wrzucić granatu. Jaka sytuacja w A?

Człowiek przy drzwiach osunął się bezwładnie na ziemię z ręką wciąż zaciśniętą na gałce, nadal dygocząc. Haumann polecił ostrym szeptem:

- Tracimy czas! Zabrać go stąd i wywalamy drzwi. Już! Drugi funkcjonariusz chwycił nieszczęśnika przy drzwiach. I on także zaczął się trząść.

Pozostali cofnęli się, a jeden mruknął:

- Co się dzie...

W tym momencie zaczęły się palić włosy pierwszego policjanta.

- Drzwi są pod prądem! - Haumann pokazał metalową płytkę na podłodze. Często spotykało się takie w starych budynkach - były tanie, więc łątano nimi podłogi z twardego drewna. Tę jednak NS 109 wykorzystał do założenia pułapki: przez obu mężczyzn przepływał prąd o wysokim napięciu.

Płomienie buchały już z głowy pierwszego policjanta, z brwi, z zewnętrznych stron dłoni, z

kołnierza. Drugi był nieprzytomny, lecz nadal wstrząsały nim okropne konwulsje.

- *Jesus* - szepnął ktoś po hiszpańsku.

Haumann rzucił stojącemu najbliżej pistolet maszynowy H&K, złapał taran i z całej siły uderzył nim w nadgarstek dłoni zaciśniętej na gałce. Cios prawdopodobnie zgruchotał kości, ale poskutkowało i wyswobodził palce policjanta. Obwód został przerwany i obaj mężczyźni runęli na podłogę. Sachs zdusiła płomień, które zdążyły wypełnić korytarz odrażającym zapachem palonych włosów i ciała.

Dwóch funkcjonariuszy ze wsparcia zaczęło reanimować kolegów, a członek zespołu A złapał uchwyty tarana i walnął nim w drzwi, które natychmiast puściły. Zespół wbiegł do środka, unosząc broń. Sachs ruszyła za nimi.

Wystarczyło pięć sekund, aby się przekonać, że mieszkanie jest puste.

Rozdział 13

Do Haumann zawołał do mikrofonu:

- Zespół B, zespół B, jesteśmy w środku. Nie ma śladu podejrzanego. Zejdźcie na dół i zabezpieczcie alejkę. Ale pamiętajcie, że ostatnim razem czekał. Może atakować niewinnych. I policjantów.

Na biurku paliła się lampa, a kiedy Sachs dotknęła krzesła, przekonała się, że jest jeszcze ciepłe. Ekran małego telewizora na biurku wyświetlał niewyraźny obraz korytarza za drzwiami mieszkania. Podejrzanym miał na zewnątrz ukrytą kamerę i ich zobaczył. Musiał wyjść dosłownie przed chwilą. Ale którędy? Funkcjonariusze rozglądali się, szukając drogi ucieczki. Okno przy wyjściu ewakuacyjnym było zasłonięte sklejką. Drugie było odkryte, ale znajdowało się dziesięć metrów nad alejką.

- Przecież tu był. Jak, do cholery, udało mu się wydostać? Zaraz potem poznali odpowiedź.

- Znalazłem - zawołał jeden z anty terrorystów. Szukając sprawcy pod łóżkiem, odsunął je od ściany, odsłaniając otwór na tyle duży, że mógł się w nim zmieścić człowiek. Wyglądało na to, że podejrzanym przebił się przez tynk i ceglana ścianę oddzielającą dom od sąsiedniego budynku. Kiedy zobaczył ich na ekranie telewizora, po prostu wybił tynk po drugiej stronie muru i uciekł do budynku obok.

Haumann wysłał ludzi, żeby sprawdzili dach i okoliczne ulice, innym przydzielił zadanie zabezpieczenia wejść do sąsiedniego budynku.

- Niech ktoś wejdzie do tej dziury - polecił dowódca ESU.

- Ja pójdę - zgłosił się niski policjant.

Ale w kamizelce i ze sprzętem nawet on nie mógł się wcisnąć do otworu.

- Ja to zrobię - odezwała się Sachs, zdecydowanie najszczuplejsza w całym towarzystwie. - Ale trzeba opróżnić pokój. Muszę chronić dowody.

- Zrobione. Wsadzimy cię do środka, potem się wycofamy. - Haumann rozkazał odsunąć łóżko na bok. Sachs uklękła i oświetliła latarką otwór, za którym widać było jakiś pomost w magazynie czy fabryce. Aby się do niego dostać, musiała się przeczołgać przez wąski tunel ponadmetrowej długości.

- Cholera - mruknęła Amelia Sachs, która potrafiła prowadzić samochód z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i nieraz była pod ostrzałem, ale na samą myśl o ciasnych przestrzeniach paraliżował ją klaustrofobiczny lęk.

Głową naprzód czy nogami? Westchnęła.

Głową było straszniej, ale bezpieczniej; przynajmniej będzie miała kilka sekund, by zlokalizować pozycję sprawcy, zanim ten zdąży wziąć ją na cel. Spojrzała w głąb czarnej czeluści. Głęboki oddech. Ściskając w dłoni pistolet, ruszyła naprzód.

Co się ze mną dzieje, do cholery, myślał Lon Sellitto, stojąc przed magazynem obok hurtowni zielarskiej, którego miał pilnować. Spoglądał w drzwi i okna, szukając uciekającego sprawcy i modląc się, żeby drań wyszedł mu prosto pod lufę.

Jednocześnie modlił się, żeby tak się nie stało.

Co się dzieje, do cholery?

W ciągu lat swojej służby Sellitto brał udział w kilkunastu strzelaninach, rozbrajał groźnych psychopatów, a raz mocował się nawet z samobójcą na dachu Flatiron Building, kiedy od rajgu dzieliło go dziesięć centymetrów zdobionej krawędzi. Owszem, nieraz było ciężko. Ale zawsze potrafił się otrząsnąć. Dotąd nic go tak nie poruszyło jak śmierć Barry'ego dziś rano. Nie mógł zaprzeczyć, że strach go obleciał, gdy znalazł się na linii ognia. Ale chodziło o coś innego. Znalazł się bardzo blisko człowieka w tej jedynej chwili... w chwili śmierci. W głowie wciąż rozbrzmiewał mu głos bibliotekarza, jego ostatnie wypowiedziane za życia słowa.

Naprawdę nie widziałem...

Nie potrafił zapomnieć odgłosu trzech kul, które trafiły go w pierś.

Pac... pac... pac...

Miękkie, ledwie słyszalne plaśnięcia. Nigdy w życiu nie słyszał czegoś podobnego. Lon Sellitto wzdrygnął się, czując ogarniające go mdłości.

I brązowe oczy tego człowieka... Spoglądały prosto w oczy Sellitta, gdy pociski sięgnęły celu. W ułamku sekundy odmalowało się w nich zaskoczenie, potem ból, a na koniec... pustka. To najdziwniejsza rzecz, jaką Sellitto widział. Nie było to spojrzenie senne ani nieprzytomne. Najkrócej ujmując: w jednej chwili w jego oczach było coś skomplikowanego i prawdziwego, a ułamek

sekundy później, zanim jeszcze runął na chodnik, nie było tam już nic.

Detektyw stał jak wryty, patrząc na bezwładną kukłę u swoich stóp - choć wiedział, że powinien próbować łapać zabójcę. Ratownicy musieli go dosłownie odepchnąć, żeby się dostać do Barry'ego; Sellitto nie był w stanie się ruszyć.

Pac... pac... pac...

Potem, gdy należało zawiadomić najbliższych krewnych Barry'ego, Sellitto znów miał dziwne opory. W ciągu minionych lat odbył mnóstwo takich trudnych rozmów. Oczywiście żadna nie była łatwa. Ale dziś po prostu nie czuł się na siłach. Wykręcił się jakąś bzdurą o awarii telefonu i pozwolił, by ktoś inny wypełnił ten obowiązek. Bał się, że głos mu się załamie. Bał się, że się rozplacze, co nigdy mu się nie zdarzyło w trakcie całej służby.

A teraz słyszał radiowe meldunki o bezskutecznym pościgu za sprawcą.

I słyszał: *pac, pac, pac...*

Kurwa, chcę do domu.

Chciał się znaleźć blisko Rachel, wypić z nią piwo na werandzie domu w Brooklynie. Fakt, za wcześnie na piwo. No to kawę. A może wcale nie było za wcześnie na piwo. Albo szkocką. Chciał siedzieć i patrzeć na trawę i drzewa. Rozmawiać. Albo milczeć. Po prostu chciał być przy niej. Nagle myśli Sellitta powędrowały do jego nastoletniego syna, który mieszkał z byłą żoną detektywa. Nie dzwonił do chłopca od trzech czy czterech dni. Powinien to zrobić.

Powinien...

Cholera. Sellitto zorientował się, że stoi pośrodku Elizabeth Street, odwrócony plecami do budynku, którego miał pilnować, pogrążony w myślach. Jezu Chryste! Co ty wyrabiasz? Sprawca na wolności, lada chwila może na ciebie wyskoczyć, a ty sobie fantazjujesz? Facet może się czaić w którejś alejce, tak samo jak dziś rano.

Sellitto przykucnął, odwracając się i patrząc w ciemne okna, zamazane albo zasłonięte. Sprawca mógł stać w jednym z nich i celować do niego z tej pieprzonej małej pukawki. *Pac, pac...* Igły z pocisku rozpryskują się półkolem, rozrywając ciało na strzępy. Sellitto wzdrygnął się i cofnął o krok, chroniąc się między dwoma samochodami dostawczymi, które odgrodziły go od okien. Zza ciężarówki obserwował ciemne okna i drzwi.

Ale wcale ich nie widział. Widział brązowe oczy bibliotekarza stojącego tuż przed nim.

Naprawdę nie...

Pac, pac...

Życie i nagle nie ma życia. Te oczy...

Otarł dłoń o spodnie garnituru, wmawiając sobie, że poci się tylko z powodu grubej kamizelki kuloodpornej. Co się dzieje z tą cholerną pogodą? Jest za ciepło jak na październik. Kto by się nie pocił?

- Nie widzę go - szepnęła do mikrofonu Sachs.

- Powtórz - usłyszała przez zakłócenia głos Haumanna.

- Nie ma śladu.

Magazyn, do którego uciekł NS 109, stanowił jedną wielką przestrzeń pociętą pomostami ze stalowych krat. Na podłodze stały palety z butelkami oliwy z oliwek i puszkami sosu pomidorowego, opakowane w przezroczystą folię. Pomost, na którym się znajdowała, biegł wokół całego pomieszczenia i znajdował się na wysokości dziesięciu metrów - na tym samym poziomie co mieszkanie sprawcy w sąsiednim budynku. Magazyn był czynny, choć prawdopodobnie korzystano z niego sporadycznie; nic nie wskazywało, by niedawno odwiedzali go jacyś pracownicy. Lampy były wyłączone, ale przez brudne świetliki wpadało dość światła, by Sachs wyraźnie widziała wewnątrz.

Podłoga była zamieciona, więc nie mogła zobaczyć śladów stóp wskazujących drogę ucieczki sprawcy. Oprócz głównego wejścia i drzwi od strony rampy załadowniczej, na parterze z boku było jeszcze dwoje innych drzwi. Na jednych wisiała tabliczka „Toaleta”, na drugich nie było żadnych napisów.

Poruszając się wolno, trzymając w pogotowiu glocka i oświetlając wszystkie zakamarki latarką, Amelia Sachs szybko sprawdziła pomosty i magazyn. Zameldowała Haumannowi, że magazyn jest czysty. Funkcjonariusze ESU wyważyli drzwi prowadzące na rampę i wpadli do środka, rozbiegając się po pomieszczeniu. Witając ich przybycie z ogromną ulgą, Sachs bez słowa wskazała boczne drzwi. Antyterrorysty ustawili się po obu stronach.

- Cały czas sprawdzamy - nadał przez radio Haumann - ale nikt na zewnątrz go nie widział. Możliwe, że ciągle jest w środku.

Sachs nie odpowiedziała. Zeszła po schodach na dolny poziom, dołączając do oddziału. Wskazała toaletę.

- Na trzy - szepnęła.

Przytaknęli bez słowa. Jeden z funkcjonariuszy pokazał na siebie, lecz Sachs przecząco pokręciła głową na znak, że chce wejść pierwsza. Była wściekła na sprawcę za to, że uciekł, że użył torebki z uśmiechniętą twarzą, że zastrzelił niewinną osobę tylko po to, żeby odwrócić od siebie uwagę. Chciała, żeby za to zapłacił, i była gotowa zrobić wszystko, by mieć w tym swój udział.

Oczywiście miała na sobie kamizelkę kuloodporną, lecz wciąż myślała o tym, co by się stało, gdyby nafaszerowany igłami pocisk trafił ją w twarz albo rękę.

Albo w szyję.

Uniosła palec.

Jeden...

Wejść szybko, nisko przy ziemi, z palcem na spuście. Jesteś pewna?

W myślach ujrzała twarz Lincolna Rhyme'a. *Dwa...*

Przypomniała sobie mądrości życiowe, jakimi się z nią dzielił z łóża śmierci ojciec policjant: „Pamiętaj, Arnie, kiedy jesteś w ruchu, nic ci nie zrobią”.

No to się rusz!

Trzy.

Skinęła głową. Jeden z antyterrorystów kopniakiem otworzył drzwi - nikt nie odważył się dotknąć metalowej gałki - i Sachs rzuciła się naprzód, przypadając do ziemi w bolesnym przysiadzie i omiatając snopem światła małą, pozbawioną okien łazienkę.

Pusto.

Wycofała się i skierowała do drugich drzwi. Powtórzyli wszystko od początku.

Na trzy drugi potężny kopniak wyłamał drzwi.

Pistolety i latarki skierowały się w górę. Sachs pomyślała: kurczę, nigdy nie jest łatwo. Miała przed sobą długie schody, których koniec ginął w nieprzeniknionym mroku. Zwróciła uwagę, że są pozbawione podstopnic, co oznaczało, że sprawca może stać pod nimi i strzelić im w kostki, łydki albo plecy, kiedy będą schodzić.

- Ciemno - szepnęła.

Policjanci wyłączyli zamontowane na lufach latarki. Sachs poszła pierwsza, czując ból w kolanach. Dwa razy omal nie wywróciła się na chybottliwych i nierównych stopniach. Ruszyło za nią czterech funkcjonariuszy ESU.

- Szyk rombu - szepnęła, zdając sobie sprawę, że formalnie nie dowodzi oddziałem, ale wydała rozkaz, zanim zdążyła pomyśleć. Policjanci nie protestowali. Dotykając się ramionami, by zorientować się w ciemnościach, uformowali czworokąt, w którym każdy był zwrócony twarzą na zewnątrz i pilnował swojej ćwiartki piwnicy.

- Światła!

Mrok przeszyły promienie mocnych żarówek halogenowych, szukających celu.

Sachs nie dostrzegła żadnego zagrożenia, nie usłyszała żadnego dźwięku. Z wyjątkiem cholernie głośnego łomotu serca. Ale to ja.

Zobaczyli piec, zbiorniki olejowe, jakieś rury, z tysiąc pustych butelek po piwie. Sterty śmieci. I kilka zdenerwowanych szczurów.

Dwaj policjanci obejrzelili cuchnące worki z odpadkami, ale podejrzany nie ukrywał się w żadnym z nich.

Sachs przez radio poinformowała Haumanna o sytuacji. Nikt inny nie zauważył ani śladu podejrzanego. Wszyscy funkcjonariusze mieli się zebrać przy furgonetce dowodzenia i kontynuować sprawdzanie okolicy, a Sachs pozostało zadanie zebrania dowodów - należało mieć też na uwadze, że podobnie jak przed muzeum morderca wciąż może być w pobliżu.

...pilnujcie tyłów.

Z westchnieniem schowała broń i odwróciła się w stronę schodów. Ale zatrzymała się w pół obrotu. Gdyby wróciła tą samą drogą na górę - co byłoby torturą dla jej kolan - musiałaby zejść po kolejnych schodach, aby się dostać na ulicę. Łatwiej było wybrać skrót prowadzący bezpośrednio na chodnik.

Czasem człowiek musi sobie dogadzać, pomyślała, ruszając w tym kierunku.

Lon Sellitto obsesyjnie wpatrywał się w jedno okno.

Z rozmów prowadzonych przez radio wiedział, że magazyn jest pusty, ale nie był pewien, czy ludzie z ESU przetrząsnęli wszystkie szpary i zakamarki. W końcu rano przed muzeum nikt nie widział sprawcy, który znalazł sobie dobre stanowisko strzeleckie.

Pac, pac, pac.

To okno, na samym końcu z prawej, na pierwszym piętrze... Sellitele zdawało się, że się poruszyło.

Może wiatr. Ale może ktoś próbował je otworzyć.

Albo przez nie celował.

Pac.

Wzdrygnął się i cofnął o krok.

- Hej! - zawołał do jednego z funkcjonariuszy ESU, który wychodził z hurtowni zielarskiej. - Popatrz, widzisz coś w tym oknie?

- Gdzie?

- Tam. - Sellitto wychylił się zza osłony i pokazał ciemny kwadrat szkła.

- Nie. Ale jest czysto. Nie słyszałeś?

Sellitto wychylił się trochę dalej, słysząc *pac, pac, pac*, widząc gasnące brązowe oczy. Dygocząc, zmrużył powieki i utkwiał spojrzenie w oknie. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch z lewej i usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi. Promień słońca odbił się od czegoś metalicznego.

To on!

- Boże - wyszeptał Sellitto. Sięgnął po broń, przypadając do ziemi i odwracając się w kierunku błysku. Ale zamiast zgodnie z procedurą trzymać palec wskazujący za osłoną spustu, wyszarpnął colta w pośpiechu i panice.

Dlatego broń wypaliła ułamek sekundy później, posyłając pocisk prosto w stronę wyjścia z piwnicy, z którego wyłoniła się Amelia Sachs.

Rozdział 14

Stojąc na rogu Canal i Szóstej, dwanaście przecznic od swojej kryjówki, Thompson Boyd czekał na zmianę świateł. Łapał oddech, ocierając spoconą twarz.

Nie był wstrząśnięty ani przerażony - zadyszka i zmęczenie były tylko skutkiem sprintu - był jednak ciekaw, jak go znaleźli. Zawsze zachowywał ostrożność podczas kontaktów z łącznikami i rozmów telefonicznych, zawsze też sprawdzał, czy nikt go nie śledzi, przypuszczał więc, że w grę wchodził jakiś dowód fizyczny. To miało sens - był prawie pewien, że z korytarzu domu przy Elizabeth Street była kobieta w bieli, która poruszała się po sali w muzeum jak grzechotnik. Co takiego zostawił w bibliotece? Coś w torebce? Może skrawek jakiegoś materiału z butów albo ubrania?

Miał do czynienia z najlepszymi śledczymi, jakich w życiu spotkał. Musiał o tym pamiętać.

Patrząc na sznur samochodów, wrócił myślą do swojej ucieczki. Kiedy ujrzał wchodzących po schodach gliniarzy, szybko wrzucił książkę i zakupy ze sklepu żelaznego do torby, złapał aktówkę i broń, a potem włączył napięcie w gałce u drzwi. Kopniakiem wybił tynk w murze i uciekł do sąsiadującego przez ścianę magazynu, wspiał się na dach i ruszył na koniec zespołu budynków, na południe. Zszedł schodami przeciwpożarowymi, skręcił na zachód i pobiegł sprintem trasą, którą starannie zaplanował i wielokrotnie przećwiczył.

Teraz na skrzyżowaniu Canal i Szóstej wtopił się w tłum czekający na zielone światło. Słyszał syreny radiowozów dołączających do pościgu. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, ręce nie drżały, nie czuł złości ani paniki. Musiał zachować spokój. Tyle razy już widział, jak znani mu zawodowi mordercy dali się złapać, bo ulegli panice, stracili panowanie nad sobą w rozmowie z policją i załamali się w trakcie rutynowego przesłuchania. Albo zepsuli coś podczas roboty, zostawiając dowód lub żywych świadków. Emocje - miłość, gniew, strach - powodują niechlujstwo. Trzeba być spokojnym i zachować dystans.

Zapaść w odrętwienie...

Obserwując kilka radiowozów mknących Szóstą Aleją, Thompson zacisnął dłoń na rewolwerze

ukrytym w kieszeni płaszcza. Samochody z piskiem opon skręciły za róg Canal, kierując się na wschód. Gliny stawały na głowie, żeby go złapać. Nic dziwnego. Nowojorscy gliniarze nerwowo reagowali na podejrzanego, który traktuje prądem jednego z nich (choć zdaniem Thompsona policjant sam był sobie winien, nie zachowując dostatecznej ostrożności).

Nagle w jego głowie odezwał się sygnał ostrzegawczy, gdy kolejny radiowóz zahamował trzy przecznice dalej. Gliniarze wysiedli i zaczęli rozmawiać z ludźmi na ulicy. Po chwili następny samochód policyjny zatrzymał się zaledwie pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym stał Thompson. Ci szli w jego stronę. Jego samochód był zaparkowany pięć minut drogi stąd, nad Hudsonem. Musiał się do niego dostać jak najszybciej. Ale na przejściu wciąż paliło się czerwone światło.

Słychać było coraz więcej syren.

Szykowały się kłopoty.

Thompson spojrzał na tłum wokół siebie. Większość osób patrzyła na wschód, na radiowozy i policjantów. Musiał w jakiś sposób odwrócić ich uwagę, żeby przejść na drugą stronę ulicy. Potrzebował czegoś... niekoniecznie widowiskowego, ale skutecznego, aby na chwilę zająć ludzi. Pożar w koszu na śmieci, alarm samochodowy, brzęk tłuczonego szkła... Jakiś inny pomysł? Spoglądając w lewo, Thompson zobaczył autobus do przewozu pracowników jadący Szóstą. Pojazd zbliżał się do skrzyżowania, gdzie stał tłum przechodniów. Zapalić śmieci w koszu czy wykorzystać okazję z autobusem? Thompson Boyd podjął decyzję. Przysunął się bliżej krawężnika, stając za plecami dwudziestokilkuletniej, szczupłej Azjatki. Popchnął ją lekko i to wystarczyło, by znalazła się przed nadjeżdżającym autobusem. Wymachując rękami, dziewczyna ze stłumionym okrzykiem przerażenia straciła równowagę i spadła z krawężnika.

- Upadła! - zawołał Thompson bez śladu teksańskiego akcentu. - Łapcie ją!

Jej krzyk urwał się nagle, gdy boczne lusterko autobusu trafiło dziewczynę w ramię i w głowę, rzucając jej ciało na chodnik. Krew opryskała okno i najbliższe stojące osoby. Rozległ się pisk hamulców i wrzask kilku kobiet.

Autobus zatrzymał się pośrodku Canal, tamując ruch, i miał tam pozostać do czasu, aż policja ustali szczegóły wypadku. Pożar w koszu na śmieci, stłuczenie butelki, alarm samochodowy - wszystko mogło zadziałać. Ale Thompson uznał, że zabicie dziewczyny przyniesie o wiele lepszy efekt.

Ruch uliczny zamarł w jednej chwili, unieruchamiając dwa radiowozy nadjeżdżające Szóstą.

Thompson wolno przeciął ulicę, opuszczając tłum struchlałych przechodniów, którzy płakali, krzyczeli lub po prostu wpatrywali się wstrząśnięci w bezwładne, zakrwawione ciało leżące przy łańcuchu odgradzającym jezdnię od chodnika. Niewidzące oczy dziewczyny wpatrywały się w niebo. Nic nie wskazywało, by ktoś podejrzewał, że tragedia nie była wypadkiem.

Ludzie biegli w stronę ofiary, dzwonili z komórek pod numer 911... zapanował chaos.

Thompson spokojnie przeszedł ulicę, obrzucając spojrzeniem stojące samochody. Zdążył już zapomnieć o młodej Azjatce i myślał o znacznie ważniejszych sprawach: stracił jedną ze swoich kryjówek. Ale przynajmniej udało mu się uciec i zabrać broń, zakupy ze sklepu żelaznego i instrukcję. W mieszkaniu nie było nic, co mogłoby doprowadzić policję do niego lub człowieka, który go wynajął. Nawet kobieta w bieli nie będzie umiała znaleźć żadnego tropu. Nie, tym nie musiał się przejmować.

Przystanął przy automacie telefonicznym, zadzwonił pod numer poczty głosowej i znalazł tam dobrą wiadomość. Dowiedział się, że Geneva Settle chodzi do szkoły średniej imienia Langstona Hughesa w Harlemie. Okazało się też, że pilnuje jej policja, ale nie było w tym nic dziwnego. Thompson miał wkrótce poznać więcej szczegółów - dowie się, gdzie dziewczyna mieszka, a może przy odrobinie szczęścia usłyszy, że jego współnikowi trafiła się okazja i Geneva już nie żyje.

Thompson Boyd szedł dalej, zmierzając do samochodu - trzyletniego buicka w mało oryginalnym niebieskim kolorze, zwykłego samochodu, przeciętnego samochodu Pana Przeciętniaka. Gdy do niego wsiadł, wyjechał na ulicę, okrążając z daleka korek, jaki powstał wokół skrzyżowania, gdzie zdarzył się wypadek z autobusem. Skierował się w stronę mostu Pięćdziesiątej Dziewiątej, rozmyślając nad tym, czego dowiedział się z książki, którą czytał przez ostatnią godzinę, zaznaczając wiele stron samoprzylepnymi karteczkami, i jaki zrobi użytek ze swoich nowych umiejętności.

- Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć.

Lon Sellitto ze smętną miną spoglądał na kapitana, który przyjechał tu prosto z siedziby policji, gdy tylko dowództwo dowiedziało się o incydencie. Sellitto siedział na krawężniku, miał rozwichrzone włosy, a jego brzuch wylewał się zza paska, prześwitując różowo pomiędzy guzików koszuli. Rozstawił szeroko czubki swoich zdartych butów i przedstawiał żaloszny widok.

- Co się stało? - Wysoki, łysiejący Afroamerykanin w randze kapitana odebrał Sellitele rewolwer, rozładował i trzymał przy boku z otwartym bębniem, zgodnie z policyjnymi przepisami o postępowaniu po oddaniu strzału przez funkcjonariusza.

Sellitto spojrzął w oczy oficera i rzekł:

- Nie opanowałem broni.

Kapitan wolno skinął głową i odwrócił się do Amelii Sachs.

- Wszystko w porządku?

Wzruszyła ramionami.

- Nic się nie stało. Kula trafiła bardzo daleko ode mnie.

Sellitto nie miał wątpliwości, że kapitan się domyśla, iż Sachs celowo lekceważy całą sprawę, żeby nie pograżyć kolegi. Poczul się przez to jeszcze podlej.

- Ale była pani na linii ognia - zauważył kapitan.

- To nie był żaden...

- Była pani, tak czy nie?

- Tak jest - odrzekła Sachs.

Pocisk kalibru.38 trafił w ścianę metr od niej. Oboje o tym wiedzieli, Sellitto i ona.

Bardzo daleko ode mnie... Kapitan rzucił okiem na magazyn.

- Gdyby to się nie stało, podejrzany i tak by uciekł?

- Tak - potwierdził Bo Haumann.

- Jest pan pewien, że to nie miało nic wspólnego z ucieczką? Sprawa i tak wyjdzie na wierzch.

Dowódca ESU pokręcił głową.

- Zdaje się, że sprawca wydostał się na dach magazynu i uciekł na północ albo południe - prawdopodobnie na południe. A strzał... - wskazał rewolwer Sellitta - padł, kiedy zabezpieczyliśmy sąsiednie budynki.

Co się ze mną dzieje, pomyślał znowu Sellitto. *Pac, pac, pac...*

- Dlaczego wyciągnął pan broń? - zapytał go kapitan.

- Nie spodziewałem się, że ktoś wyjdzie z piwnicy.

- Nie usłyszał pan przez radio, że budynek jest czysty? Chwila wahania.

- Musiałem przegapić.

Ostatni raz Sellitto skłamał przełożonemu, kiedy chciał osłonić nowego, który usiłując ocalić ofiarę porwania, naruszył przepisy. Młodemu się udało i to było dobre kłamstwo. Dziś słowa z trudem przeszły mu przez gardło, bo kłamał, żeby chronić własny tyłek.

Kapitan rozejrzał się po ulicy. W pobliżu kręciło się kilku funkcjonariuszy ESU. Żaden nie patrzył na Sellitta. Byli wyraźnie zakłopotani. Wreszcie oficer oświadczył:

- Nikt nie został ranny, nie ma poważnych uszkodzeń mienia. Napiszę raport, ale to nie jest równoznaczne z decyzją o rozpatrzeniu sprawy przez komisję kontrolną. Nie będę zalecał takiego wyjścia.

Sellitto poczuł ogromną ulgę. Komisja kontrolna na karku za przypadkowe użycie broni była zwykle pierwszym krokiem do śledztwa wydziału wewnętrznego, które mogło człowiekowi

zrujnować reputację. Nawet gdyby został oczyszczony z winy, długo nie mógłby zmyć z siebie błota. Może nawet nigdy.

- Chce pan wziąć trochę wolnego? - zapytał przełożony.

- Nie, panie kapitanie - odparł zdecydowanie Sellitto. Po czymś takim najgorszą rzeczą na świecie dla niego - i dla każdego gliny - było wyłączenie z policyjnej roboty. Ciągłe by to rozpamiętywał, zażerał się tłustym jedzeniem, byłby okropny dla otoczenia. I doświadczałby jeszcze większych lęków niż teraz. (Wciąż wspominał ze wstydem, jak podskoczył na dźwięk strzału z gaźnika ciężarówki).

- Sam nie wiem. - Kapitan miał prawo wysłać go na przymusowy urlop. Chciał zapytać o zdanie Sachs, lecz było to sprzeczne z zasadami. Sachs niedawno została młodszym detektywem. Mimo to, widząc wahanie kapitana, mogła wtrącić parę słów. Dowódca miał nadzieję, że powie: „Jasne, Lon, niezły pomysł” albo „Dobra. Poradzimy sobie jakoś bez ciebie”.

Ona jednak milczała. I wszyscy wiedzieli, że to głos za Sellitem.

- Podobno dzisiaj zastrzelono świadka, z którym pan rozmawiał. To miało coś wspólnego z tym incydentem?

Nie, kurwa, nie miało. Albo i miało...

- Nie wiem.

Kolejna długa chwila namysłu. Cokolwiek by jednak sądzić o dowództwie, żaden z wysokich rangą oficerów nie mógł się wspinać na szczyty hierarchii departamentu, nie poznawszy wcześniej od podszewki życia na ulicy. I wpływu, jaki takie życie miało na gliniarzy.

- W porządku, zostaje pan w czynnej służbie. Ale proszę się skonsultować z psychologiem.

Palila go twarz. Wysyłają go do doktora od czubków. Powiedział jednak:

- Jasne. Jeszcze dziś się umówię.

- To dobrze. I proszę mnie informować o przebiegu terapii.

- Tak jest. Dziękuję.

Kapitan oddał mu broń i w towarzystwie Bo Haumanna wrócił do furgonetki. Sellitto i Sachs poszli w kierunku samochodu zespołu z wydziału kryminalistycznego, który właśnie zjawił się na miejscu.

- Amelio...

- Daj spokój, Lon. Stało się i koniec. Własny ostrzał to normalka. Według statystyk znacznie wyższe jest prawdopodobieństwo, że

policjant zginie od kul innych glin niż od kul przestępców. Krępy detektyw pokręcił głową.

- Chciałem tylko... - Zabrakło mu słów.

Przez dłuższą chwilę milczeli, idąc do samochodu. Wreszcie Sachs powiedziała:

- Powiem ci jedno, Lon. To się rozniesie. Dobrze wiesz, jak jest. Ale nie dowie się żaden cywil. W każdym razie nie ode mnie. - Oznaczało to, że Lincoln Rhyme, odłączony od drutu - sieci policyjnych plotek - mógł się dowiedzieć o incydencie tylko od niej albo Sellitta.

- Nie chciałem cię o to prosić.

- Wiem - odparła. - Mówię ci tylko, co zrobię. - Zaczęła wyładowywać sprzęt z furgonetki.

- Dzięki - powiedział głucho. I zorientował się, że jego palce znów powędrowały do krwawych stygmatów na policzku.

Pac, pac, pac...

- Niewiele tu jest, Rhyme.

- Mów - powiedział jego głos w słuchawce.

Ubrana w biały kombinezon z tyveku, robiła obchód po siatce w mieszkanku, które sądząc po skąpym wyposażeniu, stanowiło tylko kryjówkę. Większość profesjonalnych morderców ma takie miejsce. Trzymają w nim broń i zapasy, wykorzystują je jako bazę wypadową i schron w razie wpadki.

- Co jest w środku? - zapytał Rhyme.

- Łóżko, puste biurko i krzesło. Lampa. Telewizor podłączony do kamery zamontowanej w korytarzu. To system Video-Tect, ale zdjął naklejki z numerami seryjnymi, żebyśmy nie wiedzieli, gdzie i kiedy go kupił. Znalazłam kable i przekaźniki obwodu, który podłączył do drzwi. Obraz elektrostatyczny pasuje do podeszwy butów Bass. Obsypałam proszkiem wszystko, ale nie mogę znaleźć ani jednego odcisku. Nosi rękawiczki we własnej melinie. Co mam o tym myśleć?

- Poza tym, że wyjątkowy z niego spryciarz? Przypuszczam, że nie pilnował za bardzo tej nory i wiedział, że prędzej czy później będzie ją musiał porzucić. Oddałbym wszystko za jeden odcisk. Facet musi być w jakiejś kartotece. Może w niejednej.

- Znalazłam resztę talii tarota, ale nie ma na niej żadnej metki sklepowej. Brakuje tylko karty numer dwanaście, tej, którą zostawił w muzeum. Dobra, szukam dalej.

Kontynuowała obchód - mimo że mieszkanie było maleńkie i żeby je obejrzeć, wystarczyło stać na środku i obracać się wokół własnej osi. Sachs znalazła ukryty dowód: mijając łóżko, zauważyła kawałek czegoś białego wystającego spod poduszki. Wyciągnęła złożony arkusz papieru i

ostrożnie go otworzyła.

- Mam coś, Rhyme. To plan ulicy, przy której jest muzeum afroamerykańskie. Szczegółowo rozrysowane alejki, wejścia i wyjścia wszystkich budynków dookoła, strefy załadunku, parkingi, hydranty, włązy do kanałów, automaty telefoniczne. Gość jest perfekcjonistą.

Niewielu morderców zadaje sobie tyle trudu, by przygotować się do płatnej akcji.

- Są na nim plamy. I jakieś okruchy. Brązowawe. - Sachs powąchała. - Czuć czosnkiem. Wyglądają jak okruchy jedzenia. - Wsunęła plan ulicy do plastikowej koperty i kontynuowała przeszukiwanie.

- Mam włókna, chyba takie same jak tamte z bawełnianego sznura. Trochę kurzu i brudu. Nic więcej.

- Szkoda, że nie widzę tego mieszkania. - Zamilkł.

- Rhyme?

- Wyobrażam je sobie - szepnął. Znow upłynęła chwila ciszy. - Co jest na blacie biurka?- Nic, już ci mówi...

- Nie pytam, co na nim stoi. Są plamy po atramencie? Gryzmoly? Nacięcia? Ślady po kubkach z kawą? Kiedy sprawcy nie są na tyle uprzejmi, żeby zostawić nam swój rachunek za prąd - dodał zgryźliwie - trzeba brać, co się da.

Aha, dobry nastrój gdzieś odpłynął. Obejrzała drewniany blat.

- Faktycznie, są plamy. Zadrapania i nacięcia też.

- Drewno?

- Tak.

- Weź parę próbek. Zdrap nożem z powierzchni.

Sachs znalazła w zestawie narzędzi skalpel. Taki sam jak używane przez chirurgów, sterylnie opakowany w folię i papier. Ostrożnie zdrapała kawałeczki drewna i umieściła je w plastikowych woreczkach.

Spoglądając na biurko, dostrzegła błysk światła na jego krawędzi. Popatrzyła uważniej.

- Rhyme, znalazłam jakieś krople. Przezroczystego płynu.

- Zanim weźmiesz próbkę, potraktuj mirage'em. Najlepiej weź exspray dwa. Facet za bardzo lubi śmiercionośne zabawki.

Firma Mirage Technologies produkowała wygodne preparaty do wykrywania materiałów wybuchowych. Exspray 2 wykrywał materiały grupy B, do której należała bardzo niestabilna, bezbarwna nitrogliceryna - jedna kropla mogła urwać człowiekowi rękę.

Sachs zbadała próbkę. Gdyby substancja była wybuchowa, zmieniłaby barwę na różową. Zmiany nie było. Dla pewności potraktowała tę samą próbkę sprayem numer 3, który wykrywał obecności jakichkolwiek azotanów, głównego składnika większości materiałów wybuchowych, nie tylko nitrogliceryny.

- Wynik negatywny, Rhyme. - Zebrała drugą kroplę płynu i umieściła w probówce, którą szczelnie zamknęła. - To chyba tyle.

- Przywieź wszystko, Sachs. Trzeba wyprzedzić następny ruch tego faceta. Jeżeli tak łatwo udało mu się uciec oddziałowi ESU, to znaczy, że równie szybko może się zbliżyć do Genevy.

Rozdział 15

Zdała na szóstkę. Bez pudła.

Dwadzieścia cztery pytania z odpowiedziami do wyboru - Geneva wiedziała, że wszystkie trafiła bezbłędnie. No i napisała wypracowanie na siedem stron, chociaż wystarczyłoby na cztery.

Super...

Rozmawiała o sprawdzianie z detektywem Bellem, który kiwał głową - z czego wywnioskowała, że wcale jej nie słucha, tylko rozgląda się po korytarzach - ale przynajmniej się uśmiechał, więc udawała, że mu wierzy. Poza tym jak rzadko miała ochotę pogadać. Fajnie było opowiadać, jak przewrotnie nauczyciel sformułował temat wypracowania, jak Lynette Thompkins wyszeptwała: „Jezu, miej mnie w opiece”, kiedy zdała sobie sprawę, że uczyła się nie tych tematów, co trzeba. Pewnie nikt poza Keesh nie słuchałby takiej paplaniny.

Teraz czekał ją test z matematyki. Nie przepadała za rachunkiem różniczkowym, ale znała materiał, uczyła się, wszystkie równania miała wykute na blachę.

- Ej! - W korytarzu dogoniła ich Lakeesha, zrównując się z koleżanką. - Kurde, ciągle tu jesteś? - Patrzyła na nią w zdumieniu. - Rano ci mało łba nie rozwalili, a ty nic, zero stresu? To jakiś wykrent totalny.

- Spokojnie. Gadasz jak karabin maszynowy.

Tak jak mogła się spodziewać, Keesh terkotała dalej.

- Przecież już masz szóstkę. Po co ci te testy?

- Jak ich nie napiszę, nie będę miała szóstki.

Dziewczyna posłała detektywowi Bellowi niezadowolone spojrzenie.

- A pan to chyba powinien teraz szukać tego gnoja, co napat na mojom koleżankę.

- Mnóstwo ludzi go szuka.

- Ilu? I gdzie?

- Keesh! - szepnęła Geneva. Ale Bell lekko się uśmiechnął.

- Naprawdę mnóstwo.

- Jak ci poszedł test z cywilizacji? - spytała koleżankę Geneva.

- Nie ma cywilizacji. Świat jest pojebany.

- Ale chyba sobie nie odpuściłaś?

- Mówiłam, że pójdę. Było gites. Wyczałam wszystko. Może dostane trójkę. Albo nawet czwórkę.

- Bardzo śmieszne.

Dotarły do rozwidlenia korytarzy i Lakeesha skrzyła w lewo.

- To narka. Zadzwoń po południu.

- Zadzwonię.

Patrząc, jak dziewczyna pędzi korytarzem, Geneva zaśmiała się w duchu. Keesh na pozór zupełnie nie różniła się od reszty typowych lasek w szkole ubranych w jaskrawe, obcisłe ciuchy, obwieszonych tandetnymi błyskotkami, z okropnie długimi paznokciami i ciasno zaplecionymi warkoczykami. Tańczyła jak wariatka do muzyki L.L. Cool J., Twista i Beyonce. Pierwsza rwała się do bójki - nie bała się nawet dziewczyn *gangsta* (czasem miała przy sobie nóż składany albo sprężynowy). Od czasu do czasu bawiła się w didżejowanie, występując jako Mistress K i miksując płyty na szkolnych imprezach - a nawet w klubach, kiedy bramkarze uznali, że ma dwadzieścia jeden lat.

Ale Keesh wcale nie była kumpelą z getta, na jaką się zgrywała. To był kostium, podobnie jak paznokcie i sztuczne pasemka za trzy dolary. Geneva dostrzegła bardzo czytelne oznaki: jeżeli uważnie się jej słuchało, można było dojść do wniosku, że jej pierwszym językiem była literacka angielszczyzna. Mówiąc „hebańskim” dialektem - według zasad politycznej poprawności nazywanym dziś „rodzimy dialekt afroamerykański” - przypominała komików, którzy udawali chłopaków z czarnych gangów, nieudolnie naśladowując język Murzynów. Dla postronnego słuchacza brzmiało to jednak autentycznie.

Były i inne rzeczy: wiele dziewczyn z osiedli przechwalało się kradzieżami w sklepie. Ale Keesh nigdy nie buchnęła niczego więcej poza buteleczką lakieru do paznokci albo opakowaniem warkoczyków. Nie kupowała nawet biżuterii od nikogo, kogo podejrzewała o to, że mógł ją zwinąć

jakiemuś turyście, a kiedy zobaczyła podejrzaną towarzystwo kręcące się wokół domów w czasie „sezonu łowieckiego” - gdy do skrzynek pocztowych trafiały czeki z zasiłkami i rentami - szybko wyciągała komórkę i dzwoniła pod 911.

Keesh była niezależna finansowo. Na własny rachunek robiła pasemka i warkoczyki, a cztery dni w tygodniu stała za ladą w restauracji (wybrała lokal na Manhattanie, ale oddalony o wiele kilometrów od Harlemu, żeby nie natknąć się na ludzi z dzielnicy, którzy mogliby odkryć prawdę o gwiazdzie didżejów ze Sto Dwudziestej Czwartej). Wydawała pieniądze z rozważą i odkładała, żeby pomagać rodzinie.

Jeszcze jedna cecha odróżniała Keesh od wielu innych dziewczyn z Harlemu. Razem z Geneva należały do tak zwanego Zakonu Zero - czyli zero seksu. (Jasne, można się było powyglupiać, ale, jak ujęła to jedna z koleżanek Genevy: „Żaden chłopak nie wsadzi mi swojego wacka, nie ma bata”). Keesh i Geneva dotrzymały paktu dziewictwa, jaki zawarły jeszcze w gimnazjum. Należały do wyjątków. Duża część dziewczyn z Langston Hughes od paru lat sypiała z chłopakami.

Nastolatki z Harlemu dzieliły się na dwie kategorie, których wyznacznikiem był jeden element: wózek dziecienny. Niektóre pchały przed sobą wózek, inne nie. Nie miało znaczenia, czy dziewczyna czytała Ntozake Shange lub Sylvie Plath, albo czy była analfaberką; nie miało znaczenia, czy nosiła pomarańczowe topy bez rękawów i dopinane warkoczyki, czy białe bluzki i plisowane spódniczki... jeżeli trafiła do sfery wózkowej, czekał ją zupełnie inny los niż dziewczyny z drugiej kategorii. Dziecko nie oznaczało automatycznego końca edukacji i kariery zawodowej, lecz taki był często skutek. Jeśli nawet nie, dziewczyna z wózkiem i tak miała przed sobą smutne i trudne życie.

Geneva Settle wyznaczyła sobie cel, przy którym nieugięcie trwała: uciec z Harlemu przy pierwszej nadarzącej się okazji, skończyć jeden czy dwa kierunki studiów w Bostonie czy New Haven, a potem wyjechać do Anglii, Francji albo Włoch. Nie mogła sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko, że jej plany mogłoby pokrzyżować dziecko. Lakeesha podchodziła do dalszej nauki z większą rezerwą, ale także miała swoje ambicje. Zamierzała skończyć jakiś college i jako przebojowa bizneswoman podbić Harlem. Dziewczyna chciała zostać Frederickiem Douglassem albo Malcolmem X biznesu na górnym Manhattanie.

I właśnie wspólne poglądy zbliżyły do siebie dwie zupełnie różne dziewczyny, które wkrótce połączyła przyjaźń. Jak większość przyjaźni, ich związek wymykał się ścisłym definicjom. Jego charakter najlepiej ujęła kiedyś Keesh, machając ręką ozdobioną bransoletkami i zakończoną paznokciami w kropki: „Wszystko jedno, co to jest. Ważne, że działa, co nie?”.

I rzeczywiście działało.

Geneva i detektyw Bell dotarli do sali matematycznej. Policjant zajął stanowisko przy drzwiach.

- Zostanę tu. Po sprawdzeniu zaczekaj w klasie. Każę podstawić samochód przed wejście.

Dziewczyna skinęła głową i odwróciła się, by pójść do sali. Zawahała się jednak i obejrzała za siebie.

- Chciałabym panu coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Wiem, że czasem nie jestem zbyt miła. Podobno głupio się upieram. Najczęściej ludzie mówią, że jestem upierdliwa. Ale dzięki za to, co pan dla mnie robi.

- To moja praca. Poza tym połowa ludzi, których ochraniam, nie jest warta betonu, po którym chodzi. Cieszę się, że mogę pilnować kogoś porządnego. A teraz idź i załatw bez pudła następne dwadzieścia cztery pytania.

Posłała mu zdumione spojrzenie.

- Słuchał pan?

- Tak, słuchałem. I miałem oczy otwarte. Chociaż przyznaję, że nie umiem robić więcej niż dwie rzeczy jednocześnie, więc nie stawiaj mi większych wymagań. Dobra, do zobaczenia - będę tu, kiedy wyjdiesz.

- Oddam panu pieniądze za lunch.

- Mówiłem, że fundował nam burmistrz.

- Ale to pan zapłacił. I nie wziął rachunku.

- Proszę, proszę. Też jesteś spostrzegawcza.

W sali zobaczyła stojącego w głębi Kevina Cheaneya, który rozmawiał z kilkoma swoimi koleżkami. Kiedy dojrzał Geneve, uniósł wzrok, uśmiechnął się szeroko i ruszył w jej stronę. Śledziły go spojrzenia prawie wszystkich dziewczyn w klasie - ładnych i brzydkich. Gdy zobaczyły, do kogo zmierza, w ich oczach odmalowało się zaskoczenie, a potem szok.

Aha, pomyślała triumfalnie, w głowach się wam nie mieści, co?

Jestem w niebie. Geneva Settle spuściła wzrok, czując falę krwi oblewającej zarem jej twarz.

- Hej - powiedział, podchodząc bliżej. Wyczuła zapach płynu po goleniu. Ciekawe, co to za marka. Może kupi mu na urodziny.

- Cześć - odrzekła lekko drżącym głosem. Odchrząknęła. - Cześć.

No dobrze, przeżyła przed całą klasą chwilę chwały, która będzie trwać wiecznie. Ale znów musiała trzymać się z daleka od niego, żeby przez nią nie spotkała go żadna krzywda. Powinna mu powiedzieć, jakim niebezpieczeństwem może grozić przebywanie w jej towarzystwie. Daj spokój z bluzganiem, z docinkami o mamusce. Bądź poważna. Powiedz mu, co naprawdę czujesz: że bardzo się o niego boisz.

Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, Kevin pokazał w głąb sali.

- Chodź na chwilę. Mam coś dla ciebie.

Dla mnie? - zdziwiła się. Nabrała powietrza i poszła za nim w kąt klasy.

- Proszę. To prezent. - Wsunął jej coś do ręki. Czarny plastik. Co to? Telefon komórkowy? Pager? W szkole nie wolno było korzystać z takich urządzeń. Jej serce waliło jak młot. Zastanawiała się, po co daje jej taki prezent. Żeby mogła go wezwać, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie? A może żeby mógł się z nią w każdej chwili kontaktować?

- Super - powiedziała, oglądając urządzenie. To nie był telefon ani pager, tylko jakiś elektroniczny organizator. Jak palm pilot.

- Ma gry, Internet, e-mail. Zero kabli. Diabli wiedzą, jak działają takie cacka.

- Dzięki. Tylko... to chyba bardzo drogie, Kevin. Nie wiem, czy...

- Spoko. Zapracujesz sobie na to. Spojrzała na niego.

- Zapracuję?

- Słuchaj. To pryszcz. Wypróbowałem to już z chłopakami. Jest już podłączony do mojego. - Pokazał kieszonkę swojej koszuli. - Pamiętaj, że najlepiej trzymać to między nogami. Lepiej, jakbyś miała spódnicę. Nauczyciele nie mogą tam zaglądać, bo mogą beknąć w sądzie, co nie? I teraz, jak jest pierwsze pytanie w teście, naciskasz klawisz z jedyneką. Ten, widzisz? Potem naciskasz spację i wpisujesz odpowiedź. Kumaszc?

- Odpowiedź?

- I słuchaj, bo to ważne. Żeby wysłać odpowiedź do mnie, musisz nacisnąć ten klawisz. Ten mały z antenką. Jak go nie naciśniesz, nic się nie wyśle. Drugie pytanie, naciskasz dwójkę. Potem odpowiedź.

- Nie rozumiem.

Roześmiał się, nie wiedząc, co w tym trudnego.

- A co myślałaś? Mamy układ. Będę ci osłaniać tyłek na ulicy, a ty mój na lekcjach.

Kiedy uświadomiła sobie, o co ją prosi, poczuła się, jakby dostała w twarz. Utkwiła wzrok w jego oczach.

- To znaczy, że chcesz ściągać. Zmarszczył brwi.

- Nie gadaj tak głośno. - Rozejrzał się po klasie.

- Żartujesz. To jakiś kawał.

- Kawał? Nigdy w życiu. Pomożesz mi. To nie było pytanie, tylko rozkaz.

Miała wrażenie, że za chwilę zrobi się jej niedobrze. Z trudem oddychała.

- Nie zrobię tego. - Wyciągnęła do niego organizer. Kevin nie zamierzał go odbierać.

- O co chodzi? Dużo dziewczyn mi pomaga.

- Alicia - wyszeptała ze złością Geneva, przypominając sobie dziewczynę, która do niedawna chodziła z nimi na matematykę. Alicia Goodwin, inteligentna dziewczyna, matematyczny geniusz. Opuściła szkołę, kiedy jej rodzina przeprowadziła się do Jersey. Byli z Kevinem nierozłączni. A więc o to chodziło. Kiedy stracił współpracowniczkę, zaczął szukać nowej i wybrał Geneve, lepszą uczennicę od poprzedniczki, ale znacznie mniej atrakcyjną. Geneva zastanawiała się, jak niskie miejsce zajmowała na jego liście. Wezbrał w niej gniew i żal. To było jeszcze gorsze od dzisiejszego zdarzenia w muzeum. Przynajmniej człowiek w kominiarce nie udawał, że jest jej przyjacielem.

Judasz...

- Cała stajnia dziewczyn ci podpowiada... - rzuciła z wściekłością Geneva. - Jaką miałbyś średnią, gdyby nie one, co?

- Nie jestem głupi - szepnął ze złością. - Po prostu nie muszę uczyć się tych bzdetów. Przez resztę życia będę grał w kosza i zgarniał grubą kasę za reklamę. Lepiej będzie wszystkim, jak zamiast się uczyć, będę trenował.

- Wszystkim. - Zaśmiała się drwiąco. - To stąd masz stopnie. Po prostu je kradniesz. Tak samo jakbyś zwinął komuś złoty łańcuszek na Times Square.

- Ty, lepiej uważaj, co mówisz - szepnął groźnie.

- Nie zamierzam ci pomagać - mruknęła Geneva.

Nagle Kevin uśmiechnął się, spoglądając na nią znacząco spod przymkniętych powiek.

- Nie pożałujesz. Możesz do mnie wpaść, kiedy chcesz. Wydmucham cię pierwsza klasa. Mogę cię nawet wylizać. Na tym to akurat dobrze się znam.

- Idź do diabła! - wrzasnęła. Wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę.

- Słuchaj no - warknął, łapiąc ją mocno za ramię. Zabolalo. - Masz tyłek jak dziesięciolatka, a zadzieras nosa jak jakaś blondyna z Long Island i myślisz, że jesteś lepsza od wszystkich. Z takimi strakami na głowie nie możesz przebierać w facetach, kumas, co mówię? Gdzie znajdziesz kogoś takiego jak ja?

Słyszając tę obelgę, Geneva zaniemówiła.

- Jesteś wstrętny - wykrztusiła.

- Dobra, niech ci będzie. Jesteś oziębła, nie ma sprawy. Zapłacę ci. Ile chcesz? Stówę? Dwie? Mam grubą kasę. No już, podaj cenę. Muszę zdać ten test.

- To się naucz - odparowała i rzuciła mu organizer. Złapał aparat jedną ręką, a drugą przyciągnął ją do siebie.

- Kevin! - rozległ się męski głos.

- Kurwa - szepnął chłopak z obrzydzeniem, przymykając na chwilę oczy, i puścił jej rękę.

Pan Abrams, nauczyciel matematyki, podszedł do nich i zabrał Kevinowi organizer.

- Co to jest?

- Chciał, żebym pomogła mu ściągać - powiedziała Geneva.

- Kłamie. To nie moje. Sama chciała...

- Proszę, idziemy do gabinetu - oświadczył nauczyciel. Chłopak wbił w nią lodowate spojrzenie. Odpowiedziała mu tym samym.

- Geneva, nic ci się nie stało? - spytał nauczyciel. Masowała ramię w miejscu, gdzie ścisnął je Kevin. Opuściła rękę i skinęła głową.

- Chciałabym tylko na chwilę wyjść do toalety.

- Idź. - Zwracając się do milczącej jak grób klasy, pan Abrams rzekł: - Test będzie za dziesięć minut. - Potem wyprowadził Kevina z sali, którą w jednej chwili wypełnił gwar głosów, jakby ktoś włączył fonię w telewizorze. Geneva odczekała kilka sekund i też wyszła z klasy.

Rozglądając się po korytarzu, zauważyła detektywa Bella, który stał z założonymi rękami niedaleko głównego wejścia. Nie widział jej. Geneva wmieszała się w tłum uczniów zmierzających na lekcje.

Nie poszła jednak do toalety. Dotarła do końca korytarza i pchnęła drzwi prowadzące na puste boisko, myśląc: Nikt na tym świecie nie zobaczy, jak płaczę.

Jest! Niecałe trzydzieści metrów od niego.

Serce Jaksy zabiło mocniej, kiedy ujrzał Geneve Settle stojącą samotnie na szkolnym boisku.

Król Graffiti był u wylotu alejki po drugiej stronie ulicy, gdzie czekał od godziny, mając

nadzieję, że uda mu się ją zobaczyć. Spotkało go jednak większe szczęście, niż mógłby przypuszczać. Dziewczyna była sama. Jax spojrzął na ulicę. Przed szkołą stał nieoznakowany samochód policyjny z gliniarzem w środku, ale dość daleko od dziewczyny, a policjant nie patrzył w stronę boiska; nie mógłby zobaczyć Genevy, nawet gdyby się odwrócił. Wszystko mogło pójść łatwiej, niż się spodziewał.

Koniec stania, powiedział do siebie w duchu. Rusz tyłek.

Wyciągnął z kieszeni czarną bandanę i nasunął ją na afro. Ostrożnie ruszył naprzód, zatrzymując się obok samochodu dostawczego i lustrując boisko (bardzo przypominało mu spaceriak, choć oczywiście nie było tu drutu kolczastego ani wieżyczek strażniczych). Postanowił przejść na drugą stronę ulicy i schować się za ciężarówką Food Emporium zaparkowaną przy chodniku, której silnik pracował na jałowym biegu. Mógł się zbliżyć do dziewczyny na odległość jakichś ośmiu metrów, niezauważony przez dziewczynę ani gliniarza. Tyle na pewno wystarczy.

Dopóki dziewczyna miała spuszczoną głowę, mógł niepostrzeżenie pokonać ogradzający jezdnię łańcuch. Po tym, co się dzisiaj stało, pewnie miała pietra i na jego widok odwróciłaby się i uciekła, wzywając pomocy.

Powoli i ostrożnie.

Ale rusz się wreszcie. Możesz nie mieć drugiej takiej szansy.

Jax zaczął iść w kierunku dziewczyny, ostrożnie stawiając kroki, żeby mniej sprawna noga nie potrafiła szeleszczących liści i nie zdradziła jego nadejścia.

Rozdział 16

Czy to zawsze na tym polega?

Czy chłopcy zawsze czegoś od ciebie chcą?

Kevin chciał jej umysłu. Czy odczuwałaby taką samą wściekłość, gdyby miała figurę Lakeeshy, a on przystawiałby się do niej z powodu jej krągłości?

Nie, pomyślała ze złością. To było co innego. To było normalne. Psychologowie w szkole dużo mówili o gwałcie, o tym, jak mówić nie, co robić, kiedy chłopak staje się za bardzo natarczywy. I co zrobić potem, gdyby do tego doszło.

Ale nie powiedzieli ani słowa, co należy robić, kiedy ktoś chce zgwałcić twój umysł.

Niech to szlag, niech to szlag!

Zgrzytając zębami, ocierała łzy. Zapomnij o nim! Żałosny dupek. Test z matematyki - tylko to się teraz liczy.

d po dx x do potęgi n równa się...

Jakiś ruch z lewej. Geneva spojrziała w tę stronę i mrużąc oczy w słońcu, zobaczyła jakąś sylwetkę po drugiej stronie ulicy - mężczyzny z czarną bandaną na głowie, w ciemnozielonej kurtce, w cieniu kamienicy. Szedł w kierunku szkoły, ale zniknął za zaparkowaną dużą ciężarówką. W pierwszej chwili pomyślała w panice: przyszedł po nią człowiek z biblioteki. Ale nie, ten mężczyzna był czarny. Uspokojona zerknęła na tarczę swatcha. Trzeba wracać.

Tylko...

W rozpaczy pomyślała o spojrzeniach, jakie napotka. O wściekłych kumplach Kevina. O wystrojonych laskach, które będą się gapiły i śmiały.

Dowalić, dowalić suce...

Niech się śmieją. Kogo obchodzi, co myślą? Ważny jest tylko test.

d po dxx do potęgi n równa się n razy x do potęgi n minus jeden.

Ruszając w kierunku wejścia, zastanawiała się, czy Kevina zawieszą. A może usuną ze szkoły. Miała nadzieję, że tak.

d po dx...

W tym momencie usłyszała odgłos kroków na ulicy. Zatrzymała się i odwróciła. Nie widziała wyraźnie, kto to jest, bo oślepiały ją promienie słońca. Czy to ten czarny mężczyzna w zielonej kurtce szedł w jej stronę?

Kroki ucichły. Geneva zawróciła w kierunku szkoły, odsuwając od siebie wszystkie inne myśli i koncentrując się na pochodnej funkcji potęgowej.

...równa się n razy x do potęgi n minus jeden.

I znów usłyszała kroki, tym razem szybsze. Ktoś pędził prosto na nią. Nic nie widziała. Kto to? Uniosła rękę, chroniąc oczy przed ostrym słońcem.

I usłyszała wołanie detektywa Bella:

- Geneva! Nie ruszaj się!

Biegł do niej, a towarzyszył mu ktoś jeszcze - posterunkowy Pulaski.

- Co się stało? Dlaczego wyszłaś ze szkoły?

- Chciałam...

Niedaleko zahamowały z piskiem opon trzy radiowozy. Detektyw Bell spojrział w stronę ciężarówki, mrużąc oczy w słońcu.

- Pulaski! To on. Za nim, za nim!

Zobaczyli oddalającą się postać mężczyzny, którego przed chwilą ujrzała, tego w zielonej kurtce. Biegł alejką, lekko utykając.

- Idę. - Funkcjonariusz rzucił się w pogoń. Przecisnął się przez furtkę i zniknął w alejce, ruszając za mężczyzną. Po chwili na boisku pojawiło się sześciu policjantów, którzy otoczyli półkolem Geneve i detektywa.

- Co się dzieje? - spytała dziewczyna.

Popędzając ją w stronę radiowozów, Bell wyjaśnił, że właśnie dostali wiadomość od agenta FBI Dellraya, który pracował z panem Rhyme'em. Jeden z jego informatorów dowiedział się, że rano jakiś człowiek wypytywał o Geneve w Harlemie, próbując ustalić, do której szkoły chodzi i gdzie mieszka. Afroamerykanin ubrany w ciemnozieloną kurtkę wojskową. Kilka lat temu został aresztowany pod zarzutem morderstwa, a teraz był uzbrojony. Napastnik z muzeum był biały i mógł nie znać za dobrze Harlemu, dlatego pan Rhyme doszedł do wniosku, że postanowił skorzystać z pomocy współnika dobrze znającego dzielnicę. Kiedy detektyw Bell się o tym dowiedział, wszedł po nią do klasy i zobaczył, że wymknęła się tylnym wyjściem. Ale pilnowała jej Jonette Monroe, zakonspirowana policjantka, i wyszła za nią ze szkoły. To ona zawiadomiła policję, gdzie jest Geneva.

Detektyw oświadczył, że muszą natychmiast jechać do pana Rhyme'a.

- Ale mój test...

- Żadnych testów i żadnej szkoły, dopóki nie złapiemy tego faceta - odrzekł stanowczo Bell. - Bez gadania, idziemy.

Wściekła z powodu zdrady Kevina, wściekła, że została wciągnięta w tę okropną historię, skrzyżowała ręce na piersi.

- Muszę iść na test.

- Geneva, nie masz pojęcia, jaki umiem być uparty. Zamierzam utrzymać cię przy życiu i jeżeli trzeba cię będzie zanieść do samochodu, bądź pewna, że to zrobię. - Jego ciemne oczy, dotąd tak poczciwe, spoglądały na nią twardo i surowo.

- No dobrze - mruknęła.

Poszli w stronę samochodów, a detektyw cały czas się rozglądał, skupiając się na ocienionych punktach ulicy. Zauważyła, że trzyma rękę przy boku. Blisko broni. Po chwili dobiegł do nich jasnowłosy posterunkowy.

- Zgubiłem go - wydyszał, łapiąc oddech. - Przepraszam. Bell westchnął.

- Rysopis?

- Czarny, metr osiemdziesiąt wzrostu, mocno zbudowany. Utykał. Czarna chustka na głowie. Nie ma zarostu. Pod czterdziestkę.

- Geneva, widziałaś coś jeszcze? Ponuro pokręciła głową.

- Dobra, zabierajmy się stąd - powiedział Bell.

Geneva wsiadła na tylne siedzenie jego forda, a obok niej zajął miejsce jasnowłosy posterunkowy. Ze szkoły wybiegła psycholog, z którą wcześniej rozmawiali, pani Barton. Miała zaniepokojoną minę.

- Detektywie, o co chodzi?

- Musimy zabrać stąd Geneve. Zdaje się, że był tu jeden z ludzi, którzy chcą ją skrzywdzić. Może nawet jeszcze jest.

Postawna kobieta rozejrzała się, marszcząc brwi.

- Tutaj?

- Nie wiemy na pewno. Mówię, że to możliwe. Lepiej dmuchać na zimne. Chyba był tu jakieś pięć minut temu - dodał detektyw. - Afroamerykanin, dość wysoki. W zielonej kurtce wojskowej i z czarną bandaną na głowie. Gładko ogolony. Utykał. Był po drugiej stronie boiska, obok tej dużej ciężarówki. Może pani wypytać uczniów i nauczycieli, czy go znają albo czy coś widzieli?

- Oczywiście.

Poprosił ją jeszcze, aby sprawdziła, czy nie zarejestrowała go któraś z kamer zamontowanych wokół szkoły. Wymienili numery telefonów, po czym detektyw usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

- Wszyscy zapiąć pasy. To nie będzie spacer.

Ledwie Geneva zdążyła zatrzasnąć zaczep pasa, policjant wdusił pedał gazu i wystartowali slalomem przez nierówne ulice Harlemu, a szkoła imienia Langstona Hughesa - jej ostatni bastion rozsądku i pociechy - szybko zniknęła im z oczu.

Kiedy Amelia Sachs i Lon Sellitto segregowali dowody zebrane w kryjówce przy Elizabeth Street, Rhyme zastanawiał się, kim może być współnik NS 109 - mężczyzna, któremu udało się dostać cholernie blisko Genevy.

Możliwe, że sprawca wysłał tego człowieka tylko w charakterze zwiadowcy, chociaż biorąc pod uwagę przeszłość byłego skazańca i fakt, że był uzbrojony, należało przypuszczać, że on także był gotów zabić. Rhyme miał nadzieję, że mężczyzna zostawił jakiś dowód przy szkolnym boisku, ale niestety - zespół kryminalistyczny dokładnie przeszukał teren i nic nie znalazł. Patrol także nie odnalazł świadków, którzy zauważyli mężczyznę na ulicy lub widzieli, jak uciekał. Może...

- Cześć, Lincoln - powiedział jakiś męski głos.

Rhyme zaskoczony uniósł wzrok i zobaczył barczystego, czterdziestokilkuletniego mężczyznę. Miał krótko przycięte siwe włosy, z grzywką nad czołem, i był ubrany w kosztowny ciemnoszary garnitur.

- Witam, doktorze. Nie słyszałem dzwonka.

- Thom był przed domem. Wpuścił mnie.

Robert Sherman, lekarz nadzorujący fizykoterapię Rhyme'a, prowadził klinikę specjalizującą się w pracy z pacjentami z urazem rdzenia kręgowego. To on opracował dla Rhyme'a reżim obejmujący ćwiczenia na rowerze i bieżni do treningu lokomotorycznego, a także hydroterapię i tradycyjne bierne ćwiczenia kończyn wykonywane przez Thoma.

Doktor przywitał się z Sachs, po czym obrzucił krótkim spojrzeniem laboratorium, zauważając niezwykle ruch. Z punktu widzenia terapeuty cieszył się, że Rhyme ma zajęcie. Często mówił, że jeśli pacjent ma coś do roboty, zwiększa się jego motywacja i siła woli (choć z przekąsem radził Rhyme'owi, by raczej unikał sytuacji, w których groziłoby mu na przykład spalenie żywcem, do czego o mały włos nie doszło przy niedawnej sprawie).

Lekarz był utalentowany, sympatyczny i diablo inteligentny. Ale Rhyme nie miał dla niego czasu, odkąd się dowiedział, że na życie Genevy dybie dwóch uzbrojonych ludzi. Powitał medyka z pewnym roztargnieniem.

- Rejestratorka powiedziała, że odwołałeś dzisiejszą wizytę. Byłem ciekaw, czy nic się nie stało. Równie dobrze mógł to sprawdzić przez telefon, pomyślał kryminalistyk.

Ale wówczas nie mógłby wyrzucić na Rhyme'a takiej samej presji, by jednak poddał się badaniom, jak w rozmowie twarzą w twarz.

I Sherman istotnie zamierzał go naciskać. Chciał wiedzieć, czy plan ćwiczeń przynosi skutki. Nie tylko ze względu na pacjenta, ale także po to, by włączyć tę informację do prowadzonych przez siebie badań.

- Nie, wszystko w porządku - odrzekł Rhyme. - Po prostu trafiła się nam sprawa. - Wskazał głową na tablicę z dowodami. Sherman spojrzał na nią.

Thom wsadził głowę w drzwi.

- Doktorze, napije się pan kawy? Albo czegoś zimnego?

- Och, nie będziemy zajmować cennego czasu pana doktora - powiedział szybko Rhyme. - Skoro się uspokoił, że nic się nie stało, na pewno będzie chciał...

- Sprawa? - spytał Sherman, wciąż patrząc na tablicę. Po chwili milczenia Rhyme odrzekł szorstkim tonem:

- Dość trudna. Namierzamy bardzo niebezpiecznego człowieka. Właśnie próbowaliśmy go złapać, kiedy nam pan przeszkodził. - Rhyme nie miał ochoty ustępować ani na jotę i nie przeprosił za nieuprzejmość. Ale lekarze i terapeuci mający do czynienia z pacjentami z uszkodzonym rdzeniem dobrze znają towarzyszące chorobie przypadłości: złość, drażliwość i niewyparzone języki. Shermana zupełnie nie zraziło zachowanie Rhyme'a. Lekarz uważnie patrzył na swojego pacjenta, odpowiadając Thomowi:

- Nie, dziękuję. Zaraz muszę wyjść.

- Na pewno? - Asystent wskazał brodą Rhyme'a. - Nim proszę się nie przejmować.

- Naprawdę dziękuję, Thom.

Ale mimo że nie chciał niczego się napić, mimo że zaraz musiał wyjść, jakoś nie zbierał się do wyjścia. A nawet drań wziął sobie krzesło i usiadł.

Sachs zerknęła na Rhyme'a. Ten odpowiedział jej bezradnym spojrzeniem i odwrócił się tyłem do doktora, który przysunął się z krzesłem bliżej. Potem pochylił się i szepnął:

- Lincoln, od miesiący wykręcasz się od badań.

- Mamy urwanie głowy. Pracujemy nad czterema sprawami, a teraz już pięcioma. Może pan sobie wyobrazić, jakie to czasochłonne... A przy okazji fascynujące. To wyjątkowe przypadki. - Miał nadzieję, że lekarz zapyta o szczegóły, dzięki czemu mogliby przynajmniej zmienić temat rozmowy.

Nadzieje okazały się oczywiście płonne. Specjaliści od urazów rdzenia kręgowego nigdy nie połykają haczyka. Znają podobne wybiegi na wylot.

- Pozwól, że coś ci powiem - rzekł Sherman.

A czy mogę ci zabronić? - pomyślał kryminalistyk.

- Ćwiczysz najintensywniej ze wszystkich moich pacjentów. Wiem, że masz opory przed badaniem, bo się boisz, że praca nie przyniosła żadnych efektów. Mam rację?

- Niezupełnie, doktorze. Po prostu jestem zajęty.

Jak gdyby nie słysząc, co Rhyme powiedział, Sherman ciągnął:

- Wiem, że badanie potwierdzi znaczną poprawę stanu ogólnego i funkcjonowania organizmu.

Rhyme uznał, że lekarski język może być równie irytujący jak język gliniarzy.

- Mam nadzieję - odparł. - Ale nawet jeżeli nie, proszę mi wierzyć, że to nie ma znaczenia. Jest poprawa gęstości kości i masy mięśniowej... płuca i serce pracują lepiej. Na niczym innym mi nie zależy. Na zdolności motorycznej nie.

Sherman przyjrzał mu się od stóp do głów.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście. - Rozejrzał się po pokoju i ścisząc głos, dodał: - Dzięki ćwiczeniom nie zacznę przecież chodzić.

- Nie, rzeczywiście nie zaczniesz.

- To po co mi poprawa czucia w małym palcu u nogi? To bez sensu. Będę dalej ćwiczył, zachowam jak najlepszą formę i kiedy wymyślicie jakiś cudowny przeszczep albo klon, będę mógł od razu zacząć chodzić.

Lekarz uśmiechnął się i klepnął Rhyme'a w nogę - czego kryminalistyk i tak nie mógł poczuć. Sherman skinął głową.

- Cieszę się, że to mówisz, Lincoln. Największy kłopot z pacjentami polega na tym, że dają za wygraną, kiedy się przekonują, że ćwiczenia i ciężka praca nie bardzo poprawiają im życie. Chcą wielkich wygranych i magicznych leków. Nie zdają sobie sprawy, że taką wojnę wygrywa się tylko małymi zwycięstwami.

- Ja chyba już wygrałem. Doktor wstał.

- Mimo to chciałbym zrobić te testy. Potrzebujemy danych.

- Kiedy tylko... hej, Lon, słuchasz? Alarm frazeologiczny! Kiedy tylko zapniemy wszystko na ostatni guzik.

Sellitto, który nie miał pojęcia albo nie słuchał, o czym mówi Rhyme, spojrzał na niego szklanym wzrokiem.

- Dobrze - rzekł Sherman i podszedł do drzwi. - Powodzenia w sprawie.

- Jesteśmy dobrej myśli - odparł wesoło Rhyme.

Kiedy człowiek od małych zwycięstw opuścił dom, Rhyme natychmiast odwrócił się do tablic z dowodami.

Sachs odebrała telefon, wysłuchała wiadomości i po chwili odłożyła słuchawkę.

- Bo Haumann. Chodzi o jego ludzi z oddziału. Tych, których poraził prąd. Pierwszy ma parę paskudnych oparzeń, ale będzie żył. Drugi właśnie wyszedł ze szpitala.- Dzięki Bogu - powiedział Sellitto z ogromną ulgą. - Kurczę, to musiało być straszne. Tyle woltów przepuścić przez człowieka. - Na moment zamknął oczy. - Oparzenia. No i zapach. Jezu. Dosłownie spaliło mu włosy... Wyślę mu coś. Nie, lepiej sam zaniosę mu jakiś prezent. Może kwiaty. Jak myślicie, chciałby dostać kwiaty?

Taka reakcja, podobnie jak wcześniejsze zachowanie, była zupełnie nie w stylu Sellitta.

Gliniarze odnosili rany, gliniarze ginęli i każdy w służbie musiał się jakoś z tą prawdą pogodzić. Wielu mówiło: „Dzięki ci, Boże, że żyje”, zęgnęło się znakiem krzyża i biegło do najbliższego kościoła zmówić dziękczynną modlitwę. Ale Sellitto kiwał po prostu głową i wracał do roboty. Nigdy nie zachowywał się tak jak dziś.

- Nie mam pojęcia - powiedział Rhyme. *Kwiaty?*

Mel Cooper zawołał: - -

- Lincoln, mam na linii kapitana Neda Seely'ego.

Technik dzwonił wcześniej do Texas Rangers w sprawie morderstwa w Amarillo, które według raportu z „VTCAP” wyglądało podobnie do napaści w muzeum.

- Przełącz na głośnik.

Kiedy Cooper spełnił prośbę, Rhyme powiedział:

- Halo, kapitanie?

- Tak? - odpowiedział głos z teksańskim akcentem. - Pan Rhyme?

- Zgadza się.

- Dostałem prośbę od pańskiego współpracownika w sprawie Charliego Tuckera. Wyciągnąłem papiery, ale niewiele tego jest. Myśli pan, że ten sam gość wam miesza?

- Sposób działania był podobny do zdarzenia, jakie mieliśmy dzisiaj rano. Sprawca miał buty tej samej marki i takie samo starcie protektora. I zostawił lipne dowody, żeby nas zmylić, podobnie jak zostawił świece i okultystyczne znaki po morderstwie Tuckera. Aha, i nasz ma południowy akcent. Kilka lat temu było podobne zabójstwo w Ohio. Na zlecenie.

- Czyli waszym zdaniem ktoś wynajął tego gościa, żeby zabił Tuckera?

- Być może. Kto to był?

- Tucker? Zwyczajny facet. Wtedy właśnie odszedł na emeryturę z więziennictwa. Szczęśliwie żonaty, ojciec i dziadek. Nigdy nie pakował się w żadne kłopoty. Regularnie chodził do kościoła.

Rhyme zmarszczył brwi.

- Co robił w więzieniach?

- Był strażnikiem. W naszym zakładzie o zastrzonym rygorze w Amarillo... Hm, sądzi pan, że któryś z więźniów wynajął kogoś z powodu jakiegoś zajścia w pudle? Za jakieś znęcanie się nad więźniem czy coś z tych rzeczy?

- Możliwe - odparł Rhyme. - Czy Tucker otrzymał kiedyś nagane?

- W aktach nic takiego nie ma. Może spróbuje się pan dowiedzieć w więzieniu.

Rhyme poprosił go o nazwisko naczelnika zakładu, w którym pracował Tucker, a potem powiedział:

- Dzięki, kapitanie.

- Nie ma sprawy. Miłej pracy.

Kilka minut później Rhyme rozmawiał z naczelnikiem J. T. Beauchampem z Północnoteksańskiego Zakładu Karnego o Zaostrzonych Środkach Bezpieczeństwa w Amarillo. Przedstawił się i poinformował rozmówcę, że pracuje w Departamencie Policji Nowego Jorku.

- Proszę posłuchać, panie naczelniku...

- J.T.

- Zgoda, J. T. - Rhyme wyjaśnił mu sytuację.

- Charlie Tucker? Jasne, nasz strażnik, którego zamordowali. Lincz czy coś. Nie było mnie tu wtedy. Tucker odszedł na emeryturę, zanim się przeprowadziłem z Houston. Wyciągnę jego akta. Proszę zaczekać. - Po chwili naczelnik znów się odezwał. - Mam je przed sobą. Nie, nie ma na niego oficjalnych skarg, tylko od jednego więźnia. Powiedział, że Charlie nieźle dawał mu w kość. Kiedy Charlie nie przestał, doszło do małej awantury.

- To może być on - zauważył Rhyme.

- Tylko że tydzień później wykonano na nim egzekucję. A Charliego zabili dopiero po roku.

- Ale może Tucker pokłócił się z innym więźniem, który wynajął kogoś, żeby wyrównać rachunki.

- Możliwe. Ale wynajmować zawodowca? Za bardzo wymyślne jak na nasze towarzystwo.

Rhyme był skłonny przyznać mu rację.

- Wobec tego w grę może wchodzić sam więzień. Wyszedł, załatwił Tuckera, a potem upozorował rytualny mord. Mógłby pan wypytać innych strażników i personel? Chodziłoby o białego mężczyznę, czterdzieści kilka lat, średniej budowy ciała, jasnobrązowe włosy. Prawdopodobnie wyrok za jakieś brutalne przestępstwo. I prawdopodobnie został zwolniony albo uciekł...

- Stąd się nie ucieka - wtrącił naczelnik.

- Dobrze, więc zwolniony niedługo przed śmiercią Tuckera. Tylko tyle wiemy. Aha, jeszcze zna się na broni i nieźle strzela.

- To nic nie pomoże. Tu jest Teksas. - J. T. zachichotał.

- Mamy jego komputerowy portret pamięciowy - ciągnął Rhyme. - Wyślemy panu e-mailem. Mogłby pan poprosić kogoś, żeby porównał go ze zdjęciami zwolnionych więźniów?

- Jasne, zajmie się tym dziewczyna od nas. Ma niezłe oko. Ale to może potrwać. Mamy tu duży ruch. - Podał adres elektroniczny i zakończyli rozmowę. W tej samej chwili przyjechali Geneva, Bell i Pulaski.

Bell opowiedział o ucieczce współnika sprawcy spod szkoły. Dodał kilka szczegółów rysopisu i poinformował, że poprosił kogoś o wypytanie uczniów i nauczycieli i sprawdzenie, czy na taśmie rejestrującej obraz z kamer wokół szkoły zachował się jakiś ślad.

- Nie napisałam ostatniego testu - oświadczyła naburmuszona Geneva, jak gdyby była to wina Rhyme'a. Dziewczyna mogła wytrącić człowieka z równowagi, mimo to kryminalistyk odrzekł łagodnie:

- Mam dla ciebie wiadomość, która powinna cię zainteresować. Twój przodek przeżył skok do Hudsonu.

- Naprawdę? - Rozpogodziła się i z przejęciem przeczytała wydruk artykułu z 1868 roku. Po chwili zmarszczyła brwi. - Piszą o nim, jakby wszystko od początku zaplanował. Na pewno tak nie było. Wiem, że nie. - Uniosła głowę. - Ale ciągle nie mamy pojęcia, co się z nim działo potem, jeżeli w ogóle zwolnili go z więzienia.

- Wciąż szukamy informacji. Mam nadzieję, że dowiemy się czegoś więcej.

Odezwał się komputer i Cooper zerknął na ekran.

- Może właśnie coś dostaliśmy. Przyszedł e-mail od profesora z Amherst, która prowadzi stronę internetową o historii afroamerykańskiej. Wysłałem do niej pytanie o Charlesa Singletona.

- Czytaj.

- To fragmenty z dziennika Fredericka Douglassa.

- Kto to był? - odezwał się Pulaski. - Przepraszam, pewnie powinienem wiedzieć. Mamy jego ulicę i tak dalej.

- Były niewolnik - wyjaśniła Geneva. - Abolicjonista i przywódca ruchu na rzecz praw obywatelskich w dziewiętnastym wieku. Pisarz i wykładowca.

Nowy spłonął rumieńcem.

- No właśnie, powinienem wiedzieć.

Cooper pochylił się nad monitorem i zaczął czytać.

- „Trzeci maja, tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego roku. Kolejny wieczór w Gallows Heights...”.

- Aha - przerwał mu Rhyme. - W naszej tajemniczej dzielnicy. - Na dźwięk nazwy znów przypomniał sobie Wisielca - spokojną twarz postaci wiszącej głową w dół na szafocie. Przelotnie zerknął na kartę, po czym odwrócił się z powrotem do Coopera.

- „...poświęcony dyskusjom nad naszym arcyważnym przedsięwzięciem, Czternastą Poprawką. Kilku członków nowojorskiej społeczności kolorowych i ja spotkaliśmy się, *inter alia*, z czcigodnym gubernatorem Fentonem i przedstawicielami Komisji Wspólnej do spraw Rekonstrukcji, wśród których byli senatorowie Harris, Grimes i Fessenden oraz kongresmani Stevens i Washburne, a także demokrata Andrew T. Rogers, który okazał się daleko mniej stronniczy, niż się obawialiśmy.

Gubernator Fenton rozpoczął od poruszającej inwokacji, po której przystąpiliśmy do obszernej prezentacji członkom komisji swoich opinii na temat różnych wersji projektów poprawki. (Pan Charles Singleton w szczególnie wymowny sposób przedstawił pogląd, iż w poprawce winien się znaleźć warunek o powszechnym prawie wyborczym dla wszystkich obywateli, Murzynów i białych, kobiet i mężczyzn, co członkowie komisji zgodzili się wziąć pod rozwagę). Debata toczyła się do późnej nocy”.

Geneva spojrzała nad jego ramieniem w monitor.

- „W szczególnie wymowny sposób” - powtórzyła szeptem. - I chciał prawa głosu dla kobiet.

- Jest jeszcze jeden wpis - rzekł Cooper.

- „Dwudziesty piąty czerwca tysiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego roku. Niepokojem napawa mnie wolny bieg spraw. Już rok temu przedstawiono stanom do ratyfikacji Czternastą Poprawkę i dwadzieścia dwa w stosownym czasie udzieliły jej aprobaty. Musi to uczynić jeszcze sześć, ale tam napotykamy zacięty opór.

Willard Fish, Charles Singleton i Elijah Walker podróżują po niezdecydowanych stanach i robią co w ich mocy, aby przekonać legislatorów do głosowania za przyjęciem poprawki. Jednakże na każdym kroku natrafiają na ignorancję ludzi, którzy nie potrafią pojąć ogromnej mądrości tego prawa - spotykają się także z pogardą, pogrózkami i gniewem. Tyle poświęceń, a tak daleko do osiągnięcia celu... Czyżby wygrana wojenna miała się okazać pyrrusowym zwycięstwem? Modlę się, by nie zaginęła w tym sprawa naszego ludu, nasze największe dzieło”. - Cooper uniósł wzrok znad ekranu. - To wszystko.

- Czyli Charles pracował z Douglasssem i innymi nad Czternastą Poprawką - powiedziała Geneva. - Chyba byli przyjaciółmi.

Czy rzeczywiście? - zastanawiał się Rhyme. Może w artykule napisano prawdę i Singleton wkradł się do tego grona tylko po to, by zdobyć informacje o funduszu wyzwoleńców i go obrabować?

Mimo że Lincoln Rhyme w każdym śledztwie dążył tylko do odkrycia prawdy, w głębi duszy żywił nadzieję, że Charles Singleton nie popełnił przestępstwa.

Patrzył na tablicę dowodów, dostrzegając więcej znaków zapytania niż odpowiedzi.

- Geneva, mogłabyś zadzwonić do ciotki? Zapytaj, czy nie znalazła innych listów albo czegośkolwiek innego o Charlesie.

Dziewczyna zadzwoniła do kobiety, która mieszkała z ciotką Lilly. Nikt nie odbierał, ale zostawiła wiadomość z prośbą o telefon pod numer Rhyme'a. Potem wykręciła inny numer. Jej oczy rozbłysły.

- Mama! Jesteście już w domu?

Dzięki Bogu, pomyślał Rhyme. Nareszcie wrócili jej rodzice. Ale po chwili twarz dziewczyny spochmurniała.- Nie... Co się stało?... Kiedy?

Rhyme odgadł, że jednak coś ich zatrzymało. Geneva poinformowała matkę o najnowszych wydarzeniach i uspokoiła ją, że jest bezpieczna i opiekuje się nią policja. Następnie przekazała słuchawkę Bellowi, który dość długo rozmawiał z jej matką, wyjaśniając sytuację. Na koniec Geneva pożegnała się z nią i ojcem i bez entuzjazmu odłożyła słuchawkę.

- Utknęli w Londynie - powiedział Bell. - Lot został odwołany i dzisiaj nie ma już żadnego połączenia. Wylecą jutro rano jak najwcześniej do Bostonu, a potem najbliższym samolotem tutaj.

Geneva wzruszyła ramionami, lecz Rhyme widział w jej oczach rozczarowanie.

- Lepiej będzie, jak wrócę do domu - powiedziała. - Mam dużo zadane.

Bell skontaktował się ze swoją brygadą specjalną i wujem Genevy. Podobno wszystko było w porządku.

- Nie pójdziesz jutro do szkoły?

Chwila wahania. Grymas. Czyżby szykowała się kolejna bitwa? Nagle odezwał się czyjś głos. To był Pulaski, nowy.

- Pomyśl, że nie chodzi już tylko o ciebie. Gdyby ten facet w wojskowej kurtce podszedł blisko i zaczął strzelać, mógłby zranić albo zabić innych uczniów. Kiedy będziesz w tłumie ludzi w szkole albo na ulicy, może spróbować jeszcze raz.

Z jej miny Rhyme wywnioskował, że jego słowa poskutkowały. Może przypomniawszy sobie o śmierci doktora Barry'ego. *Czyli zginął przeze mnie...*

- Zgoda - powiedziała cicho. - Zostanę w domu. Bell skinął głową.

- Dzięki. - Posłał nowemu pełne wdzięczności spojrzenie. Detektyw i Pulaski wyszli razem z

dziewczyną, a pozostali wrócili

do analizy dowodów znalezionych w kryjówce podejrzanego.

Rhyme denerwował się, że jest ich tak niewiele. Na szkicu okolicy muzeum afroamerykańskiego, który Sachs znalazła pod łóżkiem, nie było żadnych odcisków palców. Sporządzono go na zwykłym papierze, takim, jaki można kupić w każdym sklepie Staples albo Office Depot. Tusz był tani i nie do wykrycia. Rysunek bardziej szczegółowo przedstawiał alejki i budynki po drugiej stronie ulicy niż samo muzeum; Rhyme przypuszczał, że miała to być mapa drogi ucieczki. Ale Sachs dokładnie sprawdziła te miejsca, a detektywi przesłuchali potencjalnych świadków w domu jubilerskim i innych budynkach uwzględnionych na planie.

Znów znaleźli bawełniane włókna - jak podejrzewali, fragmenty sznura.

Cooper sprawdził kawałek mapy w chromatografie, ale jedyną substancją w papierze był czysty węgiel.

- Węgiel drzewny z jakiegoś stoiska na festynie? - zastanawiał się.

- Być może - odrzekł Rhyme. - Albo na przykład ślad po spaleniu dowodów. Zapiszcie na tablicy. Może później znajdziemy jakiś trop.

Na mapie były także okruchy i plamy - jak się okazało, resztki jedzenia: jogurt, mielona ciecierzycyca, czosnek i olej kukurydziany.

- Falafel - orzekł Thom, wytrawny kucharz i smakosz. - Z Bliskiego Wschodu. Często podawany z jogurtem. Bardzo pożywny, nawiasem mówiąc.

- I wyjątkowo popularny - dodał kwaśno Rhyme. - Na samym Manhattanie sprzedają go w blisko dwóch tysiącach miejsc, nie sądzicie? Do diabła, co jeszcze mamy?

W drodze powrotnej Sachs i Sellitto wstąpili do biura nieruchomości zarządzającego budynkiem przy Elizabeth Street i uzyskali informacje na temat najemcy mieszkania. Kobieta w biurze powiedziała im, że lokator zapłacił gotówką za trzy miesiące, a za następne dwa miesiące wpłacił kaucję, którą kazał jej zatrzymać. (Niestety, pieniądze zostały wydane i nie można ich było poddać analizie daktyloskopijnej). Najemca przedstawił się jako Billy Todd Hammil, wcześniej mieszkający na Florydzie. Portret pamięciowy odpowiadał rysopisowi lokatora, który podpisywał umowę, ale najemca nosił czapkę baseballową i okulary. Kobieta potwierdziła, że mówił z południowym akcentem.

W bazach danych znaleźli stu siedemdziesięciu trzech Billych Toddów Hammilów, którzy przebywali w kraju w ciągu ostatnich pięciu lat. Żaden z białych między trzydziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem życia nie mieszkał w okolicach Nowego Jorku. Ci z Florydy byli albo starsi, albo mieli po dwadzieścia kilka lat. Czterech Billych Toddów było notowanych: trzech nadal siedzieli w więzieniu, a jeden zmarł sześć lat temu.

- Wyciągnął sobie nazwisko z kapelusza - mruknął Rhyme. Spojrzał na komputerowy portret

pamięciowy.

Kim jesteś, NS 109? I gdzie jesteś?

- Mei, wyślij portret do J. T.

- Do kogo?

- Do naszego równiacy z Amarillo. - Ruchem głowy wskazał portret. - Ciągłe skłanianie się ku teorii, że to może być więzień, który miał na pieńku z tym zlinczowanym strażnikiem.

- Jasne - powiedział Cooper. Gdy wysłał wiadomość, wziął próbkę płynu znalezionego przez Sachs w kryjówce sprawcy, ostrożnie otworzył pojemnik i umieścił ją w chromatografie.

Po krótkiej chwili na ekranie wyświetlił się wynik.

- Nie znam niczego takiego. Alkohol poliwinylowy, poliwinylpirolidon, chlorek benzalkonium, dekstroza, chlorek potasu, woda, wodorowęglan sodu, chlorek sodu...

- Znowu sól - wtrącił Rhyme. - Ale tym razem to nie popcorn.

- Jeszcze cytrynian sodu i fosforan sodu. I parę innych rzeczy.- Dla mnie to pieprzona czarna magia. - Sellitto wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz, gdzie skręcił w stronę łazienki.

Cooper wskazał listę składników.

- Nie wiesz, co to może być? Rhyme pokręcił głową.

- A w naszej bazie?

- Nic.

- Wyślij do Waszyngtonu.

- Robi się. - Technik przesłał informacje do laboratorium FBI, po czym skupił się na ostatnim dowodzie znalezionym przez Sachs: drobinach drewna zeszkobanych z poplamionego blatu biurka. Cooper przygotował próbkę i włożył do chromatografu.

Kiedy czekali na wynik analizy, Rhyme przebiegł wzrokiem tablicę dowodów. Przeglądając kolejne pozycje, kątem oka dostrzegł jakiś szybki ruch. Zaskoczony obejrzał się w tę stronę. Ale w tej części laboratorium nikogo nie było. Co to takiego?

Po chwili ruch się powtórzył i Rhyme zrozumiał, że widzi odbicie w szklanym froncie szafki. To był Lon Sellitto, który stał w korytarzu, sądząc, że nikt go nie widzi. Detektyw ćwiczył szybkie wyciąganie broni. Rhyme nie widział dokładnie jego twarzy, ale zdawało mu się, że na twarzy Lona maluje się wyraz dziwnej udręki.

Co jest grane?

Kryminalistyk pochwycił spojrzenie Sachs i milcząco wskazał głową drzwi. Podeszła do drzwi i wyrzwała, przyglądając się przez chwilę, jak detektyw kilka razy wyszarpuje rewolwer z kabury i chowa, a potem z niezadowoleniem kręci głową. Sachs wzruszyła ramionami. Mniej więcej po czterech minutach Sellitto schował broń, wszedł do łazienki i nie zamykając drzwi, spuścił wodę, po czym wrócił do laboratorium.

- Jezu, Linc, kiedy zamontujesz sobie jakiś lepszy kibel? Zdaje się, że czarny z żółtym wyszły z mody w latach siedemdziesiątych.

- Na razie nie urządzam żadnych spotkań w toalecie.

Gruby detektyw roześmiał się, ale zbyt głośno. Śmiech, podobnie jak poprzednia uwaga, zabrzmiał sztucznie.

Rhyme zapomniał jednak w jednej chwili o troskach Sellitta, kiedy na ekranie komputera pojawił się wynik analizy chromatograficznej. Zmarszczył brwi. Według urządzenia substancją, której plamy znaleziono na biurku podejrzanego, był czysty kwas siarkowy. Rhyme uznał tę wiadomość za szczególnie niedobłą. Po pierwsze, z punktu widzenia klasyfikacji dowodowej, kwas był łatwo dostępny, a więc wytropienie źródła pochodzenia graniczyło z niemożliwością.

Bardziej niepokoił go jednak fakt, że był to chyba najsilniejszy i najniebezpieczniejszy kwas, jaki można kupić; gdyby użyto go jako broni, nawet najmniejsza ilość potrafiłaby zabić lub doprowadzić do trwałych zniekształceń w ciągu kilku sekund.

MIEJSCE:

KRYJÓWKA PRZY ELIZABETH STREET

Pułapka - drzwi pod wysokim napięciem.

Odciski palców: brak. Tylko odciski rękawiczek.

Kamera i monitor: brak tropów.

Talia tarota bez dwunastej karty: brak tropów.

Mapa z planem muzeum, gdzie zaatakowano G. Settle, i z planem budynków po drugiej stronie ulicy.

Ślady:

Falafel i jogurt.

Na biurku ślady czystego kwasu siarkowego.

Bezbarwny płyn, niewybuchowy. Przesłany do FBI.

Kolejne włókna sznura. Pętla?

W papierze mapy czysty węgiel.

Mieszkanie wynajęte za gotówkę przez Billy'ego Todda Hammila. Rysopis pasuje do portretu NS 109, brak tropów do konkretnego Hammila.

MIEJSCE:

MUZEUM AFROAMERYKAŃSKIE

Zestaw gwałciciela:

Karta tarota, dwunasta z talii, Wisielec, oznaczająca duchowe poszukiwania.

Torebka z uśmiechniętą buzią - producent nie do wykrycia.

Składany nóż.

Prezerwatywy Trojan.

Taśma izolacyjna.

Zapach jaśminu.

Nieznany przedmiot za 5,95 dol. Prawdopodobnie wełniana czapka.

Z paragonu wynika, że sklep był w Nowym Jorku, wielobranżowy lub drogeria.

Zakupy najprawdopodobniej zrobiono w sklepie na Mulberry Street w Little Italy. NS zidentyfikowany przez sprzedawczynię.

Odciski palców:

NS miał lateksowe lub winylowe rękawiczki.

Odciski na zestawie należały do osoby o małych dłoniach, brak danych w IAFIS. Przepuszczalnie odciski sprzedawczynie.

Ślady:

Bawełniane włókna sznura, część ze śladami ludzkiej krwi. Pętla?

Brak producenta.

Przesłany do CODIS.

Brak profilu DNA w CODIS.

Popcorn i wata cukrowa ze śladami psiego moczu.

Broń:

Drewniana pałka lub broń używana w sztukach walki.

North American Arms.22, amunicja magnum bocznego zapłonu, black widów lub mini-master.

Pociski własnej roboty, wydrążone i wypełnione igłami. Brak danych w IBIS i DRUGFIRE.

Motyw:

Nieznany. Gwałt prawdopodobnie upozorowany.

Prawdziwym motywem mogła być kradzież mikrofizyki z numerem czasopisma „Coloreds’ Weekly Illustrated” z 23 lipca 1868 r. i z nieznanymi powodami próba zabójstwa G. Settle czytającej artykuł. Artykuł dotyczył jej przodka, Charlesa Singletona (patrz dołączona tablica).

Bibliotekarz (ofiara) twierdził, że o artykuł pytał ktoś jeszcze.

Prośba o biling telefonów bibliotekarza w celu sprawdzenia tej informacji.

Wywiad wśród pracowników w sprawie osoby pytającej o artykuł.

Brak tropów.

Poszukiwanie kopii artykułu.

Kilka źródeł podaje, że ktoś prosił o ten sam artykuł. Nic na temat tożsamości sprawcy. Większości numerów czasopisma nie ma lub uległy zniszczeniu.

Znaleziono jeden egzemplarz (patrz dołączona tablica).

Wniosek: G. Settle przypuszczalnie nadal grozi niebezpieczeństwo.

Profil zdarzenia przesłany do VICAP i NCIC.

Morderstwo w Amarillo w Teksasie, pięć lat temu. Podobny sposób działania - upozorowane miejsce zbrodni (inscenizacja rytualnego mordy, prawdziwy motyw nieznanym).

Ofiarą był emerytowany strażnik więzienny.

Portret pamięciowy NS przesłany do więzienia w Teksasie.

Morderstwo w Ohio, trzy lata temu. Podobny sposób działania - upozorowane miejsce zbrodni (inscenizacja gwałtu, prawdziwy motyw to przypuszczalnie morderstwo na zlecenie). Brak akt.

PROFIL NS 109

Biały mężczyzna.

Wzrost 180 cm, waga 80 kg.

Głos zwyczajny.

Użył telefonu komórkowego, żeby podejść blisko ofiary.

Nosi trzyletnie lub starsze buty turystyczne Bass, rozmiar 11, jasnobrązowe. Prawa stopa lekko wykręcona na zewnątrz.

Zapach jaśminu.

Ciemne spodnie.

Kominiarka, ciemna.

Aby zabić swoje ofiary i uciec, atakuje niewinne osoby.

Najprawdopodobniej płatny morderca.

Przypuszczalnie były więzień z Amarillo, Teksas.

Mówi z południowym akcentem.

Ma krótko ostrzyżone, jasnobrązowe włosy, brak zarostu.

Nierzucający się w oczy.

Widziany w ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym.

PROFIL ZLECENIODAWCY NS 109

Brak informacji.

PROFIL WSPÓLNIKA NS 109

Czarny mężczyzna.

Wiek: około czterdziestki.

Wzrost: 180 cm.

Mocnej budowy ciała.

Ubrany w zieloną kurtkę wojskową.

Były skazaniec.

Utyka.

Podobno uzbrojony.

Gładko ogolony.

Na głowie czarna bandana.

Oczekiwanie na dodatkowe zeznania świadków i taśmy z kamer wokół szkoły.

PROFIL

CHARLESA SINGLETONA

Były niewolnik, przodek G. Settle. Żonaty, miał syna. Dostał od swojego pana sad w stanie Nowy Jork. Pracował także jako nauczyciel. Odegrał jakąś rolę w ruchu na rzecz praw obywatelskich.

W 1868 r. Charles rzekomo popełnił kradzież, o czym mówi artykuł na skradzionej mikrofiszce.

Podobno znał tajemnicę, być może związaną ze sprawą. Bał się, że jej ujawnienie wywoła tragedię.

Brał udział w spotkaniach w dzielnicy Nowego Jorku, Gallows Heights.

Zaangażowany w jakąś niebezpieczną działalność?

Pracował z Frederickiem Douglasssem i innymi na rzecz ratyfikacji XIV Poprawki do Konstytucji.

Przestępstwo według relacji w „Coloreds’ Weekly Illustrated”:

Charles aresztowany przez det. Williama Simmsa za kradzież dużej kwoty z Funduszu Wyzwoleńców w Nowym Jorku. Włamał się do sejfu, widziany przez świadka krótko po zdarzeniu. Niedaleko znaleziono jego narzędzia. Większą część pieniędzy odzyskano. Został skazany na pięć lat więzienia. Brak informacji o jego losach po wyroku skazującym. Przypuszczano, że uzyskał dostęp do funduszu dzięki powiązaniom z działaczami na rzecz praw obywatelskich.

Korespondencja Charlesa: List 1, do żony: na temat rozruchów związanych z poborem w 1863 r., fala wrogości przeciw czarnym w stanie Nowy Jork, lincze, podpalenie. Nieruchomości należące do czarnych znalazły się w niebezpieczeństwie.

List 2, do żony: Charles bierze udział w bitwie pod Appomattox pod koniec wojny secesyjnej.

List 3, do żony: zaangażowany w ruch na rzecz praw obywatelskich. Wskutek swojej działalności dostaje pogróżki. Martwi się ukrywaną tajemnicą.

Rozdział 17

Thompson Boyd szedł ulicą w „Queens i niósł torbę z zakupami i aktówkę. Nagle się zatrzymał. Udając, że patrzy w gazetę w automacie i martwi się sytuacją świata, dyskretnie zerknął za siebie.

Nikt go nie śledził, nikt nie zwracał uwagi na Pana Przeciętniaka.

Właściwie nie sądził, że mógłby mieć ogon, ale zawsze starał się minimalizować ryzyko. Kiedy człowiek zawodowo styka się ze śmiercią, nigdy nie powinien pozwalać sobie na chwilę nieostrożności; musiał być wyjątkowo czujny po tym, co się zdarzyło przy Elizabeth Street, gdy omal nie wpadł w ręce kobiety w bieli.

Zabiją cię jednym pocałunkiem...

Cofnął się na róg ulicy. Nie zauważył nikogo, kto dałby nura do budynku albo szybko się odwrócił. Uspokojony ruszył w dalszą drogę.

Zerknął na zegarek. Była już umówiona godzina. Podeszedł do budki telefonicznej i zadzwonił pod numer automatu na dolnym Manhattanie. Po jednym dzwonku usłyszał:

- Halo?

- To ja. - Thompson i jego rozmówca odbyli krótki rytuał pytań i odpowiedzi - w ramach środków bezpieczeństwa, jak szpiedzy - aby mieć pewność, kto jest na drugim końcu linii. Thompson próbował mówić bez akcentu, a jego klient także starał się zmienić głos. Nie potrafiliby oczywiście oszukać analizatora głosu, ale robili, co mogli.

Rozmówca musiał już wiedzieć, że pierwsza próba się nie powiodła, ponieważ było o tym głośno w lokalnych mediach.

- Jest źle? - zapytał klient. - Mamy problem?

Morderca odchylił głowę do tyłu i wpuścił do oczu krople. Zamrugał i czując, jak ból powoli ustępuje, odrzekł głosem drętym jak jego dusza:

- Och, powinieneś zrozumieć, że nasza praca nie różni się od innych zajęć w życiu. Nic nigdy nie idzie gładko i nie jest pewne na sto procent. Nic nie działa tak, jakbyśmy chcieli. Dziewczyna mnie wykiwała.

- Nastolatka?

- Po prostu umie sobie radzić. Ma refleks. W końcu mieszka w dżungli. - Thompson pożałował

ostatnich słów, obawiając się, że klient może to uznać za jakąś rasistowską uwagę, podczas gdy on chciał tylko zaznaczyć, że dziewczyna mieszka w niebezpiecznej części miasta i musi być sprytna. Thompson Boyd był najmniej uprzedzoną osobą na świecie. Nauczyli go tego rodzice. Thompson znał ludzi wszystkich ras, pochodzących ze wszystkich środowisk i oceniał ich tylko na podstawie zachowań i poglądów, a nigdy przez pryzmat koloru ich skóry. Pracował dla białych, czarnych, Arabów, Azjatów, Latynosów; zabijał także ludzi wszystkich ras. Nie dostrzegał między nimi różnic. Ludzie, którzy dawali mu zlecenia, unikali jego wzroku, byli ostrożni i podenerwowani. Ci, którzy ginęli z jego ręki, żegnali się ze światem z godnością albo strachem i nie miało to nic wspólnego z rasą ani narodowością. - Nie tego chciałeś. Zapewniam cię, że ja też nie. Ale należało się liczyć z taką ewentualnością. Pilnują jej fachowcy. Teraz już wiemy. Zmienimy plan i spróbujemy inaczej. Nie możemy podchodzić do tego emocjonalnie. Uda się następnym razem. Mam kogoś, kto nieźle zna Harlem. Wiemy już, do której szkoły chodzi, pracujemy nad ustaleniem jej adresu. Zaufaj mi, mamy wszystko pod kontrolą.

- Czekam na wiadomości - powiedział klient. I szybko się rozłączył. Rozmawiali nie dłużej niż trzy minuty. Tyle wynosił limit Thompsona Boyda.

Ścisłe według zasad...

Thompson odłożył słuchawkę - nie musiał wycierać odcisków palców; miał skórzane rękawiczki. Ruszył w dalszą drogę. Po wschodniej stronie ulicy stały ładne bungalowy, a po zachodniej ciągnął się rząd starych kamienic. Kilkoro dzieci wracało ze szkoły do domu. W oknach Thompson widział blask telewizorów nastawionych na seriale i popołudniowe talk-show, przy których kobiety prasowały i gotowały. Bez względu na to, jak wyglądało życie w innych częściach miasta, ta dzielnica prawie w ogóle się nie zmieniła od lat pięćdziesiątych. Przywodziła mu na myśl jego osiedle domów na kółkach i bungalow z dzieciństwa. Dobre, bezpieczne życie.

Życie przed więzieniem, zanim popadł w odrętwienie, kiedy jeszcze nie przypominał odciętej ręki albo nogi, w którą wbił zęby wąż.

Kilka budynków przed sobą Thompson ujrzał małą dziewczynkę w szkolnym mundurku, zbliżającą się do beżowego bungalowu. Serce trochę szybciej mu zabiło, kiedy obserwował, jak pokonuje kilka betonowych stopni, wyciąga z torby klucz, otwiera drzwi i wchodzi do środka.

Skierował kroki w stronę tego domu, tak samo schludnego jak pozostałe, może nawet trochę ładniejszego. Na żółknącym trawniku pasło się kilka ceramicznych sarenek, obok których stała figurka dżokeja, dawniej spełniająca funkcję słupka do wiązania koni. Dżokej miał murzyńskie rysy, ale przemalowano mu twarz na jasny, politycznie poprawny kolor. Thompson wolno minął bungalow, spoglądając w okna, i poszedł dalej. Podmuch wiatru poruszył torbę z zakupami i spoczywające w niej puszki stuknęły o siebie z głuchym brzękiem. Ej, ostrożnie, pomyślał, przyciągając do siebie torbę.

Doszedłszy do przecznicy, odwrócił się i spojrzął w głąb ulicy. Jakiś mężczyzna uprawiał jogging, kobieta usiłowała zaparkować równolegle, chłopak dryblował z piłką na zasypanym liśćmi podjeździe. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Thompson Boyd ruszył z powrotem w stronę beżowego domu.

- Brit, nie zostawiaj książek w korytarzu. Zanieś je do pokoju - powiedziała Jeanne Starke do swojej córki, która właśnie weszła do ich bungalowu w Queens.

- Maamoo - jęknęła dziesięciolatka, przeciągając słowo co najmniej o jedną sylabę. Odgarnęła jasne włosy, powiesiła na wieszaku szkolny mundur i uniosła ciężki plecak, stękając ze złością.

- Co masz zadane? - spytała jej ładna, trzydziestokilkuletnia matka. Ciemne kręcone włosy miała spięte różowoczerwoną gumką.

- Dzisiaj nic - odparła Britney.

- Zupełnie nic? - Nie.

- Ostatnim razem, kiedy mówiłaś, że nie masz nic zadane, to jednak miałaś - zauważyła uszczypliwie matka.

- To nie było żadne zadanie, tylko sprawozdanie. Miałam wyciąć coś z gazety.

- Miałaś coś zrobić w domu. To się nazywa zadanie domowe.

- No ale dzisiaj nic nie mam.

Jeanne była pewna, że jest inaczej. Uniosła brew.

- Trzeba tylko przynieść coś włoskiego. I coś o tym powiedzieć. No wiesz, na Dzień Kolumba. Wiedziałaś, że to Włoch? Zawsze myślałam, że jakiś Hiszpan.

Matka dwóch córek akurat o tym wiedziała. Skończyła szkołę średnią i miała dyplom z pielęgniarstwa. Gdyby chciała, mogła iść do pracy, ale jej chłopak dobrze zarabiał jako agent handlowy i wolał, by Jeanne zajmowała się domem, chodziła na zakupy z koleżankami i wychowywała dzieci.

Wychowywanie polegało między innymi na dopilnowaniu, żeby dzieci odrabiały lekcje, choćby miały tylko przynieść coś do szkoły.

- To wszystko? Skarbie, mówisz prawdę?

- Maaamooo.

- Mówisz prawdę?

- No.

- „Tak”. Nie „no”. Co chcesz wziąć?

- Nie wiem. Może coś z „Barriniego”. Wiedziałaś, że Kolumb się pomylił? Myślał, że przyplłynął do Azji, nie do Ameryki. Trzy razy wracał i nigdy się nie dowiedział, że to nie tak.

- Naprawdę?

- No... tak. - Britney zniknęła.

Jeanne wróciła do kuchni. O tym rzeczywiście nie wiedziała. Kolumb naprawdę myślał, że trafił do Japonii albo Chin? Oprószyła kurczaka mąką, potem zanurzyła w jajku i tartej bułce, snując fantazje o rodzinnej wyprawie do Azji - w tle przewijały się obrazki z telewizji kablowej. Dziewczynki byłyby zachwycone. Może... W tym momencie przypadkiem wyjrzała na zewnątrz i przez nieprzezroczystą firankę dostrzegła sylwetkę mężczyzny, który zbliżając się do ich domu, zwolnił.

Trochę się zaniepokoiła. Obawy przed obcymi wzbudził w niej kiedyś jej chłopak pracujący w firmie, która produkowała części komputerowe dla rządowych kontrahentów. Zawsze na nich uważaj, mówił. Jeżeli zauważysz, że ktoś zwalnia, mijając dom, jak zobaczysz kogoś, kto za bardzo interesuje się dziećmi... od razu mi powiedz. Niedawno, gdy byli w parku na drugim końcu ulicy z dziewczynkami, które huśtały się na huśtawkach, nagle nadjechał jakiś samochód i zwolnił, a kierowca w ciemnych okularach spojrzał na dzieci. Jej chłopak wpadł w panikę i kazał im natychmiast wracać do domu.

- To szpieczy - wyjaśnił.

- Co?

- Nie, nie tacy jak szpieczy CIA. To są szpieczy przemysłowi - z naszej konkurencji. Moja firma zarobiła w zeszłym roku sześć miliardów dolarów, dużą część dzięki mnie. Ludzie bardzo chętnie by sprawdzili, co wiem o rynku.

- Firmy naprawdę robią takie rzeczy? - zdziwiła się Jeanne.

- O ludziach nigdy nic nie wiadomo - odrzekł.

Jeanne Starę, która miała w ramieniu kawałek drutu w miejscu, gdzie przed kilku laty rękę roztrzaskała jej butelka whisky, pomyślała wtedy: To prawda, ty na pewno nic o ludziach nie wiesz. Teraz wytarła ręce w fartuch, podeszła do firanki i wyjrzała przez okno.

Mężczyzny już nie było.

Wszystko w porządku, nie ma co się bez potrzeby denerwować. To tylko...

Zaraz, zaraz. Zauważyła jakiś ruch na schodkach przed drzwiami. I zdawało się jej, że zobaczyła róg torby na zakupy stojącej na werandzie. Ten człowiek tu był!

Co się dzieje?

Powinna zadzwonić do swojego chłopaka? Powinna wezwać policję?

Policja zjawiłaby się najwcześniej za dziesięć minut.

- Mamusiu, ktoś stoi za drzwiami - zawołała Britney. Jeanne szybko wyszła na korytarz.

- Brit, zostań w pokoju. Sama sprawdzę. Ale dziewczynka już otwierała.

- Nie! - krzyknęła Jeanne. I usłyszała:

- Dzięki, kochanie - rzekł przyjaznym tonem Thompson Boyd, wchodząc do domu i taszcząc torbę, którą przed chwilą widziała.

- Ale mnie nastraszyłeś - powiedziała Jeanne. Przytuliła się do niego, a on ją pocałował.

- Nie mogłem znaleźć kluczy.

- Wcześniej wróciłeś. Skrzywił się. -

- Rano były kłopoty z negocjacjami. Odłożyli do jutra. Pomyślałem sobie, że wrócę i popracuję w domu.

Na korytarz wybiegła druga córka Jeanne, ośmioletnia Lucy.

- Tommy! Możemy obejrzeć „Judge Judy”?

- Dzisiaj nie.

- Prooszę... Co masz w torbie?

- To właśnie moja praca. I chciałbym, żebyście mi w niej pomogli. - Postawił torbę w korytarzu, poważnie spojrzał na dziewczynki i spytał: - Jesteście gotowe?

- Ja jestem! - wykrzyknęła Lucy.

Brit, starsza z dziewczynek, nic nie powiedziała, ale tylko dlatego, że niefajnie było zgadzać się z siostrą; ona także była gotowa mu pomóc.

- Kiedy przełożono spotkanie, wyszedłem i zrobiłem zakupy. Przez całe rano czytałem to. - Thompson sięgnął do torby i wyciągnął puszki farby, gąbki, wałki i pędzle. Na końcu pokazał im książkę zaznaczoną w wielu miejscach żółtymi samoprzylepnymi karteczkami. Jej tytuł brzmiał „Wystrój wnętrze, łatwo i przyjemnie. Część 3: Malowanie pokoju dzieciennego”.

- Tommy! - zawołała Britney. - To do naszych pokoi?

- Tak - odparł z południowym akcentem. - Wasza mama i ja na pewno nie chcemy mieć na ścianach słonia Dumbo.

- Namalujesz nam Dumbo? - Lucy zmarszczyła brwi. - Ja nie chcę Dumbo.

Britney też nie chciała.

- Namaluję, kogo tylko zechcecie.

- Ja chcę pierwsza zobaczyć! - Lucy wyrwała mu książkę.

- Nie, ja!

- Zobaczymy razem - uciał Thompson. - Dajcie mi tylko powiesić płaszcz i odstawić teczkę. - Poszedł do swojego pokoju, który przylegał do frontu domu.

Wracając do kuchni, Jeanne Starę pomyślała, że Tom, mimo nieustannych rozjazdów i paranoi na punkcie pracy, mimo że nie umiał dzielić jej radości ani smutków i nie był najwspanialszym kochankiem, nie jest taki zły i mogła trafić na kogoś znacznie gorszego.

Uciekając przed policją z alejki obok szkoły imienia Langstona Hughesa, Jax wskoczył do taksówki i kazał kierowcy jak najszybciej jechać na południe, proponując mu dziesięć dolarów ekstra, jeżeli przeskoczy skrzyżowanie na czerwonym. Pięć minut później kazał zawrócić i wysadzić się niedaleko szkoły.

Miał szczęście, że udało mu się dać nogę. Nie było wątpliwości, że policja zrobiłaby wszystko, żeby nikogo nie dopuścić blisko dziewczyny. Niepokoiło go to; jak gdyby wiedzieli, że przyjdzie. Czyżby ten gnojek Ralph jednak go sypnął?

Cóż, Jax powinien być mądrzejszy. I taki zamierzył być teraz. Jak w więzieniu - zanim zrobisz jakiś ruch, musisz najpierw wszystko sprawdzić.

Dobrze wiedział, gdzie szukać pomocy.

Mężczyźni w miastach zawsze się gdzieś spotykają, starzy czy młodzi, czarni, Latynosi czy biali, ci ze wschodniej części Nowego Jorku i z Bay Ridge albo Astorii. W Harlemie gromadzili się w kościołach, barach, klubach jazzowych i raperskich, bistrach, w mieszkaniach, na ławkach w parku i przed domami. Latem siadywali na frontowych schodach i przy wyjściach ewakuacyjnych, a zimą wokół kubłów z palącymi się śmieciami. Spotykali się też u fryzjera - tak jak w tym filmie sprzed kilku lat (prawdziwe imię Jaksy, Alonzo, było na cześć Alonza Hendersona, byłego niewolnika z Georgii, który został milionerem dzięki stworzeniu popularnej sieci zakładów fryzjerskich - ojciec miał nadzieję, że Jax wykaże się podobną siłą woli i talentem, ale jak się okazało, były to płonne nadzieje).

Jednak najpopularniejszym miejscem męskich spotkań w Harlemie były boiska do koszykówki.

Oczywiście, chłopcy chodzili tam grać w kosza. Ale także po to, żeby gadać o bzdurach, rozwiązywać problemy tego świata, rozmawiać o dobrych i złych kobietach, kłócić się o sport, dokuczać sobie i przechwalać się; była to nowoczesna i swobodna wersja popularnej w czarnej

kulturze sztuki snucia opowieści o mitycznych bohaterach takich jak bandyta Stackolee czy palacz z „Titanica”, który przeżył zderzenie z górą lodową i uratował się.

Jax znalazł park położony niedaleko szkoły Langstona Hughesa. Mimo jesiennego chłodu i nisko stojącego słońca boiska były dość zatłoczone. Jax podszedł do najbliższego, zdjął kurtkę wojskową, na którą policja zapewne zwróciła uwagę, przewrócił ją na lewą stronę i przewiesił przez ramię. Paląc papierosa, oparł się o łańcuchowe ogrodzenie i wyglądał w tej pozycji jak faraon Ralph, tyle że potężniej zbudowany. Zdjął z głowy czarną bandanę i palcami przeczesał afro.

W samą porę zmienił wygląd. Zobaczył przejeżdżający wolno obok parku radiowóz. Jax nie ruszył się z miejsca. Nic nie przyciąga uwagi glin bardziej niż oddalający się szybkim krokiem człowiek (Jax był wielokrotnie zatrzymywany pod zarzutem „chodzenia w stanie bycia czarnym”). Po zdartym szarym asfalcie boiska uganiała się gromadka licealistów, której przyglądało się kilkunastu innych. Jax zobaczył, jak ciemnobrązowa piłka odbija się od ziemi, dopiero po chwili usłyszał odgłos uderzenia o twardą nawierzchnię. Przyglądał się chwytającym przeciwników rękoma, zderzającym się ciałami, piłce szybującej w kierunku tablicy.

Kiedy radiowóz zniknął, Jax oderwał się od ogrodzenia i zbliżył do chłopców stojących na skraju boiska. Przyjrzał się im uważnie. Nie była to żadna banda, żadni chowający glocki w spodniach *gangsta*. Po prostu grupka chłopców - niektórzy z tatuażami, inni bez, niektórzy obwieszani łańcuchami, inni ze skromnym krzyżykiem na szyjach, niektórzy o złych, inni o dobrych intencjach. Szpanowali przed dziewczynami, zadzierali nosa przed młodszymi. Palili, gadali. Jak to młodzi.

Obserwując ich, Jax popadł w melancholię. Zawsze chciał mieć dużą rodzinę, ale to marzenie, podobnie jak wiele innych, nigdy się nie spełniło. Jego pierwsze dziecko oddano do adopcji, a drugie stracił po fatalnej w skutkach wizycie jego dziewczyny w klinice przy Sto Dwudziestej Dziewiątej. Pewnego stycznia przed wielu laty Jax z radością dowiedział się, że zostanie ojcem. W marcu jego dziewczyna dostała jakichś bólów, więc nie mając innego wyboru, poszli do darmowej kliniki. W brudnej i zatłoczonej poczekalni spędzili kilka godzin. Zanim dziewczynę zbadał lekarz, zdążyła poronić.

Jax chwycił drania i omal nie pobił go do krwi. „To nie moja wina - mówił drobny Hindus, kuląc się za wózkami. - Obcięli nam budżet. To znaczy miasto”. Jax szalał z wściekłości i rozpacz. Ktoś musiał mu za to zapłacić, żeby coś takiego nigdy się więcej nie powtórzyło - ani jej, ani nikomu innemu. I nie pocieszyła go wiadomość, że lekarzowi udało się przynajmniej ocalić życie jego dziewczynie, bo prawdopodobnie stałoby się inaczej, gdyby uchwalono inne cięcia budżetowe na opiekę zdrowotną dla biednych.

Jak pieprzony rząd może ludziom robić coś takiego? Gzy jedynym celem ratusza i władz stanowych nie jest dobro obywateli? Jak mogli dopuścić do śmierci maleńkiego dziecka?

Na te pytania nie byli skłonni odpowiedzieć ani lekarz, ani policjanci, którzy tamtej nocy wyprowadzili go ze szpitala skutego kajdankami.

Smutek i zapiekła złość, jakie wywołało wspomnienie, jeszcze bardziej utwierdziły go w

postanowieniu, by zrealizować swój plan.

Jax z ponurą miną popatrzył na gromadkę na boisku i skinął chłopakowi, którego uznał za jednego z przywódców. Nastolatek miał na sobie workowate szorty, trampki i sportową bluzę. Jego włosy były krótko obcięte z jednej strony, a z drugiej wysoko zaczesane. Chłopak otaksował Jaksę.

- Co jest, dziadek?

Pozostali ryknęli gromkim śmiechem. *Dziadek.*

W dawnym Harlemie - dawniej może wszędzie tak było - dorosłych traktowano z szacunkiem. Dziś z pogardą. Twardziel wyciągnąłby gnata ze skarpety i nastraszył gówniarza. Ale Jaksę zahartowały lata spędzone na ulicy i w więzieniu, dlatego wiedział, że to nie jest żaden sposób. Zbył pogardliwą uwagę śmiechem i szepnął:

- Duża kasa.

- Chcesz kasy?

- Proponuję ci kasę. Jeżeli cię to interesuje, gnojku. - Jax poklepał się po kieszeni, w której spoczywał gruby zwitek franklinów.

- Nic nie sprzedaje.

- Nie chcę kupować tego, o czym myślisz. Chodź, przejdziemy się kawałek.

Chłopak skinął głową i oddalili się od boiska. Jax czuł, jak jego towarzysz mu się przygląda, zwracając pewnie uwagę na utykanie. Fakt, to była pamiątka po postrzale, ale równie dobrze mogło wyglądać na krok twardziela-ganstera. Potem chłopak spojrzał w oczy Jaksę, zimne jak stal, zerknął na jego mięśnie i więzienny tatuaż. Może sobie pomyślał: W takim wieku mógł być ważniakiem u Prawdziwych Gangsterów - a z takimi lepiej się było nie zadawać. Prawdziwi mieli AK, uzi, hummery i kilkunastu bezwzględnych gnojków pod komendą. To oni kazali dwunastolatkom rozwalać świadków i dilerów konkurencji, bo sądy nie wysyłały dzieci do pudła na wieczność, tak jak siedemnasto- i osiemnastolatków.

Prawdziwy mógł cię porządnie zmasakrować za nazwanie go dziadkiem”.

Chłopak zaczynał zdradzać oznaki niepokoju.

- Ej, co właściwie chcesz? Dzie idziemy?

- Tylko kawałek. Nie chcę z tobą gadać przy wszystkich. - Jax zatrzymał się za jakimiś krzakami. Chłopak rozejrzał się dookoła. Jax parsknął śmiechem. - Nie zamierzam ci złoić dupy. Wyluzuj się.

Nastolatek też się zaśmiał. Ale nerwowo.

- Jasne, spoko.

- Muszę znaleźć czyjąś chatę. Kogoś z Langstona Hughesa. Chodzisz tam?

- No, prawie wszyscy. - Wskazał głową boisko.

- Szukam dziewczyny, o której mówili w wiadomościach.

- Tej? Genevy? Co widziała, jak rozwalili gościa? Tej, co jedzie na samych szóstkach?- Nie wiem. Ma same szóstki?

- No. Ma łeb jak sklep.

- Gdzie mieszka?

Chłopak zamilkł. Zaczął się zastanawiać. Czy dostanie po dupie, jeżeli poprosi o to, czego chce? Uznał, że nie.

- Mówiłeś o kasie, co nie? Jax dał mu parę banknotów.

- Ja tam jej nie znam. Ale spikne eie z kumplem, co ją zna. Taki czarnuch, Kevin sie nazywa. Mam zadzwonić?

- Dzwon.

Z kieszeni szortów wyciągnął małą komórkę.

- Hej, tu Willy... Na boisku... No. Słuchaj, jest tu gość z franklinami i szuka twojej laski... Genevy. No, tej Settle... Spoko, ziomal. Taki żart, co nie?... Dobra. Ten gość...

Jax wyrwał Willy'emu telefon i rzucił krótko:

- Dwie stówy za jej adres. Chwila wahania.

- Gotówka? - zapytał Kevin.

- Nie - odburknął Jax. - Pieprzona karta. Jasne, że gotówka.

- Przyjdę na boisko. Masz kasę przy sobie?

- Mam, trzymam ją obok colta, jeżeli cię to ciekawi. Kiedy mówię „colta”, nie chodzi mi o flaszkę piwa.

- Spoko. Tylko pytam. Nie pogrywam z miastowymi.

- Będę miał swoją ekipę - rzekł Jax, uśmiechając się szeroko do zaniepokojonego Willy'ego. Rozłączył się i rzucił telefon chłopakowi. Potem wrócił do ogrodzenia, oparł się o nie i dalej obserwował grę.

Dziesięć minut później zjawił się Kevin, który - w przeciwieństwie do Willy'ego - wyglądał na prawdziwego twardziela - wysoki, przystojny, pewny siebie. Był podobny do jednego aktora, którego nazwiska Jax nie mógł sobie przypomnieć. Chcąc się popisać przed staruszką i pokazać, że wcale mu tak bardzo nie zależy na pieniądzu - a także zaimponować paru dziewczynom - Kevin się nie spieszył. Przystanął, przybił piątkę kilku chłopakom, paru uścisnął, witając się głośno ze wszystkimi. Potem wyszedł na boisko, kazał sobie podać piłkę i wykonał kilka imponujących wsadów.

Facet umiał grać w kosza.

Wreszcie Kevin wolnym krokiem podszedł do Jaksa i otaksował go uważnie, bo tak się robi, kiedy do ekipy dołącza ktoś z zewnątrz - wszystko jedno, czy na boisku, w barze, czy też w wiktoriańskim zakładzie fryzjerskim Alonza Hendersona. Kevin starał się odgadnąć, gdzie Jax chowa broń, ile naprawdę może mieć kasy i o co mu chodzi.

- Powiedz tylko, jak długo chcesz się tak gapić, bo to nudne - powiedział Jax.

Kevin nawet się nie uśmiechnął.

- Gdzie frankliny?

Jax wsunął mu w dłoń pieniądze.

- Gdzie dziewczyna?

- Chodźmy. Pokażę.

- Daj mi tylko adres.

- Boisz się mnie?

- Tylko adres. - Nie spuszczał z niego wzroku. Kevin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie znam numeru. Znam budynek. W zeszłym roku odprowadzałem ją do domu. Mogę pokazać.

Jax skinął głową.

Ruszyli na południowy zachód, co zdziwiło Jaksa; sądził, że dziewczyna będzie mieszkać w niebezpieczniejszej okolicy - bardziej na północ, w stronę rzeki Harlem, albo na wschodzie. Tutejsze ulice nie były zbyt eleganckie, ale za to czyste i wiele budynków zostało wyremontowanych. Budowano też parę nowych.

Jax zmarszczył brwi, rozglądając się po ulicach.

- Jesteś pewien, że mówimy o Genevie Settle?

- O nią pytałeś. I idziemy pod jej chatę... Słuchaj, chcesz kupić trochę zioła albo cracku?

- Nie.

- Na pewno? Mam niezły towar.

- Szkoda, że głuchniesz w takim młodym wieku. Kevin wzruszył ramionami.

Dotarli do ulicy niedaleko Morningside Park. Na szczycie wzniesienia rozciągał się kampus Uniwersytetu Columbia, gdzie wiele lat temu Jax często pozostawiał swój tag - „Jax 157”.

Już mieli skręcić za róg, gdy naraz obaj przystanęli.

- Zobacz - szepnął Kevin. Przed jakimś starym budynkiem stał zaparkowany ford crown victoria - na pewno nieoznakowany wóz gliniarzy.

- To jej chata? Tam, gdzie stoi samochód?

- Nie. Dwa budynki dalej. Tam. - Pokazał.

Dom był stary, ale w idealnym stanie. W oknach stały kwiaty, było czysto. Ładne firanki. Farba wyglądała na nową.

- Chcesz ją pierdolnąć? - zapytał Kevin, mierząc go badawczym spojrzeniem.

- Co chcę zrobić, to moja sprawa.

- Twoja sprawa, twoja sprawa... Jasne - odrzekł cicho Kevin. - Ale... pytam, bo gdybyś miał ją stuknąć - mnie tam nic do tego, spoko - ale gdyby coś się jej stało, to rozumiesz: będę wiedział, że to ty. Ktoś może przyjść i ze mną pogadać. No i tak se myślę, że jak masz nosić tyle kasy przy sobie, lepiej, żebym wziął trochę więcej. Wtedy zapomnę, że cię w ogóle widziałem. Bo inaczej mogę sobie dużo przypomnieć i będę pamiętał, że pytałeś o tą mysz. Jax widział w życiu niejedno. Był królem graffiti, był żołnierzem podczas Pustynnej Burzy, poznał gangsterów w więzieniu i za murami, dostał postrzał w... Jeżeli w tym cholernym świecie istniała jakaś zasada, to tylko taka, że ludzie, których uważasz za głupich, w rzeczywistości są jeszcze głupszi.

W ułamku sekundy Jax lewą ręką chwycił chłopaka za kołnierz, a prawą wymierzył mu cios w brzuch, potem drugi, trzeci, czwarty...

- Kurwa... - udało się wykrztusić Kevinowi.

Tak się walczyło w więzieniu. Ani chwili, żeby przeciwnik ochłonał.

Jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze...

Wreszcie Jax go puścił i chłopak upadł w alejce, jęcząc z bólu. Spokojnym ruchem baseballisty szykującego się do strzału, Jax pochylił się i wyciągnął ze skarpety broń. Przerażony Kevin przyglądał mu się bezradnie, kiedy odciągał zamek, ładując pocisk do komory, a potem kilka razy owijał lufę czarną bandaną. Jax dowiedział się od DeLisle'a Marshalla z bloku S, że to najlepszy i

najtańszy sposób stłumienia huków wystrzału.

Rozdział 18

O dziewiętnastej trzydzięci Thompson Boyd skończył malować misia z kreskówki na ścianie w pokoju Lucy. Odsunął się i popatrzył na swe dzieło. Zrobił wszystko dokładnie tak, jak kazano mu w książce i rzeczywiście stworzenie bardzo przypominało niedźwiedzia. Był to pierwszy obrazek, jaki w życiu namalował od czasów szkoły - dlatego tak pilnie studiował instrukcję.

Dziewczynki wpadły w zachwyty. Thompson pomyślał, że też powinien być zadowolony z obrazka. Nie był jednak pewien. Patrzył na misia bardzo długo, czekając, aż pojawi się duma. Nic jednak nie poczuł. Cóż. Wyszedł na korytarz i zerknął w okienko telefonu.

- Mam wiadomość - powiedział z roztargnieniem. Wybrał numer. - Hej, tu Thompson. Co u ciebie? Widziałem, że dzwoniłeś.

Jeanne posłała mu przelotne spojrzenie i wróciła do wycierania naczyń.

- Co ty, żartujesz? - Thompson zachichotał. Jak na człowieka, który nigdy się nie śmiał, udawał chyba nieźle. Oczywiście to samo zrobił dziś rano w bibliotece, aby uspokoić tę Settle, lecz tamto nie poskutkowało. Powtórzył sobie w myślach, żeby nie przesadzać. - Stary, to cholerny pech - powiedział do głuchej słuchawki. - Jasne. To nie potrwa długo, co? Jutro znowu mam te negocjacje, tak, te przełożone z dzisiaj... Daj mi dziesięć minut, dobra?

Zamknął telefon i rzekł do Jeanne.

- Vern jest u Joeya. Złapał gumę.

Vernon Harber kiedyś istniał naprawdę, ale już go nie było. Thompson zabił go kilka lat temu. Ale ponieważ dobrze go zdążył poznać, uczynił z niego fikcyjnego kumpla z sąsiedztwa, z którym od czasu do czasu sobie pomagali. Podobnie jak prawdziwy nieżyjący Vern, ten żyjący i fikcyjny jeździł suprą, miał dziewczynę o imieniu Renee i opowiadał mnóstwo zabawnych historyjek o życiu w porcie, w sklepie mięsnym i swojej okolicy. Thompson wiedział o Vernie dużo więcej i pamiętał o wszystkich szczegółach. (Kiedy kłamiesz, kłam na całego, z fantazją i precyzją).- Najechał suprą na jakąś butelkę po piwie.

- Nic mu się nie stało? - zaniepokoiła się Jeanne.

- Na szczęście parkował. Głupiek nie umie sam odkręcić śrub.

Żywy czy martwy, Vern Harber zawsze był niezdarą.

Thompson zaniósł pędzel i kartonowe wiaderko do pralni, wstawił do umywalki i napuścił wody, by umyć pędzel. Potem narzucił kurtkę.

- Aha, mógłbyś po drodze kupić dwuprocentowe mleko? - poprosiła Jeanne.

- Kwartę?

- Może być.

- I roladki owocowe! - zawołała Lucy.

- O jakim smaku?

- Winogronowe.

- W porządku. Brit?

- Wiśniowe! - odpowiedziała dziewczynka. Nagle, jak gdyby coś sobie przypominając, dorzuciła: - Proszę.

- Winogronowe, wiśniowe i mleko - powtórzył zamówienie, wskazując po kolei na każdą z nich.

Thompson wyszedł z domu i okrężną trasą ruszył ulicami Queens, od czasu do czasu sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Wciągał do płuc zimne powietrze i wydychał ciepłe, pogwizdując piosenkę Celine Dion z „Titanica”.

Morderca uważnie obserwował Jeanne, gdy mówił, że wychodzi. Jej niepokój o Verna wydawał się autentyczny i niczego nie podejrzewała, mimo że wychodził spotkać się z człowiekiem, którego w życiu nie widziała. Ale to było typowe. Dzisiaj pomagał koledze. Innym razem mówił, że idzie obstawić w zakładach. Albo na szybkiego drinka z chłopakami do Joeya. Zmieniał kłamstwa rotacyjnie.

Szczupła brunetka o kręconych włosach nigdy nie zadawała wielu pytań o jego wyjścia z domu ani o lipną pracę agenta handlowego w firmie komputerowej, ani o częste wyjazdy służbowe. Nigdy nie pytała, dlaczego jego branża jest tak tajna, że Thompson zamyka swój pokój na klucz. Była mądra i inteligentna, a to dwie różne cechy. Większość mądrych i inteligentnych kobiet domagałaby się większego udziału w jego życiu. Ale nie Jeanne Starke.

Poznali się w barze w Astorii kilka lat temu, kiedy Thompson musiał się przyczołgać po zleconym mu zamordowaniu dilerów narkotyków z Newark. Siedząc obok Jeanne w greckiej knajpce, poprosił ją o keczup i zaraz przeprosił, zauważywszy, że ma złamaną rękę i nie może dosięgnąć butelki. Spytał ją, czy dobrze się czuje i co się stało. Zbyła pytanie, lecz miała łzy w oczach. Zaczęli rozmawiać.

Wkrótce zaczęli się spotykać. Prawda o złamanej ręce w końcu wyszła na jaw i pewnego weekendu Thompson złożył wizytę jej byłemu mężowi. Później Jeanne oznajmiła mu, że stał się cud: jej eks wyjechał z miasta i przestał nawet dzwonić do dziewczynek, co kiedyś robił raz na tydzień, przy okazji po pijaku wyzywając ich matkę.

Miesiąc później Thompson wprowadził się do niej.

Dla Jeanne i jej córek to był chyba dobry układ. Miała mężczyznę, który nie wrzeszczał ani nie

bił nikogo pasem, płacił czynsz i przychodził do domu o zapowiedzianej porze - wydawał się im wymarzoną zdobyczą. (Więzienie skutecznie nauczyło Thompsona, że trzeba nisko zawieszać poprzeczkę).

Układ był dobry dla nich i dobry dla zawodowego mordercy: ktoś mający taką profesję wzbudza znacznie mniej podejrzeń, kiedy ma żonę albo dziewczynę i dzieci, niż gdyby był samotny.

Ale był jeszcze jeden powód, dla którego mieszkał z Jeanne, ważniejszy od względów praktycznych i logistycznych. Thompson Boyd czekał. W jego życiu od dawna czegoś brakowało i czekał, by to coś powróciło. Wierzył, że Jeanne Starke, kobieta bez wygórowanych wymagań i nadmiernych oczekiwań, może mu pomóc to odnaleźć.

Czego mu brakowało? To proste: Thompson Boyd czekał, aż ustąpi odrętwienie, a jego duszy wróci czucie, tak jak powraca do życia zdrętwiała stopa.

Thompson miał dużo wspomnień z dzieciństwa w Teksasie, pamiętał twarze rodziców i ciotki Sandry, kuzynów, kolegów szkolnych. Oglądali w telewizji mecze Texas A&M, siadywali wokół organów Sears, gdy Thompson naciskał klawisz akordów, a ciotka albo ojciec grubymi palcami (wszyscy w rodzinie takie mieli) starali się grać melodię. Śpiewał z nimi „Onward Christian Soldiers” i „Tie a Yellow Ribbon” albo temat z „Zielonych беретów”. Grał w kierki. Pod okiem ojca uczył się używać narzędzi w nienagannie wysprzątananej szopie. Chodził z nim na pustynię, zachwycał się zachodami słońca i połaciami zastygłej lawy, w zdumieniu przyglądał się kojotom i grzechotnikom, które wprawdzie poruszały się jak tancerze, ale ich ukąszenie mogło spowodować szybką śmierć.

Przypominał sobie, jak matka biegała do kościoła, pakowała kanapki, opalała się, wymiatała z przyczepy teksański kurz i siadywała z koleżankami na aluminiowych krzeselkach. Przypominał sobie, jak ojciec chodził do kościoła, zbierał płyty, spędzał soboty z synem, a resztę tygodnia na wieżach wiertniczych. Przypominał sobie cudowne piątkowe wieczory, kiedy chodził na hamburgery i frytki do „Goldenlight Cafe” przy drodze numer 66, gdzie z głośników sączył się teksański swing.

Wtedy Thompson Boyd nie czuł odrętwienia.

Nawet w tych ciężkich czasach, gdy czerwcowe tornado zabrało ich podwójną przyczepę, matka straciła rękę, cudem ratując życie, nawet kiedy ojciec stracił pracę podczas fali zwolnień, która przetoczyła się przez północny pas stanu jak burza piaskowa z Oklahomy - Thompson nie był jeszcze odrętwiały. Na pewno nie był odrętwiały, gdy przyglądał się, jak matka rozpaczliwie powstrzymuje łzy na ulicy Amarillo, kiedy jakiś dzieciak krzyknął za nią „jednoręka bandyta”, a Thompson poszedł za nim i zadbał, żeby chłopak już nigdy więcej się z nikogo nie nabijał.

Potem jednak przyszły więzienne lata. I gdzieś w cuchnących lizolem korytarzach przyszło odrętwienie, stłumiło wszelką zdolność czucia i uspiło ją. Uspiło tak głęboko, że nic nie poczuł, dowiedziawszy się, że jakiś kierowca przysypiający w szoferce peterbilta zabił jego rodziców i ciotkę, a z katastrofy ocalał tylko zestaw do czyszczenia butów, który chłopak zrobił ojcu w prezencie na czterdzieste urodziny. Uspiło tak głęboko, że kiedy wyszedł z więzienia i odnalazł strażnika Charliego Tuckera, nie czuł absolutnie nic, przyglądając się, jak ten wolno umiera, sinieje i

rozpaczliwie szarpie za sznur, chcąc powstrzymać uduszenie. Co i tak by mu się nie udało, choćby był największym siłaczem.

W odrętwieniu patrzył na kołyszące się jak wahadło zwłoki strażnika, które powolutku nieruchomiały. W odrętwieniu ustawiał świece u stóp Tuckera, żeby wszystko wyglądało na satanistyczny mord popełniony przez jakiegoś psychopatę, w odrętwieniu spoglądał w szklane oczy nieboszczyka.

Odrętwiały...

Ale Thompson wierzył, że potrafi się sam naprawić, tak jak reperował drzwi do łazienki i oblużowaną poręcz schodów w bungalowu. (Jedno zadanie nie różniło się niczym od drugiego, to tylko kwestia przecinka dziesiątego). Zdolność czucia miały mu przywrócić Jeanne i dziewczynki. Musiał się tylko poddać schematowi. Robić to, co robili inni normalni ludzie: malować pokój dziecienny, oglądać z dziewczynkami „Judge Judy”, chodzić do parku na piknik. Przynosić to, o co prosiły. Winogronowe, wiśniowe, mleko. Winogronowe, wiśniowe, mleko. Od czasu do czasu zakląć: kurwa mać, pierdolę to wszystko... Takie rzeczy mówili ludzie, gdy wpadali w złość. A rozgniewany człowiek potrafi czuć.

Dlatego gwizdał - wierzył, że muzyka pozwoli mu wrócić do dawnych czasów, sprzed więzienia. Ludzie, którzy lubili muzykę, nie byli odrętwiali. Ludzie, którzy gwizdali, coś czuli, mieli rodziny, na dźwięk melodyjnego trylu odwracały się w ich stronę głowy obcych. Z takimi ludźmi można było przystanąć na rogu ulicy i pogadać, takich ludzi można było poczęstować frytką prosto z talerza, gdy z sąsiedniej sali dobiegała oszałamiająca muzyka. To ci dopiero muzycy, co synu? Co ty na to?

Wystarczy postępować ściśle według zasad i odrętwienie ustąpi. Wróci czucie.

Zastanawiał się, czy reżim, jaki sobie narzucił, przyniesie efekt i przywróci jego duszy zdolność czucia. Gwizdanie, recytowanie słów, których się od niego spodziewano, winogronowe i wiśniowe, przeklinanie, śmiech? Miał nadzieję, że choć trochę poskutkuje.

Przypomniał sobie kobietę w bieli, która rano w muzeum poruszała się tam i z powrotem, tam i z powrotem. Mógł szczerze przed sobą przyznać, że jej widok sprawił mu przyjemność. Niewielką, ale przecież to zawsze jakieś uczucie. Całkiem niezłe.

- Kurewsko niezłe - szepnął.

No i jest przekleństwo.

Może znów powinien spróbować seksu (zwykle udawało się raz na miesiąc, rano, ale tak naprawdę nie miał na to ochoty - jeżeli nie ma nastroju, nie pomoże nawet Viagra). Rozważał pomysł. Tak, tak właśnie **zrobi** - poczeka parę dni i znów spróbuje z Jeanne. Na myśl o tym ogarniał go lekki niepokój. Ale chyba powinien sprawdzić, czy to działa. To będzie dobry test. Tak, spróbuje i zobaczy, czy jest jakaś poprawa.

Winogronowe, wiśniowe, mleko...

Thompson zatrzymał się przy automacie telefonicznym przed greckimi delikatesami. Znów zadzwonił pod numer poczty głosowej i wstukał kod. Wysłuchał nowej wiadomości, z której się dowiedział, że była szansa zabicia Genevy Settle w szkole, ale pilnowało jej za dużo policjantów. Usłyszał też, że dziewczyna mieszka na Sto Osiemnastej, a w okolicy jej domu stoi co najmniej jeden nieoznakowany samochód policyjny i radiowóz, które od czasu do czasu zmieniają stanowiska. Pilnowało jej od jednego do trzech funkcjonariuszy.

Thompson nauczył się adresu na pamięć, skasował wiadomość i klucząc tak jak przedtem, dotarł do sześciokondygnacyjnego budynku, który był w znacznie gorszym stanie niż bungalow Jeanne. Obszedł dom i otworzył tylne drzwi. Po schodach wspinał się do mieszkania, które było jego główną kryjówką. Wszedł do środka i wyłączył system zamontowany w celu powstrzymania intruzów.

Mieszkanie wyglądało trochę ładniej niż to na Elizabeth Street. Ściany zdobiła starannie ułożona jasna boazeria, podłogę przykrywał brązowy włochaty dywan, który wydzielał zapach typowy dla włochatych dywanów. Stało tu kilka mebli. Mieszkanie przypominało Thompsonowi pokój, który urządzili z ojcem w bungalowie w Amarillo, dokąd się przeprowadzili po zniszczeniu przyczepy przez tornado.

Z dużej szafki ostrożnie wyciągnął parę słoików i zaniósł je na biurko, pogwizdując melodię z „Pocahontas”. Dziewczynki uwielbiały ten film. Otworzył skrzynkę z narzędziami, nałożył grube gumowe rękawice, maskę i okulary ochronne, i przystąpił do montażu urządzenia, które jutro miało zabić Genevę Settle - i każdego, kto znajdzie się w pobliżu.

Ssst...

Melodia zmieniła się w inną: to już nie był Disney. „Forever Young” Boba Dylana.

Kiedy skończył, dokładnie sprawdził urządzenie i z zadowoleniem odłożył narzędzia. Potem poszedł do łazienki, zdjął rękawiczki i trzy razy umył ręce. Przestał gwizdać, powtarzając sobie w myślach dzisiejszą mantrę.

Winogronowe, wiśniowe i mleko... Winogronowe, wiśniowe i mleko.

Wciąż się przygotowywał na dzień, w którym odrętwienie wreszcie ustąpi.

- Jak samopoczucie?

- Wszystko w porządku, detektywie.

Bell stanął w drzwiach jej pokoju i spojrzał na łóżko, zasłane książkami i zeszytami.

- Rety, faktycznie ostro się uczysz. Geneva wzruszyła ramionami.

- Wracam do domu do chłopaków.
- Ma pan synów?
- Ano mam. Dwóch. Może kiedyś ich poznasz. Jeżeli będziesz miała ochotę.
- Pewnie - powiedziała, myśląc, że i tak to się nie stanie. - Są w domu z pana żoną?
- Są teraz u dziadków. Moja żona nie żyje.

Na te słowa Geneva poczuła drgnienie w sercu. Krył się za nimi prawdziwy ból, chociaż kiedy je wymówił, jego mina wcale się nie zmieniła. Jak gdyby wyćwiczył umiejętność informowania ludzi o śmierci żony, powstrzymując się od łez.

- Przykro mi.
- Och, to było wiele lat temu. Skinęła głową.
- Gdzie pan Pulaski?
- Pojechał do domu. Ma córkę. A żona spodziewa się drugiego dziecka.
- Chłopca czy dziewczynki? - spytała Geneva.

- Naprawdę nie wiem. Wróci jutro rano. Będziemy go mogli wtedy zapytać. W pokoju obok jest twój wuj, a na noc zostanie pani Lynch.

- Barbe?

- Tak.

- Jest miła. Opowiadała mi o swoich psach. I o nowych programach w telewizji. - Geneva pokazała na książki. - Nie bardzo mam czas na telewizję.

Detektyw Bell zaśmiał się.

- Moim chłopakom przydałby się twój wpływ. Choćby nie wiem co, muszę was ze sobą poznać. No dobrze, gdyby coś się działo, wołaj Barbe. - Zawahał się przez chwilę. - Nawet gdybyś po prostu miała złe sny. Bez rodziców w domu musi ci być ciężko.

- Dobrze sobie radzę sama - odrzekła.

- Nie wątpię. W każdym razie w razie czegoś krzycz. Po to tu jesteśmy. - Podeszedł do okna, wyjrzał przez firanki, upewnił się, czy jest zamknięte, a potem zasłonił. - Dobranoc. Nie martw się. Złapiemy tego drania. To tylko kwestia czasu. Nikt nie jest lepszy od pana Rhyme'a i ludzi, którzy z nim pracują.

- Dobranoc. - Cieszyła się, że wychodzi. Może i miał dobre zamiary, ale Geneva nie cierpiała być traktowana jak dziecko, podobnie jak nie cierpiała, gdy wspomniano o jej strasznej sytuacji. Zdjęła książki z łóżka i ustawiła je przy drzwiach, tak by mogła je od razu znaleźć w ciemności, gdyby trzeba było szybko wyjść. Postępowała w ten sposób co wieczór.

Sięgnęła do torby i znalazła zasuszony fiołek, który dała jej iluzjonistka, Kara. Długo oglądała kwiatek, a potem ostrożnie włożyła między stronicy książki leżącej na górze przy drzwiach.

Pobiegła do łazienki, a kiedy się umyła i wyszorowała zęby, porządnie wyczyściła perłową umywalkę. Zaśmiała się cicho, myśląc o niemiłosiernym bałaganie panującym w łazience Keesh. W korytarzu Barbe Lynch życzyła jej dobrej nocy. Wróciwszy do sypialni, Geneva zamknęła drzwi na klucz, zawahała się przez chwilę, a potem, czując się trochę głupio, podparła klamkę krzesłem. Rozebrała się, narzuciła szorty i wypłowiła koszulkę i wskoczyła z powrotem do łóżka. Wyłączyła światło i przez dwadzieścia minut leżała na wznak i drżała z lęku, myśląc o matce i ojcu, a potem o Keesh.

W myślach pojawił się obraz Kevina Cheaneya; ze złością go odpędziła.

Skupiła się na swoim przodku, Charlesie Singletonie. Uciekał, uciekał, uciekał... Skoczył do Hudsonu.

Myślała o jego sekrecie. Co mogło być aż tak ważne, że gotów był zaryzykować wszystko, żeby tylko nie wyszło to na jaw? Rozmyślała o jego miłości do żony i syna.

Cały czas jednak prześladował ją obraz tego strasznego człowieka z biblioteki. Och, przed policją trzymała fason. Ale rzecz jasna się bała. Ta kominiarka, to okropne „łup”, kiedy trzasnął pałką w manekin, tupot jego nóg, kiedy ją gonił. A teraz zjawił się drugi, ten czarny mężczyzna z bronią obok boiska szkolnego.

Wspomnienia szybko odebrały jej sen.

Otworzyła oczy i leżała bez ruchu, myśląc o innej bezsennej nocy sprzed wielu lat. Siedmioletnia Geneva wymknęła się z łóżka i powędrowała do salonu. Włączyła telewizor i zaczęła oglądać jakiś głupi sitcom, gdy po dziesięciu minutach zjawił się ojciec.

- Co ty tu robisz? Czemu to oglądasz? - Zamrugał oczami w ostrym świetle.

- Nie mogę zasnąć.

- Lepiej poczytaj. To lepsze.

- Nie mam ochoty czytać.

- Dobrze. Sam ci poczytam. - Podeszedł do regału. - Spodoba ci się. To jedna z najlepszych książek na świecie.

Usiadł na fotelu, który skrzyknął pod jego ciężarem, a Geneva zerknęła na okładkę, lecz nie

mogła przeczytać tytułu.

- Wygodnie ci? - zapytał.
- Tak. - Leżała na kanapie.
- Zamknij oczy.
- Nie chce mi się spać.
- Jak zamkniesz oczy, będziesz sobie wyobrażała to, co czytam.
- Dobrze. Co to...
- Cicho.
- Dobrze.

Zaczął czytać. „Zabić drozda”. Przez następny tydzień czytanie córce przed snem stało się jego rytuałem.

Geneva Settle przyznała, że to rzeczywiście jedna z najlepszych książek; już w tym wieku zdążyła przeczytać albo wysłuchać wielu innych. Bardzo spodobali się jej bohaterowie - spokojny i silny owdowiały ojciec; brat i siostra (Geneva zawsze chciała mieć rodzeństwo). Oczarowała ją też sama opowieść o odwadze w obliczu nienawiści i głupoty.

Książka Harper Lee głęboko zapadła jej w pamięć. Zabawne, ale kiedy przeczytała ją jeszcze raz w wieku jedenastu lat, zrozumiała z niej o wiele więcej. Potem, gdy miała czternaście lat, zrozumiała jeszcze więcej. W zeszłym roku przeczytała ją znowu i napisała wypracowanie na angielski. Dostała celujący.

Wśród książek ustawionych przy drzwiach sypialni, tych, które koniecznie trzeba było ocalić w razie pożaru, był też egzemplarz „Zabić drozda”. Nosiła tę książkę przy sobie, nawet gdy jej nie czytała. I do niej wsunęła talizman od Kary, zasuszony fiołek.

Dziś jednak wybrała coś innego. „Olivera Twista” Charlesa Dickensa. Wyciągnęła się na łóżku, oparła książkę na piersi i otworzyła w miejscu zaznaczonym słomkową zakładką (nigdy nie odwracała książek grzbietem do góry, nawet tych najtańszych wydań). Zaczęła czytać. Z początku skrzywienie starego domu przejmowało ją lękiem, ale wkrótce pochłonęła ją opowieść. Mniej więcej godzinę później powieki zaczęły jej ciążyć i Geneva wreszcie zasnęła, ukołysana do snu nie pocałunkiem matki ani głębokim głosem ojca zmawiającego modlitwę, ale litanią pięknych słów obcego człowieka.

Rozdział 19

Pora spać.

- Co? - spytał Rhyme, odrywając wzrok od ekranu.

- Spać - powtórzył Thom. Powiedział to dość ostrożnie. Czasem musiał stoczyć prawdziwą bitwę, zanim Rhyme dał się przekonać do zakończenia pracy.

Ale kryminalistyk odrzekł:

- Tak, tak. Spać.

Był wyczerpany i zniechęcony. Czytał właśnie e-mail od naczelnika J. T. Beauchampa z Amarillo z informacją, że nikt w więzieniu nie rozpoznał osoby na portrecie pamięciowym NS 109.

Kryminalistyk podyktował krótkie podziękowanie i zamknął program pocztowy. Po chwili rzekł do Thoma:

- Jeszcze tylko jeden telefon i grzecznie dam się położyć.

- Pójdę trochę posprzątać - odparł asystent. - Do zobaczenia na górze.

Amelia Sachs wróciła na noc do siebie. Chciała się też zobaczyć z matką, która mieszkała niedaleko i ostatnio nie najlepiej się czuła, przez jakieś kłopoty z sercem. Sachs najczęściej nocowała u Rhyme'a, ale wciąż miała mieszkanie na Brooklynie, gdzie mieszkali inni członkowie jej rodziny i przyjaciele (jej sąsiadką z ulicy była Jennifer Robinson - policjantka, która dziś rano przyprowadziła do Rhyme'a dwie nastolatki). Poza tym Sachs, podobnie jak Rhyme, od czasu do czasu potrzebowała samotności i taki układ odpowiadał im obojgu.

Rhyme zadzwonił i chwilę rozmawiał z jej matką, życząc jej szybkiej poprawy zdrowia. Kiedy słuchawkę wzięła Sachs, przekazał ostatnie wiadomości, choć było ich niewiele.

- Dobrze się czujesz? - spytała. - Jesteś zamyślony.

- Raczej zmęczony.

- Aha. - Chyba mu nie uwierzyła. - Dobrze się wyśpij.

- Ty też. Śpij dobrze.- Kocham cię, Rhyme.

- Ja też cię kocham.

Kiedy się rozłączył, podjechał do tablicy z dowodami.

Ale nie patrzył na fakty spisane precyzyjną dłonią Thoma. Przyglądał się wydrukowi dwunastej karty tarota przyklejonemu do tablicy - karty Wisielca. Przeczytał krótki opis znaczenia karty. Utkwił spojrzenie w spokojnej twarzy wiszącego człowieka. Potem zawrócił i skierował wózek do małej windy łączącej laboratorium na parterze z sypialnią na pierwszym piętrze, uruchomił ją głosem i po chwili wyjechał na górę.

Rozmyślał nad kartą tarota. Podobnie jak Kara, ich znajoma iluzjonistka, nie wierzył w spirytyzm ani zjawiska parapsychologiczne. (Oboje na swój sposób byli naukowcami). Nie mógł się jednak oprzeć zdumieniu, że karta przedstawiająca szafot była dowodem w sprawie, w której jedną z głównych ról odgrywało słowo „szubienica” w nazwie Gallows Heights. Słowo „wisielec” także wydawało się dziwnym zbiegiem okoliczności. Rzecz jasna, kryminaliści musieli znać na wylot różne sposoby umierania i Rhyme doskonale wiedział, na czym polega powieszenie. Łamał się kark tuż poniżej podstawy czaszki. (Prawdziwą przyczyną śmierci w egzekucjach było uduszenie, ale spowodowane nie uciskiem na gardło, lecz przerwaniem przekazywania impulsów nerwowych do płuc). To samo o mały włos nie spotkało Rhyme’a podczas oględzin stacji metra przed laty.

Gallows Heights... Wisielec...

Najistotniejsze w tym zbiegu okoliczności było jednak znaczenie karty tarota: *Jej pojawienie się oznacza duchowe poszukiwanie prowadzące do podjęcia decyzji, przemiany, zmiany kierunku. Karta często zapowiada poddanie się doświadczeniu, rezygnację z walki, pogodzenie się z rzeczywistością. Gdy wylosuje się tę kartę, należy słuchać wewnętrznego głosu, nawet jeśli jego podszept wydaje się sprzeczny z logiką.*

Zabawne, ale ostatnio był zajęty właśnie poszukiwaniem - jeszcze przed sprawą NS 109 i pojawieniem się przepowiadającej przyszłość karty. Lincoln Rhyme musiał podjąć decyzję.

Zmiana kierunku...

Zamiast zostać w sypialni, pojechał do pomieszczenia stanowiącego epicentrum jego gorączkowych rozważań: do pokoju terapeutycznego, gdzie spędzał setki godzin, ćwicząc w pocie czoła według programu doktora Shermana.

Zatrzymawszy wózek w drzwiach, spojrzął na stojący w półmroku sprzęt rehabilitacyjny - rower ergometryczny, bieżnię. Potem zerknął na swoją prawą dłoń przypiętą w nadgarstku do miękkiego oparcia czerwonego wózka Storm Arrow.

Decyzja...

Śmiało, powiedział sobie.

Spróbuj. Rusz ręką.

Oddychał ciężko, nie odrywając wzroku od prawej dłoni. Nie...

Zgarbił się - na tyle, na ile mógł poruszać ramionami - i spojrzął w głąb pokoju. Myślał o wyczerpujących ćwiczeniach. Jasne, że dzięki nim poprawiła mu się gęstość kości, masa mięśni i krążenie, zmniejszyło się ryzyko infekcji i ataku nerwowo-naczyniowego.

Ale prawdziwy cel kryjący się za morderczą pracą na przyrządach można było zamknąć w złożonym z dwóch słów eufemizmie używanym przez lekarzy i fizykoterapeutów: poprawa funkcjonalna. Rhyme tłumaczył to sobie prościej: czucie i ruch.

Dwa aspekty terapii, które zbył w dzisiejszej rozmowie z Shermanem.

Prawdę powiedziawszy, skłamał lekarzowi. W głębi duszy, choć przed nikim się do tego przyznawał, gnębiło go jedno pytanie: czy te godziny tortur pozwolą mu odzyskać czucie i zdolność poruszania mięśniami, których od lat nie używał? Czy będzie umiał przekręcić gałkę mikroskopu Bausch & Lomb, żeby ustawić ostrość na jakimś włosie czy włóknie? Czy poczuje na ręce dotyk dłoni Amelii Sachs?

Jeśli chodziło o czucie, może rzeczywiście nastąpiła niewielka poprawa. Ale tetraplegik z uszkodzeniem czwartego kręgu szyjnego pływa w oceanie urojonego bólu i sztucznych wrażeń, które drażnią i oglupiają mózg. Człowiek czuje spacerującą po skórze muchę w miejscu, gdzie nie ma żadnej muchy. I nie czuje absolutnie nic, gdy spojrzy na kolana i zobaczy, że wrząca kawa parzy mu właśnie ciało do żywego mięsa. Rhyme sądził jednak, że czucie odrobinę się poprawiło.

Ale co z wielką nagrodą - ruchem? To był najcenniejszy klejnot w koronie terapii po urazie rdzenia kręgowego.

Znów spojrzał na prawą rękę, którą nie mógł poruszać od wypadku.

Na to pytanie mógł znaleźć prostą i ostateczną odpowiedź. Żadnych urojonych bólów, żadnych reakcji typu „chyba coś jakby czuję”. Mógł odpowiedzieć natychmiast. Tak albo nie. Nie potrzebował do tego rezonansu magnetycznego ani aparatu do mierzenia reakcji dynamicznej, ani innych tajemniczych przyrządów, jakie lekarze noszą w czarnych torbach. Mógł tu i teraz wysłać maleńkie impulsy w drogę przez autostradę neuronów i zobaczyć, co się stanie.

Czy posłańcy dotrą na miejsce i spowodują zgięcie serdecznego palca - co byłoby dla niego rekordem świata w skoku w dal? Czy rozbiją się gdzieś na martwym włóknie mięśni albo nerwie?

Rhyme uważał się za odważnego człowieka, fizycznie i moralnie. Przed wypadkiem nie było takiej rzeczy, której nie byłby gotów zrobić dla dobra prowadzonej sprawy. Kiedyś, gdy ochraniał miejsce zbrodni, razem z drugim funkcjonariuszem powstrzymali oszalały tłum złożony z czterdziestu osób przed splądrowaniem sklepu, gdzie rozegrała się strzelanina - choć mieli okazję się ukryć i poczekać na pomoc. Innym razem przeprowadzał oględziny miejsca, szukając tropu, który mógł ich doprowadzić do porwanej dziewczyny, piętnaście metrów od zabarykadowanego sprawcy, strzelającego do niego na oślep. Raz zaryzykował własną karierę, aresztując starszego stopniem funkcjonariusza, który zanieczyszczał miejsce zbrodni, chcąc się popisać przed dziennikarzami.

Teraz jednak odwaga go opuściła.

Wpatrywał się w prawą dłoń.

Tak, nie...

Jeżeli spróbuje poruszyć palcem i nie potrafi tego zrobić, jeżeli w tej wyczerpującej bitwie nie będzie mógł odnieść nawet małego zwycięstwa, o którym mówił doktor Sherman, będzie po nim.

Wróćą czarne myśli jak fala przyływu sięgająca coraz wyżej brzegu. I w końcu wezwie lekarza

- nie, nie doktora Shermana. Zupełnie innego lekarza. Członka Stowarzyszenia Lete, popierającego eutanazję. Kilka lat temu, kiedy próbował zakończyć życie, nie był tak samodzielny jak dziś. Nie miał tylu komputerów, nie było jeszcze uruchamianych głosem systemów USO ani telefonów. Paradoksalnie, kiedy zaczęło mu się żyć wygodniej, samobójstwo stało się o wiele prostsze. Lekarz mógł mu pomóc podłączyć jakiś aparat do USO i zostawić niedaleko tabletki albo broń.

Oczywiście miał teraz wokół siebie ludzi, inaczej niż kilka lat wcześniej. Owszem, jego samobójstwo zdruzgotałoby Sachs, ale ich miłość zawsze była naznaczona śmiercią. Sachs, policjantka z krwi i kości, przy zatrzymaniu podejrzanego często pierwsza wpadała w drzwi, choć nie musiała tego robić. Odznaczono ją za odwagę w akcji, jeździła samochodem z prędkością błyskawicy - można by nawet pomyśleć, że sama ma skłonności samobójcze.

Natomiast Rhyme, kiedy się przed kilku laty poznali - przy piekielnie trudnej sprawie, która pochłonęła wiele ofiar - był bardzo bliski odebrania sobie życia. Sachs zdawała sobie z tego sprawę.

Thom także przyjął to do wiadomości. (Podczas pierwszej rozmowy Rhyme powiedział do asystenta: „Być może niewiele czasu mi zostało. Pamiętaj, żeby od razu realizować czek, gdy tylko go dostaniesz”).

Mimo to nie mógł znieść myśli o tym, jak przyjmą jego śmierć oni i inni ludzie, których znał. Nie wspominając o nierozwiązanych zagadkach zbrodni, ofiarach, których nie będzie mógł ocalić, gdyby przestał uprawiać swoje rzemiosło, które nadawało jego życiu sens.

To dlatego odkładał termin badań. Gdyby się okazało, że nie ma poprawy, jego los byłby przesądzony.

Tak...

Karta często zapowiada poddanie się doświadczeniu, rezygnację z walki, pogodzenie się z rzeczywistością.

...czy nie?

Gdy wylosuje się tę kartę, należy słuchać wewnętrznego głosu.

Lincoln Rhyme podjął decyzję. Da sobie spokój. Przerwie ćwiczenia, przestanie się zastanawiać nad operacją rdzenia.

W końcu jeżeli się nie ma nadziei, nic nie może jej zniszczyć. Jakoś mu się żyło. Nie było to doskonałe życie, ale znośne. Lincoln Rhyme podda się losowi i przystanie na to, na co nie zgadzał się Charles Singleton: że jest niepełnym człowiekiem, człowiekiem w dwóch trzecich.

Pogodzi się, mniej więcej.

Sterując palcem serdecznym lewej dłoni, Rhyme zawrócił wózek i pojechał z powrotem do sypialni, spotykając w drzwiach Thoma.

- No, gotowy do spania? - spytał asystent.

- Właściwie tak - odrzekł wesoło Rhyme.

Część III

Gallows Heights

środa, 10 października

Rozdział 20

O ósmej rano Thompson Boyd wyprowadził samochód z garażu U I w alejce niedaleko bungalowu w Astorii, gdzie zostawił go wczoraj po ucieczce z kryjówki na Elizabeth Street. Wyjechał niebieskim buickiem na zatłoczoną ulicę i skierował się w stronę mostu Queensborough, a gdy już znalazł się na Manhattanie, ruszył na północ.

Przypominając sobie adres z wiadomości w poczcie głosowej, pojechał do zachodniego Harlemu i zaparkował dwie przecznice od domu Settle. Miał przy sobie dwudziestkędwójkę American Arms oraz pałkę, niósł także torbę na zakupy, w której nie było dziś książek o wystroju wnętrz; spoczywało w niej urządzenie, skonstruowane wczoraj wieczorem, z którym obchodził się niezwykle ostrożnie, krocząc wolno chodnikiem. Kilka razy rozejrzał się po ulicy, spoglądając na ludzi, w równych proporcjach czarnych i białych, ubranych w garnitury i spieszących się do pracy oraz studentów zmierzających w stronę Uniwersytetu Columbia - zobaczył rowery, plecaki, brody... Nie dostrzegł żadnego zagrożenia.

Thompson Boyd przystanął przy krawężniku, przyglądając się budynkowi, w którym mieszkała dziewczyna.

Kilka domów dalej stała crown **Victoria** - **przezornie** zaparkowana w **taki** sposób, by nie rzucała się w oczy. Za rogiem obok hydrantu parkował drugi nieoznakowany samochód. Thompsonowi zdawało się, że dostrzegł jakiś ruch na dachu. Snajper? Może nie, ale z pewnością ktoś się tam czał, niewątpliwie gliniarz. **Traktowali** tę sprawę naprawdę poważnie.

Pan Przeciętniak zawrócił i ruszył z powrotem do swego przeciętnego samochodu, wsiadł i uruchomił silnik. Musiał być cierpliwy. Próba przeprowadzenia akcji tutaj wiązała się ze zbyt dużym ryzykiem; trzeba było poczekać na lepszą okazję. W radiu rozległa się piosenka Harry'ego Chapina „Cat's in the Cradle”. Thompson wyłączył radio, ale dalej gwizdał melodię, nie zapominając o żadnej nutce, nie wydając ani jednego fałszywego tonu. Jej cioteczna babka coś znalazła.

Lincoln Rhyme zadzwonił do Rolanda Bella, który był w mieszkaniu Genevy, i poinformował go, że ciotka ojca Genevy, Lilly Hall, znalazła w starym schowku domu jakieś pudła ze starymi listami, pamiątkami i innymi przedmiotami. Nie wiedziała, czy przyda im się coś z tego - oczy miała do niczego - ale kartony były po brzegi wypchane papierami. Pytała, czy Geneva i policja chcą je

przejrzeć.

Rhyme chciał wysłać kogoś po wszystko, lecz ciotka się nie zgodziła, oświadczając, że odda pamiętki tylko swojej ciotecznej wnuczce. Nikomu innemu nie ufała.

- Policji też nie? - spytał Bell, a Rhyme odrzekł:

- Zwłaszcza policji.

Do rozmowy wtrąciła się Amelia Sachs, podsuwając im prawdziwy powód nieufności staruszki,- o którym Bell w pierwszej chwili nie pomyślał.

- Chyba po prostu chce się z nią zobaczyć.

- Ach tak. Rozumiem.

Nic dziwnego, że Geneva z radością zgodziła się do niej pojechać. Roland Bell o wiele bardziej wolał się opiekować nerwowymi ludźmi, którzy bali się postawić stopę na chodniku Nowego Jorku i najchętniej spędzali czas przy grach komputerowych albo grubych książkach. Wystarczyło ich wsadzić do ustronnego pokoju bez okien i wyjścia na dach, nie wpuszczać do nich żadnych gości i co dzień zamawiać pizzę albo chińszczyznę.

Ale Geneva Settle była zupełnie inna od wszystkich, których dotąd pilnował.

Proszę z panem Goadesem... Jestem świadkiem przestępstwa i zatrzymała mnie policja. Trzymają mnie tu wbrew mojej woli i...

Detektyw postanowił, że dla bezpieczeństwa wezmą dwa samochody. Fordem mieli pojechać Bell, Geneva i Pulaski; chevroletem Luis Martinez i Barbe Lynch. W radiowozie zaparkowanym pod domem państwa Settle miał zostać jeden umundurowany funkcjonariusz.

Czekając na drugi samochód, Bell zapytał, czy były jakieś nowe wiadomości od rodziców. Geneva odrzekła, że są na Heathrow i czekają na następny lot.

Bell, ojciec dwóch synów, miał swoje zdanie na temat rodziców, którzy zostawiają córkę pod opieką wuja i włóczą się po Europie. (Zwłaszcza takiego wuja. Żeby nie dać dziewczynie ani grosza na lunch? To dopiero zagadka). Mimo że Bell był samotnym ojcem i miał ciężką pracę, co dzień robił chłopcom śniadanie, pakował im lunch do szkoły, a wieczorami prawie zawsze przygotowywał kolację, choć kucharzem był raczej kiepskim i przesadzał z węglowodanami (w jego encyklopedii sztuki gotowania próżno by szukać hasła „Atkins”).

Jego zadanie polegało jednak na ochronie życia Genevy Settle, nie na wygłaszaniu komentarzy o zdolnościach wychowawczych jej rodziców. Zapomniał więc o własnych opiniach i wyszedł z domu, trzymając dłoń blisko beretty, oglądając fasady, okna i dachy budynków oraz zaparkowane w pobliżu samochody i szukając jakiegoś odbiegającego od normy szczegółu.

Kiedy przed domem zjawił się dodatkowy radiowóz, Martinez i Lynch wsiedli do

zaparkowanego za rogiem samochodu.

- Czysto. Można wychodzić - powiedział Bell przez radio.

W drzwiach ukazał się Pulaski, który prowadził przed sobą Geneve i kazał jej szybko wsiąść do forda. Sam zajął miejsce obok niej, a Bell usiadł za kierownicą. Obydwa samochody ruszyły przez miasto i wkrótce dotarły przed starą kamienicę na wschód od Piątej Alei, w *el barrio*.

W tej okolicy przeważali Portorykańczycy i Dominikańczycy, lecz mieszkały tu także inne latynoskie nacje - Haitańczycy, Boliwijczycy, Ekwadorczycy, Jamajczycy, przybysze z krajów Ameryki Środkowej - nie tylko czarni. Istniały też enklawy nowych imigrantów, legalnych i nielegalnych, z Senegalu, Liberii i państw środkowej Afryki. Przestępstw z nienawiści, do jakich tu dochodziło, nie popełniano tylko z powodu napięć między białymi a czarnymi i Latynosami; znacznie większa wrogość panowała między ludźmi urodzonymi w Ameryce a imigrantami, bez względu na ich narodowość. Tak to już jest na tym świecie, pomyślał ze smutkiem Bell.

Detektyw zaparkował w miejscu wskazanym przez Geneve, zszedł, aż z drugiego samochodu wysiadą towarzyszący im funkcjonariusze i sprawdzą ulicę. Kiedy Martinez uniósł kciuk na znak, że wszystko w porządku, szybko wprowadzili Geneve do środka.

Budynek wyglądał dość nędznie, a w korytarzu unosiła się kwaśna woń piwa i gotowanego mięsa. Geneva wyglądała na zakłopotaną stanem domu. Podobnie jak w szkole, zaproponowała detektywowi, aby zszedł na zewnątrz, zrobiła to jednak bez przekonania, jak gdyby spodziewała się przeczącej odpowiedzi.

- Lepiej chyba pójde z tobą.

Kiedy dziewczyna zapukała do drzwi na pierwszym piętrze, jakaś starsza kobieta spytała:

- Kto tam?

- Geneva. Przyszłam do cioci Lilly.

Zagrzechotały łańcuchy i szcęknęły dwa zamki. Otworzyły się drzwi, zza których wyjrzała szczupła kobieta ubrana w słowiała sukienkę, spoglądając nieufnie na Bella.

- Dzień dobry, pani Watkins - powiedziała dziewczyna.

- Witaj, skarbie. Lilly jest w salonie. - Kolejne niepewne spojrzenie na detektywa.

- To mój znajomy. - Znajomy?

- Zgadza się - odparła Geneva.

Jej mina wskazywała, że kobieta nie jest przekonana, czy dziewczyna powinna spędzać czas w towarzystwie mężczyzny trzy razy starszego od siebie, nawet jeśli był policjantem.

- Roland Bell, proszę pani. - Pokazał jej odznakę.

- Lilly coś wspominała o policji - powiedziała niepewnie. Bell cały czas się uśmiechał, nie mówiąc już nic więcej. - Jest w salonie - powtórzyła kobieta.

Cioteczna babka Genevy, krucha staruszka w różowej sukience, patrzyła w ekran telewizora przez grube okulary. Gdy ujrzała dziewczynę, jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

- Geneva, kochanie. Jak się masz? Kto to jest?

- Roland Bell, proszę pani. Bardzo mi miło.

- Jestem Lilly Hall. To pan interesuje się Charlesem?

- Owszem.

- Żałuję, że nie wiem nic więcej. Powiedziałam już Genevie wszystko. Że dostał farmę, a potem go aresztowali. Tylko tyle słyszałam. Nie wiem nawet, czy wyszedł z więzienia.

- Chyba wyszedł, ciociu. Ale nie wiemy, co się stało potem. I tego się chcemy dowiedzieć.

Na poplamionej tapecie w kwiatki wisiały trzy fotografie: Martina Luthera Kinga, Johna F. Kennedy'ego oraz słynne zdjęcie Jackie Kennedy w żałobie, w towarzystwie małego Johna Johna i Caroline.

- To tamte pudła. - Kobieta wskazała trzy duże kartony pełne papierów, zakurzonych książek i drewnianych i plastikowych przedmiotów. Stały obok stolika, którego złamaną nogę oklejono szeroką taśmą. Geneva pochyliła się i zaczęła przeglądać zawartość największego pudła.

Lilly przyglądała się jej przez chwilę, a potem powiedziała:

- Czasem go czuję.

- Czuje pani...? - spytał Bell.

- Naszego krewnego, Charlesa. Czuję, jak przychodzi. *Haint*. Tak jak inni.

Haint... Bell znał to słowo z Karoliny Północnej. Stare murzyńskie określenie ducha.

- Czuję, że jest niespokojny - dodała staruszka.

- Ja się na tym nie znam - oświadczyła z uśmiechem jej cioteczna wnuczka.

Rzeczywiście, pomyślał Bell, Geneva nie wyglądała na osobę, która wierzyłaby w duchy i siły nadprzyrodzone. Detektyw nie miał jednak tak zdecydowanych poglądów na ten temat.

- Może to, co robimy, przyniesie mu trochę spokoju - rzekł.

- No, skoro tak was interesuje Charles - powiedziała kobieta, poprawiając okulary - to mamy jeszcze innych krewnych w całym kraju. Pamiętasz kuzyna twojego ojca z Madison? I jego żonę, Ruby? Mogłabym zadzwonić i zapytać. Albo Genę-Louise z Memphis. Zadzwoniłabym, tylko nie mam swojego telefonu. - Zerknęła na stary model Princess stojący na stoliku niedaleko kuchni. Ponura mina pani Hall świadczyła, że musiała toczyć o niego zażarte boje z kobietą, u której mieszkała. - A karty do telefonów takie drogie.

- My możemy zadzwonić, ciociu.

- Och, sama chciałabym z nimi pogadać. Szmata czasu. Brakuje mi rodziny.

Bell sięgnął do kieszeni dzinsów.

- Jako że pracujemy nad tym razem z Geneva, pozwoli pani, że kupię kartę.

- Nie - zabrzmiał stanowczy głos Genevy. - Ja to zrobię.

- Nie trzeba...

- Stać mnie - odrzekła twardo i Bell schował pieniądze. Dziewczyna dała ciotce dwadzieścia dolarów.

Staruszka z czcią obejrzała banknot.

- Kupię kartę i jeszcze dzisiaj zadzwonię.

- Gdybyś się czegoś dowiedziała - powiedziała Geneva - zadzwoń pod ten sam numer co ostatnim razem.

- Dlaczego policja tak się interesuje Charlesem? Przecież on umarł co najmniej ze sto lat temu.

Geneva pochwyciła spojrzenie Bella i pokręciła głową; staruszka nie wiedziała, że jej ciotecznej wnuczce grozi niebezpieczeństwo i dziewczyna wołała, żeby tak zostało. Pani Hall, patrząc na nich przez szkła grube jak denka butelek, nie zauważyła tej wymiany spojrzeń.

- Pomagają mi udowodnić, że nie popełnił zbrodni, o którą go oskarżono - wyjaśniła Geneva.

- Naprawdę? Po tylu latach?

Bell nie był pewien, czy kobieta uwierzyła swojej ciotecznej wnuczce. Ciotka detektywa, która była mniej więcej w tym samym wieku, zachowała bystrość młodej dziewczyny. Nic nie mogło ujść jej uwagi.

Ale Lilly oświadczyła:

- To bardzo ładnie z waszej strony. Dla pana Bella trzeba zaparzyć kawy. A dla Genevy kakao. Pamiętam, że lubi.

Gdy Roland Bell ostrożnie wyjrzał na zewnątrz przez rozchylone firanki, Geneva wróciła do przeglądania papierów w pudle.

Na ulicy Harlemu dwaj chłopcy na wyścigi zjeżdżali na deskorolkach po wysokiej balustradzie schodów przed domem z piaskowca, zaprzeczając prawu grawitacji i prawu nakazującemu im przebywać teraz w szkole.

Na werandzie stała czarna kobieta, podlewając okazałe czerwone geranium, oszczędzone przez niedawny przymrozek.

Wiewiórka zakopywała albo odgrzebywała coś na dużym kawałku ziemi: był to porośnięty żółtą trawą prostokąt, pośrodku którego stał rdzewiejący wrak pralki.

A na Sto Dwudziestej Trzeciej Wschodniej, niedaleko kościoła Iglesia Adventista, na tle wysokiego wjazdu na most Triborough, trzech funkcjonariusze czujnie spoglądali na odrapany budynek z piaskowca i okoliczne ulice. Dwoje - mężczyzna i kobieta - byli w cywilu; policjant patrolujący alejkę miał na sobie mundur. Maszerował tam i z powrotem jak pełniący wartę rekrut.

Wszystkie te szczegóły dostrzegł Thompson Boyd, który przyjechał tu za Geneva Settle i jej strażą i stał teraz w zabitym deskami budynku po drugiej stronie ulicy, kilka domów na zachód. Wyglądał przez pęknięcia w zabazgranym billboardzie reklamującym kredyty mieszkaniowe pod zastaw majątku.

Ciekawiło go, dlaczego wyprowadzili dziewczynę z domu. Postąpili wbrew zasadom, ale to był ich problem.

Thompson przeanalizował logistykę: zakładał, że miał to być krótki wypad - z zaskoczenia, by tak rzec - ponieważ zaparkowali forda crown victorie i drugi samochód na widoku, nie próbując ukryć swojej obecności. Postanowił więc wykorzystać sytuację i działać szybko. Przez tylne wyjście wybiegł ze zrujnowanego budynku i okrążył cały kwartał, na chwilę wstępując po drodze do sklepiku, żeby kupić paczkę papierosów. Następnie wśliznął się w alejkę za kamienicą, w której była Geneva, i wyjrzał zza węgła. Ostrożnie postawił na asfalcie torbę na zakupy i kryjąc się za stertą worków ze śmieciami, obserwował jasnowłosego policjanta patrolującego alejkę. Morderca zaczął liczyć jego kroki. *Jeden, dwa...*

Przy trzynastym gliniarz dotarł do końca budynku i zawrócił. Pokonywał sporą odległość; pewnie kazano mu pilnować wszystkich alejek, od frontu i od tyłu, a na dodatek mieć na oku okna budynku naprzeciwko.

Na dwanaście doszedł do chodnika od frontu, zawrócił i ruszył z powrotem. *Jeden, dwa, trzy...*

Pokonał tę drogę znowu w dwanaście kroków. Rozejrzał się, po czym skierował się w przeciwną stronę, robiąc trzynaście kroków.

Następna runda miała jedenaście kroków, kolejna dwanaście.

Nie tak równo jak w zegarku, ale prawie. Thompson Boyd będzie miał co najmniej jedenaście kroków, aby się wymknąć na tył budynku, podczas gdy młody policjant będzie do niego zwrócony plecami. A potem kolejne jedenaście, po których funkcjonariusz wróci do punktu wyjścia. Thompson naciągnął na głowę kominiarzkę.

Policjant zawrócił i znów ruszył w kierunku ulicy.

W tym momencie Thompson wyskoczył zza śmieci i sprintem pobiegł na tył kamienicy, licząc... *trzy, cztery, pięć, sześć...*

Buty Bass skutecznie tłumiły odgłos jego kroków. Thompson nie odrywał wzroku od pleców chłopaka. Gliniarz nie rozglądał się wokół siebie. Na „osiem” morderca dotarł do muru i przywarł do niego plecami, łapiąc oddech; potem odwrócił się w stronę alejki, na której za chwilę miał się ukazać policjant.

Jedenaście. Gliniarz powinien już dojść do ulicy, zawrócić i ruszyć w drugą stronę. *Jeden, dwa, trzy...*

Thompson Boyd uspokoił oddech.

Sześć, siedem...

Thompson Boyd obiema rękami chwycił pałkę. *Dziewięć, dziesięć, jedenaście...* Na szorstkim bruku zgrzytnął but.

Thompson błyskawicznie wysunął się z alejki, unosząc pałkę jak kij baseballowy, szybko jak atakujący grzechotnik. Zdążył dostrzec szok na twarzy chłopaka. Usłyszał świst pałki i stłumiony okrzyk policjanta, który urwał się w chwili, gdy pałka uderzyła go w czoło. Chłopak osunął się na kolana, wydając charczący dźwięk. Morderca grzmotnął go w ciemię.

Policjant runął twarzą na brudną ziemię. Thompson zaciągnął wciąż przytomnego chłopaka za budynek, aby nikt z ulicy nie mógł ich zobaczyć.

Na dźwięk wystrzału Roland Bell skoczył do okna i ostrożnie wyjrzał. Rozpiął marynarkę i chwycił radio.

Nie zwracał uwagi na zdumioną minę przyjaciółki ciotki Lilly, która wykrztusiła:

- Boże wielki, co się dzieje?

Cioteczna babka Genevy w milczeniu wpatrywała się w wielki pistolet spoczywający na biodrze detektywa.

- Tu Bell - powiedział do mikrofonu detektyw. - Co jest? Luis Martinez odpowiedział bez tchu:

- Strzał. Gdzieś z tyłu budynku, szefie. Był tam Pulaski. Barbe poszła sprawdzić.

- Pulaski - zawołał Bell. - Zgłoś się! Cisza.

- Pulaski!

- O co tu chodzi? - spytała przerażona Lilly. - Boże. Bell uciszył ją gestem.

- Meldować pozycje - polecił przez radio.

- Ciągle jestem na werandzie od frontu - powiedział Martinez. - U Barbe cisza.

- Przejdź do korytarza na parterze, miej na oku tylne drzwi. Tamtędy bym wszedł na jego miejscu. Ale ubezpieczaj obydwaj wejścia.- Zrozumiałem.

Bell odwrócił się do Genevy i staruszek.

- Wychodzimy. Natychmiast. - Ale...

- Nie ma czasu. Jeżeli zajdzie potrzeba, wyniosę cię stąd, ale wtedy będzie nam groziło większe niebezpieczeństwo.

Wreszcie odezwała się Barbe Lynch.

- Pulaski dostał. - Potem nadała kod 10-13 - funkcjonariusz potrzebuje pomocy - i wezwała karetkę.

- Tylne drzwi całe? - zapytał Bell.

- Zamknięte na klucz - odparła Lynch. - Tylko tyle mogę powiedzieć.

- Zostań tam, zabezpiecz tylną alejkę. Zabieram ją stąd. Idziemy - zwrócił się do dziewczyny.

Nie była już taka krnąbrna, ale oznajmiła:

- Nie zostawię ich tutaj. - Wskazała na kobiety.

- Niech mi pan zaraz wyjaśni, o co tu chodzi - rzekła cioteczna babka, patrząc na Bella ze złością.

- To sprawa policji. Ktoś może próbować skrzywdzić Geneve. Musicie panie stąd wyjść. Mieszka tu jakaś wasza znajoma, do której mogłybyście na chwilę wstąpić?

- Ale...

- Nalegam, moje panie. Mieszka tu ktoś taki? Szybko. Spojrzały po sobie zaleknione i kiwnęły głowami.

- Chyba Ann-Marie - powiedziała ciotka. - Na końcu korytarza. Bell podszedł do drzwi i wyjrzał. Było pusto.

- Dobra, idziemy.

Staruszki szybko podreptały korytarzem. Bell zobaczył, jak pukają do drzwi. Otwarto im, rozległy się przyciszone głosy i z mieszkania wyjrzała twarz starszej Murzynki. Kobiety zniknęły w środku, zamykając za sobą drzwi, a potem usłyszeli grzechot łańcuchów i zamków. Detektyw i dziewczyna zbiegli po schodach, a Bell przystawał na każdym półpiętrze, trzymając w pogotowiu broń i sprawdzając, czy na dole jest bezpiecznie.

Geneva milczała. Zaciskała tylko szczęki; znów czuła wzbierającą w niej wściekłość.

Przystanęli na dole. Detektyw kazał Genevie stanąć za sobą.

- Luis? - krzyknął.

- Parter czysty, szefie, przynajmniej na razie - odpowiedział głośnym szeptem policjant z korytarza prowadzącego do tylnego wyjścia.

- Pulaski żyje - odezwał się spokojny głos Barbe. - Trzymał broń. Brakuje w niej jednego pocisku. To on strzelał. Nie widać, żeby w coś trafił.

- Co mówił?

- Jest nieprzytomny.

Może więc facet dał nogę, pomyślał Bell.

Albo zaplanował coś innego. Czy bezpieczniej było zaczekać na wsparcie? Tak nakazywałaby logika. Ale czy podpowiadałaby to samo, gdyby pytanie brzmiało: co zamierza zrobić NS 109?

Bell podjął decyzję.

- Luis, zabieram ją stąd. Musisz mi pomóc.

- Tak jest, szefie.

Thompson znów był w spalonym budynku naprzeciw kamienicy, do której weszli Geneva Settle i gliny.

Na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Ogłuszywszy policjanta, Thompson wyciągnął z jego glocka pocisk. Przywiązał go gumką do zapalonego papierosa - jak do lontu - i położył zaimprovizowaną petardę w alejce. Następnie włożył broń do ręki nieprzytomnego policjanta.

Zdjął kominiarkę i inną alejką, na wschód od budynku, wydostał się na ulicę. Kiedy papieros się spalił i zdetonował pocisk, a oboje policjanci w cywilu zniknęli, Thompson pobiegł do forda. Miał

przy sobie mały łom do podważenia drzwi, ale okazało się, że nie będzie mu potrzebny; samochód był otwarty. Z torby na zakupy wyciągnął kilka przedmiotów przygotowanych poprzedniego wieczoru, zmontował urządzenie, ukrył pod siedzeniem kierowcy i ostrożnie zamknął drzwi.

Prowizoryczne urządzenie było dość proste: składało się z niskiego, szerokiego słoja pełnego kwasu siarkowego, w którym pływał mały szklany świecznik. Spoczywała na nim kulka z folii zawierająca kilka łyżeczek cyjanku. W wyniku ruchu samochodu kulka wpadłaby do kwasu, który strawiłby folię i rozpuścił truciznę. Uniósłby się śmiertelny gaz i obezwładnił wszystkich pasażerów, zanim zdążyliby otworzyć drzwi albo okno. Zaraz potem nastąpiłaby śmierć - ściśle mówiąc, śmierć mózgu.

Wyrzwał przez szczelinę między billboardem a tym, co zostało z frontowej ściany budynku. Na werandzie był ciemnowłosy detektyw, który chyba dowodził całą grupą. Obok niego stał tamten gliniarz w cywilu, a między nimi dziewczyna.

Cała trójka przystanąła na moment, a detektyw dokładnie zlustrował ulicę, dachy, samochody i alejki.

W prawej ręce trzymał pistolet, kluczyki w drugiej. Zamierzali biec do pułapki, w jaką zmienił się samochód.

Doskonale.

Thompson Boyd odwrócił się i szybko opuścił budynek. Musiał się oddalić od tego miejsca. Nadjeżdżali inni policjanci; odgłos syren stawał się coraz głośniejszy. Wychodząc przez tylne drzwi, usłyszał, jak detektyw uruchamia silnik. Potem rozległ się pisk opon.

Oddychajcie głęboko, poradził w duchu pasażerom forda. Pomyślał tak z dwóch powodów: po pierwsze, chciał już mieć z głowy to ciężkie zadanie. Drugą przyczyną był fakt, że śmierć spowodowana cyjanowodorem mogła być wyjątkowo nieprzyjemna. Życząc im szybkiej śmierci, pomyślał to, co przysłoby do głowy człowiekowi obdarzonemu czuciem, człowiekowi, który przestał być odrętwiały.

Winogronowe, wiśniowe, mleko...

Oddychajcie głęboko.

Wyczuwając całym ciałem ryk silnika - dygotały jej ręce, nogi i plecy - Amelia Sachs mknęła w stronę hiszpańskiego Harlemu. Zanim wrzuciła trójkę, miała już na liczniku sto kilometrów na godzinę.

Była u Rhyme'a, kiedy nadeszła wiadomość: Pułaski dostał, a mordercy udało się podłożyć jakąś pułapkę w samochodzie Rolanda Bella. Zbiegła na dół, odpaliła czerwonego camaro rocznik 1969 i pognęła w stronę miejsca ataku we wschodnim Harlemie.

Pruła na zielonym świetle przez skrzyżowania, na czerwonym zwalniała do pięćdziesiątki -

patrzyła w lewo, w prawo, a potem redukcja i gaz!

Po dziesięciu minutach skręciła z piskiem opon w Sto Dwudziestą Trzecią Wschodnią, jadąc pod prąd i o włos mijając samochód dostawczy. Przed sobą zobaczyła błyskające światła karetek i trzech radiowozów z miejscowego posterunku. Ujrzała też kilkunastu umundurowanych i paru funkcjonariuszy oddziału ESU, którzy szli chodnikami. Poruszali się ostrożnie, jak żołnierze pod ostrzałem.

Pilnujcie tyłów...

Gwałtownie zatrzymała chevroleta, aż spod opon uniósł się dym, i wyskoczyła, zerkając w głąb alejek i w puste okna, sprawdzając, czy nigdzie nie czai się morderca uzbrojony w igłowe pociski. Wbiegła do alejki, mignęła odznaką i zobaczyła ratowników pochylonych nad Pułaskim. Zdołali mu udrozić drogi oddechowe i chłopak leżał na wznak. Przynajmniej żył. Ale ujrzała mnóstwo krwi, a jego twarz była okropnie spuchnięta. Sachs miała nadzieję, że coś im powie, lecz był nieprzytomny.

Wszystko wskazywało na to, że chłopak został zaskoczony przez napastnika, który zaczął się na niego, gdy Pułaski szedł alejką. Nowy był za blisko muru. Kiedy został zaatakowany, nie dostrzegł wcześniej żadnego sygnału ostrzegawczego. Zawsze należało chodzić środkiem chodnika albo alejki, by nikt nie mógł nagle na ciebie wyskoczyć.

Me wiedziałeś...

Ciekawe, czy przeżyje, żeby wyciągnąć z tej lekcji właściwe wnioski.

- Co z nim?

Ratownik nie podniósł głowy.

- Nie mam pojęcia. Ma szczęście, że jeszcze żyje. Dobra, bierzemy go - powiedział do partnera.

Kiedy ułożyli Pułaskiego na noszach i pobiegli do ambulansu, Sachs kazała się wszystkim odsunąć, aby móc zebrać dowody. Następnie wróciła do wylotu alejki i przebrała się w biały kombinezon z tyveku.

Kiedy go dopinała, podszedł do niej sierżant z miejscowego posterunku.

- Sachs, prawda? Skinęła głową.

- Ktoś widział sprawcę?

- Ani śladu. Będzie pani zabezpieczać miejsce? - Tak.

- Chce pani zobaczyć samochód detektywa Bella.

- Oczywiście. Ruszyła naprzód.

- Chwileczkę - rzekł sierżant i podał jej maskę.

- Aż tak źle?

Policjant też naciągnął maskę. Przez grubą gumę usłyszała jego zatroskany głos:

- Proszę za mną.

Rozdział 21

Ochroniani przez funkcjonariuszy ESU dwaj pirotechnicy z szóstego posterunku siedzieli na tylnej kanapie w samochodzie Rolanda Bella. Nie mieli na sobie kombinezonów chroniących przed wybuchem bomb, ale pełny rynsztunek przeciwchemiczny.

Amelia Sachs, w cieńszym białym kombinezonie, stała dziesięć metrów od nich.

- Co masz, Sachs? - odezwał się Rhyme. Wzdrygnęła się zaskoczona i zredukowała głośność. Słuchawka była pod maską.

- Na razie nie mogę podejść, bo jeszcze nie wyciągnęli pułapki. To cyjanek z kwasem.

- Sądząc po śladach na biurku, pewnie siarkowym - odrzekł.

Pirotechnicy powoli i ostrożnie wyciągnęli szklano-foliową pułapkę. Jej elementy zamknęli w specjalnych pojemnikach na niebezpieczne substancje.

Znów odezwało się radio - tym razem zgłosili się funkcjonariusze z oddziału pirotechników.

- Detektywie, unieszkodliwiliśmy urządzenie. Można już sprawdzić samochód. Ale proszę nie zdejmować maski. Nie ma gazu, ale opary kwasu mogą być groźne.

- Dobrze. Dzięki. - Ruszyła w stronę forda.

W słuchawce ponownie zatrzeszczał głos Rhyme'a:

- Zaczekaj chwilę... - Po chwili zakomunikował: - Już są bezpieczni, Sachs. Dotarli na posterunek.

- To dobrze.

Wiadomość dotyczyła niedoszłych ofiar zamachu chemicznego, Rolanda Bella i Genevy Settle. Oboje byli o włos od śmierci. Kiedy jednak szykowali się do biegu z mieszkania ciotecznej babci do samochodu, Bell uznał, że okoliczności ataku na Pułaskiego wydają się trochę dziwne. Gdy Barbe Lynch znalazła nowego, miał w ręku broń. Ale sprawca był za sprytny, żeby zostawiać pistolet policjantowi, nawet jeżeli gliniarz był nieprzytomny. Nie, jeśli nie chciał zabrać broni, przynajmniej odrzuciłby ją gdzieś daleko. Bell doszedł do wniosku, że to sprawca oddał strzał i zostawił broń, aby pomyśleli, że strzelał Pułaski. W jakim celu? Żeby odwrócić uwagę policjantów przed kamienicą.

A po co? Odpowiedź była oczywista: aby przestali pilnować samochodów.

Ford crown victoria był otwarty, a to oznaczało, że sprawca mógł podłożyć w nim bombę. Bell wziął więc kluczyki do chevroleta, którym przyjechali Martinez i Lynch, i wywiózł Geneve z niebezpiecznego miejsca, ostrzegłszy wcześniej wszystkich, by się nie zbliżali do nieoznakowanego forda, dopóki nie sprawdzą go pirotechnicy. Za pomocą kamer fiberoskopowych funkcjonariusze dokładnie obejrżeli samochód z zewnątrz i od wewnątrz i znaleźli pułapkę pod fotelem kierowcy.

Sachs przeprowadziła oględziny wszystkich miejsc: samochodu, dojścia do niego i alejki, gdzie został zaatakowany Pulaski. Znalazła tylko ślady butów Bass, które potwierdziły, że napastnikiem był NS 109, oraz jeszcze jedno urządzenie domowej roboty: pocisk ze służbowego automatu Pułaskiego został przywiązany gumką do zapalonego papierosa. Sprawca zostawił kulę w alejce i wymknął się w stronę ulicy. Gdy pocisk eksplodował, „wystrzał” wywabił policjantów na tyły domu, dając mu okazję do podłożenia pułapki w samochodzie Bella.

Spryciarz, pomyślała Sachs z ponurym uznaniem.

Nie zauważono, aby w chwili ataku w pobliżu zjawił się - może nadal tu był - wspólnik sprawcy, czarnoskóry mężczyzna w wojskowej kurtce.

Ponownie nałożywszy maskę, Sachs dokładnie zbadała szklane elementy chemicznej pułapki, ale nie znalazła odcisków palców ani innych śladów, co nikogo nie zdziwiło. Może cyjanek albo kwas coś im powiedzą. Zniechęcona poinformowała Rhyme'a o wynikach oględzin.

- Co sprawdziłaś? - zapytał.

- No, samochód i alejki wokół Pułaskiego. Potem wyloty alejki i trasę, którą podszedł do forda - w obu kierunkach.

Rhyme przez chwilę zastanawiał się w milczeniu. Ogarnął ją niepokój. Coś przegapiła?

- I co myślisz, Rhyme?

- Zrobiłaś wszystko według zasad, Sachs. Właśnie te miejsca należało sprawdzić. Ale czy ogarnęłaś całość?

- Rozdział drugi twojej książki.

- Bardzo dobrze. Przynajmniej wiem, że ktoś ją przeczytał. Zrobiłaś to?

Mimo że podczas oględzin miejsca zbrodni najważniejszy był czas, Rhyme upierał się, by zawsze poświęcić parę chwil na ogarnięcie całości i spojrzenie na miejsce zdarzenia przez pryzmat konkretnego przestępstwa. W swoim podręczniku kryminalistyki podał jako przykład pewne morderstwo w Greenwich Village. Głównym miejscem zbrodni było mieszkanie, gdzie ofiara została uduszona. Drugim było wyjście ewakuacyjne, przez które uciekł morderca. Ale odciski palców sprawcy Rhyme znalazł w trzecim miejscu, na pozór zupełnie niezwiązanym ze zbrodnią: na zapałkach w barze dla gejów trzy przecznice dalej. Nikomu nie przyszłoby do głowy sprawdzić ten

lokal, lecz Rhyme odnalazł w mieszkaniu ofiary gejowskie kasety pornograficzne; w trakcie wywiadu w najbliższym barze dla gejów barman rozpoznał ofiarę, przypominając sobie, że tego samego wieczoru była na drinku z jakimś mężczyzną. W laboratorium odkryto odciski palców na zapałkach, które leżały na barze, gdzie siedzieli mężczyźni; ślad doprowadził policję do mordercy.

- Pomyślmy, Sachs. Najpierw układa plan - zaimprovizowany, ale dość skomplikowany - żeby odwrócić uwagę naszych i podrzucić pułapkę w samochodzie. Czyli musi wiedzieć, gdzie każdy jest, co robi i czy zdąży podłożyć pułapkę. Co nam to mówi?

Sachs już się zaczęła rozglądać.

- Obserwował ulicę.

- Rzeczywiście, Sachs. Bardzo dobrze. A skąd mógł obserwować?

- Najlepszą widoczność miał z naprzeciwka. Ale tu jest kilkanaście budynków. Nie mam pojęcia, w którym mógł siedzieć.

- To prawda. Ale Harlem to dzielnica mieszkalna, prawda?

- Tylko...

- Rozumiesz, co mówię?

- Niezupełnie.

- Rodziny, Sachs. Tam mieszkają duże rodziny, nie samotni yuppie. Ktoś musiałby zauważyć wtargnięcie do domu. Albo zwrócić uwagę na faceta przyczajonego w korytarzu czy alejce. Dobre słowo, co? Przyczajony. Mówi wszystko.

- Czyli, Rhyme? - Wrócił mu dobry humor, ale Sachs irytowała się, że bardziej interesuje go zagadka śledztwa niż na przykład stan Pułaskiego albo sytuacja Rolanda Bella i Genevy Settle, którzy ledwie uszli z życiem.

- Nie w mieszkaniu. Nie na dachu - ludzie Rolanda zawsze tam sprawdzają. Musiał się ukryć gdzie indziej. Jak sądzisz, gdzie?

Znów rozejrzała się po ulicy...

- Przed opuszczonym budynkiem stoi billboard. Pomazany graffiti i wyklejony ulotkami - dosłownie przeładowany. Gdyby facet się tam schował, trudno by go było zauważyć. Idę zobaczyć.

Upewniając się po drodze, czy nie widać żadnego znaku obecności sprawcy w pobliżu, przecięła ulicę i okrążyła stary, spalony budynek - chyba dawny sklep. Kiedy weszła przez okno z tyłu, zauważyła grubą warstwę kurzu na podłodze - idealną powierzchnię dla śladów stóp, i jak się można było spodziewać, od razu spostrzegła odciski butów Bass należących do NS 109. Mimo to nałożyła gumki na swoje podeszwy, stosując sztuczkę wymyśloną przez Rhyme'a, by funkcjonariusz

dokonujący oględzin nie pomylił własnych śladów ze śladami podejrzanego. Ruszyła w głąb pomieszczenia z glockiem w dłoni.

Idąc po śladach sprawcy w stronę frontu budynku, od czasu do czasu zatrzymywała się, nasłuchując. Usłyszała jakieś pojedyncze szelesty, ale znając odgłosy różnych podejrzanych zakamarków Nowego Jorku, natychmiast odgadła, że to szczury.

Po chwili wyjrzała przez szczelinę w sklejkach, z których był zbudowany billboard, i przekonała się, że istotnie był stąd doskonały widok na ulicę. Poszła po parę narzędzi, a gdy wróciła, spryskała mury barwnikiem fluorescencyjnym i oświetliła ultrafioletem oświetlacza.

Znalazła tylko ślady lateksowych rękawiczek.

Poinformowała o swoich odkryciach Rhyme'a, dodając:

- Zbiorę mikroślady z miejsca, gdzie stał, ale niewiele tu widzę. Facet po prostu nic nie zostawia.

- Profesjonalista do kwadratu - westchnął Rhyme. - Ile razy wydaje nam się, że go wykiwaliśmy, okazuje się, że on już zdążył wykiwać nas. Dobra, przywieź wszystko, co znalazłaś, Sachs. Obejrzymy to.

Czekając na powrót Sachs, Rhyme i Sellitto podjęli decyzję: choć uważali, że NS 109 uciekł spod kamienicy, postanowili na pewien czas umieścić cioteczną babcię Genevy, Lilly Hall, i jej przyjaciółkę w hotelu.

Pułaski był na oddziale intensywnej opieki medycznej i nie odzyskał jeszcze przytomności. Lekarze nie potrafili orzec, czy przeżyje. Dowiedziawszy się o tym, Sellitto ze złością zatrzaskała kłapkę telefonu.

- Przecież to pieprzony żółtodziób. Nie miałem prawa włączać go do zespołu Bella. Sam powinienem iść.

Dziwnie brzmiały w jego ustach takie słowa.

- Pomyśl, jaki masz stopień, Lon - zauważył Rhyme. - Kiedy ostatni raz pracowałeś przy ochronie, dwadzieścia lat temu?

Ale tęgiego detektywa wcale to nie pocieszyło.

- Był za cienki na takie zadanie. Głupio zrobiłem. Niech to szlag.

Jego dłoń znów potarła punkcik na policzku. Detektyw był wyraźnie zdenerwowany, a dziś wyglądał wyjątkowo niechlujnie. Zwykle ubierał się tak jak teraz: w jasną koszulę i ciemny garnitur. Rhyme zastanawiał się jednak, czy ma na sobie te same rzeczy co wczoraj. Chyba tak. Na rękawie marynarki było widać plamkę krwi po strzelaniu pod biblioteką - jak gdyby garnitur miał być jego

szatą pokutną.

Rozległ się dzwonek.

Po chwili zjawił się Thom w towarzystwie wysokiego i chudego mężczyzny. Człowiek miał bladą cerę, złą postawę, rozwichrzoną brodę i kręcone włosy. Był ubrany w marynarkę z beżowego sztruksu i brązowe spodnie. Uzupełnienie stroju stanowiły sandały.

Jego oczy omiotły szybko laboratorium, a potem spoczęły na Rhymie.

- Czy jest tu Geneva Settle? - spytał bez cienia uśmiechu przybysz.

- Kim pan jest? - spytał Sellitto.

- Nazywam się Wesley Goades.

Ach, prawnik terminator. Rhyme nie bez zdumienia przekonał się, że adwokat naprawdę istnieje. Sellitto wylegitymował go i skinął głową.

Długie palce Goadesa bez przerwy poprawiały grube okulary w drucianych oprawkach albo skubały długą brodę. Mężczyzna nie potrafił patrzeć nikomu w oczy dłużej niż pół sekundy. Jego roztańczony wzrok przywiódł Rhyme'owi na myśl koleżankę Genevy, strzelającą gumą Lakeeshę Scott.

Adwokat podał wizytówkę Thomowi, który z kolei podsunął ją Rhyme'owi. Goades był prezesem Towarzystwa Pomocy Prawnej w Harlemie i członkiem stowarzyszonym Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich. Według informacji drobnym drukiem u dołu miał uprawnienia do prowadzenia praktyki adwokackiej w stanie Nowy Jork, w federalnych sądach okręgowych w Nowym Jorku i Waszyngtonie oraz w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych.

Być może praca dla kapitalistycznych firm ubezpieczeniowych sprawiła, że przeszedł na drugą stronę.

Odpowiadając na pytające spojrzenia Rhyme'a i Sellitta, powiedział:

- Nie było mnie w mieście. Przekazano mi wiadomość, że wczoraj dzwoniła do mnie do biura Geneva. Mówiła, że jest świadkiem w jakiejś sprawie. Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

- Jest cała i zdrowa - odrzekł Rhyme. - Ktoś usiłował dokonać zamachu na jej życie, ale jest pod całodobową opieką policji.

- Jest tu przetrzymywana? Wbrew swojej woli?

- Nie, nie przetrzymywana - zaprotestował stanowczo kryminalistyk. - Jest w swoim domu.

- Z rodzicami?

- Z wujem.

- O co tu chodzi? - zapytał adwokat o kamiennej twarzy, spoglądając to na jedną, to na drugą twarz, przebiegając wzrokiem przez tablice z dowodami, sprzęt, plątaninę kabli.

Rhyme jak zawsze nie miał ochoty omawiać prowadzonej sprawy z obcą osobą, lecz adwokat mógł wiedzieć coś ważnego.

- Naszym zdaniem kogoś niepokoi temat pracy semestralnej, jaką zamierza napisać Geneva. O swoim przodku. Wspominała coś panu?

- Ach, o byłym niewolniku?

- Otóż to.

- Dzięki temu ją poznałem. W zeszłym tygodniu przyszła do mojego biura i zapytała, czy wiem, gdzie może znaleźć materiały przestępstw popełnionych w mieście w dziewiętnastym wieku. Pokazałem jej parę starych książek, ale protokołów z tak dawnych procesów nie sposób znaleźć. Nie potrafiłem jej pomóc. - Chudy mężczyzna uniósł brew. - Chciała mi zapłacić, za to, że poświęciłem jej czas. Tego nie robi nawet większość moich prawdziwych klientów.

Ogarniając jeszcze jednym spojrzeniem cały dom, Goades chyba uznał, że przedstawiono mu prawdziwy stan rzeczy.

- Jesteście bliscy złapania tego człowieka?

- Mamy parę tropów - odparł wymijająco Rhyme.

- Proszę jej powiedzieć, że byłem. A gdyby czegoś potrzebowała, niech dzwoni w każdej chwili. - Ruchem głowy wskazał wizytówkę i wyszedł.

Mel Cooper zachichotał.

- Założę się o stówę, że gość musiał kiedyś w swojej karierze bronić puszczyka plamistego czy innego zagrożonego gatunku.

- Nie znajdziesz chętnych do zakładu - mruknął Rhyme. - A w ogóle czemu pozwalamy sobie zawracać głowę? Do roboty!

Dwadzieścia minut później przyjechali Bell i Geneva z pudłem dokumentów i pamiątek od ciotecznej babci dziewczyny, które jeden z funkcjonariuszy przywiózł im na posterunek.

Rhyme poinformował ją o wizycie Wesleya Goadesa.

- Chciał sprawdzić, czy wszystko w porządku? Mówiłam, że jest dobry. Jeżeli kiedyś kogoś pozwę do sądu, zamierzam go zatrudnić.

Do laboratorium weszła Amelia Sachs z zebranymi dowodami, witając Genčve i pozostałych skinieniem głowy.

- Zobaczymy, co to jest - oznajmił ochoczo Rhyme. Papieros, który NS 109 wykorzystał jako lont do wywołania

„strzału”, był marki Merit, dostępny wszędzie i nie do wykrycia. Papieros się spalił, ale nie został wypalony - w każdym razie na filtrze nie znaleźli śladów zębów ani śliny. Oznaczało to, że prawdopodobnie sprawca nie jest palaczem. Oczywiście na papierosie nie było żadnych odcisków palców. Gumka, którą przytroczył go do pocisku, też nie wyróżniała się niczym szczególnym. Nie potrafili ustalić producenta cyjanku. Kwas można było kupić w wielu miejscach. Pułapkę, w której miał się mieszać kwas z trucizną, zrobiono ze zwykłych przedmiotów, jakie można znaleźć w każdym domu: szklanego słoja, folii i szklanego świecznika. Nie znaleźli żadnego śladu czy wskazówki, jakie mogłyby ich doprowadzić do konkretnego miejsca.

W opuszczonym domu, skąd morderca prowadził obserwację, Sachs znalazła odrobinę tajemniczego płynu, który przywiozła z kryjówki przy Elizabeth Street (Rhyme wciąż niecierpliwie czekał na wyniki jego analizy z FBI). Zebrała także kilka drobnych płatków pomarańczowej farby, jaką zwykle maluje się drogowskazy albo tablice ostrzegawcze na budowach lub miejscach rozbiórek. Sachs była pewna, że pozostawił je sprawca, ponieważ znalazła płatki w dwóch miejscach, tuż obok śladów jego butów, i nigdzie indziej. Rhyme przypuszczał, że sprawca może udawać robotnika drogowego albo budowlanego. A może naprawdę tym się trudnił.

Tymczasem Sachs i Geneva przeglądały pamiątki rodzinne z domu ciotki. W pudle było kilkadziesiąt starych książek, czasopism, papierów, wycinków, notatek, przepisów, upominków i pocztówek.

Wśród nich odnalazły poźółkły list niewątpliwie napisany ręką Charlesa Singletona. Tym razem jednak jego pismo było znacznie mniej eleganckie niż w poprzedniej korespondencji.

Zważywszy na okoliczności, było to zupełnie zrozumiałe.

Sachs zaczęła czytać na głos:-

- „Piętnasty lipca tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku”.

- Dzień po kradzieży w Funduszu Wyzwoleńców - zauważył Rhyme.

- Czytaj dalej.

- „Violet, cóż to za szaleństwo! Jak dane mi się było przekonać, wszystkie te wydarzenia zostały zaplanowane, mają mnie skompromitować i okryć hańbą w oczach moich współpracowników i szlachetnych, walczących o wolność żołnierzy.

Dziś dowiedziałem się, gdzie mogę szukać sprawiedliwości i wieczorem wyruszyłem do

Potters' Field uzbrojony w mego colta. Moje starania zakończyły się jednak katastrofą, a jedyna nadzieja na ratunek spoczywa zagrzebana na zawsze pod ziemią i gliną.

Tę noc muszę spędzić w ukryciu przed konstablami, którzy już mnie wszędzie szukają, ale rankiem przekradnę się do New Jersey. Wy także musicie uciekać; obawiam się, że i na was będą szukać zemsty. Jutro w południe spotkajmy się przy moło Johna Stevensa w New Jersey. Razem wyruszymy do Pensylwanii, jeśli Twoja siostra i brat zgodzą się udzielić nam schronienia.

W budynku nad stajnią, gdzie się ukrywam, mieszka człowiek, któremu, jak mniemam, mój los nie jest obojętny. Zapewnił mnie, że doręczy Ci tę wiadomość”.

Sachs uniosła wzrok.

- Coś tu jest skreślone. Nie mogę odczytać. Dalej napisał: „Zapadła już ciemność. Jestem głodny i zmęczony, udręczony jak Hiob. Moje łzy - te plamy na liście, najdroższa - nie są jednak łzami cierpienia, a łzami żalu z powodu nieszczęścia, jakie na nas sprowadziłem. Wszystko przez moją przeklętą tajemnicę! Gdybym wykrzyczał ją z wieży ratusza, może nigdy by nie doszło do tych smutnych wydarzeń. Ale za późno już na słowa prawdy. Błagam, wybacz mi moje samolubstwo i nieuczciwość, które doprowadziły do klęski”.

- Sachs oderwała wzrok od listu. - Podpisał tylko „Charles”.

Rhyme pamiętał, że nazajutrz rano rozpoczął się pościg i doszło do aresztowania opisanego w artykule, który czytała Geneva, gdy została zaatakowana.

- Jego jedyna nadzieja? „Zagrzebana w ziemi i glinie”? - Rhyme zerknął na list, który podsunęła mu Sachs. - Znowu nic konkretnego na temat tajemnicy... Co się stało w Potters' Field? To ten cmentarz dla nędzarzy, prawda?

Mel Cooper wszedł do Internetu i przez kilka chwil szukał informacji. Poinformował ich, że miejski cmentarz dla ubogich znajdował się na Hart's Island, niedaleko Bronksu. Wyspa była bazą wojskową, a cmentarz otwarto krótko przed wizytą Charlesa, kiedy udał się tam z tajemniczą misją uzbrojony w colta.

- Wojskowa? - spytał Rhyme, marszcząc brwi. Coś sobie przypominał. - Pokaż mi tamte listy.

Cooper spełnił prośbę.

- Patrzcie, tam był zgrupowany oddział Charlesa. Ciekawe, czy to ma jakiś związek. Jest coś jeszcze o cmentarzu?

- Nie - odparł Cooper. - Tylko parę trafień. Rhyme przebiegł spojrzeniem białą tablicę.

- Do diabła, co Charles mógł kombinować? Gallows Heights, Potters' Field, Frederick Douglass, walka o prawa obywatelskie, kongresmani politycy, Czternasta Poprawka... Co to wszystko może łączyć? - Po dłuższej chwili ciszy kryminalistyk oświadczył: - Trzeba wezwać eksperta.

- Kto jest lepszym ekspertem od ciebie, Lincoln?

- Nie mam na myśli kryminalistyki, Mel - odparł Rhyme. - Mówię o historii. Jest parę dziedzin, w których brakuje mi biegłości.

Rozdział 22

Profesor Richard Taub Mathers był szczupły i wysoki, o skórze barwy mahoni, przenikliwych oczach i intelekcie świadczącym o tym, że w jego życiorysie figuruje kilka doktoratów. Nosił krótkie afro i zachowywał się bardzo powściągliwie. Ubrany był jak profesor: miał muszkę i tweedową marynarkę, której brakowało tylko obowiązkowych zamyszonych łat na łokciach.

Skinął Rhyme'owi głową, na moment zatrzymując wzrok na wózku, a potem uściśnął dłoń pozostałym obecnym.

Rhyme czasami wykładał kryminalistykę w miejscowych college'ach, głównie John Jay i Fordham; rzadko pojawiał się w murach tak szacownych uczelni jak Uniwersytet Columbia, ale pewien znajomy profesor z Uniwersytetu Waszyngtona w stolicy skontaktował go z Mathersem, który, jak się okazało, był w Morningside Heights prawdziwą instytucją, profesorem na wydziale prawa. Uczył prawa karnego, konstytucyjnego i cywilnego, prowadził też seminaria magisterskie z różnych ezoterycznych dziedzin oraz wykładał kulturę i literaturę afroamerykańską na studiach licencjackich.

Mathers z uwagą słuchał relacji Rhyme'a o poznanej dotychczas historii Charlesa Singletona i ruchu na rzecz praw obywatelskich, jego tajemnicy i prawdopodobnie fałszywym oskarżeniu o kradzież. Potem kryminalistyk opowiedział o tym, co zdarzyło się Genevie w ciągu ostatnich dwóch dni.

Profesor oniemiał z zaskoczenia.

- Próbował cię zabić? - szepnął.

Geneva milczała. Patrząc mu w oczy, przytaknęła ruchem głowy.

Mathers rozpiął marynarkę i wyciągnął cienkie, wytworne okulary. Uważnie i bez pośpiechu przeczytał listy Charlesa. Kilka razy kiwał głową i uśmiechał się do siebie. Gdy skończył, uniósł głowę.

- Fascynujący człowiek. Wyzwoleniec, farmer, służył w Trzydziestym Pierwszym Pułku Kolorowych... i był pod Appomatox.

Jeszcze raz przeczytał listy, a Rhyme musiał się powstrzymać od uwagi, by się pospieszył. Wreszcie profesor zdjął okulary, dokładnie przetarł szkła i powiedział w zadumie:

- A więc miał swój udział w uchwaleniu Czternastej Poprawki? - Znow lekko się uśmiechnął. Był wyraźnie zaintrygowany. - To może być interesujące. To może być coś.

Ze wszystkich sił starając się zachować spokój, Rhyme spytał:

- Tak, a co dokładnie? Co jest interesujące?

- Oczywiście mówię o kontrowersji.

Gdyby Rhyme mógł się ruszać, złapałby go za kłapy i wrzasnął mu w twarz, żeby się z łaski swojej pospieszył. Mógł jednak tylko zmarszczyć brwi.

- A jakiej kontrowersji?

- Co państwo powiedzą na odrobinę historii?

Rhyme westchnął. Sachs posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, więc rzekł:

- Proszę mówić.

- Konstytucja Stanów Zjednoczonych jest dokumentem ustanawiającym amerykańską władzę - prezydenturę, Kongres i Sąd Najwyższy. Wciąż określa sposób, w jaki funkcjonuje państwo, i pozostaje nadrzędna wobec wszystkich stanowionych praw i przepisów.

Nasz kraj zawsze dążył do równowagi: chciał silnego rządu, który będzie nas bronił przed obcymi mocarstwami i regulował nasze życie, ale nie na tyle silnego, by zaczął stosować wobec nas ucisk. Kiedy założyciele państwa przeczytali konstytucję już po jej podpisaniu, zaczęli się obawiać, że jest zbyt potężna i może doprowadzić do powstania represyjnego reżimu. Dlatego postanowili ją skorygować - uchwalili dziesięć poprawek czyli Deklarację Praw. Najważniejszych jest osiem pierwszych. Dotyczą podstawowych praw chroniących obywateli przed nadużyciami ze strony rządu federalnego. Na przykład FBI nie może nikogo aresztować bez uzasadnionej przyczyny. Kongres nie może nikomu odebrać domu, nie wypłacając w zamian odszkodowania, żeby wybudować w tym miejscu autostradę międzystaniową. Każdy ma prawo do uczciwego procesu i osądzenia przez bezstronną ławę przysięgłych. Nikt nie może być skazany na okrutną i sprzeczną ze zwyczajami karę i tak dalej. Czy zwrócili państwo uwagę na kluczowe słowo?

Rhyme miał wrażenie, że profesor robi im kolokwium. Ale zanim ktoś zdążył się odezwać, Mathers ciągnął:

- „Federalny”. W Ameryce władzę mają dwa różne rządy: federalny w Waszyngtonie i stanowy w naszym rodzinnym stanie. Deklaracja Praw ogranicza wyłącznie prerogatywy rządu federalnego: Kongresu i agencji federalnych w rodzaju FBI i DE A. Deklaracja Praw nie daje nam prawie żadnej ochrony przed pogwałceniem praw ludzkich i obywatelskich przez rządy stanowe. A na nasze życie bardziej bezpośredni wpływ mają właśnie prawa stanowe - większość spraw związanych z działaniem policji, robotami publicznymi, nieruchomościami, samochodami, rodziną, testamentami, procesami cywilnymi podlega jurysdykcji władz stanowych.

Czy na razie wszystko jest zrozumiałe? Konstytucja i Deklaracja Praw chronią nas tylko przed Waszyngtonem, ale nie przed nadużyciami ze strony Nowego Jorku czy Oklahomy.

Rhyme skinął głową.

Profesor przysiadł na taborecie laboratoryjnym, niepewnie spoglądając na kamionkowe naczynie z jakąś zieloną mazią, po czym kontynuował:

- Wróćmy do lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Broniące niewolnictwa Południe przegrywa wojnę secesyjną, więc uchwalamy Trzynastą Poprawkę, która zakazuje niewolnictwa. Kraj zostaje zjednoczony, przymusowa służba zostaje zabroniona prawem... powinna zapanować wolność i harmonia, zgadza się?

Parsknął cynicznym śmiechem.

- Otóż wcale się nie zgadza. Zakaz niewolnictwa nie wystarczył. Wobec czarnych było jeszcze więcej wrogości niż przed wojną - nawet na Północy - dlatego, że za ich uwolnienie oddało życie wielu młodych ludzi. Legislatury stanowe uchwały setki praw dyskryminujących czarnych. Nie mieli praw wyborczych, dostępu do urzędów, nie mogli posiadać nieruchomości, korzystać z obiektów publicznych, zeznawać w sądzie... Życie dla większości z nich było równie ciężkie jak w niewoli.

Proszę pamiętać, że to były prawa stanowe: Deklaracja Praw nie mogła ich zakazać. Tak więc Kongres uznał, że obywateli należy chronić przed rządami stanowymi. Aby to uczynić, zaproponowano Czternastą Poprawkę. - Mathers zerknął na komputer. - Pozwolą państwo, że skorzystam z Internetu?

- Proszę bardzo - odrzekł Rhyme.

Profesor wpisał hasło do wyszukiwarki AltaVista i po chwili znalazł jakiś tekst. Skopiował go do osobnego okna i wszyscy zobaczyli go na ekranach w laboratorium.

Żaden stan nie będzie stanowił prawa ani wymuszał posłuszeństwa dla jakiegokolwiek prawa, które by w jakikolwiek sposób ograniczało przywileje i swobody obywateli Stanów Zjednoczonych; żadnemu też stanowi nie wolno pozbawić jakiegokolwiek osoby życia, wolności lub własności inaczej niż w drodze właściwego przewodu sądowego; nie wolno mu też odmówić jakiegokolwiek osobie zamieszkałej na obszarze podlegającym jego jurysdykcji równej opieki prawnej.

- To część działu pierwszej poprawki - wyjaśnił. - Drastycznie ogranicza prawa stanu wobec swoich obywateli. Inna część, której tu nie umieściłem, zachęca stany do udzielenia czarnym - czarnym mężczyznom, ściśle mówiąc - prawa wyborczego. Czy na razie wszystko jest jasne? - zapytał nauczycielskim tonem.

- Nadążamy - przytaknęła Sachs.

- Każda poprawka do konstytucji musi być zaaprobowana przez Kongres w Waszyngtonie, a potem przez trzy czwarte stanów. Kongres przyjął Czternastą Poprawkę wiosną tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego roku, po czym przedstawiono ją stanom do ratyfikacji. Dwa lata później została ratyfikowana przez wymaganą liczbę stanów. - Pokręcił głową. - Ale zaczęły krążyć pogłoski,

że nie została uchwalona i ratyfikowana we właściwy sposób. To właśnie kontrowersja, o jakiej wspominałem.

Rhyme zmarszczył brwi.

- Naprawdę? Co takiego zrobiono przy uchwalaniu?

- Używano kilku argumentów: kilka stanów, już po przegłosowaniu ratyfikacji, wycofało swoje poparcie, ale Kongres to zignorował. Niektórzy twierdzili, że poprawka nie została należycie przedstawiona i przyjęta w Waszyngtonie. Pojawiły się także zarzuty o sfałszowanych głosowaniach w legislaturach stanowych, łapówkach, a nawet groźbach.

- Groźbach? - Sachs wskazała listy. - Tak jak pisał Charles.

- Polityka wyglądała wtedy inaczej - wyjaśnił Mathers. - W tych czasach J. P. Morgan zorganizował prywatną armię, żeby się rozprawić z oddziałami swoich konkurentów Jaya Goulda i Jima Fiska w sporze o przejęcie kolei. A policja i rząd przyglądały się temu z założonymi rękami.

Muszą też państwo wiedzieć, że ludzie poświęcili się sprawie poprawki z prawdziwą żarliwością. Nasz kraj został niemal doszczętnie zniszczony, zginęło pół miliona ludzi - prawie tyle co we wszystkich dotychczasowych wojnach. Bez Czternastej Poprawki kontrolę nad Kongresem przejęłoby Południe, kraj znów mógłby się podzielić. Mogła nawet wybuchnąć nowa wojna domowa.

Pokazał leżące przed nim materiały.

- Wasz Singleton był widocznie jedną z osób, które wyruszyły do stanów prowadzić agitację na rzecz poprawki. A jeżeli znalazł dowód, że poprawka rzeczywiście była nieważna? Taka tajemnica na pewno nie dawałaby mu spokoju.

- Czyli być może było tak - zaczął Rhyme - że grupa popierająca poprawkę wrobiła go w kradzież, żeby go zdyskredytować. I gdyby wyjawiał, co wie, nikt by mu nie uwierzył.

- Wielcy przywódcy z tamtych czasów na pewno nie posunęliby się do takiego kroku; nie Frederick Douglass ani Stevens czy Sumner. Ale istotnie, na pewno wielu politykom zależało na uchwaleniu poprawki i byli gotowi zrobić wszystko, by tak się stało. - Profesor odwrócił się do Genevy. - To by wyjaśniało, dlaczego tej młodej damie grozi niebezpieczeństwo.

- Dlaczego? - spytał Rhyme. Śledził tok jego wywodu, ale dalszych konsekwencji procesów historycznych nie bardzo rozumiał. - Wystarczy otworzyć gazetę - odezwał się nagle Thom.

- I co to niby ma znaczyć? - warknął Rhyme. Odpowiedział mu Mathers:

- To znaczy, że co dzień możemy przeczytać artykuł o tym, jaki wpływ na nasze życie ma Czternasta Poprawka. Wprawdzie nie wspomina się o niej wprost, ale wciąż pozostaje jedną z najpotężniejszych broni w naszym arsenale praw obywatelskich. Sformułowania są bardzo niejasne - co to jest „właściwy przewód sądowy”? Albo „równa opieka prawna”? „Przywileje i swobody”? Ta niejasność była naturalnie celowa, aby Kongres i Sąd Najwyższy mogły tworzyć nowe środki

ochronne dla kolejnych pokoleń.

Na podstawie tych kilku słów stworzono setki praw dotyczących wszystkiego, co można sobie wyobrazić, nie tylko dyskryminacji rasowej. Skorzystano z niej, żeby unieważnić dyskryminacyjne prawa podatkowe, żeby chronić bezdomnych i nieletnich robotników, żeby zagwarantować biednym podstawową opiekę medyczną. To także podstawa praw gejów i tysięcy procesów rocznie o prawa więźniów. Chyba najwięcej kontrowersji wzbudziło wykorzystanie poprawki do ochrony prawa do aborcji.

Bez niej stany mogłyby uznać lekarzy dokonujących aborcji za morderców, którym grozi kara śmierci. Teraz, po jedenastym wrześniu, kiedy wszyscy mają w głowie tylko ochronę ojczyzny, właśnie Czternasta Poprawka powstrzymuje stany przed zamykaniem niewinnych muzułmanów i przetrzymywaniem ich w areszcie tak długo, jak życzyłaby sobie policja. - Spokój profesora wyraźnie był tylko maską. - Jeżeli rzeczywiście jest nieważna z powodu jakiegoś odkrycia dokonanego przez Charlesa Singletona, to może być koniec naszej wolności.

- Ale powiedzmy, że faktycznie dowiedział się czegoś takiego - powiedziała Sachs. - Poprawkę można przecież uchwalić jeszcze raz?

Tym razem śmiech Mathersa zabrzmiał naprawdę cynicznie.

- Nic podobnego. Wszyscy historycy są zgodni, że Czternasta Poprawka została uchwalona w jedynym korzystnym do tego okresie. Nie, gdyby Sąd Najwyższy unieważnił poprawkę, och, moglibyśmy ponownie uchwalić kilka praw, ale stracilibyśmy na zawsze główną broń chroniącą prawa i swobody obywatelskie.

- Jeżeli to rzeczywiście jest motyw - odezwał się Rhyne - to kto stoi za atakiem na Geneve? Kogo mamy szukać?

Mathers pokręcił głową.

- Lista jest bardzo długa. Dziesiątkom tysięcy ludzi zależy, by poprawka nadal obowiązywała. Może to być liberał albo radykał, członek grupy mniejszościowej - rasowej albo seksualnej - albo zwolennik programów społecznych, opieki medycznej dla biednych, prawa do aborcji, praw dla gejów, praw więźniów, praw pracowników... Na ogół sądzymy, że ekstremiści wywodzą się ze skrajnej prawicy - to matki, które każą swoim dzieciom kłaść się na drogach przed klinikami aborcyjnymi, albo ludzie podkładający bomby pod budynki federalne. Ale oni wcale nie mają monopolu na zabijanie w imię zasad. Terrorystami w Europie byli w większości lewacy. - Znow pokręcił głową. - Nie mam nawet odwagi zgadywać, kto może za tym stać.

- Musimy jednak zawęzić jakoś pole poszukiwań - powiedziała Sachs.

Rhyne wolno pokiwał głową, myśląc, że ich głównym celem było złapanie NS 109 w nadziei, że im powie, kto go wynajął, albo znalezienie dowodu, który by ich doprowadził do tej osoby. Ale wyczuwał instynktownie, że to także jest ważny trop. Jeżeli teraźniejszość nie dawała żadnej odpowiedzi na pytanie, kto chce zabić Geneve Settle, należało się zwrócić ku przeszłości.

- Ktokolwiek to jest, wie znacznie więcej niż my o tym, co się zdarzyło w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku. Jeżeli ustalimy, co wiedział Charles, co zamierzał zrobić, jaką miał tajemnicę i jak naprawdę wyglądała sprawa kradzieży, może gdzieś nas to zaprowadzi. Muszę mieć więcej informacji o tej epoce w Nowym Jorku, o Gallows Heights, Potters' Field - co się tylko da znaleźć. - Zmarszczył brew, znów coś sobie przypominając. Zwrócił się do Coopera: - Gdy pierwszy raz sprawdzałeś Gallows Heights, znalazłeś artykuł o budynku niedaleko stąd, o Fundacji Sanforda.

- Zgadza się.

- Masz go jeszcze?

Mel Cooper zapisywał wszystkie dane. Po chwili otworzył w komputerze artykuł z „Timesa”.

- Proszę.

Rhyme przeczytał tekst i dowiedział się z niego, że Fundacja Sanforda ma obszerne archiwum na temat historii Upper West Side.

- Zadzwoń do prezesa fundacji - Williama Ashberry'ego. Powiedz, że musimy zajrzeć do jego biblioteki.

- Już się robi. - Cooper chwycił słuchawkę. Po krótkiej rozmowie oznajmił: - Chętnie nam pomogą. Ashberry odda nam do dyspozycji kustosza archiwum.

- Ktoś będzie tam musiał iść - powiedział Rhyme, spoglądając pytająco na Sachs.

- Ktoś? Wygrałam w marynarza walkowerem?

A kto inny wchodził w grę? Pulaski leżał w szpitalu, Bell i jego ludzie pilnowali Genevy. Cooper był naukowcem, a Sellitto miał za wysoki stopień, żeby odwalać taką nudną robotę.

- Nie ma małych miejsc zbrodni - zadrwił Rhyme. - Są tylko mali spece od miejsc zbrodni.

- Bardzo, śmieszne - odparła z kwaśną miną. Narzuciła żakiet i chwyciła torebkę.

- Jeszcze jedno - dodał Rhyme, poważniejąc. Spojrzała na niego pytająco.

- Wiemy, że nie zawaha się do nas strzelać. Czyli do policji.

- Pamiętaj o tej pomarańczowej farbie. Rozglądaj się, czy nie zauważysz gdzieś budowlańców albo robotników drogowych... Zresztą musisz uważać na wszystkich.

- Jasne - odrzekła. Zapisała adres fundacji i wyszła. Profesor Mathers jeszcze raz przejrzał listy i dokumenty, po

czym zwrócił je Cooperowi. Zerknął na Geneve.

- Kiedy byłem w twoim wieku, w szkole średniej nie było jeszcze kultury i literatury afroamerykańskiej. Jak wygląda teraz program? Przedmiot trwa dwa semestry?

Geneva zmarszczyła czoło.

- KLA? Nie mam tego.

- To z czego piszesz pracę semestralną?

- Z angielskiego.

- Ach, tak. Czyli kulturę afroamerykańską będziesz miała w przyszłym roku?

Chwila wahania.

- W ogóle nie chcę tego wybierać.

- Naprawdę?

Geneva wyczuła w jego głosie nutę krytyki.

- Dostaje się tylko zaliczenie. Wystarczy przychodzić na lekcje. Nie chcę takich stopni na świadectwie.

- Nie zaszkodzi.

- Ale po co? - zapytała bez ogródek. - Słyszeliśmy już o tym setki razy... „Amistad”, niewolnicy, John Brown, segregacja, proces „Brown kontra wydział edukacji”, Martin Luther King, Malcolm X...
- Zamilkła.

Z obojętnością nauczyciela Mathers spytał:

- Czyli marudzenie o dawnych czasach? Geneva skinęła głową.

- Tak, chyba tak. W końcu mamy dwudziesty pierwszy wiek. Trzeba żyć dalej. Tamte bitwy już się skończyły.

Profesor uśmiechnął się i zerknął na Rhyme'a.

- Cóż, życzę powodzenia. Proszę dać mi znać, gdybym jeszcze mógł się do czegoś przydać.

- Będziemy pamiętać.

Szczupły mężczyzna podszedł do drzwi, ale odwrócił się w progu.

- Geneva? - Tak?

- Pomyśl tylko o jednym - to rada człowieka, który żyje parę lat dłużej od ciebie. Czasami się

zastanawiam, czy te bitwy naprawdę się już skończyły. - Wskazał na tablicę z dowodami i listy Charlesa. - Może po prostu trudniej dziś rozpoznać wroga.

Rozdział 23

Nie uwierzysz, Rhyme, ale są jednak małe miejsca zbrodni. Wiem, bo mam takie przed sobą.

Amelia Sachs stała na Osiemdziesiątej Drugiej Zachodniej niedaleko Broadwayu, przed imponującą rezydencją Hiram Sanforda, wielką i ciemną budowlą wiktoriańską. Mieściła się tu Fundacja Sanforda. Historycznego obrazu Nowego Jorku dopełniało odpowiednie otoczenie: niedaleko ponadstuletniej rezydencji stało muzeum sztuki pochodzące z 1910 roku oraz szereg pięknych zabytkowych kamieniczek. Sachs nie musiała oglądać morderców w poplamionych pomarańczową farbą kombinezonach, żeby poczuć ogarniającą ją grozę; tuż obok fundacji wznosił się bogato zdobiony upiorny gmach hotelu Sanford (plotki głosiły, że według pierwotnych planów właśnie tu chciano nakręcić „Dziecko Rosemary”).

Z rzeźbionych gzymsów spoglądało na nią urągliwie kilkanaście gargulców, jak gdyby szydziły z zadania, jakie otrzymała.

Gdy weszła do budynku, skierowano ją do człowieka, z którym przed chwilą rozmawiał Mel Cooper, Williama Ashberry’ego, prezesa fundacji i członka zarządu Sanford Bank and Trust, do którego należała instytucja non profit. Szczupły mężczyzna w średnim wieku powitał ją z mieszaną konsternacją i przejęcia.

- Nigdy nie gościliśmy tu policjanta, przepraszam, policjantki, to znaczy nikogo z policji.

Wydawał się nieco rozczarowany, kiedy ogólnikowo wyjaśniła, że interesuje ją historia dzielnicy i nie chce wykorzystać siedziby fundacji do urzędzenia żadnej zasadzki ani przeprowadzenia tajnej akcji.

Ashberry bardzo chętnie się zgodził, by poszperała w archiwach i bibliotece, choć nie mógł pomóc jej osobiście; znał się na finansach, nieruchomościach i prawie podatkowym, ale o historii wiedział niewiele.- Tak naprawdę jestem bankowcem - wyznał, jak gdyby Sachs miała jeszcze wątpliwości, widząc jego ciemny garnitur, białą koszulę i prążkowany krawat, a na biurku ułożone w równiutkich plikach dokumenty finansowe i tabelki.

Kwadrans później zaopiekował się nią kustosz - młody człowiek w tweedowym garniturze, który poprowadził ją ciemnymi korytarzami do archiwów znajdujących się w suterenie. Sachs pokazała mu portret pamięciowy NS 109 w nadziei, że być może morderca odwiedził fundację, szukając artykułu o Charlesie Singletonie. Kurator nie rozpoznał jednak mężczyzny i nie przypomniał sobie, aby ostatnio ktoś pytał o jakiegokolwiek numery „Coloreds’ Weekly Illustrated”. Wskazał jej odpowiednie regały i po chwili siedziała na twardym krzeselku w ciasnym jak trumna boksie, mozolnie przeglądając sterty książek, czasopism, wydruków, map i rysunków.

Do zadania podeszła w taki sam sposób, w jaki dzięki naukom Rhyme’a przeprowadzała oględziny miejsc zbrodni: najpierw ogarnęła całość, potem ułożyła logiczny plan, następnie

przystąpiła do właściwej pracy. Na początek podzieliła materiały na cztery grupy tematyczne: informacje ogólne, historia West Side i Gallows Heights, prawa obywatelskie w połowie dziewiętnastego wieku i Potters' Field. Zaczęła od cmentarza. W trakcie uważnej lektury znalazła potwierdzenie podanej przez Charlesa Singletona informacji o zgrupowaniu jego pułku na Hart's Island. Dowiedziała się, jak założono cmentarz i jaki ruch tam panował, zwłaszcza podczas epidemii cholery i grypy w połowie i pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy na całej wyspie piętrzyły się tanie sosnowe trumny.

Były to ciekawe szczegóły, ale niczego nie wносиły do sprawy. Otworzyła materiały dotyczące ruchu na rzecz praw obywatelskich. Przeczytała gigantyczną ilość informacji, wśród których znalazły się wzmianki o kontrowersji związanej z Czternastą Poprawką, lecz nie znalazła ani śladu sugerowanego przez profesora Mathersa motywu sfingowania kradzieży rzekomo popełnionej przez Charlesa Singletona. Przeczytała artykuł z „New York Timesa” z 1867 roku o wizycie Fredericka Douglassa i innych wybitnych działaczy na rzecz praw obywatelskich w kościele w Gallows Heights. W rozmowie z dziennikarzem Douglass powiedział, że przyjechał do dzielnicy, aby się spotkać z kilkoma osobami toczącymi batalię o uchwalenie poprawki. O tym już wiedzieli z listów Charlesa. Nie znalazła żadnej wzmianki o Charlesie Singletonie, ale natknęła się na informację o obszernym artykule w „New York Sun” na temat byłych niewolników i wyzwolenców, którzy współpracowali z Douglassem. W archiwum nie było jednak tego numeru.

Strona po stronie, bez ustanku... Chwilami przerywała lekturę, obawiając się, że przeoczyła kilka ważnych zdań, które mogły rzucić nowe światło na sprawę. Kilka razy wracała do poprzednich fragmentów i ponownie czytała jakiś akapit, który przebiegła wzrokiem, właściwie go nie czytając. Przeciągała się, wierciła, przygryzała paznokcie, drapała się w głowę.

I znów zagłębiała się w dokumentach. Na stoliku rosła sterta przeczytanych materiałów, ale w leżącym przed nią bloku nie było ani jednej notatki.

Z tekstów na temat historii Nowego Jorku Sachs poznała więcej faktów o Gallows Heights. Była to jedna z pierwszych kilku kolonii, właściwie osobnych wiosek takich jak Manhattanville i Vandewater Heights (obecne Morningside Heights) na obecnej Upper West Side. Gallows Heights sięgały na zachód od dzisiejszego Broadwayu do rzeki Hudson i od mniej więcej Siedemdziesiątej Drugiej na północ do Osiemdziesiątej Szóstej. Nazwa pochodziła z czasów kolonialnych, gdy Holendrzy zbudowali szubienicę na szczycie wzgórza pośrodku osiedla. Kiedy ziemię kupili Brytyjczycy, ich kaci powiesili tam dziesiątki czarownic, przestępców, zbuntowanych niewolników i kolonistów, dopóki nie przeniesiono wszystkich nowojorskich instytucji prawnych i karnych do centrum.

W 1811 roku planiści miejscy podzielili Manhattan na dzisiejsze kwartały, choć przez następne pięćdziesiąt lat w Gallows Heights (i większej części miasta) plany pozostały tylko na papierze. W początkach dziewiętnastego wieku obszar ten składał się z plątaniny wiejskich dróg, pustych pól, lasów, chat koczowników, fabryk i doków przy Hudsonie oraz kilku eleganckich wielkich posiadłości. W połowie wieku Gallows Heights zyskały nowe, bardziej zróżnicowane oblicze, które utrwalono na mapie znalezionej wcześniej przez Mela Coopera: duże posiadłości sąsiadowały z kamienicami zamieszkiwanymi przez robotników i mniejszymi budynkami. W miarę jak miasto się powiększało, na południu wyrosły dzielnice opanowane przez gangi. Zjawił się tu także również

bezwzględny jak uliczne złodziejaski - choć działający na większą skalę - William „Boss” Tweed, jeden z przywódców znanej z korupcyjnych praktyk organizacji demokratów Tammany Hall, który rządził swoją organizacją z barów i restauracji w Gallows Heights (Tweed wyspecjalizował się w czerpaniu zysków z rozwoju dzielnicy; w typowej transakcji zgarniał sześć tysięcy dolarów za sprzedaż miastu maleńkiej działki wartej mniej niż trzydzieści pięć dolarów).

Obszar dawnych Gallows Heights stanowił dziś główną część Upper West Side, jedną z najładniejszych i najzamożniejszych dzielnic miasta. Mieszkania kosztowały tu po kilka tysięcy dolarów miesięcznie. (Zirytowana Amelia Sachs uprzytomniła sobie, że są tam też najlepsze delikatesy i piekarnie w mieście; dzisiaj jeszcze nic nie jadła).

Przedzierała się przez gąszcz faktów historycznych, ale nie natrafiła na nic, co łączyłoby się ze sprawą. Do diabła, powinna teraz analizować materiał z miejsca zbrodni albo lepiej krążyć po ulicach wokół kryjówki sprawcy, próbując ustalić, gdzie mieszka i jak się nazywa.

Co ten Rhyme kombinuje?

Wreszcie otworzyła ostatnią książkę. Na oko tomisko liczyło z pięćset stron (zdążyła już nabrać wprawy w ocenie objętości książek); okazało się, że stron było pięćset cztery. W indeksie nie znalazła nic istotnego dla swoich poszukiwań. Sachs przekartkowała książkę, ale uznała, że ma już dość. Rzuciła ją na stolik, przeciągnęła się i przetarła oczy. W dusznym wnętrzu archiwum znajdującego się piętro pod ziemią zaczynała się odzywać jej klaustrofobia. Fundację może i w zeszłym miesiącu remontowano, ale Sachs przypuszczała, że suterena wygląda tak samo jak za czasów rezydencji Sanforda. Niski sufit wraz z kamiennymi kolumnami i murami czynił ją jeszcze ciaśniejszą.

Najgorsze było jednak siedzenie. Amelia Sachs nie cierpiała siedzieć jak kołek.

Kiedy jesteś w ruchu, nic ci nie zrobią...

Nie ma małych miejsc zbrodni, Rhyme? Żebyś to widział... Zaczęła się zbierać do wyjścia.

Ale już u drzwi przystanąła, spojrzała na dokumenty i doszła do wniosku, że kilka zdań z tych zbutwiałych książek albo pożółkłych gazet mogło przesądzić o życiu albo śmierci Genevy Settle i innych niewinnych osób, które mógł kiedyś zamordować NS 109.

Usłyszała w głowie głos Rhyme’a: „Kiedy robisz obchód po siatce, szukasz raz, a potem drugi, a kiedy skończysz, szukasz jeszcze raz. Kiedy już wszystko sprawdziłaś, robisz kolejny obchód. A potem...”.

Zerknęła na ostatnią książkę - tę, której nie dała już rady przejrzeć. Westchnęła, usiadła z powrotem, otworzyła pięćsetstronicowy tom i zaczęła go czytać, a po chwili przerzuciła fotografie w środku.

Jak się okazało, był to dobry pomysł.

Zamarła, wpatrując się w zdjęcie Osiemdziesiątej Zachodniej zrobione w 1867 roku. Zaśmiała

się cicho, przeczytała podpis i tekst na drugiej stronie. Potem wyciągnęła komórkę i wcisnęła klawisz oznaczony jedyneką.

- Znalazłam Potters' Field, Rhyme.

- Wiemy, gdzie to jest - odburknął do mikrofonu. - Na wyspie w...

- Jest jeszcze jeden.

- Drugi cmentarz?

- Nie cmentarz. To była gospoda. W Gallows Heights.

- Gospoda? - Hm, ciekawe, pomyślał.

- Mam przed sobą zdjęcie albo dagerotyp, czy jak to się nazywa. Baru o nazwie „Potters' Field”. Był na Osiemdziesiątej Zachodniej.

Czyli mylili się, pomyślał Rhyme. Możliwe, że do fatalnego spotkania Charlesa Singletona wcale nie doszło na Hart's Island.

- Mam coś lepszego - gospoda się spaliła. Podejrzewano podpalenie. Sprawcy i motyw nieznani.

- Czy słusznie przypuszczam, że zdarzyło się to tego samego dnia, gdy Charles Singleton poszedł tam, żeby... jak to ujął? Szukać sprawiedliwości?

- Aha. Piętnastego lipca. *Zagrzebana na zawsze pod ziemią i gliną...*

- Znalazaś o nim coś jeszcze? Albo o gospodzie?

- Jeszcze nie.

- Kop dalej.

- Jasne, Rhyme. Rozłączyli się.

Sachs mówiła przez głośnik telefonu; Geneva wszystko słyszała. Spytała ze złością:

- Sądzi pan, że to Charles spalił gospodę?

- Niekoniecznie. Ale jedną z głównych przyczyn podpalenia bywa chęć zniszczenia dowodów. Może o to mu chodziło - chciał ukryć jakiś szczegół związany z kradzieżą.

- Niech pan popatrzy na list - powiedziała Geneva. - Pisze, że to był plan, żeby go skompromitować. Jeszcze pan nie wierzy, że był niewinny? - Mówiła cicho, wpatrując się w oczy

Rhyme'a.

Rhyme wytrzymał jej spojrzenie.

- Wierzę.

Słyszając to, skinęła głową i lekko się uśmiechnęła. Po chwili zerknęła na tarczę sfatygowanego swatcha.

- Powinnam wracać do domu.

Bell obawiał się, że sprawca mógł się już dowiedzieć, gdzie Geneva mieszka. Ustalił już, że zakwateruje ją w bezpiecznym domu dla świadków, ale mogło to nastąpić dopiero wieczorem. Na razie cały zespół musiał po prostu być czujniejszy niż dotąd.

Geneva zebrała listy Charlesa.

- Na razie będziemy je musieli zatrzymać - rzekł Rhyme.

- Zatrzymać? Jako dowód?

- Dopóki nie będziemy wiedzieli, o co naprawdę chodzi.

- W porządku. - Oddała je Melowi Cooperowi. Technik dostrzegł jej zmartwioną minę.

- Mam ci skopiować te listy? Była wyraźnie zakłopotana.

- Tak, proszę. Bo, rozumie pan... to pamiątka rodzinna. Zależy mi na tym.

- Nie ma sprawy. - Cooper zrobił kserokopie i wręczył jej. Dziewczyna ostrożnie je złożyła i schowała do torby.

Bell odebrał telefon i po chwili rzekł do słuchawki:

- Świetnie, proszę tu zaraz przywieźć. Jestem bardzo wdzięczny.- Podał adres Rhyme'a i zakończył rozmowę. - Ze szkoły. Znaleźli taśmę z zapisem obrazu z kamery przy boisku, kiedy był tam wspólnik sprawcy. Przyślą nam tu.

- Mój Boże - rzekł kwaśno Rhyme. - Naprawdę jest jakiś prawdziwy trop w tej sprawie? Nie sprzed stu lat?

Bell przełączył się na szyfrowany kanał i przez radio przekazał Luisowi Martinezowi ich plany. Potem połączył się z Barbe Lynch, która pilnowała ulicy przed domem Genevy. Policjantka zameldowała, że wszystko gra i że będzie na nich czekać.

Na koniec detektyw z Karoliny wcisnął przycisk głośnika w telefonie Rhyme'a i zadzwonił do wuja dziewczyny, by się upewnić, czy jest w domu.

- Taa? - odezwał się wuj. Bell przedstawił się.
- Wszystko z nią dobrze?
- Doskonale. Zaraz będziemy wyjeżdżać. W domu wszystko w porządku?
- W najlepszym.
- Miał pan wiadomości od jej rodziców?
- Od starych? Tak, brat dzwonił do mnie z lotniska. Mają jakieś opóźnienie czy coś. Ale zaraz powinni startować.

Rhyme regularnie latał kiedyś do Londynu na konsultacje w Scotland Yardzie, a także do innych europejskich stolic. Podróż za ocean była równie łatwa jak lot do Chicago albo Kalifornii. Ale dziś wszystko się zmieniło. Witajcie w świecie międzynarodowej komunikacji po jedenastym wrześniu, pomyślał. Złościł się, że powrót jej rodziców tak długo trwa. Geneva była chyba najbardziej dojrzałym dzieckiem, jakie w życiu poznał, ale mimo wszystko dzieckiem i powinna przebywać z matką i ojcem.

Rozległ się trzask w odbiorniku Bella i Martinez zameldował:

- Jestem pod domem, szefie. Samochód stoi przed wejściem, drzwi otwarte.

Bell odwrócił się do Genevy.

- Możemy ruszać.

- Masz - powiedział Jon Earle Wilson do Thompsona Boyda, który siedział w restauracji przy Board Street na dolnym Manhattanie.

Chudy mężczyzna z fryzurą „na płetwę”, ubrany w niezbyt czyste beżowe dzinsy, podał torbę na zakupy Boydowi, który zajrzał do środka.

Wilson usiadł naprzeciw niego. Boyd nadal oglądał zawartość torby. W środku był duży karton używany przez UPS do pakowania przesyłek. Obok mniejsza torba, z Dunkin' Donuts, ale nie było w niej pączków. Wilson używał toreb tej sieci, bo były lekko woskowane i chroniły przed wilgocią.

- Jemy coś? - zapytał Wilson.

Zobaczył sałatkę, którą kelnerka niosła do sąsiedniego stolika. Był głodny. Mimo że często spotykał się z Boydem w restauracjach czy barach bistro, nigdy jeszcze nie zdarzyło się im razem jadać. Ulubionym posiłkiem Wilsona była pizza i napój gazowany, które spożywał samotnie w jednopokojowym mieszkaniu zagraconym narzędziami, przewodami i mikroprocesorami. Zdawało mu się jednak, że za całą robotę, jaką dla niego odwalał, Boyd mógłby mu od czasu do czasu postawić jakąś cholerną kanapkę czy coś.

Ale morderca oświadczył:

- Za minutę muszę iść.

Stał przed nim talerz z niedojedzonym szaszłykiem jagnięcym. Wilson zastanawiał się, czy Boyd zamierza go nim poczęstować, ten jednak tego nie zrobił. Uśmiechnął się tylko do kelnerki, gdy przysłała sprzątnąć talerz. Uśmiech na twarzy Boyda - coś nowego. Wilson nigdy przedtem nie widział, żeby facet się uśmiechał (choć musiał przyznać, że uśmiech wyglądał cholernie dziwnie).

- Ciężkie, co? - zapytał Wilson, zerkając na torbę. W jego oczach malowała się duma.

- Fakt.

- Chyba ci się spodoba. - Był dumny ze swego dzieła i trochę wkurzony, że Boyd nie odpowiedział.

- Jak idzie? - spytał po chwili Wilson.

- Idzie.

- Wszystko okej?

- Małe komplikacje. Dlatego właśnie... - Wskazał na torbę i nie powiedział ani słowa więcej. Zaczął cicho gwizdać, usiłując dopasować tonację do egzotycznej melodii płynącej z umieszczonego nad nimi głośnika. To była jakaś pokręcona muzyka. Sitar czy coś z Indii, Pakistanu albo diabli wiedzą skąd. Ale Boyd bez trudu trafiał we właściwe dźwięki. Zabijanie ludzi i gwizdanie - te dwie rzeczy wychodziły mu najlepiej.

Dziewczyna za barem z hałasem wrzuciła do pojemnika talerz. Kiedy klienci odwrócili głowy w jej stronę, Wilson poczuł, jak pod stołem coś lekko trąca go w kolano. Wziął kopertę i wsunął do kieszeni swoich dzwonów. Jak na pięć tysięcy dolarów, które miała zawierać, była dziwnie cienka. Ale Wilson wiedział, że znajdzie wewnątrz całą kwotę. Jedno trzeba było Boydowi przyznać: płacił, ile się należało, i to na czas.

Minęła chwila. A więc nie będą jeść. Wilson czuł coraz większy głód, a Boyd spokojnie pił herbatę. Chociaż miał wychodzić „za minutę”.

Co jest grane?

Zaraz uzyskał odpowiedź. Boyd zerknął przez okno i zobaczył poobijaną białą furgonetkę, która zwolniła i skręciła w alejkę prowadzącą na zaplecze restauracji. Wilson dostrzegł kierowcę, niskiego mężczyznę o jasnobrązowej skórze i z brodą. Oczy Boyda pilnie śledziły samochód. Kiedy zniknął w alejce, Boyd wstał i dźwignął torbę. Zostawił pieniądze na stoliku i kiwnął głową Wilsonowi. Ruszył do wyjścia. Ale po drodze zatrzymał się i odwrócił.

- Podziękowałem ci?

Wilson spojrział na niego zdumiony.

- Że jak?

- Pytam, czy ci podziękowałem. - Pokazał na torbę.

- No, chyba nie. - Thompson Boyd uśmiecha się i dziękuje. Kurwa, chyba jest pełnia księżycy czy co.

- Dzięki - powiedział morderca. - Za ciężką pracę. Naprawdę jestem ci wdzięczny. - Powiedział to jak kiepski aktor. Potem, co też wyglądało dziwnie, mrugnął na pożegnanie dziewczynie za barem i taszcząc ciężką torbę, wyszedł na ruchliwą ulicę dzielnicy finansowej, zmierzając alejką w stronę zaplecza restauracji.

Rozdział 24

Roland Bell zatrzymał nowego forda przed domem Genevy na Sto Osiemnastej.

Barbe Lynch skinęła im głową ze swego posterunku obserwacyjnego: chevroleta malibu, który Bell zdążył im już oddać. Detektyw szybko wprowadził Geneve do budynku, a potem wbiegli po schodach do mieszkania, gdzie wuj mocno ją uściskał i podał dłoń Bellowi, dziękując mu za opiekę nad dziewczyną. Potem powiedział, że musi zrobić drobne zakupy i wyszedł.

Geneva poszła do swojego pokoju. Bell zajrzał do niej i zobaczył, że siedzi na łożku. Otworzyła torbę i zaczęła w niej szperać.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? Jesteś głodna?

- Raczej zmęczona - odrzekła. - Chyba odrobię zadanie. A potem trochę się zdrzemnę.

- Dobry pomysł po tym, co przeszłaś.

- Jak się czuje pan Pulaski? - spytała.

- Rozmawiałem z jego dowódcą. Chłopak ciągle jest nieprzytomny. Nie wiadomo, co z nim będzie. Wolałbym powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale nic nie wiadomo. Później do niego wstąpię i sam zobaczę.

Znalazła jakąś książkę i podała Bellowi.

- Może mu pan to przekazać?

- Jasne, nie ma sprawy... Ale nie wiem, nawet jeżeli się ocknie, chyba raczej nie będzie mógł nic czytać.

- Trzeba być dobrej myśli. Jeżeli się obudzi, może ktoś mu poczyta. To czasem pomaga. Fajnie jest posłuchać. Aha, i proszę mu powiedzieć, albo jego rodzinie, że w środku jest talizman.

- To bardzo miło z twojej strony. - Bell zamknął drzwi i poszedł do salonu zadzwonić do synów i powiedzieć im, że niedługo będzie w domu. Następnie połączył się z członkami swojej brygady specjalnej, którzy zameldowali, że jest bezpiecznie.

Detektyw usadowił się w salonie, myśląc z nadzieją, że wuj Genevy zrobi porządne zakupy. Jego mizerna siostrzenica zdecydowanie musiała nabrać ciała.

Zmierzając do mieszkania Genevy Settle, Alonzo „Jax” Jackson kroczył wolno jednym z wąskich przejść oddzielających budynki w zachodnim Harlemie.

W tym momencie nie był utykającym kryminalistą ani krwawym Królem Graffiti dawnego Harlemu. Był bezimiennym bezdomnym ubranym w brudne dżinsy i szarą bluzę. Pchał wózek na zakupy ukradziony sprzed sklepu, wypełniony zgniecionymi gazetami, które kosztowały go pięć dolarów, i stertą butelek wyciągniętych z kontenera. Miał wątpliwości, czy gdyby ktoś przyjrzał mu się uważniej, uwierzyłby w tę maskaradę - był trochę za czysty jak na bezdomnego - ale musiał nabrać tylko parę osób: na przykład gliniarzy warujących przy Genevie Settle.

Wynurzał się z jednej alejki, przechodził przez ulicę i znikał w drugiej. Był jakieś trzy przecznice do tylnego wejścia do kamienicy, którą pokazał mu ten żaloszny dupek Kevin Cheaney.

Ładny dom, cholera.

Znów poczuł się paskudnie, wspominając swoje spaprane plany rodzinne.

Muszę z panem porozmawiać. Bardzo mi przykro. Dziecko... Nie mogliśmy go uratować. To był on?

Przykro mi. Przymierzam panu, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale... To był on...

Odsunął od siebie ponure myśli. Walcząc ze zwichrowanym kółkiem wózka, które uporczywie skręcało w lewo, i mówiąc do siebie pod nosem, Jax wolno lecz zdecydowanie posuwał się naprzód. Kurczę, śmiesznie będzie, jak mnie zgarną za ten wózek, pomyślał. Uznał jednak, że nie, to wcale nie byłoby śmieszne. Gliniarz przyczepiłby się do niego o jakąś bzdurę i znalazłby broń. Potem sprawdziłby jego tożsamość i koniec, wypieprzyłiby go z powrotem do Buffalo. Albo jeszcze gorszej nory.

Stuk, stuk - pchanie wózka z zepsutym kółkiem przez zaśmiecone dróżki było prawdziwą mordęgą. Jax starał się utrzymać tor prosty. Nie mógł jednak opuszczać ciemnego kanionu alejek. Gdyby szedł chodnikiem i zbliżył się do ładnego domu w eleganckiej części Harlemu, na pewno wzbudziłby podejrzenia. Widok faceta z wózkiem w alejce nie był taki dziwny. Bogaci ludzie wyrzucają więcej butelek niż biedni. No i śmieci były tu lepszej jakości. Jeżeli bezdomny chciałby gdzieś myszkować, nie wybrałby środkowego Harlemu, tylko zachodni.

Jak daleko jeszcze?

Bezdomny Jax spojrział przed siebie, mrużąc oczy. Do domu dziewczyny zostały dwie

przecznice. Jeszcze kawałek. Jeszcze chwila.

Coś mu nie dawało spokoju. Jak uporczywe swędzenie.

U Lincolna Rhyme'a swędzenie mogło być rozumiane dosłownie - zachował czucie w szyi, ramionach i głowie, lecz była to zdolność, bez której chętnie by się obył: dla tetraplegika najbardziej irytującą rzeczą na świecie była niemożność podrapania się w swędzące miejsce.

Tym razem jednak nie chodziło o fizyczne swędzenie. Ale coś mu przeszkadzało.

Coś było nie tak. Co?

Thom zadał mu jakieś pytanie. Rhyme nie zwrócił na niego uwagi.

- Lincoln?

- Myślę. Nie widzisz?

- Nie, to się chyba odbywa w środku - odparł asystent.

- Bądź cicho. Co za lichy?

Znów patrzył na tablice z dowodami, profil, stare listy i wycinki, zagadkową minę na odwróconej twarzy Wisielca... Ale to coś widocznie nie miało nic wspólnego z dowodami.

Czyli, jak przypuszczał, powinien to zignorować.

Wracać do...

Rhyme przechylił głowę. Prawie udało mu się uchwycić tę myśl, ale znów umknęła.

Jakaś drobna nieprawidłowość, czyjeś niedawne słowa, które nie pasowały do całości.

I nagle:

- Och, niech to szlag - wyrzucił z siebie. - Wujek!

- Co? - zdziwił się Cooper.

- Jezu. Wujek Genevy.

- Co z wujkiem?

- Geneva mówiła, że jest bratem jej matki.

- No i co?

- Kiedy rozmawialiśmy z nim przed chwilą, powiedział, że rozmawiał z bratem.
- Może chodziło mu o szwagra.
- Jeżeli chodzi ci o szwagra, mówisz o szwagrze... Polecenie, zadzwoń do Bella.

Detektyw odebrał po pierwszym dzwonku. Po melodii poznał, że dzwonią do niego z domu Lincolna Rhyme'a.

- Bell.
- Roland, jesteś u Genevy? - Tak.- Twoja komórka nie ma głośnika, prawda?

- Nie ma. Mów, o co chodzi. - Detektyw instynktownie odchylił połą marynarki i odpiął pasek kabury, w której tkwił większy pistolet. Głos miał spokojny, podobnie jak rękę, ale puls przyspieszył mu o kilka uderzeń.

- Gdzie Geneva?
- W swoim pokoju.
- A wuj?
- Nie wiem. Właśnie wyszedł do sklepu.

- Posłuchaj. Dał plamę i wygadał się. Powiedział, że jest bratem jej ojca. Dziewczyna mówiła, że jest bratem matki.

- Cholera, oszust.

- Idź do Genevy i zostań przy niej, dopóki nie ustalimy co i jak. Wyślę ci jeszcze ze dwa patrole..

Bell podszedł do drzwi pokoju dziewczyny. Zapukał, ale odpowiedziała mu cisza.

Słyszając łomot własnego serca, wyszarpnął beretkę.

- Geneva! Nic.
- Roland - zawołał Rhyme. - Co się tam dzieje?
- Chwilę - szepnął detektyw.

Przyjmując pozycję strzelecką, pchnął drzwi i z uniesioną bronią wpadł do środka.

Pokój był pusty. Geneva Settle zniknęła.

Rozdział 25

Centrala, zgłaszam dziesięć dwadzieścia dziewięć, podejrzenie porwania.

Bell opanowanym głosem powtórzył złowrogą wiadomość.

- Ofiara to czarna dziewczyna, szesnaście lat, wzrost metr sześćdziesiąt, waga czterdzieści pięć kilogramów. Podejrzany - czarny mężczyzna, krępy, wiek około czterdziestu pięciu lat, krótkie włosy.

- Zrozumiałem. Patrole w drodze.

Bell zawiesił radio na pasku i kazał Martinezowi i Lynch przeszukać dom, a sam zbiegł na dół. Ulicę przed domem kontrolowała Lynch, a Martinez był na dachu. Ale oboje się spodziewali, że NS 109 albo jego wspólnik nadejdzie z zewnątrz, a nie będzie wychodził z domu. Martinezowi zdawało się, że widział jakąś dziewczynę i mężczyznę, którym mógł być wuj, jak przed trzema minutami opuścili kamienicę. Nie zwrócił na nich uwagi.

Rozglądając się po ulicy, Bell zobaczył tylko paru spieszących się biznesmenów. Pobiegł w stronę alejki obok budynku. Zauważył jakiegoś bezdomnego, który pchał sklepowy wózek, ale był on jakieś dwie przecznice dalej. Bell postanowił, że porozmawia z nim później i sprawdzi, czy nie widział dziewczyny. Wybrał innych potencjalnych świadków - grupkę dziewczynek skaczących przez dwie skakanki.

- Cześć. - Skakanka opadła i dziewczynki spojrzały na detektywa. - Jestem z policji. Szukam kilkunastoletniej dziewczyny. Czarna, szczupła, krótkie włosy. Mógł z nią być dorosły mężczyzna.

Rozległy się syreny nadjeżdżających radiowozów.

- Ma pan odznakę? - spytała jedna z dziewczynek. Powstrzymując zniecierpliwienie i niepokój, Bell z uśmiechem

pokazał policyjny identyfikator.

- Jeju.

- Tak, widziałam - odezwała się drobna i ładna dziewczynka. - Poszli tamtą ulicą. I skręcili w prawo.

- Nie, w lewo.- Wcale nie patrzyłaś.

- Właśnie, że patrzyłam. Ma pan pistolet?

Bell pobiegł wskazaną przez nie ulicą. Zobaczył samochód ruszający z przecznicy po prawej. Chwycił radio.

- Do jednostek z wezwania dziesięć dwadzieścia dziewięć. Do wszystkich w pobliżu Sto Siedemnastej... na zachód jedzie bordowy sedan. Zatrzymać i sprawdzić pasażerów. Powtarzam:

szukamy czarnej dziewczyny, szesnaście lat. Podejrzany to czarny mężczyzna, czterdzieści kilka lat. Przymuszczalnie uzbrojony.

- Patrol siedem siedem dwa. Jesteśmy prawie na miejscu... Tak, mamy ich. Podjeżdżamy z kogutem.

- Zrozumiałem, siedem siedem dwa.

Bell ujrzał błyskający światłami radiowóz, który zbliżył się do bordowego sedana. Samochód zahamował. Detektyw z mocno bijącym sercem ruszył w tę stronę, widząc, jak funkcjonariusz wysiada z wozu, podchodzi do sedana i pochyła się nad oknem, kładąc dłoń na rękojeści pistoletu.

Proszę, niech to będzie ona.

Policjant gestem pozwolił kierowcy odjechać.

Psiakrew, pomyślał Bell, podbiegając do niego.

- To nie oni?

- Nie, detektywie. Czarna kobieta, trzydzieści kilka lat. Sama.

Bell polecił patrolowi sprawdzić ulice na południu i nadał wiadomość do pozostałych, by skierowały się w przeciwną stronę. Potem wybrał na chybił trafił jedną z ulic i pognął przed siebie. Odezwała się jego komórka.

- Bell.

Lincoln Rhyme zapytał, co się dzieje.

- Nikt jej nie zauważył. Ale czegoś nie rozumiem, Lincoln. Jak Geneva mogłaby nie znać własnego wuja?

- Och, przychodzi mi do głowy kilka scenariuszy na podstawienie dublera. A może to wuj współdziała ze sprawcą. Nie wiem. Ale coś się nie zgadza. Posłuchaj, jak ten facet mówi. Raczej nie jak brat profesora. Słuchać ulicę.

- To prawda... Muszę się porozumieć z zespołem. Odezwę się do ciebie. - Bell rozłączył się i wywołał przez radio swoich partnerów.

- Luis, Barbe, zgłóście się. Co macie?

Lynch powiedziała, że żadna z osób na Sto Osiemnastej, z którymi rozmawiała, nie widziała dziewczyny ani wuja. Martinez poinformował go, że nie widziano ich nigdzie w budynku, nie znalazł też żadnych śladów włamania.

- Gdzie jesteś? - spytał Bella.

- Przecznice na wschód i idę dalej na wschód. Patrole przeczesują ulice. Niech jedno z was się tu zjawi. Drugie zostaje i pilnuje mieszkania.

- Okej.

- Bez odbioru.

Bell przebiegł przez ulicę i spojrzał w lewo. Znow zobaczył bezdomnego, który przystanął, zerknął w jego stronę, a potem pochylił się i podrapał w kostkę. Bell ruszył do niego, żeby go wypytać, czy coś widział.

Nagle jednak usłyszał trzaśnięcie drzwi samochodu. Skąd dobiegł odgłos? Dźwięk odbił się od murów i nie sposób było odgadnąć. Odezwał się silnik. Przed nim... Ruszył naprzód. Nie, raczej z prawej.

Rzucił się sprintem. W tym momencie ujrzał starego szarego dodge'a, który wyjeżdżał na ulicę. Auto zaraz zahamowało, gdy na skrzyżowanie wolno wjechał radiowóz. Kierowca dodge'a wrzucił wsteczny i przejechał przez krawężnik, zajmując puste miejsce parkingowe i znikając z pola widzenia patrolu. Bellowi zdawało się, że dostrzegł w środku dwoje ludzi... Zmrużył oczy. Tak! To była Geneva i człowiek podający się za jej wuja. Gdy kierowca wrzucił bieg, samochodem lekko szarpnęło.

Bell chwycił radio i wezwał patrole, każąc im zablokować obydwa skrzyżowania.

Ale najbliższy radiowóz, zamiast zastawić ulicę, wyjechał na nią. Wuj Genevy zobaczył policję. Wrzucił wsteczny, wcisnął gaz do dechy i ominął puste miejsce parkingowe, znikając w alejce między szeregami budynków. Bell stracił dodge'a z oczu. Nie wiedział, w którą stronę pojechali. Pobiegł w kierunku miejsca, gdzie ostatni raz widział samochód, wydając patrolom polecenie obstawienia całego kwartału.

Wpadł do alejki i spojrzawszy w prawo, zdążył zauważyć tylny błotnik znikającego auta. Rzucił się za nim, wyciągając z kabury berettę. W pełnym biegu skręcił za róg.

I zamarł.

Stary dodge z piskiem opon jechał na wstecznym prosto na niego, uciekając przez radiowozem, który zablokował mu drogę ucieczki.

Bell nie drgnął. Uniósł berettę. Zobaczył panikę w oczach wuja i przerażoną twarz Genevy, która otwierała usta jak do krzyku. Nie mógł jednak strzelić. Radiowóz znajdował się bezpośrednio za dodge'em. Gdyby nawet detektyw trafił porywacza, pociski z płaszczem mogłyby przejść przez cel i trafić w funkcjonariuszy.

Bell uskoczył na bok, ale bruk był śliski od śmieci i detektyw upadł z jękiem. Leżał prosto na drodze dodge'a. Próbował się jeszcze odczołgać. Ale samochód nadjeżdżał tak szybko, że nie miał szans zdążyć.

Nagle... co się działo?

Wuj nadepnął hamulec. Auto zatrzymało się półtora metra od Bella. Drzwi się otworzyły, wuj z Geneva wyskoczyli z samochodu i pobiegli do niego.- Nic panu nie jest? Nic panu nie jest? - wołał mężczyzna.

- Detektywie, wszystko w porządku? - Geneva pochyliła się nad nim, pomagając mu się podnieść.

Krzywiąc się z bólu, Bell wycelował pistolet w wuja i powiedział:

- Nie rusz mi nawet mięśniami.

Mężczyzna wlepił w niego zdumione spojrzenie.

- Na ziemię. Ręce szeroko.

- Detektywie - zaczęła Geneva.

- Chwileczkę.

Wuj spełnił polecenie. Bell skuł mu ręce, a tymczasem alejką nadbiegali funkcjonariusze z patroli.

- Przeszukać go.

- Tak jest.

- Naprawdę nie wie pan, co pan robi - powiedział wuj.

- Milczeć. - Bell odciągnął Geneve na bok i ukrył we wnęce jakichś drzwi, chroniąc ją przed strzałami z góry na wypadek, gdyby ktoś był na dachu.

- Roland! - Pędziła w ich stronę Barbe Lynch.

Bell oparł się o ceglany mur, łapiąc oddech. Zerknąwszy w lewo, zobaczył bezdomnego, który popatrzył z niepokojem na policjantów, odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. Detektyw nie zwrócił na niego uwagi.

- Nie musiał pan tego robić - powiedziała Geneva, wskazując kajdanki.

- Przecież nie jest twoim wujem - odrzekł Bell, uspokajając się powoli. - Prawda?

- Nie jest.

- Dokąd cię więc wywoził? Przygnębiona spuściła wzrok.

- Geneva - powiedział surowo Bell. - To poważna sprawa. Mów, o co tu chodzi.

- Poprosiłam go, żeby mnie gdzieś podwiózł.

- Gdzie? Opuściła głowę.

- Do pracy - powiedziała. - Nie mogłam opuścić swojej zmiany. - Rozpięła kurtkę, ukazując firmowy strój z McDonalda. Na wesołej plakietce widniał napis: „Cześć, mam na imię Gen”.

Rozdział 28

O co w tym wszystkim chodzi? - spytał Lincoln Rhyme. Był zdenerwowany, lecz mimo lęku spowodowanego jej zniknięciem, w jego głosie nie było słycać oskarżycielskiego tonu.

Geneva siedziała na krześle przed jego wózkiem na parterze domu Rhyme'a. Sachs stała obok ze skrzyżowanymi ramionami. Właśnie przyjechała ze stosem materiałów z archiwum Fundacji Sanforda, gdzie odkryła prawdę o „Potters' Field”. Papiery leżały na stole, ale na razie nikt o nich nie myślał, bo uwagę wszystkich zaprzętał nowy, zaskakujący rozwój wypadków. Dziewczyna wyzywająco spojrzała mu w oczy.

- Zapłaciłam mu, żeby zagrał mojego wujka.

- A twoi rodzice?

- Nie mam rodziców.

- Nie...

- ...mam rodziców - powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

- Mów dalej - powiedziała łagodnie Sachs. Geneva milczała przez chwilę. W końcu zaczęła:

- Kiedy miałam dziesięć lat, ojciec zostawił mamę i mnie. Wyjechał do Chicago z inną kobietą i ożenił się. Założył nową rodzinę. Mocno to przeżyłam. Ale tak naprawdę nie mogłam go za to winić. Mieliśmy okropne życie. Moja mama uzależniła się od prochów, po prostu nie mogła przestać. Ciągłe się kłócili - właściwie to ona się kłóciła. Zwykle tato mówił jej, żeby się opamiętała, a ona wtedy wściekała się na niego. Żeby mieć pieniądze na crack, kradła różne rzeczy ze sklepów. - Geneva spojrzała Rhyme'owi prosto w oczy. - Chodziła do koleżanek i przyjmowały tam mężczyzn - wie pan po co. Tato o wszystkim wiedział. Znosił to, ile mógł, a potem wyjechał.

Wzięła głęboki oddech i ciągnęła:

- Potem mama zachorowała. Była nosicielką HIV, ale nie brała żadnych leków. Zmarła na jakąś infekcję. Przez jakiś czas mieszkałam u jej siostry w Bronksie, ale wyprowadziła się do Alabamy i zostawiła mnie u cioci Lilly. Ciocia też nie miała pieniędzy, ciągle ją eksmitowali i musiała mieszkać u przyjaciółek, tak jak teraz. I tak nie byłoby jej stać na moje utrzymanie. Dlatego porozmawiałam z dozorcą budynku, gdzie moja mama czasem sprzątała. Powiedział, że mogę zamieszkać w suterenie - jak mu zapłacę. Mam tam łóżko, starą komodę, kuchenkę mikrofalową,

regał. Poczta do mnie przychodzi na jego adres.

- Było widać, że nie jesteś u siebie - zauważył Bell. - Czyje to mieszkanie?

- Małżeństwa emerytów. Mieszkają tam przez pół roku, a na jesień i zimę jadą do Karoliny Południowej. Willy ma drugi klucz. Zapłacę im za prąd - dodała - i odkupię piwo i inne rzeczy, które Willy wziął.

- Nie musisz się tym martwić.

- Muszę - odrzekła stanowczo.

- Z kim wobec tego rozmawiałem, jeżeli to nie była twoja matka? - zapytał Bell.

- Przepraszam. - Geneva westchnęła. - To była Lakeesha. Poprosiłam, żeby udawała moją mamę. Niezła z niej aktorka.

- Ale mnie nabrała. - Detektyw uśmiechnął się na myśl o własnej łatwowności.

- A twój język? - spytał Rhyme. - Mówisz jak prawdziwa córka profesora.

- Że niby nie jak kumpela z dzielnicy, co nie? - Zaśmiała się ponuro. - Pracowałam nad literacką angielszczyzną, odkąd skończyłam siedem czy osiem lat. - Jej twarz posmutniała. - Jedno muszę ojcu przyznać: zawsze namawiał mnie do czytania książek. Sam też mi czasem czytał.

- Możemy go znaleźć i...

- Nie! - ucięła ostro Geneva. - Nie chcę z nim mieć nic wspólnego. Zresztą ma już inne dzieci. I też nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

- I nikt się nie dowiedział, że jesteś bezdomna? - spytała Sachs.

- A skąd mieliby się dowiedzieć? Nigdy nie składałam wniosku o zasiłek ani kartki żywnościowe i opieka społeczna w ogóle do mnie nie przychodziła. Nigdy się nawet nie zapisałam na darmowe posiłki w szkole, bobym się zdemaskowała. Kiedy potrzebowałam podpisu rodziców na dokumentach, to je podrabiałam. Mam telefoniczną skrzynkę głosową. Keesh nagrała mi wiadomość, udając moją matkę.

- Szkoła niczego nie podejrzewała?

- Czasem pytali, czemu nikt nie przychodzi na wywiadówki, ale właściwie się tym nie przejmowali, bo mam same szóstki. Żadnych zasiłków, żadnych kłopotów z policją, dobre stopnie... jeżeli wszystko jest w porządku, nikt cię nie zauważa. - Zaśmiała się. - Zna pan książkę Ralpa Ellisona „Niewidzialny człowiek”? Nie, nie ten film science fiction. To o życiu Murzyna w Ameryce, o tym, że jest niewidzialny. Ja też jestem niewidzialna.

Teraz wszystko nabrało sensu: bywali w świecie rodzice nie kupiliby przecież swojej córce tak

nędnego ubrania i taniego zegarka. Zamiast do publicznej szkoły posłaliby ją do prywatnej. Córka profesora college'u nie przyjaźniłaby się z kimś takim jak Keesh.

Rhyme skinął głową.

- Rzeczywiście, nie widzieliśmy, czy dzwoniłaś do rodziców do Anglii. Ale wczoraj, po tym, co się stało w muzeum, zadzwoniłaś do dozorczy, prawda? Namówiłaś go, żeby udawał twojego wujka?

- Tak, powiedział, że się zgodzi, jeżeli mu więcej zapłacę. Chciał, żebym się przenieśli do jego mieszkania, ale to nie był dobry pomysł, rozumie pan? Pomyślałam, że lepiej będzie skorzystać z 2-B, skoro Reynoldsów i tak nie ma. Kazałam mu tylko zdjąć ich nazwisko ze skrzynki na listy.

- Od początku miałem wrażenie, że nie wygląda na twojego krewnego - rzekł Bell, a Geneva odpowiedziała mu kpiącym śmiechem.

- Co zamierzałaś zrobić, kiedy twoi rodzice w końcu by się nie zjawili?

- Nie wiem. - Głos się jej załamał i przez chwilę wyglądała jak bezradne dziecko. Zaraz jednak doszła do siebie. - Wszystko improwizowałam. Wczoraj, kiedy poszłam po listy Charlesa, pamięta pan? - Zerknęła na Bella, który przytaknął. - Wymknęłam się tylnymi drzwiami i zeszłam do suterenu. Tam je trzymam.

- Nie masz tu żadnej rodziny? - spytała Sachs. - Tylko ciotkę?

- Nie, poza niom... - Rhyme po raz pierwszy ujrzał w jej oczach autentyczne przerażenie. Ale nie wywołała go myśl o płatnym mordercy, lecz o tym, że mimo woli zapomniała się przez chwilę i użyła języka ulicy. Pokręciła głową. - Poza nią nie mam nikogo.

- Dlaczego nie zgłosiłaś się do opieki społecznej? - zapytał Sellitto. - Przecież po to jest.

- Kto jak kto, ale ty na pewno masz prawo z niej korzystać - dodał Bell.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, a jej ciemne oczy przybrały jeszcze ciemniejszy odcień.

- Nie chcę niczego za darmo. Poza tym przyszedłby ktoś z opieki zobaczyć, jak wygląda moja sytuacja. Wysłaliby mnie do ciotki do Alabamy. Ona mieszka we wsi pod Selmą, tam jest trzystu ludzi. Do jakiej szkoły mogłabym tam chodzić? Albo zostałabym tutaj i wylądowałabym w jakiejś rodzinie zastępczej w Brooklynie, w jednym pokoju z czterema dziewczynami z jakiejś bandy, musiałabym przez cały dzień słuchać hip-hopu albo oglądać BET, ciągnęliby mnie do kościoła... - Wzdrygnęła się i pokręciła głową.

- Dlatego znalazłaś sobie pracę. - Rhyme zerknął na jej uniform.

- Owszem. Ktoś dał mi kontakt do faceta, który podrabia prawa jazdy. Według dokumentów mam osiemnaście lat. - Zaśmiała się. - Wiem, że nie wyglądam. Ale zgłosiłam się do restauracji, gdzie kierownikiem jest biały staruszek. Kiedy na mnie popatrzył, nie miał pojęcia, ile mogę mieć lat.

Przyjął mnie i odtąd tam pracuję. Nigdy nie spóźniłam się na swoją zmianę. Do dzisiaj. - Westchnęła.
- Szef wszystkiego się dowie. Będzie mnie musiał wyrzucić. Cholera. A w zeszłym tygodniu straciłam drugą pracę.

- Miałaś drugą pracę? Dziewczyna przytaknęła.

- Przy zmywaniu graffiti. W Harlemie robi się teraz dużo remontów. Widać na każdej ulicy. Firmy ubezpieczeniowe i deweloperskie odnawiają stare budynki i wynajmują za duże pieniądze. Do czyszczenia ścian budowlańcy wynajęli dzieciaki. Płacili naprawdę dobrze. Ale mnie zwolnili.

- Dlatego, że jesteś nieletnia? - spytała Sachs.

- Nie, bo zobaczyłam robotników, trzech wielkich białych facetów, którzy pracowali w jakiejś firmie deweloperskiej. Nie dawali spokoju takiemu małżeństwu starszaków, którzy od zawsze mieszkali w tym budynku. Powiedziałam, żeby przestali, bo zadzwonię na policję... - Wzruszyła ramionami. - No i mnie wyrzucili. Potem naprawdę zadzwoniłam na policję, ale nie mieli ochoty nic zrobić... Dostałam nauczkę za dobry uczynek.

- Dlatego nie chciałaś, żeby pomogła ci pani Barton, ta psycholog - powiedział Bell.

- Gdyby się dowiedziała, że jestem bezdomna, raz dwa znalazłabym się w rodzinie zastępczej. - Wzdrygnęła się. - A tak niewiele brakowało! Za półtora roku mogłam być na Harvardzie albo Vassar. I nagle wczoraj ten facet w muzeum wszystko zniszczył!

Geneva wstała i podeszła do tablicy, gdzie wypisano fakty z życia Charlesa Singletona. Spojrzała na listę.

- Dlatego pisałam o nim pracę. Musiałam udowodnić, że był niewinny. Chciałam, żeby był dobrym mężem i ojcem. Pisał takie cudowne listy. Używał takich pięknych słów. Nawet pismo miało piękne. No i był bohaterem wojny secesyjnej - dodała jednym tchem. - Uczył dzieci i uratował sieroty przed zamieszkami. Nagle się okazało, że mam krewnego, który był dobrym człowiekiem. Był mądry, znał sławnych ludzi. Chciałam, żeby był kimś, kogo mogłabym podziwiać, a nie taki jak ojciec albo matka.

Do pokoju zajrzał Luis Martinez.

- Jest czysty. Nazwisko i adres się zgadza, niekarany, żadnych aresztowań. - Mówił o fałszywym wuju. Rhyme i Bell nikomu już nie ufali.

- Musisz być samotna - odezwała się Sachs. Milczała przez chwilę.

- Tato, zanim nas zostawił, zabierał mnie czasem do kościoła. Pamiętam taką pieśń gospel, naszą ulubioną. Miała tytuł „Nie mam czasu umierać”. I takie jest moje życie. Nie mam czasu czuć się samotna.

Ale Rhyme dobrze już poznał Geneve i wiedział, że się zgrywa.

- A więc masz swoją tajemnicę tak jak twój przodek - powiedział. - Kto ją zna?

- Keesh, dozorca, jego żona. Nikt więcej. - Utkwiła w Rhymie wyzywające spojrzenie. - Wydał mi pan, prawda?

- Nie możesz przecież mieszkać sama - zauważyła Sachs.

- Mieszkam od dwóch lat - odburknęła. - Mam książki, szkołę. Nikogo mi nie potrzeba.

- Ale...

- Nie. Jeżeli powiecie o mnie prawdę, to będzie koniec. Proszę - dodała. Ostatnie słowo wymówiła bardzo cicho, jak gdyby z trudem przeszło jej przez gardło.

Na chwilę zapadło milczenie. Sachs i Sellitto patrzyli na Rhyme'a, który nie musiał się oglądać na władze miejskie ani przepisy.

- Nie musimy podejmować decyzji teraz - rzekł kryminalistyk. - Przede wszystkim trzeba złapać sprawcę. Wydaje mi się jednak, że powinnaś zostać tutaj, nie w domu dla świadków. - Zerknął na Thoma. - Chyba znajdziemy jakiś pokój na górze, co?

- Jasna sprawa.

- Wolalabym... - zaczęła dziewczyna.

- Tym razem będziemy nalegać - powiedział z uśmiechem Rhyme.

- A moja praca? Nie mogę jej stracić.

- Zajmę się tym. - Rhyme wziął od niej numer i zadzwonił do szefa restauracji McDonalda, któremu w zarysie opowiedział o napaści na Geneve i poinformował go, że dziewczyna przez jakiś czas nie będzie mogła przychodzić do pracy. Kierownik szczerze się zmartwił, zapewniając go, że Geneva jest jego najsumienniejszą pracownicą. Pozwolił jej wziąć tyle wolnego, ile będzie potrzebowała, i zaręczył, że praca będzie na nią czekała.

- Nigdy nie miałem lepszego pracownika - powiedział przez głośnik telefonu. - Rzadko się zdarza, żeby nastolatka była bardziej odpowiedzialna od ludzi dwa razy starszych od niej.

Rhyme i Geneva wymienili uśmiech i kryminalistyk kazał automatowi zakończyć połączenie.

W tym momencie rozległ się dzwonek. Bell i Sachs natychmiast czujnie położyli ręce na broni, natomiast Sellitto, jak zauważył Rhyme, wciąż wyglądał na załęknionego i choć spojrzawszy na swój pistolet, nie zamierzał po niego sięgać. Jego dłoń lekko pocierała policzek, jak gdyby ten gest miał wywołać dobrego dzinna, który ukoji jego znękaną serce.

W drzwiach zjawił się Thom i powiedział do Bella:

- Przyszła jakaś pani Barton, ze szkoły. Przyniosła kopię taśmy wideo.

Dziewczyna miała przerażoną minę.

- Nie - szepnęła.

- Wprowadź ją - rzekł Rhyme. Do laboratorium wkroczyła wysoka Afroamerykanka ubrana w fioletową sukienkę. Bell przedstawił ją pozostałym. Powitała wszystkich skinieniem głowy, a Rhyme zauważył, że jak większość znanych mu psychologów nie zareagowała na widok wózka.

- Witaj, Geneva - powiedziała.

Dziewczyna skinęła głową z kamienną twarzą. Rhyme widział, że Geneva myśli o zagrożeniu, jakie stanowi dla niej ta kobieta: wieś w Alabamie albo rodzina zastępcza.

- Jak się czujesz? - ciągnęła Barton.

- Dziękuję, dobrze - odrzekła z szacunkiem zupełnie nie w swoim stylu.

- Na pewno mocno to przeżywasz - dodała kobieta.

- Bywało lepiej. - Geneva próbowała się roześmiać, ale zabrzmiało to bezbarwnie. Przelotnie spojrziała na psycholog, lecz zaraz odwróciła wzrok.

- Rozmawiałam o tym człowieku sprzed boiska z kilkunastoma osobami - mówiła Barton. - Tylko kilka przypomniało sobie, że kogoś tam wczoraj widziało. Nie potrafili go opisać poza tym, że był czarny, miał zieloną wojskową kurtkę i robocze buty.

- To coś nowego - rzekł Rhyme. - Buty. - Thorn zapisał informację na tablicy.

- A to jest taśma od naszej ochrony. - Podała kasetę VHS Cooperowi, który włożył ją do odtwarzacza.

Rhyme podjechał bliżej ekranu i zaczął pilnie oglądać zapis, czując, jak naprężają mu się mięśni szyi.

Taśma niewiele im mogła pomóc. Obiektyw kamery był skierowany przede wszystkim na boisko i nie obejmował chodników i ulic. Gdzieś w oddali widać było wprawdzie sylwetki przechodniów, ale żadnych szczegółów. Bez większej nadziei, że uda się wykorzystać taśmę, Rhyme polecił Cooperowi przesłać kasetę do laboratorium w Queens, by sprawdzili, czy da się cyfrowo powiększyć obraz. Technik wypełnił formularze ewidencyjne, zapakował kasetę i wezwał transport.

Bell podziękował psycholog za pomoc.

- Ależ naprawdę nie ma za co. - Barton zamilkła, spoglądając na dziewczynę. - Naprawdę powinnam porozmawiać z twoimi rodzicami, Geneva.

- Z rodzicami? Wolno pokiwała głową.

- Bo szczerze mówiąc... Rozmawiałam z uczniami i nauczycielami i większość z nich twierdzi, że rodzice nie bardzo interesują się twoją nauką. Właściwie nie spotkałam nikogo, kto by ich kiedykolwiek widział.

- Mam dobre stopnie.

- Och, wiem. Jesteśmy naprawdę zadowoleni z twojej pracy. Ale szkoła polega między innymi na współpracy dzieci i rodziców. Bardzo chciałabym z nimi porozmawiać. Możesz mi podać numer ich komórki?

Dziewczyna zastygła z przerażenia.

Zapadła ciężka cisza.

Przerwał ją Lincoln Rhyme.

- Powiem pani prawdę.

Geneva spuściła wzrok, zaciskając pięści.

- Właśnie przed chwilą rozmawiałem z jej ojcem - oświadczył Rhyme.

Głowy wszystkich obecnych odwróciły się w jego stronę.

- Wrócili z zagranicy?

- Nie i przez jakiś czas tam zostaną.

- Jak to?

- Poprosiłem ich, żeby na razie nie wracali.

- Poprosił pan? Dlaczego? - Kobieta zmarszczyła brwi.

- Podjąłem taką decyzję ze względu na bezpieczeństwo Genevy. Jak wyjaśni pani Roland Bell... - zerknął na detektywa, który z przekonaniem kiwnął głową, choć nie miał pojęcia, o co mu chodzi - podczas ustalania strategii ochrony czasem musimy separować od rodzin ludzi będących pod naszą opieką.

- Nie wiedziałam.

- W przeciwnym razie - ciągnął Rhyme, improwizując w natchnieniu - napastnik mógłby wykorzystać krewnych, żeby wywabić ofiarę z ukrycia.

Barton skinęła głową.

- To brzmi sensownie.

- Jak to się nazywa, Roland? - Rhyme znów spojrzał na detektywa, po czym sam sobie odpowiedział: - Procedura izolacji członków rodziny, prawda?

- Owszem - odparł Bell, potakująco kiwając głową. - To bardzo ważna technika.

- Dobrze, że się dowiedziałam - powiedziała psycholog. - Ale będzie cię pilnował wuj, tak?

- Nie - odezwał się Sellitto. - Wydaje się nam, że najlepiej będzie, jeśli Geneva zostanie tutaj.

- Jej wuj też podlega procedurze izolacji - dodał Bell. Zmyślony termin w ustach funkcjonariusza z południowym akcentem brzmiał bardzo wiarygodnie. - Chcemy, żeby na jakiś czas też się usunął w cień.

Rhyme odgadł z miny Barton, że we wszystko uwierzyła. Psycholog zwróciła się do Genevy:

- Kiedy już będzie po wszystkim, poproś ich, żeby do mnie zadzwonili. Wydaje się, że dobrze sobie radzisz, ale ta sytuacja na pewno odbije się na twojej psychice. Usiądziemy i omówimy najważniejsze problemy. - Z uśmiechem dodała: - Nie ma takiej usterki, której się nie da naprawić. Pewnie miała wypisaną tę sentencję na tabliczce na biurku albo kubku w gabinecie.

- Dobrze - odrzekła z rezerwą Geneva. - Zobaczymy. Po wyjściu Barton dziewczyna zwróciła się do Rhyme'a:

- Nie wiem, co powiedzieć. To, co pan zrobił, jest dla mnie bardzo ważne.

- Chodziło mi głównie o to - mruknął, zakłopotany jej wdzięcznością - żeby nam było wygodniej. Nie mogę dzwonić do urzędu opieki nad dziećmi albo szukać cię w rodzinach zastępczych za każdym razem, kiedy będziemy mieli jakieś pytanie związane ze sprawą.

Geneva wybuchnęła śmiechem.

- Może pan odstawić szopki, jakie pan tylko chce - oświadczyła. - Ale dzięki.

Potem zaczęła się naradzać z Bellem w sprawie książek, ubrań i innych rzeczy, które chciała zabrać ze swojej sutereny przy Sto Osiemnastej Ulicy. Detektyw obiecał też, że wyciągnie od fałszywego wuja wszystkie pieniądze, jakie zapłaciła mu za oszustwo.

- Nic panu nie odda - powiedziała. - Nie zna go pan. Bell tylko się uśmiechnął i odrzekł życzliwym głosem:

- Och, odda. - Mówił to człowiek uzbrojony w dwa pistolety. Geneva zadzwoniła do Lakeeshy i poinformowała przyjaciółkę, że zostaje u Rhyme'a, po czym ruszyła za Thomem na górę do pokoju gościnnego.

- A jeżeli psycholog się dowie, Line? - zapytał Sellitto.

- O czym?

- No, że skłamałeś w sprawie rodziców Genevy i tej całej procedury. Cholera, jak to się nazywało? Alienacja rodziny?

- Procedura izolacji członków rodziny - przypomniał mu Bell.

- I co wtedy zrobi? - nasrożył się Rhyme. - Każe mi zostać po lekcjach? - Wskazał głową tablicę. - Możemy wrócić do pracy? Po ulicach krąży morderca. I ma współnika. I ktoś ich wynajął. Pamiętasz? Chciałbym poznać tych panów jeszcze w tym dziesięcioleciu.

Sachs podeszła do stołu i zaczęła układać teczki i kopie materiałów, które William Ashberry pozwolił jej wypożyczyć z biblioteki fundacji - „małego miejsca zbrodni”.

- To przede wszystkim rzeczy na temat Gallows Heights - mapy, rysunki, artykuły. I trochę o „Potters’ Field”.

Po kolei podawała dokumenty Cooperowi, który przykleił kilka rysunków i map Gallows Heights na tablicy. Rhyme zaczął je w skupieniu studiować, a Sachs streściła im, czego się dowiedziała o dawnej dzielnicy. Następnie podeszła do rysunku i pokazała piętrowy budynek.

- „Potters’ Field” była dokładnie tutaj. Na Osiemdziesiątej Zachodniej. - Zajrzała do dokumentów. - Gospoda miała kiepską reputację. Bywali tam różni kanciarze w rodzaju Jima Fiska i Bossa Tweeda, i politycy związani z Tammany Hall.

- Widzisz, jak cenne może być małe miejsce zbrodni? Jesteś teraz krynicą istotnych informacji.

Sachs posłała Rhyme’owi chmurne spojrzenie, po czym wzięła jedną z kserokopii.

- To jest artykuł o pożarze. Piszą w nim, że tej nocy, kiedy spaliła się „Potters’ Field”, świadkowie słyszeli wybuch w piwnicy, a zaraz potem cały budynek stanął w płomieniach. Podejrzewano podpalenie, ale nikogo nie aresztowano. Nie było ofiar śmiertelnych.

- Po co Charles tam poszedł? - zastanawiał się na głos Rhyme. - Co miał na myśli, pisząc o „sprawiedliwości”? I co może być „zagrzebane na zawsze pod ziemią i gliną”?

Czy odpowiedź na pytanie, kto chciał zamordować Geneve Settle, znajdą w dowodzie albo strzępku starego dokumentu? Sellitto pokręcił głową.

- Szkoda, że to się stało sto czterdzieści lat temu. Na pewno nie ma już po niczym śladu. Nigdy się nie dowiemy.

Rhyme zerknął na Sachs. Pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

Rozdział 27

Można powiedzieć, że ma pani szczęście - oznajmił jej David Yu, młody inżynier o

nastroszonych włosach, który pracował w miejskiej administracji.

- Przyda się - odrzekła Amelia Sachs. - Mówię o szczęściu.

Stali na Osiemdziesiątej Zachodniej, kawałek na wschód od Riverside Park, i patrzyli na trzykondygnacyjny budynek z piaskowca. Niedaleko stała zaparkowana furgonetka wydziału kryminalistycznego, a obok czekała koleżanka Sachs, Gail Davis, policjantka z oddziału K9, i jej pies Vegas. Policja korzystała głównie z owczarków niemieckich, owczarków belgijskich oraz labradorów - niezastąpionych w wykrywaniu materiałów wybuchowych. Ale Vegas był briardem, owczarkiem francuskim, a rasa ta od bardzo dawna służyła wojsku; briardy mają niezwykle węż i nieprawdopodobną zdolność wyczuwania niebezpieczeństw zagrażających ludziom i zwierzętom. Rhyme i Sachs uznali, że przy oględzinach miejsca zbrodni popełnionej przed stu czterdziestu laty oprócz najnowszego sprzętu mogą się przydać tradycyjne metody.

Inżynier Yu wskazał na budynek wzniesiony w miejscu, gdzie spaliła się gospoda „Potters’ Field”. Na kamieniu węgielnym widniała data 1879.

- Żeby zbudować wtedy taką kamienicę, nie musieli robić wykopów i kłaść płyty. Wykopali pewnie ławy fundamentowe, wylali beton i postawili ściany. To była część nośna. W piwnicy została podłoga z ziemi. Ale potem zmieniły się przepisy budowlane. Na początku dwudziestego wieku musieli położyć betonową podłogę. Ale to też nie był element konstrukcji. Miał tylko spełniać wymogi bezpieczeństwa i higieny. I nie trzeba było kopać.

- Czyli moje szczęście polega na tym, że cokolwiek tam ukryto w dziewiętnastym wieku, ciągle może tam być - powiedziała Sachs.

Zagrzebane na zawsze...

- Zgadza się.

- A pech, że to coś jest przykryte betonem.

- Dość szczelnie.

- Jakiej grubości jest warstwa betonu? Trzydziestu centymetrów?

- Może nawet mniej.

Sachs obeszła dookoła budynek, brudny i zwyczajny, choć wiedziała, że wynajem mieszkania kosztował tu ze cztery tysiące dolarów miesięcznie. Z tyłu domu było wejście prowadzące do piwnicy.

Kiedy wracała przed front kamienicy, zadzwonił jej telefon.

- Detektyw Sachs.

Na drugim końcu linii był Lon Sellitto. Ustalił nazwisko właściciela budynku, którym był

biznesmen mieszkający kilka przecznic dalej. Za chwilę miał się zjawić, by wpuścić ich do środka. Po chwili w słuchawce odezwał się Rhyme i Sachs przekazała mu wiadomości usłyszane od Yu.

- Szczęście i pech - podsumował wyraźnie niezadowolony. - W każdym razie załatwiłem ci zespół rozpoznania z radarem i ultradźwiękami.

Zaraz potem przyjechał właściciel budynku, niski, łysiejący mężczyzna w garniturze i rozpiętej pod szyją białej koszuli. Sachs szybko zakończyła rozmowę z Rhyme'em i wyjaśniła, że muszą obejrzeć piwnicę. Mężczyzna zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem, po czym otworzył drzwi do piwnicy i założywszy ręce, stanął obok briarda. Wyraźnie nie przypadł psu do gustu.

Przed kamienicą zatrzymał się Chevrolet blazer, z którego wysiadło trzech członków wydziału rozpoznania Departamentu Policji Nowego Jorku. Funkcjonariusze rozpoznania byli po trosze policjantami, naukowcami i inżynierami, których zadanie polegało na wspieraniu sił operacyjnych i lokalizowaniu sprawców i ofiar przestępstw za pomocą teleskopów, noktowizorów, czujników podczerwieni, mikrofonów i innych urządzeń. Przywitali się z technikami z kryminalistycznego i wyciągnęli z samochodu sfatygowane czarne nesesery, bardzo podobne do tych, w których Sachs nosiła swój sprzęt. Właściciel budynku przyglądał się im spod zmarszczonych brwi.

Funkcjonariusze rozpoznania, w towarzystwie Sachs i właściciela, zeszli do chłodnej i wilgotnej piwnicy, zalatującej stęchlizną i olejem opałowym. Podłączyli do sprzętu komputerowego sondy przypominające końcówki odkurzacza.

- Całą powierzchnię? - spytał jeden z nich.

- Aha - przytaknęła Sachs.

- Niczego nie naruszyacie? - upewnił się właściciel.

- Nie, proszę pana - odparł technik.

Zabrali się do pracy. Najpierw postanowili użyć radaru. Radar penetrujący wysyłał fale radiowe i odbierał informacje o przedmiotach, na które natrafił sygnał, tak samo jak tradycyjny radar na pokładzie statku lub samolotu. Jedyne różnica polegała na tym, że dla radaru penetrującego ziemia czy gruz nie stanowiły żadnej przeszkody. Urządzenie działało z szybkością światła i w przeciwieństwie do czujników ultradźwiękowych nie musiało dotykać badanej powierzchni.

Funkcjonariusze sondowali piwnicę przez godzinę, stukając w klawisze komputerów i robiąc notatki, gdy tymczasem Sachs stała z boku, starając się opanować zniecierpliwienie i nie przytupy, wac, by nie zakłócić odczytu urządzeń.

Po zbadaniu podłogi za pomocą radaru technicy sprawdzili monitor urządzenia i na podstawie uzyskanych informacji jeszcze raz obeszlą całą piwnicę, dotykając betonu czujnikiem ultradźwiękowym w miejscach, które uznali za istotne.

Kiedy skończyli, poprosili Sachs i inżyniera Yu do komputera, by pokazać im kilka obrazów. Ciemnoszary ekran był dla Sachs zupełnie nieczytelny: pokrywały go jakieś plamy i żyłki oznaczone

niezrozumiałymi liczbami i literami.

- Widać przede wszystkim to, czego się można spodziewać pod budynkiem w takim wieku - mówił jeden z techników. - Kamienie, warstwy żwiru, gniazda zgniłego drewna. A tu jest fragment kanalizacji. - Wskazał jakiś punkt na ekranie.

- Pewnie wpust kanału burzowego połączonego z głównym kanałem, który biegnie do Hudsonu - powiedział Yu.

Właściciel nachylił się nad jego ramieniem.

- Pozwoli pan? - mruknęła Sachs. Mężczyzna cofnął się niechętnie.

Technik skinął głową.

- A tutaj... - Pokazał punkt tuż przy tylnej ścianie. - Mamy ping, ale nie ma trafienia.

- Ping?

- Kiedy przychodzi sygnał odbity od przedmiotu, który komputer wcześniej widział, maszyna sugeruje nam, co to może być. Tym razem mamy negatywny wynik.

Sachs widziała tylko plamę trochę ciemniejszą od ciemnego tła.

- Dlatego osłuchaliśmy to ultradźwiękami i znaleźliśmy coś takiego.

Jego kolega wstukał do komputera polecenie i pojawił się nowy obraz, znacznie jaśniejszy i czytelniejszy: widać było na nim nierówny pierścień, a w środku okrągły, nieprzezroczysty przedmiot, z którego wystawała jakaś wypustka. Przestrzeń między przedmiotem a brzegiem pierścienia wypełniały jakieś pręty czy listwy - Sachs przypuszczała, że mogą to być fragmenty kasetki, która po tylu latach po prostu się rozpadła.

- Pierścień ma średnicę około sześćdziesięciu centymetrów - powiedział funkcjonariusz. - Obiekt w środku jest trójwymiarowy - to kula o średnicy około dwudziestu centymetrów.

- Jest blisko powierzchni?

- Płyta ma grubość około osiemnastu centymetrów, a przedmiot leży piętnaście, dwadzieścia centymetrów poniżej.

- Gdzie dokładnie?

Technik spojrzął na podłogę, po czym porównał ją z obrazem na ekranie. Następnie podszedł do miejsca tuż przy ścianie w głębi piwnicy, niedaleko wyjścia. Narysował kredą znak. Przedmiot spoczywał tuż pod ścianą. Niewiele brakowało, by trafili w niego budowniczy stawiający mury.

- Przypuszczam, że to była studnia albo zbiornik. Może komin.

- Co będzie potrzebne, żeby się przebić przez beton? - spytała inżyniera Yu Sachs.

- Moje pozwolenie - oświadczył właściciel. - Którego zresztą nie dostaniecie. Nie będziecie mi pruć podłogi.

- Proszę pana - powiedziała spokojnie Sachs. - To sprawa policji.

- Cokolwiek tam jest, należy do mnie.

- Nie chodzi o prawa własności. Ten przedmiot może być istotny dla prowadzonego śledztwa.

- W takim razie musi mi pani pokazać nakaz sądowy. Jestem prawnikiem. Nie będziecie mi pruć podłogi.

- To naprawdę ważna sprawa. Musimy się dowiedzieć, co to jest.

- Ważna? - spytał mężczyzna. - Dlaczego?

- Przedmiot ma związek z przestępstwem sprzed kilku lat.

- Kilku? - powtórzył, natychmiast odnajdując najslabszy punkt jej argumentu. - To znaczy ilu? - Chyba był naprawdę dobrym prawnikiem.

Taki człowiek jest gotów wykorzystać każde kłamstwo przeciwko tobie, pomyślała.

- Stu czterdziestu - odrzekła. - Mniej więcej. Wybuchnął śmiechem

- Czyli nie mówimy o śledztwie, ale o programie Discovery. Nic z tego, nie pozwolę tu sobie wpakować młota pneumatycznego.

- Nie zechciałby pan wykazać odrobiny woli współpracy?

- Proszę przynieść nakaz. Nie zamierzam współpracować, dopóki nie zostanę zmuszony.

- Trudno wtedy mówić o woli współpracy, prawda? - odcięła się Sachs i zadzwoniła do Rhyme'a.

- Co jest? - spytał.

Przekazała mu wyniki badań rozpoznania.

- Stara kasetka w studni albo zbiorniku spalonego budynku. Nie można sobie wymarzyć lepszej skrytki. - Poprosił, by technicy przesłali mu e-mailem obrazy. Funkcjonariusze spełnili prośbę.

- Widzę to, Sachs - powiedział po chwili. - Nie mam jednak pojęcia, co widzę.

Poinformowała go o nieczułym na dobro wspólne obywatelu.

- Nie ustąpię - oznajmił prawnik, słysząc rozmowę. - Jestem gotów osobiście stawić się przed sędzią pokoju. Znam wszystkich. Jestem z nimi po imieniu.

Sachs usłyszała, jak Rhyme naradza się z Sellitem. Gdy odezwał się ponownie, nie był zadowolony.

- Lon spróbuje zdobyć nakaz, ale to potrwa. No i nie jest pewien, czy sędzia w ogóle podpisze papier w takiej sprawie.

- Nie mogę go po prostu przymknąć? - mruknęła i zakończyła rozmowę. Zwróciła się do właściciela: - Doprowadzimy panu podłogę do idealnego stanu.

- Mam lokatorów. Będą się skarżyć. I to ja będę musiał się przed nimi tłumaczyć. Nie wy. Was już nie będzie.

Sachs zniecierpliwiona machnęła ręką, zastanawiając się, czy może go aresztować pod zarzutem... pod jakimkolwiek zarzutem, a potem rozpruć tę cholerną podłogę. Jak długo trzeba będzie czekać na nakaz? Pewnie wieki, zważywszy na to, że sędziowie muszą mieć „niezbity argument”, by pozwolić policji wtargnąć do czyjegoś domu.

Znów zadzwonił jej telefon.

- Sachs? - odezwał się Rhyme. - Jest tam jeszcze ten inżynier?

- David? Stoi obok.

- Mam pytanie.

- Jakie?

- Spytaj go, kto jest właścicielem alejek.

W tym wypadku odpowiedź brzmiała: miasto. Do prawnika należała tylko przestrzeń zajmowana przez budynek i wszystko w obrębie murów.

- Powiedz inżynierom, żeby sprowadzili jakiś sprzęt i wykopali tunel od zewnątrz - zarządził Rhyme. - Da się to zrobić?

Starając się, by nie słyszał jej właściciel, powtórzyła pytanie inżynierowi Yu, który odparł:

- Tak, możemy spróbować. Jeżeli tunel będzie wąski, nie naruszamy konstrukcji.

Wąski, pomyślała ofiara klaustrofobii. Tylko tego mi brakowało... Zamknęła telefon i powiedziała do inżyniera:

- Wobec tego będę potrzebowała... koparki, prawda? Jak szybko możemy ją tu sprowadzić?

- Za pół godziny.

Spojrzała na niego ze zboloną miną.

- A dziesięć minut?

- Zobaczą, co się da zrobić.

Dwadzieścia minut później nadjechała miejska koparka i ustawiła się pod boczną ścianą budynku, bucząc ostrzegawczo przy cofaniu. Nie mogli już dłużej ukrywać podstępów. Właściciel wybiegł z kamienicy, machając rękami.

- Chcecie się dostać do środka od zewnątrz! Nie wolno wam tego robić. Cała nieruchomość, od nieba do samego jądra ziemi, należy do mnie. Tak mówi prawo.

- Drogi panie - rzekł uprzejmie miejski urzędnik. - Pod budynkiem znajduje się wpust do sieci komunalnej. Mamy prawo uzyskania dostępu do niego. Nie mam wątpliwości, że pan o tym wie.

- Ale ten cholerny wpust jest po drugiej stronie budynku.

- Nie sądzę.

- Widać go na monitorze, o tutaj. - Wskazał na ekran... który w tym momencie zgasł.

- Ojej - powiedział funkcjonariusz rozpoznania, chwilę wcześniej wyłączony komputer. - Ciągłe się to diabelstwo psuje.

Właściciel posłał mu wściekłe spojrzenie, po czym oświadczył inżynierowi Yu:

- Tu, gdzie chcecie kopać, nie ma żadnego wpustu. Yu wzruszył ramionami.

- Jeżeli ktoś kwestionuje położenie wpustu kanalizacyjnego, to sam ma obowiązek uzyskania nakazu sądowego, żeby nas powstrzymać. Powinien pan zadzwonić do któregoś ze swoich znajomych sędziów. I wie pan co? Lepiej niech się pan pospieszy, bo zaraz zaczynamy.

- Ależ...

- Szybko! - krzyknął Yu.

- To prawda? - spytała go szeptem Sachs. - O tych wpustach?

- Nie wiem. Ale chyba uwierzył.

- Dzięki.

Koparka zabrała się do pracy. Nie trwało to długo. Dziesięć minut później, kierując się wskazówkami techników z rozpoznania, wykopano rów szerokości metra pięćdziesięciu i głębokości

trzech metrów. Fundament kończył się dwa metry pod powierzchnią, a niżej widać było warstwę czarnej ziemi i szarej gliny. Sachs musiała zejść na dno wykopu i wygrzebać prostopadły do niego tunel długości około czterdziestu pięciu centymetrów, by dostać się do zbiornika czy studni. Nałożyła kombinezon z tyveku i kask z latarką. Połączyła się z Rhyme'em przez radio, nie wiedząc, czy na dnie rowu komórka będzie działać.

- Jestem gotowa - zameldowała mu.

Podeszła Gail Davis z oddziału K9 ze swoim Vegasem, który ciągnął smycz, skrobiąc łapą w krawędź wykopu.

- Coś tam jest - powiedziała policjantka.

Jak gdybym już nie miała pietra, pomyślała Sachs, widząc zaniepokojenie psa.

- Sachs, co to za hałasy?

- Jest tu Gail. Jej pies trochę się niepokoi. Chodzi mu o coś konkretnego? - zapytała koleżankę.

- Nie. Może czuć cokolwiek. Vegas warknął i dotknął łapą nogi Sachs. Davis opowiadała jej kiedyś, że briardy posiadały jeszcze jedną zdolność przydatną przy selekcji rannych na polu bitwy - sanitariusze używali psów, by ustalić, których można ocalić, a których nie. Sachs zastanawiała się, czy Vegas nie zaliczył jej właśnie do tej drugiej kategorii.

- Nie odchodź za daleko - powiedziała do Gail Davis, śmiejąc się nerwowo. - Może trzeba mnie będzie odkopać.

Yu ofiarował się, że sam zejdzie do rowu (oświadczył, że bardzo lubi tunele i jaskinie, co szczerze zdumiało Amelię Sachs). Musiała mu jednak odmówić. W końcu było to miejsce zbrodni, mimo że popełniono ją sto czterdzieści lat temu, a tajemnicza kula i kasetka stanowiły dowody w sprawie, które zgodnie z procedurą należało zabrać i zabezpieczyć.

Robotnicy miejscy spuścili do wykopu drabinę. Sachs z westchnieniem spojrzała w głąb rowu.

- Wszystko w porządku? - zapytał Yu.

- Tak - odrzekła wesoło i zaczęła schodzić. Klaustrofobia w archiwum Fundacji Sanforda w porównaniu z tym to był drobiazg. Stanąwszy na dnie, wzięła łopatę i kilof, które podał jej Yu, i zabrała się do roboty.

Ocierając pot z czoła i co chwilę wzdrygając się z lęku, kopała, wyobrażając sobie z każdym ruchem, jak ściany rowu się zapadają i zasypują ją po czubek głowy.

Wyrywała kamienie, walczyła ze zbitą ziemią.

Zagrzebane na zawsze pod ziemią i gliną...

- Sachs, co widzisz? - odezwał się przez radio Rhyme.

- Ziemię, piasek, robactwo, parę blaszanych puszek, kamienie. Tunel pod budynkiem miał już głębokość trzydziestu centymetrów, potem sześćdziesięciu.

Łopata z brzękiem trafiła na coś twardego. Sachs odgarnęła ziemię i zobaczyła okrągłą ścianę, bardzo starą, której cegły spajała położona byle jak zaprawa.

- Coś mam. Chyba bok zbiornika.

Na dno rowu osypała się garść ziemi. Sachs przeraziła się bardziej, niż gdyby przemknął po niej szczur. W jednej chwili oczyma wyobraźni ujrzała siebie uwięzioną w wykopie, walczącą z ziemią, która sięgała coraz wyżej, napierała na pierś, wypełniała nos i usta. Tonęła w piasku...

Spokojnie, wszystko gra. Kilka razy głęboko odetchnęła. Zdrapała z cegieł następną porcję ziemi.

- Może powinniśmy podeprzeć ściany? - zawołała do Yu.

- Co? - spytał Rhyme.

- Mówię do inżyniera.

- Moim zdaniem chyba wytrzyma - odkrzyknął Yu. - Ziemia jest wilgotna i dość gęsta.

Chyba.

- Jak pani chce - ciągnął inżynier - możemy zrobić szalunek, ale to potrwa kilka godzin.

- Mniejsza z tym! - zawołała. - Lincoln? - powiedziała do mikrofonu.

Usłyszała ciszę.

Uświadomiła sobie nagle, że zwróciła się do niego po imieniu. Żadne z nich nie było przesądne, ale obowiązywała ich niepisana zasada: używanie imion w pracy przynosi pecha.

Jego wahanie świadczyło, że Rhyme także zwrócił uwagę na złamanie zasady. Wreszcie rzekł:

- Mów.

Z krawędzi rowu znów stoczyła się odrobina żwiru i suchej ziemi, prosto na jej szyję i ramiona. Jakiś kawałek trafił w kombinezon z tyveku, który wzmocnił głuchy odgłos. Sachs odskoczyła, przekonana, że ściana się na nią wali.

- Sachs? Wszystko w porządku? Rozejrzała się. Nie, ściana trzymała się mocno.

- Tak. - Wróciła do zdrapywania ziemi z ceglanego zbiornika. Kilofem zaczęła wydłubywać

zaprawę. - Dalej nic ci nie przychodzi do głowy, co to może być? - spytała Rhyme'a. Chciała po prostu usłyszeć jego głos.

Kula z ogonkiem.

- Nie mam pojęcia.

Walnęła kilofem w mur. Udało się jej wybić jedną cegłę. Potem drugą. Ze studni wysypała się ziemia prosto na jej kolana. Cholera, co za okropność.

Rósł przed nią kopczyk piasku, ziemi, kamyków i cegieł. Przerwała pracę, otrzepała kolana i wróciła do rozbiórki muru.

- Jak ci idzie? - zapytał Rhyme.

- Jakoś się trzymam - odrzekła cicho, wyciągając kilka kolejnych cegieł. Wokół niej leżało już kilkanaście. Sachs odwróciła się, oświetlając czołową latarką przestrzeń za ścianą: zobaczyła czarną ziemię, popiół, drobiny węgla drzewnego i kawałki drewna.

Zacząła kopać w suchej ziemi wypełniającej zbiornik. O tej nie można powiedzieć, że jest gęsta, pomyślała, patrząc na brązowe strużki połyskujące w blasku latarki na kasku.

- Sachs! - krzyknął Rhyme. - Przestań! Omal nie krzyknęła z przerażenia.

- Co się...

- Przeczytałem jeszcze raz artykuł o podpaleniu. Napisali, że w piwnicy gospody był wybuch. Granaty z tamtych czasów to były kule z lontami. Widocznie Charles wziął ze sobą dwa. I jeden jest w tej studni! Masz obok siebie niewybuch. Może być tak samo niebezpieczny jak nitrogliceryna. Pies wyczuł materiał wybuchowy! Wyłaż stamtąd!

Chwyciła się ceglanego brzegu studni, aby się podnieść. Ale cegła nagle się obluzowała. Sachs upadła na plecy, a rów zaczęła zasypywać lawina suchej ziemi. Kamienie, żwir i piasek otoczyły ją, unieruchamiając zgięte nogi i pnąc się coraz wyżej w stronę piersi i twarzy.

Sachs wrzasnęła, rozpaczliwie usiłując wstać. Bez skutku; fala sypkiej ziemi dosięgła jej ramion.

- Sa... - zdążyła usłyszeć w słuchawce, zanim kabel wypadł z radia.

Coraz więcej ziemi bombardowało kaskadą jej ciało, bezradnie uwięzione pod naporem masy piasku, która rosła coraz wyżej jak fala powodzi.

Sachs wrzasnęła jeszcze raz - gdy przez wybitą w murze dziurę, niesiona sypkim strumieniem, wypadła kula i potoczyła się w kierunku jej ciała.

Jax opuścił swój teren.

Zostawił Harlem - dzielnicę i jej ducha. Zostawił puste działki zasłane butelkami po piwie, zostawił sklepy, zniszczone plakaty reklamujące ług Red Devil, którym czarni mężczyźni prostowali sobie włosy w epoce Malcolma X, zostawił nastolatków marzących o karierach raperów, uliczne zespoły bębniące w wiadra w parku Marcusa Garveya, stragany sprzedające zabawki, sandały, świecidełka i draperie z kente. Zostawił wszystkie nowe budowy i autobusy wycieczkowe.

Był teraz w okolicy, gdzie nigdy nie wypisał na żadnym murze „Jax 157”, nie zrobił żadnego wrzutu. W eleganckiej części Central Park West.

Patrzył na budynek, w którym schroniła się Geneva Settle.

Po zdarzeniu w alejce niedaleko domu przy Sto Osiemnastej, z Geneva i facetem w szarym samochodzie, Jax znów wskoczył do taksówki i jadąc za radiowozami, dotarł tutaj. Nie miał pojęcia, co to za budynek: stały przed nim dwa samochody policyjne, a od schodów na chodnik prowadził podjazd taki jak dla ludzi na wózkach.

Utykając, szedł przez park i oglądał budynek. Co dziewczyna tam robi? Próbował zajrzeć do środka, ale okna zasłaniały rolety.

Przed domem zatrzymał się następny samochód - ford crown victoria, jeden z typowych gliniarskich wozów - z którego wysiadło dwóch policjantów, niosąc tanią, posklejaną taśmą walizkę i pudła z książkami. Domyślił się, że to rzeczy Genevy. Wprowadzała się.

Pilnują jej jeszcze bardziej, pomyślał zniechęcony.

Wszedł w krzaki, żeby mieć lepszy widok, kiedy otworzą się drzwi, ale w tym momencie ulicą wolno przejechał kolejny radiowóz. Gliniarz za kółkiem chyba obserwował park i chodnik. Jax zapamiętał numer budynku, odwrócił się i dał nura w głąb parku. Szedł na północ, w stronę Harlemu.

Czuł ciężar broni w skarpetce, czuł ciężar ręki swojego kuratora, który ponad trzysta kilometrów stąd być może właśnie zamierzał złożyć niezapowiedzianą wizytę w jego mieszkaniu w Buffalo. Jax przypomniał sobie pytanie, jakie zadał mu faraon Ralph: czy to, co robił, było warte takiego ryzyka?

Zastanawiał się nad tym, wracając do domu.

Myślał: Czy warto było ryzykować dwadzieścia lat temu, balansując na żelaznej belce szerokości piętnastu centymetrów na estakadzie nad Grand Central, żeby wypisać „Jax 157” dziesięć metrów nad ruchliwą drogą, po której sznury aut pędziły z szybkością stu kilometrów na godzinę?

Warto było ryzykować sześć lat temu, kiedy załadował strzelbę nabojem kalibru.12 i wcisnął lufę w twarz kierowcy opancerzonej furgonetki tylko po to, żeby zgarnąć pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy dolców? Tyle, żeby wyjść z dołka i zacząć normalnie żyć?

Uznał, że cholerne pytanie Ralpa nie ma sensu, bo wynikało z niego, że Jax ma jakiś wybór.

Dzisiaj tak samo jak wtedy nieważne było, czy robił dobrze, czy źle. Alonzo „Jax” Jackson zmierzał prosto do celu. Jeżeli mu się uda, ułoży sobie porządne życie w Harlemie, swoim domu, dzięki któremu był tym, kim był. I domu, na którym odcisnął własne piętno tysiącami puszek sprayu. Po prostu robił to, co musiał.

Ostrożnie.

Thompson Boyd siedział w swojej kryjówce w Queens w masce gazowej z respiratorem i grubych rękawiczkach. Wolno mieszał kwas z wodą, co chwilę sprawdzając stężenie.

Ostrożnie...

To było właśnie najtrudniejsze. Leżący obok cyjanek potasu był niebezpieczny - wystarczyłoby do zabicia trzydziestu albo czterdziestu osób - ale w postaci proszku był dość stabilny. Tak jak w bombie, którą podłożył w policyjnym samochodzie, biały proszek musiał się mieszać z kwasem siarkowym, by powstał śmiertelny gaz (niesławny cyklon B używany przez nazistów w obozach koncentracyjnych).

Wielką niewiadomą był jednak kwas. Przy zbyt małym stężeniu, cyjanowodór będzie się uwalniać zbyt wolno i ofiary zdążą wyczuć zapach i uciec. Zbyt duże stężenie - ponaddwudziestoprocentowe - groziło eksplozją cyjanowodoru, która zniszczyłaby prawie cały pożądaný efekt.

Thompson musiał uzyskać stężenie jak najbliższe dwudziesto-procentowego - z prostego powodu: miejsce, w którym zamierzał podłożyć gazową pułapkę - stary dom w Central Parku, gdzie została Geneva Settle - na pewno nie było hermetycznie szczelne. Dowiedziawszy się, że tam ją ukryli, Thompson sam przeprowadził obserwację domu i zauważył nieszczelne okna oraz przestarzałe ogrzewanie i klimatyzację. Uczynienie z tej dużej budowli komory gazowej stanowiło prawdziwe wyzwanie.

...powinieneś zrozumieć, że nasza praca nie różni się od innych zajęć w życiu. Nic nigdy nie idzie gładko i nie jest pewne na sto procent. Nic nie działa tak, jakbyśmy chcieli...

Wczoraj zapewniał swojego pracodawcę, że następna próba pozbawienia Genevy życia będzie udana. Teraz jednak wcale nie był tego pewien.

Zmienimy plan i spróbujemy inaczej. Nie możemy podchodzić do tego emocjonalnie.

Nie podchodził do sprawy emocjonalnie. Ale musiał podjąć radykalne kroki - na kilku frontach. Jeżeli trujący gaz zabije Geneve, świetnie. Nie był to jednak główny cel. Musiał zlikwidować niektóre osoby w domu - gliniarzy, którzy szukali Thompsona i jego pracodawcy. Zabić, wywołać śpiączkę albo uszkodzenie mózgu - nieważne. Ważne, żeby zostali unieszkodliwieni.

Thompson ponownie sprawdził stężenie i nieznacznie je zmienił, biorąc pod uwagę wpływ powietrza na odczyn pH. Odrobinę drżały mu ręce, odsunął się więc na chwilę od stołu, aby się

uspokoić.

Ssst...

Zaczął gwizdać „Stairway to Heaven”.

Thompson odchylił się do tyłu, zastanawiając się, jak podłożyć gazową bombę w domu. Miał kilka pomysłów - w tym jeden czy dwa, które miały dużą szansę powodzenia. Jeszcze raz sprawdził stężenie kwasu, z roztargnieniem gwizdząc przez ustnik respiratora. Analizator pokazywał wartość 19,99394 procent.

Idealnie.

Ssst...

Nową melodią, jaka odezwała mu się w głowie, była „Oda do radości” z Dziewiątej Symfonii Beethovena.

Amelia Sachs nie została zmiażdżona przez ziemię i glinę ani rozerwana przez dziewiętnastowieczny zabytek artyleryjski.

Umyta i przebrana w czyste rzeczy, stała w laboratorium Rhyme’a, oglądając to, co przed godziną wypadło z suchego zbiornika prosto na jej kolana.

Nie była to stara bomba. Ale nie mieli prawie cienia wątpliwości, że w studni pozostawił to Charles Singleton w nocy piętnastego lipca 1868 roku.

Wózek Rhyme’a stał przy stole do analizy i oboje z Sachs zaglądali do kartonowego pudła z dowodami. Cooper nakładał lateksowe rękawiczki.

- Będziemy musieli powiedzieć Genevie - rzekł Rhyme.

- Będziemy? - powtórzyła bez przekonania Sachs. - Wolałabym nie.

- Powiedzieć mi? O czym?

Sachs odwróciła się szybko. Rhyme cofnął się od stołu i niechętnie zawrócił wózek. Niech to szlag, pomyślał. Powinniśmy być ostrożniejsi.

W drzwiach stała Geneva Settle.

- Znaleźliście w piwnicy gospody coś, co ma związek z Charlesem, prawda? Dowiedzieliście się, że naprawdę ukradł te pieniądze. To miała być ta jego tajemnica?

Zerknęła na Sachs, a Rhyme powiedział:

- Nie, Geneva. Nie. Znaleźliśmy coś innego. - Wskazał głową pudło. - Sama zobacz.

Dziewczyna podeszła do stołu. Stała jak wryta, wpatrując się w brązową ludzką czaszkę. To był tajemniczy przedmiot, który widzieli na obrazie ultradźwiękowym i który wytoczył się do rowu. Z pomocą Vegasa, briarda Gail Davis, Sachs odnalazła pozostałe kości, które wcześniej wzięła za listewki starej kasetki. Rhyme orzekł, że są to kości ludzkie. Widocznie ciało zostało wepchnięte do zbiornika pionowo, zanim Charles podpalił gospodę „Potters’ Field”. Czujnik ultradźwiękowy wykrył tylko czubek czaszki i wystające spod spodu żebro, które wyglądało jak lont bomby.

Kości spoczywały w drugim kartonie.

- Jesteśmy prawie pewni, że to szczątki człowieka, którego zabił Charles.

- Nie!

- A potem podpalił gospodę, żeby zatrzeć ślady zbrodni.

- Tego na pewno pan nie wie - warknęła Geneva.

- Nie wiem. Ale to logicznie uzasadniony wniosek. W liście napisał, że idzie do „Potters’ Field” uzbrojony w colta Navy - wyjaśnił Rhyme. - To rewolwer używany podczas wojny secesyjnej. Działał zupełnie inaczej niż dzisiejsza broń, w której bębenek ładuje się od tyłu. Każdą komorę trzeba było załadować przez lufę, kulą i prochem.

Dziewczyna skinęła głową. Nie odrywała wzroku od brązowych kości i bezokiej czaszki.

- W naszych bazach danych znaleźliśmy informacje o tej broni. Jest kalibru.36, ale większość żołnierzy nauczyła się strzelać z niej kulami kalibru.39. Są trochę większe i lepiej pasują. Dzięki temu broń jest bardziej precyzyjna.

Sachs uniosła plastikową torebkę.

- A w czaszce było to. - Wewnątrz spoczywał kulisty kawałek ołowiu. - Kula kalibru.39 wystrzelona z broni kalibru.36.

- Ale to niczego nie dowodzi. - Geneva patrzyła na dziurę w czole czaszki.

- Nie - potwierdził łagodnie Rhyme. - Tylko sugeruje. Ale bardzo wyraźnie sugeruje, że to Charles go zabił.

- Kto to był? - spytała Geneva.- Nie mamy pojęcia. Jeżeli nawet miał jakieś dokumenty, to albo spłonęły, albo się rozpadły, tak jak ubranie. Znaleźliśmy kulę, mały pistolet, który prawdopodobnie miał przy sobie, parę złotych monet i pierścień ze słowem... co to za słowo, Mei?

- Winskinkie. - Technik pokazał plastikową torebkę ze złotym sygnetem w środku. Nad inskrypcją był wygrawerowany profil Indianina.

Cooper dowiedział się, że słowo w języku Indian Delaware oznacza „odźwierny” lub „stróż”. To mogło być imię zmarłego, ale budowa kości czaszki wskazywała, że nie był rdzennym mieszkańcem Ameryki. Rhyme skłaniał się raczej ku przypuszczeniu, że było to hasło jakiegoś bractwa, szkoły albo loży, a Cooper wysłał już e-maile do antropologów i historyków z pytaniem, czy znają tajemnicze słowo.

- Charles na pewno by tego nie zrobił - powiedziała cicho jego krewna. - Nikogo by nie zamordował.

- Kula trafiła w czoło - rzekł Rhyme. - Nie z tyłu. A derringer - broń, którą Sachs znalazła w zbiorniku - prawdopodobnie należał do ofiary. Sugeruje to, że mógł strzelać w obronie własnej.

W niczym nie zmieniało to jednak faktu, że Charles z własnej woli poszedł do gospody i był uzbrojony. Mógł przewidywać, że dojdzie do aktu przemocy.

- W ogóle nie powinnam tego zaczynać - mruknęła Geneva. - Głupio zrobiłam. Przecież nie lubię przeszłości. Bez sensu. Nie cierpię! - Odwróciła się i wybiegła na korytarz, a potem pomknęła na górę.

Sachs poszła za nią i wróciła po kilku minutach.

- Czyta. Powiedziała, że chce być sama. Chyba nic jej będzie. - Ton jej głosu świadczył jednak, że nie jest tego wcale pewna.

Rhyme przejrzał informacje o najstarszym miejscu zbrodni, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia - sprzed stu czterdziestu lat. Jednym celem badania było znalezienie jakiegoś tropu, który mógłby ich doprowadzić do zleceniodawcy NS 109. Tymczasem osiągnęli tyle, że Sachs omal nie zginęła w wykopie, a Geneva poznała smutną wiadomość, że jej przodek zabił człowieka.

Rhyme zerknął na kartę Wisielca, który spoglądał na niego spokojnie z tablicy dowodów, jak gdyby kpił sobie z jego frustracji.

- Hej, chyba coś mam - powiedział Cooper. Siedział przed monitorem komputera.

- W sprawie Winskinkie? - spytał Rhyme.

- Nie. Posłuchajcie. Wiadomo już, co to za tajemnicza substancja - ta, którą Amelia znalazła w kryjówce przy Elizabeth Street i niedaleko mieszkania ciotki Genevy. Ten płyn.

- Rychło w czas. Co to jest? Toksyna? - pytał Rhyme.

- Nasz bandyta ma suche oczy - poinformował go Cooper.

- Co?

- To murine.

- Krople do oczu?

- Zgadza się. Skład jest identyczny.

- W porządku. Dopisz do listy - polecił Thomowi Rhyme. - Może to chwilowe, bo miał kontakt z kwasem. Wówczas nic to nam nie da. Ale może być chroniczne. I wtedy lepiej dla nas.

Kryminaliści uwielbiają sprawców z dolegliwościami fizycznymi. Rhyme poświęcił cały ustęp książki sprawie tropienia ludzi na podstawie leków sprzedawanych na receptę i bez recepty, wyrzuconych igieł do strzykawek, przepisanych okularów, charakterystycznego zdarzenia podszew wynikających z kłopotów ortopedycznych i tak dalej.

Zadzwonił telefon Sachs. Słuchała przez chwilę.

- Dobrze, będę za piętnaście minut. - Rozłączyła się i spojrzała na Rhyme'a. - A to ciekawe.

Rozdział 28

Kiedy Amelia Sachs weszła na oddział intensywnej opieki medycznej szpitala Columbia-Presbyterian, zobaczyła dwóch Pułaskich. Jeden leżał w łóżku, zabandażowany i podłączony do jakichś koszmarnych rurek z przezroczystego plastiku. Miał apatyczne spojrzenie i bezwładnie rozchylone usta.

Drugi siedział przy łóżku na niewygodnym plastikowym krzeselku. Miał taką samą jasną czuprynę, ufną twarz i był ubrany w identyczny nowiutki granatowy mundur Departamentu Policji Nowego Jorku, jaki miał na sobie wczoraj Ron Pulaski, gdy Sachs zwerbowała go do zadania przed muzeum afroamerykańskim, każąc mu udawać zaniepokojenie stertą śmieci. *Tle porcji cukru?*...

Zdumiała się, widząc lustrzane odbicie młodego posterunkowego.

- Jestem Tony. Brat Rona. Jak się pewnie pani domyśliła.

- Witam, detektywie - zdołał wykrztusić Ron. Głos odmawiał mu posłuszeństwa. Brzmiał słabo i niewyraźnie.

- Jak się czujesz?

- A... Geneva?

- Wszystko w porządku. Na pewno słyszałeś - powstrzymaliśmy go w mieszkaniu ciotki, ale uciekł... Boli cię? Pewnie tak.

Nieznacznym ruchem głowy wskazał kroplówkę.

- Zupka szszęsssia... Nic nie czuję.

- Wyjdzie z tego.

- Wyjdę z tego - powtórzył słowa brata Ron. Kilka razy głęboko odetchnął i zamrugał oczami.

- Za jakiś miesiąc - wyjaśnił Tony. - Po terapii. Wróci do służby. Parę złamań. Niewielkie obrażenia wewnętrzne. Twarda czaszka. Tak zawsze mówił tato.

- Szaszka. - Ron uśmiechnął się szeroko.

- Byliście razem na akademii? - Sachs przysunęła sobie krzesło i usiadła.

- Tak.

- Gdzie dostałeś przydział?

- Do szóstego - odrzekł Tony.

Posterunek numer sześć znajdował się w sercu zachodniego Greenwich Village. Niewiele rozbojów, kradzieży samochodów i narkotyków. Policja zajmowała się tam głównie włamaniami, awanturami par gejowskich i incydentami wywołanymi przez niezrównoważonych emocjonalnie artystów i pisarzy, którym skończyły się leki. W szóstym miał swoją siedzibę oddział pirotechników.

Tony był wstrząśnięty napaścią na brata, ale i wściekły.

- Walnął go, kiedy Ron już leżał. Po co?

- A może to lepiej - odezwał się urywanym głosem Ron. - Bo nie miał... szsza... czasu dopaść Genevy.

Sachs uśmiechnęła się do niego.

- Zdaje się, że jesteś z tych, dla których szklanka jest do połowy pełna. - Nie powiedziała mu, że omal nie został zatłuczony na śmierć tylko po to, by NS 109 mógł użyć pocisku z jego broni do odwrócenia uwagi policji.

- Chyba tak. Niech pani podziękuje żene... Genevie ode mnie. Za książkę. - Prawie nie mógł ruszać głową, ale jego wzrok przesunął się na nocny stolik, gdzie leżała książka „Zabić drozda”. - Tony mi szszyta. Radzi sobie nawet z długimi słowami.

- Ty gadzino - zaśmiał się jego brat.

- To co nam możesz powiedzieć, Ron? Facet jest sprytny i ciągle przebywa na wolności. Musimy coś wiedzieć.

- Nie wiem, proszę... detektywie. Chodziłem po alejce. A on się schował, kiedy szszedłem do ulicy. Wróciłem... Nie spodziea... spodziewałem się go. Stał za rogiem bugyn... budynku. Zobaszyłem faceta w kominiarce, a potem pałkę czy kij. Nie zdążyłem... nie widziałem... Zdrowo mnie zaprawił. - Znów zamrugał i przymknął oczy. - Nie uważałem. Byłem za blisko muru. Już tak więcej nie zrobię.

Nie wiedziałeś. Teraz już wiesz.

- Ten świst. - Skrzywił się.

- Dobrze się czujesz? - spytał go brat.

- Dobrze.

- Świst? - powtórzyła Sachs, przysuwając się bliżej.

- Co?

- Słyszałeś świst.

- Słyszałem, proszę pani... nie, detektywie.

- W porządku, Ron. Możesz do mnie mówić, jak chcesz. Widziałeś coś? Cokolwiek?

- Tylko kij. Ale nie zwykły kij... do baseballu. Leciał mi prosto na twarz. I upadłem. Detektywie, nie proszę pani.

- Dobrze, Ron. Pamiętasz, co było potem?

- Nie wiem. Pamiętam, że leżałem na ziemi. Myślałem... myślałem, że chce mi zabrać broń. Próbowałem zachować kontrolę. Tak pisali w książce, żeby... nie dać sobie odebrać broni. „Zawsze zachowuj kontrolę nad bronią”. Ale mi ją zabrał. Było po mnie. Wiedziałem, że już po mnie.

- Pamiętasz, co widziałeś? - zachęciła go delikatnie Sachs.

- Turkąt.

- Co takiego? Zaśmiał się słabo.

- To znaczy trójkąt. Z kartonu. Na ziemi. Nie mogłem się ruszyć. Nic więcej nie widziałem.

- A ten karton? To był jego karton?

- Trój... kąt? Nie, to były śmieci. Naprawdę... nic więcej nie widziałem. Próbowałem się szołgać... ale chyba mi nie poszło.

Sachs westchnęła.

- Kiedy cię znaleźli, Ron, leżałeś na wznak.

- Naprawdę?... Na wznak?

- Przypomnij sobie. Może widziałeś niebo? Pułaski zmrużył oczy.

Jej serce zabiło szybciej. Może udało mu się coś zauważyć?

- Kchew.

- Co?

- Miałem pełno w oszach.

- Krew? - podsunął brat.

- Tak. Krew. Nic nie widziałem. Ani turkąta, ani budynku. Zabrał mi pistolet. Kilka minut stał obok. Potem już nic nie pamiętam.

- Stał obok ciebie? Jak blisko?

- Nie wiem. Kawałek. Nie widziałem. Za dużo kchwi.

Sachs skinęła głową. Biedak wyglądał na zupełnie wyczerpanego. Oddychał z trudem, a jego wzrok wydawał się bardziej nieprzytomny niż w chwili, gdy weszła na oddział. Wstała.

- Dam ci odpocząć. Słyszałeś o Terry'm Dobynsie? - spytała.

- Nie. On jest... Kto... - Twarz rannego funkcjonariusza wykrzywił grymas. - Kto to jest?

- Nasz policyjny psycholog. - Spojrzała na Rona z uśmiechem. - Po tym będziesz trochę oklapły. Powinieneś z nim porozmawiać. Dobyns dobrze się na tym zna. Jest wielki.

- Nie muszę... - zaczął Ron.

- Posterunkowy? - przerwała mu ostro. Uniósł brew, krzywiąc się z bólu.

- To rozkaz.

- Tak jest, proszę pani... to znaczy... pani.

- Dopilnuję tego - obiecał Anthony.

- Podziękuj pani... Genevie? Podoba mi się ta książka.

- Podziękuję. - Sachs zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła do drzwi. Była już za progiem, gdy nagle stanęła i obejrzała się za siebie.

- Ron?

- Taak?

Wróciła i znów usiadła przy łóżku.

- Ron, mówiłeś, że on stał obok ciebie przez kilka minut.

- Stał.

- Jeżeli miałeś krew w oczach i go nie widziałeś, skąd wiesz, że tam był?

Młody policjant zmarszczył brwi.

- A... właśnie. O czymś zapomniałem.

- Nasz znajomy ma pewien nawyk, Rhyme. Amelia Sachs wróciła już do laboratorium.

- Jaki?

- Gwizdże.

- Na taksówki?

- Nie, melodie. Pułaski go słyszał. Kiedy dostał pierwszy raz i leżał w alejce, sprawca wziął jego pistolet i chyba przez kilka minut przywiązywał pocisk do papierosa. Pogwizdywał sobie przy tym. Ron twierdzi, że bardzo cicho, ale na pewno gwizdał.

- Żaden zawodowiec nie pogwizduje przy robocie - zauważył Rhyme.

- Tak by można było przypuszczać. Ale ja też słyszałam. W kryjówce przy Elizabeth Street. Zdawało mi się, że to radio czy coś takiego - naprawdę nieźle gwizdał.

- Jak się czuje nowy? - zapytał Sellitto. Od pewnego czasu nie pocierał już niewidzialnej plamki krwi, ale nadal był podenerwowany.

- Podobno wyjdzie z tego. Leczenie potrwa jakiś miesiąc. Powiedziałam mu, żeby się umówił z Terryem Dobynsem. Ron był dość skołowany, ale siedział przy nim brat. Zajmie się nim. Też jest gliną. Identyfikacyjny bliźniak.

Rhyme nie był tym zaskoczony. Służba w policji często była rodzinną tradycją. Powinien istnieć ludzki gen o nazwie „głina”.

Ale Sellitta wiadomość o bracie jeszcze bardziej przygnębiła. Wyglądał, jakby poczuwał się do winy za to, że napaść dotknęła całą rodzinę.

Nie było jednak czasu zajmować się demonami nękającymi detektywa.

- Dobra, mamy nową informację - rzekł Rhyme. - Trzeba ją wykorzystać.

- Jak? - zapytał Cooper.

- Najbliższym tropem do pana 109 jest ciągle morderstwo Charliego Tuckera. Czyli rozumie się - dodał kryminalistyk - że może nam pomóc tylko Teksas.

- Pamiętajcie o obronie Alamo - powiedziała Sachs, wciskając przycisk głośnika w telefonie.

MIEJSCE:

„POTTERS' FIELD” (1868)

Gospoda w Gallows Heights - w XIX w. na Upper West Side, mieszanej dzielnicy.

W „Potters' Field” bywali podobno Boss Tweed i skorumpowani politycy nowojorscy.

Charles zjawił się tam 15 lipca 1868 r.

Gospoda spaliła się w wyniku wybuchu, przypuszczalnie tuż po wizycie Charlesa. Chciał ukryć swoją tajemnicę?

Ciało mężczyzny w piwnicy, przypuszczalnie zabitego przez Charlesa Singletona.

Strzał w czoło z colta Navy.36 załadowanego kulą kalibru.39 (taki rodzaj broni miał Charles).

Złote monety.

Mężczyzna był uzbrojony w derringera.

Tożsamość nieznana.

Miał sygnet z wygrawerowanym słowem „Winskinkie”.

Słowo w języku Indian Delaware oznacza „stróża” lub „dozorcę”.

Poszukiwanie innego znaczenia.

MIEJSCE:

WSCHODNI HARLEM (MIESZKANIE CIOTECZNEJ BABKI GENEW)

Za pomocą papierosa i pocisku 9 mm skonstruował petardę, żeby odwrócić uwagę policji. Papieros marki Merit, nieustalone miejsce pochodzenia.

Ślady daktyloskopijne: żadnych. Tylko odciski rękawiczek.

Pułapka z trującym gazem.

Szklany słoik, folia, świecznik. Nie do wykrycia.

Cyjanek i kwas siarkowy. Brak znaczników. Nie do wykrycia.

Przezroczysty płyn podobny do znalezionej przy Elizabeth Street.

Ustalono, że to krople murine.

Drobiny pomarańczowej farby. Udaje robotnika budowlanego albo drogowego?

MIEJSCE:

KRYJÓWKA PRZY ELIZABETH STREET

Pułapka - drzwi pod wysokim napięciem.

Odciski palców: brak. Tylko odciski rękawiczek.

Kamera i monitor: brak tropów.

Talia tarota bez dwunastej karty: brak tropów.

Mapa z planem muzeum, gdzie zaatakowano G. Settle, i z planem budynków po drugiej stronie ulicy.

Ślady:

Falafel i jogurt.

Na biurku ślady czystego kwasu siarkowego.

Bezbarwny płyn, niewybuchowy. Przesłany do FBI.

Ustalono, że to krople murine.

Kolejne włókna sznura. Pętla?

W papierze mapy czysty węgiel.

Mieszkanie wynajęte za gotówkę przez Billy'ego Todda Hammila. Rysopis pasuje do portretu NS 109, brak tropów do konkretnego Hammila.

MIEJSCE:

MUZEUM AFROAMERYKAŃSKIE

Zestaw gwałciciela:

Karta tarota, dwunasta z talii, Wisielec, oznaczająca duchowe poszukiwania.

Torebka z uśmiechniętą buzią - producent nie do wykrycia.

Składany nóż.

Prezerwatywy Trojan.

Taśma izolacyjna.

Zapach jaśminu.

Nieznany przedmiot za 5,95 dol. Prawdopodobnie wełniana czapka.

Z paragonu wynika, że sklep był w Nowym Jorku, wielobranżowy lub drogeria.

Zakupy najprawdopodobniej zrobiono w sklepie na Mulberry Street w Little Italy. NS zidentyfikowany przez sprzedawczynię.

Odciski palców:

NS miał lateksowe lub winylowe rękawiczki.

Odciski na zestawie należały do osoby o małych dłoniach, brak danych w IAFIS. Przepuszczalnie odciski sprzedawczyni.

Ślady:

Bawełniane włókna sznura, część ze śladami ludzkiej krwi. Pętla?

Brak producenta.

Przesłany do CODIS.

Brak profilu DNA w CODIS.

Popcorn i wata cukrowa ze śladami psiego moczu.

Broń:

Drewniana pałka lub broń używana w sztukach walki.

North American Arms.22, amunicja magnum bocznego zapłonu, black widów lub mini-master.

Pociski własnej roboty, wydrążone i wypełnione igłami. Brak danych w IBIS i DRUGFIRE.

Motyw:

Nieznany. Gwałt prawdopodobnie upozorowany.

Prawdziwym motywem mogła być kradzież mikrofizki z numerem czasopisma „Coloreds’ Weekly Illustrated” z 23 lipca 1868 r. i z nieznanymi powodów próba zabójstwa G. Settle czytającej

artykuł. Artykuł dotyczył jej przodka, Charlesa Singletona (patrz dołączona tablica).

Bibliotekarz (ofiara) twierdził, że o artykuł pytał ktoś jeszcze.

Prośba o biling telefonów bibliotekarza w celu sprawdzenia tej informacji.

Wywiad wśród pracowników w sprawie osoby pytającej o artykuł.

Brak tropów.

Poszukiwanie kopii artykułu.

Kilka źródeł podaje, że ktoś prosił o ten sam artykuł. Nic na temat tożsamości sprawcy. Większości numerów czasopisma nie ma lub uległy zniszczeniu. Znaleziono jeden egzemplarz (patrz dołączona tablica).

Wniosek: G. Settle przypuszczalnie nadal grozi niebezpieczeństwo.

Motywy może być niedopuszczenie do ujawnienia faktu, że jej przodek znalazł dowody na nieważność XIV Poprawki do Konstytucji, co stanowiłoby zagrożenie dla większości praw i wolności obywatelskich w Stanach Zjednoczonych.

Profil zdarzenia przesłany do VICAP i NCIC.

Morderstwo w Amarillo w Teksasie, pięć lat temu. Podobny sposób działania - upozorowane miejsce zbrodni (inscenizacja rytualnego mordu, prawdziwy motyw nieznan).

Ofiarą był emerytowany strażnik więzienny.

Portret pamięciowy NS przesłany do więzienia w Teksasie.

Nierozpoznany.

Morderstwo w Ohio, trzy lata temu. Podobny sposób działania - upozorowane miejsce zbrodni (inscenizacja gwałtu, prawdziwy motyw to przypuszczalnie morderstwo na zlecenie). Brak akt.

PROFIL NS 109

Biały mężczyzna.

Wzrost 180 cm, waga 80 kg.

Głos zwyczajny.

Użył telefonu komórkowego, żeby podejść blisko ofiary.

Nosi trzyletnie lub starsze buty turystyczne Bass, rozmiar 11, jasnobrązowe. Prawa stopa lekko

wykręcona na zewnątrz.

Zapach jaśminu.

Ciemne spodnie.

Kominiarka, ciemna.

Aby zabić swoje ofiary i uciec, atakuje niewinne osoby.

Najprawdopodobniej płatny morderca.

Przypuszczalnie był więzień z Amarillo, Teksas.

Mówi z południowym akcentem. Ma krótko ostrzyżone, jasnobrązowe włosy, brak zarostu.

Nierzucający się w oczy.

Widziany w ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym.

Prawdopodobnie niepalący.

Robotnik budowlany, drogowy, komunalny?

Używa kropli murine.

Gwiżdże.

PROFIL ZLECENIODAWCY NS 109

Brak informacji.

PROFIL WSPÓLNIKA NS 109

Czarny mężczyzna.

Wiek: około czterdziestki.

Wzrost: 180 cm.

Mocnej budowy ciała.

Ubrany w zieloną kurtkę wojskową.

Były skazaniec.

Utyka.

Podobno uzbrojony.

Gładko ogolony.

Na głowie czarna bandana.

Oczekiwanie na dodatkowe zeznania świadków i taśmy z kamer wokół szkoły.

Brak czytelnego obrazu w zapisie wideo, taśma przesłana do analizy.

Stare buty robocze.

PROFIL CHARLESA SINGLETONA

Były niewolnik, przodek G. Settle. Żonaty, miał syna. Dostał od swojego pana sad w stanie Nowy Jork. Pracował także jako nauczyciel. Odegrał jakąś rolę w ruchu na rzecz praw obywatelskich.

W 1868 r. Charles rzekomo popełnił kradzież, o czym mówi artykuł na skradzionej mikrofiszce.

Podobno znał tajemnicę, być może związaną ze sprawą. Bał się, że jej ujawnienie wywoła tragedię.

Brał udział w spotkaniach w dzielnicy Nowego Jorku, Gallows Heights.

Zaangażowany w jakąś niebezpieczną działalność?

Pracował z Frederickiem Douglassem i innymi na rzecz ratyfikacji XIV Poprawki do Konstytucji.

Przestępstwo według relacji w „Coloreds’ Weekly Illustrated”:

Charles aresztowany przez det. Williama Simmsa za kradzież dużej kwoty z Funduszu Wyzwoleńców w Nowym Jorku. Włamał się do sejfu, widziany przez świadka krótko po zdarzeniu. ‘Niedaleko znaleziono jego narzędzia. Większą część pieniędzy odzyskano. Został skazany na pięć lat więzienia. Brak informacji o jego losach po wyroku skazującym. Przypuszczano, że uzyskał dostęp do funduszu dzięki powiązaniom z działaczami na rzecz praw obywatelskich.

Korespondencja Charlesa:

List 1, do żony: na temat rozruchów związanych z poborem w 1863 r., fala wrogości przeciw czarnym w stanie Nowy Jork, lincze, podpalenie. Nieruchomości należące do czarnych znalazły się w niebezpieczeństwie.

List 2, do żony: Charles bierze udział w bitwie pod Appomattox pod koniec wojny secesyjnej.

List 3, do żony: zaangażowany w ruch na rzecz praw obywatelskich. Wskutek swojej

działalności dostaje pogroźki. Martwi się ukrywaną tajemnicą.

List 4, do żony: poszedł do „Potters’ Field” szukać „sprawiedliwości”. Próba zakończyła się katastrofą. Przyczyną jego rozpaczki jest tajemnica.

- Taa?

- Hej, J. T., tu Lincoln Rhyme z Nowego Jorku. - Rozmawiając z kimś, kto przedstawia się samymi inicjałami i mieszka w Teksasie - nie wspominając o jego akcencie - Rhyme miał nieprzepartą ochotę wtrącać wyrażenia w rodzaju „hej” i „siemasz”.

- Ach, co słyhać? Trochę o panu poczytałem po naszej ostatniej pogawędce. Nie wiedziałem, że taki pan sławny.

- Och, jestem tylko byłym urzędnikiem - odrzekł Rhyme z fałszywą skromnością. - Nikim więcej. Pomógł wam portret, który wysłaliśmy?

- Niestety, detektywie Rhyme. Sęk w tym, że facet wygląda jak połowa białych, których stąd wypuściliśmy. Poza tym, jak w prawie każdym kryminale, mamy dużą rotację personelu. Nikt, kto by znał Charliego Tuckera, już nie pracuje.

- Zdobyliśmy trochę więcej informacji. Może uda się skrócić listę. Ma pan chwilę?

- Wal pan.

- Być może ma kłopoty z oczami. Używa kropli murine. Możliwe, że to jakiś niedawny uraz, ale być może pochodzi z czasów, kiedy u was siedział. I chyba ma nawyk gwizdania.

- Gwizdania? Jak na kobity czy coś?

- Nie. Gwiżdże melodie. Piosenki.

- Aha. Chwileczkę. - Odezwał się dopiero po pięciu niewiarygodnie długich minutach. - Przykro mi. Nikt nie pamięta nikogo konkretnego, kto by gwizdał albo miał problemy z oczami. Ale będziemy szukać.

Rhyme podziękował mu i się rozłączył. Sfrustrowany wpatrywał się w tablicę dowodów. Na początku dwudziestego wieku jeden z największych kryminalistyków w historii, Francuz Edmond Locard, sformułował zasadę przeniesienia, według której w każdym miejscu zbrodni między przestępcą a miejscem lub ofiarą dochodzi do przeniesienia dowodów, przynajmniej w mikroskopijnej skali. Celem detektywa kryminalistyka jest ich odnalezienie. Zasada Locarda nie dawała jednak gwarancji, że ustalenie tego związku doprowadzi śledczych do drzwi domu sprawcy.

Westchnął. Przecież wiedział, że szanse są niewielkie. Co mieli? Niewyraźny portret komputerowy, prawdopodobną chorobę oczu, przypuszczalny nawyk, urazę do jakiegoś strażnika.

Co jeszcze mogliby...

Rhyme zmarszczył brwi. Patrzył na dwunastą kartę z talii tarota. *Karta Wisielca nie wiąże się z karą...*

Może i nie, mimo to jest na niej człowiek wiszący na szubienicy.

Coś mu zaczęło świtać. Jeszcze raz spojrzął na tablicę. Zatrzymał spojrzenie na wpisach o pałce, elektrycznej pałapce na Elizabeth Street, trującym gazie, pociskach, które precyzyjnie utkwily w sercu bibliotekarza, linczu Charliego Tuckera, włóknach ze śladami krwi...

- Niech to szlag! - ryknął.

- Lincoln? O co chodzi? - Zaniepokojony Cooper spojrzął na szefa.

- Polecenie, wybierz ponownie! - krzyknął Rhyme.

W odpowiedzi komputer wyświetlił na ekranie: „Nie zrozumiałem. Co mam zrobić?”.

- Wybierz numer ponownie.”Nie zrozumiałem”.

- Kurwa! Mel, Sachs... niech ktoś wciśnie ten guzik!

Cooper spełnił polecenie i po kilku minutach kryminalistyk znów rozmawiał z naczelnikiem z Amarillo.

- J. T., tu jeszcze raz Lincoln. - Tak?

- Dajmy spokój więźniom. Chcę, żebyście sprawdzili strażników.

- Strażników?

- Chodzi o dawnego człowieka z waszego personelu. Kto miał kłopoty z oczami. I gwizdał. I być może pracował przy celach śmierci w okresie, kiedy zamordowano Tuckera.

- W ogóle nie myśleliśmy o pracownikach. Pięć czy sześć lat temu nie było tu prawie nikogo z dzisiejszego personelu. Niech pan zaczeka. Popytam.

Na ten trop naprowadził Rhyme'a wizerunek Wisielca. Zastanowiła go broń i techniki, jakich używał NS 109. Były to metody egzekucji: cyjanowódór, prąd elektryczny, powieszenie, strzały w serce jak gdyby oddane przez pluton egzekucyjny. Do obezwładniania ofiar używał pałki, podobna była na wyposażeniu strażnika więziennego.

Po chwili usłyszał:

- Hej, detektywie Rhyme?

- Słucham, J. T.

- Faktycznie, ktoś powiedział, że coś koiarzy. Zadzwoń do jednego z naszych emerytowanych strażników, który pracował przy egzekucjach. Nazywa się Pepper. Zgodził się przyjść i z panem pogadać. Mieszka niedaleko. Powinien być za parę minut. Oddzwonimy.

Znów zerknął na kartę tarota. *Zmiana kierunku...*

Telefon zadzwonił po nieznośnie długich dziesięciu minutach.

Rozmówcy wymienili krótkie uprzejmości. Emerytowany funkcjonariusz Departamentu Sprawiedliwości Teksasu Halbert Pepper mówił z akcentem, przy którym dykcja J. T. Beauchampa przypominała wymowę angielskiej królowej.

- Chyba będę mógł wam kapkę pomóc.

- Niech pan mówi - rzekł Rhyme.

- Jakies pięć lat temu mieliśmy funkcjonariusza od egzekucji, który pasował do opisu, co mi go dał J. T. Facet miał kłopot z oczami i gwizdał jak sto pięćdziesiąt. Właśnie odchodziłem na emeryturę, ale zdążyłem z nim kapkę popracować.

- Kto to był?

- Gość nazywał się Thompson Boyd.

Część IV

Idzie trup

Rozdział 29

Pepper mówił przez głośnik:

- Boyd wychował się w okolicy. Ojciec był poszukiwaczem...

- Ropy?

- Tak, robotnik na polu. Matka nie pracowała. Nie mieli więcej dzieci. Z tego, co mówił, miał normalne dzieciństwo. Ponoć nawet szczęśliwe. Ciągle gadał o swojej rodzinie. Kochał matkę i bardzo jej pomagał, kiedy w tornadzie straciła rękę czy nogę, nie pamiętam. Zawsze jej pilnował. Raz jakiś dzieciak się z niej nabijał, a Boyd go pogonił i nastraszył, że jak nie przeprosi, włoży mu grzechotnika do łóżka.

W każdym razie po szkole średniej i ze dwóch latach w college'u przez jakiś czas pracował w tej samej firmie co ojciec, ale potem przyszły zwolnienia. Wyrzucili go. Ojca też. Czasy były ciężkie, nie mógł znaleźć żadnej roboty w okolicy, no i wyjechał ze stanu. Nie wiem gdzie. Dostał pracę w

jakimś więzieniu. Zaczął jako zwykły klawisz na bloku. Raz mieli kłopot - zachorował ich nadzorca egzekucji i nie było nikogo, kto by mógł odwalić tę robotę, no i zrobił to Boyd. Przypalił tak dobrze...

- Przypalił?

- Przepraszam, egzekucja na krześle poszła mu tak dobrze, że dostał tę robotę na stałe. Popracował tam trochę, ale zaczął jeździć od stanu do stanu, bo wszędzie go chcieli. Został takim ekspertem od egzekucji. Znał się na krzesłach...

- Elektrycznych?

- Tak, takich jak nasz słynny Sparky. Znał się też na gazie, był fachowcem od komór. Umiał też zrobić porządną stryczek, a musi pan wiedzieć, że niewielu w kraju ma pozwolenie na wieszanie. Był u nas wakant nadzorcy egzekucji, no i skorzystał z okazji. Przeszliśmy na śmiertelne zastrzyki, jak prawie wszędzie, to został specem od zastrzyków. Nawet się o tym naczytał i umiał rozmawiać z demonstrantami. Niektórzy gadają, że chemia jest bolesna. Ja tammyślę, że tym zielonym i demokratom po prostu nie chce się poznać faktów. To bzdety. Mieliśmy tu...

- Możemy wrócić do Boyda? - przerwał mu ze zniecierpliwieniem Rhyme.

- Tak, tak, przepraszam. No więc przyjechał tu i przez jakiś czas wszystko szło dobrze. Nikt nie zwracał na niego specjalnej uwagi. Był jakby niewidzialny. Nazywaliśmy go Pan Przeciętniak. Ale potem coś się stało. Zmienił się. Zaczął się robić dziwny.

- To znaczy?

- Im więcej egzekucji załatwiał, tym bardziej go brało. Robił się coraz bardziej nijaki. Nie wiem, czy się jasno wyrażam. Jakby go w ogóle nie było. Dam przykład: mówiłem, że był zżyty ze starymi, zawsze im się dobrze układało. Kiedy oboje zginęli w wypadku razem z jego ciotką, Boyd nawet nie mrugnął. Cholera, nawet na pogrzeb nie poszedł. Można pomyśleć, że był w szoku, ale nie. Po prostu nic go to nie obchodziło. Przyszedł na swoją zmianę, a wszyscy wiedzieli, co się stało, i pytają, co tu robi. Do następnej egzekucji miał jeszcze dwa dni. Mógł wziąć wolne. Ale nie chciał. Powiedział, że później pójdzie na ich groby. Nie wiem, czy w ogóle tam kiedyś był.

Widzi pan, on był coraz bliżej z więźniami - wielu myślało, że za blisko. Tego się nie robi. To niezdrowe. Przestał się spotykać z innymi strażnikami i prawie cały czas siedział ze skazanymi. Mówił o nich „moi ludzie”. Podobno raz nawet usiadł w naszym krześle elektrycznym, które ustawili w takim małym muzeum. Chciał sprawdzić, jak to jest. I zasnął. Wyobraź pan sobie! Ktoś spytał Boyda, jak to jest siedzieć na krześle elektrycznym. Powiedział, że nic nie czuł. Był tylko „jakiś odrętwiały”. Pod koniec często to powtarzał. Był odrętwiały.

- Mówił pan, że jego rodzice zginęli, tak? Wprowadził się do ich domu?

- Chyba tak.

- I ciągle tam mieszka? Teksańczycy też słuchali ich przez głośnik i J. T. Beauchamp zawołał:

- Dowiem się! - Przekazał komuś pytanie. - Za chwilę będziemy wiedzieć, panie Rhyme.

- Mógłby pan sprawdzić, czy w okolicy mieszkają jacyś krewni?

- Nie ma sprawy.

- Przypomina pan sobie, czy często gwizdał, panie Pepper? - zapytała Sachs.

- Tak. I był w tym pierwszorzędny. Czasami jak odprowadzał skazanych, gwizdał im ze dwie piosenki.

- A jego oczy?

- Też pamiętam - odrzekł Pepper. - Thompson miał kiepskie oczy. Mówili, że kiedyś przeprowadzał egzekucję - nie u nas - i coś poszło nie tak. Czasem coś się dzieje z krzesłem. Wybuchł mały pożar...

- Skazany zaczął się palić? - spytała Sachs, wzdrygając się ze zgrozą.

- Zgadza się, proszę pani. Zajął się ogniem. Możliwe, że był już martwy albo nieprzytomny. Nikt nie wie. Ruszał się, ale to normalne. No i Thompson wbiegł do środka z karabinkiem, żeby biedaka zastrzelić i skrócić mu cierpienia. Ale to niezgodne z procedurą. Nie wolno zabijać skazanego, zanim zostanie stracony z wyroku, bo to zwykle morderstwo. Ale Boyd i tak chciał to zrobić. Nie mógł pozwolić, żeby któryś z „jego ludzi” umarł w taki sposób. Ale ogień robił się coraz większy i zajęła się izolacja kabli czy jakiś inny plastik. Poszedł dym i Boyd stracił przytomność. Potem przez jakieś dwa dni był ślepy.

- A więzień? - zapytała Sachs.

- Thompson nie musiał strzelać. Prąd dał radę.

- I od pięciu lat już u was nie pracuje? - upewnił się Rhyme.

- Jakoś tak - odparł Pepper. - Sam odszedł. Chyba pojechał gdzieś na Środkowy Zachód. Potem nigdy już o nim nie słyszałem.

Środkowy Zachód - może Ohio. Gdzie popełniono drugie morderstwo pasujące do profilu.

- Zadzwoń do kogoś z więziennictwa w Ohio - szepnęła Rhyme do Coopera, który skinął głową i podniósł słuchawkę innego telefonu.

- A Charlie Tucker, ten zamordowany strażnik? Boyd odszedł z pracy mniej więcej wtedy, kiedy Tucker zginął?

- Zgadza się.

- Mieli ze sobą na pieńku?

- Zanim Charlie odszedł na emeryturę, rok pracował pod komendą Thompsona - powiedział Pepper. - Tylko że Charlie był, jak my to mówimy, „świętym oszołomem”, twardogłowym baptystą. Często gęsto cytował skazanym różne wersety, mówił im, że pójdą do piekła i tak dalej. Thompson się na to nie zgadzał.

- A więc być może Boyd zabił, żeby mu odplacić za to, że uprzykrzał więźniom koniec życia.

Moi ludzie...

- Możliwe.

- A co z portretem, który wam wysłaliśmy? To Boyd?

- J. T. właśnie mi pokazał - powiedział Pepper. - Tak, to może być on. Chociaż wtedy był grubszy, taki bardziej w sobie. Poza tym golił głowę i nosił brodę - wielu to u nas robiło, żeby wyglądać tak groźnie jak więźniowie.

- Niech pan pamięta - wtrącił naczelnik - że szukaliśmy więźniów, nie strażników.

Z powodu mojego błędu, pomyślał ze złością Rhyme.

- Niech to szlag - usłyszeli znów głos naczelnika.

- Co się stało, J. T.?

- Wysłałem dziewczynę po teczkę osobową Boyda. I...

- Nie ma jej.

- Właśnie.- Wykradł swoje akta, żeby nikt nie odkrył związku z morderstwem Charliego Tuckera - powiedział Sellitto.

- Tak mi się wydaje - zgodził się J. T. Beauchamp. Rhyme pokręcił głową.

- I bał się zostawić odciski palców, bo były w kartotece pracowników stanowych, a nie przestępców.

- Chwileczkę - rzekł naczelnik. Usłyszeli, jak rozmawia z jakąś kobietą, po czym znów odezwał się w głośniku. - Właśnie dostaliśmy wiadomość od gościa z archiwum okręgowego. Boyd sprzedał dom rodziców pięć lat temu. Nie kupił w stanie nic nowego. Przynajmniej nie pod własnym nazwiskiem. Pewnie zgarnął gotówkę i zniknął... I nikt nic nie wie o żadnych krewnych.

- Jak brzmiało jego pełne imię i nazwisko? - zapytał Rhyme.

- W środku miał chyba G. - odrzekł Pepper. - Ale nie wiem, co oznaczało. - Po chwili dodał: - Ale jedno wam powiem, Thompson Boyd znał się na swojej robocie. Miał w jednym palcu cały PE.

- PE?

- Protokół Egzekucji. To taka wielka księga ze szczegółowymi instrukcjami, jak przeprowadzać egzekucje. Każdemu, kto z nim pracował, kazał się uczyć tych zasad na pamięć i ciągle powtarzać: „Muszę to robić ściśle według zasad, muszę to robić ściśle według zasad”. Thompson zawsze powtarzał, że w sprawach śmierci nie można iść na łatwiznę.

Mel Cooper odłożył słuchawkę.

- Ohio? - zapytał Rhyme. Technik przytaknął.

- Zakład o zastrzonym rygorze Keegan Falls. Boyd pracował tam tylko rok. Naczelnik dobrze go pamięta z powodu choroby oczu i gwizdania. Powiedział, że z Boydem od początku były kłopoty. Kłócił się ze strażnikami o traktowanie więźniów i utrzymywał stosunki towarzyskie z więźniami, co było wbrew przepisom. Naczelnik sądzi, że nawiązywał kontakty, żeby później dostawać zlecenia.

- Tak pewnie poznał człowieka, który go wynajął, żeby zabił świadka.

- Możliwe.

- A teczka osobowa? Też została skradziona.

- Tak, nie ma jej. Nikt nie wie, gdzie mieszkał i w ogóle nic więcej o nim nie wiadomo. Zniknął z radarów.

Pan Przeciętniak...

- Teraz to nie Teksas ani Ohio muszą się nim martwić, tylko my. Przeszukaj wszystko, co się da.

- Dobra.

Cooper przeprowadził standardowe przeszukanie - sprawdził rejestr aktów notarialnych, ewidencję wydziału komunikacji, hotele, ewidencję mandatów, urzędy skarbowe... wszystko. Znalazł kilku Thompsonów G. Boydów i jednego T. G. Boyda. Ale ich wiek i rysopis nie pasowały do podejrzanego. Technik spróbował innej pisowni imienia i nazwiska, ale też bez rezultatu.

- Aliasy? - spytał Rhyme.

Większość zawodowych przestępców, zwłaszcza płatnych morderców, używała aliasów - fałszywych nazwisk. Wybierali je zwykle na podobnej zasadzie jak hasła do komputerów i bankomatów, tworząc wariant nazwy czy imienia, które coś dla nich znaczyły. Kiedy się je poznało, człowiek pluł sobie w brodę, że nie wpadł na tak oczywistą odpowiedź. Ale odgadnięcie aliasu było zwykle niemożliwe. Mimo to próbowali: przestawili imię i nazwisko („Thompson” częściej występował jako nazwisko). Cooper użył nawet programu do tworzenia anagramów, by przestawić litery „Thompson Boyd”, lecz nic nie znalazł w bazach danych.

Zero, myślał coraz bardziej rozdrażniony Rhyme. Znamy nazwisko, wiemy, jak wygląda, wiemy, że jest w mieście...

Ale, cholera, nie umiemy go znaleźć.

Sachs spojrzała na tablicę i zmrużyła oczy.

- Billy Todd Hammil - powiedziała.

- Kto? - zdumiał się Rhyme.

- Człowiek, na którego nazwisko wynajął mieszkanie przy Elizabeth Street.

- No i co z nim?

Sachs przerzuciła kilka arkuszy i uniosła głowę.

- Zmarł sześć lat temu.

- Wiadomo gdzie?

- Nie, ale założę się, że w Teksasie.

Sachs ponownie zadzwoniła do więzienia i zapytała o Hammila. Po chwili odłożyła słuchawkę i pokiwała głową.

- O to chodzi. Dwanaście lat temu zabił sprzedawcę w całodobowym sklepie. Egzekucję nadzorował Boyd. Wygląda na to, że czuje dziwną więź z ludźmi, których zabił. Jego sposób działania pochodzi z czasów, gdy był katem. Czemu nie tożsamości?

Rhyme nic nie wiedział i nic go nie obchodziły „dziwne więzi”, ale bez względu na motyw, we wniosku Sachs była jakaś logika.

- Każ im przysłać listę wszystkich, których zabił - warknął. - Sprawdzimy ich w naszym wydziale komunikacji. Zacznij od Teksasu, a potem przejdziemy do innych stanów.

J. T. Beauchamp przysłał im listę siedemdziesięciu dziewięciu więźniów, których egzekucję przeprowadził w Teksasie Thompson Boyd.

- Aż tylu? - spytała Sachs, marszcząc brwi. Mimo że sama nigdy nie wahała się strzelać ani nawet zabić, gdy chodziło o ratowanie komuś życia, Rhyme wiedział, że ma wątpliwości co do kary śmierci, ponieważ często wymierzano ją w procesach opartych na poszlakach lub na podstawie błędnych czy nawet celowo spreparowanych dowodów.

Rhyme pomyślał o konsekwencjach liczby egzekucji: mniej więcej przy osiemdziesiątej Thompson Boyd przestał odróżniać życie od śmierci. *Kiedy oboje zginęli w wypadku razem z jego ciotką... Boyd nawet nie mrugnął. Cholera, nawet na pogrzeb nie poszedł.*

Cooper sprawdził nazwiska straconych mężczyzn w publicznych ewidencjach.

Nic.

- Cholera jasna - warknął Rhyme. - Musimy się dowiedzieć, w których stanach jeszcze pracował i na kim wykonał wyrok. To będzie trwało całe wieki. - Nagle zaświtała mu myśl. - Nie, czekajcie. Kobiety.

- Co? - zdziwiła się Sachs.

- Spróbujmy z nazwiskami straconych kobiet. Wariantami nazwisk.

Cooper wziął krótszą listę i sprawdził wszystkie, we wszystkich możliwych pisowniach, w komputerze wydziału komunikacji.

- Chyba coś mam - oświadczył podekscytowany. - Osiem lat temu w Amarillo wykonano egzekucję niejakiej Randi Rae Silling, prostytutki, która okradła i zabiła dwóch klientów. W Nowym Jorku mamy jedną osobę o takim nazwisku, ale to mężczyzna, Randy przez „y”, drugie imię R-A-Y. Zgadza się wiek i wygląd. Jest adres w Queens, w Astorii. Ma trzyletniego niebieskiego buicka Century.

- Niech ktoś w cywilu weźmie portret pamięciowy i pokaże sąsiadom.

Cooper zadzwonił do podinspektora - szefa posterunku numer 114. Astoria, dzielnica zamieszкана w większości przez Greków, znajdowała się w ich rejonie. Technik wyjaśnił sprawę, a potem przesłał e-mailem portret Boyda. Podinspektor obiecał, że wyśle kilku funkcjonariuszy w cywilu, by przeprowadzili dyskretny wywiad wśród lokatorów domu, w którym mieszkał Randy Silling.

Przez pełne napięcia pół godziny - nie mając żadnych informacji od policjantów z Queens - Cooper, Sachs i Sellitto rozmawiali z różnymi biurami ewidencji w Teksasie, Ohio i Nowym Jorku, szukając jakichkolwiek informacji o Boydzie, Hammilu albo Sillingu.

Nic nie znaleźli.

Wreszcie zadzwonił telefon od inspektora ze 114.

- Kapitanie? - Wielu wyższych oficerów, rozmawiając z Rhyme'em, nadal używało jego dawnego stopnia.

- Proszę mówić.

- Dwie osoby potwierdziły, że wasz człowiek mieszka pod tym adresem - powiedział. - Bierze pan pod uwagę priorytetowe potraktowanie zadania?

Ech, ta góra, westchnął Rhyme. Powstrzymując się jednak od kąśliwych uwag na temat biurokratycznej nowomowy, poprzestał na deklaracji, ogłoszonej z pewnym zażenowaniem:

- Chcę go udupić.

Rozdział 30

Kilkunastu funkcjonariuszy jednostki ESU zajmowało pozycje za pięciopiętrowym budynkiem przy Czternastej Ulicy w Astorii, gdzie mieszkał Thompson Boyd.

Przy naprędcie utworzonym stanowisku dowodzenia za nieoznakowaną furgonetką ESU stali Sachs, Sellitto i Bo Haumann.

- Jesteśmy na miejscu, Rhyme - szepnęła do mikrofonu Sachs.

- Tylko czy on tam jest? - odrzekł zniecierpliwionym tonem kryminalistyk.

- Wysłaliśmy ludzi z rozpoznania... Zaczekaj. Ktoś melduje. Podszedł do nich funkcjonariusz oddziału rozpoznania.

- Dało się zajrzeć do środka? - zapytał Haumann.

- Nie. Zasłonił okna od frontu.

Członek pierwszego zespołu rozpoznania wyjaśnił, że podszedł do okien mieszkania tak blisko, jak pozwalały względy bezpieczeństwa; drugi zespół zajął pozycje z tyłu budynku.

- Słychać różne dźwięki, szum wody, głosy - dodał funkcjonariusz. - Zdaje się, że dziecięce.

- Cholera, dzieci - mruknął Haumann.

- To może być radio albo telewizor. Trudno powiedzieć. Haumann skinął głową.

- Dowództwo do rozpoznania dwa. Zgłóście się.

- Rozpoznanie dwa. Jest szpara między oknem a roletą, dość wąska. W sypialni nie widzę nikogo. Ale mam mały kąt. Od frontu palą się światła. Chyba słychać głosy. I muzykę.

- Widzisz coś? Jakies zabawki?

- Nie. Mam kąt widzenia najwyżej dziesięć stopni. Widzę kawałek sypialni i nic więcej.

- Jakiś ruch?

- Nie.

- Zrozumiałem. Podczerwień? - Dzięki czujnikom podczerwieni można było określić położenie zwierząt, ludzi i innych źródeł ciepła w budynku. Trzeci technik rozpoznania badał mieszkanie kamerą termowizyjną.

- Mam jakieś sygnały, ale za słabe, żeby ustalić położenie źródła ciepła.

- Dźwięki?

- Skrzypy i piski. To może być osiadanie budynku, instalacja, klimatyzacja albo ogrzewanie. Może to on chodzi po mieszkaniu albo poprawia się na krześle. Przypuszczam, że jest w środku, ale nie wiem gdzie. Zaciemnił wszystko jak przed nalotem.

- Dobra, monitoruj dalej, bez odbioru.

- Rhyme, rozumiesz coś z tego? - powiedziała do mikrofonu Sachs.

- Niby jak mam coś rozumieć? - odrzekł zirytowany.

- W mieszkaniu coś się chyba dzieje.

- Strzelanina to ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba - mruknął. Konfrontacja z podejrzanym zazwyczaj nieuchronnie prowadziła do zniszczenia mikrośladów i innych tropów w miejscu zbrodni. - Trzeba zabezpieczyć jak najwięcej dowodów; być może to jedyna szansa, żeby się dowiedzieć, kto go wynajął i kim jest współnik.

Haumann jeszcze raz obejrzał mieszkanie. Nie wyglądał na zadowolonego. A Sachs - która w głębi duszy uważała się za niemal pełnoprawnego funkcjonariusza brygady antyterrorystycznej - doskonale go rozumiała. Szykowała się trudna akcja, wymagająca udziału wielu ludzi. Sprawca miał do dyspozycji dwa okna od frontu, trzy z tyłu i sześć bocznych. Boyd mógł bez trudu wyskoczyć przez jedno z nich i próbować ucieczki. Sąsiedni dom stał w odległości zaledwie półtora metra - gdyby udało mu się wyjść na dach, mógłby się z łatwością przedostać na budynek obok albo ukryć za zwieńczeniem frontu i wziąć na cel kogokolwiek na dole. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw mieszkania mordercy, stały inne domy. Gdyby doszło do strzelaniny, jakaś zabłąkana kula mogłaby zranić albo zabić przechodnia. Boyd mógłby też celowo otworzyć ogień do sąsiednich budynków w nadziei, że zrani jak najwięcej przypadkowych osób. Sachs dobrze pamiętała, że bierze na cel niewinnych ludzi wyłącznie po to, żeby odwrócić uwagę policji. Należało przypuszczać, że tym razem będzie chciał rozegrać sytuację w podobny sposób. Dlatego przed akcją trzeba było usunąć wszystkich mieszkańców z naprzeciwka.

Haumann nadał przez radio:

- Trzeba wejść na korytarz. Nie ma tam żadnych kamer jak na Elizabeth Street. Boyd nie będzie nas mógł zobaczyć. Chyba że ma jakiś inny sposób - dodał ponuro dowódca antyterrorystów. - Po tym gnojku można się tego spodziewać.

Sachs usłyszała obok siebie czyjś świszczący oddech i spojrzała w tę stronę. Mieszkanie oglądał wbity w kamizelkę kuloodporną Lon Sellitto, w roztargnieniu muskając rękojeść broni służbowej. Na jego twarzy też malował się niepokój. Ale Sachs od razu się domyśliła, że detektyw wcale nie myśli o trudnościach związanych ze szturmem na mieszkanie. Wyraźnie widziała jego rozterki. Oficer śledczy w stopniu porucznika nie musiał uczestniczyć w akcji zatrzymania

podejrzanego, a biorąc pod uwagę jego tuszę i mizerne umiejętności strzeleckie - wręcz nie powinien.

Prawdziwa przyczyna jego obecności nie miała jednak nic wspólnego z logiką. Widząc, jak jego dłoń znów odruchowo pociera nieistniejącą plamkę krwi na policzku, i domyślając się, że detektyw na nowo przeżywa śmierć doktora Barry'ego i przypadkowy strzał, jaki padł wczoraj z jego broni, Sachs zrozumiała: dla Lona Sellitta nadszedł moment wyjścia na ring.

Takiego wyrażenia używał jej ojciec, który jako policjant dokonał wielu odważnych czynów, lecz prawdopodobnie największą walecznością wykazał się w swojej ostatniej bitwie - z rakiem, który zakończył jego życie, choć nie zdołał go pokonać. Pod koniec zaczął udzielać profesjonalnych rad córce, która wówczas wstąpiła już do policji. Powiedział jej kiedyś, że czasami znajdzie się w takiej sytuacji, że będzie musiała podjąć wyzwanie i samotnie stanąć do walki. „Nazywam to «wyjściem na ring», Amie. Stajesz oko w oko z przeciwnikiem, którego musisz pokonać własnymi siłami. To może być sprawca albo twój partner, albo nawet cały departament”.

Najtrudniejszym przeciwnikiem, mówił, bywa czasem własna dusza.

Sellitto wiedział, co ma zrobić. Musiał być pierwszym człowiekiem, który wejdzie do tego mieszkania.

Ale po tym, co się zdarzyło przed muzeum, na samą myśl o akcji paraliżował go strach.

Wyjście na ring... Stanie do walki czy nie?

Haumann podzielił oddział na trzy zespoły, kilku ludzi wysłał na ulicę, by zatrzymali ruch, a jednego przed drzwi frontowe, aby uniemożliwił postronnym osobom wejście do budynku i był gotowy zatrzymać Boyda, gdyby ten, niczego nie podejrzewając, wyszedł z domu. Jeden funkcjonariusz wdrapał się na dach. Kilku innych zabezpieczyło mieszkania sąsiadujące z mieszkaniem Boyda - na wypadek gdyby próbował uciekać taką drogą jak z kryjówki przy Elizabeth Street.

Haumann zerknął na Sachs.

- Idziesz z nami?

- Aha - odparła. - Ktoś z kryminalistyki musi zabezpieczyć mieszkanie. Ciągłe nie wiemy, kto wynajął tego sukinsyna, i musimy to ustalić.

- Z którym zespołem chcesz iść?

- Z tym, który wchodzi od frontu - odrzekła.

- Czyli z Jenkinsem.

- Tak jest. - Powiedziała mu o domach naprzeciwko, przypominając, że podczas próby ucieczki Boyd może zaatakować mieszkających tam cywilów. Haumann skinął głową.

- Ktoś będzie musiał usunąć stamtąd ludzi, a przynajmniej zabronić im zbliżyć się do okien od frontu i wychodzić na ulicę.

Oczywiście nikt nie miał ochoty wykonać tego zadania. Gdyby przyjął, że wszyscy funkcjonariusze ESU byli kowbojami, Haumann prosił, by ktoś na ochotnika zgłosił się na kucharza.

Ciszę przerwał czyjś głos.

- Cholera, ja to zrobię. - To był Lon Sellitto. - W sam raz dla takiego starucha jak ja.

Sachs spojrzała na niego. Detektyw właśnie rzucił ręcznik na ring. Opuściła go odwaga. Uśmiechnął się beztrzesko, ale był to chyba najsmutniejszy uśmiech, jaki Sachs w życiu widziała.

Szef ESU powiedział do mikrofonu:

- Do wszystkich zespołów, zająć pozycje wyjściowe. Rozpoznanie, dajcie znać, kiedy zauważycie jakąś zmianę w obiekcie.

- Zrozumiałem, bez odbioru”. Sachs powiedziała do mikrofonu:

- Wchodzimy, Rhyme. Dam ci znać, co się dzieje.

- Dobra - rzucił krótko.

Na tym rozmowa się zakończyła. Rhyme nie lubił, gdy Sachs brała udział w akcji bojowej, zdawał sobie jednak sprawę, jakie to dla niej ważne, jak rozwściecza ją każda sytuacja, w której niewinnym ludziom grozi niebezpieczeństwo, jak bardzo jej zależy, by komuś takiemu jak Thompson Boyd nie udało się uciec. Miała to we krwi, dlatego nigdy jej nie proponował, by stanęła z boku i do niczego się nie mieszała.

Co nie znaczy, że się z tego cieszył.

Przestała jednak myśleć o Lincolnie Rhymie, kiedy ruszyli na pozycje.

Sachs i Sellitto szli razem alejką - ona do zespołu Jenkinsa, on w stronę domów po drugiej stronie ulicy, by zapewnić bezpieczeństwo lokatorom. Z twarzy porucznika zniknął sztuczny uśmiech. Detektyw sapał, a na jego czole perlił się pot, mimo że było chłodno. Otarł je, podrapał niewidzialną plamkę krwi i zauważył spojrzenie Sachs.

- Cholerna kamizelka. Gorąco mi.

- Też jej nie cierpię - odrzekła. Szli spokojnym krokiem, zbliżając się do tyłów budynku, gdzie rozdzielały się wszystkie zespoły. Nagle Sachs chwyciła Sellitta za rękę i odciągnęła go do tyłu. - Ktoś nas obserwuje... - Ale gdy cofnęli się pod ścianę, potknęła się o worek ze śmieciami i upadła, boleśnie przygniatając nogę. Skrzywiła się i zaczęła masować kolano.

- Nic się nie stało?

- Wszystko w porządku - uspokoiła go, podnosząc się z grymasem bólu. Zdyszonym głosem powiedziała do mikrofonu radia: - Pięć osiem osiem pięć. Widziałam ruch w oknie na pierwszym piętrze, z tyłu budynku. Rozpoznanie, możecie to potwierdzić?

- Wszystko gra. Widziałaś jednego z naszych.

- Zrozumiałam, bez odbioru.

Sachs ruszyła naprzód, utykając.

- Amelia, coś ci się jednak stało.

- Nie, nic.

- Powiedz Bo.

- To nic takiego.

O jej artretyzmie wiedział krąg wtajemniczonych - Rhyme, Mel Cooper i Sellitto - i nikt więcej. Sachs robiła wszystko, by ukryć tę dolegliwość, obawiając się, że gdyby dowiedziało się o niej dowództwo, odesłałoby ją na zwolnienie. Sięgnęła do kieszeni spodni, wyciągnęła opakowanie środków przeciwbólowych, rozerwała je zębami i połknęła na sucho kilka pastylek.

W radiu usłyszeli głos Bo Haumanna:

- Do wszystkich zespołów, ustawić się w szyku.

Sachs ruszyła do głównego zespołu wchodzącego od frontu. Utykała coraz bardziej.

Sellitto odciągnął ją na bok.

- Nie możesz z nimi iść.

- Przecież nie zamierzam go sama zdejmować, Lon. Mam tylko zabezpieczyć miejsce.

Detektyw odwrócił się w stronę furgonetki w nadziei, że zobaczy kogoś, kogo będzie mógł zapytać o sytuację, ale Haumann i pozostali rozeszli się już na pozycje.

- Już lepiej. Przeszło. - Kuśtykała dalej. Jeden z członków zespołu A spytał ją szeptem:

- Gotowa?

- Tak.

- Nie, nie jest gotowa. - Sellitto odwrócił się do funkcjonariusza. - Pójdzie zawiadomić cywilów. Ja z wami pójdę.

- Pan?

- Tak, ja. Cholera, jakiś problem?

- Nie, panie poruczniku.

- Lon - szepnęła Sachs. - Nic mi nie jest. Krępy detektyw oświadczył:

- Na tyle się znam na zabezpieczaniu miejsc zbrodni, że sam sobie poradzę. Rhyme od lat wbija mi to do łba i chyba się w końcu czegoś nauczyłem.

- Nie zamierzam biegać.

- Może i nie, ale mogłabyś przyjąć postawę, gdyby cię chciał nafaszerować swoimi cholernymi kulami?

- Mogłabym - odparła z przekonaniem.

- Nie sędzę. Przestań się kłócić i idź ochraniać cywilów. - Zacisnął paski kamizelki i wyciągnął rewolwer.

Zawahała się.

- Detektywie, to rozkaz.

Posłała mu chmurne spojrzenie. Ale mimo że miała opinię niezależnej policjantki - niektórzy powiedzieliby, że wręcz zbuntowanej - jako córka gliniarza znała swoje miejsce w hierarchii departamentu nowojorskiego.

- No dobrze - powiedziała. - Ale weź to. - Wyciągnęła piętnasto-strzałowego glocka i podała mu razem z zapasowym magazynkiem, biorąc w zamian jego sześciostrzałowy rewolwer.

Sellitto popatrzył na duży czarny automat. Była to broń o spuście delikatnym jak skrzydło ważki. Gdyby obszedł się z nią tak nieostrożnie jak wczoraj na Elizabeth Street, mógłby zabić siebie albo któregoś z członków zespołu. Pocierając policzek, Sellitto zerknął na okna mieszkania. I pobiegł dołączyć do pozostałych.

Przecinając ulicę, Sachs obejrzała się za siebie i zobaczyła, jak ruszają. Odwróciła się i szła dalej w kierunku mieszkań i domów naprzeciwko.

Przestała utykać.

Właściwie nic jej nie bolało. Czowała się tylko rozczarowana, że nie będzie jej w zespole sztunnym mieszkaniu. Musiała jednak odegrać scenkę z upadkiem i bólem kolana. Ze względu na Lona Sellitta. Uznała, że może go uratować tylko w jeden sposób - zmuszając do wykonania zadania. Gdy oceniała ryzyko, doszła do wniosku, że ani jemu, ani pozostałym ludziom w zespole nie grozi prawie żadne niebezpieczeństwo: mieli kamizelki, wsparcie ze strony reszty oddziału i mieli wykorzystać element zaskoczenia. Wyglądało też na to, że Sellitto zdołał w pewnym stopniu opanować lęk. Przypomniała sobie, z jaką uwagą obejrzał glocka i zlustrował okna mieszkania.

Naprawdę nie było innego wyjścia. Sellitto był świetnym gliną. Gdyby jednak nie zwalczył w sobie lęku, w ogóle przestałby być gliną, co oznaczałoby dla niego zupełny koniec. Brak wiary w siebie miał tę złośliwą cechę, że powolutku zatruwał całą duszę. Sachs zdawała sobie z tego sprawę; sama stale się z nim zmagala. Gdyby Sellitto nie wrócił teraz na pierwszą linię, z pewnością dałby za wygraną.

Przyspieszyła kroku; czekało ją w końcu ważne zadanie. Miała zabezpieczyć mieszkania naprzeciwko i musiała się pospieszyć; zespół A miał lada chwila przypuścić szturm. Sachs zaczęła dzwonić do drzwi i wyganiać ludzi z pokoiów od strony ulicy, ostrzegając ich, by na jakiś czas przenieśli się w głąb mieszkań i zamknęli drzwi na klucz. Połączyła się z Haumannem na częstotliwości operacyjnej i poinformowała go, że najbliższe domy są już zabezpieczone. To samo miała teraz zrobić w innych, położonych dalej budynkach.

- Dobra, wchodzimy - rzekł krótko dowódca i się rozłączył. Sachs szła dalej wzdłuż ulicy. Zauważyła, że nerwowo wbija

w dłoń paznokieć. Pomyślała o paradoksie sytuacji: Sellitto miał opory przed walką, a ona irytowała się, gdy nie mogła w niej uczestniczyć.

Rozdział 31

Lon Sellitto wszedł za czterema funkcjonariuszami po ciemnych schodach na pierwsze piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie. Sapiąc z wysiłku, przystanął, by złapać oddech. Antyterroryści skupili się przy drzwiach, czekając na sygnał od Haumanna, że prąd do mieszkania został odcięty - nie chcieli ryzykować kolejnego porażenia.

Tymczasem krępy detektyw bił się z myślami. Jesteś gotów? Dobrze się zastanów. Musisz podjąć decyzję teraz. Zostajesz czy idziesz?

Pac, pac, pac...

Przed oczami zawirowały mu wszystkie obrazy jednocześnie: ohydne kropelki krwi opryskujące twarz, igły z pocisku rozdzierające żywe ciało. Brązowe, pełne życia oczy, które sekundę później zaszklily się mgłą śmierci. Fala lodowatej paniki, kiedy otworzyły się drzwi piwnicy na Elizabeth Street, a jego rewolwer wypalił z ogłuszającym hukiem; Amelia Sachs skuliła się przed ogniem i sięgnęła po broń, kiedy pocisk odłupał kawał kamienia z muru zaledwie kilkanaście centymetrów od niej.

Pocisk z twojego cholernego rewolweru!

Co się dzieje? - myślał. Czyżby opuściła go zimna krew? Miał nerwy w strzępach. Zaśmiał się w duchu ponuro, porównując własną sytuację z sytuacją Rhyme'a, którego nerwy w rdzeniu kręgowym zostały zniszczone. Rhyme jakoś umiał sobie poradzić z tym, co mu się przydarzyło. A ja nie potrafię?

Musiał odpowiedzieć na to pytanie, bo jeśli okaże się za miękki i znów zawali akcję, mogą

zginąć ludzie. Było to tym bardziej prawdopodobne, że mieli do czynienia z zimnym i bezwzględny draniem.

Potrafisz to zrobić? - zapytał sam siebie.

- Detektywie, wchodzimy za trzydzieści sekund - odezwał się dowódca zespołu. - Rozwalamy drzwi, rozpraszamy się i sprawdzamy mieszkanie. Pan wejdzie po nas i zabezpieczy miejsce. Zgoda? Iść czy zostać? - pytał sam siebie porucznik. Wystarczy zejść po schodach. Nic więcej. Oddać odznakę, znaleźć robotę konsultanta ochrony w jakiejś firmie. I zarabiać dwa razy więcej.

Nigdy już nikt cię nie postrzeli.

Pac, pac, pac...

Nigdy nie zobaczysz naprzeciw siebie oczu, w których w ułamku sekundy gaśnie życie. *Pac...*

- Zgoda? - powtórzył dowódca. Sellitto spojrzał na niego.

- Nie - szepnął. - Nie. Funkcjonariusz ESU zmarszczył brwi.

- Wywalcie taranem drzwi i puśćcie mnie przodem - powiedział detektyw. - Wejść pierwszy.

- Ale...

- Słyszeliście, co mówiła detektyw Sachs - mruknął Sellitto. - Sprawca nie działa sam. Musimy mieć wszystko, co się da znaleźć, żeby ustalić, co za kutas go wynajął. Wiem, czego szukać i potrafię zabezpieczyć miejsce, jeżeli będzie próbował wyciąć jakiś numer.

- Muszę zapytać szefa - powiedział niepewnie policjant.

- Będzie jak mówię - odrzekł spokojnie detektyw. - Jestem tu najstarszy stopniem.

Dowódca zespołu zerknął na swojego zastępcę. Obaj wzruszyli ramionami.

- To pana... decyzja.

Sellitto odniósł wrażenie, jak gdyby pierwotnie ostatnim słowem zdania miał być „pogrzeb”.

- Wchodzimy, gdy tylko odłączą prąd - poinformował antyterrorysta. Nałożył maskę gazową. To samo uczyniła reszta zespołu, włącznie z Sellitem. Detektyw zacisnął dłoń na glocku Sachs - trzymając palec za osłoną spustu - i stanął z boku drzwi.

W słuchawce usłyszał:

- Odcinamy elektryczność, trzy... dwa... jeden.

Dowódca dotknął ramienia funkcjonariusza z taranem. Potężny mężczyzna wykonał szeroki

zamach i drzwi z trzaskiem pękły.

Czując buzującą w żyłach adrenalinę, myśląc tylko o sprawcy i dowodach, Sellitto wpadł do środka. Z nim antyterrorysty, którzy go osłaniali, otwierali kopniakami drzwi i przeszukiwali pokoje. Drugi zespół wszedł od strony kuchni.

Nie zauważyli żadnego znaku obecności Boyda. W niewielkim telewizorze leciał jakiś sitcom - to było źródło dźwięków i ciepła, jakie znaleźli technicy z rozpoznania.

Najprawdopodobniej.

A może i nie.

Spojrzawszy w lewo i prawo, Sellitto wszedł do małego salonu i nie widząc nikogo, ruszył od razu w stronę biurka Boyda, na którym piętrzyły się dowody: arkusze papieru, amunicja, kilka kopert, kawałki przewodów w plastikowej izolacji, zegar cyfrowy, słoje z jakimś płynem i białym proszkiem, radio tranzystorowe, sznur. Używając chusteczki, Sellitto ostrożnie sprawdził metalową szafkę obok biurka, upewniając się, czy nie ma żadnych pułapek. Następnie otworzył ją i zobaczył kolejne słoje i pudełka. Dwa pistolety. Kilka plików nowych banknotów - na oko prawie sto tysięcy dolarów.

- Pokój czysty - zawołał jeden z funkcjonariuszy ESU. Podobny meldunek złożył inny policjant z innego pomieszczenia.

Wreszcie rozległ się głos:

- Szef zespołu A do dowództwa, zabezpieczyliśmy miejsce. Sellitto roześmiał się w głos. Udało mu się. Stawił czoło temu

cholerstwu, które go dręczyło.

Ale nie bądź taki pewny siebie, powiedział do siebie, chowając glocka. Wpadłeś tu w konkretnym celu, pamiętasz? Masz coś do zrobienia. No to zabezpiecz te pieprzone dowody.

Rozglądając się po mieszkaniu, zorientował się, że coś tu nie pasuje.

Ale co?

Popatrzył w stronę kuchni, korytarza, obejrzał biurko. Coś tu wyglądało dziwnie. Co tu jest nie tak? I nagle zauważył. Radio tranzystorowe?

Robią jeszcze takie? Jeżeli nawet tak, prawie się już ich nie spotyka, bo jest mnóstwo tanich i znacznie bardziej wymyślnych aparatów jak przenośne odtwarzacze, discmany, odtwarzacze MP3.

Niech to szlag. To pułapka, bomba! Na dodatek stoi tuż obok wielkiego słoja pełnego bezbarwnego płynu zamkniętego szklanym korkiem, w którym, jak Sellitto pamiętał z lekcji chemii, przechowywało się kwas.

- Chryste!

Ile czasu zostało do eksplozji? Minuta, dwie? Sellitto rzucił się naprzód, chwycił radio i zniknął z nim w łazience, wstawiając aparat do umywalki.

- Mamy bombę! Opuścić mieszkanie! - krzyknął, zdzierając z twarzy maskę.

- Wypieprzaj pan stamtąd! - krzyknął funkcjonariusz.

Sellitto nie zwrócił na niego uwagi. Konstruując bomby domowej roboty, ludzie nie zwracają sobie głowy usuwaniem odcisków palców ani innych śladów, ponieważ w wyniku wybuchu większość dowodów zostaje zniszczona. Oczywiście znali już tożsamość Boyda, ale niewykluczone, że są tu ślady lub odciski, które mogą ich doprowadzić do jego zleceniodawcy albo współnika.

- Niech pan wezwie pirotechników - odezwał się ktoś przez radio.

- Zamknij się, jestem zajęty. W radiu był włącznik, ale Sellitto nie sądził, by za jego pomocą rozbroił ładunek. Kuląc się instynktownie, detektyw zdjął z radia tylną pokrywę z czarnego plastiku.

He jeszcze, ile jeszcze?

Ile czasu potrzebowałby Boyd, by po wejściu do mieszkania rozbroić bombę-pułapkę?

Pochyliwszy się, Sellitto zobaczył w środku pół laski dynamitu - nie plastiku, ale potężnego ładunku, który mógłby mu urwać rękę i oślepić. Nie było żadnego wyświetlacza. Tylko w filmach bomby są wyposażone w liczniki cyfrowe, które pokazują czas pozostały do wybuchu. Prawdziwe bomby są detonowane przez małe układy mikroprocesorowe, bez wyświetlaczy. Sellitto przytrzymał dynamit paznokciem - by nie usunąć przypadkiem żadnych odcisków palców. Zaczął zdejmować z ładunku spłonkę.

Zastanawiając się, czy sprawca był na tyle wyrafinowany, by wyposażyć bombę w drugi detonator na wypadek, gdyby zaczęli przy niej majstrować tacy jak Sellitto - zdjął spłonkę z dynamitu.

Nie ma drugiego detonatora ani żadnych...

Wybuch wstrząsnął całą łazienką, odbijając się echem od kafelków.

- Co to było? - zawołał Bo Haumann. - Ktoś strzelał? Była wymiana ognia? Do wszystkich zespołów, zgłóście się.

- Wybuch w łazience w mieszkaniu podejrzanego - ktoś krzyknął. - Wezwać karetkę! Karetkę!

- Nie trzeba, nie trzeba. Spokojnie. - Sellitto płukał pod kranem oparzone palce. - Potrzebuję tylko plastra.

- To pan, poruczniku?

- Tak. Strzeliła sople. Boyd zostawił bombę, żeby zniszczyć dowody. Udało mi się ocalić większość... - Wepchnął dłoń pod pachę i mocno ścisnął. - Kurwa, ale piecze.

- Jakiej wielkości była bomba? - zapytał Haumann. Sellitto zerknął na biurko w drugim pokoju.

- Wystarczyłoby, żeby rozpieprzyć w drobny mak słoń z galonem kwasu siarkowego. Obok stoją słoiki z jakimś białym proszkiem, pewnie cyjankiem. Szlag by trafił większość dowodów - i każdego, kto by się znalazł w pobliżu.

Kilku antyterrorystów spojrzało z wdzięcznością na Sellitta. Jeden z nich powiedział:

- Mam ochotę osobiście zdjąć tego gnojka.

Haumann, typowym dla siebie głosem chłodnego gliny, zapytał rzeczowo:

- Status podejrzanego?

- Nie ma śladu. Zdaje się, że źródłem ciepła mógł być telewizor, lodówka i nagrzane w słońcu meble - zameldował jeden z policjantów.

Sellitto rozejrzał się po pokoju i rzekł przez radio:

- Mam pomysł, Bo.

- Mów.

- Szybko naprawimy drzwi. Zostanę w środku z kilkoma ludźmi, resztę ściągniesz z ulicy. On może niedługo wrócić. Wtedy go zdejmujemy.

- Zrozumiałem, Lon. Podoba mi się. Do roboty. Kto się zna na stolarce?

- Ja to zrobię - zaofiarował się Sellitto. - To moje hobby. Tylko przynieście jakieś narzędzia. W ogóle co to za brygada specjalna? Nikt tu nie ma cholernego plastra?

Z dala od mieszkania Boyda Amelia Sachs słuchała przez radio rozmów o ataku. Wyglądało na to, że jej plan ratowania Sellitta się powiódł - nawet lepiej, niż się spodziewała. Nie była pewna, co się właściwie stało, ale najwyraźniej dokonał jakiegoś bohaterstwa, a w jego głosie znów usłyszała dawną pewność siebie.

Potwierdziła przyjęcie wiadomości o planie, by ściągnąć wszystkich z ulicy i zaczekać na powrót Boyda, po czym dodała, że ostrzeże ostatnich mieszkańców z naprzeciwka, a potem dołączy do pozostałych i pomoże w zorganizowaniu zasadzki. Zapukała do drzwi i powiedziała kobiecie, która jej otworzyła, aby nie podchodziła do okien od frontu, dopóki nie usłyszy, że można już bezpiecznie wyjść na ulicę. Po drugiej stronie policja przeprowadzała pewną akcję.

Kobieta patrzyła na nią ze strachem.

- Czy to niebezpieczne?

Sachs wygłosiła standardową kwestię: to tylko względy ostrożności, nie ma się czym niepokoić i tak dalej. Wymijająco i pokrępiająco. Część roli gliniarza polega na uprawianiu public relations. Czasem jest to znacznie większa część. Sachs dodała, że zauważyła na podwórku jakieś zabawki. Czy dzieci są w domu?

W tym momencie dostrzegła mężczyznę, który wynurzył się z alejki kawałek dalej. Szedł wolnym krokiem w kierunku mieszkania, ze spuszczoną głową, miał na sobie długi płaszcz i kapelusz. Sachs nie widziała jego twarzy.

Kobieta mówiła z zaniepokojoną miną:

- W domu jest tylko mój chłopak i ja. Dzieci są w szkole. Zwykle wracają do domu pieszo, ale może powinniśmy po nie pojechać?

- Proszę pani, mogłaby pani spojrzeć na tego mężczyznę po drugiej stronie ulicy?

Kobieta wyszła i popatrzyła we wskazanym kierunku.

- Tego?

- Zna go pani?

- Oczywiście. Mieszka w tamtym budynku.

- Jak się nazywa?

- Larry Tang.

- Och, jest Chińczykiem?

- Chyba tak. Albo Japończykiem czy kimś takim. Ta wiadomość uspokoiła Sachs.- Chyba nie jest w nic zamieszany? - spytała kobieta.

- Nie, nie jest. Jeżeli natomiast chodzi o dzieci, najlepiej będzie...

Jezu...

Patrząc ponad ramieniem kobiety, Amelia Sachs zajrzała do sypialni bungalowu, która właśnie była odnawiana. Na ścianie namalowano postacie z kreskówki. Jedną z nich był bohater „Kubusia Puchatka” - Tygrys.

Pomarańczowa farba miała identyczny odcień z próbkami znalezionymi w pobliżu mieszkania ciotki Genevy w Harlemlu. Jasnopomarańczowy.

Sachs zerknęła na podłogę w korytarzu. Na gazecie stała para starych butów. Jasnobrązowych.

Widać było metkę na wyściółce. To były buty marki Bass. Rozmiaru mniej więcej jedenaście.

Amelia Sachs nagle zrozumiała, że chłopakiem, o którym mówiła kobieta, jest Thompson Boyd, a mieszkanie naprzeciwko nie jest jego domem, tylko kolejną kryjówką. W tym momencie było puste, ponieważ Boyd przebywał w bungalowu.

Rozdział 32

Amelia Sachs pomyślała: Trzeba zabrać stąd tę kobietę. Jej oczy są niewinne. O niczym nie wie. Pomyślała: Boyd na pewno jest uzbrojony.

Pomyślała: A ja właśnie przehandlowałam Glocka za marnego sześciopalcowca.

Trzeba ją stąd zabrać. Jak najszybciej.

Sachs dyskretnie przesunęła dłoń w stronę paska, gdzie tkwił mały rewolwer Sellitta.

- Aha, jeszcze jedno - powiedziała spokojnie. - Zobaczyłam na ulicy furgonetkę. Chciałabym spytać, czy wie pani, do kogo należy ten samochód.

Co to za hałas? - zastanawiała się Sachs. Dobiegał z głębi domu. Metaliczny. Ale to nie był szcęk broni, tylko jakiś zagadkowy brzęk.

- Furgonetka?

- Tak, ale stąd jej nie widać. Stoi za drzewem. - Sachs cofnęła się, pokazując przed siebie. - Byłaby pani uprzejma wyjść i zobaczyć? Będę wdzięczna.

Kobieta została jednak w drzwiach, spoglądając w prawo.

- Kochanie? - Zmarszczyła brwi. - Co się dzieje?

Sachs zorientowała się, że metaliczny brzęk to odgłos żaluzji. Boyd usłyszał jej rozmowę z dziewczyną i wyrzwał przez okno. Pewnie zobaczył któregoś z członków ESU albo radiowóz pod swoją kryjówką.

- To naprawdę ważne - próbowała dalej Sachs. - Gdyby pani mogła...

Ale kobieta znieruchomiała, szeroko otwierając oczy.

- Nie! Tom! Co ty...

- Niech pani stąd natychmiast wyjdzie! - krzyknęła Sachs, wyszarpując smitha & wesson. - Grozi pani niebezpieczeństwo!

- Co zamierzasz z tym zrobić? Tom! - Cofała się przed nim, ale nadal stała w korytarzu jak bezradny królik w blasku reflektorów. - Nie!

- Na ziemię! - rozkazała Sachs szorstkim szeptem i przyczajona weszła do domu. - Boyd, posłuchaj - krzyknęła. - Jeżeli masz broń, odłóż ją. Wyrzuć ją tak, żebym widziała. Potem połóż się na podłodze. Natychmiast! Na zewnątrz jest kilkudziesięciu policjantów!

Odpowiedziała jej cisza przerywana tylko łkaniem kobiety.

Sachs zamarkowała ruch naprzód, ostrożnie wyglądając zza ściany. Z lewej dostrzegła mężczyznę o spokojnej twarzy, z wielkim czarnym pistoletem w dłoni. Nie był to north american.22 magnum, ale automat o dużej sile rażenia, wyposażony w magazynek z piętnastoma pociskami. Sachs wróciła za osłonę. Boyd spodziewał się, że wysunie się nieco wyżej. Strzelił, ale dwie kule chybiły celu, choć nieznacznie, wzbijając w powietrze tynk i odłamki drewna. Ciemnowłosa kobieta zaczęła rozpaczliwie krzyczeć, cofając się na oślep w głąb domu, spoglądając to na Sachs, to na Boyda.

- Nie, nie, nie!

- Rzuć broń! - zwołała Sachs.

- Tom, proszę! Co się dzieje?"

Upłynęła długa chwila absolutnej ciszy. Co Boyd kombinował? Może się zastanawiał, co ma zrobić. Oddał jeden strzał.

Sachs wzdrygnęła się, choć pocisk nawet jej nie drasnął. W ogóle nie trafił w ścianę, za którą stała.

Okazało się jednak, że Boyd wcale nie celował do niej i kula ugodziła dokładnie tam, gdzie zamierzał.

Brunetka osunęła się na kolana, łapiąc się za udo, z którego trysnęła krew.

- Tom - szepnęła. - Dlaczego... Och, Tom. - Upadła na wznak, zaciskając dłonie na udzie i łkając z bólu.

Tak samo jak pod muzeum, Boyd postrzelił przypadkową osobę, żeby odwrócić uwagę policji i ratować własną skórę. Tylko że tym razem była to jego dziewczyna.

Sachs usłyszała brzęk tłuczonej szyby. Boyd wybił okno, szykując się do ucieczki.

Kobieta szeptała słowa, których Sachs nie rozumiała. Połączyła się z Haumannem, zawiadamiając go o stanie kobiety i podając adres, a dowódca natychmiast wezwał karetkę i wysłał wsparcie. Potem pomyślała: Ratownicy zjawią się dopiero za kilka minut. Muszę jej udzielić pomocy. Opaska uciskowa zmniejszy krwotok. Mogę jej ocalić życie.

Potem jednak: Nie. Boyd nie może uciec. Znów wyjrzała zza ściany, trzymając się blisko podłogi, i zobaczyła, jak Boyd przez okno w korytarzu wyskakuje na podwórko.

Sachs zawahała się, spoglądając na raną kobietę. Dziewczyna Boyda straciła przytomność; jej

ręka opadła bezwładnie, ukazując okropną ranę na nodze. Wokół jej ciała utworzyła się już kałuża krwi.

Chryste...

Ruszyła w jej stronę. Zaraz jednak przystanęła. Nie. Wiesz, co masz robić. Amelia Sachs podbiegła do bocznego okna. Wyrzała na zewnątrz, znów bardzo szybko, na wypadek gdyby na nią czekał.

Ale nie, Boyd spodziewał się, że zostanie i zajmie się ranną kobietą. Sachs zobaczyła, jak sprintem oddala się od bungalowu, biegnąc brukowaną alejką i nie oglądając się za siebie.

Spojrzała w dół. Od ziemi dzieliły ją dwa metry. Dwadzieścia minut temu poczęstowała Sellitta zmyśloną historyjką o urazie kolana; chroniczny ból stawów nie był wymysłem.

Rany.

Przerzuciła nogi przez parapet, uważając na odłamki szkła, i odepchnęła się od okna. Starając się zamortyzować lądowanie, ugięła nogi. Ale skakała z dużej wysokości i na dole lewa noga nie utrzymała jej ciężaru. Sachs przewróciła się na żwir i trawę, wydając okrzyk bólu.

Dyszając ciężko, wstała i biegiem ruszyła za Boydem, teraz utykając naprawdę. Bóg karze za kłamstwa, pomyślała.

Przedarłszy się przez rząd anemicznych krzewów, wydostała się z podwórka na alejkę prowadzącą za domy i kamienicę. Rozejrzała się w prawo i w lewo. Ani śladu Boyda.

Nagle, mniej więcej trzydzieści metrów przed sobą, zobaczyła, jak otwiera się duża drewniana brama. Był to typowy widok w starszych częściach Nowego Jorku - nieogrzewane, wolno stojące garaże za zabudową szeregową. Mogła się domyślić, że Boyd trzyma samochód w garażu; zespół rozpoznania nigdzie w okolicy nie znalazł jego auta. Biegnąc ile sił w nogach, Sachs zameldowała swoje położenie dowództwu akcji.

- Zrozumiałem, pięć osiem osiem pięć. Idziemy do ciebie.

Poruszając się z trudem na nierównym bruku, otworzyła bębenek rewolweru i skrzywiła się, zobaczywszy, że Sellitto należy do ostrożnych użytkowników broni: komora pod kurkiem była pusta.

Pięć strzałów.

Wobec uzbrojonego w automat przeciwnika, który miał pięć razy więcej amunicji, a w kieszeni zapewne co najmniej jeden zapasowy magazynek.

Biegnąc w stronę wylotu alejki, usłyszała warkot silnika, a sekundę później z garażu wynurzył się tył niebieskiego buicka. Alejka była za wąska, by móc na niej zawrócić na raz, więc Boyd musiał zatrzymać wóz, podjechać kawałek do przodu i jeszcze raz cofnąć. Dzięki temu Sachs miała szansę podbiec do garażu na odległość dwudziestu metrów.

Boyd skończył manewr i wykorzystując bramę garażu jako tarczę osłaniającą go przed Sachs, pomknął naprzód.

Sachs przypadła do bruku, widząc, że jedynym celem, w jaki może trafić, są tylne opony widoczne w wąskim prześwicie pod drzwiami garażu.

Leżąc na brzuchu, wycelowała w prawą.

Podczas oddawania strzałów w mieście obowiązuje zasada zabraniająca strzelania, jeżeli funkcjonariusz „nie zna tła”, czyli jeśli nie wie, w co trafi pocisk, gdyby chybił celu - lub gdyby przeszedł przez cel i pomknął dalej. Widząc oddalający się samochód Boyda, Sachs przez ułamek sekundy rozważała słuszność tego przepisu, po czym - myśląc o Genevie Settle - sformułowała własną zasadę: ten skurwiel nie może uciec.

Aby mieć najlepszą kontrolę nad strzałem, musiała mierzyć nisko, aby pocisk odbił się rykoszetem w górę i utkwiał w samochodzie, gdyby nie trafił w oponę.

Ustawivszy broń na pojedynczy strzał, by spust był bardziej czuły, wycelowała i strzeliła dwa razy, posyłając drugi pocisk odrobinę wyżej od pierwszego.

Kule śmignęły przez szparę pod bramą garażu i przynajmniej jedna przebiła tylną prawą oponę. Gdy samochód gwałtownie zarzucił w prawo i z hukiem uderzył w ceglany mur, Sachs wstała i popędziła w stronę unieruchomionego auta, krzywiąc się z bólu. Zatrzymała się przy drzwiach garażu i ostrożnie wyjrzała. Okazało się, że przebiła obie prawe opony: przednią i tylną. Boyd próbował wycofać, lecz wgięte przednie koło zakleszczyło się w podwoziu. Wysiadł, trzymając broń w pogotowiu i szukając napastnika.

- Boyd! Rzuć broń!

W odpowiedzi strzelił pięć czy sześć razy w kierunku bramy. Sachs oddała tylko jeden strzał, trafiając w karoserię kilka centymetrów od niego, a potem przetoczyła się po ziemi na prawo i szybko zerwała się na nogi, zauważywszy, że Boyd biegnie w kierunku ulicy.

Tym razem widziała tło - ceglany mur budynku naprzeciwko - i jeszcze raz nacisnęła spust.

Ale w momencie strzału Boyd zrobił unik, jak gdyby się tego spodziewał. Pocisk świsnął obok, znów mijając go zaledwie o kilka centymetrów. Odpowiedział gradem strzałów i Sachs przypadła do śliskiego bruku, rozbijając radio. Boyd skręcił w lewo i zniknął za rogiem.

Został jeden pocisk. Powinnam strzelić w oponę tylko raz, pomyślała ze złością, podnosząc się i biegnąc za nim tak szybko, jak pozwalał ból w nodze. Przystanęła przy rogu, gdzie kończyła się alejka, błyskawicznie wyjrzała w lewo. Zobaczyła jego masywną sylwetkę niknącą w oddali.

Chwyciła motorolę, wciskając przycisk nadawania. Nic z tego. Cholera. Mam zadzwonić z komórki pod 911? Za dużo tłumaczenia, za mało czasu, by przekazać potrzebne informacje. Może ktoś z okolicznych budynków wezwie pomoc, zaalarmowany strzałami. Ruszyła w dalszy pościg, dysząc chrapliwie i głośno tupiąc.

Na skrzyżowaniu daleko przed nią zatrzymał się radiowóz. Policjanci nie wysiadali; nie słyszeli strzałów i nie wiedzieli, że tuż pod nosem mają uzbrojonego mordercę. Boyd też ich zauważył. Natychmiast stanął, po czym przesadził niskie ogrodzenie i dał nura pod schody prowadzące do wejścia kamienicy. Sachs usłyszała łoskot kopniaków: próbował się włamać do sutereny.

Sachs zaczęła machać do patrolu, lecz funkcjonariusze spoglądali w głąb poprzecznej ulicy i jej nie dostrzegli.

W tym momencie z domu naprzeciw kryjówki Boyda wyszło dwoje młodych ludzi. Zamknęli za sobą drzwi, mężczyzna zasunął pod szyję zamek kamizelki, chroniąc się przed chłodem, a kobieta wzięła go pod rękę. Zaczęli schodzić po schodach.

Kopanie ucichło.

Och, nie... Sachs zorientowała się, co się święci. Nie widziała Boyda, ale wiedziała, co zamierza zrobić. Teraz brał na cel parę młodych ludzi. Chciał strzelić do jednego lub obojga, skraść im klucze i schronić się w domu w nadziei, że policja w pierwszej kolejności zajmie się rannymi.

- Na ziemię! - wrzasnęła Sachs.

Młodzi ludzie stali w odległości prawie trzydziestu metrów od niej i nie słyszeli krzyku.

Boyd miał ich już na muszce i czekał, aż podejda bliżej.

- Na ziemię!

Sachs, utykając, ruszyła w ich kierunku.

Para zauważyła ją, ale nie rozumiała, co do nich krzyczy. Przystanęli, patrząc na nią pytająco.

- Na ziemię! - powtórzyła.

Mężczyzna przytknął do ucha stuloną dłoń, ale bezradnie pokręcił głową.

Sachs stanęła, wzięła głęboki oddech i wystrzeliła ostatni pocisk, celując w metalowy kubek na śmieci dwadzieścia stóp od młodych ludzi.

Kobieta wrzasnęła. Oboje odwrócili się, pospiesznie wspięli się po schodach i zatrzasnęli za sobą drzwi. Przynajmniej udało się jej...

Tuż obok niej eksplodował wapienny blok, obsypując ją gorącym ołowiem i kawałkami gruzu. Pół sekundy później usłyszała huk broni Boyda.

Błyskawicznie następujące po sobie strzały spychały Sachs w tył, a pociski trafiały zaledwie metr od niej. Przecięła podwórko, potykając się o niskie druciane ogrodzenie i parę gipsowych figurek na trawniku: jelonków Bambi i elfów. Jedna kula otarła się o jej kamizelkę, pozbawiając ją

na chwilę tchu. Upadła na grządkę kwiatów. Ziemię obok ryły kolejne pociski. Boyd odwrócił się w stronę policjantów, którzy wyskoczyli z radiowozu. Otworzył ogień, przebijając opony i zmuszając ich do ukrycia się za samochodem. Funkcjonariusze nie mogli się ruszyć, ale przynajmniej była nadzieja, że zgłosili zajście i za chwilę zjawi się wsparcie.

Co oznaczało, że Boydowi pozostała tylko jedna droga ucieczki - w stronę Sachs. Przyczaiła się za osłoną krzewów. Boyd przestał strzelać, ale słyszała jego zbliżające się kroki. Był chyba pięć metrów od niej. Po chwili już tylko trzy. Była pewna, że za moment zobaczy jego twarz, a potem lufę pistoletu. I zginie...*Łup. Łup.*

Unosząc się na łokciu, zobaczyła, że morderca kopie w inne drzwi sutereny, które powoli zaczynają ustępować. Miał twarz przerażająco spokojną - podobnie jak Wisielec z karty tarota, którą zamierzał zostawić przy zwłokach Genevy Settle. Musiał być przekonany, że trafił Sachs, ponieważ nie zwracał uwagi na miejsce, gdzie upadła, i skupił się na wyważaniu drzwi - jedynej drogi ucieczki, jaka mu pozostała. Obejrzał się kilka razy, patrząc na odległe skrzyżowanie i policjantów, którzy ruszyli w jego stronę, ale posuwali się powoli, bo od czasu do czasu strzelał w ich stronę.

Sachs przypuszczała, że jemu też wkrótce skończy się amunicja. Chyba że...

Boyd wyrzucił pusty magazynek i włożył nowy. Przeładował. No, tak...

Sachs mogła zostać tam, gdzie była, i czekać, aż policjanci dotrą na miejsce, zanim ucieknie.

Pomyślała jednak o ciemnowłosej kobiecie leżącej w kałuży krwi w bungalowie - która być może już nie żyła. Pomyślała o porażonym prądem funkcjonariuszu, o zabitym wczoraj bibliotekarzu. Pomyślała o Pułaskim, o jego zmasakrowanej twarzy. A przede wszystkim pomyślała o biednej Genevie Settle, której grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, dopóki Boyd chodzi wolny po ulicach. Zaciskając dłoń na pustym rewolwerze, podjęła decyzję.

Thompson Boyd jeszcze raz potężnie kopnął w drzwi sutereny. Zaczęły ustępować. Wejdzie do środka i...

- Nie ruszaj się, Boyd. Rzuć broń.

Mrugając w zaskoczeniu obolałymi oczami, Thompson odwrócił głowę. Opuścił stopę, którą zamierzał znowu kopnąć w drzwi. A to co?

Trzymając opuszczoną broń, wolno odwrócił głowę i popatrzył na nią. Zgadza się, tak jak przypuszczał, to była kobieta, którą widział wczoraj przy oględzinach miejsca zbrodni w muzeum. Chodziła tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak grzechotnik. Rude włosy, biały kombinezon. Której widok sprawił mu przyjemność i wzbudził podziw. Było co podziwiać, pomyślał. I nieźle strzelała.

Zdziwił się, że jeszcze żyje. Był prawie pewien, że przy ostatniej serii dostała.

- Boyd, strzele. Rzuć broń i połów się na chodniku.

Parę mocnych kopniaków powinno wystarczyć. Potem wymknie się na alejkę z drugiej strony. A może mieszkańcy sutereny będą mieli samochód. Mógłby wziąć kluczyki i postrzelić kogoś, zranić, odciągnąć policję. Uciec.

Najpierw musiał jednak odpowiedzieć na pytanie: czy miała jeszcze amunicję?

- Słyszysz mnie, Boyd?

- A więc to ty. - Zmrużył piekące oczy. Dawno nie używał murine. - Tak myślałem.

Zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, co ma na myśli. Może się zastanawiała, gdzie ją widział, skąd mógł ją znać.

Boyd starał się nie poruszać. Musiał rozwiązać tę zagadkę. Zastrzelić ją czy nie? Jeśli jednak wykona choć pół kroku w jej stronę, a ona będzie miała amunicję, na pewno strzeli. Nie miał wątpliwości. Ta kobieta nie znała żadnej litości.

Zabiją cię jednym pocatunkiem...

Zastanawiał się. Miała sześciostrzałowego smitha & wessona kalibru.38. Strzeliła pięć razy. Thompson Boyd zawsze liczył strzały (wiedział, że sam ma w magazynku jeszcze osiem pocisków, plus czternaście w zapasowym).

Zdażyła przeładować? A jeżeli nie, została jej jeszcze jedna kula?

Niektórzy policjanci zostawiają pod kurkiem pustą komorę, żeby uchronić się przed przypadkowym strzałem, gdyby rewolwer spadł na ziemię. Ona jednak najwyraźniej nie była aż tak ostrożną osobą. Za dobrze znała się na broni. Nigdy nie upuściłaby broni przypadkiem. Poza tym, jeżeli brała udział w akcji, zależało jej na każdym pocisku. Nie, na pewno nie należała do zbyt przezornych gliniarzy.

- Boyd, ostrzegam ostatni raz!

Ale z drugiej strony broń nie należy do niej, myślał. Wczoraj w muzeum miała na biodrze glocka. Teraz też ma na pasku pustą kaburę glocka. Czyżby smittie był zapasową bronią? W dawnych czasach, gdy wszyscy gliniarze mieli sześciostrzałowce, czasem w kaburze na kostce nosili zapas. Ale dziś, mając do dyspozycji co najmniej dwunastostrzałowe automaty i dwa dodatkowe magazynki, zwykle nie zwracali sobie głowy drugą bronią.

Nie, był gotów się założyć, że zgubiła automat albo komuś pożyczyła, biorąc w zamian rewolwer, co oznaczało, że prawdopodobnie nie miała amunicji, żeby przeładować. Pytanie drugie: czy osoba, od której pożyczyła broń, przestrzegała zasady pustej komory? Tego oczywiście nie mógł wiedzieć.

Pozostawało więc pytanie, jaką osobą jest rudowłosa. Boyd pamiętał, jak w muzeum poruszała się niczym grzechotnik. W korytarzu domu na Elizabeth Street wpadała do mieszkania, żeby go złapać. I pomyślał o tym pościgu, dla którego nie zawahała się zostawić rannej w udo Jeanne,

ryzykując, że dziewczyna umrze.

Doszedł do wniosku, że blefuje. Gdyby został jej jeden pocisk, już by go zabiła.

- Nie masz amunicji - oznajmił, unosząc pistolet.

Skrzywiła się, opuszczając dłoń z rewolwerem. A więc miał rację. Powinien ją zabić? Nie, wystarczy zranić. Ale w co? Najlepiej w miejsce, gdzie rana będzie bolesna i groźna dla życia. Wrzask i dużo krwi przyciągają uwagę. Zauważył, że ostrożnie opiera się na jednej nodze, jak gdyby nie chciała jej przeciążyć. Strzelił w tę, w kolano. A kiedy upadnie, wpakuje jeszcze jeden pocisk w ramię. I ucieknie.

- A więc wygrałeś - powiedziała. - I co teraz? Jestem zakładniczką?

O tym nie pomyślał. Zawahał się. Czy to ma sens? Czy mu w czymś pomoże? Zakładnicy przynoszą zwykle więcej kłopotów niż pożytku.

Nie, lepiej strzelić. Zaczął naciskać spust, a ona w geście kapitulacji rzuciła broń na chodnik. Zerknął na rewolwer, myśląc: coś tu nie tak... O co...

Trzymała rewolwer w lewej ręce. A kabura była na prawym biodrze.

Thompson spojrzał na nią ponownie i ze zdumieniem zobaczył błysk wirującego noża lecącego w kierunku jego twarzy. Cisnęła go prawą ręką, gdy on przez sekundę patrzył na rewolwer.

Ostrze sprężynowca nie wbiło się w niego ani nawet go nie drasnęło - trafiła go tylko rękojeść, ale prosto w biedne oczy. Thompson uchylił się instynktownie, zasłaniając je ręką. Zanim zdążył się cofnąć i wycelować, kobieta przyskoczyła do niego z kamieniem porwanym z ogródka. Poczul straszliwy cios w skroń i krzyknął z bólu.

Nacisnął spust i pistolet wypalił. Ale nie trafił i zanim zdążył wystrzelić drugi raz, kamień uderzył go w prawą rękę, Broń poleciała na ziemię. Thompson zawył, chwytając się za zgruchotane palce.

Sądząc, że będzie chciała podnieść pistolet, próbował zablokować ją ciałem. Pistolet jej jednak nie interesował. Miała broń i innej nie potrzebowała; kamień trzasnął go w twarz.

- Nie, nie...

Próbował ją uderzyć, ale była wysoka i silna. Następny cios powalił go na kolana, potem na bok, gdy skulił się przed gradem ciosów.

- Przestań, przestań! - krzyknął, ale w odpowiedzi poczuł kolejne uderzenie w policzek. Usłyszał jej wściekły skowyt.

Zabiją cię...

Co ona robi? - myślał w szoku. Przecież wygrała... Po co to robi, po co łamie przepisy? Dlaczego? To wbrew zasadom..*jednym pocałunkiem.*

Kiedy chwilę później nadbiegli funkcjonariusze z patrolu, tylko jeden złapał Thompsona Boyda i skuł kajdankami. Drugi chwycił policjantkę za rękę i z trudem wyszarpnął jej z dłoni zakrwawiony kamień. Choć ogłuszony bólem, Thompson słyszał, jak gliniarz powtarza:

- Już dobrze, detektywie, już dobrze. Już go pani ma. Spokojnie. Już nigdzie nie ucieknie. Już nigdzie nie ucieknie...

Rozdział 33

Błagam, błagam...

Amelia Sachs co sił w nogach pędziła z powrotem w stronę bungalowu Boyda, ignorując gratulacje pozostałych policjantów i próbując zignorować ból w kolanie.

Spocona i zdyszana podbiegła do najbliższego ratownika, jakiego zobaczyła, pytając:

- Co z tą kobietą z domu?
- Z tamtego? - Sanitariusz wskazał bungalow.
- Tak. Chodzi o tę brunetkę, która tam mieszka.
- Ach, o nią. Niestety, mam złe wiadomości.

Sachs głęboko nabrała powietrza, czując, jak jej ciało przenika lodowaty dreszcz przerażenia. Złapała Boyda, lecz kobieta, którą mogła uratować, nie żyła. Wbiła paznokiec w skórę kciuka, czując ból i ciepłą krew. Pomyślała: zrobiłam dokładnie to, co Boyd. Poświęciłam niewinne życie, żeby wykonać zadanie.

- Strzelano do niej - kontynuował ratownik.
- Wiem - szepnęła Sachs, wbijając wzrok w ziemię. Rany, jak trudno będzie z tym żyć...
- Proszę się nie martwić.
- Nie martwić?
- Wyjdzie z tego. Sachs zmarszczyła brwi.
- Mówił pan, że ma złe wiadomości.
- Postrzał to chyba zła wiadomość.
- Chryste, wiem, że dostała postrzał. Byłam tam, kiedy to się stało.

- Ach tak.

- Myślałam, że nie żyje.

- Nie, miała krwotok, ale zdążyliśmy na czas. Wszystko będzie dobrze. Jest na oddziale urazowym w St. Luke. Stan stabilny.- To dobrze, dziękuję.

Mam złe wiadomości...

Utykając, Sachs odeszła od sanitariuszy i przed kamienicą odnalazła Sellitta i Haumanna.

- Zdjęłaś go uzbrojona w pustą broń? - spytał z niedowierzaniem Haumann.

- Właściwie w kamień.

Dowódca ESU skinął głową, unosząc brew, co było u niego wyrazem najwyższego uznania.

- Boyd coś powiedział? - spytała.

- Zrozumiał swoje prawa. Potem przestał się odzywać. Zamienili się bronią z Sellittem. Detektyw przeładował rewolwer. Sachs sprawdziła glocka i wsunęła do kabury.

- Jak z mieszkaniami? - zapytała.

Haumann przejechał dłonią „po swoich szczeciniastych włosach.

- Wygląda na to, że bungalow był wynajęty na nazwisko jego dziewczyny, Jeanne Starę. Dwoje dzieci, które z nimi mieszkały, to jej córki. Nie Boyda. Zawiadomiliśmy ludzi z opieki. A to - wskazał na mieszkanie w kamienicy - była jego kryjówka. Pełno tam narzędzi... jego narzędzi pracy.

- Lepiej pójdę zrobić oględziny - powiedziała.

- Wszystko zabezpieczyliśmy - odrzekł Haumann. - To znaczy on zabezpieczył. - Dowódca ESU ruchem głowy wskazał Sellitta. - Muszę złożyć meldunek gorze. Zostaniesz tu jeszcze? Będą chcieli, żebyś złożyła zeznanie.

Sachs kiwnęła głową. Razem z krępyim detektywem poszli w milczeniu do kryjówki Boyda. Wreszcie Sellitto zerknął na jej nogę.

- Znowu zaczęłaś utykać - zauważył.

- Znowu?

- Tak, kiedy szłaś ostrzec ludzi po drugiej stronie ulicy, popatrzyłem przez okno. Nie było widać, żebyś utykała.

- Czasem przechodzi samo z siebie. Sellitto wzruszył ramionami.

- Nie wiadomo, jak to się dzieje.

- Nie wiadomo.

Wiedział, co dla niego zrobiła. I w ten sposób jej to powiedział. Po chwili dodał:

- Dobra, mamy tego, kto naciskał spust. Ale to dopiero połowa roboty. Musimy znaleźć kutasa, który go wynajął, i jego współnika - pewnie on teraz przejął zadanie Boyda. Obchód po siatce, detektywie. - Ostatnie słowa Sellitto powiedział, naśladując najbardziej szorstki z tonów Rhyme'a.

Nie mógł jej lepiej podziękować: wiedziała już, że wrócił.

Często ostatni ze znalezionych dowodów okazuje się najważniejszy.

Każdy dobry kryminalistyk po wstępnych oględzinach przede wszystkim zajmuje się nietrwałymi śladami, które mogą wyparować, ulec zniszczeniu pod wpływem deszczu, wiatru i tak dalej, pozostawiając sobie na później najbardziej oczywiste dowody - na przykład dymiącą broń.

Jeżeli miejsce jest zabezpieczone, mawiał często Lincoln Rhyme, dobry materiał zawsze zostaje.

W domu Boyda i jego kryjówce po drugiej stronie ulicy Sachs znalazła odciski palców, zebrała mikroślady, z toalety pobrała próbki płynów do analizy DNA, zdrapała drewno z podłogi i powierzchni mebli, odcieła fragmenty dywanu, by zbadać włókna, a następnie obfotografowała obydwa miejsca i sporządziła zapis wideo. Dopiero wówczas zajęła się większymi i bardziej oczywistymi dowodami. Zamówiła transport, aby przewieźć kwas i cyjanek do magazynu niebezpiecznych materiałów w Bronksie, a potem zbadała bombę domowej roboty ukrytą w radiu tranzystorowym.

Sprawdziła i zewidencjonowała broń, amunicję, gotówkę, zwoje sznura, narzędzia. Kilkadziesiąt innych przedmiotów, które mogły się okazać istotne.

Na koniec wzięła niewielką białą kopertę leżącą na półce niedaleko drzwi wejściowych w kryjówce Boyda.

Wewnątrz tkwiła pojedyncza zapisana kartka.

Przeczytała ją. Wybuchnęła krótkim śmiechem. Przeczytała jeszcze raz. I zadzwoniła do Rhyme'a, myśląc: Rany, aleśmy się dali nabrać.

- Założę się o sto dolców, że znowu znajdziemy czysty węgiel, tak samo jak na mapie, którą schował po poduszka na Elizabeth Street - rzekł do Coopera Rhyme, gdy obaj wpatrywali się w ekran monitora. - He chcesz postawić? Jacyś chętni?

- Za późno - odparł technik. Maszyna zabrzęczała i wyświetliła wyniki analizy mikrośladów

znalezionych na papierze. - Zresztą i tak nie zamierzałem się zakładać. - Poprawił okulary i powiedział: - Zgadza się, węgiel. Stuprocentowy.

Węgiel. Można go znaleźć w węglu drzewnym, popiele i wielu innych substancjach.

Na przykład pyle diamentowym.

- Jak brzmi najbardziej ostatnio znieawidzone przez biznesmenów wyrażenie? - spytał kryminalistyk, znów w lepszym humorze. - W porównaniu z naszymi założeniami nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

Och, nie pomylili się, przypuszczając, że sprawcą był Boyd i że dostał zlecenie zabicia Genevy. Natomiast w sprawie motywu trafili kulą w płot. Wszystkie teorie na temat ruchu na rzecz praw obywatelskich, dzisiejszych konsekwencji rzekomej kradzieży Funduszu Wyzwoleńców przez Charlesa Singletona i spisku w sprawie XIV Poprawki... okazały się całkowicie błędne.

Geneva Settle miała zginąć, ponieważ widziała coś, czego nie powinna zobaczyć: plan napadu na dom jubilerski.

W liście, jaki Amelia Sachs znalazła w kryjówce Boyda, były szkice różnych budynków na środkowym Manhattanie, w tym także muzeum afroamerykańskiego. Wiadomość brzmiała:

Czarna dziewczyna, piąte piętro w tym oknie, 2 października, około 0830. Widziała furgonetkę dostawczą, mój, zaparkowany w alei za Geldą biżuterii. Widziała tyle, żeby odgadnąć plany moje. Zabij ją.

Na szkicu zakreślono okno niedaleko czytnika mikrofilmów, przy którym Geneva została zaatakowana.

Poza błędami ortograficznymi, język listu wydawał się specyficzny, co było korzystne z punktu widzenia kryminalistyka; znacznie łatwiej znaleźć coś charakterystycznego niż zwykłego. Rhyme polecił Cooperowi przesłać kopię tekstu Parkerowi Kincaidowi z Waszyngtonu, byłemu ekspertowi analiz dokumentów w FBI, który prowadził teraz praktykę prywatną. Podobnie jak Rhyme, Kincaid otrzymywał czasem zadania od swego byłego pracodawcy i innych organów ścigania, które prosiły go o konsultacje w badaniach dokumentów i analizach grafologicznych. Po chwili dostali od niego wiadomość z obietnicą, że jak najszybciej da im znać.

Przeglądając list, Amelia Sachs pokręciła głową, zła na siebie. Opowiedziała im o zdarzeniu z uzbrojonym mężczyzną, którego spotkali wczoraj z Pułaskim - z tym, który okazał się ochroniarzem i mówił im o codziennych dostawach kamieni z Amsterdamu i Jerozolimy wartości wielu milionów dolarów.

- Powinnam o tym wspomnieć - powiedziała.

Kto jednak mógł przypuszczać, że Thompson Boyd miał zabić Geneve dlatego, że w nieodpowiedniej chwili wyjrzała przez okno?

- Ale po co kradł mikrofiszkę? - zapytał Sellitto.

- Żeby nas zmylić, rzecz jasna. Co mu się zresztą świetnie udało. - Rhyme westchnął. - I zaczęliśmy sobie wyobrażać różne konstytucyjne spiski. Boyd pewnie nie miał pojęcia, co Geneva czyta. - Odwrócił się do dziewczyny, która siedziała w pokoju, ściskając w dłoniach kubek gorącej czekolady. - Człowiek, który napisał ten list, zobaczył cię z ulicy. On albo Boyd skontaktował się z bibliotekarzem i dowiedział się, kim jesteś i kiedy znowu będziesz w bibliotece, żeby Boyd mógł się na ciebie zaciąć. Doktor Barry zginął, bo mógł nas do nich doprowadzić... Przypomnij sobie, co się działo tydzień temu. Wyjrzałaś przez okno o wpół do dziewiątej i zobaczyłaś w alejce furgonetkę i jakąś osobę. Pamiętasz to?

Dziewczyna zmrużyła oczy i opuściła wzrok.

- Nie wiem. Często patrzę przez okno. Kiedy się zmęczę czytaniem, wstaję i spaceruję. Nie pamiętam nic szczególnego.

Przez dziesięć minut Sachs rozmawiała z nią, starając się wydobyć z niej wspomnienia tamtego dnia i ułożyć z nich jakiś obraz. Ale przywołanie widoku konkretnego człowieka i furgonetki na zatoczonych ulicach środkowego Manhattanu po jednym spojrzeniu przez okno okazało się zbyt trudnym zadaniem dla pamięci dziewczyny.

Rhyme zadzwonił do dyrektora Amerykańskiej Giełdy Biżuterii i powiedział mu, czego się dowiedzieli. Spytany, czy może się domyśla, kto mógłby zorganizować skok, dyrektor odrzekł:

- Cholera, nie mam pojęcia. Ale to się zdarza częściej, niż się panu zdaje.

- Na dowodach znaleźliśmy ślady czystego węgla. Przypuszczamy, że to pył diamentowy.

- Och, to znaczy, że pewnie niuchali w alejce przy rampie przeładunkowej. Nikt z zewnątrz nie może się dostać do stanowisk cięcia kamieni... ale zaraz, przy polerowaniu też powstaje pył. Trafia potem do odkurzaczy i na wszystkie wyrzucane śmieci.

Dyrektor zachichotał, najwyraźniej nie przejmując się wiadomością o zbliżającym się napadzie.

- Powiem panu, że każdy, kto chce nas obrobić, musi być gościem z jajami. Mamy najlepszy system ochrony w mieście. Wszyscy myślą, że to wygląda jak w telewizji. Przychodzą do nas ludzie kupić dziewczynie pierścionek, rozglądają się i pytają, gdzie są te niewidzialne promienie, które widać tylko w goglach. A prawda jest taka, że nie mamy żadnych cholernych maszyn, które robią niewidzialne promienie. Bo gdyby je można było ominąć w specjalnych goglach, to bandyci kupiliby sobie specjalne gogle. Prawdziwe alarmy wyglądają inaczej. Włączają się, kiedy mucha puści bąka w skarbcu. Właściwie system jest tak szczelny, że mucha nie może nawet wlecieć.

- Powiniennem się domyślić - burknął Lincoln Rhyme, zakończywszy rozmowę z dyrektorem giełdy. - Popatrzcie na tablicę! Patrzcie, co znaleźliśmy w pierwszej kryjówce. - Wskazał głową informację o mapie znalezionej przy Elizabeth Street. Plan przedstawiał tylko szkic biblioteki, gdzie zaatakowano Genève. O wiele więcej szczegółów zawierał rysunek budynku giełdy naprzeciwko

oraz wszystkich alejek, drzwi i ramp - prawdopodobnych dróg dojazdu i ucieczki z domu jubilerskiego.

Dwaj detektywi z centrum przesłuchali Boyda, próbując wyciągnąć z niego informację o tożsamości osoby planującej napad, która go wynajęła, ale nic nie wskórali.

Sellitto sprawdził w centrali, czy były ostatnio zgłoszenia w sprawie podejrzanego działania w dzielnicy brylantowej, lecz nie znalazł żadnych istotnych tropów. Fred Dellray zrobił sobie przerwę w śledztwie w sprawie plotek o atakach terrorystycznych, aby przejrzeć akta FBI z dochodzeń federalnych dotyczących kradzieży biżuterii. Kradzież nie kwalifikowała się jako przestępstwo federalne, dlatego spraw nie było wiele, ale kilka - związanych z praniem brudnych pieniędzy w Nowym Jorku - akurat się toczyło, więc obiecał, że jak najszybciej dostarczy im raporty.

Skupili się na dowodach zebranych w kryjówce i domu Boyda w nadziei, że trafią na ślad organizatora napadu. Zbadali broń, związki chemiczne, narzędzia i pozostałe przedmioty, lecz znaleźli na nich to samo co przedtem: drobiny pomarańczowej farby, plamy kwasu oraz okruchy falafelu i resztki jogurtu - jak przypuszczali, ulubionego dania Boyda. Sprawdzili numery seryjne banknotów, ale Departament Skarbu nie mógł im pomóc, a na żadnym z banknotów nie było odcisków palców. Podjęcie takiej dużej kwoty z banku przez zleceniodawcę Boyda byłoby ryzykowne, ponieważ przepisy o praniu brudnych pieniędzy wymagały, by zgłaszać tego rodzaju operacje. Szybki wywiad w okolicznych bankach w sprawie niedawnych dużych transakcji gotówkowych nie przyniósł żadnych rezultatów. Dziwne, lecz Rhyme doszedł do wniosku, że zleceniodawca zebrał gotówkę na wynagrodzenie Boyda, podejmując przez dłuższy czas małe sumy.

Sprawca był jedną z niewielu osób na ziemi, które nie miały telefonu komórkowego, a jeżeli miał, musiał to być anonimowy aparat w systemie pre-paid - nie było bilingów - i udało mu się go pozbyć przed zatrzymaniem. Na bilingu telefonu w domu Jeanne Starke nie znaleźli niczego podejrzanego z wyjątkiem kilku połączeń z automatami na Manhattanie, Queens i Brooklynie, ale aparaty znajdowały się w różnych miejscach i rozmowy odbywały się nieregularnie.

Dzięki bohaterskiemu wyczynowi Sellitta zdobyli jednak niezły materiał: odciski palców na dynamicie i wewnątrz radia tranzystorowego. Federalna baza IAFIS i lokalne kartoteki ujawniły nazwisko ich właściciela: Jon Earle Wilson. Siedział w Ohio i New Jersey za różne przestępstwa, między innymi podpalenie, konstrukcję bomb i oszustwo ubezpieczeniowe. Cooper poinformował ich jednak, że Wilson zniknął z radarów lokalnych stróżów prawa. Ostatnim znanym miejscem zamieszkania był Brooklyn, lecz pod wskazanym adresem znajdowała się pusta działka.

- Nie chcę ostatnio znanego miejsca zamieszkania. Chcę obecny. Przekaż to federalnym.

- Robi się.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach, ponieważ główny sprawca i współnik nadal byli na wolności, toteż z niepokojem spojrzeli w głąb korytarza. Sellitto poszedł otworzyć i po chwili wrócił w towarzystwie afroamerykańskiego nastolatka, wysokiego chłopca ubranego w szorty do kolan i bluzę Knicksów.

Przybysz miał w ręce ciężką torbę na zakupy. Zaskoczony popatrzył na wózek Rhyme'a, a potem na wyposażenie laboratorium.

- Siema, Geneva. Co jest? Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Jestem Rudy. - Zaśmiał się. - Nie pamiętasz mnie, co nie? Geneva skinęła głową.

- Chyba pamiętam. Jesteś...

- Bratem Ronelle.

- To dziewczyna z mojej klasy - wyjaśniła Rhyme'owi Geneva. Chłopak znów rozejrzał się po laboratorium, po czym ponownie

zwrócił się do Genevy:

- Przyniosłem ci takie różne, co dziewczyny dla ciebie pozbierały. Wiesz, nie ma cie w szkole, co nie, to pomyślały, że pewnie chcesz coś do czytania. Ja mówię, kurde, dajcie jej gameboya, a one, że nie, bo ona woli książki. No to kazały mi przynieść to.

- Naprawdę?

- Bez kitu. Żadne tam zadanie ze szkoły. Nie kumam, jak można czytać dla przyjemności.

- Od kogo te książki?

- Od Ronelle, paru innych dziewczyn, nie wiem. Masz. Waży chyba z tone.

- Dzięki.

Wzięła od niego torbę.

- Kazały mi powiedzieć, że wszystko będzie spoko.

Geneva zaśmiała się bez przekonania i jeszcze raz mu podziękowała, prosząc, żeby pozdrowił resztę klasy. Chłopak wyszedł. Geneva zajrzała do torby. Wyciągnęła książkę Laury Ingalls Wilder. Znów parsknęła śmiechem.

- Nie wiem, co im przyszło do głowy. Czytałam to chyba z siedem lat temu. - Wrzuciła książkę do torby. - W każdym razie to miło z ich strony.

- I pożytecznie - dodał znacząco Thom. - Obawiam się, że niewiele znalazłabyś tu do czytania. - Rhyme zerknął na niego z kwaśną miną. - Ciągłe nad nim pracuję. Zaczęliśmy od muzyki. Słucha teraz bardzo dużo muzyki. Nawet się odgraża, że sam napisze jakąś melodię. Ale czytanie beletrystyki? Tak daleko jeszcze nie zaszliśmy.

Geneva uśmiechnęła się do niego, dźwignęła ciężką torbę i poszła w stronę korytarza, a Rhyme

rzekł:

- Dzięki za publiczne pranie brudów, Thom. W każdym razie Geneva może teraz czytać do woli, co na pewno sprawi jej więcej przyjemności niż wysłuchiwanie twoich nudnawych komentarzy. A mój wolny czas... chyba nie mam go za dużo, bo próbuję łapać różnych morderców.

Utkwił wzrok w tablicach dowodów.

MIEJSCE:

DOM I GŁÓWNA KRYJÓWKA THOMPSONA BOYDA

Podobnie jak poprzednio, falafel i jogurt, ślady pomarańczowej farby.

Gotówka (zapłata za zlecenie?) 100 000 dolarów w nowych banknotach. Nie do wykrycia. Prawdopodobnie podjęte z banku w mniejszych kwotach.

Broń (pistolety, pałka, sznur) identyczna z użytą w poprzednich miejscach.

Kwas i cyjanek takie jak w poprzednich miejscach, brak znaczników producenta.

Brak telefonu komórkowego. Bilingi” telefonu stacjonarnego nieprzydatne.

Narzędzia takie same jak w poprzednich miejscach.

List z informacją, że G. Settle miała zginąć, bo była świadkiem przygotowań do napadu na dom jubilerski. Ślad czystego węgla - zidentyfikowanego jako pył diamentowy.

Wysłany do Parkera Kincaida w Waszyngtonie w celu analizy dokumentu.

Bomba domowej roboty, element pułapki. Odciski palców wskazują na Jona Earle’a Wilsona, skazanego konstruktora bomb. Poszukiwanie miejsca pobytu.

MIEJSCE: „POTTERS’ FIELD” (1868)

Gospoda w Gallows Heights - w XIX w. na Upper West Side, w mieszanej dzielnicy.

W „Potters’ Field” bywali podobno Boss Tweed i skorumpowani politycy nowojorscy.

Charles zjawił się tam 15 lipca 1868 r.

Gospoda spaliła się w wyniku wybuchu, przypuszczalnie tuż po wizycie Charlesa. Chciał ukryć swoją tajemnicę?

Ciało mężczyzny w piwnicy, przypuszczalnie zabitego przez Charlesa Singletona.

Strzał w czoło z colta Navy.36 załadowanego kulą kalibru.39 (taki rodzaj broni miał Charles).

Złote monety.

Mężczyzna był uzbrojony w derringera.

Tożsamość nieznana.

Miał sygnet z wygrawerowanym słowem „Winskinkie”.

Słowo w języku Indian Delaware oznacza „stróża” lub „dozorcę”.

Poszukiwanie innego znaczenia.

MIEJSCE:

WSCHODNI HARLEM (MIESZKANIE CIOTECZNEJ BABKI GENEYY)

Za pomocą papierosa i pocisku 9 mm skonstruował petardę, żeby odwrócić uwagę policji. Papieros marki Merit, nieustalone miejsce pochodzenia.

Ślady daktyloskopijne: żadnych. Tylko odciski rękawiczek.

Pułapka z trującym gazem.

Szklany słoik, folia, świecznik. Nie do wykrycia.

Cyjanek i kwas siarkowy. Brak znaczników. Nie do wykrycia.

Przezroczysty płyn podobny do znalezionej przy Elizabeth Street.

Ustalono, że to krople murine.

Drobiny pomarańczowej farby. Udaje robotnika budowlanego albo drogowego?

MIEJSCE:

KRYJÓWKA PRZY ELIZABETH STREET

Pułapka - drzwi pod wysokim napięciem.

Odciski palców: brak. Tylko odciski rękawiczek.

Kamera i monitor: brak tropów.

Talia tarota bez dwunastej karty: brak tropów.

Mapa z planem muzeum, gdzie zaatakowano G. Settle, i z planem budynków po drugiej stronie ulicy.

Ślady:

Falafel i jogurt.

Na biurku ślady czystego kwasu siarkowego.

Bezbarwny płyn, niewybuchowy. Przesłany do FBI.

Ustalono, że to krople murine.

Kolejne włókna sznura. Pętla?

Na papierze mapy czysty węgiel.

Ustalono, że to pył diamentowy.

Mieszkanie wynajęte za gotówkę przez Billy'ego Todda Hammila. Rysopis pasuje do portretu NS 109, brak tropów do konkretnego Hammila.

MIEJSCE:

MUZEUM AFROAMERYKAŃSKIE

Zestaw gwałciciela:

Karta tarota, dwunasta z talii, Wisielec, oznaczająca duchowe poszukiwania.

Torebka z uśmiechniętą buzią - producent nie do wykrycia.

Składany nóż.

Prezerwatywy Trojan.

Taśma izolacyjna.

Zapach jaśminu.

Nieznany przedmiot za 5.95 doi. Prawdopodobnie wełniana czapka.

Z paragonu wynika, że sklep był w Nowym Jorku, wielobranżowy lub drogeria.

Zakupy najprawdopodobniej zrobiono w sklepie na Mulberry Street w Little Italy. NS zidentyfikowany przez sprzedawczynię.

Odciski palców:

NS miał lateksowe lub winylowe rękawiczki.

Odciski na zestawie należały do osoby o małych dłoniach, brak danych w IAFIS. Przepuszczalnie odciski sprzedawczynie.

Ślady:

Bawełniane włókna sznura, część ze śladami ludzkiej krwi. Pętla?

Brak producenta.

Przesłany do CODIS.

Brak profilu DNA w CODIS.

Popcorn i wata cukrowa ze śladami psiego moczu.

Broń:

Drewniana pałka lub broń używana w sztukach walki.

North American Arms.22, amunicja magnum bocznego zapłonu, black widow lub mini-master.

Pociski własnej roboty, wydrążone i wypełnione igłami. Brak danych w IBIS i DRUGFIRE.

Motyw:

G. Settle była świadkiem przygotowań do napadu na budynek Amerykańskiej Giełdy Bizuterii naprzeciwko muzeum afroamerykańskiego.

Profil zdarzenia przesłany do VICAP i NCIC.

Morderstwo w Amarillo w Teksasie, pięć lat temu. Podobny sposób działania - upozorowane miejsce zbrodni (inscenizacja rytualnego mordy, prawdziwy motyw nieznany).

Ofiarą był emerytowany strażnik więzienny.

Portret pamięciowy NS przesłany do więzienia w Teksasie.

Zidentyfikowany jako Thompson G. Boyd, funkcjonariusz nadzorujący egzekucje.

Morderstwo w Ohio, trzy lata temu. Podobny sposób działania - upozorowane miejsce zbrodni (inscenizacja gwałtu, prawdziwy motyw to przypuszczalnie morderstwo na zlecenie). Brak akt.

PROFIL NS 109

Ustalono tożsamość: Thompson G. Boyd, były funkcjonariusz nadzorujący egzekucje z Amarillo w Teksasie.

Obecnie aresztowany.

PROFIL ZLECENIODAWCY NS 109

Brak informacji.

PROFIL WSPÓLNIKA NS 109

Czarny mężczyzna.

Wiek: około czterdziestki.

Wzrost: 180 cm.

Mocnej budowy ciała.

Ubrany w zieloną kurtkę wojskową.

Były skazaniec. Utyka.

Podobno uzbrojony.

Gładko ogolony.

Na głowie czarna bandana.

Oczekiwanie na dodatkowe zeznania świadków i taśmy z kamer wokół szkoły.

Brak czytelnego obrazu w zapisie wideo, taśma przesłana do analizy.

Stare buty robocze.

PROFIL CHARLESA SINGLETONA

Były niewolnik, przodek G. Settle. Żonaty, miał syna. Dostał od swojego pana sad w stanie Nowy Jork. Pracował także jako nauczyciel. Odegrał jakąś rolę w ruchu na rzecz praw obywatelskich. -

W 1868 r. Charles rzekomo popełnił kradzież, o czym mówi artykuł na skradzionej mikrofiszce.

Podobno znał tajemnicę, być może związaną ze sprawą. Bał się, że jej ujawnienie wywoła tragedię.

Brał udział w spotkaniach w dzielnicy Nowego Jorku, Gallows Heights.

Zaangażowany w jakąś niebezpieczną działalność?

Pracował z Frederickiem Douglasssem i innymi na rzecz ratyfikacji XIV Poprawki do Konstytucji.

Przestępstwo według relacji w „Coloreds’ Weekly Illustrated”:

Charles aresztowany przez det. Williama Simmsa za kradzież dużej kwoty z Funduszu Wyzwoleńców w Nowym Jorku. Włamał się do sejfu, widziany przez świadka krótko po zdarzeniu. Niedaleko znaleziono jego narzędzia. Większą część pieniędzy odzyskano. Został skazany na pięć lat więzienia. Brak informacji o jego losach po wyroku skazującym. Przypuszczano, że uzyskał dostęp do funduszu dzięki powiązaniom z działaczami na rzecz praw obywatelskich.

Korespondencja Charlesa:

List 1, do żony: na temat rozruchów związanych z poborem w 1863 r., fala wrogości przeciw czarnym w stanie Nowy Jork, lincze, podpalenie. Nieruchomości należące do czarnych znalazły się w niebezpieczeństwie.

List 2, do żony: Charles bierze udział w bitwie pod Appomattox pod koniec wojny secesyjnej.

List 3, do żony: zaangażowany w ruch na rzecz praw obywatelskich. Wskutek swojej działalności dostaje pogroźki. Martwi się ukrywaną tajemnicą.

List 4, do żony: poszedł do „Potters’ Field” szukać „sprawiedliwości”. Próba zakończyła się katastrofą. Przyczyną jego rozpacz jest tajemnica.

Rozdział 34

Jax znów grał rolę bezdomnego, choć tym razem nie miał wózka sklepowego.

W tym momencie nie udawał psychologa jak poprzednio. Król Graffiti odstawił typowego weterana, uzalającego się nad sobą i żebrzącego o parę groszy. Na oblepionym gumą do żucia chodniku leżała przed nim sfatygowana czapka Metsów, w której podzwaniało - niech was Bóg błogosławi - trzydzieści siedem centów.

Pieprzone skąpiradła.

Jax nie miał już na sobie oliwkowozielonej kurtki wojskowej ani szarej bluzy, tylko czarną koszulkę i powycieraną beżową kurtkę (wygrzebaną ze śmieci, jak przystało na bezdomnego). Siedział na ławce naprzeciw domu w Central Park West, ściskając w dłoni opakowaną w poplamiony brązowy papier puszkę. Powinno być w niej słodowe piwo, pomyślał z goryczą. Wolałby. Była to jednak mrożona herbata Arizona. Odchylony do tyłu wyglądał, jak gdyby się zastanawiał, jaką robotę warto by podłapać, ale także rozkoszował się chłodnym jesiennym dniem. Popijał słodki brzoskwiniowy napój i palił papierosa, wydmuchując dym w niewiarygodnie błękitne niebo.

Patrzył na zbliżającego się chłopaka ze szkoły Langstona Hughesa, który przed chwilą wyszedł z domu w Central Parku, gdzie poszedł zanieść torbę dla Genevy Settle. Nadal nie było widać nikogo, kto obserwowałby ulicę od wewnątrz budynku, co nie znaczyło, że nikogo tam nie ma. Poza tym na ulicy, tuż przy podejździe dla wózków, stał radiowóz i nieoznakowany samochód policyjny. Jax

czekał kawalek dalej, aż chłopak doręczy przesyłkę.

Chudy dzieciak klapnął na ławce obok niezupełnie bezdomnego krwawego Króla Graffiti.

- Hej.

- Dałeś jej torbę?

- Co to za koleś bez nóg? - Kto?

- Koleś z tego domu nie ma nóg. Albo i ma, ale są do kitu.

Jax nie wiedział, o czym dzieciak gada. Wolałby posłać tam kogoś bardziej rozgarniętego, ale pod szkołą Langstona Hughesa nie udało mu się znaleźć nikogo innego, kto miał jakikolwiek związek z Geneva Settle, podobno ją znała siostra chłopaka. - Dałeś jej torbę?

- No, dałem.

- Co powiedziała?

- Nie wiem. Coś tam. Że dziękuje czy coś.

- Uwierzyła ci?

- Najpierw jakby mnie nie poznała, a potem spoko. Jak powiedziałem o siostrze.

Dał chłopakowi kilka banknotów.

- Git... ej, jakbym miał się jeszcze do czegoś przydać, to...

- Spadaj stąd.

Dzieciak wzruszył ramionami i podniósł się z ławki.

- Czekał - powiedział Jax.

Chłopak zatrzymał się w pół kroku i odwrócił.

- Jaka była?

- Laska? Znaczący, jak wyglądała?

Nie, to go nie interesowało. Ale Jax nie bardzo wiedział, jak sformułować pytanie. Po chwili uznał, że nie będzie o nic pytać. Pokręcił głową.

- Możesz iść.

- Na razie.

Chłopak oddalił się rozkołysanym krokiem.

Jakiś głos podpowiadał Jaksowi, że powinien zostać na miejscu. Ale to byłoby głupie. Lepiej trzymać się z daleka od domu. Tak czy inaczej niedługo będzie wiedział, czy dziewczyna przejrzała zawartość torby.

Geneva siedziała wygodnie na łóżku i zamknawszy oczy, zastanawiała się, dlaczego tak dobrze się czuje.

Przede wszystkim dlatego, że złapali mordercę. Ale to nie mógł być jedyny powód jej dobrego samopoczucia, ponieważ na wolności wciąż chodził człowiek, który go wynajął. No i ten z bronią spod szkoły - mężczyzna w wojskowej kurtce.

Powinna być przerażona i przygnębiona.

Ale nie była. Przepęłniał ją spokój i dziwna euforia.

Dlaczego?

Nagle rozumiała: bo wyjawiała swoją tajemnicę. Zrzuciła z serca ciężar, mówiąc prawdę o swoim samotnym mieszkaniu, o rodzicach. I nikogo nie zszokowało ani nie zbulwersowało jej kłamstwo. Pan Rhyme i Amelia nawet okazali jej życzliwość, tak samo detektyw Bell. Nie zaczęli panikować, nie wyspali jej przed psychologiem.

Cudowne uczucie. Ciężko było żyć z tajemnicą - pewnie tak jak Charlesowi (cokolwiek ukrywał). Gdyby były niewolnik wyjawił komuś swój sekret, może uniknąłby późniejszych cierpień? Z listu wynikało, że tak właśnie uważał.

Geneva zerknęła na torbę z książkami, które przysłały jej koleżanki ze szkoły. Ciekawość wzięła górę i dziewczyna postanowiła je przejrzeć. Postawiła torbę na łóżku. Tak jak mówił brat Ronelle, ważyła chyba z tonę.

Wyciągnęła książkę Laury Ingalls Wilder. Potem następną: widząc tytuł, głośno się roześmiała. Była to książka z serii o nastoletniej detektyw Nancy Drew. Co to za głupi numer? Zerknęła na pozostałych autorów: Judy Blume, Dr. Seuss, Pat McDonald. Książki dla dzieci i nastolatków. Wspaniali pisarze, znała wszystkich, ale czytała to wszystko wiele lat temu. O co chodzi? Czy Ronelle i jej koleżanki jej nie znały? Ostatnio czytała przecież powieści dla dorosłych: „Okrychy dnia” Kazuo Ishigury i „Kochankę Francuza” Johna Fowlesa. „Kto zje zielone jajka sadzone?” Dr. Seussa czytała dziesięć lat temu.

Może na dnie będzie coś lepszego. Sięgnęła w głąb torby.

Wzdrygnęła się, słysząc pukanie do drzwi.

- Proszę.

Wszedł Thom, niosąc na tacy pepsi i coś do przegryzienia.

- Pomyślałem, że będziesz miała ochotę na małe co nieco. - Otworzył napój i chciał nalać do szklanki, ale Geneva przecząco pokręciła głową.

- Może być z puszki - powiedziała. Chciała zachować wszystkie puste puszki, żeby wiedzieć, ile dokładnie będzie wynosił jej dług wobec pana Rhyme'a.

- I... zdrowa żywność. - Podał jej batonik KitKat i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Może później. - Wszyscy starali się ją podtuczyć. Ale Geneva nie była przyzwyczajona do jedzenia. Jadło się przy stole z rodziną, a nie siedząc samotnie przy chybottliwym stoliku w suterenie, czytając książkę albo robiąc notatki do pracy o Hemingwayu.

Geneva sączyła pepsi, a Thom zabrał się do wypakowywania książek. Wyciągał je po kolei. Powieść S. C. Lewisa. Potem „Tajemniczy ogród”.

Wciąż nie było nic dla dorosłych.

- Na dnie jest jakaś wielka cegła - powiedział, wyciągając ją. Była to pierwsza z serii książek o Harrym Potterze. Geneva przeczytała ją, kiedy się tylko ukazała.

- Chcesz? - spytał Thom. Zawahała się przez chwilę.

- Pewnie.

Asystent Rhyme'a podał jej opasłe tomisko.

Pojawił się jakiś czterdziestokilkuletni mężczyzna uprawiający jogging w parku. Zerknął na Jaksę, bezdomnego weterana ubranego w wygrzebaną ze śmieci kurtkę, z ukrytym na kostce pistoletem i trzydziestoma siedmioma centami jałmużny w kieszeni.

Biegacz minął go z nieruchomą twarzą. Ale minimalnie zmienił kurs, by za blisko nie podchodzić do muskularnego Murzyna. Był to subtelny, niemal niezauważalny manewr, ale dla Jaksy tak wyraźny, jakby facet zatrzymał się, odwrócił i uciekł, krzycząc: „Nie zbliżaj się do mnie, czarnuchu!”.

Miał dość tych rasowych bzdur, dość zabawy w odwiecznego berka. Wciąż to samo. Czy to się kiedykolwiek zmieni?

Tak. Nie.

Kto, u diabła, mógł wiedzieć?

Jax pochylił się od niechcienia i poprawił przytroczony do nogi pistolet, który go uwierał, po czym ruszył dalej, lekko utykając.

- Ej, masz drobne? - usłyszał za plecami czyjś głos.

Obejrzał się i trzy metry za sobą zobaczył wysokiego przygarbionego mężczyznę o bardzo ciemnej skórze. Facet powtórzył:

- Masz jakieś drobne?

Zignorował żebraka, myśląc: Śmieszne, cały dzień udawałem bezdomnego, a tu zjawia się prawdziwy. Dobrze mi tak.

- Ej, nie masz drobnych?

- Nie, nie mam - odrzekł szorstko.

- Daj spokój. Każdy ma jakieś klepaki. I nie cierpi ich nosić. Każdy by się ich chętnie pozbył, bo są ciężkie i gówno za nie można kupić. Człowieku, chcę ci pomóc.

- Spadaj.

- Od dwóch dni nie jadłem.

Jax obrzucił go przelotnym spojrzeniem i warknął:

- Jasne, że nie jadłeś. Całą kasę przepuściłeś na ciuchy od Calvina Kleina. - Popatrzył na strój mężczyzny - brudny, ale całkiem ładny błękitny dres Adidasa. - Znajdź sobie jakąś robotę. - Odwrócił się i ruszył w głąb ulicy.

- Dobra - powiedział kloszard. - Nie chcesz mi dać drobnych, to może dasz mi rączki?

- Rącz...?

Nagle coś podcięło Jaksowi nogi i runął twarzą na chodnik. Zanim zdążył się odwrócić i sięgnąć po broń, miał obie ręce na plecach, a za uchem dźgnęła go lufa dużego pistoletu.

- Kurwa, co ty wyprawiasz?

- Zamknij się. - Ręce kloszarda obszukały go i odnalazły schowany pistolet. Szczęknęły kajdanki i Jax został sprowadzony do pozycji siedzącej. Zobaczył legitymację FBI. Agent miał na imię Frederick. Na nazwisko Dellray.

- O nie - jęknął głucho Jax. - Tylko nie to.

- Wiesz, synu, to jeszcze nie wszystko. Lepiej się zacznij przyzwyczajać. - Agent wstał i po chwili Jax usłyszał: - Tu Dellray. Jestem przed domem. Chyba mam koleżkę Boyda. Przed chwilą widziałem, jak dawał kasę jakiemuś dzieciakowi, który wyszedł od Lincolna. Czarnemu, jakieś trzynaście lat. Co tam robił?... Torbę? Cholera, to pułapka! Pewnie gaz. Boyd dał mu to i kazał podrzucić do środka. Wygońcie wszystkich z domu, nadajcie dziesięć trzydzieści trzy... I niech ktoś

biegnie po Genčve!

Muskularny mężczyzna siedział w laboratorium Rhyme'a w kajdankach i z nogami skutymi w kostkach, otoczony przez Dellraya, Rhyme'a, Bella, Sachs i Sellitta. Odebrano mu pistolet, portfel, nóż, klucze, komórkę, papierosy i pieniądze.

Przez pół godziny w domu Lincolna Rhyme'a panował chaos. Bell i Sachs dosłownie porwali Geneve, wsadzili do samochodu Bella i natychmiast odwieźli, na wypadek gdyby na ulicy czatował kolejny napastnik. Pozostałych ewakuowano do alejki przy budynku. Na górę weszli pirotechnicy w kombinezonach przeciwchemicznych, aby prześwietlić książki i sprawdzić, czy nie kryją się w nich jakieś chemikalia. Nie znaleźli żadnego ładunku wybuchowego i żadnego gazu. Były to zwykłe książki, które, jak podejrzewał Rhyme, podrzucono właśnie po to, aby pomyśleli, że w torbie jest bomba. Po ewakuacji domu wspólnik Boyda mógłby się wśliznąć przez tylne drzwi albo wejść w przebraniu strażaka lub policjanta i czekać na stosowną okazję, by zabić Geneve.

A więc to był człowiek, o którym słyszał wczoraj Dellray i któremu o mały włos nie udało się dopaść Genevy na boisku szkolnym. Który się dowiedział, gdzie mieszka dziewczyna i śledził ją aż do domu Rhyme'a, żeby przeprowadzić jeszcze jedną próbę zamachu.

Rhyme miał nadzieję, że ten człowiek powie im, kto dał zlecenie Boydowi.

Kryminalistyk obrzucił go uważnym spojrzeniem. Rosły mężczyzna o ponurej twarzy zamienił kurtkę wojskową na postrzępioną beżową wiatrówkę, obawiając się prawdopodobnie, że wczoraj pod szkołą policja zwróciła uwagę na jego strój.

Wbił wzrok w podłogę, upokorzony aresztowaniem, ale najwyraźniej nie bał się otaczających do półkolem policjantów.

- Proszę posłuchać, ja naprawdę... - zaczął.

- Cii - przerwał mu groźnie Dellray, po czym wrócił do przeglądania zawartości jego portfela, relacjonując pozostałym przebieg wydarzeń. Agent szedł do nich, żeby przekazać im raporty ze śledztwa FBI w sprawie prania brudnych pieniędzy w dzielnicy brylantowej, gdy zobaczył nastolatka wychodzącego z domu Rhyme'a.

- Zobaczyłem, jak to bydlę daje dzieciakowi pieniądze, a potem podnosi tyłek z ławki i odchodzi. Facet utykał, rysopis też się zgadzał. Wydawał mi się dziwny, zwłaszcza gdy zauważyłem zdeformowaną kostkę. - Dellray wskazał małą trzydziestkędwójkę, którą znalazł w jego skarpetce. Opowiedział, jak zdjął kurtkę, owinął nią dokumenty i ukrył w krzakach, a potem wysmarował dres błotem, upodabiając się do bezdomnego - była to rola, którą zaskoczył w Nowym Jorku, kiedy pracował jako tajniak. W takim przebraniu zaskoczył go i aresztował.

- Pozwólcie mi coś powiedzieć - zaczął wspólnik Boyda. Dellray pogroził mu długim palcem. - Jak będziemy mieli ochotę posłuchać twojego głosiku, damy ci znać. Rozumiemy się?

- Ale...

- Ro-zu-mie-my? Pośepnie skinął głową.

Agent FBI pokazał im, co znalazł w portfelu: pieniądze, kilka fotografii rodzinnych i wyblakłe, sfatygowane zdjęcie.

- Co to jest? - zapytał.

- Mój tag.

Agent pokazał fotografię Rhyme'owi. Przedstawiała starą kolejkę nowojorskiego metra. Kolorowe graffiti na boku wagonu układało się w napis „Jax 157”.

- Grafficiarz - powiedziała Sachs, unosząc brew. - Niezła robota.

- Dalej używasz ksywki Jax? - spytał Rhyme.

- Zwykle tak.

Dellray pokazał im dokument ze zdjęciem.

- Dla personelu metra być może jesteś Jax, ale reszta świata zna cię jako Alonza Jacksona. Tudzież pod innym prześwietnym mianem więźnia numer dwa dwa zero dziewięć trzy cztery z Departamentu Więziennictwa w pięknym mieście Alden, w stanie Nowy Jork.

- Buffalo, zgadza się? - zapytał Rhyme. Wspólnik Boyda przytaknął.

- Znowu więzienie. Stamtąd go znasz?

- Kogo?

- Thompsona Boyda.

- Nie znam żadnego Boyda.

- To kto ci zlecił robotę? - warknął Dellray.

- Nie wiem, o co pan pyta. O jaką robotę. Przysięgam, że... - Wyglądał, jakby naprawdę nie rozumiał. - I to gadanie o gazie i tak dalej, naprawdę...

- Szukałeś Genevy Settle. Kupiłeś broń i wczoraj zjawiłeś się pod szkołą - zauważył Sellitto.

- Tak, zgadza się. - Był zdumiony, ile wiedzą.

- A teraz zjawiłeś się tutaj - dodał Dellray. - Dlatego strząpimy sobie języki. O tę robotę chodzi.

- Nie ma żadnej roboty. Nie wiem, o czym pan mówi. Naprawdę.

- A te książki? - spytał Sellitto.

- Czytała je moja córka, kiedy była mała. Miały być dla niej.

- Wspaniale - mruknął agent. - Wy tłumacz nam tylko, po co zapłaciłeś, żeby je przynie... - Urwał i zmarszczył brwi. Po raz pierwszy Fredowi Dellrayowi zabrakło słów.

- To znaczy, że... - zaczął Rhyme.

- Tak. - Jax westchnął. - Geneva. Moja córeczka.

Rozdział 35

Od początku - zarządził Rhyme.

- Dobrze. Przymknęli mnie sześć lat temu. Dostałem dziewiątkę z możliwością warunku po sześciu i trafiłem do Wende.

Był to zakład w Buffalo o najostrzejszym rygorze.

- Za co? - warknął Dellray. - Podobno napad z bronią i morderstwo.

- Punkt pierwszy, napad z bronią w rękę. Punkt drugi, posiadanie broni. Punkt trzeci czynna napaść.

- A dwadzieścia pięć dwadzieścia pięć? Morderstwo?

- To nie był porządny zarzut - oświadczył stanowczo. - Spuścili do napaści. Poza tym wcale tego nie zrobiłem.

- Jakbym to już słyszał - mruknął Dellray.

- Ale masz na sumieniu rabunek? - spytał Sellitto. Skrzywił się.

- Mam.

- Mów dalej.

- W zeszłym roku przenieśli mnie do Alden, zmniejszony rygor, pozwolenie na pracę. Pracowałem i chodziłem do szkoły. Siedem tygodni temu dostałem warunek.

- Opowiedz o tym napadzie.

- Dobra. Parę lat temu byłem malarzem w Harlemie.

- Graffiti? - zapytał Rhyme, wskazując głową zdjęcie wagonu metra. Jax parsknął krótkim śmiechem i wyjaśnił:

- Malarzem pokojowym. Z graffiti nie można żyć, chyba że się jest Keithem Haringiem albo

kimś takim. Ale to byli fajansiarze. W każdym razie tkwiłem po uszy w długach. Bo Venus - matka Genevy - miała kłopoty. Najpierw były prochy, potem hera, a potem crack. Potrzebowaliśmy pieniędzy na kaucje i adwokatów.

Jego przygnębienie wydawało się autentyczne.

- Już kiedyśmy się spotkali, wyglądała na dziewczynę z problemami. Ale wie pan, zakochany człowiek jest ślepy i głupi. W każdym razie mieli nas wyrzucić z mieszkania, brakowało mi na ubranie i książki dla Genevy, czasem nawet na jedzenie. Mała musiała mieć normalne życie. Pomyślałem sobie, że jak mi się uda zdobyć trochę franklinów, będzie można załatwić Venus jakąś terapię, żeby wyszła na prostą. A jak nic z tego nie wyjdzie, zabiorę Geneve i będzie miała porządny dom.

No i raz kumpel, Joey Stokes, powiedział mi, że w Buffalo szykuje się jakaś okazja. Podobno w każdą sobotę jeździła pancerna furgonetka z grubą kasą i zbierała utarg z centrów handlowych za miastem. Dwóch leniwych konwojentów. To miała być kaszka z mleczkiem.

W sobotę rano wyjechaliśmy z Joeyem i myśleliśmy, że wieczorem będziemy mieli po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy na głowę. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Nie wiem, po co posłuchałem tego fajansiarza. Jak tylko kierowca dał nam kasę, wszystko zaczęło się sypać. Włączył jakiś ukryty alarm, o którym nie mieliśmy pojęcia. Zaraz potem usłyszeliśmy syreny.

Pojechaliśmy na południe, ale trafiliśmy na przejazd kolejowy. Wcześniej go nie zauważyliśmy. Akurat zatrzymali tam pociąg towarowy. Zawróciliśmy i zaczęliśmy jeździć różnymi drózkami, których nie było na mapie. Musieliśmy wjechać na pole. Złapaliśmy dwie gumy i zaczęliśmy uciekać na piechotę. Pół godziny później znalazły nas gliny. Joey powiedział, że nie zgarną nas bez walki, ale ja się nie zgodziłem i zawołałem, że się poddamy. Ale Joey się wściekł i postrzelił mnie w nogę. Stanowi pomyśleli, że strzelamy do nich. No i stąd zarzut o usiłowanie morderstwa.

- Zbrodnia nie popłaca - zauważył filozoficznie Dellray.

- Przez tydzień trzymali nas na dołku i dopiero po dziesięciu dniach pozwolili mi zadzwonić. Ale i tak nie mogłem się dodzwonić do Venus, bo odcięli nam telefon. Dali mi obrońcę z urzędu, dzieciaka, który gównem mi pomógł. Dzwoniłem do znajomych, ale nikt nie mógł znaleźć Venus ani Genevy. Wyrzucili je z mieszkania.

W więzieniu pisałem listy, ale wracały. Dzwoniłem do wszystkich. Chciałem ją znaleźć! Krótko przedtem matka Genevy straciła drugie dziecko. A ja poszedłem siedzieć i straciłem Geneve. Chciałem odzyskać rodzinę.

Po wypisie przyjechałem jej szukać. Wydałem nawet kasę na stary komputer, żeby zobaczyć, czy nie znajdę jej przez Internet. Miałem jednak pecha. Dowiedziałem się tylko, że Venus nie żyje, a Geneva zniknęła. Łatwo się zgubić w Harlemie. Nie mogłem też znaleźć ciotki, u której podobno pomieszkiwała. I wczoraj rano jedna moja dawna znajoma zobaczyła to zamieszanie pod muzeum na środkowym Manhattanie, usłyszała, że była napaść na jakąś dziewczynę, że ma na imię Geneva, ma szesnaście lat i mieszka w Harlemie. Wiedziała, że szukam córki i zadzwoniła. Spiknąłem się z

jednym fajansiarzem, co się kręci po górnym Manhattanie, i powiedziałem mu, żeby sprawdził w szkołach. Dowiedział się, że mała chodzi do Langstona Hughesa. Poszedłem jej poszukać.

- I zauważono cię przy boisku - odezwał się Sellitto.

- Zgadza się, byłem tam. Kiedy policja się na mnie rzuciła, uciekłem. Ale wróciłem i od jednego chłopaka dowiedziałem się, że Geneva mieszka w zachodnim Harlemie, niedaleko Morningside. Poszedłem tam dzisiaj i chciałem zostawić książki, ale zobaczyłem, jak wsadza ją pan do samochodu - dodał, zwracając się do Bella.

Detektyw zmarszczył brwi.

- Miałeś wózek.

- Tak, odstawiałem bezdomnego. Potem wsiadłem do taksówki i przyjechałem za wami tutaj.

- Z bronią - zauważył Bell.

- Ktoś próbował skrzywdzić moją małą! - odburknął. - No dobra, kupiłem gnata. Nie mogłem pozwolić, żeby ktoś jej zrobił krzywdę.

- Używałeś broni? - zapytał Rhyme. - Nie.

- I tak sprawdzimy.

- Wyciągnąłem ją tylko, żeby postraszyć tego dzieciaka, który mi pokazał, gdzie Geneva mieszka. Gówniarz miał na imię Kevin i źle się wyrażał o mojej córce. Nic mu się nie stało, tylko kiedy do niego wycelowałem, zlał się w spodnie... zresztą zasłużył sobie na to. Nie zrobiłem mu krzywdy - tylko spuściłem mu małe manto. Sami możecie go spytać.

- Jak się nazywa kobieta, która wczoraj do ciebie dzwoniła?

- Betty Carlson. Pracuje obok muzeum. - Wskazał swoją komórkę. - Jej numer jest na liście odebranych połączeń. Siedem zero osiem - to kierunek.

Sellitto wziął telefon i wyszedł na korytarz.

- A twoja druga rodzina w Chicago?

- Druga? - Zmarszczył brwi.

- Matka Genevy mówiła, że wyjechałeś z kimś do Chicago i ożeniłeś się - wyjaśniła Sachs.

Wzburzony Jax zamknął oczy.

- Nie, nie... to kłamstwo. Nigdy nawet nie byłem w Chicago. Venus musiała jej to powiedzieć, żeby ją zbuntować przeciwko mnie... Dlaczego zakochałem się w takiej kobiecie?

Rhyme zerknął na Coopera.

- Zadzwoń do Departamentu Więziennictwa.

- Nie, proszę - błagał z rozpaczą w głosie Jax. - Wsadzą mnie z powrotem. Nie mogę się oddalać od Buffalo na więcej niż czterdzieści kilometrów. Dwa razy prosiłem o pozwolenie wyjazdu i dwa razy mi odmówili. Ale i tak przyjechałem.

Cooper zamyślił się nad tym.

- Mogę go sprawdzić w ogólnej bazie danych. To będzie wyglądać na rutynową kontrolę. Kurator niczego się nie dowie.

Rhyme skinął głową. Po chwili na ekranie pojawiło się zdjęcie Alonza Jacksona i jego dane z kartoteki. Cooper przeczytał informacje z bazy.- Wszystko się potwierdza. Zwolnienie za dobre sprawowanie. Zaliczył nawet rok college'u. I jest wzmianka o córce, Genevie Settle, jako najbliższej krewnej.

- Dzięki - rzekł z ulgą Jax.

- A te książki?

- Nie mogłem tak po prostu przyjść i powiedzieć, kim jestem - wsadziliby mnie z powrotem - no to zdobyłem parę książek, które czytała Geneva, gdy była mała. Żeby wiedziała, że list jest naprawdę ode mnie.

- Jaki list?

- Napisałem do niej list i włożyłem do jednej książki.

Cooper poszperał w torbie. Między kartkami zniszczonego egzemplarza „Tajemniczego ogrodu” tkwiła kartka ze starannie napisaną wiadomością: „Kochana Gen, to od Twojego ojca. Proszę, zadzwoń do mnie”. Pod spodem widniał jego numer telefonu.

W drzwiach laboratorium ukazał się Sellitto. Skinął głową.

- Rozmawiałem z tą Carlson. Potwierdziła wszystko, co powiedział.

- Matka Genevy nie była twoją żoną - rzekł Rhyme. - To dlatego Geneva nie nosi twojego nazwiska?

- Zgadza się.

- Gdzie mieszkasz? - spytał Bell.

- Mam pokój w Harlemie. Na Sto Trzydziestej Szóstej. Chciałem pojechać z Geneva do Buffalo i poczekać, aż pozwolą mi wrócić do domu. - Jego twarz znieruchomiała i Rhyme ujrzał w jego

oczach autentyczną, bezbrzeżną rozpacz. - Ale teraz na pewno nic z tego nie będzie.

- Dlaczego? - zapytała Sachs. Jax uśmiechnął się ze smutkiem.

- Zobaczyłem jej dom przy Morningside. Ucieszyłem się, naprawdę się ucieszyłem. Ma pewnie porządných rodziców, którzy się o nią troszczą, może brata albo siostrę. Zawsze chciała mieć rodzeństwo, ale po tym, co zrobili z Venus w klinice, już nigdy nic z tego nie wyszło. Po co Geneva miałaby ze mną wyjeżdżać? Ma życie, na jakie zasługuje, ma wszystko, czego nigdy nie mógłbym jej dać.

Rhyme wymownie zerknął na Sachs. Jax tego nie zauważył. Jego opowieść wydawała się wiarygodna, ale Rhyme jako policjant do wszystkiego odnosił się ze sceptycyzmem.

- Chciałbym ci zadać kilka pytań.

- Słucham

- Kim jest ciotka, o której wspomniałeś?

- To siostra mojego ojca, Lilly Hall. Pomagała mnie wychowywać. Podwójna wdowa. W tym roku w sierpniu skończyła dziewięćdziesiąt lat. Jeżeli jeszcze żyje.

Rhyme nie miał pojęcia, ile staruszka ma lat i kiedy obchodzi urodziny, ale rzeczywiście takie nazwisko podała im Geneva.

- Owszem, żyje.

Jax uśmiechnął się na tę wiadomość.

- Cieszę się. Tęskniłem za nią. Jej też nie mogłem znaleźć.

- Mówiłeś kiedyś Genevie o zwracaniu się do obcych „proszę pana” - odezwał się Bell. - Co konkretnie jej powiedziałaś?

- Mówiłem, nawet kiedy była mała, żeby zawsze patrzyła ludziom w oczy i była grzeczna, ale żeby nigdy nie zwracała się do nikogo „proszę pana” albo „proszę pani”, jeżeli sobie nie zasłużą na jej szacunek.

Detektyw zerknął na Rhyme'a i Sachs, po czym lekko skinął głową.

- Kto to jest Charles Singleton? - zapytał kryminalistyk. Jax spojrzał na niego zaskoczony.

- Skąd o nim wiecie?

- Odpowiedz na pytanie, gadzie - warknął ostrzegawczo Dellray.

- To mój prapraprapradziadek czy coś.

- Mów dalej - zachęcił Rhyme.

- Był niewolnikiem w Wirginii. Pan uwolnił go, a także jego żonę i dał im farmę na północy. Potem Charles zgłosił się do wojska i walczył na wojnie secesyjnej, tak jak w tym filmie „Chwała”. Po wojnie wrócił do domu, pracował w sadzie i uczył w szkole - w bezpłatnej szkole afrykańskiej. Zarabiał, sprzedając cydr robotnikom, którzy budowali łodzie przy tej samej drodze, gdzie stała farma. Wiem, że został odznaczony. I raz nawet spotkał się z Abrahamem Lincolnem w Richmondzie. Zaraz kiedy wojska Unii zajęły miasto. Tak w każdym razie opowiadał mi ojciec. - Znów zaśmiał się ze smutkiem. - Potem była ta historia z aresztowaniem za kradzież jakiegoś złota czy wypłat i poszedł do więzienia. Tak jak ja.

- Wiesz, co się z nim stało, kiedy wyszedł?

- Nie. O tym nigdy nic nie słyszałem. To jak, wierzycie mi, że jestem ojcem Genevy?

Dellray zerknął na Rhyme'a, pytająco unosząc brew. Kryminalistyk zmierzył Jaksę badawczym spojrzeniem.

- Prawie. Jeszcze tylko jedno. Otwórz usta.

- Pan jest moim ojcem?

Zaskoczona i oszołomiona wiadomością Geneva Settle czuła, jak wali jej serce. Przyglądała mu się uważnie, przesuwając wzrok po jego twarzy, ramionach, dłoniach. Jej pierwszą reakcją było niedowierzanie, ale nie mogła zaprzeczyć, że go poznaje. Wciąż nosił sygnet z granatem, który jej matka, Venus, dała mu na Boże Narodzenie - kiedy jeszcze obchodzili Boże Narodzenie. We wspomnieliach ten człowiek jawił się jednak niewyraźnie, jak obraz kogoś widzianego na tle słońca.

Mimo że zobaczyła jego prawo jazdy, własne zdjęcie jako małego dziecka i zdjęcie swojej matki oraz fotografię jego graffiti z dawnych czasów, nadal nie chciała się przyznać, że coś ich może łączyć, dopóki pan Cooper nie przeprowadził testu DNA. Nie było wątpliwości, że są rodziną. Byli sami na górze - sami, jeśli nie liczyć detektywa Bella, który nie odstępował jej jak cień. Pozostali policjanci na dole usiłowali ustalić, kto może planować napad na dom jubilerski.

Ale na razie pan Rhyme, Amelia i reszta - a także morderca i wszystkie straszne wydarzenia ostatnich dni - zeszli na dalszy plan. Geneve dręczyły inne pytania: Jak jej ojciec się tu dostał? I po co?

A najważniejsze brzmiało: co to dla mnie oznacza?

Sięgnęła do torby i wyciągnęła książkę Dr. Seussa.

- Nie czytam już książek dla dzieci. - Nie wiedziała, co powiedzieć. - Dwa miesiące temu skończyłam szesnaście lat. - W ten sposób chciała mu przypomnieć o wszystkich spędzonych samotnie urodzinach.

- Przyniosłem ci je, żebyś wiedziała, że to ja. Wiem, że jesteś już na nie za duża.

- A twoja druga rodzina? - spytała chłodno. Jax pokręcił głową.

- Słyszałem, co Venus ci mówiła, Genie.

Rozzłościła się, słysząc zdrobnienie, jakiego używał przed laty. Stanowiło skrót „Genevy” i „geniusza”.

- Wymyśliła to sobie. Żeby cię nastawić przeciwko mnie. Nie, nie, Genie, nigdy bym cię nie zostawił. Zostałem aresztowany.

- Aresztowany?

- To prawda - włączył się Roland Bell. - Widzieliśmy kartotekę. Został aresztowany tego dnia, kiedy zostawił ciebie i matkę. Od tamtej pory siedział w więzieniu. Dopiero teraz wyszedł.

Jax opowiedział jej o napadzie, o desperackiej chęci zdobycia pieniędzy, żeby lepiej im się żyło, żeby pomóc jej matce.

Ale mówił to zmęczonym, bezbarwnym głosem. Wcisnął jej jedną z tysięcy podobnych historyjek, jakie często można było usłyszeć w dzielnicy. Dilerzy prochów, oszuści wyludzający zasiłki, złodzieje sklepowi, uliczni bandyci - wszyscy mówili to samo.

Zrobiłem to dla ciebie, skarbie...

Spojrzała na trzymaną w rękę książkę. Była używana. Ciekawe, kto miał ją dostać, kiedy była nowa? Gdzie byli rodzice, którzy dawno temu kupili ją swojemu dziecku? Siedzieli w więzieniu, zmywali naczynia, jeździli lexusami, robili operacje neurochirurgiczne?

A może jej ojciec ukradł książkę z jakiegoś antykwariatu?

- Przyjechałem po ciebie, Genie. Tak bardzo chciałem cię znaleźć. A potem ta straszna wiadomość od Betty, że ktoś cię zaatakował... Co się wczoraj stało? Kto cię chce zabić? Nikt mi nie chciał nic powiedzieć.

- Coś widziałam - odparła wymijająco, nie chcąc mu wyjawiać całej prawdy. - Być może jakieś przestępstwo. - Wolą, żeby rozmowa zmierzała w inną stronę. Spojrzała na niego i powiedziała bardziej okrutnie, niż zamierzała: - Wiesz, że mama nie żyje.

Przytaknął.

- Dowiedziałem się dopiero po przyjeździe. Ale wcale się nie dziwię. Miała mnóstwo problemów. Może jest teraz szczęśliwsza.

Geneva miała inne zdanie. Żaden raj nie mógłby wynagrodzić tak bolesnej i samotnej śmierci. Kiedy matka umierała, miała skurczone ciało i twarz rozdętą jak żółty księżyc.

I żaden raj nie mógłby jej wynagrodzić wcześniejszych nieszczęść - kiedy za parę działek cracku dawała się pieprzyć na schodach, podczas gdy jej córka czekała pod drzwiami.

Geneva nie wspomniała o tym ani słowem.

Uśmiechnął się do niej.

- Masz bardzo ładny dom.

- Już tam nie mieszkam.

- Nie? To gdzie?

- Jeszcze nie wiem.

Pozałowała tych słów. Zdała sobie sprawę, że sama umożliwiła mu następny ruch. I jak się można było spodziewać, skorzystał z okazji.

- Jeszcze raz zapytam kuratora, czy mogę tu przyjechać. Jeżeli się dowie, że będę się musiał zająć rodziną, może się zgodzi.

- Nie masz tu już rodziny.

- Wiem, że jesteś na mnie zła, dziecko. Ale wynagrodzę ci to. Cisnęła książkę na podłogę.

- Sześć lat i ani słowa. Żadnego telefonu. Żadnego listu. - Wściekła poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Otarła je drżącymi dłońmi.

- A dokąd miałem pisać? - szepnął. - Gdzie miałem dzwonić? Przez całe sześć lat próbowałem się z tobą skontaktować. Pokażę ci gruby plik listów, jakie mi odesłali do więzienia. Chyba ze sto. Próbowałem wszystkiego, ale po prostu nie mogłem cię znaleźć.

- Dzięki za przeprosiny. Jeżeli to były przeprosiny. Ale chyba powinieneś już iść.

- Nie, dziecko, pozwól...

- Żadne „dziecko”. Żadna „Genie”, żadna „córka”.

- Wynagrodzę ci - powtórzył. Otarł oczy.

Widząc jego smutek, niczego nie poczuła. Niczego poza wściekłością.

- Wyjdź!

- Ależ, dziecko...

- Nie. Zostaw mnie!

Detektyw z Karoliny Północnej, fachowiec doskonale znający się na ochronie, jeszcze raz wykonał swoje zadanie spokojnie i bez wahania. Wstał i cicho, lecz stanowczo wyprowadził jej ojca na korytarz. Posłał dziewczynie pełen otuchy uśmiech i zamknął za sobą drzwi, pozostawiając Geneve samą.

Rozdział 36

Kiedy dziewczyna i jej ojciec byli na górze, Rhyme z zespołem analizował informacje o potencjalnych napadach na sklepy jubilerskie.

Ale bez powodzenia.

Materiały, które przyniósł Fred Dellray, na temat planów prania brudnych pieniędzy związanych z biżuterią, dotyczyły drobnych przestępstw popełnionych poza środkowym Manhattanem. Nie mieli też żadnych raportów z Interpolu ani lokalnych organów ścigania, w których znalazłyby się jakieś istotne dla sprawy informacje.

Zawiedzony kryminalistyk pokręcił głową, gdy nagle zadzwonił telefon.

- Tu Rhyme.

- Lincoln? Mówi Parker.

Ekspert grafolog, który analizował list znaleziony w kryjówce Boyda. Parker Kincaid i Rhyme wypyтали się nawzajem o zdrowie i rodzinę. Rhyme dowiedział się, że partnerka Kincaida, agentka FBI Margaret Lukas, a także jego dzieci, Stephanie i Robby, mają się doskonale.

Kiedy przywitała się z nim Sachs, Kincaid przystąpił do rzeczy.

- Zacząłem pracować nad tym listem, kiedy tylko przysłaliście mi skan. Mam profil autora.

Prawdziwa analiza grafologiczna nie ma na celu określenia cech osobowości na podstawie charakteru pisma; pismo jest istotne tylko wówczas, gdy porównuje się dwa dokumenty, na przykład w razie podejrzeń o fałszerstwo. To jednak w tym momencie nie interesowało Rhyme'a. Mówiąc o profilu, Parker Kincaid miał na myśli ustalenie cech charakterystycznych autora na podstawie języka - „specyficznego”, jak zauważył wcześniej Rhyme. Analiza bywała wyjątkowo przydatna w identyfikowaniu podejrzanych. Na przykład badanie gramatyki i składni listu z żądaniem okupu, jaki otrzymał Lindbergh, pozwoliło określić precyzyjny profil porywacza, Brunona Hauptmanna.

Z entuzjazmem, jaki zawsze było słycać w jego głosie, gdy mówił o pracy, Kincaid ciągnął:

- Znalazłem parę ciekawych szczegółów. Macie ten list pod ręką?

- Leży przed nami.

Czarna dziewczyna, piąte piętro w tym oknie, 2 października, około 0830. Widziała furgonetkę dostawczą, mój, jak był zaparkowany w alei za Geldą biżuterii. Widziała tyle żeby odgadnąć plany

moje. Zabij ją.

- Po pierwsze, autor jest cudzoziemcem - mówił Kincaid. - Widać to po nieporadnej składni i błędach ortograficznych. Jest jeszcze zapis godziny - według dwudziestoczworgodzinnego zegara - w Ameryce raczej rzadko spotykany. Następna ważna sprawa, napisał...

- Albo napisała - wtrącił Rhyme.

- Moim zdaniem to raczej mężczyzna - odparł Kincaid. - Zaraz wam powiem dlaczego. Otóż napisał „był zaparkowany”, mając na myśli furgonetkę. To słowo występuje w rodzaju męskim w kilku językach. Ale kluczowym fragmentem jest dwuczłonowa grupa rzeczownikowa w konstrukcji dzierżawczej.

- W czym? - zapytał Rhyme.

- W konstrukcji dzierżawczej - oznaczającej przynależność. Twój sprawca napisał w pewnym miejscu „furgonetkę dostawczą, mój”.

Rhyme zerknął na list.

- Mam.

- Ale potem napisał „plany moje”. To mi nasuwa wniosek, że jego ojczystym językiem jest arabski.

- Arabski?

- Z dziewięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem. W arabskim jest konstrukcja dopełniaczowa zwana *idafah*. Formę dzierżawczą tworzy się zwykle, mówiąc „samochód John”, co oznacza „samochód Johna”. Albo, jak w liście, „plany moje”. Ale zasady gramatyki arabskiej wymagają, żeby określić posiadaną rzecz tylko jednym słowem - „furgonetka dostawcza” byłaby niepoprawna w arabskim. To dwuczłonowa fraza, więc w tym wypadku nie można użyć *idafah*. Pisze więc po prostu „furgonetkę dostawczą, moją”.

- Świetnie, Parker - powiedziała Sachs. - Subtelna robota. W głośniku rozległ się cichy śmiech.

- Wiesz, Amelio, wszyscy w branży od kilku lat wkuwają arabski.

- Dlatego sądzisz, że to mężczyzna.

- A ile znasz arabskich kobiet-przestępców?

- Niewiele... Coś jeszcze?

- Przyślijcie mi więcej próbek, to będę mógł porównać.

- Być może skorzystamy z propozycji. - Rhyme podziękował Kincaidowi i zakończył rozmowę.

Pokręcił głową, patrząc na tablice dowodów. Po chwili parsknął drwiącym śmiechem.- Co o tym myślisz, Rhyme?

- Wiesz, co on chce zrobić? - spytał złowróżbnym tonem kryminalistyk.

Sachs skinęła głową.

- Nie chce okraść giełdy. Chce ją wysadzić.

- Aha.

- No jasne - rzekł Dellray. - Zgłoszenia o zamachach terrorystycznych na izraelskie placówki w okolicy.

- Strażnik naprzeciwko muzeum mówił, że codziennie przychodzą transporty z Jerozolimy... - powiedziała Sachs. - Dobra, zajmę się ewakuacją i przeszukaniem giełdy. - Wyciągnęła telefon.

Spojrzawszy jeszcze raz na tablicę dowodów, Rhyme rzekł do Sellitta i Coopera:

- Falafel i jogurt... i furgonetka dostawcza. Dowiedzcie się, czy niedaleko giełdy są jakieś restauracje kuchni bliskowschodniej, a jeżeli tak, to kim jest dostawca i kiedy przyjeżdża. I jakim samochodem.

Dellray pokręcił głową.

- Pół miasta się tym zajada. Gyros i falafel możesz kupić na każdym rogu. Musi być ze... - Agent urwał, gdy napotkał wzrok Rhyme'a.

- Wózki!

- Wczoraj widziałem kilka przed muzeum - rzekł Sellitto.

- Idealny punkt obserwacyjny - rzucił Rhyme. - I jaka doskonała przykrywka. Dostarcza im towar codziennie, więc nikt na niego nie zwraca uwagi. Chcę wiedzieć, kto jest dostawcą ulicznych sprzedawców. Do roboty!

Według wydziału zdrowia tylko dwie firmy zajmowały się dostawami bliskowschodniego jedzenia dla ulicznych sprzedawców w okolicy giełdy jubilerskiej. Jak na ironię, większa z nich należała do dwóch Żydów, braci, którzy mieli rodzinę w Izraelu i uczestniczyli w życiu religijnym miejscowej synagogi; zostali raczej wykluczeni z kręgu podejrzanych.

Druga firma nie była właścicielem wózków, ale sprzedawała kilkudziesięciu handlarzom ulicznym na środkowym Manhattanie gyros, kebaby, falafel oraz przyprawy i napoje (a także barbarzyńskie, choć przynoszące duży zysk, hot dogi wieprzowe). Przedsiębiorstwo miało siedzibę w restauracji na Broad Street, a jej właściciele wynajmowali prywatnego dostawcę, który krążył po mieście.

Kiedy otoczyło ich kilkunastu policjantów i agentów z Dellrayem na czele, właściciele skwapliwie - niemal ze łzami w oczach - zgodzili się na współpracę. Ich dostawca nazywał się Bani Ibn Dahab i był Saudyjczykiem, którego wiza dawno już wygasła. Był jakimś fachowcem w Dżuddzie i przez pewien czas pracował w Stanach jako inżynier, ale gdy skończył mu się termin legalnego pobytu, przyjął pracę, jaką udało mu się znaleźć - czasem gotował i dowoził jedzenie do wózków ulicznych i restauracji bliskowschodnich na Manhattanie i Brooklynie.

Ewakuowano i przeszukano giełdę jubilerską - nie znaleziono żadnych ładunków wybuchowych - oraz ogłoszono komunikat o poszukiwaniu furgonetki Ibn Dahaba, która według słów właścicieli firmy mogła być w dowolnym punkcie miasta; dostawca sam ustalał sobie harmonogram.

W takich chwilach Rhyme spacerowałby nerwowo, gdyby mógł. Do diabła, gdzie jest ten Ibn Dahab? Jeździ teraz samochodem wyładowanym materiałami wybuchowymi? Może zrezygnował z ataku na giełdę i postanowił wysadzić inny cel: synagogę albo biuro linii El-Al.

- Sprowadźmy tu Boyda i przyciśnijmy go - warknął. - Chcę wiedzieć, gdzie jest ten facet!

W tym momencie zadzwonił telefon Coopera. Potem telefon Sellitta, a później Amelii Sachs. W końcu odezwał się główny telefon w laboratorium. Dzwoniły różne osoby, ale z tą samą wiadomością. Rhyme otrzymał odpowiedź na pytanie o miejsce pobytu zamachowca.

Zginął tylko kierowca.

Zważywszy na siłę eksplozji i fakt, że furgonetka znajdowała się na skrzyżowaniu Dziewiątej Alei i Pięćdziesiątej Piątej Ulicy wśród samochodów - był to prawdziwy cud.

Kiedy bomba wybuchła, większa część fali uderzeniowej poszła w górę, przez dach i okna, rozpryskując odłamki i szkło i raniąc kilkadziesiąt osób, ale najwięcej szkód wybuch poczynił we wnętrzu forda E250. Płonący samochód rzuciło na chodnik, uderzył w słup sygnalizacji świetlnej. Straż pożarna z Ósmej Alei szybko opanowała pożar, nie dopuszczając ludzi w pobliże ognia. Jeżeli chodzi o kierowcę, nie było sensu go ratować; dwa największe kawałki jego zwłok leżały rozrzucone w odległości kilku metrów.

Pirotechnicy zbadali miejsce eksplozji, a policji pozostało zaczekać na przyjazd lekarza sądowego i zespołu zabezpieczania miejsc zbrodni.

- Co to za zapach? - spytał detektyw z posterunku środkowo-północnego. Wysoki, łysiejący funkcjonariusz z odrazą wciągnął powietrze przesycone, jak sądził, wonią palonego ludzkiego ciała. Kłopot w tym, że zapach nie był wcale zły.

Jeden z pirotechników roześmiał się na widok pozieleniałej twarzy detektywa.

- Gyros.

- Gy... roz? - zdziwił się detektyw, sądząc, że to jakiś żargonowy skrót, na przykład Gigantyczna Rozwałka.

- Proszę popatrzeć. - Pirotechnik palcami w lateksowych rękawiczkach wziął kawałek spalonego mięsa i powąchał. - Smaczne. Detektyw zaśmiał się, starając się ukryć, jak niewiele brakuje, żeby zwymiotował.

- Jagnięcina.

- Ja...

- Kierowca rozwoził jedzenie. Taką miał pracę. Cały wóz był wyładowany mięsem, falafelem i podobnym zarcie.

- Ach, tak. - Policjant czuł, że mdłości jednak nie przechodzą.

Na środku ulicy zahamował czerwony camaro SS, niemal muskając żółtą policyjną taśmę. Wsiadła z niego olśniewająca rudowłosa kobieta, która spojrzała na wrak furgonetki, po czym skinęła głową detektywowi.

- Witam - powiedział policjant.

Podłączając słuchawkę do motoroli i machając do samochodu kryminalistyków, który właśnie nadjechał, kobieta głęboko wciągnęła powietrze nosem. Pokiwała głową.

- Nie weszłam tam jeszcze, Rhyme - powiedziała do mikrofonu. - Ale sądząc po zapachu, chyba go mamy.

W tym momencie wysoki, łysiejący detektyw nie wytrzymał i wykrztusił:

- Zaraz wracam.

Pobiegł do najbliższego lokalu Starbucksa, modląc się w duchu, żeby zdążyć do toalety.

Geneva zeszła do laboratorium w domu pana Rhyme'a w towarzystwie detektywa Bella. Spojrzała na ojca, który patrzył na nią oczami wiernego psiaka.

Kurczę. Odwróciła wzrok.

- Mamy nowe wiadomości - powiedział pan Rhyme. - Człowiek, który wynajął Boyda, nie żyje.

- Nie żyje? Ten, który miał napaść na dom jubilerski?

- Sytuacja wyglądała nieco inaczej, niż sądziliśmy - oznajmił pan Rhyme. - Pomyliliśmy... właściwie to ja się pomyliłem. Uważałem, że sprawca chce obrabować giełdę. Ale okazało się, że chciał ją wysadzić.

- Terrorysta? - zdziwiła się Geneva.

Pan Rhyme wskazał głową plastikową kopertę, którą trzymała Amelia. Wewnątrz był list zaadresowany do „New York Timesa”. Wynikało z niego, że zamach bombowy na giełdę jubilerską jest kolejnym etapem świętej wojny przeciwko syjonistycznemu Izraelowi i jego sojusznikom. Był to ten sam papier, na którym napisano notatkę z poleceniem zabicia Genevy i sporządzono mapę Pięćdziesiątej Piątej Zachodniej.

- Kto to jest? - spytała, bezskutecznie próbując sobie przypomnieć widzianą tydzień temu pod muzeum furgonetkę i mężczyznę z Bliskiego Wschodu.

- Nielegalny imigrant z Arabii Saudyjskiej - powiedział detektyw Sellitto. - Pracował w restauracji na dolnym Manhattanie. Właściciele wpadli w panikę. Boją się, że możemy podejrzewać, że stanowią jakąś przykrywkę dla Al-Kaidy. - Zachichotał. - Co wcale nie jest wykluczone. Będziemy ich jeszcze sprawdzać. Ale na razie są czyści - porządni obywatele, mieszkają tu od lat, mają nawet dzieci w wojsku. Trzeba jednak przyznać, że trzęsą portkami.

Najważniejszy był jednak fakt, ciągnęła Amelia, że zamachowiec, Bani Ibn Dahab, nie miał żadnych związków z nikim podejrzanym o terroryzm. Kobiety, z którymi się ostatnio umawiał, oraz jego współpracownicy twierdzili, że nie pamiętają, by kiedykolwiek spotykał się z ludźmi mogącymi należeć do komórki terrorystycznej, a meczet, do którego chodził, był bardzo umiarkowany pod względem religijnym i politycznym. Amelia przeszukała jego mieszkanie w Queens, lecz nie znalazła żadnych dowodów na związki z komórkami terrorystycznymi. Mimo to sprawdzano bilingi jego telefonów, szukając kontaktów z fundamentalistami.

- Będziemy dalej badać dowody - mówił pan Rhyme. - Ale jesteśmy pewni na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że Ibn Dahab działał sam. Oznacza to, że chyba nic ci już nie grozi.

Podjechał wózkiem do stołu laboratoryjnego i spojrzał na torebki z kawałkami spalonego metalu i plastiku.

- Dopisz to na tablicy, Mel - powiedział do pana Coopera. - Materiałem wybuchowym był TOVEX i mamy fragmenty odbiornika - detonatora - obudowa, przewód, kawałek spłonki. Wszystko zapakowane w karton UPS zaadresowany do dyrektora giełdy jubilerskiej.

- Dlaczego wybuchło za wcześnie? - zapytał Jax Jackson.

Pan Rhyme wyjaśnił, że bardzo niebezpiecznie jest używać bomby detonowanej drogą radiową w mieście, gdzie krzyżuje się mnóstwo fal radiowych - sterujących zapalnikami na placach budów, wysyłanych przez walkie-talkie i setki innych źródeł.

- Być może popełnił samobójstwo - dodał detektyw Sellitto. - Mógł się dowiedzieć o aresztowaniu Boyda albo alarmie bombowym w budynku giełdy. Doszedł do wniosku, że możemy go capnąć w każdej chwili.

Geneve ogarnął dziwny niepokój. Otaczający ją ludzie nagle wydali się obcy. Przyczyna, dla której się tu wszyscy spotkali, przestała istnieć. A jej ojciec był osobą bardziej nieznaną niż policjanci. Zapragnęła wrócić do swojego pokoiku w suterenie, do książek, planów o college'u,

marzeń o wyjeździe do Florencji i Paryża.

Zorientowała się, że Amelia uważnie się jej przygląda.

- Co teraz zamierzasz robić? - spytała policjantka.

Geneva zerknęła na ojca. Co teraz będzie? Zjawił się wprawdzie jej rodzic, ale okazał się byłym skazańcem, który w ogóle nie powinien przebywać w mieście. Pewnie będą ją próbowali umieścić w rodzinie zastępczej.

Amelia spojrzała na Lincolna Rhyme'a.- Dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy, może zrobimy tak, jak planowaliśmy. Niech Geneva na jakiś czas zostanie tutaj.

- Tutaj? - zdziwiła się dziewczyna.

- Twój ojciec musi wrócić do Buffalo i załatwić kilka spraw. Zamieszkanie z nim i tak nie wchodziło w grę, pomyślała Geneva, ale się nie odezwała.

- Doskonały pomysł - odezwał się Thom. - Chyba tak właśnie zrobimy. - Jego głos brzmiał bardzo stanowczo. - Zostaniesz tutaj.

- Zgadzasz się? - spytała Genevy Amelia.

Geneva nie była pewna, dlaczego chcą, żeby została. Z początku była podejrzliwa. Ale wciąż musiała sobie powtarzać, że po tylu latach samotnego życia podejrzliwość towarzyszy jej nieodłącznie jak cień. Przyszło jej na myśl, że w jej sytuacji należy zastosować inną zasadę: przyjmujesz swoją rodzinę taką, jaka jest.

Dwaj konwojenci wprowadzili do laboratorium Rhyme'a skutego Thompsona Boyda i wyszli, pozostawiając go policjantom. Geneva znów była na górze, tym razem pod opieką Barbe Lynch.

Kryminalistyk rzadko spotykał się oko w oko ze sprawcą. W swojej pracy pasjonował się tylko samym procesem śledztwa i pościgu, nie zależało mu natomiast na osobistym kontakcie z podejrzanym. Nie miał ochoty triumfować nad schwytanym człowiekiem. Nie mogły go poruszyć tłumaczenia ani błagania, groźbami się nie przejmował.

Teraz jednak musiał zyskać absolutną pewność, że Genevie Settle nic już nie grozi. Chciał sam ocenić przeciwnika.

Boyd, z zabandażowaną i posiniaczoną twarzą po konfrontacji z Sachs, rozejrzał się po laboratorium, patrząc na sprzęt i tablice dowodów.

Potem na wózek.

Jego mina nie zdradzała żadnych emocji, żadnego cienia zaskoczenia czy zainteresowania. Nawet wówczas, gdy skinął głową Sachs. Jak gdyby zapomniał, jak tłuła go kamieniem.

Ktoś spytał Boyda, jak to jest siedzieć na krześle elektrycznym. Powiedział, że nic nie czuł. Był tylko „jakiś odrętwiały”. Pod koniec często to powtarzał. Był odrętwiały.

- Jak mnie znaleźliście? - zapytał.

- Na podstawie paru rzeczy - odparł Rhyme. - Po pierwsze, podrzuciłeś na miejscu zbrodni niewłaściwą kartę tarota. Nasunęła mi na myśl egzekucję.

- Wisielec - powiedział Boyd, kiwając głową. - Racja. Nie pomyślałem o tym. Po prostu groźnie wyglądała. Miała was zmylić.

- Ale twoje nazwisko zdradził nam twój nawyk - ciągnął Rhyme.

- Nawyk?

- Gwizdania.

- Fakt, gwizdzę. Przy pracy staram się tego nie robić. Ale czasem się zapominam. A więc rozmawiał pan z...

- Tak, z paroma osobami z Teksasu.

Kiwając głową, Boyd spojrział na Rhyme'a zaczerwienionymi oczami.

- Czyli dowiedział się pan o Charliem Tuckerze? Żałosna karykatura człowieka. Uprzykrzał moim ludziom ostatnie chwile na ziemi. Opowiadał im, jak się będą smażyć w piekle, gadał różne bzdury o Jezusie i tak dalej.

Moim ludziom...

- Czy Bani Ibn Dahab był twoim jedynym zleceniodawcą? - spytała Sachs.

Popatrzył na nią z autentycznym zdumieniem; była to chyba pierwsza emocja, jaka odbiła się na jego twarzy.

- Skąd... - zaczął, lecz zaraz zamilkł.

- Bomba wybuchła za wcześnie. Albo postanowił skończyć ze sobą.

Przecząco pokręcił głową.

- Nie, nie był zamachowcem-samobójcą. Musiał ją zdetonować przez przypadek. Nieostrożny był z niego gość. Narwany. Nie przestrzegął zasad. Pewnie za wcześnie ją uzbroił.

- Jak go poznałeś?

- Zadzwoił do mnie. Zdobył nazwisko od kogoś w więzieniu. Z Narodu Islamu.

A więc tu kryła się zagadka. Rhyme zachodził w głowę, jak strażnik z teksańskiego więzienia nawiązał kontakt z muzułmańskimi terrorystami.

- Ci Arabowie to wariaci - mówił Boyd. - Ale mają pieniądze.

- A Jon Earle Wilson? To on skonstruował bombę?

- Tak, Jonny. - Pokręcił głową. - O nim też już wiecie? Nie ma co, znacie się na rzeczy.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem. Dzwoniliśmy do siebie z automatów i zostawialiśmy wiadomości w poczcie głosowej. Spotykaliśmy się w publicznych miejscach. Nigdy nie zamieniliśmy więcej niż parę słów.

- W sprawie Ibn Dahaba i zamachu porozmawia z tobą FBI. My chcemy cię tylko zapytać o Geneve. Czy ktoś jeszcze chce jej zrobić krzywdę?

Boyd pokręcił głową.

- Z tego, co wiem, Ibn Dahab działał sam. Podejrzewam, że kontaktował się z kimś na Bliskim Wschodzie, ale z nikim stąd. Nikomu nie ufał. - Teksański akcent pojawiał się i znikał, jak gdyby Boyd przez lata próbował się go pozbyć.

- Jeżeli kłamiesz - powiedziała groźnie Sachs - jeżeli coś się jej stanie, zrobimy wszystko, żeby ci uprzykrzyć resztę życia.

- Jak? - szczerze zainteresował się Boyd.

- Zabiłeś bibliotekarza, doktora Barry'ego. Zaatakowałaś i usiłowałaś zabić funkcjonariuszy policji. Za każde z tych przestępstw grozi ci dożywocie. Badamy też sprawę śmierci pewnej dziewczyny, która wczoraj wpadła pod autobus na Canal Street. Ktoś ją popchnął akurat wtedy, gdy uciekałaś z Elizabeth Street. Pokazujemy twoje zdjęcie świadkom. Nigdy nie wyjdiesz z więzienia. Wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia.

- Nic cię to nie obchodzi? - zapytała Sachs.

- Wiem, że mnie nie rozumiecie. Nie mam wam tego za złe. Ale nie przejmuję się więzieniem. Niczym się już nie przejmuję. Nie możecie mnie poruszyć, bo już jestem martwy. Nie ma znaczenia, czy kogoś zabijam, czy ratuję. - Popatrzył na Amelię Sachs, napotykając jej wzrok. - Znam to spojrzenie - powiedział. - Zastanawia się pani, co za bestia we mnie siedzi. A prawda jest taka, że stałem się taki przez was.

- Przez nas?

- Och, tak... Zna pani mój zawód.

- Funkcjonariusz nadzorujący egzekucję - rzekł Rhyme.

- Właśnie. Opowiem wam coś o tej pracy. Można znaleźć nazwisko każdego człowieka straconego z mocy prawa Stanów Zjednoczonych. Jest ich bardzo dużo. Można znaleźć nazwiska wszystkich gubernatorów, którzy czekali do północy, żeby złagodzić karę, jeżeli mieli taki kaprys. Można znaleźć nazwiska wszystkich ofiar zamordowanych przez skazanych i prawie wszystkie nazwiska ich najbliższych krewnych. Ale wiecie, czyich nazwisk nie ma na żadnych listach?

Powiódł spojrzeniem po otaczających go twarzach.

- Naszych, ludzi, którzy naciskają guzik. Katów. O nas nikt nie pamięta. Wszyscy myślą tylko, jaki wpływ ma kara śmierci na rodziny skazanych. Albo na społeczeństwo. Albo rodziny ofiar. Nie wspominając o ludziach, których usypia się jak psy. Ale nikt nie poświęca odrobiny uwagi nam, katom. Nikt nie pomyśli, co się dzieje z nami.

Długie dni mieszkamy z naszymi ludźmi - mężczyznami i kobietami - którzy mają umrzeć. Poznajemy ich. Rozmawiamy z nimi. O wszystkim. Słyszymy, jak Murzyn pyta, jak to jest, że biały, który popełnił dokładnie takie samo przestępstwo, dostaje dożywocie albo i mniej, a czarny musi umrzeć. Meksykanin przysięga, że nie zgwałcił i nie zabił dziewczyny. Kupował tylko piwo w Seven-Eleven, nagle zjawiła się policja, a on krótko potem trafia do celi śmierci. Kiedy już rok leży w ziemi, robią test DNA i okazuje się, że skazali nie tego człowieka, że od początku był niewinny.

Jasne, winni też są ludźmi. I mieszkamy z nimi dzień po dniu. Traktujemy ich przyzwoicie, bo oni też nas tak traktują. Poznajemy ich. A potem... zabijamy. Sami. Własnymi rękami, naciskając guzik, pociągając dźwignię... to nas zmienia.

Wiecie, co mówią przed egzekucją? „Idzie trup”. Mają na myśli skazańca. Ale tak naprawdę mówią o nas. O katach. To my jesteśmy martwi.

- A twoja dziewczyna? - mruknęła Sachs. - Jak mogłeś do niej strzelić?

Zamilkł. Po raz pierwszy przez jego twarz przemknął cień.

- Długo się zastanawiałem, czy strzelić. Miałem nadzieję, że coś pocuję, że coś mi powie, że bym tego nie robił. Bo za bardzo mi na niej zależy. Że powinienem zostawić ją w spokoju, zaryzykować i uciec. Ale... - Potrząsnął głową. - Nic takiego się nie stało. Kiedy na nią popatrzyłem, czułem tylko odrętwienie. I wiedziałem, że trzeba strzelić.

- A gdyby zamiast niej w domu były dzieci? - krzyknęła Sachs. - Strzeliłbyś, żeby uciec?

Zastanowił się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Chyba się zgodzimy, że to by zadziałało. Na pewno by pani została, żeby uratować którąś z dziewczynek, zamiast mnie gonić. Tak mi mówił ojciec: to tylko kwestia, gdzie się postawi przecinek dziesiętny.

Ponura mina zniknęła, jak gdyby Boyd w końcu odnalazł odpowiedź na gnębiące go od dawna

pytanie.

Wisielec... Karta często zapowiada poddanie się doświadczeniu, rezygnację z walki, pogodzenie się z rzeczywistością.

Spojrzał na Rhyme'a.

- Jeżeli wolno, chyba już czas, żebym wracał do domu.

- Do domu?

Popatrzył na nich zdziwiony.

- Do więzienia.

Jak gdyby chciał powiedzieć: a gdzieżby indziej?

Ojciec i córka wysiedli na Sto Trzydziestej Piątej z pociągu linii C i ruszyli na wschód w kierunku szkoły imienia Langstona Hughesa.

Geneva nie chciała, żeby z nią jechał, ale uparł się, że musi się nią opiekować - pan Rhyme i detektyw Bell byli tego samego zdania. Poza tym uznała, że i tak ojciec jutro wyjedzie do Buffalo, więc przypuszczała, że przez godzinę czy dwie będzie mogła znieść jego towarzystwo.

Jax wskazał głową metro.

- Uwielbiałem pisać na wagonach linii C. Farba świetnie się trzymała... I wiedziałem, że zobaczy to mnóstwo ludzi. W siedemdziesiątym szóstym zrobiłem cały bok wagonu. To był rok dwóchsetlecia. Przyplłynęły te wielkie statki. Zrobiłem graffiti jednego z nich, razem ze Statuą Wolności. - Zaśmiał się. - Słyszałem, że co najmniej przez tydzień nie myli tego wagonu. Może mieli za dużo roboty, ale wolę myśleć, że komuś się to po prostu podobało i chciał zostawić dziełko na dłużej niż zwykle.

Geneva burknęła coś pod nosem. Sądziła, że to ona ma mu coś do powiedzenia. Kawalek dalej zobaczyła rusztowanie ustawione przy budynku, gdzie pracowała przy czyszczeniu murów, zanim ją zwolniono. Jak zareagowałby ojciec, gdyby się dowiedział, że usuwała graffiti z budynków? Być może zdarła nawet jedno z jego dzieł. Korciło ją, żeby mu o tym powiedzieć, ale milczała.

Geneva zatrzymała się przy najbliższym napotkanym automacie telefonicznym na Frederick Douglass Boulevard i wyciągnęła z kieszeni garść drobnych. Ojciec podał jej swoją komórkę.

- Nie trzeba.

- Weź.

Zignorowała go, wrzuciła monety do aparatu i zadzwoniła do Lakeeshy, a ojciec schował

telefon i podszedł do krawężnika, rozglądając się po dzielnicy z miną chłopca stojącego przed sklepową gablotą ze słodyczami.

Kiedy przyjaciółka odebrała, Geneva odwróciła się do niego plecami.

- Taa?

- Już po wszystkim, Keesh. - Opowiedziała jej o giełdzie jubilerskiej i zamachu bombowym.

- Naprawdę? Kurde. Terrorysta? Ale masakra. Ale nic ci nie jest?

- Wszystko gra, naprawdę.

Geneva usłyszała w tle inny głos, męski, a jej przyjaciółka na chwilę zasłoniła ręką słuchawkę. Przyciszona rozmowa miała chyba gwałtowny przebieg.

- Jesteś, Keesh?

- Tak.

- Kto tam jest?

- Nikt. Dzie jesteś? Chyba nie w tej norze w suterenie?

- Ciągle jestem tam, gdzie ci mówiłam - u tego policjanta i jego dziewczyny. Tego na wózku.

- Stamtąd dzwonisz?

- Nie, jestem na Górnym. Idę do szkoły.

- Teraz?

- Po zadanie.

Dziewczyna zamilkła na chwilę.

- Słuchaj, zobaczymy się w szkole. Chce pogadać. Kiedy tam będziesz?

Geneva zerknęła na ojca, który stał nieopodal i z rękami w kieszeniach wciąż przyglądał się ulicy. Postanowiła na razie nie wspominać o nim Keesh ani nikomu innemu.

- Lepiej jutro, Keesh. Teraz nie mam czasu.

- Kurde, dziewczyno.

- Naprawdę. Jutro.

- Jak chcesz.

Geneva usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Stała jeszcze przez chwilę przy automacie, odwołując moment powrotu do ojca.

W końcu podeszła do niego i ruszyli w dalszą drogę.

- Wiesz, co tam było, w trzech czy czterech kwartałach? - zapytał, pokazując na północ. - Strivers Row. Byłaś tam kiedyś?

- Nie - mruknęła.

- Kiedyś cię tam zabiorę. Sto lat temu te trzy wielkie kamienice i mnóstwo domów szeregowych zbudował pewien inwestor - nazywał się King. Wynajął trzech najlepszych architektów w kraju i kazał im się zabrać do pracy. Piękny zakątek. Projekt nazywał się Model Kinga, ale domy były takie drogie i ładne, że nazwali uliczkę Strivers Row, bo żeby tam zamieszkać, trzeba się było mocno postarać. Mieszkał tam kiedyś W. C. Handy. Słyszałaś o nim? Ojciec bluesa. Najporządniejszy muzyk, jaki żył. Raz zrobiłem tam nawet dzieło. Mówiłem ci o tym? Zużyłem aż trzydzieści puszek. To nie był wrzut; spędziłem na tym dwa dni. Namalowałem portret samego W. C. Handy'ego. Przyszedł fotograf z „Timesa”, zrobił zdjęcie i zamieścili je w gazecie. - Pokazał na północ. - Portret był...

Nagle Geneva stanęła i uderzyła się dłońmi w uda.

- Dość!

- Genie?

- Przestań już. Nie chcę tego słuchać.

- Ależ...

- Nie obchodzą mnie te opowieści.

- Jesteś na mnie zła, kochanie. Kto by nie był po tym wszystkim? Posłuchaj, popełniłem błąd - powiedział łamiącym się głosem. - To było dawno. Teraz jestem inny. I wszystko będzie wyglądać inaczej. Już nigdy nikt i nic nie będzie dla mnie ważniejsze od ciebie. Nie tak jak wtedy, gdy byłem z twoją mamą. To ciebie powinienem wtedy ratować, ale nie tak. Źle zrobiłem, jadąc do Buffalo...

- Nie! Nic nie rozumiesz! Nie chodzi o to, co zrobiłeś. Nie mam ochoty należeć do tego twojego świata. Nie obchodzi mnie żaden Strivers Row, nie obchodzi mnie Apollo ani Cotton Club. Ani Harlemskie Odrodzenie. Nie lubię Harlemu. Nie cierpię. Tu są strzelaniny, crack, gwałty. Ludzie napadają po to, żeby ukraść komuś tandetną biżuterię. Dziewczyny interesują się tylko warkoczykami i pasemkami. A...

- Na Wall Street są spekulanci i oszuści, w New Jersey mafia, a w Westchester osiedla domów na kółkach - odparł.

Ciągnęła, jakby w ogóle go nie słyszała.

- Chłopakom zależy tylko na tym, żeby zaciągnąć dziewczynę do łóżka. Niedouczeni ludzie mówią byle jak. A jeszcze...

- Co jest nie tak z rodzimym dialektem afroamerykańskim? Zdziwiła się.

- Skąd znasz tę nazwę?

Nie mówił językiem harlemskiej ulicy - jego ojciec dopilnował, żeby sumiennie się uczył (przynajmniej dopóki nie rzucił szkoły, by zacząć „karierę” wandalą mażącego po miejskim mieniu). Ale większość ludzi z dzielnicy nie wiedziała, że ich język określa się oficjalnie mianem rodzimego dialektu afroamerykańskiego.

- Kiedy siedziałem - wyjaśnił - zrobiłem dyplom szkoły średniej i skończyłem rok college'u.

Zbyła tę wiadomość milczeniem.

- Dużo czytałem i uczyłem się o języku. Pewnie nie pomoże mi to znaleźć pracy, ale to mnie wciągnęło. Wiesz, że zawsze lubiłem książki. Ty też polubiłaś je dzięki mnie... Studiowałem literacką angielszczyznę, ale afroamerykańską też. I nie widzę w niej nic złego.

- Ale jej nie używasz - zauważyła szorstkim tonem.

- Bo nie mówiłem nią od dzieciństwa. Tak samo jak nie mówiłem po francusku czy w języku mandingo. Ale niektóre formy naszej mowy są znane w angielszczyźnie już od czasów Szekspira.

Roześmiała się.

- Spróbuj znaleźć pracę, mówiąc po afroamerykańsku.

- A jeśli o tę samą pracę będzie się starać ktoś z Francji albo Rosji? Nie sądzisz, że szef da im szansę, posłucha, jak mówią, zobaczy, czy potrafią ciężko pracować i mają głowę na karku, nawet gdyby mówili trochę inaczej? Może problem polega na tym, że to szef mówi innym językiem. - Zaśmiał się. - Mówię ci, ludzie w Nowym Jorku powinni się w ciągu kilku następnych lat pouczyć hiszpańskiego i chińskiego. Czemu nie afroamerykańskiego?

Jego logika rozwścieczyła ją jeszcze bardziej.

- Lubię nasz język, Genie. Brzmi naturalnie. Kiedy go słyszę, czuję się jak w domu. Masz prawo złościć się na mnie za to, co zrobiłem. Ale nie za to, kim jestem ani skąd pochodzimy. To jest nasz dom. Wiesz, co trzeba zrobić z domem, prawda? Zmienić co trzeba i nauczyć się być dumnym z tego, czego się nie da zmienić.

Geneva zacisnęła oczy i ukryła twarz w dłoniach. Przez długie lata marzyła o rodzicach - nawet nie dwojgu, ale przynajmniej jednej bliskiej osobie, która będzie na nią czekać po południu w domu, sprawdzać zadania, budzić ją rano. A kiedy uznała, że to już nigdy nie nastąpi, kiedy w miarę ułożyła sobie życie i zaczęła mozolną drogę, żeby się wydostać z tej zapomnianej przez Boga dziury, nagle zjawia się przeszłość i zaczyna ją wciągać z powrotem.

- Ale ja tego nie chcę - szepnęła. - Chcę czegoś więcej niż to bagno. - Ruchem ręki pokazała otaczające ich ulice.

- Och, Geneva, rozumiem. Mam tylko nadzieję, że może spędzimy tu parę miłych lat, zanim odfruniesz w daleki świat. Daj mi szansę naprawić to, co ci zrobiliśmy ja i twoja matka. Zasługujesz na wszystkie najlepsze miejsca na świecie... Ale swoją drogą, znasz jakieś idealne? Takie, gdzie ulice są wybrukowane złotem? Gdzie wszyscy kochają swoich sąsiadów? - Roześmiał się i przechodząc na afroamerykański, dodał: - Mówisz bagno? Sie rozumie, ale dzie ich nie ma? Dzie?

Otoczył ją ramieniem. Zesztywniała, ale pozwoliła mu na to. Ruszyli w stronę szkoły.

Lakeesha Scott od pół godziny siedziała na ławce w parku Marcusa Garveya, dokąd przyszła zaraz po zakończeniu pracy w restauracji na dolnym Manhattanie.

Zapaliła następnego merita, myśląc: niektóre rzeczy robimy, bo chcemy, a niektóre, bo tak trzeba. Żeby przetrwać.

Zamierzała właśnie zrobić coś, co należało.

Dlaczego Geneva nie powiedziała, że po tym wszystkim wymelduje się z miasta i nigdy już nie wróci?

Mogłaby pojechać do Detroit albo Alabamy.

Przepraszam, Keesh, nie możemy się już więcej spotykać. Nigdy. Żegnaj.

Wtedy w ogóle nie byłoby problemu. Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

A było o wiele gorzej. Akurat Gen musiała zadzwonić i powiedzieć jej, gdzie będzie przez następne parę godzin. Keesh nie miała nic na swoje usprawiedliwienie, żeby tym razem jej nie spotkać. Och, kiedy przed chwilą gadały, trajkotała do niej jak zwykle, żeby nie wzbudzić podejrzeń, ale teraz, gdy siedziała samotnie, ogarnęło ją przygnębienie.

Kiepsko się czuję.

Ale nie mam wyboru.

Niektóre rzeczy robimy, bo tak trzeba...

No już, powiedziała sobie Keesh. Jak mus, to mus. Rusz się.

Rozgniotła papierosa i wyszła z parku, kierując się na zachód, a potem na północ w stronę alei Malcolma X, mijała kościół za kościołem. Były wszędzie. Mt. Morris Ascension, Bethelite Community, adwentystów, baptystów - mnóstwo. Dalej meczety i synagoga.

No i sklepy i sklepiki: „Papaya King”, botaniczny, wypożyczalnia smokingów, punkt

realizowania czeków. Minęła garaż taksówek na telefon, siedział przed nim właściciel, trzymając posklejane taśmą radio, którego długi kabel ginał w głębi ciemnego biura. Uśmiechnął się do niej życzliwie. Jak Lakeesha im wszystkim zazdrościła: pastorom w brudnych kościołach pod neonowymi krzyżami, beztroskim sprzedawcom wkładającym hot dogi do parujących bułek, grubemu facetowi siedzącemu na tandetnym krzeselku z zepsutym mikrofonem w ręce.

Oni nikogo nie zdradzają, pomyślała.

Nie zdradzają osoby, która od lat była ich najlepszą przyjaciółką.

Szła, strzelając gumą do zucia, ściskając mocno pasek torby grubymi palcami o czarno-żółtych paznokciach. Starła się nie zwracać uwagi na trzech chłopaków z Dominikany.- Psst.

Usłyszała „tyłek”. Usłyszała „niezła foka”.

- Psst.

Keesh sięgnęła do torby i zacisnęła dłoń na sprężynowcu. Już miała go otworzyć, żeby zobaczyć ich miny. Zmierzyła ich wściekłym spojrzeniem, ale zostawiła długi i ostry nóż tam, gdzie był, uznając, że i tak będzie miała cholerne kłopoty, kiedy dotrze do szkoły.

- Psst.

Ruszyła dalej, rozrywając drżącymi palcami paczkę gumy. Wrzuciwszy do ust dwa owocowe kawałki, usiłowała odnaleźć w sobie gniew.

Dziewczyno, musisz być wściekła. Pomyśl o wszystkim, co cię wkurza w Genevie. Pomyśl, kim kiedyś będzie, a kim ty nigdy nie będziesz miała szans zostać. Była przemądrzała, nie opuściła w szkole ani jednego cholernego dnia i cały czas miała figurę chudej białaski, chociaż nie wyglądała jak jakaś ćpunka z AIDS, nie pozwalała się nikomu dotykać i innym dziewczynom też kazała się zachowywać jak cnotki.

Jakby się uważała za lepszą od nas wszystkich.

Ale nie była lepsza. Geneva Settle była zwyczajnym dzieciakiem z rozbitej rodziny, gdzie mama brała, a tatuś uciekł.

Jedną z nas.

Wściekała się na nią za to, że patrzyła jej w oczy i powtarzała: „Zrobisz to, dziewczyno, uwierz w siebie, potrafisz to zrobić, uciekniesz stąd, cały świat na ciebie czeka”.

Ale nie, czasem nie potrafisz, bo za dużo musisz dźwigać. Potrzebujesz pomocy, potrzebujesz kogoś, kto ma więcej franklinów, kto będzie pilnował ci tyłów.

Przez chwilę poczuła, jak wzbiera w niej gniew na Geneve. Jeszcze mocniej zacisnęła dłoń na pasku torby.

Ale nie wytrzymała długo. Gniew zniknął, uleciał jak zasypka niemowlęca, którą pudrowała pupy swoich kuzynów bliźniaków, kiedy ich przewijała.

Pogrążona w myślach minęła osiedle Lenox Terrace i zmierzając do szkoły, w której zaraz miała się zjawić Geneva Settle, Lakeesha zdała sobie sprawę, że nie może polegać na gniewie ani szukać usprawiedliwienia.

Musiała polegać na instynkcie przetrwania. Czasem musisz pomyśleć o sobie i przyjąć czyjąś pomocną dłoń.

Niektóre rzeczy robimy, bo tak trzeba...

Rozdział 37

Kiedy Geneva odbierała w szkole zadanie domowe, okazało się - jakżeby inaczej - że tematem jej następnej pracy z angielskiego ma być „Powrót do Harlemu” Claude’a McKaya, wydana w 1928 roku pierwsza bestsellerowa powieść autorstwa czarnego pisarza.

- Nie mogłabym dostać coś e. e. cummingsa? - spytała. - Albo Johna Cheevera?

- Gen, przecież teraz omawiamy literaturę afroamerykańską - zauważył z uśmiechem nauczyciel.

- No to może Frank Yerby - próbowała pertraktować. - Albo Octavia Butler.

- Och, to wspaniali twórcy, Gen - odrzekł nauczyciel. - Ale nie piszą o Harlemie. A to jest temat przewodni tej części materiału. Dałem ci McKaya, bo sądzę, że ci się spodoba. To jeden z najbardziej kontrowersyjnych pisarzy Odrodzenia. McKay pisał o ciemnych stronach Harlemu, przez co ściągnął na siebie gromy. Krytykował go Du-Bois i wielu innych myślicieli tej epoki. To idealny temat dla ciebie.

Może w interpretacji będzie mi mógł pomóc ojciec, pomyślała z przekąsem, skoro tak uwielbia dzielnicę i jej gwarę.

- Spróbuj - zachęcił nauczyciel. - Może ci się spodoba. Na pewno nie, pomyślała Geneva.

Ojciec czekał na nią pod szkołą. Poszli na przystanek i w pewnej chwili oboje przymknęli oczy, gdy podmuch chłodnego wiatru wzbił tuman kurzu. Zawarli coś w rodzaju rozejmu i dziewczyna dała się zaprosić do jamajskiej restauracji, o której podobno marzył od sześciu lat.

- Nie zamknęli jej jeszcze? - zapytała chłodno.

- Nie wiem. Ale coś znajdziemy. To będzie wyprawa w nieznane.

- Mam mało czasu. - Zadygotała z zimna.

- Gdzie ten autobus?

Geneva spojrzała na drugą stronę ulicy i zmarszczyła brwi. Och, nie... Zobaczyła Lakeeshę. To było właśnie w jej stylu. Nie posłuchała jej i mimo wszystko przysła.

Keesh pomachała do niej.

- Kto to jest? - spytał ojciec.

- Koleżanka.

Lakeesha zerknęła niepewnie na jej ojca i na migi pokazała Genevie, żeby przeszła przez ulicę.

O co chodzi? Dziewczyna się uśmiechała, ale wyraźnie było widać, że coś ją trapi. Może się zastanawiała, co Geneva robi w towarzystwie starszego mężczyzny.

- Zaczekaj - powiedziała do ojca i ruszyła w stronę Lakeeshy, która zamrugła oczami i wzięła głęboki oddech. Otworzyła torbę i sięgnęła do środka.

Co tu jest grane? - zastanawiała się Geneva. Przecięła ulicę i przystanęła przy krawężniku. Keesha zawahała się przez moment, po czym zrobiła krok naprzód.

- Gen... - Jej oczy pociemniały. Geneva zmarszczyła brwi.

- Co się...

Keesh stanęła jak wryta, bo w tym momencie jakiś samochód zatrzymał się obok Genevy, która obejrzała się zaskoczona. Za kierownicą siedziała szkolna psycholog, pani Barton. Kobieta przywołała gestem uczennicę. Geneva zawahała się, kazała Keesh poczekać i podeszła do pani Barton.

- Witaj, Geneva. Nie zdążyłam cię złapać w szkole.

- Dzień dobry - powiedziała ostrożnie dziewczyna. Nie miała pojęcia, ile kobieta wie o jej rodzicach.

- Asystent pana Rhyme'a mówił, że złapali już człowieka, który próbował ci zrobić krzywdę. I że nareszcie wrócili twoi rodzice.

- Mój ojciec. To on. - Pokazała.

Psycholog przyjrzała się mężczyźnie ubranemu w podniszczoną koszulkę i kurtkę.

- Wszystko w porządku?

Nie słysząc ich rozmowy, Lakeesha obserwowała je podejrzliwie. Miała coraz bardziej zaniepokojoną minę. Przez telefon wydawała się wesółą, ale Geneva zaczynała podejrzewać, że się zgrywała. Kim był ten facet, z którym rozmawiała?

Nikim...

Chyba jednak nie.

- Geneva? Dobrze się czujesz? - spytała pani Barton. Popatrzyła na psycholog.

- Przepraszam. Tak, doskonale.

Kobieta ponownie zmierzyła jej ojca badawczym spojrzeniem, po czym przeniosła wzrok na dziewczynę, która odwróciła głowę.

- Chcesz mi coś powiedzieć?

- Hm...

- O co tu naprawdę chodzi?

- No...

Była to jedna z tych sytuacji, gdy bez względu na wszystko trzeba wyjawić prawdę.

- Przepraszam, pani Barton, ale nie byłam zupełnie szczerą.

Mój ojciec nie jest profesorem. Siedział w więzieniu. Ale już go zwolnili.

- Gdzie więc mieszkałaś?

- Sama.

Kobieta skinęła głową, lecz z jej oczu nie sposób było wyczytać, co o tym sądzi.

- A matka?

- Nie żyje. Spochmurniała.

- Przykro mi... I ojciec się tobą zaopiekuje?

- Właściwie jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Zanim coś postanowi, musi jeszcze załatwić jakieś sprawy w sądzie czy gdzieś tam. - Mówiła to, by zyskać na czasie. Geneva ułożyła już własny plan: kiedy ojciec wróci, formalnie przejmie nad nią opiekę, ale ona nadal będzie mieszkać sama. - Przez kilka dni zostaną u pana Rhyne'a i Amelii.

Kobieta jeszcze raz spojrzała na jej ojca, który uśmiechnął się niepewnie.

- To dość niezwykle rozwiązanie.

- Nie pójdę do żadnej rodziny zastępczej - oznajmiła buńczucznym tonem. - Nie chcę stracić wszystkiego, co mi się udało zdobyć. Wolę już uciec, wolę...

- Spokojnie, spokojnie. - Psycholog uśmiechnęła się do niej. - Jeszcze nie czas na takie dyskusje. Za dużo przeszłaś. Porozmawiamy za kilka dni. Dokąd się teraz wybierasz?

- Do pana Rhyme'a.

- Podwiozę cię.

Geneva przywołała gestem ojca. Zbliżył się wolnym krokiem i dziewczyna przedstawiła go pani Barton.

- Miło panią poznać. I dziękuję za opiekę nad Geneva.

- Proszę wsiadać.

Geneva spojrzała na drugą stronę ulicy. Keesh wciąż tam stała.

- Muszę lecieć! - zawołała do niej. - Zadzwoń. - Pokazała na migi słuchawkę telefonu.

Lakeesha niepewnie skinęła głową i wyciągnęła rękę z torby.

Geneva usiadła z tyłu, za ojcem. Przez tylną szybę jeszcze raz popatrzyła na posępną minę Keesh.

Pani Barton ruszyła, a ojciec rozpoczął kolejny żaloszny wykład o historii, plotąc: wie pani, że kiedyś zrobiłem graffiti o braciach Collyer? Homerze i Langleyu. Mieszkali przy Piątej Alei i Sto Dwudziestej Ósmej. Byli odludkami i największymi dziwakami na świecie. Bali się przestępców z Harlemu, dlatego zabarykowali się w domu, wszędzie poustawiali pułapki, nigdy niczego nie wyrzucali. Jednego z nich przywaliła sterta gazet. Kiedy umarli, policja musiała wywieźć z domu ponad sto ton przeróżnych rupieci.

- Słyszałyście kiedyś o nich? Pani Barton odparła, że chyba słyszała.- Ja nie - powiedziała Geneva, myśląc: Może byś najpierw spytał, czy w ogóle mnie to obchodzi.

Dyrygując Melem Cooperem, który badał i porządkował dowody zebrane z miejsca wybuchu, Lincoln Rhyme przeglądał niektóre raporty z analiz.

Grupa agentów federalnych pod wodzą Freda Dellraya namierzyła Jona Earle'a Wilsona, którego odciski palców znaleziono na bombie ukrytej w radiu tranzystorowym. Został zatrzymany i agenci mieli go przywieźć do Rhyme'a na przesłuchanie - swoimi zeznaniami dodatkowo obciążą Thompsona Boyda.

Nagle zadzwonił telefon Bella. Detektyw odebrał.

- Bell... Luis, co jest? - Przechylił głowę, słuchając wiadomości. *Luis...*

Zapewne Martinez, który na piechotę śledził Geneve i jej ojca od momentu, gdy wyszli od

Rhyme'a, zamierzając iść do szkoły Langstona Hughesa. Wszyscy byli przekonani, że Jax, Alonzo Jackson, naprawdę jest jej ojcem i że z jego strony dziewczynie nic nie grozi; ustalono też, że terrorysta działał sam. Nie oznaczało to jednak, że Bell i Rhyme w najbliższej przyszłości pozwolą Genevie chodzić wszędzie bez ochrony.

Rhyme odgadł z miny Bella, że coś było nie tak. Detektyw powiedział do Coopera:

- Trzeba natychmiast sprawdzić coś w wydziale komunikacji. - Pospiesznie zapisał na karteczce numer rejestracyjny i podał technikowi.

- Co się dzieje? - zapytała Sachs.

- Geneva stała z ojcem na przystanku autobusowym niedaleko szkoły. Zatrzymał się przy nich jakiś samochód i wsiedli. Luis zupełnie się tego nie spodziewał i nie zdążył przebiec przez ulicę, żeby ich zatrzymać.

- Samochód? Kto siedział za kierownicą?

- Mocno zbudowana czarna kobieta. Z opisu wynika, że to mogła być ta psycholog, Barton.

Nie trzeba od razu wpadać w panikę, pomyślał Rhyme. Może po prostu zobaczyła ich na przystanku i zaproponowała, że ich podwiezie. Na ekranie pojawiła się informacja z wydziału komunikacji.

- Co tam mamy, Mel? - zapytał Rhyme.

Cooper zmrużył oczy i odczytał dane. Wcisnął kilka klawiszy. Potem utkwiał w kryminalistyku oczy, powiększone przez grube szkła okularów.

- Problem.

Pani Barton jechała w kierunku środkowo-południowego Harlemu, poruszając się wolno przez gęstniejący ruch. Zwolniła, gdy mijali kolejny plac budowy.

Ojciec Genevy pokręcił głową.

- Patrzcie tylko. - Wskazał tablicę. - Deweloperzy, banki, architekci. - Zaśmiał się gorzko. - Założę się, że żadną z tych wielkich firm nie kieruje ani jeden czarny.

Daj już spokój, pomyślała Geneva. Miała ochotę go uciszyć. *Marudzenie o dawnych czasach...*

Psycholog zerknęła na budowę, wzruszając ramionami.

- Dużo się tu teraz buduje.

Zahamowała i skręciła w alejkę między starym budynkiem, który właśnie remontowano, a

głębokim wykopem.

W odpowiedzi na pytające spojrzenie ojca Genevy, pani Barton wyjaśniła:

- To skrót.

Ale ojciec rozglądał się podejrzliwie.

- Skrót?

- Ominiemy korki.

Znow się rozejrzał, zmrużył oczy. Wreszcie bluznął:

- Gówno prawda!

- Tato! - krzyknęła Geneva.

- Znam to miejsce. Ulica na drugim końcu jest zamknięta. Burzą tam jakąś starą fabrykę.

- Nie - odrzekła pani Barton. - Właśnie tamtędy jechałam i...

Ale ojciec z całej siły pociągnął hamulec ręczny, skręcając kierownicę w lewo. Samochód zarzucił i uderzył w ceglany mur z głośnym zgrzytem miażdżonego metalu i plastiku.

Łapiąc psycholog za rękę, ojciec krzyknął:

- Ona jest z nimi, dziecko! Chce ci zrobić krzywdę! Wsiadaj! Uciekaj!

- Tato, oszalałeś! Co ty...

Ale w tej chwili, jak gdyby na potwierdzenie jego słów, kobieta wyciągnęła z kieszeni pistolet. Wycelowała w pierś ojca i nacisnęła spust. Wstrząśnięty Jax szeroko otworzył oczy i opadł do tyłu, przyciskając dłonią ranę.

- Och. Och - wyszeptał.

Geneva odskoczyła, widząc wymierzoną w siebie srebrną lufę. W momencie strzału ojciec uderzył kobietę pięścią w szczękę, ogłuszając ją. Geneva poczuła na twarzy gorąco i drobiny prochu, ale pocisk chybił. Trafił w tylną szybę samochodu, rozbijając ją na tysiąc drobnych sześcianików.

- Uciekaj, dziecko - wykrztusił ojciec i bezwładnie opadł na deskę rozdzielczą.

Łapać ją, dowalić, dowalić suce...

Szlochając, Geneva wygramoliła się przez wybite okno i upadła na ziemię. Zerwała się na nogi i biegiem ruszyła w dół zjazdu dla ciężarówek, na tonący w półmroku plac rozbiórki.

Rozdział 38

Alina Frazier - kobieta grająca psycholog Patricię Barton - nie miała spokoju swojego współnika. Thompson Boyd był zimny jak lód. Nic nie mogło go wytrącić z równowagi. Alina zawsze ulegała emocjom. Miotając wściekle przekleństwa, wygramoliła się z ciała ojca Genevy i wypadła na alejkę, rozglądając się w lewo i prawo i szukając dziewczyny.

Wściekało ją to, że Boyd trafił do pułta. Wściekało ją to, że dziewczyna uciekała.

Sapiąc głośno, rozglądała się po pustej alejce. Chodziła tam i z powrotem. Gdzie ta mała...?

Z prawej mignęło coś szarego: Geneva czołgała się za oblepionym brudem niebieskim kubłem na śmieci, zmierzając w głąb placu. Kobieta rzuciła się w pogoń, dysząc ciężko. Mimo tuszy była bardzo silna i umiała się szybko poruszać. Więzienie może cię rozmiękczyć albo sprawić, że będziesz twardy jak skała. Wybrała to drugie.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Frazier przewodziła bandzie dziewczyn, która grasowała po Times Square i Upper East Side, gdzie turyści i mieszkańcy - którzy spoglądaliby podejrzliwie na gromadę nastoletnich chłopców - nie zwracali uwagi na parę hałaśliwych Murzynek, taszczących torby z „Daffy Dana” i „Macy’s”. Dopóki nie zobaczyli błysku noża albo pistoletu, a bogate dziwki nie usłyszały, że mają wyskakiwać z kasy i biżuterii. Po paru sprawach w sądach dla nieletnich zrobiła grubszą rzecz i trafiła za kratki za nieumyślne spowodowanie śmierci - powinna za morderstwo, ale młody prokurator spieprzył oskarżenie. Po zwolnieniu wróciła do Nowego Jorku. Tam poznała Boyda przez chłopaka, z którym mieszkała, a kiedy zerwała z tym frajerem, kiedyś Boyd do niej zadzwonił. Z początku sądziła, że jest jednym z tych białasów napalonych na czarne, ale kiedy przyjęła zaproszenie na kawę, w ogóle się do niej przystawiał. Spojrzał na nią tylko tymi dziwnymi, martwymi oczami i powiedział, że potrzebuje pomocy kobiety przy paru robotach. Miałaby ochotę popracować?

Popracować? - zapytała, myśląc o narkotykach, broni i kradzionych telewizorach.

Wtedy szeptem wyjaśnił, czym się zajmuje.

Patrzyła na niego zdumiona.

Potem dodał, że w kilka dni mogłaby zgarnąć ponad pięćdziesiąt tysięcy.

Milczała przez chwilę. I wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Jasne, że tak.

Za Geneve Settle mieli dostać pięć razy tyle. Okazało się, że to uczciwa cena, bo była to najtrudniejsza robota, jaka się im kiedykolwiek trafiła. Po wczorajszej nieudanej próbie w muzeum Boyd zadzwonił do niej i poprosił o pomoc (proponując dodatkowe pięćdziesiąt kawałków, gdyby sama zabiła dziewczynę). Frazier, największa cwaniara we wszystkich swoich ekipach, wpadła na pomysł, żeby zagrać szkolnego psychologa. Kazała sobie zrobić fałszywy identyfikator pracownika kuratorium i zaczęła wydzwaniać do publicznych szkół w Harlemie, prosząc do telefonu któregoś z nauczycieli Genevy Settle i kilkanaście razy wysłuchując „Przykro mi, ale nie mamy na liście takiej

uczennicy”. Dopóki nie zadzwoniła do szkoły imienia Langstona Hughesa, gdzie jakaś sekretarka oznajmiła: tak, chodzi do nas. Frazier ubrała się w tani kostium, zawiesiła na imponującym biuście identyfikator i wkroczyła do szkoły jak do siebie.

Na miejscu dowiedziała się o tajemniczych rodzicach dziewczyny, o mieszkaniu na Sto Osiemnastej, a od detektywa Bella i innych gliniarzy - o domu w Central Park West. Dowiedziała się jeszcze, kto pilnuje Genevy, i przekazała wszystkie informacje Boydowi, aby mu pomóc w zaplanowaniu następnego ataku.

Obserwowała mieszkanie dziewczyny przy Morningside, dopóki z powodu jej opiekunów nie stało się to zbyt ryzykowne. (Tego popołudnia została nawet przyłapana, kiedy niedaleko kamienicy zatrzymał ją patrol, okazało się jednak, że policja szukała kogoś innego).

Frazier nakłoniła ochroniarza w szkole, by dał jej kasetę z zapisem z kamery na boisku, i uzbrojona w ten rekwizyt dostała się do domu tego kaleki, gdzie zdobyła jeszcze więcej informacji o dziewczynie.

Ale potem zgarnęli Boyda - od początku ją ostrzegał przed tymi policjantami - i Alina Frazier musiała dokończyć zadanie, jeżeli miała ochotę dostać resztę zapłaty, czyli sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Łapiąc oddech, zatrzymała się dziesięć metrów poniżej pochyłego wjazdu na plac rozbiórki, prowadzącego do wykopu. Mrużyła oczy w blasku słońca powoli zachodzącego za horyzont i próbowała zobaczyć, gdzie ukryła się ta mała dziwka. Niech cię szlag, pokaż się.

Znów dostrzegła jakiś ruch. Geneva usiłowała się przedostać na drugą stronę placu, czołgając się za osłoną betoniarek, buldożerów i stert desek. Zniknęła za beczką na ropę.

Wchodząc do cienia, by mieć lepszą widoczność, Frazier wycelowała w środek beczki i strzeliła. Pocisk trafił w metal z głośnym brzękiem.

Zdawało się jej, że tuż za pojemnikiem poszybowała w górę grudka ziemi. Czy dziewczyna też dostała?

Ale nie, wstała i pobiegła w stronę kupy gruzu - cegieł, kamieni i rur. W momencie kiedy za nią wskakiwała, Frazier strzeliła drugi raz.

Dziewczyna upadła z przenikliwym wrzaskiem. Coś wzbiło się w powietrze. Ziemia i pył? Może to trysnęła krew?

Trafiła dziewczynę? Frazier nieźle strzelała - razem ze swoim byłym chłopakiem, handlarzem broni z Newark, godzinami strzelali do szczurów w opuszczonych budynkach na obrzeżach miasta, wypróbując towar. Zdawało się jej, że kula dosięgła celu. Ale nie mogła za długo czekać, żeby się o tym przekonać; ludzie na pewno słyszeli strzały. Niektórzy na pewno nie zareagują, inni pomyślą, że to hałasuje ciężki sprzęt. Ale zawsze znajdzie się paru porządnych obywateli, którzy zadzwonią pod 911.

Trzeba zobaczyć...

Ruszyła wolno w dół zjazdu, starając się nie wywrócić; było bardzo stromo. Nagle za jej plecami, od strony alejki dobiegł dźwięk klaksonu. Jej samochodu.

Kurwa, pomyślała ze złością, ojciec małej jeszcze żyje.

Po chwili wahania Frazier podjęła decyzję: pora stąd spadać. Skończyć z tatuśkiem. Geneva prawdopodobnie dostała i długo nie pociągnie. A gdyby nawet nie była ranna, Frazier mogła ją znaleźć później. Będzie jeszcze mnóstwo okazji.

Pieprzony klakson... wydawał się głośniejszy od strzałów i na pewno przyciągał uwagę. Co gorsza, mógł zagłuszyć zbliżające się syreny. Frazier wspięła się z powrotem na poziom ulicy, dysząc z wysiłku. Kiedy jednak dotarła do samochodu, ze zdumieniem zobaczyła, że jest pusty. Ojciec Genevy nie siedział za kierownicą. Ślady krwi prowadziły do alejki obok, gdzie leżało jego ciało. Frazier zajrzała do samochodu: zanim stary się stąd wygramolił, wyciągnął lewarek i zaklinował na kierownicy, wciskając klakson.

Frazier z wściekłością wyrwała podnośnik.

Przeszywający dźwięk umilkł.

Wrzuciła lewarek na tylne siedzenie i spojrzała na ojca dziewczyny. Nie żył? Nawet jeżeli żył, to już niedługo. Podeszła do niego, trzymając broń przy boku. Nagle przystanęła, podejrzliwie marszcząc brwi... Jakim cudem ten ciężko ranny skurwiel otworzył bagażnik, odkręcił podnośnik, dowlóknął się do kierownicy i go tam wsadził?

Frazier zaczęła się rozglądać.

Dostrzegła niewyraźną smugę z prawej, usłyszała świst i ułamek sekundy później w jej nadgarstek uderzył klucz do kół. Broń wyleciała jej z dłoni i od stóp do głów przeszył ją straszliwy ból. Kobieta wrzasnęła i osunęła się na kolana, lewą ręką sięgając po pistolet. Kiedy zdołała go chwycić, Geneva jeszcze raz się zamachnęła i z głuchym trzaskiem trafiła ją kluczem w ramię. Frazier runęła na ziemię, a broń wysliznęła się jej z palców. Oślepiąca bólem i wściekłością, rzuciła się na dziewczynę i podcięła ją, zanim ta zdążyła wymierzyć kolejny cios. Geneva upadła, czując, jak powietrze uchodzi jej z płuc.

Kobieta odwróciła się w stronę, gdzie wylądował pistolet, ale Geneva, krztusząc się, podczołgała się bliżej, złapała ją za prawą rękę i z całej siły ugryzła w zgruchotany przegub. Ból jak błyskawica rozdarł jej ciało. Frazier zamachnęła się drugą ręką, trafiając dziewczynę prosto w szczękę. Geneva wydała rozpaczliwy okrzyk i zalana łzami runęła na wznak. Frazier stanęła na chwiejnych nogach, trzymając się za krwawiący nadgarstek. Kopnęła dziewczynę w brzuch. Geneva wstrząsnęły torsje.

Z trudem utrzymując równowagę, Frazier szukała pistoletu, który leżał trzy metry dalej. Nie potrzebuję go. Klucz zupełnie wystarczy. Kipiąc gniewem, podniosła go i ruszyła naprzód.

Popatrzyła na dziewczynę z nieskrywaną nienawiścią i uniosła nad głowę metalowy pręt. Geneva skuliła się, zasłaniając twarz dłońmi.

Nagle za plecami Frazier rozległ się krzyk:

- Nie!

Frazier odwróciła się i zobaczyła rudowłosą policjantkę z domu kaleki, która wolno szła w jej stronę, trzymając oburącz wielki automat.

Alina Frazier zerknęła na leżący obok rewolwer.

- Tylko daj mi pretekst - powiedziała policjantka. - Niczego więcej nie chcę.

Frazier rzuciła klucz i czując nagłą słabość, ciężko osunęła się na ziemię. Siedziała, ściskając zgruchotaną rękę.

Policjantka podeszła bliżej i kopniakiem odsunęła broń i klucz. Geneva wstała chwiejnie i ruszyła w stronę biegnących do niej dwóch sanitariuszy. Pokazała im, żeby najpierw poszli po jej ojca.

Ze łzami bólu w oczach Frazier zażądała:

- Potrzebuję lekarza.

- Będziesz musiała poczekać w kolejce - mruknęła policjantka i zatrzasnęła jej na przegubach plastikowe kajdanki. Zważywszy na okoliczności, Frazier uznała, że zrobiła to nadzwyczaj delikatnie.

- Jego stan jest stabilny - obwieścił Lon Sellitto. Rozmawiał właśnie przez telefon z funkcjonariuszem oddelegowanym do szpitala Columbia-Presbyterian. - Nie bardzo wiedział, co to znaczy, ale wam przekazuję. Rhyme przyjął wiadomość o Jaksie Jacksonie skinieniem głowy. Cokolwiek oznaczał „stabilny stan”, przynajmniej facet przeżył, z czego Rhyme niezmiernie się cieszył ze względu na Geneve.

Dziewczynie opatrzone stłuczenia i otarcia, po czym pozwolono jej opuścić szpital.

Zdążyli ją uratować przed współpracowniczką Boyda w ostatniej chwili. Sprawdziwszy numery samochodu, do którego wsiadła dziewczyna z ojcem, Mel Cooper ustalił, że auto jest zarejestrowane na niejaką Alinę Frazier. Kiedy szybko zajrzał do NCIC i stanowych baz danych, okazało się, że jest notowana: zarzut o nieumyślne spowodowanie śmierci w Ohio, dwa napady z bronią w rękę w Nowym Jorku i mnóstwo przestępstw popełnionych w młodości.

Sellitto nadał komunikat o poszukiwaniu sedana Frazer. Krótco potem funkcjonariusz z drogówki zameldował, że widziano samochód niedaleko placu rozbiórki w południowym Harlemie. Ktoś z okolicy zgłosił, że słyszał strzały. Amelia Sachs wskoczyła do camaro i pognęła na miejsce, gdzie znalazła Alinę Frazier, która właśnie miała zatłuc Geneve na śmierć.

Frazier została przesłuchana, ale okazała się równie nieskora do współpracy jak jej współnik. Rhyme przypuszczał, że zanim zdradziłaby Thompsona Boyda, musiałyby się głęboko zastanowić ze względu na jego więzienne powiązania.

Czy Geneva była wreszcie bezpieczna? Najprawdopodobniej tak. Dwoje morderców pod kluczem, główny sprawca poszatkwany w wybuchu. Sachs przeszukała mieszkanie Aliny Frazier, lecz znalazła tylko broń i gotówkę - żadnej informacji, która mogłaby wskazywać, że ktoś jeszcze chciał zabić Geneve Settle. Jon Earle Wilson, były skazaniec z New Jersey, który skonstruował pułapkę z kryjówki Boyda w Queens, miał niebawem zostać przywieziony do Rhyme'a i kryminalistyk liczył, że potwierdzi ich wnioski. Mimo to Rhyme i Bell postanowili dać Genevie do ochrony jednego funkcjonariusza w radiowozie.

Nagle zabrzączał komputer i Mel Cooper spojrzał na ekran. Otworzył e-mail.

- Ach, wyjaśniła się tajemnica.

- Która? - spytał szorstko Rhyme. Jego zmienny humor zwykle psuł się pod koniec sprawy, kiedy na horyzoncie pojawiała się nuda.

- „Winskinkie”.

Indiańskie słowo z sygnetu znalezionego na kości pod ruinami gospody „Potters' Field”. - No i?

- Wiadomość od profesora z Uniwersytetu Marylandu. Poza dosłownym tłumaczeniem z języka Indian Delaware, „Winskinkie” był tytułem używanym w Tammany Society.

- Tytułem?

- To był ktoś w rodzaju funkcjonariusza porządkowego. Boss Tweed nosił tytuł Wielkiego Sachema, czyli głównego wodza. A ten nasz... - wskazał czaszkę i kości znalezione przez Sachs w zbiorniku - był Winskinkie, odźwiernym.

- Tammany Hall... - Rhyme zadumał się, sięgając myślą wstecz, do sepiowych obrazów dziewiętnastowiecznego Nowego Jorku. - A Tweed bywał w „Potters' Field”. Czyli to pewnie on stał za wrobieniem Charlesa w kradzież.

Poleciał Cooperowi dodać najnowsze odkrycia do tablicy dowodów. Potem przez parę chwil czytał informacje. Pokiwał głową.

- Fascynujące.

Sellitto wzruszył ramionami.

- Koniec sprawy, Line. Mordercy siedzą. Terrorysta nie żyje. Jak coś, co się zdarzyło sto lat temu, może być fascynujące?

- Prawie sto czterdzieści lat temu, Lon. Bądźmy ściśli. - W skupieniu wpatrywał się w tablice i

mapy oraz spokojną twarz Wisielca. - A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: dobrze wiesz, jak nie lubię niewyjaśnionych szczegółów.

- Dobra, ale co tu jeszcze wyjaśniać?

- O jakim to szczególe zapomnieliśmy w ferworze walki, jeśli wolno znów wkroczyć na pole minowe frazeologii, Lon?

- Poddaję się - mruknął Sellitto.

- O tajemnicy Charlesa Singletona. Nawet jeżeli nie ma ona nic wspólnego z konstytucją ani terrorystami, to przynajmniej ja marzę, żeby ją poznać. Myślę, że powinniśmy się dowiedzieć, co to było.

MIEJSCE:

WRAK WYSADZONEJ FURGONETKI

Furgonetka zarejestrowana na Bani Ibn Dahaba (patrz profil).

Rozwoziła jedzenie do restauracji kuchni bliskowschodniej i wózków ulicznych.

Odzyskano list, którego autor bierze odpowiedzialność za zamach bombowy na giełdę jubilerską. Papier identyczny z użytym w poprzednich dokumentach.

Odzyskano składniki bomby: ślady tovenu, przewody, bateria, detonator radiowy, części pojemnika, karton UPS.

MIEJSCE: DOM I GŁÓWNA KRYJÓWKA THOMPSONA BOYDA

Podobnie jak poprzednio, falafel i jogurt, ślady pomarańczowej farby.

Gotówka (zapłata za zlecenie?) 100 000 dolarów w nowych banknotach. Nie do wykrycia. Prawdopodobnie podjęte z banku w mniejszych kwotach.

Broń (pistolety, pałka, sznur) taka sama jak użyta w poprzednich miejscach.

Kwas i cyjanek zidentyfikowane takie same jak w poprzednich miejscach, brak znaczników producenta.

Brak telefonu komórkowego. Bilingi telefonu stacjonarnego nieprzydatne.

Narzędzia zidentyfikowane ze śladami z poprzednich miejsc.

List z informacją, że G. Settle miała zginąć, bo była świadkiem przygotowań do napadu na dom jubilerski. Ślad czystego węgla - zidentyfikowanego jako pył diamentowy.

Wysłany do Parkera Kincaida w Waszyngtonie w celu analizy dokumentu. Ojczystym językiem autora jest najprawdopodobniej arabski.

Bomba domowej roboty, element pułapki. Odciski palców wskazują na Jona Earle'a Wilsona, skazanego konstruktora bomb.

Zlokalizowany. W drodze do Rhyme'a na przesłuchanie.

MIEJSCE:

„POTTERS' FIELD” (1868)

Gospoda w Gallows Heights - w XIX w. na Upper West Side, w mieszanej dzielnicy.

W „Potters' Field” bywali podobno Boss Tweed i skorumpowani politycy nowojorscy.

Charles zjawił się tam 15 lipca 1868 r.

Gospoda spaliła się w wyniku wybuchu, przypuszczalnie tuż po wizycie Charlesa. Chciał ukryć swoją tajemnicę?

Ciało mężczyzny w piwnicy, przypuszczalnie zabitego przez Charlesa Singletona.

Strzał w czoło z colta Navy.36 załadowanego kulą kalibru.39 (taki rodzaj broni posiadał Charles).

Złote monety.

Mężczyzna był uzbrojony w derringera.

Tożsamość nieznana.

Miał sygnet z wygrawerowanym słowem „Winskinkie”.

Słowo w języku Indian Delaware oznacza „stróża” lub „dozorcę”.

Poszukiwanie innego znaczenia.

Tytuł Bossa Tweeda, członka organizacji politycznej Tammany Hall.

PROFIL NS 109

Ustalono tożsamość: Thompson G. Boyd, były funkcjonariusz nadzorujący egzekucje z Amarillo w st. Teksas.

Obecnie aresztowany.

PROFIL ZLECENIODAWCY NS 109

Bani Ibn Dahab, Saudyjczyk, przebywający w kraju nielegalnie po upływie terminu ważności wizy.

Nie żyje.

Po przeszukaniu mieszkania nie znaleziono żadnych związków z terrorystami. Obecnie sprawdzanie połączeń telefonicznych.

Badanie jego pracodawców pod kątem powiązań z terrorystami.

PROFIL WSPÓLNIKA NS 109

Ustalono, że nie był nim podejrzewany uprzednio mężczyzna, ale Alina Frazier, obecnie aresztowana.

Po przeszukaniu mieszkania znaleziono broń i gotówkę, nic istotnego dla sprawy.

PROFIL CHARLESA SINGLETONA

Były niewolnik, przodek G. Settle. Żonaty, miał syna. Dostał od swojego pana sad w stanie Nowy Jork. Pracował także jako nauczyciel. Odegrał jakąś rolę w ruchu na rzecz praw obywatelskich.

W 1868 r. Charles rzekomo popełnił kradzież, o czym mówi artykuł na skradzionej mikrofiszce.

Podobno znał tajemnicę, być może związaną ze sprawą. Bał się, że jej ujawnienie wywoła tragedię.

Brał udział w spotkaniach w dzielnicy Nowego Jorku, Gallows Heights.

Zaangażowany w jakąś niebezpieczną działalność?

Pracował z Frederickiem Douglasssem i innymi na rzecz ratyfikacji XIV Poprawki do Konstytucji.

Przestępstwo według relacji w „Coloreds’ Weekly Illustrated”:

Charles aresztowany przez det. Williama Simmsa za kradzież dużej kwoty z Funduszu Wyzwoleńców w Nowym Jorku. Włamał się do sejfu, widziany przez świadka krótko po zdarzeniu. Niedaleko znaleziono jego narzędzia. Większą część pieniędzy odzyskano. Został skazany na pięć lat więzienia. Brak informacji o jego losach po wyroku skazującym. Przypuszczano, że uzyskał dostęp do funduszu dzięki powiązaniom z działaczami na rzecz praw obywatelskich.

Korespondencja Charlesa: List 1, do żony: na temat rozruchów związanych z poborem w 1863 r., fala wrogości przeciw czarnym w stanie Nowy Jork, lincze, podpalenie. Nieruchomości należące do czarnych znalazły się w niebezpieczeństwie. List 2, do żony: Charles bierze udział w bitwie pod

Appomattox pod koniec wojny secesyjnej.

List 3, do żony: zaangażowany w ruch na rzecz praw obywatelskich. Wskutek swojej działalności dostaje pogróżki. Martwi się swoją tajemnicą.

List 4, do żony: poszedł do „Potters’ Field” szukać „sprawiedliwości”. Próba zakończyła się katastrofą. Przyczyną jego rozpacz jest tajemnica.

Część V

Tajemnica wyzwolenia

piątek, 12 października - piątek, 26 października

Rozdział 33

Pięćdziesięcioletni biały mężczyzna w garniturze Brooks Brothers siedział w jednym ze swoich dwóch biur na Manhattanie, głęboko się nad czymś zastanawiając. Tak czy nie?

Musiał rozstrzygnąć ważną kwestię - życia i śmierci.

Szczupły i wysportowany William Ashberry junior rozsiadł się na skrzypiącym krześle i spojrzał na horyzont New Jersey. Gabinet nie był tak stylowy i elegancki jak biuro na dolnym Manhattanie, ale bardziej mu się podobał. Pomieszczenie o wymiarach sześć metrów na dziewięć znajdowało się w historycznej rezydencji Sanforda na Upper West Side, należącej do banku, w którym piastował wysokie stanowisko.

Rozmyślał: Tak? Nie?

Ashberry był finansistą i przedsiębiorcą dawnej szkoły, co oznaczało na przykład, że zignorował szybujące w górę notowania spółek internetowych i mógł spać spokojnie, kiedy nastąpił ich równie gwałtowny spadek; gdy inni lizali rany po klęsce, on musiał tylko pocieszać klientów, którzy nie posłuchali jego rad. Dzięki temu, że nie ulegał przelotnym modom i inwestował wyłącznie w pewne papiery - głównie w nowojorski rynek nieruchomości - Sanford Bank and Trust i sam Ashberry znacznie powiększyli stan swoich kont.

Stara szkoła, owszem, lecz tylko do pewnego stopnia. Och, prowadził styl życia, jaki zapewniały mu roczne dochody w wysokości ponad miliona dolarów, i cieszył się z pozycji na Wall Street, kilku domów, członkostwa w prestiżowych klubach golfowych, ładnych i dobrze wykształconych córek, koneksji w instytucjach charytatywnych, które wraz z żoną chętnie wspierali. W częstych podróżach zagranicznych niezwykle przydatny okazał się prywatny grumman.

Ale Ashberry nie był typową postacią z listy „Forbesa”. Gdyby przyjrzeć się dokładniej sympatycznemu biznesmenowi, można było zobaczyć prawie tego samego chłopaka z południowej

Filadelfii, którego ojciec ciężko harował w fabryce, a dziadek fałszował księgi i zajmował się znacznie poważniejszą robotą dla Angela „Łagodnego Dona” Bruna, a potem dla Phila „Kurczaka” Testy’ego. Ashberry też zadawał się z rodziną, zdobywając kasę sprytem i siłą, robiąc rzeczy, które prześladowałyby go przez resztę życia, gdyby nie dopilnował, aby zostały na zawsze pogrzebane. Ale w wieku dwudziestu kilku lat miał na tyle przytomności umysłu, by zdać sobie sprawę, że jeśli nadal będzie się kręcił po Dickson Street i Reed Street w Filadelfii, zajmując się tylko lichwą i wymuszaniem haraczy, nie czeka go w życiu nic poza garścią drobnych na stek w bułce i prawdopodobną odsiadką. Gdyby jednak robił to samo w świecie biznesu i kręcił się po Broadwayu i Upper West Side, czeka go niewyobrażalna fortuna i cholernie wysokie stanowisko w Albany albo Waszyngtonie. Kto wie, może nawet spróbuje zająć miejsce po Franku Rizzo? Czemu nie?

Zaczął więc studiować wieczorowo prawo, potem zdobył koncesję na handel nieruchomościami i wreszcie pracę w banku Sanforda - zaczął od posady kasjera, a potem piął się coraz wyżej. I rzeczywiście pojawiły się pieniądze: z początku płynęły wolno, później coraz szerszym strumieniem. Wkrótce został szefem najbardziej dynamicznego działu banku, zajmującego się rynkiem nieruchomości, i miażdżył przeciwników - w samym banku i poza nim - nie przebierając w środkach. Potem udało mu się zająć stołek szefa Fundacji Sanforda, instytucji filantropijnej działającej przy banku, która, jak się przekonał, najlepiej otwierała drogę do świata polityki.

Jeszcze raz zerknął na Jersey, zastanawiając się nad trudnym pytaniem i odruchowo pocierając dłonią muskularne udo, wyćwiczone dzięki tenisowi, joggingowi, golfowi, żeglarsztwu. Tak czy nie?

Zycie i śmierć...

Bill Ashberry, który jedną nogą na zawsze pozostał na Siedemnastej Ulicy w południowej Filadelfii, grał tylko z twardymi zawodnikami.

Takimi jak na przykład Thompson Boyd.

Dostał jego nazwisko od podpalacza, który przed kilku laty popełnił ogromny błąd, podkładając ogień pod jeden z budynków handlowych należących do Ashberry’ego - i został przyłapany. Kiedy Ashberry zorientował się, że musi zabić Geneve Settle, wynajął prywatnego detektywa, żeby odnalazł zwolnionego warunkowo podpalacza, któremu zapłacił dwadzieścia tysięcy za kontakt z zawodowym mordercą. Żaloszny niechluj (Chryste, kto się dzisiaj czesze „na płetwę”?) zasugerował mu Boyda. Zawodowiec zrobił na nim duże wrażenie. Był przerażający, ale nie w stylu rzucających mięsem twardzieli z Filadelfii. Przerażający był jego absolutny spokój i opanowanie. W jego oczach nie sposób było dostrzec cienia emocji, z jego ust nie padało żadne przekleństwo.

Bankier wyjaśnił, na czym polega zadanie, po czym ustalili wysokość wynagrodzenia - ćwierć miliona dolarów (nawet kwota nie wywołała żadnej reakcji Boyda; bardziej zainteresowała go - trudno powiedzieć, by podnieciła - perspektywa zabicia młodej dziewczyny, jak gdyby nigdy przedtem tego nie robił).

Przez pewien czas wszystko wskazywało na to, że Boyd bez kłopotów wykona zadanie i Ashberry pozbędzie się kłopotu.

Potem jednak nastąpiła katastrofa: Boyd i jego współpracowniczka, ta Frazier, trafili za kratki.

Dlatego Ashberry musiał sobie odpowiedzieć na pytanie: czy powinien sam zabić Geneve Settle?

Jak przy każdym przedsięwzięciu biznesowym rozważał ryzyko. Mimo osobowości zombi, Boyd był równie bystry jak przerażający. Znał się na zadawaniu śmierci, znał się także na tajnikach prowadzenia śledztwa i wiedział, jak wykorzystać motyw do zmylenia policji. Wymyślił kilka fałszywych tropów. Pierwszym był gwałt, ale tym motywem gliny nie dały się zwieść. Drugi wybieg był znacznie subtelniejszy. Boyd zasiał ziarno tam, gdzie w dzisiejszych czasach najłatwiej było o plon: zasugerował związek z terroryzmem. Razem ze swoją współpracowniczką znaleźli jakiegoś biednego arabusa, który woził bliskowschodnie jedzenie do restauracji i wózków ulicznych niedaleko giełdy jubilerskiej, budynku naprzeciw muzeum, w którym miała zginąć Geneva Settle. Boyd znalazł restaurację, gdzie pracował, i ustalił, która furgonetka należy do niego. Razem ze współpracowniczką spreparował kilka śladów, które miały świadczyć, że Arab jest terrorystą planującym zamach bombowy i kazał zabić Geneve, bo widziała go podczas przygotowań do ataku.

Boyd wyciągnął ze śmieci za giełdą parę arkuszy papieru biurowego. Na jednym narysował mapę, a na drugim napisał krótki list łamaną angielszczyzną z arabskimi naleciałościami (pomogła mu w tym strona internetowa o języku arabskim), który miał zmylić gliny. Boyd zamierzał podrzucić fałszywe dowody na miejscu zbrodni, ale efekt okazał się jeszcze lepszy: policja znalazła je w kryjówce Boyda, co dodawało wiarygodności motywowi terrorystycznemu. Razem ze współpracowniczką zostawili na listach resztki wschodniego jedzenia i wydzwaniali do FBI z automatów w okolicy giełdy, zgłaszając fałszywe alarmy bombowe.

Na tym Boyd planował poprzestać, gdy nagle w fundacji zjawiała się ta cholerna policjantka - detektyw Sachs - i chciała zajrzeć do archiwum! Ashberry świetnie pamiętał, jak podczas rozmowy z rudowłosą pięknoscią starał się za wszelką cenę zachować spokój. Pozwolił jej pomyszkować wśród regałów w suterenie, ale całą siłą woli musiał się powstrzymać, by nie popędzić na dół i nie spytać jej, czego właściwie szuka. Ryzykowałby jednak, że wzbudzi podejrzenia. Zgodził się, by zabrała jakieś materiały, a kiedy potem spojrzał na ich listę, nie zauważył nic niepokojącego.

Mimo to obecność rudowłosej w fundacji i fakt, że chciała sprawdzić jakieś materiały, wskazywały, że gliny nie łyknęły motywu terrorystycznego. Ashberry natychmiast zadzwonił do Boyda i kazał mu uwiarygodnić podstęp. Morderca kupił bombę od tego samego podpalacza, który skontaktował go z Ashberrym. Podrzucił ją w furgonetce razem z listem do „Timesa”, pełnego złożeń pod adresem syjonistów. Zaraz potem Boyd został aresztowany, ale bombę zdetonowała jego współpracowniczka - Murzynka z Harlemu - i wreszcie do glin dotarło: to miał być akt terrorystyczny.

A skoro arabus nie żył, policja przestała ochraniać dziewczynę.

Co dało Alinie Frazier okazję dokończenia zadania.

Ale policja znów okazała się sprytniejsza i Frazier też została złapana.

Główne pytanie brzmiało więc: czy policja uwierzyła, że po śmierci zleceniodawcy i

aresztowaniu płatnych morderców dziewczynie nie grozi już żadne niebezpieczeństwo?

Uznał, że być może gliny nie są do końca przekonane, ale na pewno zmniejszą czujność.

Jaki jest zatem poziom ryzyka, gdyby się jednak zdecydował?

Minimalny.

Geneva Settle zginie.

Teraz potrzebował tylko dobrej okazji. Boyd mówił, że dziewczyna wyprowadziła się z mieszkania w zachodnim Harlemie i schroniła się gdzie indziej. Ashberry mógł ją odnaleźć tylko przez szkołę.

Wstał, wyszedł z biura i bogato zdobioną windą zjechał na dół. Na Broadwayu znalazł budkę telefoniczną („Zawsze z automatu, nigdy z prywatnego telefonu i przenigdy z komórki”). Dzięki, Thompson).

W informacji zapytał o numer i zadzwonił.

- Szkoła imienia Langstona Hughesa - powiedziała jakaś kobieta.

Zerknął na bok przejeżdżającej furgonetki dostawczej i powiedział:

- Mówi detektyw Steve Macy z policji. Chciałbym rozmawiać z kimś z administracji.

Po chwili przełączono go do zastępcy dyrektora.

- Czym mogę służyć? - zapytał zmęczony mężczyzna. Ashberry słyszał w tle kilkanaście innych głosów. (Szczerze nie cierpiał szkół i żałował każdej minuty, jaką w nich spędził).

Przedstawił się jeszcze raz i dodał:

- Prowadzę dochodzenie w sprawie zdarzenia, w którym uczestniczyła jedna z uczennic. Geneva Settle.

- Ach tak, była świadkiem, zgadza się?

- Tak. Muszę jeszcze dziś po południu dostarczyć jej pewne dokumenty. Prokurator okręgowy zamierza oskarżyć kilka osób zamieszanych w sprawę i potrzebujemy jej podpisu na zeznaniu. Mogę z nią rozmawiać?

- Oczywiście. Proszę poczekać. - Zastępca dyrektora zapytał kogoś o plan lekcji dziewczyny. Ashberry usłyszał coś o nieobecności. Po chwili w słuchawce ponownie odezwał się jego rozmówca. - Nie ma jej dzisiaj w szkole. Będzie w poniedziałek.

- Och, jest w domu?

- Chwileczkę...

Jakiś inny głos powiedział coś do administratora.

Proszę, pomyślał Ashberry.

Zastępca dyrektora wrócił do rozmowy.

- Jeden z jej nauczycieli przypuszcza, że dziś po południu może być w Columbii. Przygotowuje jakąś pracę.

- Na Uniwersytecie Columbia?

- Tak. Niech pan spróbuje się skontaktować z profesorem Mathersem. Niestety, nie znam imienia.

Administrator wydawał się bardzo zajęty, ale żeby mieć pewność, że nie zadzwoni do policji, aby go sprawdzić, Ashberry odparł obojętnym tonem:

- Chyba po prostu zadzwonię do funkcjonariuszy, którzy jej pilnują. Dziękuję.

- Do widzenia.

Ashberry odwiesił słuchawkę i przez chwilę patrzył na zatłoczoną ulicę. Chciał tylko zapytać o jej adres, lecz nadarzała się lepsza okazja; zastępca dyrektora nie wydawał się zaskoczony, gdy Ashberry wspomniał o ochronie, co oznaczało, że wciąż jej pilnują. Będzie musiał wziąć ten fakt pod uwagę. Zadzwonił do centrali Columbii, gdzie się dowiedział, że profesor Mathers jest na uczelni od pierwszej do szóstej.

Ciekawe, jak długo Geneva tam będzie? Miał nadzieję, że przez większą część dnia. Miał jeszcze dużo do zrobienia.

O wpół do piątej po południu William Ashberry jechał swoim bmw M5 przez Harlem, rozglądając się wokół. Nie myślał o dzielnicach w kategoriach rasowych czy kulturalnych. Widział drżące w niej możliwości. Oceniał wartość człowieka wyłącznie na podstawie zdolności do terminowej spłaty długów, a z punktu widzenia własnych interesów głównie na podstawie tego, czy ktoś potrafił wysupłać na czas ratę dzierżawną albo ratę kredytu hipotecznego udzielonego na któreś z przedsięwzięć budowlanych w Harlemie finansowanych przez bank Sanforda. Nieważne, czy kredyt brał Murzyn, Latynos, biały czy Azjata, diler narkotyków czy szef agencji reklamowej... jeśli co miesiąc podpisywał czek.

Na Sto Dwudziestej Piątej minął budynek remontowany przez swój bank. Graffiti już zeszkrobano, dom wypatroszono, na parterze leżały materiały budowlane. Dawnych lokatorów zachęcono do przeprowadzki. W przypadku niektórych trzeba było użyć mocniejszych środków perswazji, aby zrozumieli, że powinni jednak opuścić dom. Mimo że prace miały się zakończyć dopiero za pół roku, podpisano już kilka umów na wynajem za bardzo wysokie czynsze.

Ashberry skrzył w zatłoczoną ulicę handlową, patrząc na sprzedawców. Nie mieli tego, czego potrzebował. Kontynuował poszukiwania - ostatnie zadanie dzisiejszego bardzo intensywnego popołudnia. Po wyjściu z biura Fundacji Sanforda bankier pomknął do swojego domu weekendowego w New Jersey. Tam otworzył szafkę na broń i wyciągnął dwulufową śrutówkę. W garażu odpiłował część luf, skracając broń do czterdziestu centymetrów - okazało się to zaskakująco ciężką pracą, która kosztowała go pół tuzina brzeszczotów. Wrzucając odcięte lufy do stawku za domem, Ashberry przystanął i spojrzał na taras, gdzie w przyszłym roku miał się odbyć ślub jego najstarszej córki, kiedy dziewczyna ukończy Vassar.

Stał dość długo, przyglądając się blaskowi słońca tańczącemu na zimnej niebieskiej powierzchni wody. Potem załadował obrzyna, razem z kilkunastoma nabojami włożył go do kartonowego pudła i przykrył starymi książkami, gazetami i czasopismami. Nie potrzebował innych rekwizytów; profesor i Geneva nie zdążą nawet zajrzeć do pudła.

Ubrany w niedobrane do siebie spodnie i marynarkę, z zaczesanymi do tyłu włosami i w tanich okularach do czytania - w najlepszym przebraniu, jakie mógł wymyślić - Ashberry wrócił przez most Waszyngtona do Harlemu, gdzie szukał teraz ostatniego rekwizytu.

No, nareszcie...

Zaparkował i wysiadł z samochodu. Podeszedł do sprzedawcy i kupił kufie, muzułmańskie nakrycie głowy. Handlarz nie zdradził najmniejszych oznak zdziwienia. Ashberry wziął kufie dłońmi w rękawiczkach (jeszcze raz dziękuję, Thompson) i wrócił do samochodu. Kiedy nikt go nie widział, pochylił się i przejechał kufie po ziemi za budką telefoniczną, gdzie, jak przypuszczał, w ciągu dnia musiało stać wiele osób. Do czapeczki przyczepi się ziemia i inne ślady - przy odrobinie szczęścia może nawet czyjś włos - które powinny dać policji więcej fałszywych dowodów na udział terrorystów w zbrodni. Wnętrzem kufii przetarł słuchawkę telefonu, aby zebrać ślinę i pot do analizy DNA. Następnie wrzucił ją do kartonu, wsiadł do auta i pojechał na Morningside Heights do kampusu uniwersyteckiego.

Znalazł budynek, w którym mieściło się biuro Mathersa. Zauważył zaparkowany przed nim radiowóz i siedzącego w nim policjanta, który bacznie rozglądał się po ulicy. A więc dziewczyna nadal miała ochronę.

Ashberry uznał, że powinien sobie poradzić. Wychodził cało z gorszych opresji - na ulicach południowej Filadelfii i w salach konferencyjnych na Wall Street. Największą przewagę daje zaskoczenie - jeżeli robi się coś nieoczekiwanego, znacznie zwiększa się własne szanse.

Nie zatrzymując się, pojechał dalej, zawrócił i zaparkował za budynkiem, gdzie samochód był dobrze ukryty i ustawiony przodem w stronę autostrady, by mógł stąd jak najszybciej uciec. Ashberry wysiadł i rozejrzał się wokół. Tak, powinno się udać. Podejdzie z boku i wśliźnie się przez drzwi do środka, kiedy policjant będzie patrzył w drugą stronę.

Natomiast ucieczka... budynek miał tylne wyjście. I dwa okna na parterze. Jeśli gliniarz wbiegnie do środka, gdy tylko usłyszy strzały, Ashberry zastrzeli go z okna od frontu. Powinien zdążyć podrzucić kufie i wrócić do samochodu, zanim zjawi się więcej policji.

Znalazł automat telefoniczny. Zadzwoił do centrali.

- Uniwersytet Columbia - usłyszał.

- Proszę z profesorem Mathersem.

- Chwileczkę.

Odezwał się głos z murzyńskim akcentem.

- Halo?

- Profesor Mathers?

- Przy telefonie.

Przedstawiając się jako Steve Macy, Ashberry wyjaśnił, że jest pisarzem z Filadelfii i zbiera materiały w Bibliotece Lehmana - instytucji uniwersyteckiej, której zbory poświęcone były naukom społecznym i dziennikarstwu (Fundacja Sanforda przekazała sporo pieniędzy różnym szkołom i bibliotekom. Ashberry chodził tam na imprezy charytatywne i mógł dokładnie opisać Bibliotekę Lehmana). Poinformował go, że jeden z bibliotekarzy powiedział mu o badaniach profesora Mathersa nad historią dziewiętnastowiecznego Nowego Jorku, w szczególności nad okresem Rekonstrukcji. Czy to prawda?

Profesor zaśmiał się zaskoczony.

- Istotnie, tym się zajmuję. Ale to nie dotyczy mojej pracy naukowej. Pomagam pewnej uczennicy. Właśnie u mnie jest.

Dzięki Bogu. Dziewczyna jeszcze tam była. Wreszcie z tym skończę i będę mógł spokojnie żyć.

Ashberry powiedział, że przywiózł z Filadelfii dużo materiałów. Czy profesor i jego podopieczna zechcą się z nimi zapoznać?

Mathers odparł, że bardzo chętnie, podziękował mu i spytał, kiedy ewentualnie pan Macy mógłby go odwiedzić.

Kiedy Bill Ashberry miał siedemnaście lat, przyłożył pewnego razu nóż do uda starszego sklepikarza, przypominając mu, że spóźnił się z opłatą za ochronę. Oświadczył mu, że jeśli natychmiast nie zapłaci całej sumy, zrobi mu po jednym nacięciu za każdy dzień zwłoki. Miał wówczas tak samo spokojny głos jak w tym momencie, gdy powiedział do Mathersa:- Dziś wieczorem wyjeżdżam, ale mógłbym wpaść teraz. Mógłby pan zrobić kopie. Ma pan ksero?

- Owszem, mam.

- Będę za kilka minut.

Ashberry odłożył słuchawkę. Potem sięgnął do pudła i odbezpieczył obrzyn. Następnie dźwignął karton i ruszył w kierunku budynku przez wirujące w powietrzu jesienne liście, które zimny wiatr unosił w górę jak miniaturowy cyklon.

Rozdział 40

Profesor Mathers?

- Pan Steve Macy, jeśli się nie mylę? - Ubrany w niemodną tweedową marynarkę i muszkę profesor siedział za stertami papierów, które pokrywały całe biurko.

Uśmiechnął się do niego.

- Tak.

- Jestem Richard Mathers. A to Geneva Settle.

Niewysoka nastolatka, o skórze tak samo ciemnej jak skóra profesora, skinęła mu głową i z zainteresowaniem spojrzała na karton. Była taka młoda. Naprawdę mógł ją zabić?

Potem wyobraził sobie ślub córki na tarasie letniego domu, a potem przemknęło mu kilka myśli: o mercedesie AMG, który chciała żona, o członkostwie w klubie golfowym w Augustacie, o dzisiejszych planach wieczoru w „UEtoile”, której „New York Times” przyznał niedawno trzy gwiazdki.

I znał już odpowiedź.

Ashberry postawił pudło na podłodze. Z ulgą zauważył, że w gabinecie nie ma żadnych gliniarzy. Ucisnął dłoń profesora. I zaraz pomyślał: Kurwa, mogą przecież zdjąć odciski z ciała. Już po wszystkim będzie musiał wytrzeć mu ręce. (Pamiętał, co mówił mu Thompson Boyd: przy śmierci trzeba zawsze ściśle przestrzegać zasad, inaczej w ogóle lepiej się do tego nie zabierać).

Ashberry uśmiechnął się do dziewczyny. Nie podał jej ręki. Rozejrzał się po gabinecie, oceniając kąty strzału.

- Przepraszam za bałagan - powiedział Mathers.

- U mnie wygląda to niewiele lepiej - odrzekł z cichym śmiechem. Pokój był pełen książek, czasopism i ułożonych w sterty fotokopii. Na ścianie wisiały liczne dyplomy. Wynikało z nich, że Mathers nie jest profesorem historii, ale prawa. I chyba dość znanym. Ashberry zobaczył zdjęcie profesora w towarzystwie Billa Clintona i drugie z byłym burmistrzem Giulianim. Oglądając fotografie, znów poczuł wyrzuty sumienia, lecz nikłe, nie większe niż znikający punkcik na ekranie. Ashberry zachował zupełny spokój, choć wiedział, że jest w jednym pokoju z dwojgiem martwych ludzi.

Przez kilka minut opowiadał dość ogólnikowo o szkołach i bibliotekach w Filadelfii, nie

wspominając o konkretnym przedmiocie swoich badań. Przeszedł do ofensywy, pytając profesora:

- Co takiego właściwie studiujecie?

Mathers przekazał głos Genevie, która wyjaśniła, że próbują się czegoś dowiedzieć o jej przodku, Charlesie Singletonie, byłym niewolniku.

- To strasznie dziwne - powiedziała. - Policja myślała, że ma związek z jakimiś przestępstwami, które wtedy popełniono. Okazało się, że to kit, to znaczy nieprawda, Jesteśmy ciekawi, co się z nim potem stało. Chyba nikt nie wie.

- Zobaczymy, co pan dla nas ma - rzekł Mathers, robiąc miejsce na niskim stoliku przed biurkiem.
- Pójdę po krzesło.

Teraz, pomyślał Ashberry. Serce zabiło mu mocniej. Przypomniawszy sobie nóż wbijający się w ciało sklepikarza i rany, jakie mu wtedy zadał. Wtedy prawie nie słyszał jego wrzasków.

Przypomniawszy sobie wszystkie lata katorżniczej pracy, dzięki której osiągnął swoją pozycję.

Przypomniawszy sobie martwe oczy Thompsona Boyda.

I w jednej chwili się uspokoił.

Kiedy Mathers wyszedł na korytarz, bankier wyjrzał przez okno. Policjant wciąż siedział w samochodzie, piętnaście metrów od budynku, a mury były tak grube, że mógł w ogóle nie usłyszeć strzałów. Od Genevy oddzielało go tylko biurko. Pochylił się, szperając w papierach w kartonie. Złapał obrzyn.

- Znalazł pan jakieś zdjęcia? - zapytała Geneva. - Chciałabym zobaczyć, jak wtedy wyglądała dzielnica.

- Chyba mam kilka. Mathers wracał do gabinetu.

- Może kawy? - zawołał z korytarza.

- Nie, dziękuję. Teraz!

Zaczął się prostować, wyciągając strzelbę z pudła, ale trzymając ją poza zasięgiem wzroku Genevy.

Wycelował w drzwi, kładąc palec na spuście.

Ale coś było nie tak. Mathers nie wracał.

Ashberry poczuł, że coś metalowego dotyka jego ucha.

- Williamie Ashberry, jesteś aresztowany. Mam broń. - To był głos dziewczyny, choć brzmiał

zupełnie inaczej niż przed chwilą. Doroślej. - Odłóż strzelbę na biurko. Powoli.

Ashberry zamarł.

- Ależ...

- Mówię o śrutówce. Odłóż ją. - Dziewczyna szturchnęła go w głowę pistoletem. - Jestem policjantką. Użyję broni.

Boże, nie... to pułapka!

- Słuchaj, rób, co ci każe. - To był głos profesora, tyle że to wcale nie był Mathers, ale też dubler, gliniarz udający profesora. Ashberry zerknął na bok. Policjant wszedł do gabinetu bocznymi drzwiami. Na szyi miał legitymację FBI. W dłoni też trzymał pistolet. Jak w ogóle na to wpadli? - pomyślał z obrzydzeniem Ashberry. - I żebyś nie ruszył lufą ani na milimetr, rozumiemy się?

- Nie będę powtarzać - powiedziała spokojnie dziewczyna. - Zrób, co mówię.

Wciąż się nie ruszał.

Ashberry pomyślał o swoim dziadku gangsterze, o matce, o wrzeszczącym sklepikarzu, o ślubie swojej córki. Co by zrobił Thompson Boyd? Postąpiłby ściśle według zasad i się poddał.

Kurwa, nie ma mowy. Ashberry kucnął i obrócił się błyskawicznie, unosząc strzelbę. Ktoś krzyknął:

- Nie!

Było to ostatnie słowo, jakie usłyszał.

Rozdział 41

Niezły widok - powiedział Thom.

Lincoln Rhyme zerknął przez okno na Hudson, na bazaltowe skały na drugim brzegu i odległe wzgórza New Jersey. Może i Pensylwanii. Natychmiast się odwrócił z miną, która mówiła, że panoramiczne widoki i zachwycający się nimi ludzie śmiertelnie go nudzą.

Byli w Fundacji Sanforda, w gabinecie nieżyjącego Williama Ashberry'ego na ostatnim piętrze rezydencji Hiram Sanforda przy Osiemdziesiątej Drugiej Zachodniej. Wall Street wciąż oswajała się z wiadomością o śmierci bankiera i jego udziale w paru zbrodniach popełnionych w ciągu kilku ostatnich dni. Oczywiście machina finansowa nie przestała działać; w porównaniu ze zdradą, której dopuścili się wobec akcjonariuszy i pracowników szefowie na przykład Enronu czy Global Crossing, śmierć nieuczciwego szefa rentownego przedsiębiorstwa nie zrobiła na nikim szczególnego wrażenia.

Amelia Sachs przeszukała już biuro i znalazła dowody łączące Ashberry'ego z Boydem, a także odgrodziła taśmą niektóre części pomieszczenia. Spotkanie odbywało się w otwartej części,

wyłożonej palisandrową boazerią i z witrażowymi oknami.

Obok Rhyme'a i Thoma siedziała Geneva Settle w towarzystwie Wesleya Goadesa. Rhyme przypomniał sobie z rozbawieniem, że w pewnym momencie podejrzewał Goadesa o współudział w zbrodni - z powodu jego nieoczekiwanego pojawienia się w domu Rhyme'a, gdy szukał Genevy, a także z powodu Czternastej Poprawki: adwokat mógł mieć istotny powód, by zadbać, aby nic nie zagrażało najważniejszej broni strażników swobód obywatelskich. Rhyme zastanawiał się też, czy do zdrady Genevy nie doprowadziła Goadesa lojalność wobec dawnych pracodawców z firmy ubezpieczeniowej.

Ale nie podzielił się swoimi podejrzeniami z adwokatem, dlatego wszelkie przeprosiny były nie na miejscu. Kiedy Rhyme i Sachs odkryli, że sprawa przybrała zupełnie nieoczekiwany obrót, kryminalistyk zasugerował, by do kolejnej odsłony śledztwa zaangażować Goadesa. Oczywiście Geneva Settle skwapliwie go poparła.

Po drugiej stronie marmurowego stolika siedzieli Gregory Hanson, prezes Sanford Bank and Trust, jego asystentka Stella Turner oraz starszy wspólnik firmy prawniczej Sanforda, szczupły, czterdziestokilkuletni adwokat, Anthony Cole. Wyczuwało się ich niepokój, który wzbudził zapewne popołudniowy telefon Rhyme'a z propozycją spotkania w „sprawie Ashberry'ego”.

Hanson się zgodził, dodając szybko, że jak wszyscy jest wstrząśnięty jego śmiercią w strzelaninie, jaka wydarzyła się przed kilkoma dniami na Uniwersytecie Columbia. Wiedział o niej - a także o napadzie na giełdę jubilerską i zamachu terrorystycznym - tylko tyle, ile przeczytał w gazetach. Czego właściwie chce od niego policja i Rhyme?

- Odpowiedzi na kilka rutynowych pytań - wygłosił standardową formułkę Rhyme.

Kiedy już wymieniono uprzejmości, Hanson zapytał:

- Zechce nam pan powiedzieć, o co właściwie chodzi?

Rhyme od razu przystąpił do sedna. Wyjaśnił, że William Ashberry wynajął Thompsona Boyda, płatnego mordercę, by zabił Geneve Settle.

Trzy pary przerażonych oczu spoczęły na szczupłej dziewczynie. Geneva spokojnie zniosła ich spojrzenia.

Ashberry, ciągnął kryminalistyk, uznał, że absolutnie nikt nie może poznać przyczyny, dla której dziewczyna miała zginąć, dlatego wraz z Boydem sfabrykowali kilka fałszywych motywów. Pierwotnie morderstwo miało wyglądać na próbę gwałtu. Rhyme od razu jednak przejrzał tę mistyfikację, a w trakcie poszukiwań zabójcy on i jego zespół poznał prawdziwy, jak sądził, powód morderstwa: Geneva mogła rozpoznać terrorystę planującego zamach.

- Tu jednak pojawiły się pewne kłopoty. Po śmierci zamachowca zagrożenie powinno zniknąć. Tak się jednak nie stało. Wspólniczka Boyda jeszcze raz próbowała zabić Geneve. O co chodziło? Odnaleźliśmy człowieka, który sprzedał Boydowi bombę, podpalacza z New Jersey. Aresztowało go

FBI. Ustalono, że jest w posiadaniu kilku banknotów, które pochodziły z kryjówki Boyda. Stał się więc współnikiem morderstwa i poszedł na ugodę. Powiedział nam, że skontaktował Boyda z Ashberrym i...

- Ale zamach terrorystyczny... - powiedział sceptycznym tonem adwokat, śmiejąc się drwiąco. - Bill Ashberry i terroryści? To wy...

- Zaraz do tego dojdę - odparł równie drwiąco Rhyme. Może nawet bardziej. Kontynuował: zeznanie konstruktora bomby nie było wystarczającym powodem wystawienia nakazu aresztowania Ashberry'ego. Dlatego Rhyme i Sellitto uznali, że muszą go sprowokować. Wysłali do szkoły Genevy funkcjonariusza, który udawał zastępcę dyrektora. Każdemu, kto pytałby przez telefon o Geneve, miał mówić, że jest na wydziale prawa uniwersytetu u pewnego profesora. Prawdziwy profesor zgodził się użyczyć im nie tylko swego nazwiska, ale także biura. Rolę profesora i uczniacy chętnie zgodzili się odegrać Fred Dellray i Jonette Monroe, zakonspirowana policjantka pracująca w szkole Genevy. Szybko zorganizowali zasadzkę, przygotowując nawet komputerowy fotomontaż zdjęć Dellraya z Billem Clintonem i Rudym Giulianim, aby Ashberry nie zaczął podejrzewać pułapki i nie uciekł.

Rhyme opowiedział o tym Hansonowi i Cole'owi, dodając informację o próbie morderstwa w gabinecie Mathersa.

Pokręcił głową.

- Powinienem się domyślić, że sprawca ma związek z jakimś bankiem. Udało mu się podjąć dużą ilość gotówki i sfalszować wyciągi. Ale... - Rhyme spojrział na adwokata - ...po co to wszystko robił? Przypuszczam, że protestanci nie są dobrym materiałem na fundamentalistów planujących zamachy terrorystyczne.

Nikt się nie uśmiechnął. Bankierzy i prawnicy, pomyślał Rhyme - za grosz poczucia humoru.

- Jeszcze raz przejrzałem dowody - ciągnął - i zauważyłem coś dziwnego: nie było nadajnika radiowego, którym zdetonowano bombę. Powinien być we wraku furgonetki, ale go nie było.

- Dlaczego? Jedyne wnioski mógł być taki, że Boyd i jego współpracownicy podłożyli bombę i zostawili sobie nadajnik, żeby zabić arabskiego dostawcę i odwrócić naszą uwagę od prawdziwego motywu planowanego morderstwa Genevy.

- Prawdziwego motywu - rzekł Hanson. - Czyli?

- Musiałem się nad tym zastanowić. Mogło chodzić o to, że Geneva widziała nielegalną eksmisję lokatorów, kiedy usuwała graffiti ze starego budynku przeznaczonego do remontu. Zbadałem jednak to zdarzenie i okazało się, że bank Sanforda nie miał udziałów w tamtej budowie. Co więc nam zostało? Trzeba było wrócić do naszych pierwotnych założeń...

Opowiedział o ukradzionym przez Boyda numerze „Coloreds' Weekly Illustrated”.

- Zapomniałem, że ktoś jeszcze pytał o to czasopismo, zanim jeszcze Geneva rzekomo zobaczyła furgonetkę i kierowcę. Podejrzewam, że Ashberry natknął się na ten artykuł, kiedy w zeszłym

miesiącu Fundacja Sanforda odnawiała archiwum. Zbadał sprawę i odkrył coś niepokojącego, co mogło mu zrujnować całe życie. Pozbył się egzemplarza fundacji i postanowił zniszczyć wszystkie egzemplarze tego numeru. Przez kilka tygodni udało mu się znaleźć większość - ale pozostał jeden: bibliotekarz w muzeum afroame-rykańskim na środkowym Manhattanie, szukając czasopisma w magazynie, musiał powiedzieć Ashberry'emu, że pewna dziewczyna przypadkiem też interesuje się tym właśnie numerem. Ashberry wiedział, że musi zniszczyć artykuł i zabić Geneve i bibliotekarza, bo mógłby skojarzyć jedno z drugim.

- Wciąż jednak nie rozumiem dlaczego - rzekł Cole, adwokat. Jego sarkazm przerodził się już w irytację.

Rhyme wyjaśnił ostatni element zagadki: opowiedział historię Charlesa Singletona, wspominając o podarowanej mu przez pana farmie i o kradzieży z Funduszu Wyzwoleńców - a także o tajemnicy byłego niewolnika.

- To właśnie odpowiedź, dlaczego Charles w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku został wplątany w kradzież. I dlaczego Ashberry musiał zabić Geneve.

- Tajemnica? - spytała Stella, asystentka prezesa.

- Och, tak. Wreszcie ją rozszyfrowałem. Przypomniałem sobie o czymś, co powiedział mi ojciec Genevy. Mówił, że Charles uczył w bezpłatnej afrykańskiej szkole i sprzedawał cydr robotnikom budującym łodzie przy tej samej drodze. - Rhyme pokręcił głową. - Przyjąłem pewną hipotezę. Wiedzieliśmy, że jego farma była w stanie Nowy Jork... bo tak było. Ale nie na północy stanu, jak wcześniej sądziliśmy.

- Nie? Wobec tego gdzie? - zapytał Hanson.

- Łatwo się domyślić - ciągnął Rhyme - jeżeli pamiętamy, że w mieście działały farmy do końca dziewiętnastego wieku.

- To znaczy, że jego farma była na Manhattanie? - spytała Stella.

- Właśnie - odparł Rhyme. - Ściśle mówiąc, dokładnie pod tym budynkiem.

Rozdział 42

Znaleźliśmy rysunek Gallows Heights z dziewiętnastego wieku, na którym widać trzy czy cztery duże porośnięte drzewami działki. Granice jednej z nich pokrywały się z tym kwartałem i sąsiednimi. Po drugiej stronie drogi stała darmowa szkoła afrykańska. Czyżby to w tej szkole uczył? A nad Hudsonem... - Rhyme zerknął przez okno - w tej okolicy, przy Osiemdziesiątej Pierwszej, był suchy dok i stocznia. Czy to możliwe, że tam właśnie pracowali robotnicy, którym Charles sprzedawał cydr? - Ale czy działka należała do niego? Można się było tego dowiedzieć w bardzo prosty sposób. Thom sprawdził w rejestrze aktów notarialnych na Manhattanie i znalazł zapis przeniesienia tytułu własności na Charlesa, dokonanego przez jego pana. Owszem, działka była jego własnością. Wówczas wszystko się wyjaśniło. Pamiętają państwo wzmianki o spotkaniach w Gallows Heights - z

politykami i działaczami na rzecz praw obywatelskich? Odbywały się w domu Charlesa. To właśnie była jego tajemnica - że miał piętnaście akrów pierwszorzędnej ziemi na Manhattanie.

- Ale dlaczego to była tajemnica? - spytał Hanson.

- Och, nie miał odwagi nikomu powiedzieć, że jest właścicielem. Oczywiście bardzo chciał. Dlatego tak go to dręczyło: był dumny, że należy do niego duża farma w mieście. Wierzył, że może być wzorem dla innych wyzwolenców. Pokazać im, że mogą być traktowani jak pełnoprawni ludzie i cieszyć się szacunkiem. Że mogą posiadać i uprawiać ziemię, należeć do społeczności. Widział jednak rozruchy związane z poborem do wojska, linczowanie czarnych, podpalenie. Dlatego udawali z żoną, że są tylko gospodarzami farmy. Bał się, że jeśli ktoś pozna prawdę, może zniszczyć jego ziemię. Albo - co bardziej prawdopodobne - ukraść.

- I tak się właśnie stało - powiedziała Geneva.

- Gdy Charlesa skazano - ciągnął Rhyme - cały jego majątek, w tym i ziemia, został skonfiskowany i sprzedany... Tak, to bardzo ładnie wygląda w teorii: komuś postawiono fałszywe zarzuty, żeby ukraść jego majątek. Ale czy był na to jakiś dowód? Trudne zadanie odnaleźć coś po stu czterdziestu latach - to dopiero zimna sprawa... Otóż dowód był. Sejfy Exeter Strongbow - do takiego Charles rzekomo się włamał w Funduszu Wyzwolenców - produkowano w Anglii, więc zadzwoniłem do znajomego ze Scotland Yardu. Zapytał ślusarza, który stwierdził, że do dziewiętnastowiecznego sejfu Exeter nie sposób byłoby się włamać przy użyciu młotka i dłuta, które znaleziono na miejscu zbrodni. Gdyby nawet ktoś miał napędzane parą wiertła, jakich wówczas używano, rozprucie sejfu musiałoby trwać ze cztery godziny - a w artykule o kradzieży napisano, że Charles spędził w środku zaledwie dwadzieścia minut.

Następny wniosek: kradzieży dokonał ktoś inny, potem podrzucił narzędzia Charlesa i przekupił świadka, aby ten zeznał, że widział tam Charlesa. Sądzę, że prawdziwym złodziejem był człowiek, którego szczątki znaleźliśmy w piwnicy gospody „Potters’ Field”. - Opowiedział o pierścieniu z napisem „Winskinkie” i jego właścicieli, który należał do maszyny korupcyjnej Tammany Hall. - Był jednym z kompanów Bossa Tweeda. Innym był William Simms, detektyw, który aresztował Charlesa. Simmsa oskarżono później o łapownictwo i podrzucanie podejrzanym fałszywych dowodów. Za skazaniem Charlesa stali Simms, „Winskinkie” oraz sędzia i prokurator. I to oni zatrzymali resztę pieniędzy, których nie odzyskano.

Ustaliliśmy więc, że Charles był właścicielem dużej działki w Gallows Heights i został wplątany w przestępstwo, żeby ktoś mógł ją ukraść. - Rhyme uniósł brew. - Jak brzmi następne logiczne pytanie? Najważniejsze?

Nie było chętnych do zgadywania.

- To oczywiście: kim, do diabła, był sprawca? - prychnął Rhyme. - Kto okradł Charlesa? Jeśli założyć, że motywem była kradzież farmy, wystarczyło się tylko dowiedzieć, kto uzyskał tytuł własności ziemi.

- Kto to był? - spytał Hanson, zaniepokojony, lecz wyraźnie przejęty dramatem z przeszłości.

Jego asystentka wygładziła spódnicę.

- Boss Tweed? - podsunęła.

- Nie. Jego współpracownik. Człowiek, którego regularnie widywano w gospodzie „Potters’ Field” w towarzystwie innych niesławnych postaci tamtej epoki - Jima Fiska, Jaya Goulda i detektywa Simmsa. - Zerknął po kolei na wszystkie siedzące naprzeciw osoby. - Nazywał się Hiram Sanford.

Kobieta spojrzała na niego w zdumieniu.

- Założyciel naszego banku?

- Ten sam.

- To niedorzeczne - oznajmił Cole. - Jak mógłby to zrobić? Przecież był filarem społeczności Nowego Jorku.

- Tak jak William Ashberry? - zakpił kryminalistyk. - Świat biznesu niewiele się różnił od dzisiejszego. Prowadzono mnóstwo spekulacji finansowych - w jednym ze swoich listów Charles cytował „Tribune”, która pisała o „krachu złudzeń” na Wall Street. Koleje żelazne stanowiły odpowiednik dzisiejszych spółek internetowych. Cena ich akcji była przeszacowana, co w końcu doprowadziło do katastrofy. Sanford prawdopodobnie stracił swoją fortunę i Tweed zgodził się go poratować. Ale nie byłby Tweedem, gdyby nie chciał do tego wykorzystać cudzych pieniędzy. Dlatego we dwóch wrobili Charlesa w kradzież i Sanford kupił sad na sfinansowanej licytacji za ułamek wartości. Zburzył dom Charlesa i zbudował rezydencję, w której właśnie siedzimy. - Wskazał głową na okno. - A potem on i jego spadkobiercy zabudowali całą ziemię i sprzedali kawałek po kawałku.

- Czy Charles nie mówił, że jest niewinny, nie powiedział, co się naprawdę stało? - zapytał Hanson.

- Były niewolnik przeciw rasistowskiej maszynie demokratów Tammany Hall? - zadrwił Rhyme. - Na co mógłby liczyć? Poza tym w gospodzie zabił człowieka.

- A więc był mordercą - zauważył natychmiast adwokat.

- Oczywiście, że nie - warknął Rhyme. - Potrzebował żywego pana „Winskinkie”, żeby mógł zaświadczyć o jego niewinności. Zabił w obronie własnej. Ale Charles nie miał innego wyjścia i musiał ukryć ciało. Gdyby je znaleziono, zostałby powieszony.

Hanson pokręcił głową.

- Jedna rzecz w tym wszystkim nie ma sensu: w jaki sposób to, co Hiram Sanford zrobił sto czterdzieści lat temu, miałyby dotknąć Billa Ashberry’ego? Poza tym, że źle wpłynęłoby na wizerunek firmy - założyciel banku kradnie majątek byłemu niewolnikowi... z tego mogłoby być najwyżej dziesięć paskudnych minut w wieczornych wiadomościach. Ale szczerze mówiąc, mamy

speców od public relations, którzy potrafią odkręcać takie rzeczy. Za to nie warto nikogo zabijać.

- Ach. - Rhyme pokiwał głową. - Bardzo dobre pytanie... Przeprowadziliśmy małe badania. Ashberry kierował oddziałem nieruchomości, zgadza się?

- Owszem.

- I gdyby oddział padł, straciłby pracę i większość fortuny?

- Tak przypuszczam. Ale dlaczego oddział miałby paść? To nasza najbardziej rentowna jednostka.

Rhyme zerknął na Goadesa.

- Pański ruch.

Adwokat zerknął na siedzące naprzeciwko osoby, lecz zaraz opuścił głowę. Nie potrafił po prostu utrzymać kontaktu wzrokowego. W przeciwieństwie do Rhyme'a nie miał w zwyczaju wygłaszać uszczypliwych uwag przeplatanych dygresjami. Powiedział tylko:

- Chcemy państwa poinformować, że panna Settle zamierza złożyć pozew przeciw bankowi o restytucję poniesionej przez siebie straty.

Hanson zmarszczył brwi i zerknął na Cole'a, który spojrzał na nich współczująco.

- Sądząc po przedstawionych tu faktach, roszczenia wobec banku za poniesione straty moralne raczej nie mają podstaw. Kłopot w tym, że pan Ashberry działał na własną rękę, nie jako członek zarządu banku. Nie jesteśmy odpowiedzialni za jego postępowanie. - Posłał Goadesowi spojrzenie, które można było odczytać jako protekcyjne. - Jak zapewne potwierdzi państwa znakomity doradca.

Ale bardzo ci współczujemy z powodu tego, co przeszłaś - dodał szybko Hanson, zwracając się do Genevy. Zabrzmiało to szczerze. Stella Turner przytaknęła. - Postaramy ci się to wynagrodzić. - Uśmiechnął się do niej. - Przekonasz się, że potrafimy być hojni.

Jego adwokat dodał to, co musiał:

- W granicach rozsądku.

Rhyme przyjrzał się uważnie prezesowi banku. Gregory Hanson wyglądał dość sympatycznie. Mimo pięćdziesięciu kilku lat, zachował chłopięcy wygląd i łagodnie się uśmiechał. Należał pewnie do urodzonych biznesmenów, którzy są porządnymi szefami i dobrymi ojcami, kompetentnie wypełniają swoje obowiązki, pracują do późna dla dobra swoich akcjonariuszy, za pieniądze firmy latają klasą turystyczną, pamiętają o urodzinach pracowników.

Kryminalistyk odczuwał niemal wyrzuty sumienia z powodu tego, co miało nastąpić.

Wesley Goades nie miał jednak żadnych skrupułów i bez ogródek oświadczył:

- Panie Hanson, strata, o której mówimy, nie ma związku z próbą zamordowania panny Settle przez członka zarządu pańskiej firmy - bo tak określamy ten czyn, a nie „stratami moralnymi”. Nie, panna Settle zamierza wnieść pozew w imieniu spadkobierców Charlesa Singletona, aby odzyskać własność skradzioną przez Hiram Sanforda, a także otrzymać odszkodowanie finansowe...

- Chwileczkę - szepnął prezes, śmiejąc się niepewnie.

- ...finansowe w wysokości równej czynszom i zyskom, jakie bank osiągnął z tytułu posiadania majątku od daty sądowego przeniesienia tytułu własności. - Zajrzał do dokumentu. - Czyli od czwartego sierpnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku. Środki te zostaną przekazane w zarząd powierniczy i pod nadzorem sądowym wypłacone wszystkim potomkom pana Singletona. Nie znamy jeszcze ostatecznej kwoty. - Wreszcie Goades uniósł wzrok i spojrzął w oczy Hansonowi. - Ale szacujemy jej wysokość na blisko dziewięćset siedemdziesiąt milionów dolarów.

Rozdział 43

Za to William Ashberry był gotów zabić - wyjaśnił Rhyme. - Aby utrzymać w tajemnicy kradzież majątku Charlesa. Gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, a jego spadkobiercy wystąpiliby o odszkodowanie, to byłby koniec oddziału nieruchomości, być może doszłoby do bankructwa całego banku Sanforda.

- Och, to jakiś absurd - wyrzucił z siebie adwokat z drugiego końca stołu. Siedzący naprzeciw siebie prawnicy byli wysocy i chudzi, ale Cole był bardziej opalony. Rhyme podejrzewał, że Wesley Goades rzadko pojawia się na kortach tenisowych czy polach golfowych. - Spójrzcie przez okna. Cały teren działki jest zabudowany! Każdy centymetr kwadratowy.

- Nie wysuwamy roszczeń do budynków - rzekł Goades, jak gdyby to było oczywiste. - Chcemy tylko tytuł własności ziemi oraz kwoty czynszów, jakie wpłynęły z tytułu jej użytkowania.

- Przez sto czterdzieści lat?

- To nie nasza wina, że Sanford wtedy okradł Charlesa.

- Ależ większość ziemi została sprzedana - powiedział Hanson. - Do banku należą dwie kamienice w tym kwartale i ta rezydencja.

- Naturalnie zamierzamy wszcząć postępowanie w celu ujawnienia dochodów czerpanych z własności nielegalnie odsprzedanej przez bank.

- Przecież rozporządzamy parcelami od ponad stu lat.

- Powtarzam, to już nie nasz kłopot - powiedział do stołu Goades.

- Nie - warknął Cole. - Nie ma mowy.

- Panna Settle jest bardzo powściągliwa w swoich roszczeniach o odszkodowanie. Można bez trudu udowodnić, że bez majątku jej przodka wasz bank upadłby jeszcze w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku i że ma prawo do waszych dochodów czerpanych z działalności na całym świecie. Ale o to nie zamierzamy się starać. Panna Settle nie chce, aby za bardzo ucierpieli na tym obecni akcjonariusze banku.

- Co za wspaniałomyślność - mruknął adwokat.

- To była jej decyzja. Ja skłaniałem się raczej do likwidacji banku. Cole nachylił się nad stołem.

- Posłuchaj pan, nie lepiej jednak zejść na ziemię? Nie macie nic w ręku. Sprawa uległa przedawnieniu. Wyrzuciliby was po prostu z sądu.

- Zauważył pan - odezwał się Rhyme, nie mogąc się powstrzymać - że ludzie zawsze na początku sięgają po najslabszy argument?... Przepraszam za wtręt.

- Jeśli chodzi o kwestię przedawnienia - odparł Goades - możemy udowodnić, że sprawa została zawieszona i mamy prawo wytoczyć proces na podstawie zasad słuszności.

Adwokat wyjaśnił wcześniej Rhyme'owi, że w niektórych wypadkach termin wytoczenia procesu może być „zawieszony” - czyli przedłużony - jeśli podsądny ukryje fakt popełnienia przestępstwa, aby ofiary się nie dowiedziały, że do niego doszło, albo gdy nie mogą wnieść skargi, jeżeli sąd i prokuratorzy są w zмовie z oskarżonym, jak to się zdarzyło w przypadku Singletona. Goades powtórzył to teraz.

- Cokolwiek zrobił Hiram Sanford - zauważył Cole - to nie ma nic wspólnego z moim klientem - obecnym bankiem.

- Prześledziliśmy koleje własności banku aż do Sanford Bank and Trust Limited, który przejął tytuł własności farmy Singletona. Sanford wykorzystał bank jako przykrywkę... na nieszczęście dla was. - Jak na człowieka, który nigdy się nie uśmiecha, Goades powiedział to niemal wesoło.

Cole nie zamierzał się poddawać.

- Jaki macie dowód, że własność miała być dziedziczona przez rodzinę? Ten Charles Singleton mógł sprzedać ziemię za pięćset dolarów i roztrwonić pieniądze.

- Mamy dowód, że zamierzał utrzymać farmę. - Rhyme zwrócił się do Genevy. - Co Charles napisał w liście?

Dziewczyna nie musiała zaglądać do żadnych notatek.

- W liście do żony pisał, że nigdy nie chciał sprzedawać farmy. Napisał: „Pragnę, aby ziemię w nienaruszonym stanie odziedziczył nasz syn, a po nim jego potomstwo; rzemiosła i zawody są niepewne i zmienne, rynki finansowe bywają kapryśne, ale ziemia to najtrwalszy dar Boga - a dzięki farmie nasza rodzina zyska poważanie w oczach tych, którzy dziś nas nie szanują. Farma będzie

zbawieniem dla naszych dzieci i następnych pokoleń”.

- Proszę tylko pomyśleć, jak zareaguje na to ława przysięgłych. Ani jedno oko nie pozostanie suche - rzekł Rhyme.

Cole ze złością pochylił się w stronę Goadesa.

- Och, wiem już, o co tu chodzi. Chce pan z niej zrobić ofiarę. Ale to zwykły szantaż. Tak jak cała reszta tych dętych odszkodowań za niewolnictwo. Przykro mi, że Charles Singleton był niewolnikiem. Przykro mi, że on czy jego ojciec, czy kto inny, został tu przywieziony wbrew własnej woli. - Cole machnął ręką, jakby odganiał muchę, i spojrzał na Geneve. - Młoda damo, to było bardzo dawno temu. Mój pradziadek zmarł na pylicę. I jakoś nie wytoczyłem procesu West Virginia Coal and Shale, szukając łatwych pieniędzy. Wasz lud musi się jakoś z tym pogodzić. I żyć dalej. Jeżeli będziecie tracić tyle...

- Chwileczkę - warknął Hanson. On i jego asystentka spiorunowali adwokata wzrokiem.

Cole oblizał wargi i zaraz się wyprostował.

- Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Powiedziałem „wasz lud”. Ale nie miałem na myśli... - Patrzył na Wesleya Goadesa.

Ale odezwała się Geneva.

- Panie Cole, myślę tak samo. I naprawdę wierzę w to, co powiedział Frederick Douglass. „Ludzie może nie dostaną wszystkiego, na co zapracują, ale z pewnością muszą zapracować na wszystko, co dostają”. Nie chcę żadnych łatwych pieniędzy.

Adwokat spojrzał na nią niepewnie. Po chwili opuścił wzrok. Geneva mówiła dalej.

- Wie pan, rozmawiałam o Charlesie z moim ojcem. Dowiedziałam się o nim wielu rzeczy. Na przykład tego, że jego dziadek został porwany przez handlarzy niewolników, wywieziony z ziem Jorubów i wysłany do Wirginii. Ojciec Charlesa umarł, kiedy miał czterdzieści dwa lata, bo jego pan sądził, że taniej będzie kupić młodszego niewolnika, niż wyleczyć starego z zapalenia płuc. Matkę Charlesa sprzedano na plantację w Georgii, kiedy Charles miał dwanaście lat i nigdy więcej jej już nie zobaczył. Ale wie pan co? - dodała spokojnie. - Za to nie domagam się ani grosza. Nie. To bardzo proste. Charlesowi odebrano to, co kochał. A ja zrobię wszystko, żeby złodziej za to zapłacił.

Cole znów bąknął jakieś przeprosiny, ale geny prawnika nie pozwoliły mu zrezygnować z walki o dobro klienta. Zerknął na Hansona i rzekł:

- Doceniam to, co powiedziałaś i w związku z czynem pana Ashberry’ego proponujemy ugodę. Ale roszczenia do własności? Na to nie możemy się zgodzić. Nie wiemy nawet, czy masz prawo wytaczać proces. Jaki masz dowód, że naprawdę jesteś krewną Charlesa Singletona?

Lincoln Rhyme podjechał wózkiem bardzo blisko stołu.

- Może czas zapytać, po co się tu w ogóle fatygowałem? Cisza.

- Jak państwo zapewne przypuszczają, rzadko opuszczam dom. Czemu zatem odbyłem tak długą podróż?

- Lincoln - skarcił go Thom.

- Dobrze, dobrze. Przejdę do sedna. Dowód rzeczowy A.

- Jaki dowód? - zdumiał się Cole.

- To taka żartobliwa uwaga. List. - Spojrzał na Geneve, która otworzyła plecak i wyciągnęła z niego teczkę. Położyła na stole kserokopię.

Reprezentanci banku Sanforda spojrzeli na kartkę.

- List Singletona? - spytał Hanson.

- Ładne pismo - zauważył Rhyme. - W tamtych czasach ludzie przywiązywali do tego wagę. Nie tak jak dziś, te gryzmoły i komputery... Przepraszam, dość dygresji. Oto jak się przedstawia sprawa: jeden z moich kolegów, Parker Kincaid z Waszyngtonu, na moją prośbę porównał ten list ze wszystkimi istniejącymi próbkami pisma Charlesa Singletona, łącznie z dokumentami zachowanymi w archiwach w Wirginii. Parker jest byłym pracownikiem FBI - ekspertem grafologii, do którego zwracają się inni eksperci, gdy mają wątpliwości związane z jakimś dokumentem. Złożył oświadczenie pod przysięgą, że pismo jest identyczne ze znanymi próbkami pisma Singletona.

- Dobrze - przytaknął Cole. - Mamy list. I co z tego?

- Geneva - rzekł Rhyme. - Co Charles napisał? Dziewczyna znów wyrecytowała z pamięci:

- „Moje łzy - te plamy na liście, najdroższa - nie są jednak łzami cierpienia, a łzami żalu z powodu nieszczęścia, jakie na nas sprowadziłem”.

- Na oryginalnym liście są plamy - wyjaśnił Rhyme. - Przeanalizowaliśmy je i znaleźliśmy lizozym, lipokalinę i laktoferynę - białka, jeśli są państwo ciekawi - a także różne enzymy, lipidy i metabolity. Wraz z wodą tworzą ludzkie łzy... Nawiasem mówiąc, wiedzieli państwo, że skład łez zależy od tego, czy uroniono je z bólu, czy z powodu silnego wzruszenia? Powodem tych łez - wskazał głową dokument - było silne wzruszenie. Mogę to udowodnić. Podejrzewam, że to także poruszy ławę przysięgłych.

Cole westchnął.

- Przeprowadził pan test i DNA odpowiada DNA panny Settle. Rhyme wzruszył ramionami i po raz kolejny dziś powtórzył:

- Oczywiście.

Hanson spojrział na Cole'a, który patrzył to na list, to na notatki. Prezes powiedział do Genevy:

- Milion dolarów. Wypiszę natychmiast czek na milion dolarów, jeśli ty i twój opiekun podpiszecie oświadczenie o zrzeczeniu się roszczeń.

- Panna Settle zamierza domagać się restytucji w wysokości faktycznych strat - na rzecz wszystkich spadkobierców Charlesa Singletona, nie tylko dla siebie. - Znów na moment utkwiał wzrok w prezesie banku. - Jestem pewien, że nie sugerował pan, by kwota trafiła tylko do niej i stanowiła rodzaj zachęty, aby panna Settle odstąpiła od poinformowania krewnych o tym, co się wydarzyło.- Nie, oczywiście, że nie - zapewnił go szybko Hanson. - Proszę mi pozwolić omówić to z zarządem. Ustalimy ugodową kwotę.

Goades zebrał papiery i wcisnął do plecaka.

- Za dwa tygodnie składam pozew. Jeżeli będzie chciał pan porozmawiać o utworzeniu funduszu powierniczego na rzecz osób wysuwających roszczenia, proszę zadzwonić. - Położył na stole wizytówkę.

Kiedy byli przy drzwiach, Cole rzekł:

- Geneva, zaczekaj, proszę. Przepraszam za to, co powiedziałem. Naprawdę. To było... niewłaściwe. Szczerze ci współczuję z powodu tego, co się zdarzyło tobie i twojemu przodkowi. I mam na uwadze twój interes. Pamiętaj jednak, że ugoda będzie najlepszym z możliwych rozwiązań dla ciebie i twoich krewnych. Twój adwokat opowie ci, jaki to może być trudny proces, jaki długi i kosztowny... - Uśmiechnął się. - Zaufaj mi. Jesteśmy po twojej stronie.

Geneva przyjrzała mu się uważnie i odparła:

- Bitwy są te same co zawsze. Po prostu trudniej rozpoznać wroga. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Adwokat najwyraźniej nie miał pojęcia, o co jej chodziło. Rhyme przypuszczał, że to tylko dowodziło słuszności jej słów.

Rozdział 44

W środę rano powietrze było chłodne i przejrzyste jak świeży lód.

Geneva właśnie odwiedziła ojca w szpitalu Columbia-Presbyterian i szła do szkoły imienia Langstona Hughesa. Skończyła wypracowanie na temat „Powrotu do Harlemu”. Książka nie okazała się taka zła (choć i tak wolałaby pisać o Octavii Butler, kurczę, kobieta umiała pisać!) i była dość zadowolona ze swojej pracy.

Najlepsze było jednak to, że Geneva napisała ją w laboratorium pana Rhyme'a na toshibie, którą nauczył ją obsługiwać Thom. Do paru działających komputerów w szkole stała zawsze taka kolejka chętnych, że można było spędzić przy którymś z nich najwyżej piętnaście minut, a co dopiero

napisać na nim wypracowanie. Żeby poszukać materiałów albo sprawdzić jakieś fakty, wystarczyło „zminimalizować” okno edytora i włączyć Internet. Cud. Pracę, którą zwykle pisałaby dwa dni, skończyła w kilka godzin.

Przecinając ulicę, kierowała się w stronę skrótu przez boisko szkoły podstawowej PS 228, dzięki któremu droga ze stacji metra na Ósmej Alei do szkoły Langstona Hughesa trwała parę minut krócej. Łańcuchowe ogrodzenie wokół szkolnego boiska rzucało kraciasty cień na szarobiały asfalt. Szczupła dziewczyna bez trudu prześliznęła się przez szparę w furtce. O tak wczesnej porze boisko było jeszcze puste.

Kiedy uszła może trzy metry, usłyszała głos dobiegający zza ogrodzenia:

- Ej, Gen!

Zatrzymała się.

Na chodniku stała Lakeesha wystrojona w obcisłe zielone spodnie i długą pomarańczową bluzkę opinającą biust. Torba z książkami wisiała niedbale, biżuteria i warkoczyki połyskiwały w słońcu. Miała taką samą ponurą minę jak wtedy, gdy Geneva zobaczyła ją w zeszłym tygodniu, kiedy ta wredna suka Frazier próbowała zabić ją i ojca.

- Hej, gdzie się podziewałaś?

Keesh spojrzała niepewnie na szparę w ogrodzeniu; nie miała szans się tędy przecisnąć.

- Chodź tu.

- Zobaczymy się w szkole.

- Nie. Chce pogadać.

Geneva zawahała się. Mina przyjaciółki mówiła, że chodzi o coś poważnego. Wyszła z boiska przez szparę w furtce i zbliżyła się do dziewczyny. Ruszyły spacerkiem. Idąc obok siebie.

- Gdzie byłaś, Keesh? - Geneva zmarszczyła brwi. - Opuściłaś sobie lekcje?

- Źle się czułam.

- Okres?

- Nie. Mama napisała usprawiedliwienie. - Lakeesha rozejrzała się wokół. - Kto to był ten starszy gościu, co cie z nim wtedy widziałam?

Geneva otwierała już usta, by skłamać, ale powiedziała:

- Mój ojciec. - Nie!

- Bez kitu - zapewniła ją.
- Mówiłaś, że mieszka w Chicago czy coś.
- Mama kłamała. Był w więzieniu. Zwolnili go dwa miesiące temu i przyjechał mnie znaleźć.
- Dzie teraz jest?
- W szpitalu. Został ranny.
- Ale wszystko spoko?
- Tak. Wyjdzie z tego.
- A między wami jak? Gra?
- Może. Prawie go nie znam.
- Kurde, ale to musiała być akcja. Tak sie nagle zjawia nie wiadomo skąd.
- Masz rację.

Wreszcie Keesh zwolniła. Potem stanęła. Geneva spojrzała w oczy przyjaciółki, które uciekały w bok. Dłoń Keesh zniknęła na chwilę w torbie i coś chwyciła.

Chwila wahania.

- Co? - spytała Geneva.
- Masz - szepnęła dziewczyna, szybko wyciągając do niej rękę. W palcach o czarno-białych akrylowych paznokciach w kratkę trzymała srebrny wisiołek z serduszkciem.
- Przecież to... - zaczęła Geneva.
- No, dałaś mi w zeszłym miesiącu na urodziny.
- Oddajesz?
- Nie mogę go zatrzymać, Gen. Będziesz potrzebować franklinów. Możesz go zastawić.
- Nie wygłupiaj się. Przecież to nie od Tiffany'ego.

Oczy dziewczyny, najładniejsza część jej twarzy, zaszklily się łzami. Opuściła rękę.

- W przyszłym tygodniu sie wyprowadzam.
- Wyprowadzasz? Dokąd?

- Do BK.

- Do Brooklynu? Z całą rodziną? Z bliźniakami?

- Oni zostają. Cała rodzina zostaje. - Dziewczyna wbiła wzrok w chodnik.

- O co chodzi, Keesh?

- Powiem ci, co się stało.

- Nie mam nastroju na dramaty - burknęła Geneva. - O czym ty mówisz?

- O Kevinie - ciągnęła cicho Lakeesha.

- O Kevinie Cheaneyu? Keesh skinęła głową.

- Przepraszam. On i ja, rozumiesz, kochamy się, co nie? Znalaz mieszkanie i się do niego wyprowadzam.

Geneva przez chwilę milczała.

- To z nim rozmawiałaś, kiedy dzwoniłam w zeszłym tygodniu? Kiwnęła głową.

- Słuchaj, nie chciałam, ale się stało i już. Zrozum. Zrobiliśmy to. To nie tak, że nie pomyślałam. Wiem, że chcesz z nim być. Ciągłe o nim gadasz, gapisz się. Tak się cieszyłaś, jak cię wtedy odprowadził do domu. Wiedziałam, ale i tak to zrobiłam. Bałam się powiedzieć.

Geneva poczuła zimny dreszcz, który nie miał jednak nic wspólnego z Kevinem, który zniknął z jej serca w chwili, kiedy pokazał swoją prawdziwą twarz na lekcji matematyki.

- Jesteś w ciąży, prawda? - spytała. *Źle się czułam...*

Keesh opuściła głowę, wpatrując się w srebrny wisiołek. Geneva na chwilę zamknęła oczy.

- Który miesiąc?

- Trzeci.

- Umów się z lekarzem. Pójdziemy razem do kliniki. Jej przyjaciółka zmarszczyła brwi.

- Czemu mam to robić? Wcale żem nie chciała go złapać na dziecko. Mówił, że się zabezpieczy, jak będę chciała, ale naprawdę chce mieć ze mną dziecko. Mówi, że to nasza wspólna część.

- Gadanie. Bajerował cię, Keesh. Przyjaciółka zgromiła ją spojrzeniem.

- Nie mów tak.

- Ale to prawda. Zgrywa się. Czegóż od ciebie chce. - Geneva zastanawiała się, o co mu mogło

chodzić. Na pewno nie o stopnie, nie w przypadku Keesh. Pewnie o pieniądze. Wszyscy w szkole wiedzieli, że ciężko pracowała i odkładała każdy grosz. Jej rodzice też zarabiali. Mama od lat pracowała na poczcie, ojciec w CBS, a wieczorami w hotelu Sheraton. Jej brat też pracował. Kevin miał pewnie chrapkę na ich frankliny.

- Pożyczałaś mu jakieś pieniądze? - spytała Geneva. Przyjaciółka spuściła oczy i milczała. Czyli tak.

- Umówiliśmy się przecież. Miałyśmy iść do college'u. Lakeesha pulchnymi dłońmi starła łzy z okrągłej twarzy.

- Gen, ale z ciebie wykręt. Na jakiej planecie żyjesz? Gadamy o college'u i pracy, ale dla mnie to tylko gadanie. Dla ciebie napisać wypracowanie to przyszcz, zdajesz testy i jesteś numer jeden ze wszystkiego. Wiesz, że ze mną jest inaczej.

- To ty chciałaś mieć biznes, pamiętasz? Ja miałam być biednym profesorem, jeść tuńczyka z puszki i chéerio's na kolację. To ty miałaś podbić świat. Co z twoim sklepem? Z programem telewizyjnym? Z klubem?

Keesh pokręciła głową, potrząsając warkoczykami.

- Kurde, dziewczyno, to była zgrywa. Nigdzie nie wyjadę. Będę robić to co teraz - podawać sałatki i hamburgery w „T.G.I. Friday's”. Albo robić warkoczyki i pasemka aż wyj dom z mody. Pewnie za pół roku.

Geneva uśmiechnęła się lekko.

- Zawsze mówiłyśmy, że wróci afro. Keesh roześmiała się.

- Na bank. Wystarczy tylko grzebień i spray. Po co taka artystka jak ja. - Okręciła na palcu swoje blond pasemko, ale zaraz opuściła dłoń, poważniejąc. - Sama szybko zmienię się w starą babę. Nie poradzę sobie bez faceta.

- Kto teraz opowiada bzdury? Kevin cię bajeruje. Nigdy tak nie mówiłaś.

- Zaopiekuje się mną. Będzie szukał pracy. I obiecał, że pomoże zająć się dzieckiem. Jest inny niż jego kumple.

- Nie jest. Nie możesz się poddać, Keesh. Nie rób tego! Przynajmniej nie rzucaj szkoły. Jak naprawdę chcesz mieć dziecko, dobrze, ale nie rzucaj szkoły.

- Nie jesteś moją matką - odburknęła Keesh. - Wiem, co mam robić. - W jej oczach błysnął gniew - widok był tym boleśniejszy, że na jej okrągłej twarzy odmalowała się taka sama wściekłość jak wówczas, kiedy broniła Genevy przed dziewczynami z Delano i St. Nicholas.

Łapać ją, dowalić, dowalić suce...

- Mówi, że nie mogę się więcej z tobą spotykać - dodała cicho Keesh.

- Nie możesz...

- Kevin mówi, że go źle potraktowałaś w szkole.

- Źle potraktowałam! - Parsknęła jadowitym śmiechem. - Chciał, żebym pomogła mu ściągać. Nie zgodziłam się.

- Mówiłam mu, żeby nie pieprzył, bo my zawsze razem, co nie Ale nie chciał słuchać. Powiedział, że nie mogę się już z tobą spotykać.

- A więc wybierasz jego - powiedziała Geneva.

- Nie mam wyboru. - Dziewczyna spuściła wzrok. - Musze ci oddać prezent. Masz. - Wepchnęła Genevie do ręki wisiołek i szybko cofnęła dłoń, jak gdyby dotknęła rozgrzanego czajnika. Łańcuszek upadł na brudny chodnik.

- Keesh, nie rób tego. Proszę!

Geneva sięgnęła po dłoń przyjaciółki, ale jej palce trafiły tylko na chłodne powietrze.

Rozdział 45

Dziesięć dni po spotkaniu w banku Sanforda z prezesem Gregorym Hansonem i jego adwokatem, Lincoln Rhyme rozmawiał przez telefon z Ronem Pulaskim, młodym posterunkowym, który był na zwolnieniu lekarskim, ale za miesiąc miał wrócić do służby. Wracala mu pamięć i pomagał w zbieraniu dowodów przeciw Thompsonowi Boydowi.

- Wybiera się pan na bal z okazji Halloween? - zapytał Pulaski. Po chwili zamilkł i szybko dodał: - Czy coś? - Ostatnie słowa miały zapewne złagodzić gafę, jaką popełnił, pytając tetraplegika, czy idzie na zabawę.

Ale Rhyme uspokoił go, mówiąc:

- Owszem, w przebraniu Glenna Cunninghama. Sachs stłumiła śmiech.

- Naprawdę? - zdziwił się nowy. - A kto to jest?

- Proszę sprawdzić, posterunkowy.

- Tak jest.

Rhyme rozłączył się i spojrzał na główną tablicę dowodów, gdzie u góry była przyklejona dwunasta karta tarota - karta Wisielca.

Kiedy się w nią wpatrywał, odezwał się dzwonek u drzwi.

Pewnie Lon Sellitto. Miał niedługo wrócić ze spotkania z terapeutą. Przestał już pocierać niewidzialną plamkę krwi na policzku i ćwiczyć wyciąganie broni w stylu Billy'ego Kida - choć nikt nie wytłumaczył Rhyme'owi, o co w tym wszystkim chodziło. Próbował spytać Sachs, ale nie potrafiła albo nie chciała za dużo powiedzieć. Nie miał jej tego za złe. Lincoln Rhyme szczerze wierzył, że czasem nie trzeba znać wszystkich szczegółów.

Okazało się jednak, że tym razem gościem nie jest wymięty detektyw.

Rhyme zerknął w stronę drzwi i zobaczył Geneve Settle z torbą na ramieniu.

- Witaj - powiedział.

Sachs też się przywitała, zdejmując okulary ochronne, ponieważ właśnie wypełniała formularze ewidencyjne próbek krwi, które zebrała dziś rano z miejsca zbrodni, gdzie popełniono zabójstwo.

Wesley Goades przygotował już wszystkie dokumenty do pozwu przeciw bankowi Sanforda, poinformował też Geneve, że do poniedziałku powinna się spodziewać realistycznej oferty od Hansona. Jeśli to nie nastąpi, prawnik masowego rażenia ostrzegł przeciwników, że nazajutrz składa pozew. Wydarzeniu miała towarzyszyć konferencja prasowa (zdaniem Goadesa zła sława banku mogła trwać znacznie dłużej niż „paskudne dziesięć minut”).

Rhyme przyjrzał się dziewczynie. Niespotykane ciepła pogoda jak na tę porę roku sprawiła, że bluza i czapka zniknęły, a Geneva miała na sobie dzinsy i koszulkę bez rękawów z błyszczącym napisem „Guess!” z przodu. Trochę przybrała na wadze, miała dłuższe włosy. Zaczęła nawet się malować (Rhyme zastanawiał się, co też się kryło w tej torebce, którą ukradkiem podał jej kiedyś Thom). Dziewczyna wyglądała dobrze.

Zycie Genevy zaczynało się stabilizować. Jax Jackson został wypisany ze szpitala i przechodził fizykoterapię. Dzięki interwencji Sellitta oficjalnie wzięty go pod skrzydła służby nadzoru sądowego i zwolnień warunkowych miasta Nowy Jork. Geneva przeprowadziła się do jego mikroskopijnego mieszkania w Harlemie, co okazało się nie aż tak okropnym doświadczeniem, jak przypuszczała (nie wyznała tego Rhyme'owi ani Rolandowi Bellowi, tylko Thomowi, który matkował dziewczynie, zapraszając ją na lekcje gotowania, oglądanie telewizji i rozmowy o książkach i polityce, co w ogóle nie interesowało Rhyme'a). Kiedy tylko będzie ich stać na większe lokum, mieli do siebie sprowadzić ciocię Lilly.

Dziewczyna przestała podawać hamburgery i po szkole pracowała u Wesleya Goadesa, pełniąc funkcję asystentki i gońca. Pomagała mu też w organizowaniu Funduszu Charlesa Singletona, który miał rozdzielać między spadkobierców wyzwolenca pieniądze z ugody. Geneva nie porzuciła dawnego postanowienia, by przy najbliższej okazji uciec do Rzymu albo Londynu, lecz Rhyme kilka razy słyszał, z jakim przejęciem opowiadała o mieszkańcach Harlemu, których dyskryminowano tylko dlatego, że byli Murzynami, Latynosami, muzułmanami, kobietami albo biedakami.

Uwagę Genevy pochłaniała także jakaś tajemnicza akcja pod kryptonimem „ratowanie koleżanki”, o której niewiele mówiła; jej doradcą w tej sprawie była Amelia Sachs.

- Chciałam wam coś pokazać. - Dziewczyna pokazała arkusz pożółkłego papieru pokrytego pismem, które Rhyme natychmiast rozpoznał.

- Jeszcze jeden list? - spytała Sachs.

Geneva skinęła głową, ostrożnie trzymając kartkę.

- Ciocia Lilly rozmawiała z naszym krewnym w Madison. Przysłał jej kilka rzeczy znalezionych w piwnicy. Zakładkę do książek Charlesa, jego okulary. I kilkanaście listów. Ten chciałam wam pokazać. - Z rozpromienioną twarzą Geneva dodała: - Napisał go w tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym roku, już po wyjściu z więzienia.

- Zobaczmy - powiedział Rhyme.

Sachs włożyła list do skanera i po chwili tekst ukazał się na kilku monitorach w laboratorium. Sachs podeszła do Rhyme'a i położyła mu rękę na ramieniu. Spojrzeli na ekran.

Moja najdroższa Violet

Ufam, że miło spędzasz czas ze swoją siostrą, a Joshua i Elizabeth cieszą się z towarzystwa kuzynów. Trudno mi uwierzyć, że Frederick - który miał zaledwie lat dziewięć, gdy go ostatni raz widziałem - jest już tak wysoki jak jego ojciec.

Z przyjemnością Cię zawiadamiam, że w naszym domu wszystko jest dobrze. James i ja przez cały ranościliśmy lód nad rzeką i składaliśmy w lodowni, a potem przykrywaliśmy bloki trocinami. Następnie pojechaliśmy przez gęsty śnieg na północ, aby obejrzeć sad wystawiony na sprzedaż. Cena jest wysoka, ale wierzę, że sprzedawca życzliwie potraktuje moją ofertę. Wyraźnie gnębiły go wątpliwości, czy sprzedawać ziemię Murzynowi, lecz kiedy mu pokazałem, że mogę mu zapłacić gotówką i nie muszę podpisywać weksli, jego obawy pierzchły w jednej chwili.

Tylko pieniądź czyni nas równymi.

Czy byłaś poruszona tak jak ja, czytając, że wczoraj nasz kraj uchwalił ustawę o prawach obywatelskich? Widziałaś szczegółowe zapisy? Prawo gwarantuje wszystkim bez względu na kolor skóry równy dostęp do gospód, publicznego transportu, teatrów i tak dalej. Cóż za doniosły dzień dla naszej Sprawy! To właśnie na temat ustawy korespondowałem z Charlesem Sumnerem i Benjaminem Butlerem w zeszłym roku i wierzę, że do tego ważnego dokumentu trafiły niektóre z moich pomysłów.

Jak możesz sobie wyobrazić, wiadomość ta przywołała wspomnienia strasznych wydarzeń sprzed siedmiu lat, kiedy ograbiono nas z sadu w Gallows Heights i uwięziono mnie w pożałowania godnych warunkach.

Kiedy jednak rozmyślam o wieściach z Waszyngtonu, siedząc w naszym domu przy ogniu, zdaje mi się, jakby te straszne wydarzenia działy się w zupełnie innym świecie. Tak samo jak godziny krwawych walk w czasie wojny, jak lata przymusowej służby w Wirginii - wszystko jest stałe we mnie, ale gdzieś daleko, jak obrazy z prawie już zapomnianego sennego koszmaru.

Może w naszych sercach mamy tylko jedno miejsce na rozpacz i na nadzieję, a gdy jedna z nich wypełnia serce, druga uchodzi, pozostawiając jedynie cień wspomnienia po sobie. Dziś przepelnia mnie nadzieja.

Przypominasz sobie zapewne, jak ślubowałem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby rzucić z siebie piętno człowieka w trzech piątach. Gdy rozmyślam o spojrzeniach, jakie wciąż napotykam z powodu koloru mojej skóry, o postępowaniu wobec mnie i naszego ludu, myślę, że nie uważa się mnie jeszcze za człowieka w pełni. Ośmielę się jednak powiedzieć, że doczekaliśmy chwili, gdy widzą we mnie dziewięć dziesiątych człowieka (James śmiał się serdecznie, gdy mu o tym wspomniałem przy kolacji). Wierzę, że kiedyś wszyscy zobaczą w nas ludzi w pełni - za naszego życia lub przynajmniej za życia Joshui i Elizabeth.

Teraz, najdroższa, muszę Ci życzyć dobrej nocy i przygotować na jutro lekcję dla moich uczniów.

Życzę słodkich snów Tobie i naszym dzieciom. Nie mogę się doczekać Waszego powrotu.

Twój wierny Charles Croton nad Hudsonem 2 marca, 1875 r.

- Wygląda na to, że Douglass i pozostali wybaczyli mu kradzież

- rzekł Rhyme. - Albo uwierzyli, że jej nie popełnił.

- Co to za prawo, o którym pisze? - spytała Sachs.

- Ustawa o prawach obywatelskich z tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego roku - odparła Geneva. - Zakazywała dyskryminacji rasowej w hotelach, restauracjach, pociągach, teatrach - we wszystkich miejscach publicznych. - Dziewczyna pokręciła głową. - Ale niedługo obowiązywała. Sąd Najwyższy unieważnił ją w latach osiemdziesiątych jako niezgodną z konstytucją. Następne przepisy o prawach obywatelskich uchwalono dopiero pięćdziesiąt lat później.

- Ciekawe, czy Charles dożył dnia, w którym ją unieważniono

- zadumała się Sachs. - Chybaby się mu to nie spodobało.

Wzruszając ramionami, Geneva odrzekła:

- To pewnie nie miałyby dla niego znaczenia. Pomyślałby, że to tylko chwilowe niepowodzenie.

- Nadzieja wypiera cierpienie - zauważył Rhyme.

- Racja. - Geneva spojrzała na swatcha. - Muszę wracać do pracy. Ten Wesley Goades... Dziwny z niego facet. Nigdy się nie uśmiecha, nigdy nie patrzy w oczy... No i czasem przydałoby się przystrzyc brodę.

Leżąc wieczorem w łóżku przy zgaszonym świetle, Rhyme i Sachs oglądali księżyc - tak cienki, że właściwie powinien być biały, lecz przez jakąś właściwość atmosfery był złocisty jak słońce.

Czasem w takich chwilach rozmawiali, czasem nie. Dziś milczeli.

Na parapecie za oknem coś się poruszyło - sokoły wędrowne, które uwiły tam sobie gniazdo. Samiec i samiczka oraz dwa pisklaki. Czasem jakiś gość Rhyme'a zaglądał do gniazda i pytał, jak ptaki mają na imię.- Mamy umowę - odpowiadał mrukliwie Rhyme. - One nie wiedzą, jak ja mam na imię, a ja nie wiem jak one. Świetnie działa.

Sokół uniósł głowę i spojrzał w bok, przysłaniając księżyc. Ruch ptaka i jego profil sugerowały głęboką mądrość. I niebezpieczeństwo - dorosłe sokoły wędrowne nie mają naturalnych wrogów i atakują ofiarę, spadając na nią z góry z prędkością ponad dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Teraz jednak ptak uspokoił się i znieruchomiał. Sokoły były aktywne w dzień i spały w nocy.

- O czym myślisz? - spytała Sachs.

- Chodźmy jutro posłuchać muzyki. Na jakąś popołudniówkę czy jak to się nazywa, w Lincoln Center.

- A kto gra?

- Chyba Beatlesi. Albo Elton John i Maria Callas w duecie. Wszystko jedno. Mam ochotę podjeżdżać na wózku do ludzi i wprawiać ich w zakłopotanie... Nieważne, kto gra. Chcę po prostu wyjść. Wiesz, że to się nie zdarza często.

- Wiem. - Sachs pochyliła się, by go pocałować. - Jasne, chodźmy Obrócił głowę i musnął ustami jej włosy. Wtuliła się w niego.

Rhyme mocno zacisnął palce na jej dłoni. Odwzajemniła uścisk.

- Wiesz, co możemy zrobić? - szepnęła konspiracyjnie. - Przemycimy sobie jakieś wino i lunch. Paszтет, sery i bagietki.

- Tam można kupić coś do jedzenia. Dobrze pamiętam. Ale szkocka jest obrzydliwa. I kosztuje fortunę. Moglibyśmy na przykład...

- Rhyme! - krzyknęła nagle Sachs i usiadła wyprostowana na łóżku.

- Co się dzieje? - spytał.

- Co zrobiłeś?

- Zgodziłem się, żebyśmy przemycili sobie coś do jedzenia do...

- Nie wygłupiaj się. - Sachs odnalazła w ciemnościach włącznik i pstryknęła. W czarnych

jedwabnych bokserkach i szarej koszulce, z włosami w nieładzie i szeroko otwartymi oczami, wyglądała jak studentka, która właśnie sobie przypominała, że nazajutrz o ósmej rano ma egzamin.

Rhyme zmrużył oczy w ostrym świetle.

- Strasznie jasno. To konieczne? Patrzyła na łóżko.

- Twoja... twoja ręka. Poruszyłeś nią!

- Chyba tak.

- Prawą ręką! Przecież nie ruszasz prawą ręką.

- Dziwne, nie?

- Odkładałeś te badania i od początku wiedziałeś, że umiesz to zrobić?

- Nie wiedziałem. Aż do tej chwili. Nie chciałem próbować - bałem się, że się nie uda. Dlatego zamierzałem dać sobie spokój z ćwiczeniami i przestać zawracać sobie tym głowę. - Wzruszył ramionami. - Ale zmieniłem zdanie. Postanowiłem sprawdzić. Ale tylko kiedy będziemy sami, bez żadnych maszyn i lekarzy. No i nie sam, dodał w myślach.

- I nic mi nie powiedziałaś! - Lekko klepnęła go w ramię.

- Tego nie poczułem. Roześmiali się.

- Niesamowite, Line - szepnęła i mocno go przytuliła. - Zrobiłeś to. Naprawdę zrobiłeś.

- Spróbuję jeszcze raz. - Rhyme spojrzał na Sachs, potem na swoją rękę.

Zawahał się przez moment. I wysłał ładunek energii przez płataninę nerwów do prawej dłoni. Każdy palec lekko drgnął. Nagle, niezgrabnie jak narodzone przed chwilą źrebę, jego ręka pokonała Wielki Kanion - pięć centymetrów koca - przyciskając się mocno do nadgarstka Sachs. Kciuk i palec wskazujący objęły jej przegub.

Zaśmiała się radośnie ze łzami w oczach.

- Co ty na to? - spytał.

- A więc będziesz dalej ćwiczył? Skinął głową.

- Umówimy się z doktorem Shermanem na badania?

- Chyba tak. Jeśli nie wypadnie nic nowego. Ostatnio mieliśmy dużo pracy.

- Umówimy się na badania - oświadczyła zdecydowanie. Zgasiła światło i położyła się blisko niego. Wiedział to, choć nie czuł jej dotyku.

Rhyme w ciszy wpatrywał się w sufit. Kiedy oddech Sachs się wyrównał, zmarszczył brwi, uświadamiając sobie, że coś go łaskocze w piersi, gdzie nic nie powinien czuć. Z początku uznał, że znów ma urojenia. Potem się wystraszył, że to początek ataku dysrefleksji albo czegoś gorszego. Ale nie, to było coś zupełnie innego, co nie miało źródła w nerwach, mięśniach czy narządach wewnętrznych. Jako naukowiec z krwi i kości przeanalizował zagadkowe wrażenie i zauważył, że czuł coś podobnego, obserwując Geneve Settle, gdy rozprawiała się z adwokatem z banku. Czuł coś podobnego, gdy czytał o wyprawie Charlesa Singletona do „Potters’ Field” w poszukiwaniu sprawiedliwości w tę straszną lipcową noc albo o pasji, z jaką pisał o prawach obywatelskich.

Nagle Rhyme zrozumiał, co czuje: dumę. Tak jak był dumny z Genevy i jej przodka, był dumny z własnego wyczynu. Zmagając się z ćwiczeniami i poddając się dziś próbie, Lincoln Rhyme zmierzył się z przerażającą niewiadomą. Nie miało znaczenia, czy odzyska zdolność ruchu, czy nie; był dumny ze swego niezaprzecznego dokonania: osiągnął pełnię, tę samą pełnię, o której pisał Charles. Zdał sobie sprawę, że nikt i nic - ani politycy, ani współobywatele, ani nawet własne nieposłuszne ciało - nie może uczynić z ciebie człowieka w trzech piątach. O tym, czy jesteś w pełni człowiekiem, decydujesz tylko ty sam - i sam decydujesz, jak będziesz żyć.

Przypuszczał, że zrozumienie tego prostego faktu jest równie nieistotne jak nieznaczną zdolność ruchu, jaką odzyskał w prawej dłoni. Ale to nie miało znaczenia. Pomyślał o swojej pracy: o tym, jak maleńki płatek lakieru doprowadza do samochodu, który doprowadza do parkingu, gdzie ledwie widoczny odcisk buta doprowadza do drzwi, w których pozostało włókno z wyrzuconego płaszcza z odciskiem palca na guziku u rękawa - jedynym miejscu, które sprawca zapomniał wytrzeć.

Nazajutrz do jego drzwi puka brygada specjalna.

Sprawiedliwości staje się zadość, ofiara zostaje ocalona, rodzina jest w komplecie. Wszystko dzięki mikroskopijnej drobinie lakieru.

Małe zwycięstwa - tak mówił doktor Sherman. Małe zwycięstwa... Czasem nie ma nadziei na nic innego, pomyślał Lincoln Rhyme, czując nadchodzącą senność.

Ale czasem niczego więcej nie trzeba.

Od autora

Pisarzy należy oceniać po ich przyjaciółach i współpracownikach, a ja miałem wyjątkowe szczęście znaleźć się w gronie wspaniałych ludzi. Są to: Will i Tina Andersonowie, Alex Bonham, Louise Burke, Robby Burroughs, Britt Carlson, Jane Davis, Julie Reece Deaver, Jamie Hodder-Williams, John Gilstrap, Cathy Gleason, Caro-lyn Mays, Emma Longhurst, Diana Mackay, Tara Parsons, Carolyn Reidy, David Rosenthal, Marysue Rucci, Deborah Schneider, Vi-vienne Schuster, Brigitte Smith i Kevin Smith.

Szczególne podziękowania składam, jak zawsze, Madelyn War-cholik.

Czytelnikom, którzy wertują przewodniki turystyczne, szukając planu wycieczki do Gallows Heights, radzę - możecie je odłożyć. Opis życia na Manhattanie w dziewiętnastym wieku jest zgodny

z prawdą i rzeczywiście na Upper West Side istniały wioski, które zostały połknięte przez rozrastającą się metropolię, lecz Gallows Heights i popełnione tam nikczemności są tylko wytworem mojej wyobraźni. Celowo nadałem dzielnicy tak ponurą nazwę, pomyślałem też sobie, że Boss Tweed i jego kompani z Tammany Hall nie będą mieli nic przeciwko temu, jeśli obarczę ich jeszcze kilkoma przestępstwami. W końcu, jak powiedziałby Thompson Boyd, „to tylko kwestia, gdzie postawisz przecinek dziesiąty”.